R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES PICTA .COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

Inches
Centimetres
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
DANES PICTA .COM



HISTORIA ŚLĄSKA W ZARYSIE

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

PAMIĘTNIK INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

SERIA II

5

KATOWICE-WROCŁAW 1947

DRUKARNIA PAŃSTWOWA NR 1, KATOWICE, ULICA FRANCUSKA 33

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

KAZIMIERZ PIWARSKI

HISTORIA ŚLĄSKA W ZARYSIE

BIBLIOTEKA AKADEMII
SZTABU GENERALNEGO

VIII.6.3.3.

KATOWICE-WROCŁAW 1947

DRUKARNIA PAŃSTWOWA NR 1, KATOWICE, ULICA FRANCUSKA 33

5074

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
Ul. Gen. Bronisława Prugara-Ketlinga 1
00-910 Warszawa 1

R 24139

SPIS RZECZY

		str.
Przedmowa		7
Rozdział		
I.	Śląsk — Kraj Lechicki	9
II.	Śląsk pod rządami pierwszych Piastów	12
III.	Pierwsi dziedziczni książęta śląscy	19
IV.	Początki kolonizacji niemieckiej	25
V.	Henryk Brodaty i jego czasy	29
VI.	Legnica	39
VII.	Dalsze rozbicie dzielnicowe na Śląsku	45
VIII.	Henryk IV Prawy (Probus)	51
IX.	Ostatnie lata niepodległości Śląska	65
X.	Narzucenie rządów czeskich	75
XI.	Polska formalnie traci Śląsk na rzecz Czech	81
XII.	Umacnianie się władzy królów czeskich na Śląsku	87
XIII.	Na przełomie dwóch wieków	96
XIV.	Polska, Czechy i sprawa Śląska	101
XV.	Zmarnowane okazje dziejowe	117
XVI.	Polityka dynastyczna Jagiellonów	126
XVII.	Jagiellonowie na Śląsku	142
XVIII.	Polskość Śląska w zaraniu czasów nowszych	156
XIX.	Reformacja na Śląsku	170
XX.	Początki rządów habsburskich	179
XXI.	Kontrreformacja na Śląsku	190
XXII.	Wojna 30-letnia na Śląsku	198
XXIII.	Skutki wojny	212
XXIV.	Reakcja katolicka i germanizacja	221
XXV.	Jan III Sobieski na Śląsku	233
XXVI.	Ostatnie lata rządów habsburskich	240
XXVII.	Prusy zagrabiają Śląsk	246
XXVIII.	Germanizacja Śląska za czasów Fryderyka II	260
XXIX.	Niedola ludu śląskiego	271
XXX.	Rozbiory Polski — Czasy Napoleońskie	279
XXXI.	Sprawa polskości Śląska staje się aktualną	292
XXXII.	Józef Lompa — Budziciel odrodzenia narodowego na Śląsku	301
XXXIII.	Śląsk w latach 1848/49	308
XXXIV.	Wzlot i upadek szkolnictwa polskiego na Śląsku	323
XXXV.	Karol Miarka i „walka kulturna“ na ziemi śląskiej	333
XXXVI.	Lata przełomu	341
XXXVII.	Ruch polski przybiera wyraźne oblicze narodowe	357
XXXVIII.	Odrodzenie narodowe na Śląsku Cieszyńskim	377
XXXIX.	Na zakręcie dziejowym	390
XL.	Plebiscyt w r. 1921	399
XLI.	Bolesna sprawa	415
XLII.	Triumf sprawiedliwości dziejowej	421
Skorowidz osób		425
Skorowidz miejscowości		441

PRZEDMOWA

Praca nasza wynikła z potrzeby chwili. Objęliśmy w posiadanie rozległe ziemie śląskie nad Odrą i Nysą. Spełniły się marzenia wielu pokoleń narodu polskiego. Wróciliśmy na ziemie piastowskie, oderwane przed wiekami od polskiej macierzy. W tym momencie dziejowym musimy sobie dobrze uświadomić, jakie są nasze prawa do tych ziem, jakie były ich związki z Polską, jak przedstawiała się polskość Śląska w ciągu wieków. Bliższe zapoznanie się z tymi zagadnieniami pozwoli nam na głębsze przeżycie tej chwili dziejowej, oraz na wysnucie właściwych wniosków dla naszych poczynań aktualnych na terenie śląskim: wzmocni naszą wolę utrzymania tych ziem na zawsze w rękach polskich.

W pracy naszej, mającej z natury rzeczy charakter ogólnego przeglądu dziejów śląskich, nie chodziło bynajmniej o pełne wyczerpanie tematu. Byłoby to nawet przy obecnym stanie badań naukowych nad dziejami Śląska — niemożliwe. Dla nas miarodajny jest w szczególności stan badań naukowych polskich w dziedzinie historii Śląska: otóż stwierdzić trzeba, że nie jest on jeszcze zadowalający. Złożyło się na to kilka przyczyn, często od nas niezależnych, jak choćby fakt, że archiwa i biblioteki śląskie znajdowały się przeważnie w ręku Niemców, wyzyskujących je dowolnie, pod kątem widzenia własnej propagandy politycznej, utrudniających zarazem, lub wprost zamykających dostęp do zbiorów śląskich uczonym polskim. Obecnie nadeszła pora na ujęcie przez naukę polską steru badań nad dziejami Śląska. Przeprowadzenie ich wymaga niewątpliwie wielkiego wysiłku ze strony uczonych polskich i — dłuższego czasokresu.

Tymczasem jednak potrzebna jest książka o Śląsku, dająca niezbędne informacje o dziejach tej prastarej ziemicy piastowskiej: potrzebna jest dla tych Polaków śląskich, którzy mimo wszelkich trudności w ciągu burzliwych chwil dziejowych w głębi duszy swą polskość zachowali i dzisiaj pragną w pełni wejść na powrót w skład wielkiego narodu polskiego, — potrzebna jest dla Polaków z innych

części kraju, którzy stanęli do pracy na ziemiach nad Odrą i Nysą, by odbudować na nowo ich polskość prastarą,— dla tych wreszcie wszystkich w całej Polsce, którzy pragną i powinni posiadać choćby ogólną wiedzę o Śląsku.

Wprawdzie dopiero wyniki dalszych badań naukowych przyniosą pełniejsze wyjaśnienie tych czy innych zagadnień; uważaliśmy jednak za konieczne skreślenie obecnie tego ogólnego zarysu, by wypełnić choćby na razie brak książki polskiej, dającej najważniejsze informacje o dziejach Śląska, na podstawie dotychczasowego stanu badań. Niech nasza książka służy potrzebie chwili, dopóki jej nie zastąpią lepsze, pełniejsze. Niech przyczyni się choć w części do rozbudzenia zainteresowania szerokich sfer polskich czytelników dla historii Śląska. Niech wreszcie wpłynie, przez oświetlenie tragicznych przejść dziejowych ziem śląskich, na utrwalenie w nas niezłomnej woli odparcia wszelkich dalszych zakusów niemczyzny na te ziemie i związanie ich już po wsze czasy z Nową Polską. Wówczas zadanie aktualne książki będzie spełnione.

W Krakowie, w styczniu 1946 r.

Rozdział I

ŚLĄSK — KRAJ LECHICKI

W ogólnym zarysie dziejów Śląska nie znajdujemy miejsca na szersze zajmowanie się czasami przedhistorycznymi. Wystarczy zaznaczyć, że wiele danych wskazuje na prastare osadnictwo słowiańskie na ziemiach tak nad Wisłą, jak i nad Odrą, które zajmowało te tereny już na setki lat przed Chrystusem. Wprawdzie przez ziemie nadodrzańskie przeciągały następnie różne fale wędrówek ludzkich, nawiedzały ten teren ludy bałtyckie, scytyjskie, celtyckie i germańskie, — ale dawniejszego osadnictwa polskiego zmieść nie zdołały. W każdym razie w okresie tzw. przedhistorycznym, czyli poprzedzającym bezpośrednio erę historyczną (między wiekiem VII a X po Chr.), ziemie nad środkową i górną Odrą zamieszkiwała ludność lechicka, polska, przybyła tutaj zapewne — niewiadomo kiedy — z północy. Osadnictwo polskie na Śląsku objęło zrazu Odrę środkową, a następnie rozprzestrzeniło się na całe dorzecze Odry górnej. Pierwotnie posiadali Polacy nad Odrą ustrój rodowy; w miarę rozszerzania się na coraz dalsze tereny i znacznego rozpraszania się po obszarze nadodrzańskim, poszczególne grupy osadnicze przekształciły się na plemiona. Wedle przekazów źródłowych z wieku IX i X plemion takich na Śląsku można doliczyć się sześciu: a więc centralną pozycję w kraju zajmowali Ślężanie, zamieszkali nad środkową Odrą (terytorium Wrocławia), na północ od nich posiadali osiedla Trzebowianie i Dziadoszanie, na zachód Bobrzanie, wreszcie na południe Opolanie i najdalej wysunięci Gołężyce (tychże siedziby dosięgały źródeł Odry w Bramie Morawskiej). Niemniej plemiona te zachowały wspólność języka i obyczaju, złączone też były wspólnym kultem religijnym pogańskim, którego ośrodek znajdował się na górze Ślęż, położonej na zachód od Wrocławia: miejsce to stanowiło zarazem niewątpliwie ważną pozycję obronną. Od tejże góry Ślęży wywodzi się nazwa Ślężan, plemienia

centralnego, którego przodujące stanowisko doprowadziło z czasem do nadania całemu krajowi nazwy: Śląsk.

W zaraniu historycznej ery Śląsk wszedł w skład państwa polskiego, zorganizowanego przez plemię Polan, pod dynastią Piastów. O losach Śląska w dobie poprzedzającej bezpośrednio ustalenie łączności tego kraju z państwem polskim, mamy wiadomości na ogół niepewne. Bardzo możliwe, że części ziemi śląskiej należały jakiś czas do państwa tzw. wielkomorawskiego w IX wieku, organizacji państwowej, obejmującej liczne ziemie Słowian zachodnich, po części nawet południowych. Po nieznanych nam bliżej kolejach losu, zapewne po walkach między Polską a Czechami, znajdował się Śląsk w drugiej połowie X wieku pod rządami czeskimi. Około r. 990 (najdalej) odebrał Mieszko I Śląsk Czechom i przyłączył do państwa polskiego. W ten sposób ustalić można fakt nie ulegający wątpliwości, iż pod koniec rządów pierwszego historycznego władcy Polski Śląsk wchodził w skład państwa piastowskiego. Bardzo możliwe, że i poprzednio rządy czeskie ograniczały się tylko do części ziem śląskich po lewym brzegu Odry.

W tym momencie ziemia śląska przedstawia się jako terytorium na ogół jednolite. Zapewne centralnie położone plemię Ślężan zdołało utrzymać od początku, względnie wywalczyć sobie stanowisko przodujące wśród plemion śląskich. Być może, iż właśnie ów ośrodek kultu pogańskiego w pobliżu Wrocławia (góra Ślęż) odegrał rolę czynnika podtrzymującego jedność wszystkich plemion śląskich. W r. 1000 założone zostało we Wrocławiu pierwsze biskupstwo, obejmujące całe terytorium śląskie. Możliwe też, że dopiero utworzenie jednego biskupstwa dla całego Śląska wpłynęło na scalenie wszystkich plemion śląskich, przyczyniając się walnie do wytworzenia z kraju śląskiego jednej całości ustrojowej. Rozstrzygnięcie tej kwestii jest trudne, zresztą dla naszych dalszych rozważań niezbyt istotne. Wystarczy stwierdzić, że w chwili historycznie niewątpliwej przynależności do państwa polskiego, pod koniec X wieku, stanowi Śląsk na ogół zwarte terytorium, któremu dawano nazwę od plemienia Ślężan. W nieco późniejszych źródłach (z XII wieku) spotykamy na oznaczenie ludności Śląska też inne określenie: Wrocławianie. Potwierdza to tylko fakt przemożnego znaczenia ziem centralnych dla procesu scalania poszczególnych plemion śląskich w jedną całość polityczno-ustrojową, przy czym, być może, poważną rolę odegrała jednolita organizacja kościelna. Plemiona Trzebowian, Dziadoszan i Bobrzan podporządkowały się bez reszty przewadze Ślężan i Wrocławia. Poważniejsze tendencje

do utrzymania odrębności plemiennej można dostrzec jedynie u Opolan: przejawia się to m. i. w tym, że w źródłach spotykamy na określenie terytorium śląskiego nazwę ziemi Ślężan i Opolan. Ale i taka dwoistość nazwy zanika z czasem (w XII wieku), w wyniku utrwalenia się nazwy *Śląsk* na określenie całości terytorium; tego procesu utrwalania się jednolitej nazwy nie zdołał powstrzymać nawet okres rozbicia na dzielnice, gdyż właśnie owi dzielnicowi władcy poszczególnych ziem śląskich uważali się za książąt śląskich (tj. władających na Śląsku) w pierwszym rzędzie, a już za bliższe oznaczenie zakresu terytorialnego swego władania uważali takie określenia, jak głogowski, bytomski, czy legnicki książę. Nie wspominamy tutaj o Gołężycach, plemieniu lechicko-śląskim, wysuniętym najdalej na południe; znaczna część tego plemienia odpadła bowiem już wcześnie, bo w XI wieku, od Śląska (biorąc pod uwagę powszechnie przyjęte pojęcie terytorialne Śląska) i przeszła pod rządy czeskie, a reszta podciągnięta została pod nazwę najbliższych sąsiadów — Opolan.

W rezultacie tych rozważań stwierdzamy, iż Śląsk, jako część państwa polskiego za Piastów, stanowi w ramach tego państwa wyraźną całość ustrojową. Wszystkie części terytorium śląskiego, choć nawet stanowiące osobne jednostki administracyjno-polityczne (jak w okresie dzielnicowym), podciągają się pod wspólną nazwę Śląska, jako najbliższej im większej całości, stanowiącej przejście do pojęcia szerszego — *Polski,* wspólnego organizmu państwowego wszystkich Lechitów.

Rozdział II

ŚLĄSK POD RZĄDAMI PIERWSZYCH PIASTÓW

Po przejściowych rządach czeskich Śląsk został w r. 990 wcielony przez Mieszka I do państwa polskiego. Następny władca Polski, Bolesław Chrobry, założył w r. 1000 biskupstwo dla Śląska we Wrocławiu. Niewątpliwie już wcześniej chrześcijaństwo zawitało na ziemię śląską, może już w czasach rządów wielkomorawskich, napewno zaś w okresie rządów czeskich (ziemie po lewym brzegu Odry należały przejściowo, przed r. 990, do diecezji praskiej). Nawet jednak i z tego okresu nie przechowały się żadne wyraźne ślady chrześcijaństwa na Śląsku. Tradycja przekazała wieści o działalności św. Wojciecha na terenie Śląska, który jako biskup praski prowadzić mógł akcję misyjną na ziemi śląskiej, należącej podówczas do państwa czeskiego. Dowodem tej akcji miałyby być kościoły pod wezwaniem św. Wojciecha, jakie powstały w Kłodzku, Niemczy, Wrocławiu i Miliczu. Kościoły te dowodzą jednak raczej rozpowszechnienia kultu pośmiertnego św. Wojciecha na terenie śląskim, a nie jego działalności tamże za życia; rozmieszczenie wspomnianych kościołów, na drodze idącej z Czech do Gniezna, miejsca grobu św. Wojciecha, popiera tezę, że powstały one w związku z rozwojem kultu pośmiertnego. W rezultacie nie posiadamy danych źródłowych o wprowadzeniu chrześcijaństwa na Śląsku przed zajęciem kraju przez Piastów. Wszystko wskazuje raczej na to, iż dopiero w czasach piastowskich dokonała się chrystianizacja Śląska, przy czym momentem przełomowym było właśnie założenie biskupstwa wrocławskiego. Katedra wrocławska (budynek zrazu był drewniany, dopiero w połowie XII wieku biskup Walter wzniósł nową budowlę w stylu romańskim) i diecezja miały za patrona św. Jana Chrzciciela.

Założenie biskupstwa wrocławskiego dokonało się w tymże roku 1000, co założenie arcybiskupstwa w Gnieźnie: metropolii

gnieźnieńskiej poddano biskupstwa w Poznaniu, Krakowie i Wrocławiu. W ten sposób Bolesław Chrobry nadał Polsce własną organizację kościelną, od Niemiec niezależną: częścią tej prowincji kościelnej polskiej był również Śląsk, ziemia lechicka, w której chrześcijaństwo utrwaliły dopiero rządy polskie, podnosząc zarazem kraj na wyższy poziom cywilizacyjny.

Jako zachodnia prowincja państwa polskiego, stał się Śląsk niebawem terenem walk między Polską a Niemcami. Największy władca piastowski, Bolesław Chrobry, dążył do zjednoczenia wszystkich Słowian Zachodnich pod egidą Polski. Na drodze do realizacji tych zamierzeń napotkał jednak zbyt poważne przeszkody, tak ze strony innych plemion słowiańskich, nie rozumiejących potrzeby ścisłego współżycia z Polską, jak przede wszystkim ze strony Niemiec. Już w X wieku podjęli Niemcy swój *Drang nach Osten*, rozszerzając na wschód swe obszary — kosztem Słowian. Plany Bolesława Chrobrego miały na celu odrzucenie zdecydowanie naporu germańskiego. Właśnie jednak dlatego Niemcy wszelkimi siłami starali się plany Chrobrego unicestwić, tak siejąc niezgodę w świecie słowiańskim, jak też zwracając swą potęgę militarną przeciwko Polsce. W okresie wojen Chrobrego z Niemcami kilkakrotnie armie niemieckie cesarza Henryka II najeżdżały Śląsk. Na ziemi śląskiej toczyło rycerstwo śląskie wespół z rycerstwem innych części Polski ciężkie zmagania z intruzami germańskimi. Najpiękniejszą kartę dziejów wojennych Śląska w tych czasach stanowi obrona grodu Niemczy w r. 1017: bohaterscy Ślężanie odparli wówczas wszystkie ataki wroga, budząc swym męstwem podziw i uznanie nawet u wrogów. Współczesny kronikarz niemiecki, biskup merseburski Thietmar, stwierdził, że „nie słyszał o nikim, ktoby się kiedykolwiek potrafił bronić z podobną wytrwałością i umiejętnością". W walkach tych braterstwo broni rycerzy śląskich i wojowników z innych ziem polskich wzmocniło wydatnie poczucie łączności Śląska z całością Polski. Ślężanie, związani jednością krwi z Polanami czy Wiślanami, bratnimi plemionami lechickimi, wypełniali bohatersko swą powinność strażników prowincji granicznej państwa piastowskiego.

Bolesław Chrobry przesunął w wyniku zwycięskich wojen z Niemcami (zakończonych pokojem w Budziszynie, w r. 1018) granice zachodnie Polski daleko na zachód, włączając do państwa polskiego Miśnię i Łużyce. Dzięki temu Śląsk na lat kilkanaście stał się prowincją wewnętrzną państwa piastowskiego. Stan ten trwał zresztą niezbyt długo. Niebawem już następca Bolesława,

Mieszko II, uległ Niemcom i musiał odstąpić zachodnie nabytki Chrobrego: Śląsk wrócił na stałe do swej poprzedniej roli najdalej na zachód wysuniętej prowincji polskiej, której zachodnia granica biegła przez kilka wieków między rzeką Bobrem a Nysą łużycką, na jednym odcinku (w okolicy Przewozu) trwale opierając się o linię Nysy.

W czasie zamętu, jaki nastał w Polsce po rządach Mieszka II, wyzyskał słabość Polski książę czeski Brzetysław i w r. 1038 urządził wielki najazd na ziemie polskie, który doprowadził wojowników czeskich aż do Gniezna. Złupiwszy kraj, wrócili Czesi do ojczyzny; część Śląska jednak, po lewym brzegu Odry, obsadził Brzetysław na jakiś czas załogami czeskimi. Sukcesy czeskie zaniepokoiły władcę Niemiec, cesarza Henryka III, który zmusił Brzetysława do złożenia mu hołdu i zapłacenia wielkiego haraczu: w zamian za to przyznał Henryk III, dysponując ziemiami nie swoimi, księciu czeskiemu posiadanie Śląska wraz z Opolem. Podobne przetargi ziemią śląską były przecież możliwe tylko w chwili wielkiej słabości Polski. Gdy tylko książę Kazimierz Odnowiciel (syn Mieszka II) przywrócił w Polsce ład i zjednoczył na nowo państwo piastowskie, upomniał się o Śląsk. Doszło do wojny polsko-czeskiej, którą Kazimierz wygrał i odebrał Czechom Śląsk, przyłączając go znowu do Polski (1050). Niestety odpadły wówczas od Śląska najdalej na południe wysunięte ziemie Gołężyców (m. i. terytorium opawskie), które Czesi zatrzymali, uzyskując w ten sposób przesunięcie granicy morawskiej ku północy, w głąb historycznych ziem śląskich. Możliwe, iż w owych czasach ziemia kłodzka, za czasów Chrobrego należąca również do Polski jako część Śląska, związana zresztą ze Śląskiem geopolitycznie, posiadająca zapewne pierwotne osadnictwo polskie, wcześniejsze od czeskiego (osadnictwo polskie musiało wcześniej dotrzeć w kotlinę kłodzką wzdłuż rzeki Nysy, niż czeskie, które miało do pokonania przeszkody górskie), przeszła w ręce Czechów, choć na razie tylko przejściowo. Kazimierz Odnowiciel trzymał mocno Śląsk, odpierając ataki czeskie, a również przeciwstawiając się roszczeniom cesarza Henryka III. Niemcy wówczas bardzo niechętnie widzieli sukcesy Kazimierza, obawiając się nowego rozkwitu potęgi Polski. Wyzyskując tedy moment dogodny, gdy Kazimierz nie mógł sobie pozwolić na równoczesny konflikt z Czechami i Niemcami, narzucił Henryk III swe pośrednictwo w sporze polsko- czeskim. Wedle orzeczenia cesarskiego Śląsk miał pozostać przy Polsce, jednak władca polski miał płacić Czechom stałą roczną da-

ninę, tytułem odszkodowania za wyrzeczenie się posiadania Śląska. Narzucając takie rozstrzygnięcie (1054), chcieli Niemcy oczywiście posiać na długie lata ziarno niezgody między bratnimi narodami słowiańskimi, co stworzyłoby im możność ciągłej interwencji, oraz czuwania, by ani Polska ani Czechy nie doszły do zbyt wielkiej potęgi. Taka była gra niemiecka wobec Słowian w XI wieku: taką pozostała do lat ostatnich. A celem jej ostatecznym miała być likwidacja w ogólności Słowiańszczyzny Zachodniej.

Ledwie tylko Polska bardziej wzmogła się na siłach, przestała, rzecz prosta, płacić haracz ze Śląska Czechom. Odmówił płacenia haraczu następny władca polski Bolesław Szczodry i zapewne na tym tle doszło do nowej wojny z Czechami. Bolesław Szczodry starał się również odzyskać pograniczne ziemie śląskie, zabrane ongiś przez Brzetysława. Tak więc podjął wyprawę na gród Grodziec (leżący na południe od Opawy), którego jednakże nie udało się zdobyć. Natomiast opanował Bolesław ziemię kłodzką, którą napróżno starał się mu wydrzeć książę czeski Wratysław. Odrzucał wreszcie Bolesław Szczodry wszelkie roszczenia niemieckie do zwierzchnictwa, choćby formalnego, nad Polską, czego najlepszym dowodem jest koronacja Bolesława (w r. 1076). Tak jak poprzednie przyjęcie tytułu królewskiego przez Bolesława Chrobrego i Mieszka II (w początkach jego rządów), tak i koronacja Bolesława stanowiła podkreślenie pełnej niepodległości państwa polskiego. Śląsk był jedną z najcenniejszych prowincji niezależnej, suwerennej Polski piastowskiej. Władcy piastowcy zaprowadzili w niej na nowo ład i porządek, po przejściowej anarchii, wywołanej zamętem wewnętrznym w Polsce, oraz okupacją czeską. Dodać należy, iż jednym z głównych czynników zamętu była reakcja pogańska, która podniosła głowę w różnych częściach Polski, m. i. również na Śląsku. Już jednak Kazimierz Odnowiciel przywrócił na ziemi śląskiej na powrót chrześcijaństwo, oraz powołał znów do życia diecezję wrocławską (1051): od tej chwili chrześcijaństwo zostało na Śląsku ostatecznie utrwalone.

Słabe rządy nieudolnego następcy Szczodrego, Władysława Hermana, poderwały w znacznej mierze autorytet państwa piastowskiego wobec sąsiadów i osłabiły państwo wewnętrznie. Skorzystali z tego Czesi, najeżdżając dwukrotnie Śląsk, niszcząc i łupiąc zwłaszcza ziemie po lewym brzegu Odry. Wiadomości, przekazane o tych wypadkach przez kronikarza czeskiego Kosmasa, rzucają nieco światła na losy ziemi kłodzkiej. Wynika z nich, że jeszcze w latach 1093—1096 ziemia kłodzka należała do Polski,

skoro Władysław Herman oddał ją w posiadanie swemu młodszemu synowi, Bolesławowi Krzywoustemu: wpływ czeski na tym terenie rósł jednak stopniowo, gdyż Bolesław, jako dziedzic Kłodzka, musiał uznać zwierzchnictwo księcia czeskiego (1093). W trzy lata później Brzetysław II czeski włączył Kłodzko wprost do swego państwa. Oznaczało to oderwanie tej pogranicznej ziemi na dwa wieki od macierzy śląskiej.

Niebawem Śląsk stał się znów widownią ciężkich walk z naporem germańskim. Objąwszy władzę w Polsce, Bolesław Krzywousty poszedł w ślady swych wielkich imienników, Bolesławów Chrobrego i Szczodrego. Dążeniem jego było zupełne uniezależnienie Polski od wpływów niemieckich i odparcie roszczeń cesarskich do zwierzchnictwa nad Polską. Natomiast cesarz Henryk V chciał siłą zmusić księcia polskiego do uległości i w r. 1109 wyprawił się na Polskę, wspomagany przez księcia Czech Świętopełka, który sprzeniewierzył się wspólnej sprawie słowiańskiej i wysługiwał się Niemcom. Fala najazdu niemieckiego uderzyła na Śląsk. W krytycznych owych chwilach rycerstwo śląskie zdobyło się na wspaniały wysiłek orężny, stawiając niezłomny opór przewadze germańskiej i najeźdźcom czeskim. Henryk V poszedł najpierw z swą armią pod Bytom (nad Odrą) i zastał gród tak doskonale przygotowany do obrony, że zrezygnował z ataku, tym więcej, że już w walce z harcownikami śląskimi na przedpolu twierdzy ponieśli Niemcy poważne straty. Spod Bytomia ruszył Henryk V na Głogów, którego zdobycie miało mu umożliwić sforsowanie Odry. Głogowianie stawili jednak opór bohaterski, nie ulegając ani przemocy liczebnej wroga, ani jego podstępom: nie dali się nastraszyć również zastosowaniem przez Niemców machin oblężniczych, stanowiących największy wykwit ówczesnej sztuki militarnej. Wystawieni byli obrońcy twierdzy na najcięższą próbę, gdy Henryk V wiarołomnie kazał zakładników, młodocianych chłopców, synów rycerzy głogowskich, przywiązać do machin oblężniczych, które rzucono do ostatecznego ataku. Choć im się serce krajało, obrońcy głogowscy wiernie wypełniali rozkaz Krzywoustego, który nakazał walczyć aż do nadejścia odsieczy: razili atakujących z łuków, starając się strzelać szczególnie celnie, by oszczędzić zakładników. Męstwo ich zostało nagrodzone. Na czas jeszcze nadciągnęli rycerze Krzywoustego i uderzyli na Niemców. Uradowani Głogowianie urządzili wypad z twierdzy, atakując obóz niemiecki. Wzięci w dwa ognie Niemcy ustąpili z pola walki. Henryk V skierował teraz swą armię na Wrocław, licząc, że tam lepiej mu się po-

szczęści. Ale i Wrocławianie dzielnie odparli ataki germańskie. Zarazem zewsząd następowały oddziały księcia Bolesława, który znakomicie kierował walką podjazdową. Nie dawano Niemcom ani chwili wytchnienia. Żołnierze Henryka V i księcia czeskiego Świętopełka upadali wprost ze znużenia i z głodu, bo nie mogli się nawet wychylić z obozu dla zdobycia prowiantu; podobne trudności mieli z paszą dla koni, które padały jak muchy. Imię księcia Bolesława było postrachem dla Niemców. W najstarszej naszej kronice Galla-Anonima czytamy: „Obawiano się Bolesława w dzień i w nocy, ciągle mając go w pamięci, ostrzegano się wzajem, że „Bolesław nie śpi!" Gdy się ukazał jakiś gaik albo zarośla, wołano „Strzeż się, tam czyha Bolesław!" Nie było miejsca, o którymby nie przypuszczano, że tam się ukrywa Bolesław. W ten sposób dręczył ich bez wytchnienia, porywając niejednokrotnie po kilku, raz z czoła pochodu, innym razem zaś z boków nastając. Dlatego też wojownicy cesarscy bez przerwy cały dzień szli w pełnym rynsztunku, spodziewając się wszędzie i ciągle pojawienia się Bolesława." Największe straty ponieśli Niemcy pod Wrocławiem, gdzie pozostawili mnóstwo trupów, których nie mogli ani zabrać z sobą, ani nawet pochować: stąd tradycja nazwała miejscowość pod Wrocławiem Psiem Polem *(Hundsfeld)*.

W kronice Galla-Anonima znajdujemy również wzmiankę o chłopach śląskich, którzy brali udział w partyzantce i zawzięcie zwalczali Niemców. W tych warunkach cesarz uznał, że dalsze działania wojenne przeciw Bolesławowi nie przyniosą mu nic innego — prócz dalszych strat. Zarządził tedy spod Wrocławia odwrót, „trupy swoich wioząc za cały haracz (z Polski)." Tak niesławnie zakończyła się wyprawa wielkiej armii niemieckiej i posiłków czeskich na Polskę. Bolesław Krzywousty nie dał się zmusić do uznania zwierzchnictwa cesarskiego i wywalczył Polsce pełną niepodległość, w pierwszym rzędzie dzięki nieustraszonemu męstwu i wierności ludności śląskiej.

W następnych latach swego panowania zdobył sobie Bolesław Krzywousty piękną w dziejach Polski kartę, dokonując przyłączenia całego Pomorza wraz z częścią ziem zaodrzańskich i wyspą Rugią do państwa piastowskiego. Zajęty sprawami północnymi, nie mógł dostatecznej uwagi poświęcać ziemi śląskiej. Tymczasem zaś Śląsk był wystawiony na ustawiczne najazdy łupieżcze Czechów. W końcu Bolesław zajął się pilnie i tą sprawą. Wszystkie roszczenia terytorialne Czechów do Śląska zostały odrzucone; oręż polski wyrzucił najeźdźców z zajętych chwilowo ziem po lewym brzegu

Odry (np. z Raciborza). Ostatecznie spory polsko-czeskie zostały uregulowane układem w Kłodzku (1137), który na jakiś czas zapewnił Śląskowi spokój od tej strony.

W latach 990—1138 (tj. do końca rządów Krzywoustego) Śląsk zrósł się mocno z państwem polskim. Złączony z innymi plemionami lechickimi wspólnotą pochodzenia, mowy, obyczaju, związany był organicznie pod względem ustroju politycznego i organizacji kościelnej z całością państwa, zbudowanego i rządzonego przez dynastię Piastów.

Rozdział III

PIERWSI DZIEDZICZNI KSIĄŻĘTA ŚLĄSCY

Przed śmiercią (1138) Bolesław Krzywousty uregulował prawo następstwa w Polsce osobnym statutem, ustanawiającym tzw. seniorat. Wedle tego statutu Krzywousty wydzielił swym synom cztery dzielnice, gdzie mieli sprawować rządy dziedzicznie, pozostając jednakże pod władzą seniora, księcia piątej, największej dzielnicy-krakowskiej ze stołecznym Krakowem. Senior, pan Krakowa, miał zarazem wykonywać władzę nad Pomorzem, dzielnicą, świeżo dopiero trwale złączoną przez Krzywoustego z państwem piastowskim. Seniorem miał być każdorazowo najstarszy spośród Piastów i zależnie od tego dzielnica krakowska miałaby zmieniać pana, nie będąc dzielnicą dziedziczną. Na razie seniorem i panem Krakowa został najstarszy z synów Krzywoustego, któremu ojciec wydzielił ponadto ziemię śląską jako dziedziczną (Śląsk w całości, jako terytorium Ślężan i Opolan, wraz z ziemią lubuską).

Książę Władysław był tedy najpotężniejszym z Piastowiczów, wyniesiony ponad nich tak rozległością poddanych jego władzy terytoriów, jak też i godnością seniora, czyli faktycznego monarchy całej Polski. Niebawem jednak okazało się, że postanowienia statutu z r. 1138 były w praktyce życiowej nie do utrzymania. Krzywousty chciał pogodzić koncepcję jedności państwa z równoczesnym zaspokojeniem potrzeb i ambicji władczych wszystkich swych synów: łudził się, że tą drogą zaoszczędzi państwu wewnętrznych wstrząsów, jakie wynikały dotąd niejednokrotnie na tle rywalizacji między synami zmarłego władcy, niezadowolonymi młodszymi pretendentami i szczęśliwcem-pierworodnym. W istocie przecież nie sposób było pogodzić owo zwierzchnictwo seniora nad całą Polską z aspiracjami innych książąt, którzy niechętnie znosili mieszanie się seniora w sprawy wydzielonych im księstw dziedzicznych. Na tym tle doszło wkrótce do zatargu między Władysławem a braćmi,

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

który rychło doprowadził do otwartej wojny domowej. Pozycję Władysława osłabiły jeszcze jego konflikty z możnowładztwem ziemi krakowskiej i śląskiej. W rezultacie Władysław musiał opuścić tak dzielnicę krakowską, jak i Śląsk. Uszedł do Niemiec, licząc na pomoc cesarza Konrada III, z którego siostrą Agnieszką był ożeniony: wedle tradycji właśnie owe związki familijne Władysława z Niemcami, za czym szły niewątpliwie też i bliskie kontakty polityczne, były jedną z przyczyn niechęci książąt Piastowiczów do najstarszego brata. Tak więc Władysław rządził w Krakowie i na Śląsku ledwie lat osiem (1138—1146).

Po wygnaniu Władysława rządy w Krakowie objął drugi po starszeństwie syn Krzywoustego, Bolesław Kędzierzawy, dotąd książę dziedziczny Mazowsza i Kujaw. Jako senior, wziął Kędzierzawy w posiadanie również Śląsk, być może licząc się w przyszłości z oddaniem tej dzielnicy Władysławowi, względnie jego synom. Dalsze jednak kroki Władysława pogłębiły jeszcze bardziej różnice między braćmi i odroczyły na odległą metę ewentualny zwrot ziemi śląskiej. Władysław wezwał bowiem pomocy niemieckiej. W istocie cesarz Konrad III postanowił poprzeć swego szwagra, zwłaszcza że Władysław złożył wszystkie dowody uległości wobec Niemiec, uznając Konrada swym zwierzchnikiem: w ten sposób przyjął na siebie, jako książę Śląska i pan Krakowa, faktyczny monarcha Polski, obowiązki lennika cesarstwa. Jeszcze w r. 1146 wyruszył Konrad III na Polskę, ale armia niemiecka utknęła nad Odrą, nie mogąc sforsować przeprawy. Na jakiś czas Polska miała spokój od strony Niemiec, gdyż w latach następnych Konrad III zajęty był sprawą krucjaty do Ziemi Świętej i przestał zajmować się losem swego szwagra. W następstwie Bolesław Kędzierzawy umocnił swą władzę na Śląsku, która nabierała coraz więcej cech trwałości.

Niebezpieczeństwo interwencji niemieckiej nie było jednak zażegnane. Ambitny następca Konrada III, cesarz Fryderyk I Rudobrody, zamarzył o zwierzchnictwie nad Polską i przygotował nową wyprawę, formalnie pod pretekstem popierania praw Władysława, przebywającego wciąż na wygnaniu w Saksonii. Cesarz ruszył z wielką armią na Polskę, spustoszył strasznie Śląsk, a następnie wtargnął do Wielkopolski. Bolesław Kędzierzawy zebrał siły zbyt słabe i nie zdobył się na walną rozprawę z armią niemiecką. W Krzyszkowie pod Poznaniem (1157) Bolesław Kędzierzawy złożył hołd lenny Rudobrodemu i obiecał zgodę na powrót księcia Władysława do prawem mu należnych ziem. Skutki rozbicia dzielni-

cowego ujawniły się już teraz w całej swej grozie: cesarz wymusił na księciu Polski uznanie jego zwierzchnictwa, przed czym tak uparcie i skutecznie bronili się do niedawna Piastowie, władcy Polski.

Co prawda, Fryderyk Rudobrody zadowolił się na razie formalnym sukcesem. Praw zwierzchnich nad Polską nie mógł w pełni wykonywać, zajęty w latach następnych innymi sprawami, szczególnie włoskimi. Nawet nie troszczył się zbytnio o los Władysława, skoro tenże na Śląsk w ogóle nie wrócił. Ledwie bowiem armia cesarska odpłynęła z ziem polskich, Bolesław Kędzierzawy zapomniał o swych zobowiązaniach i dalej rządził w Krakowie i na Śląsku. Dopiero śmierć Władysława w r. 1159 (na wygnaniu, w Saksonii) zmieniła sytuację. Bolesław Kędzierzawy miał konflikt z Władysławem, a nie z jego synami, których prawa do Śląska, zdaje się, zawsze w zasadzie uznawał. Ponadto powrót Władysława do Polski oznaczałby konieczność przyznania mu praw nie tylko do Śląska, ale i do Krakowa, jako najstarszemu z synów Krzywoustego; a Kędzierzawy nie myślał się wyrzekać objętej raz władzy senioralnej. Natomiast synowie Władysława nie mogli wysuwać żadnych roszczeń do Krakowa, skoro żyli jeszcze starsi Piastowie, synowie Krzywoustego, którzy wedle statutu mieli prawo do stanowiska seniorów (po śmierci Władysława). Tedy niebawem, w r. 1163, synom Władysława oddano w posiadanie Śląsk; zwrot Śląska Władysławowiczom przyspieszyła zapewne ponowna interwencja cesarza Fryderyka I.

Tak więc w r. 1163 synowie Władysława powrócili na Śląsk. Wiele danych wskazuje na to, że Bolesław Kędzierzawy nie chciał się zupełnie wyrzec władania bezpośredniego nad Śląskiem, lecz pragnął zatrzymać przynajmniej ważniejsze pozycje strategiczne w swych rękach. Na tym tle wywiązały się spory i nawet walki między Władysławowiczami a Kędzierzawym i innymi Piastami polskimi, stojącymi po stronie seniora. Dzięki interwencji dyplomatycznej, a może i zbrojnej cesarza Fryderyka, stopniowo odzyskali synowie Władysława w pełni władzę nad całym Śląskiem. Wypadki te jednakże nie pozostały bez wpływu na dalsze dzieje Śląska. Władysław, zwany przez historyków polskich Wygnańcem, szukał oparcia w Niemczech przeciw swym braciom, którzy go pozbawili władzy senioralnej w Krakowie i wyzuli z dziedzictwa śląskiego. Synowie jego wyrośli na emigracji w Saksonii, przy czym rodzice wpajali im wielokrotnie poczucie krzywdy, jaka spotkała całą ich rodzinę ze strony Piastowiczów. Zarazem nasiąkli już kulturą

niemiecką do pewnego stopnia, a w każdym razie z niemczyzną się mocno oswoili i do niej nawykli, zatracając w znacznej mierze czujność na niebezpieczeństwo germańskie. Następstwa tego były bardzo szkodliwe.

Po r. 1163 Śląsk stanowił zrazu jednostkę polityczno-administracyjną jednolitą, pod rządami starszego syna Władysława, Bolesława Wysokiego, podczas gdy młodszy, Mieczysław Plątonogi, zajmował stanowisko podrzędne, pomagając zapewne bratu w sprawowaniu władzy. Niebawem jednak Mieczysław zapragnął udzielnej dla siebie władzy, zwłaszcza, że miał za sobą niewątpliwie część ludności Śląska, niezadowolonej z rządów Bolesława Wysokiego, który musiał sobie niektórych wybitniejszych Ślężan zrazić. Spór między Władysławowiczami splótł się z konfliktem ówczesnym o tron krakowski. Po śmierci Kędzierzawego panem Krakowa i seniorem został najstarszy z kolei syn Krzywoustego, Mieszko Stary, książę dziedziczny Wielkopolski. Mieszko nie chciał być władcą malowanym, lecz pilnie strzegł swych prerogatyw seniora, dążąc do sprawowania nie tylko formalnie, ale i faktycznie władzy monarszej w całej Polsce. Na tej płaszczyźnie uregulował on swój stosunek do innych książąt, również i do Bolesława Wysokiego. Wprawdzie Bolesław pysznił się władzą książęcą na Śląsku i przybrał tytuł „księcia Śląska": musiał jednak poddawać się najwyższej woli seniora, Mieszka Starego, który tytułował się „księciem całej Polski", dla podkreślenia swych praw suwerennych do całości państwa. Mieszko był władcą o twardej ręce, co niechętnie znosili tak inni książęta, jak przede wszystkim możnowładcy dzielnicy krakowskiej. W r. 1177 doszło do wybuchu rokoszu możnowładców przeciw Mieszkowi: do Krakowa wkroczył Kazimierz Sprawiedliwy, najmłodszy syn Krzywoustego, mający od niedawna uposażenie w dzielnicy sandomierskiej. Mieszko Stary, który zrazu musiał opuścić nawet dziedziczną Wielkopolskę (gdzie własny jego syn, Odo, wystąpił na czele spiskowych), nieugięcie walczył o swe prawa i opanował w końcu sytuację w Wielkopolsce, a również kilkakrotnie podejmował oręż w obronie swych praw do Krakowa, gdzie jednakże usadowił się mocno Kazimierz, mający poparcie magnaterii i duchowieństwa.

Książęta śląscy sprzęgli swe sprawy z wielkim konfliktem w rodzie Piastów. Bolesław Wysoki należał do spisku przeciwko Mieszkowi, gdyż zapewne zbyt mu ciążyło rygorystyczne wykonywanie przez Mieszka zwierzchnich praw monarszych. Ponieważ Bolesław stał się w ten sposób sojusznikiem Kazimierza Sprawiedli-

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA

wego, junior śląski Mieczysław Plątonogi stanął po stronie Mieszka Starego. Mieczysław zapewne od dłuższego czasu czyhał tylko na sposobność, by odebrać bratu władzę nad Śląskiem, albo przynajmniej jakieś mniejsze, udzielne księstwo dla siebie wykroić. Zachęcony do wystąpienia przez Mieszka Starego, który w ten sposób chciał zaszachować przeciwników, powstał przeciw Bolesławowi i wyrzucił go ze Śląska. Ale Bolesław miał potężnego sojusznika w osobie Kazimierza Sprawiedliwego, który triumfował w Krakowie i ujął się za wygnanym księciem śląskim. Po ciężkiej walce z Mieczysławem (który miał wielu stronników na Śląsku), zdołał w końcu Kazimierz zapewnić sobie zwycięstwo i przywrócił dzielnicę śląską Bolesławowi. Pan Krakowa był jednak przede wszystkim dobrym politykiem i zdawał sobie sprawę, że na Śląsku tak długo nie będzie spokoju, dopóki nie nasyci się w sposób odpowiedni ambicyj Plątonogiego. Tedy wykroił dla niego osobną dzielnicę, z ziem po części śląskich, z głównym grodem Raciborzem, po części należących dotąd do dzielnicy krakowskiej: chodziło w tym wypadku o grody Bytom, Oświęcim, Siewierz i Chrzanów. Tak tedy w r. 1177 powstały na Śląsku dwa księstwa: Śląsk Dolny wraz z ziemią lubuską, oraz część Śląska Górnego (z grodem Opolem) pozostały pod rządami Bolesława Wysokiego, — natomiast reszta Śląska Górnego (z grodem Raciborzem) wraz z przyłączonymi ziemiami dzielnicy krakowskiej, stanowić miała osobne księstwo, raciborskie, pod władzą Mieczysława Plątonogiego. Dodajmy, że część wspomnianych ziem dzielnicy krakowskiej pozostała przy Śląsku do połowy XV wieku (Oświęcim, Siewierz, Chrzanów), podczas gdy reszta (Bytom, Pszczyna) zrosły się już na stałe ze Śląskiem: trwałym przecież śladem dawnej przynależności tych ziem do dzielnicy krakowskiej był fakt, że dekanaty bytomski i pszczyński podlegały diecezji krakowskiej (a nie wrocławskiej) aż do r. 1821. — Oceniając ogólnie wypadki z r. 1177, stwierdzić należy, iż przyniosły one szkodliwy dla przyszłości Śląska rozłam w linii Piastowiczów śląskich. Wprawdzie nie pociągnął on za sobą na razie poważniejszego rozbicia terytorialnego dzielnicy śląskiej, gdyż większość jej znaczną zachował dla siebie Bolesław Wysoki. Niemniej raz dokonany rozłam wśród Piastowiczów śląskich, musiał w następstwie doprowadzić do coraz silniejszego występowania dążności partykularnych i do dalszego podziału Śląska na dzielnice.

Tak Bolesław Wysoki, jak i Mieczysław Plątonogi, brali nadal żywy udział w sprawie najważniejszej dla rodu piastowskiego, a to w walkach o tron krakowski i władzę senioralną. Rzecz znamienna,

że w dalszym rozwoju wypadków również i Bolesław Wysoki przeszedł na stronę Mieszka; ponieważ zaś Mieczysław Plątonogi na ogół wierny był sojuszowi swemu z Mieszkiem Starym, tedy w rezultacie obaj Piastowicze śląscy znaleźli się w jednym obozie politycznym. Gdy po śmierci Kazimierza Sprawiedliwego (1194) Mieszko Stary ponownie zgłosił swe pretensje do Krakowa, mając po temu niewątpliwie większe prawa (jako najstarszy spośród Piastów) niż małoletni syn Kazimierza Leszek Biały, którego chcieli osadzić na tronie krakowskim możnowładcy małopolscy, wówczas pomoc zbrojną Mieszkowi nieśli i Bolesław Wysoki i Mieczysław Plątonogi. W końcu, pokonawszy różne przeszkody, Mieszko ostatecznie osiadł na tronie książęcym w Krakowie: wówczas obaj Piastowicze śląscy lojalnie uznali go również i swym zwierzchnikiem, jako naczelnego władcę całej Polski.

Rozdział IV

POCZĄTKI KOLONIZACJI NIEMIECKIEJ

Bolesław Wysoki, idąc za fatalną tradycją ojcowską, starał się utrzymać w łaskach u cesarzy i zyskiwał ich względy nawet (jak się zdaje) płaceniem danin. Wprawdzie władcy niemieccy mogli rościć sobie na tej zasadzie pewne pretensje do zwierzchnictwa nad Śląskiem, nie miało to jednak w ówczesnych warunkach znaczenia praktycznego. Albowiem „cesarze rzymscy narodu niemieckiego" (tak ich nazywano) zajęci byli innymi sprawami, za główne zadanie uważając utrwalenie swej władzy nad Italią. Na razie tedy nie groziły ze strony władców Niemiec jakieś zakusy zaborcze względem ziem polskich. Co prawda germański *Drang nach Osten* w formie zdobywczej bynajmniej nie ustał. Akcję zaborczą prowadzili poszczególni książęta niemieccy, zwłaszcza sascy i brandenburscy. Ale i oni koncentrowali swe siły głównie na Słowiańszczyźnie Połabskiej, szerząc na ziemiach między Łabą i Odrą straszne zniszczenie pod pozorem nawracania na chrześcijaństwo ostatnich gniazd pogaństwa wśród Słowian. Tępiona ogniem i mieczem Słowiańszczyzna Połabska przeżywała swą wielką tragedię, straszliwą cenę płacąc za to, że nie dość wcześnie zdobyła się na jedyną w jej warunkach orientację, która by uratować mogła jej egzystencję: że nie związała się w czasach Chrobrego z państwem piastowskim. Ponieważ na niej skrupiły się wraże siły zaborczości germańskiej, tedy na razie Śląsk nie był jeszcze bezpośrednio wystawiony na ekspansję militarną i polityczną od strony Niemiec.

Niemniej jednak niemczyzna zagrażała już ówcześnie Śląskowi w innej formie, równie niebezpiecznej, wnikając na ziemie śląskie na drodze pokojowej. Osąd historii musi obarczyć za to winą niestety Piastowiczów śląskich, przede wszystkim księcia Bolesława Wysokiego. Podobnie jak ojciec, i on ożeniony był z Niemką, wskutek czego w otoczeniu księcia zjawiły się dworki-Niemki

i rycerze niemieccy, co musiało wywrzeć zgubny wpływ na postępowanie księcia. Należy wprawdzie zaznaczyć, iż błędne byłoby przypuszczenie, jakoby niemczyzna nadawała ton życiu dworu Bolesława Wysokiego: przeciwnie, na dworze tego księcia, jak i jego brata, Mieczysława Plątonogiego, panował język i obyczaj polski, a nieliczni stosunkowo Niemcy musieli się temu podporządkować. Ale mimo to, przybysze niemieccy znajdowali niejedną sposobność, by drogą rad czy podszeptów wpływać na umysł księcia i podsuwać mu takie decyzje, które miały w przyszłości przynieść ogromne pożytki niemczyźnie.

Taką decyzją było osadzenie przez Bolesława Wysokiego zakonu cystersów w Lubiążu. Obok duchowieństwa świeckiego, które od r. 1000 pod kierunkiem kapituły wrocławskiej pracowało nad chrystianizacją Śląska i przeprowadziło ją ostatecznie w ciągu XI wieku (po zlikwidowaniu przejściowej reakcji pogańskiej), pojawiło się już w XI wieku na ziemi śląskiej duchowieństwo zakonne. Pierwsi przybyli na Śląsk benedyktyni. Zrazu byli to oczywiście cudzoziemcy, ale już wkrótce zakon wchłonął w siebie wiele polskiego elementu, tak że w XII wieku mógł uchodzić za prawdziwie polski zakon. Dzięki ofiarności magnata śląskiego Piotra Włostowica uzyskali w pierwszej połowie XII wieku benedyktyni piękne opactwo św. Wincentego we Wrocławiu; wzbogaciły klasztor wrocławski ogromnie dalsze uposażenia i nadania książąt, biskupów i możnych śląskich. W XII wieku osiedlili się na Śląsku również kanonicy regularni św. Augustyna, zyskując dzięki fundacjom książąt i wspomnianego Piotra Włostowica (oraz jego rodziny) klasztory: na górze Ślęży, czyli Sobótce, oraz w samym Wrocławiu (bogate opactwo im. Najśw. Marii Panny). Kanonicy regularni rekrutowali się zrazu z cudzoziemców pochodzenia romańskiego (głównie Francuzów); z czasem władze zakonne dopuszczały coraz liczniej też i element polski, który piastował nawet najwyższe godności zakonne[1]). Szczególna natomiast rola przypadła w udziale sprowadzonym przez księcia Wysokiego na ziemię śląską cystersom.

Z zakonem tym, powstałym niedawno we Francji i przeszczepionym natychmiast do Niemiec, zapoznali się Władysławowicze śląscy w czasie swego pobytu w Saksonii. Mieszkali tamże w użyczonym Władysławowi Wygnańcowi zamku w Altenburgu. W nie-

[1]) Dzięki ofiarności książąt i magnatów śląskich w XII w. istniała już bardzo znaczna liczba kościołów na ziemi śląskiej, tak parafialnych jak i klasztornych. Badacze doliczyli się ich około 150.

wielkiej stosunkowo odległości od zamku, w miejscowości Pforte, powstała niemiecka placówka cystersów. Między Piastowiczami a zakonnikami niemieckimi zawiązały się zażyłe stosunki, w następstwie czego, wracając do Polski, zabrali ze sobą synowie Władysława kilku cystersów. Już w r. 1163 osiedlili się pierwsi cystersi niemieccy w Lubiążu nad Odrą. Około r. 1173 zorganizował się tamże pełny konwent zakonny, gdyż dzięki niezwykłej hojności Bolesława Wysokiego klasztor rozbudował się szybko i zyskał mocne podstawy dalszego rozwoju. Przede wszystkim zatroszczyli się cystersi o należyte zagospodarowanie przyznanych im licznych włości i to przy pomocy swych rodaków-Niemców. Właśnie w XII wieku duża fala chłopów niemieckich ruszyła na wschód, szukając dogodnych terenów osiedleńczych i łatwiejszego chleba. Tychże Niemców ściągali teraz do siebie cystersi i uzyskali na to zgodę księcia Bolesława. Chcąc mieć zabezpieczenie uzyskanych nadań i uprawnień, skłonili cystersi księcia do wydania dyplomu w r. 1175. Bolesław zezwalał cystersom na sprowadzanie kolonistów niemieckich, przyznając im zwolnienie od podatków państwowych polskich i od sądownictwa polskiego. W ten sposób uzyskali osadnicy niemieccy stanowisko uprzywilejowane w stosunku do ludności miejscowej, polskiej. Nic dziwnego, że tego rodzaju uprzywilejowanie było ogromną zachętą do osiedlania się Niemców na ziemi śląskiej. Kolonizacja niemiecka rozpoczęła się tedy w dobrach cystersów z Lubiąża i rozwinęła się szybko jeszcze w ostatnich dziesiątkach XII wieku. Prawdopodobnie Bolesław Wysoki nadał podobne przywileje kolonistom niemieckim również w dobrach książęcych, ułatwiając dalsze postępy osadnictwa niemieckiego. Jeżeli chodzi o dyplom z r. 1175, to należy przypuszczać, że postępowaniem księcia kierowała życzliwość w stosunku do cystersów, a niemałą rolę odegrały zapewne i podszepty doradców niemieckich. Sprowadzając osadników-Niemców do swych domen, powodował się książę niewątpliwie względami gospodarczymi, licząc na powiększenie swych dochodów w miarę postępów osadnictwa. W każdym razie przez swe niezrozumienie niebezpieczeństwa niemieckiego i karygodne krótkowidztwo polityczne zasłużył sobie na bardzo surowy osąd naszej historii. Otwarł bowiem na oścież bramy Śląska dla kolonizacji niemieckiej, która niebawem rozleje się po ziemi śląskiej szeroką falą.

Ośmieleni pobłażliwością czy nawet życzliwością księcia Bolesława, ruszyli Niemcy na zdobycie dalszych pozycji na Śląsku. Nie wystarczyła im placówka cystersów w Lubiążu, która trwale zachowała swój charakter wyłącznie niemiecki, pielęgnując troskli-

wie utrzymanie bliskich związków ze swym macierzystym klasztorem saskim. Ciemnymi intrygami zdołali zdyskredytować benedyktynów wrocławskich i wymusić decyzję władz kościelnych i księcia Bolesława, na mocy której odebrano benedyktynom opactwo św. Wincentego, a oddano je niemieckim premonstratensom. Tak zniknął z Wrocławia około r. 1190 polski konwent benedyktynów; natomiast zakonnicy niemieccy weszli w posiadanie bogatego opactwa w stolicy Śląska, przyczyniając się niemało do germanizacji miasta.

Z prawdziwą przykrością przychodzi nam rozważać owe karty dziejów śląskich u schyłku XII wieku. Wyzyskując znakomicie zanik myśli politycznej piastowskiej u książąt śląskich, wciskała się niemczyzna różnymi szczelinami na Śląsk, zajmując pozycje, które stanowić będą bazy wypadowe dla jej dalszych postępów. Klasztory niemieckie, żony Piastowiczów-Niemki, ich orszaki przyboczne, chłopi osadnicy — to pierwsze kadry pionierskie niemczyzny na Śląsku: za nimi przyjdą dalsze, setne, tysięczne! Wiek XIII przyniesie główną falę kolonizacji niemieckiej.

Rozdział V

HENRYK BRODATY I JEGO CZASY

Już pod koniec rządów Bolesława Wysokiego zanosiło się na dalszy podział Śląska na osobne dzielnice. Książę Wysoki wydzielił jedną część swego terytorium, a mianowicie Opolszczyznę, synowi z pierwszego małżeństwa, Jarosławowi, przeznaczając zresztą przeważną część swych ziem ze stolicą Wrocławiem synowi z drugiego małżeństwa, Henrykowi Brodatemu. Jarosław został niebawem wyniesiony na biskupstwo wrocławskie, po biskupie Żyrosławie, który przysłużył się biskupstwu przez wykończenie ostateczne katedry romańskiej, źle natomiast zapisał się w dziejach polskości Śląska, gdyż współdziałał z Bolesławem Wysokim w popieraniu zakonników — Niemców i osadnictwa niemieckiego. Jarosław krótko tylko zasiadał na stolicy biskupiej (1198—1201), gdyż zmarł niespodzianie w r. 1201. Wówczas Opole oddane zostało przez Bolesława Wysokiego Henrykowi. W r. 1201 zmarł również i książę Bolesław, za czym Henryk Brodaty posiadł całą dzielnicę ojcowską: Śląsk Dolny i znaczną część Górnego. Naraz wystąpił jednak stary już Mieczysław Plątonogi i po krótkiej walce zabrał bratankowi Opolszczyznę, włączając ją do swego księstwa (1202). Henryk musiał uznać taki stan rzeczy i ponadto wypłacić stryjowi znaczne odszkodowanie. Tak więc Mieczysław Plątonogi wydatnie powiększył terytoria swej dzielnicy, którą odtąd nazywano opolsko-raciborską: obejmowała ona teraz już cały obszar plemienny dawnych Opolan. Na skutek tych wypadków Śląsk podzielony był nadal na dwie części, z tą przecież różnicą, że powiększona dzielnica Mieczysława stanowiła w wyższym niż dotąd stopniu równoważnik dzielnicy śląsko-wrocławskiej, zresztą i tak górującej, posiadającej na swym terytorium tradycyjną stolicę kraju — Wrocław, zarazem siedzibę biskupstwa, obejmującego swym zasięgiem cały obszar Śląska.

Przede wszystkim jednak zaważyły na dalszych dziejach Śląska wypadki, jakie się rozegrały na terenie dzielnicy krakowskiej. W r. 1202 po śmierci Mieszka Starego i krótkotrwałych rządach jego syna, Władysława Laskonogiego, duchowieństwo i możnowładztwo krakowskie posadziło na tronie książęcym w Krakowie Leszka Białego, nie respektując zasady senioratu (pomijając starszych od młodocianego Leszka, żyjących podówczas Piastowiczów), natomiast przyjmując zasadę dziedziczności tronu krakowskiego w rodzinie Kazimierza Sprawiedliwego. Od tej chwili senior at został faktycznie obalony. Jako pan dziedziczny Krakowa Leszek Biały nosił wprawdzie tytuł „księcia Polski", ale postradał prawo moralne do wykonywania zwierzchnictwa nad innymi książętami, skoro jego dzielnica, dawniej senioralna, odtąd zniżona została do rzędu dzielnic dziedzicznych, organizmów formalnie równorzędnych: stała się jedną z kilku dzielnic polskich. W ten sposób Śląsk, podobnie jak Wielkopolska, Kujawy, Mazowsze, czy Małopolska (wytworzyła się ówcześnie taka nazwa na oznaczenie połączonych w ręku Leszka Białego dwu dawnych dzielnic: Krakowa i Sandomierza), stanowił jednostkę niezależną pod względem polityczno-ustrojowym. Zaczął się w dziejach Śląska okres nowy, okres samodzielnych książąt śląskich. Nie oznaczało to bynajmniej odpadnięcia Śląska od Polski, gdyż w podobnym położeniu znalazły się wówczas wszystkie dzielnice Polski. Nadal łączyły Śląsk z Polską liczne węzły, jak wspólność dynastyczna wszystkich książąt polskich, jak często zazębiające się interesy i aspiracje polityczne, jak wspólność organizacji kościelnej, jak wreszcie wspólnota plemienna i językowa ludności śląskiej z ludnością polską innych dzielnic. Istota rzeczy tkwiła w tym, iż od tej chwili książęta śląscy mogli się uważać za niezależnych od księcia Krakowa, z którego głowy spadł nimb władzy senioralnej, uświęconej ongiś ostatnią wolą Bolesława Krzywoustego. Byli samodzielnymi, tak jak inni książęta Piastowicze.

Taki stan rzeczy nosił wyraźne znamiona przejściowości. Obalenie senioratu nie mogło przekreślić poczucia jedności plemion lechickich. Dowodzą tego dzieje XIII wieku, w których bezustannie, z czasem z coraz potężniejącą siłą przejawiać się będzie dążność do przywrócenia jedności państwa polskiego w granicach pierwotnych, jakie wyraźnie przypominał zasięg organizacji kościelnej polskiej, metropolii gnieźnieńskiej. Kwestią czasu było ponowne zjednoczenie dzielnic w jeden organizm państwowy. Chodziło tylko o to, by okres przejściowy był przetrwany bez

uszczerbku terytorialnego dla całości ziem polskich. Nie ulegało kwestii, że poszczególne dzielnice wykazywać musiały zmniejszoną znacznie odporność wobec wpływów zewnętrznych. Osłabiało to ogromnie Polskę wobec sąsiadów. Największe niebezpieczeństwo groziło ziemiom zachodnim Polski, Pomorzu i Śląskowi. Już przebieg wypadków w ciągu wieku XII, w okresie senioratu, gdy jedność państwa, istniejącą jeszcze formalnie, rozrywały walki o tron krakowski i rosnące siły odśrodkowe, przyniósł rozluźnienie stopniowe węzłów, łączących Pomorze Zachodnie z Polską: książęta Pomorza Zachodniego zdobyli sobie samodzielność w stosunku do książąt Polski, panów Krakowa; ale równocześnie popadli pod zwierzchnictwo niemieckie, co w następstwie oznaczało wydanie stopniowe całego kraju na łup germanizacji. Teraz z kolei rodziło się pytanie niepokojące: czy książęta śląscy zdołają istotnie utrzymać swą samodzielność? Wobec nader eksponowanej pozycji ziemi śląskiej trudno było w to wierzyć. W istocie przyszłość Śląska zależała od tego, czy rychlej położy kres owej nader ryzykownej samodzielności zjednoczenie z całością ziem polskich, czy też — narzucenie zwierzchnictwa obcego.

Na razie co prawda bezpośrednie niebezpieczeństwo ze strony niemieckiej nie zagrażało, gdyż cesarze zajęci byli innymi sprawami, a zresztą w ciągu XIII wieku cesarstwo przechodziło samo okres ostrego kryzysu pod koniec ery rządów Hohenstaufów i jakiś czas jeszcze po ich upadku. Pobliscy książęta terytorialni niemieccy wyżywali się w tępieniu Słowiańszczyzny Połabskiej i nie mieli w danej chwili dość sił, by poważnie zagrozić Śląskowi, choć próbowali już urywać północno-zachodnie skrawki ziem śląskich (ziemia lubuska). W tych warunkach Henryk Brodaty (1201—1238) mógł zajmować wobec cesarstwa postawę władcy niezależnego. Niestety książę ten, puszniący się swą samodzielnością, przygotował walnie teren dla germanizacji Śląska.

Henryk Brodaty był władcą gospodarnym i dbał usilnie o podniesienie ekonomiczne kraju. Chętnie tedy przyjmował osadników niemieckich, którzy właśnie w tym czasie szeroką falą wciskali się na Śląsk. Książę rad był tej kolonizacji, nie bacząc na jej skutki dla polskości kraju. Wieloletnia tradycja bliskich stosunków z Niemcami przytępiła u książąt śląskich z rodu Władysława Wygnańca poczucie polskie. Częste małżeństwa z Niemkami odegrały w tym względzie ważką rolę. Matką Henryka Brodatego była Niemka, on też sam pojął za żonę Niemkę, Jadwigę, policzoną z czasem w poczet świętych. Co prawda Jadwiga przybyła na

Śląsk jako młoda dziewczyna i zapewne uległa sama silnie spolszczeniu. Wśród jej służby i dworzan przeważały osoby pochodzenia polskiego (o czym świadczą imiona osób z jej otoczenia, podane *w Żywocie św. Jadwigi*). Na dworze Brodatego panowała niewątpliwie mowa polska i polski obyczaj, skoro jeszcze jego wnuk (Bolesław Rogatka) nie umiał mówić po niemiecku. Niemniej coraz częstszymi gośćmi na dworze książęcym piastowskim byli Niemcy. Przybywało na Śląsk sporo rycerzy niemieckich, którzy dzięki życzliwości księcia lub księżny otrzymywali majątki ziemskie i osadzali się na stałe. Wiadomo, że Henryk Brodaty, pierwszy z książąt polskich, nawiązał kontakt z zakonem krzyżackim i nadał braciom zakonnym majątek ziemski na Śląsku (w r. 1222), w okolicy Namysłowa. Popieranie krzyżaków, jak i innych zakonów rycerskich (np. templariuszy, osadzonych w pobliżu Oławy, zrazu Francuzów, których miejsce w szeregach zakonnych wkrótce zajęli Niemcy), wynikło z przejęcia się Henryka ideą walki z niewiernymi, w której wziął nawet czynny udział, uczestnicząc w wyprawach na pogańskich Prusów. Zarazem jednak Brodaty tworzył w ten sposób na terenie Śląska placówki niemieckie[1]). Wielka pobożność księcia i jego żony, św. Jadwigi, stała się źródłem coraz nowych nadań na rzecz duchowieństwa zakonnego, — przeważnie niemieckiego. Nie inny był początek słynnego klasztoru cystersek w Trzebnicy, uposażonego wspaniale przez księcia Henryka: w klasztorze tym osadził Henryk mniszki niemieckie z klasztoru w Bambergu. Rozgłosu wielkiego nabrał klasztor trzebnicki zwłaszcza z chwilą, gdy osiadła tamże na szereg ostatnich lat swego życia św. Jadwiga, gdzie też złożono jej zwłoki; do grobowca Świętej zaczęły wkrótce odbywać pielgrzymki liczne rzesze wiernych. Mniszki trzebnickie — to z początku przeważnie, jeśli nie wyłącznie — Niemki, za wyjątkiem ksień, którymi bywały niemal same księżniczki z Piastów śląskich, pragnące przez służbę bożą w tymże klasztorze naśladować wzór św. Jadwigi, patronki Trzebnicy. W miarę lat wprawdzie do konwentu w Trzebnicy coraz liczniej zaczęły wstępować również Polki. Na razie jednak klasztor stanowił niewątpliwie ośrodek niemczyzny, jak tyle innych klasztorów śląskich, które zawdzięczały swe bogate uposażenia

[1]) Jedynym z ówczesnych Piastowiczów śląskich, który przeciwstawiał się ostro niemczyźnie, był ks. Konrad, syn Henryka Brodatego i Jadwigi (brat Henryka Pobożnego), który jednak zmarł młodo na skutek tragicznego wypadku.

hojności Henryka Brodatego na cele pobożne. Nie duchowieństwo świeckie, które długo zachowało swą polskość, ale właśnie klasztory były głównymi rozsadnikami niemczyzny.

Obok rycerza i zakonnika niemieckiego, w ślad za nimi, ściągał na Śląsk mieszczanin i chłop niemiecki. Książę Henryk przygarniał ich wszystkich chętnie, zapewniał wyjątkowe prawa i przywileje, wskutek czego owi Niemcy przybysze zepchnęli od razu na szary koniec polskiego mieszczanina czy chłopa. Pysznili się później tak często Niemcy, wskazując, jak to gospodarczo górowali nad miejscową, polską ludnością Śląska. Nic dziwnego, wszak od początku mieli stanowisko uprzywilejowane (osadzani na tzw. „prawie niemieckim"), dystansując miejscowych Polaków. Doprawdy bardzo wiele zawdzięczali księciu Henrykowi, który z tak karygodną lekkomyślnością wydał Śląsk na łup niemczyźnie! Chwalili tedy księcia Brodatego Niemcy, w szczególności nowsi historycy niemieccy, posuwając się nawet do twierdzenia, jakoby Henryk świadomie popierał germanizację Śląska. Jest to oczywistą nieprawdą, gdyż przeczy temu polska atmosfera dworu księcia Henryka, oraz cały szereg jego posunięć politycznych, które dowodzą niezbicie, iż poczuwał się on żywo do łączności z domem piastowskim i miał na oku przede wszystkim sprawy ogólnopolskie. Niemców sprowadził on na Śląsk tylko z tej przyczyny, że chodziło mu doraźnie o zaludnienie i zagospodarowanie kraju — niestety bez oglądania się na skutki tego rodzaju poczynań. Odrzucając tedy fałszywą tezę niemiecką o świadomej germanizacji Śląska przez Henryka, należy niemniej stwierdzić, że przez swą obojętność na sprawy narodowościowe i krótkowzroczność przyczynił się w bardzo znacznej mierze do ułatwienia pokojowej ekspansji germańskiej na terenie Śląska, skąd rozszerzała się ona i na dalsze ziemie polskie.

Henryk Brodaty był politykiem roztropnym i przezornym, niemniej konsekwentnym w realizowaniu swych celów. Zrazu dążył on do rozszerzenia swej dzielnicy wrocławskiej i już w pierwszych latach poczynił zdobycze w kierunku wschodnim, zresztą przejściowe (chwilowe zajęcie Kalisza). Ważniejsze są jego zdobycze zachodnie. Henryk docenił w pełni znaczenie ziemi lubuskiej[1]), która politycznie należała od r. 1138 do Śląska, geopolitycznie związana była jednakże z Wielkopolską. Na tę nadodrzańską

[1]) Ziemia te rozciągała się po obu stronach Odry, zamieszkała przez polskie plemię Lubuszan. W początkach XII wieku założyli tam Polacy biskupstwo lubuskie.

ziemię skierowany był podówczas nacisk sąsiednich książąt niemieckich, przede wszystkim margrabiów łużyckich i miśnieńskich. W początkach XIII wieku ziemia lubuska znajdowała się w posiadaniu Władysława Laskonogiego, księcia Wielkopolski, który bronił ważnej tej placówki polskiej przed naporem niemieckim. Nie zdołał przecież powstrzymać najazdu margrabiego Łużyc Konrada; w r. 1209 Niemcy opanowali ziemię lubuską, pokonali Laskonogiego, spieszącego z odsieczą, a po zdobyciu grodu Lubusza całą załogę polską ukarali za wierność księciu wielkopolskiemu — powieszeniem! W następnym jednak roku (1210) Henryk Brodaty na czele rycerstwa śląskego wypędził Niemców z ziemi lubuskiej i włączył ją do Śląska. Wprawdzie nadal było kwestią sporną, czy ziemia ta należeć ma do Śląska, czy też do Wielkopolski. Henryk Brodaty umiał przecież zawsze zachować poprawne, a przeważnie nawet przyjacielskie stosunki z Władysławem Laskonogim i w sposób polubowny załatwić z nim sprawę Lubusza. Widać obaj ci książęta piastowscy, niewątpliwie najwybitniejsi tej doby, rozumieli znaczenie utrzymania ziemi lubuskiej w rękach polskich, przy czym sprawie ogólnej podporządkowali swe własne ambicje władcze. W rezultacie ziemię lubuską zachował Henryk Brodaty i wziął również na siebie główny ciężar jej obrony przed naporem germańskim. Przejściowo (około r. 1211) wyparł nawet Niemców z Łużyc i marchię łużycką włączył do swego państwa, utrzymując ją jakiś czas pod władaniem śląskim. Za słabe miał przecież siły, by Łużyce związać trwale z swym państwem. Natomiast dzielnie bronił ziemi lubuskiej, mając do czynienia z wrogami potężnymi. Niemcy bowiem ponawiali zamachy na tę ważną pozycję nadodrzańską. Najeżdżał ziemię lubuską landgraf Turyngii Ludwik (czasowy pan Miśni); wysuwał do niej roszczenia arcybiskup Magdeburga Albert i, choć duchowny, popierał je nasyłaniem na Lubusz zbrojnych zastępów niemieckich, zgodnie zresztą z duchem czasu, zwłaszcza na terenie Niemiec: w szczególności wobec Słowian stosowali niemieccy książęta Kościoła nader często taktykę walki i niszczenia mieczem! Nie przeraził się potęgi germańskiej Henryk Brodaty i w latach 1228—1230 podjął przeciw Niemcom wyprawy wojenne na czele rycerstwa śląskiego, które uwieńczone zostały pełnym sukcesem: ziemię lubuską uwolniono od najeźdźców germańskich i trwale związano ze Śląskiem. W ten sposób rozszerzył książę Henryk swe posiadłości i przesunął granice Śląska w kierunku północno-zachodnim.

Równocześnie nie spuszczał z oka spraw innych dzielnic Polski, zwłaszcza dzielnicy krakowskiej — wciąż jeszcze przedmiotu pożądania wszystkich Piastowiczów. Rządy Leszka Białego, wyrosłe z obalenia zasady senioratu, nie znajdowały powszechnego uznania w rodzinie piastowskiej. Przy różnych okazjach przypominano zlekceważony tytuł starszeństwa, uprawniający innych Piastowiczów do posiadania stołecznego Krakowa. W r. 1211 podjął walkę o Kraków najstarszy z ówczesnych Piastów, Mieszko opolsko-raciborski i zajął istotnie zbrojnie miasto, lecz cieszył się jego posiadaniem zaledwie kilka miesięcy, gdyż zmarł niebawem. Po Mieszku Plątonogim objął rządy w Opolu i Raciborzu syn jego, Kazimierz, podtrzymując przez szereg lat (1211—1229) samodzielność dzielnicy opolsko-raciborskiej wobec znacznie potężniejszego podówczas drugiego księcia śląskiego — Henryka Brodatego. Po śmierci Kazimierza opolskiego Henryk roztoczył jednak swe wpływy również i na dzielnicę opolsko-raciborską, pod pozorem sprawowania opieki nad małoletnimi synami zmarłego. W rezultacie więc Henryk Brodaty władał całym Śląskiem, wysuwając się na czoło ówczesnych Piastowiczów. Znamienny jest coraz żywszy udział Henryka w sprawach ogólnopolskich. Najlepszym tego wyrazem było porozumienie księcia Brodatego z dwoma wybitnymi Piastowiczami, Leszkiem Białym i Władysławem Laskonogim, którego celem było poskromienie wichrzyciela wielkopolskiego, Władysława Odonicza (bratanka Laskonogiego), oraz jego sojusznika, księcia Pomorza gdańskiego Świętopełka — który zdołał w czasie rosnącego chaosu okresu dzielnicowego zapewnić sobie zupełną niezależność i rolę czynnika równorzędnego w zespole ówczesnych książąt polskich. Piastowicze polscy pamiętali jednak dobrze, że wedle statutu Krzywoustego Pomorze winno było podlegać książętom krakowskim i że poprzednicy Świętopełka byli jedynie namiestnikami książąt piastowskich, a tylko na skutek upadku władzy centralnej zdołali się wybić do stanowiska samodzielnego. Tedy zadaniem wielkiej koalicji Piastowiczów, Henryka, Leszka i Władysława Laskonogiego, było ukrócenie Świętopełka i związanie ponowne Pomorza z głównymi dzielnicami Polski. Ponieważ zarazem Leszek Biały, pan Małopolski, miał wedle woli Laskonogiego zostać niebawem również jego dziedzicem w Wielkopolsce, a on to właśnie dążył do poddania swemu zwierzchnictwu Pomorza, tedy zanosiło się na zjednoczenie głównego kompleksu ziem polskich w ręku jednego władcy. W owym momencie dziejowym, gdy Leszek Biały, Laskonogi i Henryk Brodaty, zjeżdżali na zjazd w Gąsawie, by wspólnie wywrzeć nacisk

na Świętopełka i roztoczyć zwierzchnictwo piastowskie nad Pomorzem Gdańskim, toczyła się gra o wielką stawkę. Ważne jest stwierdzenie, że wówczas książę śląski Henryk Brodaty stał po stronie Leszka Białego i w ten sposób wspierał dzieło odbudowy jedności Polski: wspomagał zarazem dążenia Leszka do przywrócenia zwierzchnictwa piastowskiego nad pobrzeżem bałtyckim. W sposób oczywisty wykazuje to, jak w istocie piastowska i polska była myśl polityczna Henryka Brodatego. Niestety do realizacji planów koalicji trzech Piastowiczów nie doszło. Pokrzyżowali ich plany Odonicz i Świętopełk, przygotowując podstępny spisek w Gąsawie (1227), którego ofiarą padł Leszek Biały; Henryk ledwie uszedł z życiem, okryty licznymi ranami.

Rok 1227 otwarł natomiast przed księciem Henrykiem nowe zgoła perspektywy. Z chwilą przedwczesnej śmierci Leszka Białego nastał kryzys polityczny w samej Małopolsce. Syn Leszka Bolesław Wstydliwy liczył zaledwie półtora roku, tedy konieczne było ustalenie opieki na czas jego małoletności. Rościł sobie prawo do opieki ks. Konrad mazowiecki, stryj Bolesława; pretensje Konrada odrzuciło jednakże możnowładztwo małopolskie, uznając natomiast prawa Laskonogiego, zgodnie z zawartym niedawno między Leszkiem a Laskonogim układem o wzajemnym dziedziczeniu, który na skutek nieprzewidzianego przebiegu wypadków (śmierci Leszka) miał nagle otworzyć rozległe widoki polityczne przed księciem Wielkopolski. Laskonogi nie miał przecież dość sił do obrony Krakowa przed zakusami Konrada. Tedy w r. 1228 panowie małopolscy wezwali na pomoc Henryka, jako sojusznika Laskonogiego i w istocie zastępy rycerstwa śląskiego podążyły wówczas do ziemi krakowskiej, gdzie stoczały walki z oddziałami księcia mazowieckiego. Mimo to nie udało się posadzić Laskonogiego na tronie krakowskim. Na domiar Władysław Odonicz wyparł swego stryja z Wielkopolski i zmusił go do szukania schronienia na Śląsku. Tutaj Laskonogi przed swą śmiercią sporządził ostatnią wolę, mocą której Henrykowi Brodatemu przekazał swe prawa do Krakowa i do Wielkopolski. Wybiła wówczas godzina dziejowa dla księcia Henryka.

W r. 1230 przybrał on tytuł „księcia Śląska, Polski (tj. Wielkopolski) i Krakowa". Zrazu prawa swe do Krakowa opierał na tej zasadzie, że występował jako opiekun małoletniego Bolesława Wstydliwego, a tytuł jego do władania nad Krakowem wzmacniała walnie ostatnia wola Władysława Laskonogiego, który mógł powoływać się na życzenie panów krakowskich, przeciwstawiających się roszczeniom Konrada mazowieckiego. Ponadto Henryk mógł

wzmocnić swe pretensje do Krakowa przez przypomnienie zasady senioratu, która napewno wielu jeszcze miała zwolenników, zwłaszcza w owych burzliwych czasach, gdy właśnie w odstępstwie od senioratu i przyjęciu zasady dziedziczenia można było doszukiwać się jednej z poważnych przyczyn panującego kryzysu politycznego. W danej chwili Brodaty był najstarszym spośród Piastowiczów: tytuł ten uznał za najmocniejszą podstawę do ubiegania się o tron krakowski. Zaraz po śmierci Laskonogiego ruszył do walki z Konradem i w r. 1232 zmusił księcia mazowieckiego do wycofania się z ziemi krakowskiej. W listopadzie t. r. stanął układ między rywalami. Konrad skapitulował i uznał prawa Henryka do posiadania Krakowa (na zasadzie starszeństwa w rodzinie piastowskiej), jak też i prawa do opieki nad Bolesławem Wstydliwym, jako dziedzicem Sandomierskiego. W ten sposób Brodaty stał się faktycznie panem całej Małopolski.

Na tym nie koniec jego sukcesów. W Wielkopolsce, którą dzierżył po wygnaniu a następnie śmierci Laskonogiego Władysław Odonicz, rządy tego Piastowicza wywołały niebawem silną opozycję, która zwróciła się o pomoc do Henryka. Książę śląski mógł się dotąd powoływać na prawa do Wielkopolski na podstawie testamentu Laskonogiego: teraz zyskiwał mocniejsze oparcie, gdy go wzywała znaczna część społeczeństwa wielkopolskiego. W r. 1234 Henryk ruszył przeciw Odoniczowi i wyparł go z Kaliskiego i Poznańskiego. Odonicz musiał zgodzić się na układ, mocą którego większość Wielkopolski pozostała w ręku Brodatego. Wprawdzie Odonicz próbował w latach następnych odzyskać straty drogą walki zbrojnej, bądź też przez odwołanie się do Rzymu. Poza chwilowymi sukcesami niczego jednak nie osiągnął. Henryk Brodaty zachował swe zdobycze wielkopolskie, a nawet je powiększył.

Tak więc pod koniec życia ten śląski Piastowicz władał nad przeważną częścią ziem polskich: nad Małopolską, większością Wielkopolski i nad Śląskiem (zwierzchnictwo swe nad księstwem opolsko-raciborskim jeszcze bardziej wzmocnił). Dążeniem jego było teraz stworzenie z kilku dzielnic jednolitej całości i przekazanie jej prawem dziedzicznym swemu synowi, Henrykowi Pobożnemu. Oznaczałoby to ważny krok na drodze do zjednoczenia ziem polskich, zwłaszcza, iż Henryk Brodaty pod sam koniec swego życia czynił przygotowania do przybrania godności królewskiej, widomego symbolu jedności całego państwa polskiego. Nie trudno pojąć, jakie stąd popłynęłyby korzyści dla Polski, która wreszcie wydobyłaby się z impasu okresu dzielnicowego, jak i dla samego

Śląska: ziemia ta związana byłaby tym silniej z resztą ziem polskich, gdyby mogła z nimi trwale pozostawać w łączności polityczno-ustrojowej, gdyby nadto książąt śląskich opromieniła aureola korony królewskiej polskiej. Powstrzymała wytyczony już, zdałoby się, bieg wypadków — śmierć Henryka Brodatego w r. 1238.

Rozdział VI

LEGNICA

Następca Brodatego, Henryk Pobożny (1238—1241), miał teren tak dobrze przez ojca przygotowany, że mógł prowadzić dalej jego dzieło. Przybrał również tytuł „księcia Śląska, Krakowa i Polski (Wielkopolski)"; przejawiła się w tym względzie wyraźna tendencja Piastowiczów śląskich do stworzenia z posiadanych ziem jednolitej monarchii dziedzicznej. Henryk Pobożny nie mógł się powoływać na tytuł starszeństwa, jak jego ojciec. Władzę swą opierał na prostym fakcie posiadania przekazanych mu przez ojca ziem i zdolności do ich obrony. W konsekwencji nawet nie teren krakowski, lecz śląski uważał za główny ośrodek swego państwa: przebywał też stale na Śląsku. Podobnie jak ojciec, umiał twardo bronić swego stanu posiadania. Poważne niebezpieczeństwo zagroziło zaraz w początkach jego rządów ziemi lubuskiej — stałemu przedmiotowi pożądliwości sąsiednich książątek niemieckich. Arcybiskup magdeburski Wilbrand na czele wojsk własnych i posiłkowych brandenburskich najechał ziemię lubuską w r. 1239. Wówczas jednak Henryk nie tylko odparł atak na sam Lubusz, ale wydał najeźdźcom walną bitwę i zupełnie ich rozgromił. Podobną odprawę zgotował Niemcom, którzy z Pomorza Zachodniego dokonali wypadu na Santok i opanowali ten ważny gród graniczny: natychmiast książę Henryk wyzwolił Santok ze szponów germańskich.

Na terenie Wielkopolski książę Pobożny w walkach z Odoniczem poczynił jeszcze nowe zdobycze, zajmując m. i. Gniezno. Być może, iż właśnie opanowanie Gniezna skłoniło go do podjęcia planów ojcowskich — przyozdobienia skroni koroną królewską. Podczas jednak, gdy ojciec zabiegał o zgodę cesarza na koronację, zapewne z tej przyczyny, że oceniając z dużym realizmem ówczesną sytuację polityczną więcej się liczył z potęgą cesarza Fryderyka II Hohenstaufa, niż z papieską — Henryk Pobożny wybrał inną drogę. Był

on, tak jak ojciec, politykiem realnym i z wielką uwagą śledził przebieg zaostrzającego się zatargu między cesarstwem a papiestwem. W rezultacie uznał, że w danej chwili cesarstwo stoi w obliczu ciężkiego kryzysu i nie należy się z tym czynnikiem zbytnio liczyć. Tedy swe starania o aprobatę koronacji skierował w stronę papieża. W ten sposób wszedł na drogę polityki swych wielkich poprzedników, Bolesławów, którzy w zbliżeniu do Stolicy Apostolskiej szukali dla siebie i dla Polski oparcia przeciw uzurpacjom i zaborczości cesarzy-władców Niemiec. Była to droga dla Polski najwłaściwsza, wskazana trafnym instynktem naszych władców piastowskich, najlepiej zabezpieczająca prawa suwerenne państwa polskiego w ówczesnych warunkach. Realizacja tak pojętych planów Henryka Pobożnego byłaby zapewne oszczędziła Polsce dalszych wielu dziesiątek lat rozbicia dzielnicowego, oraz połączonych z tym dotkliwych strat, szczególnie terytorialnych.

Niestety los zrządził inaczej. Dzieło Henryka Pobożnego zburzył najazd Tatarów w r. 1241. Potęga mongolska, groźna swą doskonałą organizacją militarną i odmiennością sztuki wojowania, którą rycerstwo Europy było kompletnie zaskoczone, zwaliła się na Węgry, jedną odnogą swej fali nawiedzając również Polskę. Podczas gdy wódz naczelny, Batuchan, uderzył z głównymi siłami na Węgry, inny z wodzów tatarskich, Bajdar, ruszył z ziem ruskich w początkach 1241 r. na ziemie polskie. Rycerstwo małopolskie próbowało napróżno dwukrotnie stawić czoło najeźdźcom, aż w końcu legło pokotem na polach pod Chmielnikiem (w pobliżu Kielc), zwyciężone taktyką wojenną mongolską. Niedobitki Małopolan uszły na Śląsk, pod skrzydła opiekuńcze swego księcia, Henryka Pobożnego, który nie zdążył przyjść Małopolsce z pomocą, zaskoczony tempem zawrotnym marszu tatarskiego. Wkraczającym na Śląsk hordom tatarskim ośmielił się przeciwstawić młody książę opolski Mieszko (syn Kazimierza) nad Odrą, pod grodem Opolem. Pierwsze jednak starcie zbrojne pouczyło rycerstwo opolskie, z jak potężnym nieprzyjacielem ma do czynienia: przygnieceni przewagą mongolską rycerze Mieszka uszli z pola bitwy, chroniąc się do obozu Henryka, który tymczasem starał się zgromadzić poważniejsze siły. Zebrał rycerstwo Śląska Dolnego, ściągnął zastępy Wielkopolan, przygarnął uchodzących Małopolan i rycerzy Śląska Górnego. Zwlekał jeszcze z przyjęciem bitwy i zarządził odwrót na zachód, zapewne z tej głównie przyczyny, że spodziewał się rychłego nadejścia posiłków z Czech, które prowadził istotnie król czeski Wacław I, z ogromną jednak, dającą nawet powód do podejrzeń, powolnością.

Być może, iż Henryk oczekiwał też posiłków z Niemiec, które jednak nigdy nie miały nadciągnąć! Wprawdzie duchowieństwo od dawna już prowadziło w Niemczech propagandę za zorganizowaniem oporu przeciw nawale mongolskiej i połączeniem sił rycerstwa chrześcijańskiego w walce o wspólną sprawę. Cesarz Fryderyk II zajęty był jednak innymi kwestiami, a książęta niemieccy bardzo leniwie gotowali się do obrony własnych dzierżaw, ani myśląc o spieszeniu Polsce z pomocą.

W tych warunkach szanse walnej rozprawy były dla wojsk Henryka nader nikłe. Zastępy polskie ustępowały Tatarom znacznie liczebnością, na domiar nie mogły pojąć niezwykłej taktyki tatarskiej, operującej ogromną szybkością ruchów wojsk, nowymi środkami walki i licznym zasobem podstępów wojennych. Duch w wojsku polskim słabnął jeszcze, w miarę wieści o niepowstrzymanym pochodzie Tatarów, o klęsce Małopolan, o zniszczeniu Krakowa. Hordy Bajdara doszły pod Wrocław, siejąc wokoło straszne spustoszenie. W mieście schroniły się tysiące uchodźców, przerażonych, niezdolnych do zorganizowanej obrony. Z winy samej ludności wybuchł pożar, które zamienił Wrocław w ruinę i zgliszcza. Część ludności wraz z drobną załogą schroniła się w starym grodzie książęcym. Jeszcze większe przerażenie zapanowało na całym Śląsku, gdy hordy Bajdara doznały wzmocnienia: pod Wrocław nadciągnął inny wódz tatarski, Kaidu, prowadząc od strony Łęczycy drugą kolumnę wojowników, która szybkim marszem przeszła długą trasę od Sandomierza i połączyła się nad Odrą z kolumną Bajdara. W mig przekroczyli Tatarzy Odrę i szybkimi ruchami okrążającymi znaleźli się na tyłach wojska polskiego. Bezradni wobec nieoczekiwanych manewrów tatarskich rycerze polscy, przepojeni głęboko duchem chrześcijańskim, w poczuciu swej bezradności przyjmowali wszystko jako dopust Boży, karę Bożą za grzechy. Nie inne były nastroje w Niemczech, na Węgrzech czy w Czechach. Król czeski Wacław uważał położenie za tak dalece beznadziejne, że wstrzymał swój pochód i wolał odczekać na wynik bitwy! — co w następstwie odebrało Polakom ostatnią nadzieję pomocy.

Doprawdy, bohaterstwem było w takiej sytuacji stawienie czoła Tatarom w otwartej bitwie. Na czyn bohaterski zdobyli się rycerze polscy i ich wódz nieustraszony, książę Henryk Pobożny. Dnia 9 kwietnia 1241 r. wojsko polskie przyjęło bitwę na polach pod Legnicą. Wynik był z góry przesądzony wobec przewagi liczebnej nieprzyjaciela i użycia przez niego specjalnej broni (machin, ziejących ogniem), nieznanej rycerstwu Europy. Na polu bitwy poległ

Henryk Pobożny, wraz z nim kwiat rycerstwa śląskiego. Walczono zażarcie: rycerze polscy bronili się do ostatka, zadając Tatarom niezwykle krwawe straty. Tylko jednostki schroniły się, gdy pogrom armii polskiej był już oczywisty, do grodu legnickiego. Klęska na polu bitwy nie osłabiła ducha obrońców grodu. Podpalili oni samo miasto Legnicę, by nie dawać oparcia nieprzyjacielowi i sposobili się niezłomnie do obrony. Nic to nie pomogło Tatarom, że nadziali na pikę głowę księcia Pobożnego i szyderczo obnosili ją przed murami miasta. Załoga odpowiedziała deszczem strzał. Wobec takiej postawy obrońców Tatarzy zrezygnowali z ataku na gród i ruszyli niebawem na południe. Drogą na Jawor, Strzygłów, Świdnicę, Niemczę, Henryków, Otmuchów, Nysę, Kamiów i Opawę podążyli w kierunku Moraw, by w końcu na Węgrzech połączyć się z głównymi siłami Batuchana i wraz z nimi (po spustoszeniu Węgier) wycofać się na stepy czarnomorskie. Szarańcza mongolska odpłynęła.

Wiadomo, że celem zasadniczym najazdu tatarskiego były Węgry, atak zaś na ziemie polskie miał w głównej mierze nie dopuścić do ewentualnego wysłania posiłków z Polski na Węgry, a zarazem tym silniej wziąć Węgrów w kleszcze przez oskrzydlenie ich od strony północno-zachodniej. Niemniej nie ulega kwestii, iż rycerstwo polskie pod Legnicą zasłoniło swymi piersiami Europę przed zalewem mongolskim. Bohaterski opór Polaków na polach Legnicy osłabił siłę rozpędu Tatarów. Ponieśli znaczne straty, co ich powstrzymało od dalszych prób posuwania się w kierunku zachodnim. Tatarzy żyli z wojny i łupu, tedy nie ulega kwestii, że im się uśmiechało pustoszenie miast i włości niemieckich. Po stratach legnickich uznali jednak za zbyt ryzykowne pchanie się na zachód i (po przejściowym zapuszczeniu zagonów na Łużyce) pospieszyli do głównego obozu, nie chcąc się narażać na dalsze spotkania z rycerstwem europejskim, zrażeni doświadczeniem legnickim. Na tym polega znaczenie bitwy pod Legnicą. Polacy powstrzymali dalszy pochód dziczy mongolskiej. Nie po raz to ostatni krew polska została przelana w obronie cywilizacji europejskiej przed zalewem świata azjatyckiego. W tym wypadku Polacy ryzykowali swą krew w znacznej mierze dla sprawy słowiańskiej. Cała Ruś znalazła się wówczas pod jarzmem tatarskim i musiała uginać karku przed panami mongolskimi przez długie lata. Ewentualne zwycięstwo polskie pod Legnicą zmieniłoby zapewne tok dziejów świata słowiańskiego. Wpłynęłoby na rychlejsze zbliżenie Słowian Wschodnich i Zachodnich. Natomiast klęska legnicka spowodowała w następ-

stwie umocnienie się rządów tatarskich na Rusi — na okres bardzo długi. Zaciążyło to poważnie na dziejach Słowiańszczyzny, wpływając na pogłębienie różnic między Rusią a Polską. Nie z winy Polaków, którzy stanęli do nierównej walki i starali się spełnić swe zadanie, które, niestety, przerosło ich siły.

Z dotychczasowego przedstawienia rzeczy wynika jasno, że bohaterskie zmagania pod Legnicą były dziełem rycerstwa polskiego. Powtarzamy to z całym naciskiem. Czas wreszcie ostatecznie przygwoździć kłamstwa tzw. nauki niemieckiej, która pozwalała sobie na zupełnie gołosłowne twierdzenie, jakoby bitwa legnicka była wyczynem „młodej niemczyzny" śląskiej! Nic nie wiadomo o poważniejszym udziale Niemców w owej historycznej bitwie. Wspomnieliśmy już, że książęta Rzeszy niemieckiej w ogóle nie nadesłali żadnych posiłków. Jedynie rycerstwo czeskie spieszyło z pomocą, lecz na skutek osobliwej taktyki swego króla, zniemczałego Przemyślidy Wacława, nie dotarło w ogóle na pole bitwy. Po klęsce legnickiej wycofało się na południe, nie atakowane zresztą przez Tatarów, którzy po stratach legnickich również unikali otwartej walki z rycerstwem zachodnim. Z żalem stwierdzamy, że brakło rycerstwa czeskiego w boju legnickim; ale jeśli można w tym wypadku mówić o winie, to ponosi ją nie owo rycerstwo, lecz jego wódz — król Wacław, uległy wpływom niemieckim, niechętny Piastowiczom polskim. Wracamy jednak do Niemców. Nie przybyli na pomoc z Rzeszy, nie było ich wiele również w zastępach księcia Henryka. Oczywiście mogły w nich znaleźć się jednostki niemieckie, np. wpośród templariuszów, których drużyna walczyła mężnie pod Legnicą, zasłała trupami pole walki (miało ich zginąć około 500). Templariusze jednak sprowadzili się na Śląsk dopiero w r. 1226 i uzyskali wówczas uposażenie od Henryka Brodatego, otrzymując w posiadanie Małą Oleśnicę pod Oławą. Byli to zrazu Francuzi i dopiero w miarę dłuższego pobytu na Śląsku szeregi ich uzupełniali Niemcy. Przyjmowanie tedy poważniejszego odsetku Niemców wśród templariuszy już w r. 1241 byłoby bezpodstawne. Bohaterstwo tych rycerzy zakonnych na polach Legnicy — to ofiara krwi rasy romańskiej, która w swej tradycji miała już wiekową walkę z niewiernymi. Jeżeli w ogóle przyjąć udział Niemców w zastępie rycerzy w białych płaszczach z czerwonym krzyżem (szaty templariuszy), to chodziłoby chyba tylko o jednostki. Dopiero po stratach legnickich luki w szeregach zakonu wypełniali bardziej obficie Niemcy. O udziale w bitwie przebywających już wówczas na terenie Śląska krzyżaków — źródła milczą: zapewne ich tam

nie było. Zresztą walczyło pod dowództwem Henryka Pobożnego rycerstwo polskie, ze Śląska, z Małopolski i Wielkopolski. Jeśli nawet w szeregach śląskich znajdowało się trochę Niemców, to stanowili oni jedynie nikły odsetek, gdyż w ogólności na ziemi śląskiej osiadło jeszcze niewielu rycerzy niemieckich, znacznie stosunkowo mniej, niż mieszczan czy chłopów. Wiadomo, że jeszcze w późniejszych latach XIII wieku na dworze Piastowiczów śląskich przeważał język i obyczaj polski, tedy rycerze niemieccy stanowili zdecydowaną mniejszość. Wiele lat upłynie, zanim niemczyzna i w sferze rycersko-ziemiańskiej na Śląsku weźmie górę. W każdym razie tylko mała garstka Niemców mogła uczestniczyć w bitwie legnickiej. W morzu krwi, przelanym przez Polaków, byłaby to tylko kropla. Nie daje ona dostatecznego tytułu Niemcom do wpisywania swego uczestnictwa na karcie wiekopomnego bohaterstwa, jaką na wieki pozostanie bitwa pod Legnicą. Wieniec sławy należy się wyłącznie Polakom i ich wodzowi, w którego żyłach krążyła przede wszystkim krew piastowska.

Rozdział VII

DALSZE ROZBICIE DZIELNICOWE NA ŚLĄSKU

Następstwa klęski legnickiej były dla Polski i dla Śląska fatalne. Wprawdzie szarańcza tatarska niebawem ustąpiła z ziem polskich, znacząc ślady swego pobytu zniszczeniem kraju. Nie groziły tedy Polsce lata niewoli, jarzma tatarskiego, jakie musiały przeżywać ziemie ruskie. Ale już i bez tego skutki bitwy legnickiej zaważyły złowrogo na losach Polski. Pod obuchem uderzenia tatarskiego runęły dumne plany Piastowiczów śląskich, dążących do zjednoczenia całości ziem polskich w swych rękach. Zginął przedwcześnie tak wielkie rokujący nadzieje władca, Henryk Pobożny, pozostawiając liczne, lecz małoletnie potomstwo. W tych warunkach nie było mowy o utrzymaniu z trudem zbudowanego państwa dwóch Henryków, zwłaszcza że brakło wśród potomków księcia Pobożnego godnego następcy. Zrazu objęła władzę jako regentka księżna-wdowa Anna (siostra króla Czech, Wacława I), sprawując ją słabo, wykazując dbałość jedynie o fundacje dla klasztorów, z których zresztą korzystało w pierwszym rzędzie duchowieństwo niemieckie.

Rządy regentki były krótkie, bo już w r. 1242 objął je najstarszy z synów Pobożnego, Bolesław Łysy, zwany Rogatką. Książę ten nie stanął zupełnie na wysokości zadania. Sprawy państwowe lekceważył, w postępowaniu z poddanymi urągał wprost zasadom sprawiedliwości, nie dbając o poszanowanie prawa. W pogoni za niewybrednymi uciechami, poniżał na każdym kroku godność książęcą, marnując kapitał moralny, zebrany przez swych poprzedników. Środki materialne wydobywał od poddanych drogą zwykłego wyzysku, a gdy mimo to sakwy miał puste (z powodu życia marnotrwanego i lekkomyślnego) uciekał się do rozboju po drogach, grabiąc kupców i podróżnych: wzorował się w tym względzie na „rycerzach rabusiach“ niemieckich, jakich pełno było

podówczas w Rzeszy, a również sporo pojawiało się na Śląsku, w miarę rosnącego napływu rycerstwa niemieckiego. Nie oznacza to zresztą, by Rogatka był już księciem zupełnie zniemczałym. Źródła przekazują nam wiadomość, że po niemiecku nawet nie umiał, a gdy próbował wypowiedzieć kilka słów w tym języku, czynił to tak nieudolnie, że dworzanie pokładali się ze śmiechu. Nie ulega jednak kwestii, że nasiąkał stopniowo niemczyzną, od owych rycerzy przybłędów i awanturników, którzy z Niemiec ciągnęli do Polski, w pogoni za łatwym chlebem i łupem.

Taki książę nie mógł oczywiście powstrzymać procesu rozpadania się monarchii Henryków, który rozpoczął się w następstwie bitwy legnickiej i śmierci księcia Pobożnego. Niebawem synowie Odonicza wyparli załogi śląskie z Wielkopolski; w r. 1246 Przemysł I wielkopolski zajął ważny graniczny gród Santok. Zarazem na samym Śląsku występowały coraz wyraźniejsze oznaki rozkładu wewnętrznego. Bolesław Rogatka rządził jakiś czas samodzielnie, wkrótce jednak młodsi jego bracia zaczęli się domagać udziału w rządach, względnie wydzielenia im osobnych dzielnic. Szczególnie ostro wysuwał te żądania drugi z kolei syn Pobożnego, Henryk, który miał za sobą licznych stronników. Na tym tle doszło do sporów i gorszących konfliktów w rodzinie Piastowiczów śląskich, aż w końcu Rogatka musiał ustąpić: w r. 1248 doszło do podziału państwa na dwie dzielnice, z których jedną (z Wrocławiem) miał zachować Rogatka, drugą zaś (z Legnicą i Głogowem) objął Henryk III. Podział taki nie oznaczał zresztą pominięcia pozostałych dwóch książąt, Konrada i Władysława: miano tylko z dopuszczeniem ich do rządów odczekać aż do wieku ich dojrzałości. Ale i to rozwiązanie sprawy nie zapewniło pokoju między książętami, gdyż rosła wzajemna nieufność, do której aż nadto podstaw dostarczał sam Rogatka, który wszczął grę podstępną, obliczoną na pozbycie się niewygodnych rywali. W r. 1239 zamienił z Henrykiem dzielnice, wskutek czego tenże objął rządy we Wrocławiu (stąd przeszedł do historii jako Henryk III wrocławski). Plan zamiany powziął Rogatka w tej myśli, że chciał osadzić Konrada (który był duchownym) na biskupstwie wrocławskim i w ten sposób pozbyć się kłopotu przyjmowania go do współrządów w swej nowej dzielnicy głogowsko-legnickiej: zarazem zaś zmuszał Henryka III, jako księcia wrocławskiego, do trudnego napewno współżycia z Konradem jako biskupem wrocławskim, licząc na to, że rychło obaj bracia się poróżnią, z czego mogą popłynąć dla niego poważne zyski. Ale Konrad nie myślał się zadowolić karierą duchowną i żądał wprost wydzielenia mu osobnej

dzielnicy, gotów zrzucić szaty duchowne i zająć pozycję księcia panującego. Zamęt wzrósł jeszcze bardziej, gdy Bolesław Rogatka, powodowany nienawiścią do Henryka III, któremu nie mógł darować ostrego wystąpienia z lat poprzednich i kasowania jego zarządzeń (zresztą bezprawnych) po przejęciu rządów na terenie Wrocławia, uderzył w r. 1249 na dzielnicę Henryka, znacząc swój pochód mordem i pożogą. Zaciekłość między braćmi wzmogła się do tego stopnia, że obaj oglądnęli się za sojusznikami i zwrócili się o pomoc do sąsiednich książąt niemieckich. Rezultaty tej obłędnej polityki były doprawdy opłakane. Niemcy bowiem kazali sobie za samą obietnicę pomocy dobrze zapłacić, a choć udział ich zastępów w dalszej walce między Henrykiem i Rogatką był na ogół nikły, — zapłatę otrzymali. Henryk III wydał gród Szydłów (przy ujściu Nysy łużyckiej do Odry) w ręce margrabiego Miśni, a Rogatka ziemię lubuską arcybiskupowi Magdeburga Wilbrandowi, który niebawem dopuścił do udziału w cennym nabytku również margrabiów brandenburskich. Tak więc w r. 1249 ważne pozycje strategiczne nadodrzańskie zostały przefrymarczone przez Piastowiczów, oddających dobrowolnie Niemcom bramy wypadowe, zapewniające im otwartą drogą do dalszej ekspansji w głąb ziem polskich!

Pomoc niemiecka, jak wspomnieliśmy, zawiodła nadzieje tak Henryka, jak zwłaszcza Rogatki. W rezultacie Henryk III utrzymał się tylko w dzielnicy wrocławskiej, a więc zachował przynajmniej swój stan posiadania, zagrożony chwilowo najazdem Rogatki. W gorszym położeniu znalazł się Rogatka, przeciw któremu wystąpił nagle Konrad, wymuszając sprowadzeniem pomocy z Wielkopolski odstąpienie mu udzielnej dzielnicy. Jakiś czas trwały znowuż walki między Bolesławem i Konradem, które zakończyły się podziałem dzielnicy Rogatki: zachował on (i to z trudem, gdyż buntowali się przeciw niemu własni poddani!) Legnicę z przyległościami, podczas gdy Konrad wykroił dla siebie osobną dzielnicę, z Głogowem, Bytomiem (nad Odrą) i Krosnem. W ten sposób jednolita do niedawna dzielnica śląsko-wrocławska w połowie XIII wieku rozpadła się już na trzy części: wrocławską Henryka III, legnicką Rogatki i głogowską Konrada. Na szczęście czwarty z synów Pobożnego, Władysław, zadowalał się przez szereg lat rolą współrządcy przy boku Henryka III, który dzięki temu mógł uchronić przynajmniej dzielnicę wrocławską przed dalszym podziałem i górował w tym czasie potęgą nad innymi książętami śląskimi, dysponując dzielnicą, rosnącą podówczas szybko w zamożność. Dodajemy dla przejrzystości obrazu, iż, biorąc cały obszar Śląska pod uwagę,

stwierdzić trzeba istnienie w owym czasie na tym terenie czterech dzielnic, jeśli się przypomni o dzielnicy opolsko-raciborskiej, rządzonej przez roztropnego księcia Władysława Opolskiego.

Chaos powiększały jeszcze spory Bolesława Rogatki z biskupstwem wrocławskim. Od połowy XII wieku, opierając się na bulli papieskiej z r. 1155, biskupi wrocławscy uzyskali własne terytorium, na którym wykonywali władzę świecką, a mianowicie kasztelanię nysko-otmuchowską. W dalszych latach poczynili oni wiele starań, by terytorium to odpowiednio zagospodarować i podnieść pod względem ekonomicznym, niestety uciekając się w znacznej mierze do kolonizacji niemieckiej. W pierwszych dziesiątkach XIII wieku biskup Wawrzyniec założył miasto Nysę, która stała się ośrodkiem kolonizacyjnym na tym terenie. Za czasów Henryków spływały na posiadłości biskupie hojne dobrodziejstwa, w postaci różnego rodzaju ulg i zwolnień od ciężarów prawa książęcego, dzięki którym stopniowo dobra biskupie obszaru Nysy i Otmuchowa urastały do znaczenia na wpół samodzielnego księstwa, poważnej ostoi dla biskupów wrocławskich. Miało to szczególne dla nich znaczenie w okresie rosnącego zamętu dzielnicowego na Śląsku, gdy prawo było lekceważone, a tylko twierdze i załogi wojskowe dawały jaką taką gwarancję bezpieczeństwa. Zwiększając swe znaczenie, biskupi wrocławscy starali się rozszerzyć uprawnienia Kościoła na wszystkie dobra, znajdujące się w posiadaniu biskupstwa, również i poza terytorium nysko-otmuchowskim, wskutek czego roszczenia ich prowadziły do konfliktów nawet z tak oddanymi sprawom religii (a nawet dewocji) książętami, jak Henrykiem Brodatym oraz Pobożnym. Dość nadmienić, że biskup Tomasz I musiał się chronić przed gniewem Henryka Pobożnego ucieczką z Wrocławia na teren głogowski i dopiero ogólny kurs polityki księcia Pobożnego, zwracający się ku zacieśnieniu bliskich stosunków z Rzymem, spowodował odprężenie w napiętej sytuacji. Rozkład polityczny na Śląsku w latach następnych był okolicznością dla wzrostu znaczenia biskupów raczej pomyślną: łatwiej było wzmacniać swe stanowisko, lawirując między kilku poważnionymi książętami, niż mając do czynienia z jednym potężnym księciem całego kraju. Wprawdzie najazd tatarski dał się we znaki potężnie również i Kościołowi śląskiemu; stopniowo jednak zdołało duchowieństwo powetować straty. Tak więc w miejsce spalonej katedry romańskiej zaczął wznosić biskup Tomasz I katedrę gotycką, czerpiąc środki na odbudowę z hojności książąt i mieszczaństwa wrocławskiego, które teraz pospiesznie usuwało zgliszcza i budowało nowe miasto, rozleglejsze i bogatsze, niestety

z ducha niemieckie, tak jak niemiecką była ta nowa fala osadnicza, jaka zalewała miąstą i osiedla śląskie, wypełniając pustki, spowodowane najazdem mongolskim.

Zapewne owa zamożność biskupstwa kłuła w oczy Bolesława Rogatkę, a zasłanianie się dawniejszymi przywilejami przez biskupa Tomasza I spotkało się z lekceważeniem u księcia, który dla prawa nie miał żadnego poszanowania. Do tej przyczyny konfliktu dołączyły się niewątpliwie i inne, jak znana gwałtowność i samowola Rogatki, nie cofająca się nawet przed powagą biskupią. Dość na tym, że między księciem a biskupem Tomaszem doszło dwukrotnie do konfliktu. Pierwszy został rychło załagodzony, przy czym Rogatka wydał nawet cenny przywilej dla Kościoła śląskiego, wyjmujący duchownych spod sądownictwa świeckiego. O wiele ostrzejszy i bardziej przewlekły był drugi konflikt, w trakcie którego biskup przez szereg miesięcy więziony był przez księcia i znosić musiał jego dalsze szykany. Na polecenie papieża Rogatka został obłożony klątwą, a duchowieństwo polskie na synodzie wezwało innych książąt piastowskich do krucjaty przeciw księciu legnickiemu. Ostatecznie konflikt uśmierzono (w r. 1261) — za cenę upokorzenia się księcia legnickiego. Rogatka musiał przed katedrą wrocławską błagać arcybiskupa gnieźnieńskiego jako legata papieskiego o zdjęcie klątwy, a ponadto potwierdzić wszystkie przywileje biskupstwa i obiecać wypłatę wielkiego odszkodowania za poczynione krzywdy. Fakt ten rzuca światło na ówczesny układ stosunków kościelno-politycznych na terenie Śląska. W miarę słabnięcia władzy książęcej, jako nieuchronnego wyniku coraz silniejszego rozbicia dzielnicowego, w miarę obniżania się w konsekwencji powagi książęcej, rosła powaga Kościoła i jego pierwszego przedstawiciela na ziemi śląskiej — biskupa wrocławskiego: stanowiło to zresztą refleks ówczesnych stosunków w Polsce, gdzie w ciągu XIII wieku podniósł się ogromnie autorytet arcybiskupa gnieźnieńskiego. Dodajemy, że w Polsce sprzyjała takiemu procesowi rozwojowemu w znacznej mierze rosnąca tęsknota za przywróceniem jedności państwowej, której przypomnieniem była organizacja metropolii gnieźnieńskiej, obejmującej swym zasięgiem wszystkie dawne ziemie piastowskie, choć politycznie i ustrojowo rozpadły się one na osobne terytoria książęce. Promieniowanie powagi arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, jako autorytetu ogólno-polskiego, również i na ziemię śląską, miało swój ogromny walor dla polskości Śląska, nawiedzonego podówczas już silnie falą osadnictwa niemieckiego. Związek Wrocławia z Gnieznem stanowił widomy symbol wspól-

noty Śląska z innymi ziemiami polskimi; ważne to było ogromnie w dobie, gdy ulegający wpływom niemieckim książęta forytowali niemczyznę, pod różnymi postaciami wciskającą się coraz bardziej natarczywie na ziemię śląską[1]).

Waśniący się wciąż ze sobą Piastowicze śląscy zwracali się o pomoc nie tylko do Niemiec, ale i do Czech. Skorzystał z tego król czeski Przemyśl II Otakar, władca niezwykle uzdolniony, który podniósł ogromnie potęgę Czech i starał się w orbitę swych wpływów wciągnąć również i Polskę. W szczególności Piastowiczów śląskich pragnął pozyskać dla swych celów. Na skutek jego zręcznej polityki książęta śląsko-opolscy zaczęli orientować się silnie ku dworowi czeskiemu, ulegając urokowi potęgi króla Czech, olśnieni świetnością ówczesnego dworu praskiego. W walkach Przemyśla Otakara z Węgrami wysyłali swe oddziały posiłkowe do obozu czeskiego. Podobnie wspierali władcę Czech w jego konflikcie zbrojnym z Bawarią. Formalnie chodziło królowi czeskiemu o sojusze wojskowe z książętami śląskimi: na zbliżenie wzajemne wpływały również związki pokrewieństwa między królem a Piastowiczami dolno-śląskimi. W następstwie jednak słabi przez swe działanie w pojedynkę i ustawiczne waśnie familijne Piastowicze śląscy liczyli się poważnie z głosem potężnego władcy Czech i stopniowo uzależniali się od niego politycznie. Nie do czego zresztą innego dążyła polityka Przemyśla II Otakara, jak to okazało się jasno na tle sprawy wrocławskiej.

---

[1]) Jednym z typowych bojowników w obronie praw Kościoła i polskości zarazem był Jakub ze Skaryszewa, dziekan krakowski i kanonik wrocławski, kierownik wrocławskiej szkoły katedralnej (1253—1267), w której panował jeszcze podówczas duch szczerze polski. Jakub ze Skaryszewa prowadził nieustępliwą walkę gospodarczą z osadnikami niemieckimi. Zmarł we Wrocławiu (1267) i tamże w katedrze został pochowany. Postać tego kanonika, działającego w Małopolsce i na Śląsku, stanowi wyraźny dowód żywej łączności, jaka istniała w owych czasach między poszczególnymi dzielnicami polskimi — przynajmniej w dziedzinie kościelnej i duchowej.

Rozdział VIII

HENRYK IV PRAWY (PROBUS)

Gdy w r. 1266 zmarł młodo Henryk III wrocławski, rządy w dzielnicy wrocławskiej objął brat jego Władysław, arcybiskup Salzburga, niebawem również (po śmierci biskupa Tomasza I) administrator diecezji wrocławskiej. Władysław jednakże rychło zeszedł ze świata, przekazując w swym testamencie rządy bratankowi (synowi Henryka III), który tymczasem wychował się na dworze swego wuja, Przemyśla II Otakara, w Pradze. Młodociany Henryk IV pospieszył tedy w r. 1270 do Wrocławia celem objęcia władzy, której nikt z książąt śląskich nie śmiał mu kwestionować, bo Henryk miał zapewnioną protekcję króla Czech. Za tę protekcję musiał jednak Henryk IV zapłacić — dobrowolnym aktem znacznego ograniczenia swej suwerenności na rzecz Przemyśla Otakara: aż do chwili dojścia do pełnoletności Henryk IV zobowiązał się uzależniać wszystkie ważniejsze swe kroki w dziedzinie tak polityki zewnętrznej, jak i spraw wewnętrznych, od decyzji swego opiekuna. Co prawda po kilku latach opieka króla Czech formalnie ustała: ale i nadal Henryk IV stosował się do życzeń Otakara, który w ten sposób znalazł poważnego poplecznika polityki czeskiej na terenie Śląska. Przez zapewnienie sobie wpływu na dwór księcia wrocławskiego, Otakar zyskiwał wiele atutów do dalszej swej gry politycznej na terenie Śląska, które mu pozwalały poddać w znacznej mierze politykę Piastowiczów śląskich swemu kierownictwu.

Nic tedy dziwnego, że podejmując ponownie wojnę z Węgrami Przemyśl II Otakar uzyskał posiłki wojskowe od książąt Dolnego Śląska, a więc od Bolesława Rogatki, Konrada głogowskiego i Henryka IV; jedynie Władysław, ks. opolski, zachował zrazu w wojnie z Węgrami neutralność. Niebawem zresztą i Władysław opolski stał się stronnikiem czeskim, a nawet i książę krakowski, Bolesław

Wstydliwy, przez długie lata stojący po stronie węgierskiej; tak więc król czeski znalazł sobie sojuszników wśród Piastowiczów polskich też i poza terenem Śląska.

Ważne to było dla niego zwłaszcza w chwili, gdy popadł w nowy konflikt, z władcą Niemiec. Po upadku dynastii Hohensztaufów Niemcy przechodziły ciężki wstrząs wewnętrzny w okresie tzw. Wielkiego Bezkrólewia. Na ten to okres przypadają największe sukcesy polityki Przemysła II Otakara. Stosunek lenny władcy Czech do Rzeszy stał się w owym czasie czczą formalnością. Król czeski był znacznie potężniejszy od poszczególnych książąt niemieckich, a wobec chwilowego upadku władzy centralnej w Rzeszy mógł prowadzić politykę zupełnie samodzielną. Co więcej, ambitny król czeski zamarzył nawet o godności cesarskiej — dla siebie! Gdy nadzieje te zawiodły, a książęta niemieccy wybrali „królem rzymskim" (tytuł władcy Niemiec przed koronacją cesarską) Rudolfa z Habsburga, zawiedziony Otakar nie uznał nowego władcy Rzeszy i nie myślał się poddawać jego zwierzchnictwu. Wówczas jednak książęta niemieccy, pogrążeni niedawno w walkach domowych w Rzeszy, niechętni wzmocnieniu się stanowiska władcy, naraz zdobyli się na niezwykłą jedność, ofiarując pełną pomoc Rudolfowi — dla zwalczania dumnego Otakara. Widać zagrała w nich krew niemiecka, widać odezwała się plemienna nienawiść do słowiańskiego księcia, który ośmielił się prowadzić politykę samodzielną, budował potężne państwo na ziemiach, uważanych za lenna Rzeszy, i nie chciał uginać karku przed wybranym wolą książąt nowym panem Rzeszy, Rudolfem. Nad głową Otakara zbierały się czarne chmury. Przezorny Rudolf zapewnił sobie pomoc nie tylko książąt Rzeszy, ale przeciągnął na swą stronę nawet niektórych panów czeskich! W r. 1276 ogłosił krucjatę przeciw władcy Czech. Nie lekceważąc swego przeciwnika, Rudolf starał się zyskać stronników również i na tym terenie, który uchodził za domenę wpływów Otakara, a więc na Śląsku. Zabiegi jego agentów sięgnęły i na dwór księcia wrocławskiego Henryka IV, ale nie wydały rezultatu. Natomiast Bolesław Rogatka nie znał żadnych skrupułów i, choć dotąd był sojusznikiem Otakara, uległ obecnie pokusom niemieckim.

Rogatka chciał przede wszystkim wzbogacić się kosztem młodocianego Henryka IV, któremu nie mógł darować, że władał stosunkowo wielką i zamożną dzielnicą wrocławską, która niegdyś była w jego posiadaniu. Tedy w r. 1277 napadł podstępnie na ziemie wrocławskie, pojmał Henryka w niewolę i niszczył kraj rozbojami, w czym szczególnie celowali jego najemni rycerze-rabusie nie-

mieccy, którymi się zawsze chętnie posługiwał. Przedniejsi dostojnicy wrocławscy zwrócili się ze skargami na swą biedę i z prośbami o pomoc do króla czeskiego. Otakar zobowiązany był udzielić pomocy, jako niedawny opiekun i sojusznik Henryka IV. Zagrożony jednak wówczas przygotowaniami wojennymi Rudolfa z Habsburga, nie chciał się wikłać w zawiłe sprawy śląskie, ani zrażać sobie innych Piastowiczów, którzy różne rościli sobie pretensje do Henryka IV a występowali tym śmielej, że młody książę był bezsilny, okazja więc nadarzała się wyjątkowa. Otakar starał się tedy zaspokoić ich roszczenia przyznaniem im w zastaw kilku pomniejszych grodów dzielnicy wrocławskiej, zastrzegając jednak dla Henryka IV prawo ich wykupu — po wydostaniu się z niewoli. Co gorsza, w podobny sposób zaspokoił też jakieś urojone pretensje margrabiego brandenburskiego Ottona, wydając w jego ręce gród Krosno. Jak boleśnie odczuto ten fakt w sferach dostojników dzielnicy wrocławskiej, dowodzi ich silny opór przeciw wydaniu Krosna Niemcom: szczególnie długo opierał się kasztelan grodu, odmawiając wpuszczenia załogi niemieckiej. Dopiero na wyraźny rozkaz Otakara, który sprawował rządy na czas niewoli Henryka IV, wydano Krosno Brandenburczykom. Z całego postępowania Otakara widać jasno, że chciał on byle szybciej zażegnać spory i pozbawić Rogatkę ewentualnych sprzymierzeńców. Stojąc w obliczu walnej rozprawy z Niemcami, spieszył się i nie dbał należycie o obronę interesów Henryka IV i dzielnicy wrocławskiej: bardzo złą przy tym oddał przysługę interesom polskim, wprowadzając do Krosna Brandenburczyków.

Za cenę tych ustępstw zapewnił neutralność wszystkich owych antagonistów Henryka IV w momencie rozgrywki z Bolesławem Rogatką, głównym wrogiem księcia wrocławskiego. Wrocławianie [illegible]czyli zapewne, że teraz Otakar udzieli im pomocy. Ale król oszczędzał siły na rozprawę z Habsburgiem, a zresztą zapewne nie chciał czynić sobie z Bolesława Rogatki otwartego wroga. Walkę z nim pozostawił książętom polskim, sojusznikom Henryka IV. W rezultacie przeciw Rogatce wyruszyły oddziały Przemysła II wielkopolskiego i Henryka głogowskiego (syna Konrada), oraz zastępy wrocławskie. W pobliżu Ząbkowic doszło w kwietniu 1277 r. do spotkania z wojskiem księcia legnickiego, wspomaganym przez rycerstwo niemieckie: komendę nad tymi siłami zbrojnymi sprawował syn Rogatki, Henryk. Zastępy legnickie i niemieckie po krwawym boju odniosły zwycięstwo. Na wieść o tym Otakar starał się pospiesznie ratować podupadłą sprawę Henryka IV i wystąpił z oso-

bistą interwencją pokojową. W lipcu t. r. przybył do Wrocławia, gdzie stawił się też Bolesław Rogatka z swymi synami. Otakar skłonił go do pokoju i wypuszczenia z niewoli Henryka IV, za cenę m. w. 1/5 dzielnicy wrocławskiej (z grodami Strzegomiem i Środą), które odtąd przejść miały w posiadanie księcia legnickiego. Dopiero teraz Rogatka uwolnił Henryka IV, który po powrocie zastał swą dzielnicę mocno uszczuploną, kraj na domiar silnie wojną zrujnowany. Czuł zapewne urazę do Otakara, że nie dość gorliwie i skutecznie bronił jego sprawy. W następstwie zajął wobec konfliktu między Otakarem a Habsburgiem postawę nieco chwiejną i wyczekującą. Natomiast król czeski, rad, iż wreszcie przeprowadził pacyfikację na Śląsku, skupiał wszystkie siły do walki z Rudolfem. Pod koniec 1277 r. zawarł z wszystkimi książętami polskimi, względnie odnowił sojusze, zapewniając sobie ich pomoc wojskową. Zwrócił się do nich z odezwą, w której wzywał do zjednoczenia sił przeciw wspólnemu wrogowi — Niemcom.

Książęta polscy nie pozostali głusi na to wezwanie. Osobiście stawili się w obozie króla Czech: Władysław opolski, Henryk głogowski, oraz (prawdopodobnie) Przemysł wielkopolski. Inni, jak np. Bolesław Wstydliwy, ks. krakowski, czy Henryk IV wrocławski, przysłali oddziały posiłkowe. W ogólności zastępy polskie wynosiły około 1/3 wojsk Otakara. Rudolf sprowadził jednak większe siły, zwłaszcza że pozyskał sobie pomoc wojsk węgierskich. 25 sierpnia 1278 r. na polach Morawy armia Otakara poniosła klęskę: sam król czeski zginął w walce. Rycerstwo polskie w krwawej tej bitwie biło się mężnie, nie zdołało przecież odwrócić biegu wypadków. Marzenia Otakara o zapewnieniu Czechom potęgi, a przynajmniej samodzielnego stanowiska w stosunku do Rzeszy, zostały pogrzebane wraz z ciałem królewskim. Dla Polski wyniknęła stąd nowa sytuacja. Granica wpływów politycznych Niemiec utrwalała się w niebezpiecznym sąsiedztwie ziem polskich, wzdłuż całej granicy zachodniej, bo obejmowała również ziemie korony św. Wacława. W szczególności dla Śląska niebezpieczeństwo stawało się poważne.

Na wieść o śmierci Otakara, Henryk IV, dotąd zachowujący pewną rezerwę, ruszył pospiesznie z rycerstwem do Czech, wysuwając pretensje do opieki nad małoletnim synem Otakara, Wacławem. Niebawem jednak zwycięski Rudolf przyznał prawo do owej opieki margrabiemu brandenburskiemu Ottonowi, natomiast Henrykowi IV nadał jako odszkodowanie za pominięcie jego roszczeń — ziemię

kłodzką, która w ten sposób na nowo związana została ze Śląskiem. Pozyskany tym Henryk IV wszedł na drogę uległości wobec władcy Rzeszy. W r. 1280 udał się do Wiednia i złożył tamże Rudolfowi hołd lenny. Zapewne uczynił to samo Władysław opolski, obecny podówczas również w Wiedniu. Niedawno Rudolf znajdował jednego tylko księcia na Śląsku, który gotów był, kierowany swą prywatą, uznać jego zwierzchnictwo: Bolesława Rogatkę. Tymczasem nieszczęsny Rogatka zszedł już do grobu (1278). Na wzór jego postępowali dwaj najpoważniejsi książęta śląscy: takie były fatalne następstwa bitwy na polach Morawy.

Henryk IV niewątpliwie przewyższał zdolnościami znacznie współczesnych mu książąt śląskich; świadom tego książę począł myśleć o zapewnieniu sobie pozycji wyjątkowej, nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce, a to przez przyjęcie tytułu królewskiego. Wprawdzie u podstaw tych planów było jedno błędne założenie. Henryk IV korzył się przed Rudolfem w tym przekonaniu, że władca Niemiec wyrazi swą zgodę na koronację i poprze go swym wysokim autorytetem. W istocie można było przypuścić, iż Rudolf zgodzi się przyznać tytuł królewski Henrykowi, gdyż pożądane było nawet dla niego stworzenie sobie na terenie Polski przeciwwagi w stosunku do Czech, gdzie mimo klęski na polach Morawy drzemały jeszcze sny o minionych czasach potęgi Przemyśla Otakara: młodociany syn Otakara, Wacław II, mógł z czasem pomyśleć o nawrocie do polityki swego ojca, upomnieć się o marchię austriacką, którą Rudolf odebrał Przemyślidom i przysporzyć Habsburgom wielu kłopotów. Z tych tedy względów poparcie ambitnych planów Henryka IV i wyniesienie go do godności królewskiej przedstawiać mogło dla Rudolfa poważne korzyści. Za jaką jednak cenę zgodziłby się Habsburg na wyniesienie Henryka IV? Chyba tylko za cenę silnego uzależnienia Piastowicza od Niemiec. Rudolf poparłby Henryka wówczas i chętnie zgodził się nawet na jego koronację, gdyby był zupełnie pewny, iż Henryk będzie uległym jego lennikiem i odegra wyznaczoną mu rolę szachowania Czech. Rudolf bowiem rozumował, jak każdy władca niemiecki, zgodnie z tradycją polityki niemieckiej w stosunku do państw słowiańskich: gotów był poprzeć wzmocnienie Polski, by w ten sposób trzymać w szachu Czechy, a w istocie chciał tak pokierować sprawami, by ani Czechy ani Polska nie były naprawdę samodzielne i podlegały zwierzchnictwu Rzeszy. W tych warunkach dążenie do godności królewskiej przy pomocy władcy Niemiec było poważnym ryzykiem — jeśli chodzi o głębiej pojęte interesy tak Polski, jak i całej Słowiańszczyzny Zachodniej.

Jeśli Henryk IV mimo to wszedł na drogę dobijania się królewskości przy poparciu cesarskim, to dowód tylko, jak silnie wówczas była u książąt śląskich przytępiona czujność na niebezpieczeństwo wzrostu wpływów niemieckich w Polsce. Z rozmysłem zajmujemy się szerzej postacią Henryka IV, by wskazać dziwną dwoistość natury i całej psychiki tego Piastowicza śląskiego, typową niestety dla wielu książąt śląskich owej epoki. Z jednej strony budziła się w nim dusza piastowska, która mu wskazywała właściwą drogę postępowania, godną wielkich tradycji poprzedników: związania Śląska z innymi ziemiami polskimi i przywrócenia sławnego Królestwa Polskiego z czasów Bolesławów Chrobrego i Szczodrego. Z drugiej strony silny nalot wpływów niemieckich czynił go nieczułym na niebezpieczeństwo germańskie, skłaniał ku związkom z cesarstwem, zalecał słuchanie podszeptów doradców niemieckich i popieranie niemczyzny na ziemi piastowskiej. Szarpany taką rozterką duchową, miotający się między przeciwieństwami, które przynajmniej podświadomie odczuwał, stał się Henryk IV postacią tragiczną w dziejach Śląska i Polski. Dążenia miał zapewne zbawienne; natomiast czyny jego były osobliwą mieszaniną dobrego i złego.

Jako wstęp do swych planów pozyskania godności królewskiej polskiej uważał za konieczne zapewnienie sobie przede wszystkim mocnego stanowiska na Śląsku, przewagi wśród plejady śląskich Piastowiczów. Przez małżeństwo z córką Władysława opolskiego zyskał sobie poparcie tego możnego księcia, który zgodził się na uznanie przyszłej godności królewskiej zięcia, a więc jego stanowiska zwierzchnika w stosunku do książąt dzielnicowych. Wobec innych książąt śląskich rósł Henryk IV w znaczenie choćby już z tego względu, iż jego księstwo wrocławskie było pod władzą jednolitą, podczas gdy inne dzielnice śląskie ulegały dalszemu rozdrobnieniu. Tak np. dzielnica głogowska po śmierci ks. Konrada została podzielona między trzech jego synów (odpowiadał temu podział terytorialny na Głogów, Szprotawę oraz Ścinawę i Żagań). Księstwo legnickie Rogatki rozpadło się za jego synów na legnickie i jaworskie. Po śmierci wreszcie Władysława opolskiego jednolita dotąd dzielnica rozpadła się aż na cztery części (Opole, Cieszyn i Oświęcim, Racibórz, oraz Bytom i Koźle). W ten sposób na Śląsku istniało już podówczas 10 samodzielnych księstw, spośród których jednak stanowczo na pierwszy plan wybijało się tak wielkością, jak i bogactwem, księstwo wrocławskie. Dawało to Henrykowi IV poważne atuty w rozgrywce z krewniakami — Piastowiczami, zwłaszcza że przewyższał ich napewno zdolnościami. W różny sposób:

układami o sojusze wojskowe, wywieraniem nacisku, nieraz i zbrojnego, wreszcie pewnymi ustępstwami, starał się Henryk IV związać ze sobą Piastowiczów śląskich, przeważnie z dodatnim skutkiem. Wspomnieć warto, że najlepszego stronnika pozyskał w księciu Henryku głogowskim, któremu odstąpił ziemię krośnieńską, wykupioną z rąk brandenburskich. Licząc w zasadzie na poparcie polityczne Rudolfa Habsburga w dalszej realizacji swych planów, musiał jednak brać pod uwagę i inny zewnętrzny czynnik polityczny, a to króla Czech Wacława II. Mianowicie na terenie Górnego Śląska Piastowicze weszli już na drogę bliskich kontaktów z Czechami, które, wobec ogromnej różnicy sił drobnych książąt śląskich w stosunku do potężnego wciąż władcy Czech, musiały w praktyce przeradzać się w uzależnianie księstw górnośląskich od korony czeskiej. W rezultacie i Henryk IV starał się swe stosunki z Czechami ułożyć jak najlepiej i w końcu zawarł z Wacławem II traktat sojuszu, chcąc zapewnić sobie życzliwe stanowisko króla czeskiego w dalszej fazie walki o cel zasadniczy, tj. zdobycie korony królewskiej, do czego było konieczne opanowanie części przynajmniej centralnych ziem polskich, zwłaszcza Krakowa. Doprawdy bardzo ryzykowną grę prowadził Henryk IV, wciągając w orbitę swej polityki tak potężne czynniki zewnętrzne, jak władców Niemiec i Czech. Co najgorsze, iż w ogólności na dworach książąt śląskich zaczęto oswajać się z myślą, iż warunkiem jakichkolwiek poważniejszych poczynań politycznych jest uzyskanie poparcia czy nawet protekcji czynników obcych! Henryk IV mógł chyba pocieszać się tym, że związki z Habsburgiem czy Przemyślidą ułatwia mu na razie przeprowadzenie planu koronacji i zajęcie Krakowa: wówczas zaś przyjdzie może czas na rewizję dawnych układów i zobowiązań, i wywalczanie sobie pełnej samodzielności.

Prowadząc akcję w celu zapewnienia sobie przewagi nad innymi książętami śląskimi, starał się Henryk IV również wzmocnić władzę książęcą na terenie własnej dzielnicy wrocławskiej, która wszak miała mu przede wszystkim dostarczyć środków materialnych do podjęcia dalszych ambitnych zamierzeń. Napotkał jednak w tym względzie na opór nieoczekiwanie mocny — ze strony biskupa wrocławskiego, Tomasza II. Pochodził on z możnego rodu Zarębów, posiadającego rozległe dobra na Górnym Śląsku. Doszedłszy do wysokiej godności w Kościele, najwyższej na ziemi śląskiej, uważał on za swój obowiązek czuwać nad tym, by powagę Kościoła postawić jak najwyżej i bronił tej zasady z całą nieugiętością. Charakter mocny, owiany duchem walki w obronie zasady wyż-

szości władzy kościelnej nad świecką, nie znał on kompromisu, nie miał też należytego zrozumienia dla konieczności państwowych. Nie rozumiał, że książę musi też walczyć o swe prawa, jeśli ma być panem naprawdę suwerennym na swym terytorium. Rozegrawszy pomyślnie dla siebie spór kościelno-polityczny z ks. głogowskim Konradem, tym śmielej podjął biskup Tomasz podobny spór z Henrykiem IV. Stanęły naprzeciw siebie dwie natury bojowe, nieskłonne do ustępliwości. Powodem sporu były zabieranie dziesięcin, należnych Kościołowi, przez księcia, pociąganie poddanych z dóbr duchownych do świadczenia opłat i służby wojskowej na rzecz państwa, wreszcie powoływanie księży przed sąd państwowy, książęcy: wszystko to było sprzeczne z zasadą immunitetu, jaką starał się wywalczyć i w znacznej mierze formalnie wywalczył już Kościół na Śląsku, czego wyrazem były uzyskane już przywileje. Gdy Henryk IV ich nie respektował, wywiązał się długoletni spór, w miarę lat nabierający coraz więcej ostrości: wreszcie w r. 1284 biskup rzucił klątwę i ekskomunikę na księcia. W wiekach średnich była to broń straszna, gdyż poddany ekskomunice miał być wyłączony zupełnie poza nawias społeczności chrześcijańskiej. W praktyce jednak w XIII wieku skuteczność tej broni była mniejsza, niż w wiekach poprzednich. Henryk IV nie uląkł się tedy gromów biskupich i podjął śmiało walkę. Gdy większość kleru świeckiego i pewna część zakonników (np. dominikanie) posłuchała rozkazu swego biskupa i odmówiła odprawiania nabożeństw na terenie Wrocławia, Henryk IV wyjął ich (oczywiście i samego biskupa) spod prawa. W następstwie książę zastosował wobec wiernych biskupowi nader surowe represje, zaczynając od usuwania ich ze stanowisk duchownych. Natomiast obsadzał opróżnione stanowiska kościelne oddanymi sobie ludźmi, zwłaszcza premonstratensami, którzy opowiedzieli się po jego stronie, podobnie jak i franciszkanie, jak i większość innych niemieckich mnichów[1]).

[1]) Natomiast wśród dominikanów, którzy w początkach XIII wieku przybyli z Niemiec, musiał być stosunkowo silny element polski (co wpłynęło oczywiście na stanowisko zakonu w okresie wspomnianej walki), zaszczepiony przez św. Czesława i św. Jacka, podobno braci, którzy pochodzili z Górnego Śląska (z okolicy Strzelec) i w czasie pobytu w Rzymie wstąpili do zakonu dominikanów. Przed r. 1226 Czesław przybył do Wrocławia i tutaj współdziałał przy utworzeniu klasztoru dominikańskiego (przy kościele św. Wojciecha, który biskup Wawrzyniec oddał dominikanom). Czesław był pierwszym przeorem w tymże klasztorze i drugim prowincjałem polskiej prowincji dominikańskiej. Zmarł we Wrocławiu (1242), pochowany w kościele św. Wojciecha, gdzie na-

Bardzo znamienny był ów rozbrat wśród duchowieństwa śląskiego. Polacy stanęli za biskupem, którego popierał autorytet najwyższy w Kościele polskim, powagą arcybiskupa gnieźnieńskiego Jakuba Świnki, wielkiego patrioty, orędownika idei jedności państwa i obrońcy polskości na terenie kościelnym przed zalewem niemczyzny. Natomiast Niemcy, liczni szczególnie w zakonach, opowiedzieli się za księciem i lekceważyli zarządzenia biskupa. Były to czasy osobliwe. Pod wpływem panoszenia się niemczyzny na ziemiach polskich budziła się reakcja, odruch samoobrony narodowej przeciw żywiołowi germańskiemu, który, choć nawet napływał do Polski pod postacią spokojnego osadnika, czy pobożnego zakonnika, niebawem odkrywał przyłbicę i wrogie zajmował stanowisko wobec polskości. Tak np. franciszkanie-Niemcy zaczęli usuwać z swych konwentów Polaków, a nowych w ogóle nie dopuszczali; wyższe stanowiska obsadzali wyłącznie Niemcami, również i w tych konwentach, gdzie jeszcze byli mnisi-Polacy. Walce księcia z biskupem Tomaszem II, który reprezentował organizację kościelną polską, podległą metropolii gnieźnieńskiej, radośnie przyklasnęli; stanęli też otwarcie po stronie księcia. Wszak Henryk IV popierał żywo kolonizację niemiecką, co prawda z motywów gospodarczych: niemniej sam fakt forytowania niemczyzny przez księcia był dla mnichów niemieckich dostatecznym powodem, by opowiedzieć się po jego stronie. W ten sposób wiązali go tym silniej z obozem niemieckim i mogli liczyć na dalsze względy. Jakie były ich prawdziwe intencje, okazali jasno. Kiedy konflikt między księciem a biskupem doszedł do punktu kulminacyjnego, 8 konwentów franciszkańskich uchwaliło samowolne odłączenie się od prowincji polskiej zakonu i przejście do prowincji saskiej! Z największym oburzeniem potępiło postępek mnichów niemieckich duchowieństwo polskie na synodzie w Łęczycy (1285), a arcybiskup Świnka wysłał memoriał do papieża z protestem przeciw odszczepieństwu franciszkanów, pokreślając, iż oznacza ono „wywłaszczenie“ oraz „niebezpieczeństwo“ dla narodu polskiego! Zdawano sobie podówczas w Polsce sprawę z tego, że duchowni Niemcy dążą do stopniowej germanizacji ludności, zwłaszcza na Śląsku. Tedy na synodach (1285 i 1287) duchowieństwa polskiego przyjęto szereg uchwał, które miały na celu ochronę języka polskiego na terenie

---

stępnie rozwinął się jego kult, jako świętego. Tradycje polskie utrzymały się długo u dominikanów śląskich, czego dowodem choćby działalność Abrahama Bzowskiego w początkach XVII wieku.

Kościoła: tak np. uchwalono, że proboszczem na ziemi polskiej może być tylko duchowny, w Polsce urodzony i polskim językiem władający, podobnie katechetą. Niemczyzna wciskała się pod pozorem „niewinnego" osadnictwa gospodarczego również i na inne ziemie polskie, przede wszystkim jednak zagrażała polskości Śląska: nie ulega tedy kwestii, że uchwały łęczyckie, powzięte w obecności biskupa Tomasza, który musiał uchodzić ze Śląska, miały na oku w pierwszym rzędzie uzdrowienie stosunków w Kościele śląskim.

Tak więc w okresie sporu księcia z biskupem ujawniły się nagle antagonizmy narodowościowe. Polacy mieli już dość różnych przybłędów niemieckich, którzy czarną niewdzięcznością odpłacali się za chleb, jakiego im Polska nie szczędziła i to w obfitości. Mieli dość nie tylko owych rycerzy-rabusiów, jakich ściągał na swą służbę taki Bolesław Rogatka, a następnie obdarzał majątkami ziemskimi, pozwalając im budować zamki, z których nękali wypadami rabunkowymi spokojną ludność, nie mówiąc o tym, że wyciskali ostatni grosz z chłopów polskich w nadanych im przez księcia włościach. Mieli dość też porastających w pierze mieszczan i duchownych niemieckich. Niebawem w większości ziem polskich umieli sobie z nimi poradzić. Najtrudniej było niestety na Śląsku, gdzie niemczyznę protegowali sami książęta, jak choćby ów Henryk IV, ulegający wpływom niemieckim, zadowolony, że koloniści niemieccy zaludniają kraj i podnoszą jego zamożność, nie dostrzegający jednak połączonych z tym niebezpieczeństw dla interesów polskich.

Konflikt księcia z biskupem trwał lat trzy z górą. Tomasz II musiał ujść z Wrocławia do posiadłości biskupich nysko-otmuchowskich; następnie i stamtąd uciekł do Raciborza, korzystając z gościny Mieszka raciborskiego, który stanął po jego stronie. Gdy w końcu Henryk IV ruszył z dużym wojskiem i na Racibórz, biskup dał wreszcie za wygraną i udał się do namiotu księcia wrocławskiego, oświadczając, że nadal będzie posłuszny jego woli. Henryk IV nie żądał od biskupa dalszych upokorzeń i szybko zawarł z nim ugodę (pod koniec 1287 r.). Na pozór zdumiewa nagłe zakończenie sporu i pojednawczość tak zaciętych antagonistów. Wyjaśnia przecież w znacznej mierze całą sprawę fakt, iż do porozumienia z księciem zachęcał Tomasza sam arcybiskup gnieźnieński Świnka. Dostojny ten kapłan z dużą wnikliwością oceniał sytuację i uznał, że Henryk IV, najpotężniejszy spośród ówczesnych Piastowiczów, winien odegrać rolę dziejową — przywrócić godność królewską w Polsce i dokonać dzieła zjednoczenia ziem pol-

skich. To był cel najwyższy — z punktu widzenia interesów Polski. Stąd też, mimo że sam najlepiej widział błędy postępowania Henryka IV, starał się go pozyskać dla wielkiej sprawy. Pod wpływem perswazji arcybiskupa zrozumiał i Tomasz, że należy się podporządkować aktualnym interesom państwa. To prawda, że Henryk IV grzeszył wobec Kościoła i wobec polskości. Ale grzechy te może odkupić, jeśli przywróci jedność państwa polskiego, likwidując opłakany stan rozbicia dzielnicowego.

Zrozumiał w pełni intencje dostojników Kościoła polskiego Henryk IV i wyciągnął należne wnioski. Od tej chwili czynił wszystko, by wyprostować błędne nieraz ścieżki swego dotychczasowego postępowania. Zapewne pod wpływem arcybiskupa Świnki ocenił wreszcie swe winy, popełnione wobec sprawy polskiej. Pojął, jak zgubne skutki już pociągnęło (a jeszcze większe miało w przyszłości pociągnąć) szukanie protekcji i zwierzchnictwa niemieckiego, oraz popieranie na terenie śląskim niemczyzny, rozbijającej jedność organiczną ziem polskich, czego jaskrawym wyrazem było owo odszczepieństwo franciszkanów śląskich. Natomiast z tym większą energią przystąpił Henryk IV do realizacji głównego planu swego żywota, a mianowicie do przywrócenia królestwa polskiego. Co jednak najważniejsze, wybierał środki dla osiągnięcia tego celu bardziej właściwe. Jedność ziem polskich przywrócić pragnął na drodze porozumienia głównych książąt piastowskich: koronę królewską otrzymać z rąk nie cesarza, lecz papieża.

Jak żywo kiełkowała podówczas myśl przyspieszenia dzieła zjednoczenia państwa, tego dowodzi najlepiej fakt niezwykłego porozumienia czterech potężnych książąt piastowskich: krakowskiego Leszka Czarnego, wielkopolskiego Przemysła II, Henryka IV i Henryka głogowskiego. Zawarli oni ze sobą układ wzajemnego dziedziczenia, dzięki czemu w niedługim czasie spodziewano się doprowadzić do skupienia najważniejszych ziem polskich w ręku jednego księcia. W szczególności Leszek Czarny przyznał Henrykowi IV prawa dziedziczne do Małopolski. Jeszcze za życia Leszka przybrał Henryk wrocławski na tej podstawie tytuł „księcia Krakowa i Sandomierza". Na wieść zaś o jego śmierci natychmiast objął w jesieni 1288 r. rządy w Krakowie. Ledwie jednak wrócił do Wrocławia, nadeszły wieści o silnym wzroście sił opozycji w Małopolsce, którą kierował biskup krakowski Paweł z Przemankowa, pragnący wynieść na tron krakowski Bolesława płockiego. Siły zbrojne Henryka IV i jego sojuszników, Bolka opolskiego

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

i Przemka szprotawskiego, zostały rozbite przez zastępy przeciwników; sytuacja była dla Henryka tym groźniejsza, że do walki wystąpił książę kujawski Władysław Łokietek, popierając pretensje Bolesława płockiego. W rękach rycerzy Łokietkowych znalazł się niebawem sam Kraków (1289). Teraz Henryk IV ruszył na czele znacznych sił do Małopolski, pokonał pod Skałą zastępy opozycji małopolskiej i opanował Kraków: Łokietek ledwie zdołał pod osłoną nocy ujść z miasta. Silną załogą osadził Henryk IV Kraków i kilka zamków małopolskich, by w przyszłości uchronić się od przykrych niespodzianek. Krakowem władał mocno. Moment ówczesny uważał za właściwy dla urzeczywistnienia swych zamysłów koronacyjnych. Właśnie w następnych miesiącach 1289 r. wysłał poselstwo do papieża z prośbą o nadanie mu prawa „noszenia berła i korony w Krakowie i używania tytułu króla". W praktyce więc odwracał się od cesarza i zrywał więzy zwierzchnictwa cesarskiego, a poddawał się pod zwierzchnictwo papieskie, co nie mogło przedstawiać istotnego niebezpieczeństwa dla władcy Polski. Wkraczał na drogę jedynie w ówczesnych warunkach właściwą.

Czas był najwyższy pospieszyć z dokonaniem zaczętego dzieła, bo już jeden z sąsiadów czaił się do skoku. Mianowicie Wacław II czeski chciał wynagrodzić domowi Przemyślidów straty terytorialne, poniesione na rzecz Habsburgów, którzy w wyniku bitwy na polach Morawy opanowali marchię austriacką, ongiś posiadaną przez Otakara, i to wynagrodzić w Polsce. Na podstawie zapisu krewnej swej, wdowy po Leszku Czarnym (Gryfiny), rościł sobie pretensje do Krakowa. Na razie nie chciał względnie nie mógł wystąpić przeciw Henrykowi IV, ale za to prowadził zręczną akcję przygotowawczą do przyszłej wielkiej akcji, starając się związać ze sobą książąt górnośląskich. Znalazł się wśród nich jeden, który sam zgłosił się pod skrzydła opiekuńcze Wacława — Kazimierz bytomski. Kierowały nim pobudki czysto osobiste. Kazimierz nigdy nie był w dobrych stosunkach z Henrykiem IV, a nawet otwarcie sprzyjał jego przeciwnikom. Teraz obawiał się, że potężny „książę Śląska, Krakowa i Sandomierza" położy z czasem rękę też i na księstwie bytomskim, które leżało wprost na drodze przemarszu wojsk Henrykowych z Wrocławia do Krakowa. Szukał tedy zawczasu ochrony przed Henrykiem i udał się w r. 1289 z orszakiem rycerstwa do Pragi, gdzie złożył hołd lenny Wacławowi, uznając zwierzchnictwo króla Czech nad księstwem bytomskim. Fakt ten stanowił dla królów czeskich podstawę do roszczenia sobie zwierzchnictwa nad ziemiami śląskimi. Kazimierz bytomski sprzeniewierzył

się sprawie ogólnopolskiej, otwierając drogę władcom Czech do opanowania całego Śląska. Zachęcony powodzeniem Wacław II zaprosił latem 1289 r. kilku książąt śląskich do Opawy i tamże nakłaniał ich do pójścia w ślady ks. Kazimierza. Dwóch pomniejszych książąt istotnie pozyskał. Na tej drodze spodziewał się dalszych sukcesów, licząc na prywatne zawiści Piastowiczów śląskich, z których niektórzy niechętnie patrzyli na wyniesienie Henryka IV. Dążył Wacław widocznie do unicestwienia planów Henryka, posługując się jako narzędziem lekkomyślnymi, grzeszącymi karygodnym krótkowidztwem, Piastowiczami śląskimi.

Naraz rozeszła się na Śląsku wieść tragiczna: o śmierci przedwczesnej Henryka IV, którego otruł podstępnie nadworny lekarz. Wieść tragiczna dla całej Polski, gdyż opóźniała dzieło zjednoczenia państwa znowu na lat wiele. Tragiczna tym bardziej, że gdy zabrakło dzielnego księcia wrocławskiego zwyciężyły na Śląsku siły odśrodkowe, co w następstwie spowodowało odpadnięcie tej dzielnicy od Polski.

Na łożu śmierci spisał Henryk IV testament, w którym przede wszystkim zapisał ziemię krakowską Przemysłowi wielkopolskiemu, najpotężniejszemu z ówczesnych Piastowiczów, który poza Wielkopolską pozyskał sobie również prawa do Pomorza. Następstwo swe w księstwie wrocławskim przekazywał Henryk IV (nie mając syna) księciu Henrykowi głogowskiemu. Wiedział, że do Wrocławia wysunie roszczenia Wacław II, na podstawie dawnych układów z samym Henrykiem: ale mniemał, że zaspokoi apetyty Wacława oddaniem mu ziemi kłodzkiej, co również zamieścił w swej ostatniej woli. Godne uwagi wreszcie, iż przed śmiercią wydał osobny dyplom, w którym zwracał biskupowi zabrane przez siebie czy przez swych poprzedników dobra, przywracał wszystkie przywileje, oraz przyznawał pełne prawa książęce w ziemi nysko-otmuchowskiej; dyplom ten umocnił stanowisko biskupów jako udzielnych książąt śląskich, panów na Nysie i Otmuchowie. Aktem tym pragnął Henryk IV zmazać swe przewiny wobec Kościoła i skłonić biskupa do gorliwego dopilnowania całości swego testamentu, co właśnie na łożu śmierci zlecił biskupowi.

Z największym naciskiem podkreślić należy owo na pierwszym miejscu wymienione przekazanie Krakowa Przemysłowi z pominięciem bliższych krewnych, książąt śląskich. Zapis Henryka IV wyniknął niewątpliwie z przeświadczenia, że Przemysł, najpotężniejszy z Piastowiczów, posiada najlepsze warunki do zjednoczenia wszystkich ziem polskich, co stanowiło umiłowaną koncepcję

Henryka IV. Już to samo wystarczy, by Henryka IV uznać za władcę, którego przenikał duch polski, mimo powierzchownego nalotu kultury niemieckiej. Historycy niemieccy skwapliwie anektowali go dla niemczyzny, posługując się powszednim w „nauce" niemieckiej wyolbrzymianiem czynników dla siebie dogodnych, a przemilczaniem lub bagatelizowaniem niewygodnych. Nie zmieni to faktu, że ów książę, którego współcześni nazwali „Prawym" (z powodu wrodzonej szlachetności charakteru i dobroci), prawość swą okazał przede wszystkim w tym, iż posłuchał głosu krwi piastowskiej i starał się błędy swego życia naprawić rzetelnym przysłużeniem się sprawie polskiej.

Rozdział IX

OSTATNIE LATA NIEPODLEGŁOŚCI ŚLĄSKA

Pierwszym skutkiem śmierci Henryka Prawego było rozbicie jednolitości najpoważniejszej dzielnicy — wrocławskiej. Nie spełniły się nadzieje zmarłego księcia, że jednolitość tę potrafi utrzymać Henryk głogowski. Wprawdzie, zgodnie z testamentem Henryka IV, książę głogowski ruszył na Wrocław, by objąć rządy w mieście. Liczył na poparcie biskupa Tomasza II i na nim się nie zawiódł. Ale nie brał pod uwagę innego czynnika, mieszczan wrocławskich, którzy teraz chcieli również decydować o tym, kto będzie ich panem. W ciągu XIII wieku rozpanoszyło się ogromnie mieszczaństwo wrocławskie, w górnych swych warstwach niemieckie, bogacące się niepomiernie dzięki przywilejom i stałej opiece książąt piastowskich, dumnych, iż Wrocław urasta do rzędu wielkiego miasta, przeoczających jednakże z całą lekkomyślnością konsekwencje forytowania tak silnego ośrodka niemczyzny w swej stolicy. Nie dość było Niemcom wrocławskim, że się spokojnie mogli bogacić, ale, porósłszy w piórka, zaczęli podnosić głos i w sprawach politycznych. Bardziej niż Henryk głogowski, naturalny spadkobierca wielkiej idei piastowskiej księcia Prawego, zorientowany ku sprawom ogólnopolskim, przypadł do gustu Wrocławianom książę legnicki Henryk Gruby, zapewne z tej przyczyny, że w rodzinie Piastowiczów legnickich silne już były tradycje wiązania się głównie z Niemcami: wszak Henryk Gruby był synem Bolesława Rogatki, który dopuszczał Niemców do rady, otaczał się chętnie różnymi przybłędami z Rzeszy, sprowadzał sobie najemników i na ich czele zwalczał innych Piastowiczów. Sentyment swój zwrócili tedy Niemcy wrocławscy ku Henrykowi Grubemu i zamknęli bramy miasta przed Henrykiem głogowskim, wpuścili natomiast księcia legnickiego. Stworzono w ten sposób stan faktyczny, z którym pogodziło się też rycerstwo wrocławskie, jak i sam biskup Tomasz.

Nie dał jednak za wygraną Henryk głogowski i już w roku następnym (1291) podjął walkę o spadek księcia Prawego, uderzając na ziemie księcia wrocławskiego. Zagrożony Henryk Gruby musiał prosić o pomoc swego brata, Bolka jaworskiego, który mu jej udzielił, ale nie za darmo. Jako wynagrodzenie otrzymał bowiem południową część księstwa wrocławskiego, z grodami Strzegomiem, Świdnicą, Ząbkowicami, Dzierżoniowem, Ziębicami i Strzelinem (wraz z bogatymi klasztorami w Henrykowie i w Kamieńcu). Oznaczało to już bardzo znaczne okrojenie księstwa wrocławskiego na rzecz księstwa jaworskiego, które urastało teraz do niemałej potęgi. Na domiar pomoc Bolka jaworskiego okazała się nie dość wydatną i Henryk legnicki nadal nie mógł sobie poradzić z wojowniczym Henrykiem głogowskim. Jeszcze w r. 1291 musiał poczynić na rzeez rywala ustępstwa terytorialne, odstępując mu grody po lewym brzegu Odry: Ścinawę, Chojnów i Bolesławiec, oraz po prawym brzegu Odry: Uraz, Milicz, Trzebnicę i Syców. Głogowczyk nie zadowolił się zresztą tymi ustępstwami i nadal prowadził zawziętą walkę, przy czym udało mu się pochwycić podstępnie Henryka Grubego. Trzymany w ciężkim więzieniu, za cenę wolności zmuszony był Henryk Gruby do ustąpienia dalszych ziem. W r. 1294 podpisano układ, na mocy którego Henryk głogowski otrzymał dalsze grody po prawym brzegu Odry, jak Oleśnicę, Namysłów, Kluczbork, Byczynę i Gorzów. W ten sposób posiadał Głogowczyk prawie wszystkie ziemie prawobrzeżne księstwa wrocławskiego, uzyskując cały pas terytorium śląskiego, graniczący z Wielkopolską, oraz połączenie z księstwem opolskim. Posiadłości swe rozszerzył ponadto zagarnięciem księstwa żagańskiego po śmierci swego brata, Konrada. Choć nie zdobył Wrocławia, stał się przecież Głogowczyk najpotężniejszym księciem śląskim. Zaś Henryk Gruby (V) utrzymał z dawnego księstwa wrocławskiego niewiele więcej poza samym miastem stołecznym. Władał obecnie wąskim pasem ziem centralnych, z miastami Wrocławiem, Legnicą i Brzegiem. Mimo swej szczupłości, państewko Henryka Grubego przedstawiało poważne znaczenie gospodarcze, skupiając na swym terytorium dwa największe miasta, Wrocław i Legnicę. Rzecz prosta, że w tym centralnie położonym księstwie, panującym nad ważnymi przejściami przez Odrę, posiadającym tedy nadal kluczowe znaczenie dla panowania nad całym Śląskiem, niepomiernie wielką rolę grał teraz Wrocław, zapchany silnie mieszczaństwem niemieckim. Nie trudno odgadnąć, jak szkodliwe to miało następstwa dla przyszłości Śląska.

W wypadkach, jakie rozegrały się na Śląsku po śmierci Henryka IV, nie wziął czynnego udziału Wacław II czeski, jakkolwiek wiele oznak wskazywało już w latach poprzednich, iż władca Czech gotuje się do ekspansji politycznej na terenie Śląska. Wacława zajęły jednak podówczas inne plany, znacznie dalej sięgające. Nie o Wrocław mu na razie chodziło, ale o Kraków, co miało stanowić wstęp do opanowania całej Polski. Pozyskawszy sobie poparcie książąt górnośląskich, Bolesława opolskiego i Mieszka cieszyńskiego, którzy wprawdzie nie poszli dokładnie w ślad swego brata Kazimierza bytomskiego (od r. 1289 lennika Czech), ale niemniej zawarli sojusz z królem czeskim i pozwolili mu na swobodny przemarsz przez swe terytoria, przygotował Wacław zbrojną wyprawę na Kraków. W r. 1291 Kraków dostał się w ręce czeskie, przy poparciu biskupa krakowskiego Pawła z Przemankowa oraz niemieckich mieszczan, osiedlonych tutaj w dobie kolonizacji, w wieku XIII. Zajęty następnie umocnieniem swych rządów w Krakowie i walką z Władysławem Łokietkiem, jak też staraniami w Rzymie o koronę polską, odwrócił Wacław chwilowo uwagę od spraw śląskich. Gdy jednak Przemysł wielkopolski koronował się na króla polskiego w Gnieźnie (1295), Wacław musiał na razie zarzucić swe plany koronacyjne i próbował przejść do realizacji programu węższego, tj. do zajmowania przynajmniej możliwie znacznej ilości polskich terytoriów, by nie dopuścić do rozszerzenia się wpływów Przemysła. Zamierzał wówczas Wacław wystąpić z pretensjami do Wrocławia i gotował już nawet wyprawę wojenną. Henryk Gruby jednak i Bolko jaworski uciekli się pod protekcję papieża Bonifacego VIII; więcej przecież liczył Bolko na własne siły i zgromadził pospiesznie swe wojsko na pograniczu Śląska, odstręczając samym pogotowiem zbrojnym Czechów od zakusów marszu na Wrocław. Dalsze odprężenie w sytuacji na Śląsku spowodowała nagła śmierć Przemysła, który zginął w r. 1296 z ręki zbrodniczej (z poduszczenia niemieckiego). Teraz Wacław podjął na nowo plany zdobycia korony polskiej. O Wielkopolskę, osieroconą przez śmierć Przemysła, walczyli czas jakiś dwaj rywale, Łokietek i Henryk głogowski, który zdołał odnieść poważne sukcesy, zajmując pograniczne części tej dzielnicy. Niebawem przecież wkroczył na ten teren z wielkimi siłami Wacław II (posiłkowany przez książąt górnośląskich) i w r. 1300 zajął Wielkopolskę: sukces swój uwieńczył koronacją na króla polskiego w Gnieźnie (1300). Większość przeważna ziem polskich dostała się teraz pod rządy Wacława II.

Minęło więc znów lat kilka, w których Wacław II musiał pozostawić w spokoju książąt śląskich. Tymczasem zmarł Henryk Gruby (1296) i na czas małoletności jego synów objął rządy we Wrocławiu Bolko jaworski. Posiadając poza dzielnicą jaworsko-świdnicką również i wrocławską, stał się naraz Bolko pierwszym księciem na Śląsku; ziemiami swymi zarządzał roztropnie, gospodarzem był dobrym. Co ważniejsze, dbał usilnie o zachowanie istotnej niezależności w stosunku do Czech i taki program przekazał następnym książętom jaworsko-świdnickim. Gdy jednak Bolko zmarł (1301), Wacław czeski, pewny już panowania w Polsce, zajął się pilniej sprawami śląskimi. W szczególności ważne było dla niego roztoczenie swych wpływów na księstwo wrocławskie, z którego chciał zrobić bazę wypadową przeciw Henrykowi głogowskiemu, jedynemu z ówczesnych książąt polskich, nieuznającemu królewskości Wacława w Polsce i uparcie walczącemu o posiadanie ziem wielkopolskich[1]). Położenie ręki na Wrocławiu ułatwiło Wacławowi stanowisko mieszczan niemieckich, zdecydowanie przychylnych królowi czeskiemu. Stanowisko takie Niemców wrocławskich jest zupełnie zrozumiałe, jeśli się zważy, że zgodne było z ówczesnym ogólnym interesem niemczyzny. Polityka Wacława w stosunku do Polski opierała się na innych założeniach, niż poprzednio Przemyśla II Otakara. Tamten król przeciwstawiał się cesarstwu i pragnął pozyskać siły polskie do walki z Habsburgiem, broniąc samodzielności Czech, co w rezultacie i dla Polski było sprawą żywotną. Natomiast Wacław II rozpoczął ekspansję w kierunku Polski — popychany właśnie przez Habsburgów, którzy chcieli w ten sposób odwrócić ostatecznie uwagę władcy Czech od spraw naddunajskich i życzyli sobie, by przebolał utratę Austrii zyskując nabytki w Polsce. Wacław II poddał się ulegle zwierzchnictwu cesarstwa: cóż szkodzi, jeśli powiększy swe ziemie opanowaniem Polski, wszak w rezultacie oznaczać to będzie dalsze rozszerzenie wpływów Rzeszy! Zdobycze Wacława w Polsce zgodne były tedy na ogół z interesem niemieckim. Ponadto Wacław II był władcą zniemczałym, co tym bardziej budziło dlań sympatie u Niemców wrocławskich. Wreszcie wrocławianie widzieli dla siebie znaczne korzyści handlowe w przejściu pod władzę króla, który rządził już w Pradze i w Krakowie. Z tych różnych względów garnęli się pod opiekę Wacława. Oni to wpłynęli na młodocianego

[1]) Nie uznawał godności królewskiej Wacława wprawdzie i Władysław Łokietek, ale ten musiał uchodzić z kraju.

księcia Bolesława (syna Henryka Grubego), iż pojął za żonę córkę Wacława. Bolesław pojechał na dwór praski, a tymczasem opiekę nad Wrocławiem objął Wacław, ustanawiając tamże swego starostę. Uzyskawszy tak mocne oparcie nad środkową Odrą, Wacław gotował się do generalnego uderzenia na Henryka głogowskiego. Chcąc tego księcia zupełnie pognębić, sprzymierzył się jeszcze z margrabiami brandenburskimi (Askańczykami). Zanosiło się na wielki atak czesko-niemiecki (przy udziale również lenników śląskich Wacława) na księcia Henryka. Uratowały go kłopoty, jakie spadły na Wacława z innych stron. Akcja czeska na Węgrzech doznała bowiem niepowodzenia; na domiar Wacław popadł w konflikt z Albrechtem Habsburgiem, który najechał Czechy; wreszcie w Polsce podniósł sztandar powstania narodowego przeciw rządom czeskim Władysław Łokietek (po powrocie z wygnania).

Wśród mnożących się trudności polityki czeskiej zmarł Wacław II (1305). Wprawdzie syn jego Wacław III podjął program ojca w stosunku do spraw polskich i gotował się do walnej wyprawy na Polskę, by podtrzymać tamże upadające rządy czeskie: liczył na poparcie mieszczan niemieckich i na sojusz z krzyżakami, co najlepiej charakteryzuje kurs polityki ostatnich Przemyślidów czeskich wobec Polski, jakże daleki od niedawnych haseł jedności słowiańskiej, głoszonych przez Otakara! Nagła śmierć Wacława III w Ołomuńcu (1306) zmieniła jednak kompletnie sytuację. Wygasła w Czechach panująca linia Przemyślidów, zaczął się kryzys polityczny w związku z walką o sukcesję tronu czeskiego. Pociągnęło to za sobą upadek rządów czeskich w Polsce. Małopolskę opanował już Władysław Łokietek, a Wielkopolskę Henryk głogowski, powołując się na zapis Przemysła II. Henryk rządził w Wielkopolsce silną ręką, starając się zapewnić ład i porządek w kraju. Gdy jednak niebawem umarł (1309), rozległe jego posiadłości dostały się pięciu synom, którzy nie umieli utrzymać całości terytorium ojcowskiego. Jakiś czas dzierżyli jeszcze rządy w Wielkopolsce, ale głównie dzięki temu, iż Władysław Łokietek, najpoważniejszy pretendent do korony królewskiej, walczący niezmordowanie o zjednoczenie ziem polskich, miał wielkie trudności do pokonania w Małopolsce (gdzie poskromić musiał bunty mieszczan niemieckich), a ponadto popadł w konflikt z krzyżakami, którzy zdradziecko zagarnęli Pomorze gdańskie. Skoro jednak opanował sytuację przynajmniej w Małopolsce, zwrócił się ku sprawom Wielkopolski. Na tym terenie opozycja rosła nieustannie przeciw rządom Głogowczyków, którym zarzucano przede wszystkim uległość wobec wpływów niemieckich.

Czytamy w *Roczniku Wielkopolskim*, że (synowie Henryka głogowskiego) „nic zdziałać nie mogli, tylko to, co się Niemcom podobało. Za małe pieniądze brali ci od nich ziemie i grody, radzili im też, aby przywiedli do zguby cały naród polski, tak ludzi duchownych, jako i świeckich, ale już najbardziej rycerstwo". W roku 1313 wybuchło powstanie przeciw rządom śląskim w Wielkopolsce, a w roku następnym wkroczył tamże sam Łokietek i po walkach (najdłużej się opierał wójt poznański Przemko, zacięty stronnik książąt śląskich) zdołał całą tę prowincję opanować. Taki był koniec panowania książąt głogowskich w Wielkopolsce; oznaczało to zarazem ostateczną likwidację planów koronacyjnych śląskich Henryków. Zjednoczenia Polski dokonał Łokietek, uwieńczając swe dzieło koronacją w Krakowie (1320). Kwestia teraz była otwarta, czy uda mu się również Śląsk związać politycznie i ustrojowo z odrodzoną państwowością polską.

Niestety na przeszkodzie stało ogromne rozdrobnienie dzielnicowe na Śląsku. Księstwo wrocławsko-legnickie, ongiś terytorium Henryka Grubego, rozpadło się na trzy dzielnice, w których władali synowie Henryka: Bolesław (w Brzegu), Henryk (we Wrocławiu) i Władysław (w Legnicy); w walkach z Głogowczykami Bolesław pozyskał nadto po prawym brzegu Odry obszar Wołowa. Księstwo głogowskie rozpadło się na dwie główne części: głogowską i oleśnicką. Synowie Bolka jaworskiego podzielili terytorium ojcowskie na obszar Jawora, Świdnicy i Ziębic. Na Górnym Śląsku księstwo bytomskie rozpadło się po śmierci Kazimierza aż na trzy dzielnice, toszecką (Toszek), kozielską i bytomską, choć co prawda to groteskowe rozbicie małego księstwa na trzy lilipucie dzielnice było tylko chwilowe. Dzielnica opolska została podzielona po śmierci Bolesława opolskiego na trzy obszary: Opola, Strzelec i Niemodlina. Księstwo cieszyńsko-oświęcimskie rozpadło się na dwie części. Jedynie raciborskie utrzymało swą niepodzielność. Oceniając rzecz ogólnie, trzeba stwierdzić, że w początkach XIV wieku na Śląsku było niemniej jak 17 księstw i księstewek! W tych warunkach trudno byłoby się doszukać jakiejś wspólnej orientacji politycznej. Pokłóceni ze sobą, zażarcie rywalizujący o poszczególne grody, pogrążeni przeważnie w kłopoty finansowe, książęta śląscy tracili zdolność objęcia umysłem spraw całości kraju. Stanowili niezwykle podatny materiał dla wpływów obcych, czeskich i niemieckich.

Po wygaśnięciu Przemyślidów wpływy czeskie na Śląsku doznały bardzo znacznego osłabienia. Szybkie wkroczenie Władysława Łokietka na ten teren byłoby mu może zapewniło panowanie

i na Śląsku. Tymczasem jednak Łokietek musiał się przez lata całe borykać z innymi trudnościami, zanim zdołał utrwalić swą władzę w Małopolsce i Wielkopolsce, a następnie przez akt koronacji zająć pierwsze miejsce wśród Piastowiczów. Wyzyskał ten okres nowy król czeski, Jan Luksemburski, który po swych poprzednikach przejął pretensje do korony polskiej i akcję przygotowawczą rozpoczął od przywracania wpływów czeskich na ziemi śląskiej. Dodać należy, iż Jan Luksemburski był Niemcem, panującym na tronie czeskim, i otaczał się przede wszystkim Niemcami, forytował też usilnie niemczyznę. Zrozumiałe więc, że na Śląsku znalazł oparcie wśród mieszczaństwa niemieckiego, zwłaszcza we Wrocławiu. Ponadto zaś mógł zawsze liczyć na pewną część książąt śląskich, niezadowolonych ze swego losu i oczekujących zmiany, to znowuż niechętnych Łokietkowi i zazdroszczących mu wyniesienia na pierwsze stanowisko w gronie Piastowiczów, lub wreszcie z bojaźni ulegających potężnemu królowi Czech, który zapewnił sobie (1314) również poparcie cesarza Ludwika bawarskiego dla swych starań o zdobycie Polski. Mimo to tylko kilku książąt opowiedziało się wyraźnie za Janem Luksemburskim, jak Bolesław brzeski, Bolesław niemodliński i Bolko opolski. Inni np. książęta jaworsko-świdniccy, cieszyńscy, bytomscy i raciborscy, weszli w porozumienie z Łokietkiem. Reszta wyczekiwała biegu wypadków.

Koronacja Łokietka w r. 1320 podniosła niewątpliwie jego powagę na Śląsku. Choć przywykli od lat do samodzielności, nie zapomnieli przecież książęta o swej łączności z centralnymi dzielnicami Polski, oraz z resztą rodziny piastowskiej. Ten spośród Piastowiczów który panował w Krakowie, a nadto posiadał godność królewską, miał tytuł do pierwszeństwa i zwierzchnictwa nad wszystkimi ziemiami polskimi. By jednak naprawdę zwierzchnictwo to sobie zapewnić, trzeba było pokazać Piastowiczom śląskim siłę faktyczną. Rozumiał to zapewne Łokietek, gdy w latach następnych po koronacji zaczął występować na terenie Śląska.

Sposobności po temu dostarczyły mu zamieszki na Dolnym Śląsku. Dalsze podziały dzielnicy głośnego ongiś Henryka głogowskiego osłabiały znaczenie jego potomków, co zachęcało sąsiednich książąt do wysuwania różnych pretensji terytorialnych. W szczególności Bolesław, książę na Brzegu i Legnicy (którą posiadał, usunąwszy przemocą stamtąd swego najmłodszego brata, Władysława) oraz brat jego Henryk VI wrocławski nie mogli darować Głogowczykom posiadania ziem prawobrzeżnych dawnego księstwa wrocławskiego, zdobytych swego czasu przez Henryka głogowskiego. Kie-

dy jeden z Głogowczyków, Konrad namysłowski, objął rządy również w Oleśnicy (po śmierci swego brata, Bolesława), wystąpili przeciw niemu Bolesław brzesko-legnicki i Henryk VI wrocławski, uzyskawszy pomoc jeszcze innych książąt śląskich; do tej koalicji książąt dołączył się jeszcze Władysław Łokietek, który chciał usunąć Głogowczyków z reszty Wielkopolski i zmusić ich do wyrzeczenia się roszczeń do spadku po Przemyśle. W zaciętych walkach, jakie się na tym tle wywiązały, wziął udział również sam Łokietek, podchodząc ze swymi zastępami w pobliże Wrocławia. Książę Konrad został pokonany i musiał poddać się orzeczeniu Łokietka, który podyktował pokłóconym Piastowiczom śląskim układ w Krakowie (1323). Bolesław brzesko-legnicki otrzymał księstwo namysłowskie, Konrad zaś zachował Oleśnicę (oraz obszar Wołowa i Lubiąż, które zwrócił Bolesław). Henryk VI wrocławski, który w toku wojny opuścił szeregi koalicji i pogodził się z Konradem, został w układzie pominięty i z całej sprawy wyszedł nawet ze stratami. Łokietek zyskał tyle, że znaczenie jego na Śląsku znacznie się wzmogło, nie mówiąc już o tym, iż Głogowczycy zaniechali wysuwania roszczeń do dziedzictwa po Przemyśle. Ponieważ Głogowczycy zagrożeni byli podówczas przez margrabiów brandenburskich, zbliżyli się po wojnie do Łokietka. W ten sposób król polski rozszerzył znacznie swe wpływy na Śląsku. Większość książąt śląskich była związana z nim sojuszami, lub przynajmniej stosunkami przyjaznymi; niektórych łączyły z Łokietkiem też i bliskie związki familijne; Bolesław legnicki i Konrad oleśnicki w akcie układu krakowskiego nazywali go swym „panem". Krocząc dalej po tej drodze, mógł Łokietek utrwalić niebawem swe zwierzchnictwo nad Śląskiem. Był to istotnie moment przełomowy w dziejach Śląska, jak i w dziejach Polski. Ważyły się losy, czy ziemia śląska wróci do związków polityczno-ustrojowych z macierzą polską, czy państwo polskie stanie znów mocno nad środkową i górną Odrą — czy też wypadki potoczą się inaczej, w sposób fatalny dla Śląska i dla Polski.

Zdecydowała egoistyczna polityka Henryka VI wrocławskiego i rola Niemców wrocławskich. Z wojny między koalicją a Głogowczykami wyszedł Henryk VI urażony na Łokietka i na swego brata, Bolesława brzesko-legnickiego. W szczególności ani myślał teraz Henryk VI dopuścić do tego, by po jego śmierci Bolesław dostał w swe ręce Wrocław. Nie mając syna, chciał księstwo wrocławskie przekazać córce, czego jednak nie przewidywało przyjęte w Polsce prawo dziedziczenia. Tedy uciekł się Henryk pod opiekę cesarza Ludwika bawarskiego i oddał mu Wrocław w lenno (1324), w zamian

za co cesarz obiecał uznać prawo dziedziczenia w linii żeńskiej. W obawie zaś, że Łokietek w sprawie spadku wrocławskiego opowie się za swym sojusznikiem, Bolesławem brzesko-legnickim, Henryk VI zawarł przymierze z krzyżakami, którzy mu przyrzekli pomoc przeciw królowi polskiemu (1326). Tak więc wszedł Henryk VI na drogę zdrady interesów polskich, wiążąc się zupełnie z Niemcami. — Wrocławianie znowuż, oceniając trzeźwo sytuację, doszli do przekonania, że przed Bolesławem brzesko-legnickim czy też przed Łokietkiem ochroni ich najlepiej — król czeski Jan Luksemburski. Wszak to Niemiec, popierał wszędzie żywioł niemiecki; pomoc krzyżacka jest pożądana, ale przecież odległy zakon nie może rościć sobie pretensyj do zwierzchnictwa nad Wrocławiem; jeśli zaś chodzi o wyszukanie sobie pana, to lepiej układać się z królem czeskim, który jest blisko, niż z cesarzem, który ma zbyt wiele innych interesów i może na czas nie udzielić pomocy; zresztą sprytni wrocławianie wiedzieli, że Luksemburczyk tylko czyha na okazję, by podnieść swe roszczenia do korony polskiej, tedy i losy Śląska nie są mu obojętne. W rezultacie uznali oddanie się pod opiekę czeską za wyjście dla siebie najlepsze i pozyskali dla tej myśli księcia Henryka. Teren pod interwencję czeską na Śląsku był już przygotowany.

Rozdział X

NARZUCENIE RZĄDÓW CZESKICH

Jan Luksemburczyk jako jeden z celów swych dążeń wyznaczył sobie opanowanie Polski: jako następca Przemyślidów na tronie czeskim uważał się zarazem za spadkobiercę ich roszczeń do korony polskiej. Gdy tylko tedy zabezpieczył sobie panowanie w Czechach i wzmocnił swą pozycję w Niemczech, pomyślał o wyprawie na Polskę. Do akcji wojennej przygotował się starannie, licząc się z tym, że tymczasem Łokietek już mocno siedział w siodle i przez koronację w Krakowie (1320) zapewnił sobie znaczny autorytet wśród innych Piastowiczów i całej ludności polskiej. Teraz Luksemburczyk chciał zdobyć Kraków i zepchnąć z tronu Łokietka, a następnie przez akt uroczystej koronacji na króla polskiego i faktyczne władanie głównymi ziemiami polskimi nadać swym roszczeniom solidne podstawy.

Król czeski ruszył w początkach 1327 r. ze znacznym wojskiem przez Morawy ku Śląskowi, kierując swój marsz na Kraków. W drodze stawili się w obozie Jana liczni książęta górnośląscy, Piastowicze, i złożyli mu hołd lenny. Nie trudno wyjaśnić, jakie motywy kierowały owymi Piastowiczami. Przede wszystkim obawa przed znaczną potęgą króla czeskiego; ponadto liczenie się z tym, iż Jan Luksemburski, który nosił tytuł króla polskiego, zawładnie niebawem Krakowem i innymi ziemiami polskimi, że tedy będzie on istotnym panem całej Polski. Zaimponowała im więc siła króla czeskiego i przed nią się korzyli. Nie przeraził się jednak potęgi czeskiej Łokietek i dobrze umocnił Kraków, a ponadto zapewnił sobie poparcie Węgier. Zaskoczyło to Luksemburczyka. Gdy tedy pierwszy atak czeski na Kraków się nie powiódł, Luksemburczyk zraził się rychło do całej imprezy, zwłaszcza, iż obawiał się zbrojnej interwencji króla węgierskiego Karola (z domu Anjou) po stronie Łokietka. Nad spodziewanie szybko wycofał się król czeski z armią

do Czech. Atak na Kraków skończył się zupełnym niepowodzeniem. Natomiast trwałym rezultatem wyprawy Jana było dokonane pod naciskiem zbrojnym czeskim shołdowanie wspomnianych Piastowiczów: Bolka niemodlińskiego, Leszka raciborskiego, Kazimierza cieszyńskiego, Władysława kozielsko-bytomskiego, Jana oświęcimskiego. Należy podkreślić, że dawny hołd lenny ks. Kazimierza bytomskiego z r. 1289 poszedł już w owych latach, zdaje się, w zapomnienie; dopiero wypadki z r. 1327 stanowią pewniejszą podstawę dla zwierzchnictwa królów czeskich nad Śląskiem.

Wprawdzie na razie chodziło jedynie o kilku książąt śląskich, którzy złożyli hołd lenny Luksemburczykowi. Mogłoby to mieć tylko znaczenie lokalne, gdyby nie następne wypadki. Głos bowiem naraz zabrali Niemcy wrocławscy. Fakt shołdowania kilku książąt śląskich przez króla Czech uznali za hasło do szybkiego działania. Od dawna marzyli o tym, by uchronić się przed pretensjami księcia Bolesława brzeskiego do miasta Wrocławia, zwłaszcza, iż ów książę brzeski był sojusznikiem Łokietka. Nie chcieli być pod władztwem polskim; garnęli się pod zwierzchnictwo króla czeskiego, Niemca i protektora niemczyzny. Pod ich to wpływem książę Henryk VI udał się do Pragi i tamże odstąpił swe księstwo Janowi Luksemburskiemu, pomijając słuszne pretensje własnych braci — Bolesława brzeskiego i Władysława. Dla króla Jana była to okazja wyjątkowa, kuł tedy żelazo póki gorące. W kwietniu 1327 r. udał się z Pragi do Wrocławia i przyjął hołd mieszczan, jako przyszły władca (po śmierci Henryka VI); w zamian za uległość przyznał Jan Wrocławianom ogromne przywileje handlowe, obiecał im rozległy samorząd, oraz poparcie w sporach z biskupem. Henryka VI wreszcie wynagrodził Jan Luksemburski za wydanie mu Wrocławia przyznaniem w dożywotnie posiadanie ziemi kłodzkiej wraz z rentą pieniężną.

Krok Henryka VI był zdradą wobec interesów polskich. Zniemczały książę wrocławski (ożeniony był z Anną z Habsburgów), zacietrzewiony sporami z braćmi, nieprzyjazny Łokietkowi, który ich popierał, uległ zupełnie podszeptom doradców niemieckich, wśród których źródła wymieniają przede wszystkim kanonika wrocławskiego, wpływowego w kapitule, Mikołaja z Bancz, oraz bogatą rodzinę mieszczan wrocławskich, Mollensdorfów. Wiemy już, że mieszczanie niemieccy Wrocławia dążyli usilnie do przejścia pod rządy Luksemburczyka. Na domiar dążenia te popierała część kapituły, duchowni Niemcy, którzy wydatnie wzmocnili swe wpływy na niekorzyść Polaków za czasów biskupa Henryka z Wierzbna

(1302—1319), pochodzącego wprawdzie z magnackiej rodziny śląskiej, ale zniemczałego. Dumny ten książę Kościoła, który rządził się udzielnie w ziemi nysko-otmuchowskiej, zażywając uprawnień księcia świeckiego na tym terenie, jak żaden dotąd z jego poprzedników, zasłużył sobie na bardzo surową ocenę z punktu widzenia interesów polskości na Śląsku. Jako biskup wrocławski chciał się wyłamać spod zwierzchnictwa metropolii gnieźnieńskiej, zasługując sobie na ostre słowa nagany ze strony arcybiskupa Jakuba Świnki. W przełomowych latach początków XIV wieku, gdy ważyły się losy Polski i Śląska, przeciwstawiał się prądowi odrodzenia państwowości polskiej, który reprezentował Świnka, a urzeczywistniał najskuteczniej Władysław Łokietek. Na terenie swej diecezji protegował wyraźnie niemczyznę. Po jego śmierci rozzuchwaleni kanonicy Niemcy wysunęli kandydaturę swego rodaka, przeciw Polakowi. Na skutek sporów w kapitule przez lat kilka Wrocław nie miał biskupa.

W końcu na stolicę biskupią wrocławską został powołany Nanker, dotychczas biskup krakowski, ale pochodzący ze Śląska (z ziemi bytomskiej, szlachcic herbu Oksza), stronnik Łokietka, gorliwy kapłan i dobry Polak. Przeniesienie Nankera do Wrocławia było wynikiem starań Łokietka, który w ten sposób chciał ratować swe wpływy na Śląsku i bronić łączności kościelnej, w następstwie i politycznej, ziemi śląskiej z Polską; poparł Nankera i papież, gdyż właśnie potrzebował w Wrocławiu szczególnie oddanego sprawie Kościoła biskupa. Od dawna bowiem niemieccy koloniści sprzeciwiali się płaceniu na rzecz Kościoła tzw. świętopietrza, które pobierano w całej Polsce, a więc i w diecezji wrocławskiej jako części składowej metropolii gnieźnieńskiej. Niemców drażniły owe opłaty, gdyż stanowiły one dla nich obciążenia finansowe, a wiecej jeszcze z tego powodu, iż były one widomym znakiem łączności Śląska z Polską. Występowali tedy ostro mieszczanie wrocławscy przeciw świętopietrzu, zyskując sobie poparcie księcia Henryka VI i nawet niektórych członków kapituły, oczywiście Niemców. Doszło do tego, iż nuncjusz papieski, Piotr z Alverni, który zbyt może gorliwie nalegał na zapłatę zaległości świętopietrza, znalazł się w niebezpieczeństwie życia. Nanker, przybywszy do Wrocławia (1327), poparł stanowisko nuncjusza. Nominację jego z nienawiścią przyjęli mieszczanie Niemcy i niemieccy członkowie kapituły, widząc w nim nie tylko obrońcę praw Kościoła, ale stronnika Łokietka i — Polaka. Agitacja niemiecka doprowadziła w r. 1328 do tego, że tłum wdarł się do katedry, zabił kilku dworzan biskupa, zrabował mienie biskupie, a samemu Nankerowi i nuncjuszowi groził śmiercią! W napadzie

uczestniczył książę Henryk VI, zupełnie przez Niemców pozyskany. Nanker uszedł do Nysy i stamtąd rzucił klątwę na miasto. Wraz z nim uszli polscy kanonicy, natomiast niemieccy kanonicy z Mikołajem z Bancz na czele pozostali we Wrocławiu.

Nanker nie czuł się bezpieczny i w Nysie, gdyż książę Bolko ziębicki, który również wystąpił (pod wpływem Niemców) przeciw świętopietrzu, zaczął najeżdżać i grabić ziemię nysko-otmuchowską; schronił się tedy Nanker w Polsce. Mikołaj z Bancz i inni niemieccy kanonicy nie życzyli sobie jednak przewlekania zatargu, zwłaszcza, iż w końcu mogli się narazić na gromy papieża, który musiał stanąć po stronie biskupa. Postępując bardzo zręcznie, zapośredniczyli niebawem ugodę przy udziale króla Jana, który znów przybył do Wrocławia. Miasto przeprosiło biskupa i Nanker wrócił do Wrocławia. Ale powrót jego był możliwy w tych warunkach jedynie dzięki pośrednictwu większości niemieckiej w kapitule i króla Czech. Dano Nankerowi do zrozumienia, że bez tych czynników nie może niczego poczynać na stolicy biskupiej wrocławskiej. Niemcy wrocławscy i król czeski wspólnie starali się obezwładnić biskupa i uniemożliwić mu jego akcję na rzecz Łokietka i polskości. — Wypadki te świadczą najlepiej, jak wpływy niemieckie zdecydowały o losach Wrocławia i losach Śląska w owych latach. Rozzuchwalona niemczyzna, triumfująca od chwili, gdy Henryk VI przekazał przyszłe rządy w księstwie wrocławskim Luksemburczykowi, nie chciała już w żaden sposób dopuścić powrotnej fali polskości do stolicy Śląska. Widać stąd jasno, jaką rolę odegrał w dziejach śląskich Henryk VI: książę-Piastowicz, który walnie przyczynił się do oddania Śląska, formalnie w ręce czeskie, naprawdę niemieckie.

Zapewniwszy sobie wpływ decydujący i przyszłe rządy we Wrocławiu, starał się Jan Luksemburczyk zmusić do uznania swego zwierzchnictwa również i innych książąt śląskich. Już w r. 1327 złożył mu hołd ostatni niezależny dotąd książę górnośląski, Bolko opolski. W r. 1328 toż samo uczynili, ulegając przemożnemu naciskowi króla Jana oraz oplątani jego intrygami: Jan Ścinawski, Konrad oleśnicki i Henryk żagański, a wreszcie Bolesław brzesko-legnicki, zagrożony pretensjami swego brata Władysława do Legnicy, do której prawa chciał tenże odsprzedać Luksemburgowi, byleby tylko pomścić się na bracie, odmawiającym mu wydania części ojcowizny, licząc, że król czeski potrafi już wyrwać Legnicę z rąk Bolesława! Co prawda Jan Luksemburczyk nie miał pieniędzy na zapłatę pretensji Władysława i los tego wykolejeńca był mu zupełnie obojętny; wyzyskał jednak propozycję Władysława, by zmu-

sić księcia brzeskiego do uznania zwierzchnictwa czeskiego. Tak to Piastowicze sami ułatwiali królowi czeskiemu rozszerzanie zwierzchnictwa na coraz dalsze połacie Śląska! Natomiast chlubny wyjątek wśród Piastowiczów śląskich stanowili: Przemko głogowski, ożeniony z wnuczką Łokietka Konstancją i szwagier jego Bolko II świdnicki (syn Kunegundy Łokietkówny, żony Bernarda świdnickiego, której córką była wspomniana Konstancja). W takim Przemku ozwała się dusza piastowska, kiedy na wezwanie króla czeskiego, by uznał jego zwierzchnictwo, odpowiedział, że „woli na jednym koniu opuścić swą ziemię, niż być poddanym innego monarchy". Przemko i Bolko II świdnicki byli stronnikami Łokietka i dzięki ich stanowisku król polski mógł jeszcze w pomyślnych dla siebie warunkach podjąć starania o uwolnienie Śląska spod zwierzchnictwa Jana Luksemburczyka. Wprawdzie dzielny Przemko głogowski zmarł przedwcześnie (1331) i częścią jego ziem podzielili się bracia (Jan ścinawski i Henryk żagański), obaj lennicy czescy. Ale najważniejsze grody, Głogów i Tarnów, zachowała w swym posiadaniu młoda wdowa Konstancja, poddając się pod opiekę brata, Bolka II świdnickiego; ten to książę stanowił teraz główną zaporę dla rozszerzenia się zwierzchnictwa Jana Luksemburskiego na cały Śląsk.

Losy Śląska jeszcze się ważyły. Mimo, że znaczna większość kraju znajdowała się pod przewagą czeską, mogło się wiele zmienić. Postępy bowiem terytorialne Jana Luksemburczyka wywołały zaniepokojenie u innych państw. Węgry silniej wiązały się z Polską, co oznaczało dla Łokietka wydatne wzmocnienie w razie nowego konfliktu z Luksemburgiem. Na domiar w Niemczech piętrzyły się przed królem Janem liczne trudności: zwłaszcza Habsburgowie gotowali się do uderzenia na Czechy. W tych warunkach postanowił Luksemburg uderzyć najpierw na — Polskę. Wszedł w porozumienie z krzyżakami i chciał uderzeniem z dwu stron na Łokietka zadać mu cios ostateczny. Roiły mu się nawet raz jeszcze plany opanowania całej Polski. W r. 1331 nastąpiło uderzenie krzyżackie na Wielkopolskę. Równocześnie podążył Jan Luksemburski z wojskiem na Śląsk, by podać rękę krzyżakom i wspólnymi siłami zgnieść Łokietka. Gdyby się jego ówczesne plany ziściły, oznaczałoby to zapewne koniec niepodległości Polski, na której zgubę sprzysiągł się ów Niemiec na tronie czeskim wraz z zionącym nienawiścią do wszystkiego co polskie zakonem krzyżackim. Tymczasem z bliżej nieznanych przyczyn (może wskutek przeszkód, stawianych przez Bolka świdnickiego?) pochód wojsk Luksemburga tak się opóź-

nił, iż armia krzyżacka nie doczekała się w Wielkopolsce nadejścia sojuszników i rozpoczęła odwrót, naciskana przez zastępy Łokietkowe, które na domiar zniszczyły jedną kolumnę krzyżacką w bitwie pod Płowcami. Wieść o tym zastała Jana Luksemburczyka we Wrocławiu. Wobec odwrotu krzyżaków odroczył plany ataku na Polskę. Natomiast zadał cios poważny sojusznikowi Łokietka, Bolkowi świdnickiemu. Na czele swych wojsk (złożonych w znacznej części z najemników Niemców) ruszył pod Głogów i opanował miasto wskutek zdrady miejscowego starosty, po czym ogłosił przyłączenie miasta do korony czeskiej. W ten sposób po raz pierwszy na tym kawałku ziemi śląskiej zlikwidowane zostały rządy piastowskie (Wrocław miał być włączony dopiero po śmierci Henryka VI). Wdowa po Przemku, wyzuta ze swych posiadłości, znalazła schronienie w Polsce, gdzie zakończyła życie w klasztorze. Jan Luksemburski mianował starostą w Głogowie Czecha, Hinka z Dubu[1]). Nad ziemią śląską zaciążyły rządy obce, narzucone przemocą, przywitane z radością jedynie przez żywioł niemiecki, a zwłaszcza rosnący w bogactwa i znaczenie patrycjat miejski, tak w samym Wrocławiu jak i innych miastach Śląska Dolnego. Niemieccy mieszczanie zacierali ręce z radości, pewni, że nowy zwierzchnik kraju udzieli im poparcia. W istocie wiadomo, iż Wrocław został wynagrodzony przez Jana Luksemburskiego rozległymi przywilejami. Objęty nimi został przede wszystkim patrycjat miejski, który już pod rządami Henryka VI zapewnił sobie wyłączny wpływ na zarząd miasta. W radzie miejskiej nie było miejsca dla przedstawicieli rzemiosł, w których przeważał żywioł polski. Napróżno rzemieślnicy domagali się demokratyzacji stosunków w mieście. Odmawiano im praw, natomiast nakładano na nich ogromne ciężary. Gdy zrozpaczeni szukali sprawiedliwości na drodze rozruchów, spotkali się z krwawymi represjami ze strony połączonych czynników: patrycjatu i księcia. Niemcy wiedzieli dobrze, że gnębiąc klasy niższe w mieście, gnębią zarazem żywioł polski. Akcja ich była celowa, złowroga dla polskości w miastach śląskich. Podobne bowiem stosunki, jak we Wrocławiu, zapanowały niebawem i w innych miastach na ziemi śląskiej. Wszędzie panoszył się ele-

[1]) Król Jan wkroczył jeszcze następnie do Wielkopolski, licząc zapewne na ponowny atak krzyżacki na ziemie polskie od północy. Przystąpił nawet do oblężenia Poznania, ale po kilka dniach zarządził pospieszny odwrót swej armii w kierunku Wrocławia, spiesząc na pogranicze Moraw, zagrożonych od strony Węgier.

ment niemiecki, popierany przez zniemczałych książąt i przez nowego pana kraju, króla czeskiego. Oderwanie Śląska od Polski musiało w następstwie przynieść dotkliwe straty dla polskości tej prastarej ziemi piastowskiej.

Rozdział XI

POLSKA FORMALNIE TRACI ŚLĄSK NA RZECZ CZECH

Władysław Łokietek prowadził w ostatnich latach swego życia ciężką walkę na dwa fronty: z Czechami i z krzyżakami. Walka to była nierówna, wobec przeważających sił wrogów. Okazało się, że nie tylko niema mowy na razie o odzyskaniu władztwa polskiego nad Śląskiem czy Pomorzem, lecz że nadto Polska narażona jest na ataki wroga na dalsze ziemie polskie, a nawet na straty terytorialne (zajęcie Kujaw przez krzyżaków i — krótkotrwałe zresztą — opanowanie części Wielkopolski przez wojska czeskie). Następca tedy Łokietka, Kazimierz Wielki (1333—1370) uznał konieczność zmiany polityki polskiej. Przede wszystkim pragnął położyć nacisk na odbudowę wewnętrzną kraju i usunięcie śladów koszmarnego okresu dzielnicowego przez trwałe związanie poszczególnych ziem polskich w jedną mocną organizację państwa. W polityce zagranicznej zamierzał skupić siły polskie na razie przeciw jednemu wrogowi, mianowicie krzyżakom. W związku z tym podjął Kazimierz starania o zażegnanie konfliktu wojennego z Janem Luksemburskim, co tym było dla niego ważniejsze, iż w ten sposób chciał oderwać od krzyżaków potężnego ich sojusznika. Porozumienie jednak z królem czeskim wymagało ofiar i to poważnych. Jan Luksemburski miał w ręku dwa mocne atuty: zwierzchnictwo nad większą częścią Śląska, bezpośrednie władanie nad Głogowem i ekspektatywę do podobnego władania nad Wrocławiem, a ponadto tytuł króla polskiego, który przybrał sobie jako następca Przemyślidów, co ogromnie utrudniało Kazimierzowi swobodę ruchów na arenie dyplomacji europejskiej, gdyż tytuł Jana Luksemburczyka był przez niektóre dwory uznawany, nie mówiąc już o tym, że król czeski mógł w odpowiedniej chwili posłużyć się swymi roszczeniami do korony polskiej jako pretekstem do akcji zbrojnej przeciw Kazimierzowi. Król polski starał się przynajmniej ów drugi atut wydrzeć Luksemburgowi.

W tym oświetleniu dopiero zrozumiała jest polityka ustępstw w stosunku do Czech, jaką zapoczątkował król Kazimierz. Najpierw zawarł w Sandomierzu w r. 1335 osobne zawieszenie broni z królem Czech, przez co rozerwał już sojusz czesko-krzyżacki. W tymże roku doszło do podpisania umowy polsko-czeskiej w Trenczynie, w której Jan Luksemburski rezygnował z pretensji do korony polskiej i z tytułu królewskiego, a Kazimierz zrzekał się praw do tych ziem śląskich, które już znajdowały się pod zwierzchnictwem czeskim. Była to umowa tymczasowa, która miała być potwierdzona na zjeździe obu władców i króla węgierskiego w Wyszehradzie, który istotnie odbył się jeszcze w r. 1335. Jan Luksemburski zrzekł się tytułu króla polskiego, co znacznie wzmacniało pozycję Kazimierza na dworach europejskich, jako jedynego faktycznego i formalnego władcy Polski i piastuna godności króla polskiego: w zamian za to zrzeczenie się Kazimierz wypłacił Janowi znaczną kwotę pieniężną. Należałoby oczekiwać, że zgodnie z umową trenczyńską Kazimierz wyda w Wyszehradzie akt, potwierdzający rezygnację z ziem śląskich. To jednak nie nastąpiło. W nieznanych nam bliżej okolicznościach udało się Kazimierzowi odwlec ratyfikację owego zrzeczenia się na jakiś czas. Dowodzi to tylko, jak silne miał król polski poczucie swych praw do Śląska i z jaką trudnością przychodziło mu wyrzec słowa rezygnacji. Zapewne miał Kazimierz nadzieję, że niebawem załatwi pomyślnie konflikt z krzyżakami, a wtedy będzie mógł wystąpić wobec Jana Luksemburczyka z żądaniem zwrotu części przynajmniej ziem śląskich. Nadzieje te jednak się nie spełniły. Sprawa z krzyżakami była niezwykle ciężka i przewlekła, a wobec dalszego nacisku ze strony Jana Luksemburskiego odraczanie ratyfikacji zbyt długie stało się niemożliwością.

Zaniepokojony stanowiskiem Kazimierza, starał się teraz król czeski co rychlej umocnić i rozszerzyć swą władzę na ziemiach śląskich. Gdy w r. 1335 zmarł Henryk VI wrocławski, niezwłocznie Jan objął Wrocław w swe posiadanie, osadzając tamże czeskiego starostę. Uzyskał równocześnie możność swobodnego dysponowania ziemią kłodzką, którą dożywotnio dzierżył Henryk VI. Ziemia ta posłużyła królowi Czech jako przynęta dla księcia Bolka ziębickiego, który, podobnie jak inni książęta linii świdnickiej, dotąd uchylał się z powodzeniem od przyjęcia zwierzchnictwa czeskiego. Właśnie niedawno (1335) zdołał nawet Bolko odeprzeć atak zastępów czeskich, które na księstwo ziębickie poprowadził Karol, syn Jana Luksemburskiego. Pod wrażeniem jednak dal-

szego umacniania się władzy króla czeskiego na Śląsku, czego widomym znakiem było przejęcie w bezpośrednie władanie Wrocławia, ustąpił wreszcie Bolko, tym więcej, że mu za to obiecano ziemię kłodzką w dożywocie, co stanowiło smakowity kąsek dla rozrzutnego księcia, pogrążonego w ciężkich kłopotach finansowych. W r. 1336 złożył Bolko hołd lenny Janowi. Otrzymał wprawdzie w dożywocie Kłodzko, natomiast musiał niebawem oddać Janowi szereg swych grodów, jak Ząbkowice, Strzelin, Więzów i Dzierżoniów, pod zastaw sum, które król czeski wyłożył na zapłacenie licznych wierzycieli lekkomyślnego Piastowicza. W rezultacie zachował Bolko jedynie Ziębice, no i Kłodzko, przez co w ogólności spadł do rzędu książątek śląskich bez większego znaczenia.

Shołdowanie Ziębic stanowiło wstęp do dalszych zakusów Jana w kierunku zmuszenia do uległości książąt linii świdnickiej. Na najsilniejszy nacisk wystawiony był Henryk jaworski, który posiadał część Łużyc, przedmiot apetytów zaborczych króla czeskiego. Już w r. 1329 zmuszony został do wydania Czechom Zgorzelca. Teraz Jan Luksemburski wzmógł nacisk i książę Henryk musiał mu odstąpić resztę ziem łużyckich, wraz z grodem Przewozem, który od dawna stanowił najdalej wysunięty ku Nysie łużyckiej skrawek ziem śląskich. Ponadto Henryk zawarł sojusz z królem Czech i obiecał mu pomoc zbrojną na każdą wyprawę wojenną: ale mimo wszystko hołdu lennego nie złożył i zachował niezawisłość. Najmocniejszą pozycję w stosunku do zakusów czeskich zachowywał nadal Bolko II świdnicki i Jan Luksemburski nie mógł jej naruszyć.

Zmuszanie do hołdu książąt było w ogólnych zamierzeniach polityki czeskiej tylko wstępem do realizacji celu właściwego: zupełnego usunięcia Piastowiczów ze Śląska i włączenia całego kraju bezpośrednio do korony czeskiej. Oczywiście cel ten realizowali Luksemburgowie etapami, w miarę nastręczających się możliwości. Taka właśnie akcja nadarzyła się na Górnym Śląsku z chwilą śmierci Leszka raciborskiego (1327). Do spadku rościli sobie pretensje najbliżsi krewni, Piastowicze linii opolskiej. Jan Luksemburski pominął jednak te pretensje i nadał Racibórz księciu opawskiemu Mikołajowi, z rodu Przemyślidów, a więc Czechowi, ożenionemu z siostrą zmarłego Leszka. Gdy Piastowie opolscy głośno wyrzekali na swą krzywdę, uwzględnił Jan ich pretensje o tyle, że przyznał im Koźle i Gliwice; Racibórz jednak pozostał w ręku Mikołaja Przemyślidy. Piastowicze śląscy mogli się teraz przekonać naocznie, że przejście pod zwierzchnictwo czeskie

oznaczało coś więcej, niż zmianę formalną władcy zwierzchniego; stopniowo Luksemburgowie starali się likwidować rządy piastowskie, jako przypominające dawne związki Śląska z Polską. Osadzenie Przemyślidy w Raciborzu miało być jednym z etapów na tej drodze, zresztą znowuż jako etap przejściowy do zupełnego wcielenia Raciborza do korony czeskiej.

Krok za krokiem Jan Luksemburski starał się wzmocnić swą pozycję monarszą na Śląsku. W czasie pobytu swego we Wrocławiu w r. 1337 wydał ordynację dla księstwa wrocławskiego, która jednakże w istocie tyczyła się całego Śląska: zawierała ona bowiem m. i. przepisy, regulujące żeglugę na Odrze i dawała szerokie uprawnienia staroście wrocławskiemu, upoważniając go np. do karania przestępców również na terytoriach książąt lennych, co uwłaczało terytorialnej władzy książęcej. Znamienne były nadto te przepisy ordynacji, które poddawały rycerstwo księstwa wrocławskiego na terenie Wrocławia sądowi miejskiemu, oraz ograniczały zakres władzy sądów kościelnych w stosunku do osób świeckich. Stanowiły bowiem owe przepisy dowód, że król czeski popiera przede wszystkim interesy mieszczan (i to patrycjatu, a więc Niemców); w ogólności zaś lekceważy książąt, rycerstwo i Kościół, te czynniki, które mogły jeszcze w ówczesnych stosunkach społecznych stanowić przypomnienie tradycji polskich. Na pozór wprawdzie Jan Luksemburski okazał życzliwość biskupstwu wrocławskiemu, wydając na jego rzecz w r. 1337 wielki przywilej, w którym brał dobra kościelne pod swą opiekę i zlecał ją wykonywać swemu staroście. W istocie jednak stanowiło to narzucenie biskupstwu protekcji królewskiej i dalsze rozszerzenie władzy starosty czeskiego. Jak zresztą ową opiekę Luksemburg pojmował, dowiódł sam niebawem, próbując opanować dla siebie gród kapituły wrocławskiej Milicz, gdyż był on ważną placówką na pograniczu Polski i miał dla króla czeskiego doniosłe znaczenie strategiczne. Wydaniu Milicza w ręce króla czeskiego przeciwny był stanowczo biskup Nanker, jak i nuncjusz papieski Galhard. Wobec tych sprzeciwów Jan Luksemburski na razie poniechał sprawy, by zresztą do niej niebawem powrócić.

Najpilniejsze było przecież dlań uzyskanie od króla Kazimierza potwierdzenia rezygnacji z ziem śląskich. Kazimierz odraczał tę sprawę, w nadziei, że tymczasem załatwi konflikt z krzyżakami i będzie miał wobec Czech wolne ręce. Właśnie jednak Luksemburg napierał na załatwienie sprawy, dopóki król polski musiał wszystkie siły trzymać w pogotowiu przeciw krzy-

żakom. Zaszachował Kazimierza nader zręcznym posunięciem w r. 1338, zawierając sojusz z Andegawenami węgierskimi. Luksemburgowie obiecali poprzeć przyszłe starania Andegawenów o tron polski (co było brane w rachubę, ze względu na bezdzietność Kazimierza i bliskie związki familijne ostatnich królów Piastów z dworem węgierskim), w zamian za co Karol węgierski przyrzekł nie wspomagać Kazimierza, gdyby ten podjął akcję w kierunku odzyskania Śląska, jak też obiecał imieniem Andegawenów, że w razie zyskania korony polskiej nie będą z tego tytułu podnosić pretensyj do Śląska. Dotąd Kazimierz mógł liczyć, na wypadek wznowienia konfliktu z Czechami, przede wszystkim na pomoc Węgier. Teraz i ta nadzieja upadała. W tych dopiero warunkach król polski, osamotniony politycznie, zdecydował się na akt rezygnacji ze Śląska, chcąc doprowadzić do pełnego odprężenia stosunków z Czechami w momencie, gdy czekała go wielka rozgrywka dyplomatyczna z krzyżakami. Dnia 9 lutego 1339 r. wydał Kazimierz w Krakowie akt, potwierdzający umowę w Trenczynie, w którym formalnie rezygnował z tych ziem śląskich, które w r. 1335 były już w posiadaniu czeskim, lub stanowiły lenno Czech. Akt rezygnacji nie objął więc księstwa jaworskiego i świdnickiego, ani księstwa biskupiego Nysy, ani nawet księstwa ziębickiego, shołdowanego dopiero w r. 1336.

Fatalny ów rok 1339 przyniósł więc zerwanie węzłów łączności państwowej Śląska z Polską. Aż do tej chwili jedynie król polski uchodzić mógł za formalnego zwierzchnika Śląska, jako prastarej ziemi piastowskiej, części wielkiej macierzy polskiej. Takie było powszechne przekonanie współczesnych, czego najlepszym dowodem uparte zabiegi Jana Luksemburga o uzyskanie od Kazimierza aktu formalnego zrzeczenia się Śląska. Opanowanie ziem śląskich przez króla Czech było dziełem przemocy. Dopóki jeszcze Luksemburg nosił tytuł króla polskiego i nie tracił nadziei, iż uda mu się istotnie Polskę całą opanować, nie potrzebował tak bardzo rezygnacji ze strony króla Kazimierza. Gdyby naprawdę był panem Polski, wówczas przez to samo miałby tytuł do władania Śląskiem, tak jak jego poprzednik, Wacław II. Kiedy jednak okazało się, że musi porzucić marzenia o owładnięciu Polską, która leczyła się stopniowo z ran okresu dzielnicowego i krzepła pod rządami króla Kazimierza, wówczas niezbędnym zabezpieczeniem zdobyczy śląskiej było dla Jana uzyskanie rezygnacji Kazimierza. Tylko bowiem w ten sposób mógł pewniej osiąść na swej zdobyczy, licząc w znacznym stopniu na wrażenie, jakie akt rezygnacji Ka-

zimierza wywrze na książętach śląskich. Odtąd tracili oni formalnie jakąkolwiek ostoję dla swych ewentualnych starań o zrzucenie zwierzchnictwa czeskiego. Wedle brzmienia traktatów jedynym panem większości ziem śląskich był teraz król czeski.

A jednak król Kazimierz nie uważał aktu z r. 1339 za ostateczną rezygnację z praw Polski do Śląska. Wystarczy choćby wskazać, że przecież nie objął on rezygnacją ani księstwa biskupiego w Nysie, ani ziem Piastowiczów z linii świdnicko-jaworskiej. Zachowywał więc nadal liczne punkty zaczepienia dla swych przyszłych starań o odzyskanie Śląska. Akt z r. 1339 uważał za wymuszony okolicznościami, które nie pozwalały mu na razie na podjęcie walki zbrojnej z potężnym królem Czech, za ustępstwo przejściowe. Wskazują na to dobitnie jego dalsze poczynania polityczne. Wiele mamy danych po temu, że i w opinii narodu polskiego nie uważano rezygnacji z r. 1339 za decyzję nieodwołalną. Niestety nie dało się koła wydarzeń dziejowych odwrócić. Zawiniły jednakże w tym względzie najwięcej następne pokolenia narodu polskiego, które licznych możliwości odzyskania Śląska nie wykorzystały.

Rozdział XII

UMACNIANIE SIĘ WŁADZY KRÓLÓW CZESKICH NA ŚLĄSKU

Śląsk został oderwany od Polski przez Niemca na tronie czeskim, Luksemburga, przy walnym udziale mieszczaństwa niemieckiego (zwłaszcza Wrocławian), które książęta Piastowicze z karygodną lekkomyślnością swego czasu przygarnęli na terytorium śląskie. W ogólności żywioł niemiecki, także wśród rycerstwa, a w wyższym stopniu jeszcze wśród duchowieństwa, współdziałał w tym chwilach dziejowych z królem czeskim, a zwalczał polskość i zrywał nici, łączące Śląsk z Polską. Ową świadomą działalność antypolską Niemców można obserwować dokładnie na terenie Kościoła śląskiego. Warto się nad tym przez chwilę zastanowić.

Wspominaliśmy już o zatargach o świętopietrze po objęciu diecezji wrocławskiej przez biskupa Nankera. W r. 1329 sprawa nieco ucichła, ale nie została bynajmniej załatwiona. Niemcy nadal sabotowali opłaty świętopietrza, zachęceni przykładem kanoników niemieckich z kapituły, którzy albo nie starali się w ogóle o ściąganie opłat, albo też chowali je do własnej kieszeni (jak ich przewódca, Mikołaj z Bancz!) i nie odsyłali do zwierzchnich władz kościelnych. Przebijała się tutaj świadoma dążność do zrywania łączności diecezji wrocławskiej z metropolią gnieźnieńską, a więc z organizacją Kościoła polskiego. Odmowa zapłaty dotykała oczywiście Stolicę Apostolską, na rzecz której z całej prowincji polskiej ściągano świętopietrze. W tym wypadku schodziły się interesy Polski i Rzymu, stąd też nuncjusze występowali z żądaniem uiszczania opłat. Gdy na Śląsk przybył nowy nuncjusz papieski Galhard, rozpoczął swą działalność od energicznego nacisku na kapitułę wrocławską, żądając egzekucji świętopietrza i wypłaty zebranych już, lecz zatrzymanych we Wrocławiu sum. W niemiłej sytuacji znalazł się teraz Mikołaj z Bancz, który niewątpli-

wie część zebranych pieniędzy schował do własnej kieszeni. Chcąc się ratować, podburzył mieszczan przeciw legatowi papieskiemu i Galhard ledwie uszedł z życiem z miasta, rzucając ekskomunikę na Mikołaja (1337). Butny Niemiec niewiele sobie przecież z tego robił, mając zapewnioną protekcję Jana Luksemburskiego. Galhard wysłał wówczas sprawozdanie do Rzymu, w którym opisał stosunki w Kościele śląskim, podkreślając, „że w miastach polskich, w których panują Niemcy, giną zupełnie prawa Stolicy Apostolskiej" (chodziło w szczególności o zapłatę świętopietrza); zwracał uwagę, iż papież winien zawczasu dopilnować, by po śmierci starego i zniedołężniałego już Nankera na stolicy biskupiej wrocławskiej zasiadł Polak, gdyż niemiecka większość kapituły i król czeski będą wspólnie zwalczać kandydaturę polską, jako dla siebie niewygodną. W ogólności przy obsadzeniu stanowisk kościelnych na Śląsku „winien papież zważyć wierność, oddanie i korzyści, jakich kamera (papieska) doznaje od Polaków, a jakich od Niemców i Czechów, między którymi taka jest różnica, jak między światłem a ciemnością".

Zgodność interesów Kurii papieskiej i Polski wykazał dalszy przebieg wypadków we Wrocławiu. Za Mikołajem z Bancz szli ławą Niemcy, wskutek czego obóz przeciwników świętopietrza wzmagał się w siły. Galhard rzucił wówczas interdykt na Wrocław i całą diecezję. Jan Luksemburski zakazał jednak stosowania się do interdyktu: posłuchali go skwapliwie Niemcy, natomiast Polacy szanowali głos nuncjusza papieskiego. Nanker wyjechał z Wrocławia z polskimi kanonikami kapituły i zamieszkał w dobrach biskupich w Otmuchowie. Wyzyskując rosnący zamęt w stosunkach kościelnych, król czeski zbrojnie opanował Milicz, gród kapituły. Wówczas stary Nanker poderwał się raz jeszcze do walki. Wrócił do Wrocławia i zażądał zwrotu Milicza. Gdy doznał odmowy, udał się do króla wraz z czterema kanonikami i rzucił nań uroczyście klątwę, po czym wyjechał do Nysy. Jan zlekceważył gromy biskupie, a nawet nakazał władzom miejskim represje wobec tych duchownych, którzy dochowali posłuszeństwa biskupowi. W istocie represje starosty i rady miejskiej (przeważnie Niemców!) dotknęły nie tylko majątki kościelne, które obłożono sekwestrem, ale i samych duchownych, głównie Polaków, wiernych biskupowi: usuwano ich brutalnie ze stanowisk, osadzając w ich miejsce sprowadzonych księży niemieckich, którzy (nie bacząc na interdykt) odprawiali nabożeństwa w kościołach wrocławskich. W ten sposób Niemcy niweczyli pracę poprzednią Nankera,

który starał się stanowiska duchowne nadawać Polakom. Wystarczy przytoczyć ustawy Nankera z r. 1331, w których m. i. znamienny jest przepis, wzbraniający nadawania godności kościelnych w diecezji wrocławskiej ludziom, nie pochodzącym z prowincji kościelnej polskiej, zakazujący również powoływania na stanowiska nauczycieli ludzi, którzy nie władają językiem polskim! Widać, jak leżała na sercu Nankerowi troska o zachowanie polskości w Kościele śląskim. Tymczasem Niemcy wrocławscy, popierani przez samego króla, otwartego protektora niemczyzny, dążyli wyraźnie do oderwania się od metropolii gnieźnieńskiej. Niestety Jan Luksemburski miał znaczne wpływy w Kurii papieskiej, a i Mikołaj z Bancz umiał tamże dotrzeć przez swych rodaków-Niemców: w rezultacie papież nie stanął tak mocno po stronie Nankera, jakby należało. Mimo wszystko Nanker pozostał do końca życia nieugięty. Dzielny ten obrońca polskości Kościoła śląskiego zmarł w r. 1341.

Teraz Jan Luksemburski pospiesznie nakłonił kapitułę do wyboru oddanego sobie człowieka, Przecława z Pogorzeli, pochodzącego z rycerskiego rodu śląskiego (z księstwa brzeskiego), ale zniemczonego: Przecław pogodził się już zupełnie z rządami czeskimi na Śląsku i był na wskroś lojalnym sługą Luksemburgów. W Polsce oczekiwano, że papież zabierze głos w sprawie obsady biskupstwa i postara się o wyniesienie kandydata Polaka, zgodnie z zaleceniami Galharda. Wprawdzie Benedykt XII zastrzegł się, że wybór nie może być dokonany bez jego zgody. Gdy jednak kapituła mimo to wybór przeprowadziła, po myśli żądań krola czeskiego, papież w końcu ustąpił, ulegając zapewne potężnym wpływom Luksemburga i zatwierdził Przecława. Nowy biskup poszedł zupełnie po linii życzeń czeskich. Oczywiście niebawem (1342) zawarta została ugoda między Przecławem a Karolem Luksemburgiem (zastępującym ojca, Jana), kładąca kres wieloletniej walce biskupa z królem. Przecław zobowiązał się popierać króla, jako patrona diecezji wrocławskiej, i w razie potrzeby wpuścić załogi czeskie do zamków kapituły. Co prawda jako książę świecki, pan ziemi nysko-otmuchowskiej, nie wszedł formalnie w stosunek lenny do korony czeskiej. Natomiast potwierdził fakt hołdu lennego, złożonego właśnie Karolowi przez kilku książąt śląskich, dodając obietnicę, że w razie złamania przez nich przysięgi lennej dołączy do sankcji królewskich gromy kościelne! Tak to po raz pierwszy w dziejach Śląska biskup wrocławski stwierdzał, że król czeski jest prawowitym panem kraju. Stanowisko króla doznało

poparcia ze strony najwyższej powagi kościelnej na ziemi śląskiej. Oczywiście fakt ten oznaczał dalsze zespolenie Śląska z państwowością czeską. Na krok podobny nie byłby się nigdy zgodził biskup — prawdziwy Polak. Dopiero Przecław z Pogorzeli, nasiąknięty kulturą niemiecką i służalec dworu Luksemburgów, pozwalał na dalsze utrwalenie się władzy królów czeskich na ziemi śląskiej[1]).

Król polski Kazimierz zachował się na razie biernie wobec wydarzeń na Śląsku, gdyż zajęty był głównie konfliktem z krzyżakami. Liczył nawet na to, że zapewni sobie w tej sprawie życzliwość Luksemburgów. W r. 1341 udał się do Pragi i zawarł przymierze z Czechami. Niebawem jednak mógł się przekonać, jak złudne były nadzieje na poparcie ze strony Luksemburgów w sporze z zakonem krzyżackim. W końcu wszedł Kazimierz na drogę bezpośrednich rokowań z krzyżakami i zgodził się na traktat w Kaliszu (1343), w którym na razie zostawiał w rękach krzyżackich zagrabione przez nich za czasów Łokietka Pomorze; natomiast odzyskał przynajmniej ziemię kujawską. W ten sposób na jakiś czas stosunki polsko-krzyżackie zostały unormowane. Oczywiście nikt z Polaków nie myślał z Pomorza rezygnować: dostęp do Bałtyku można było odzyskać jedynie na drodze walki orężnej, a tę jeszcze z braku sił dostatecznych odkładano na czas dalszy. Uzyskawszy większą swobodę ruchów, król Kazimierz żywiej zajął się sprawami śląskimi. Już w r. 1341 posiadł (na prawach zastawu za sumy pożyczone) od Bolesława brzeskiego: Namysłów, Kluczbork, Byczynę i Wołczyn, które to ziemie śląskie przez szereg lat pozostawały teraz pod rządami polskimi. W r. 1343 zbrojnie opanował Wschowę z okolicą, ostatni skrawek ziemi wielkopolskiej, jaki z dawniejszych jeszcze czasów pozostawał pod władzą książąt śląskich linii głogowskiej. Zwrot króla polskiego ku sprawom śląskim niewątpliwie podniósł znacznie jego powagę wśród śląskich Piastowiczów. Bolko świdnicki, nieugięty obrońca niezawisłości swego księstwa wobec zakusów czeskich, związał się tym silniej z Kazimierzem. Znaczne sympatie okazywali Polsce również książęta linii opolskiej, zrażeni do Luksemburgów z powodu pominięcia ich przy sukcesji raciborskiej. Gdy na domiar Luksemburgowie popadli w ostry konflikt z cesarzem Ludwikiem bawarskim, Kazimierz uznał, że nadszedł moment właściwy do wkroczenia w sprawy śląskie.

---

[1]) Karol zwrócił też kapitule Milicz; niebawem jednak biskup sprzedał Milicz ks. Konradowi oleśnickiemu.

W r. 1345 nastąpił wybuch wojny polsko-czeskiej. Kazimierz uderzył na ziemie raciborskie, znajdujące się w posiadaniu Mikołaja Przemyślidy; zajął Pszczynę i Rybnik, wojska polskie dotarły nad Odrę. Na ratunek Przemyślidy ruszył niebawem z dużym wojskiem Jan Luksemburski. Wobec przewagi czeskiej wycofał się Kazimierz aż pod Kraków. Atak na Kraków nie powiódł się jednak królowi czeskiemu. Rychło odstąpił tedy Jan spod stolicy Polski i wrócił na Śląsk, nękany w odwrocie przez wojska polskie i posiłkowe zastępy węgierskie. Wojna nie dała właściwie żadnego wyniku, przyniosła jedynie znaczne korzyści Bolkowi świdnickiemu, który skłonił Henryka jaworskiego do zapisania mu swych posiadłości, wbrew poprzednim układom z Luksemburgami, w których Henryk obiecywał Jawor królowi czeskiemu. Zagrożony od strony Polski Jan Luksemburski nie mógł przeciw temu skutecznie protestować. Bolko świdnicki wzmocnił więc swe stanowisko, co stanowiło zysk pośredni i dla Polski, której Bolko był sojusznikiem. Król Kazimierz oczekiwał przecież większych korzyści z wojny, zapewne zdobycia znacznej części ziem śląskich i uzyskania połączenia terytorialnego z Bolkiem świdnickim. Powodem niepowodzeń militarnych był przede wszystkim zupełny zawód ze strony cesarza Ludwika: Bawarczyk w okresie wyprawy Jana pod Kraków zachował zupełną bierność, gdy natomiast przez uderzenie na Czechy mógł łatwo sprowadzić na Luksemburgów katastrofę. Rozczarowany Kazimierz zawarł nawet chwilowo rozejm z Czechami, ale niebawem (1348) wznowił działania wojenne, widząc, że walka o tron cesarski, którą syn Jana Luksemburskiego (ten zginął w r. 1346)[1]) Karol podjął z Ludwikiem bawarskim, weszła znów w ostre stadium. Do walki ruszył się i Bolko świdnicki, a sam Kazimierz poprowadził dwukrotnie w r. 1348 wyprawy na Śląsk Dolny, docierając w pobliże Wrocławia. Tymczasem jednak Karol Luksemburski zapewnił sobie przewagę w Niemczech, co przyspieszyła śmierć Ludwika bawarskiego. Na tronie cesarskim zasiadł Luksemburg jako Karol IV. Walczyć z nim dalej, oznaczało prowadzić walkę nie tylko z Czechami, ale z całą Rzeszą. Tedy Kazimierz podjął rokowania i podpisał w listopadzie 1348 r. pokój w Namysłowie. Próba odzyskania przynajmniej części Śląska spotkała się z niepowodzeniem. Natomiast Karol IV pospieszył teraz utrwalić swe zwierzchni-

[1]) Jan Luksemburczyk poległ w bitwie pod Crécy w Francji (1346), walcząc po stronie francuskiej przeciw Anglikom.

ctwo nad Śląskiem. 7 kwietnia 1348 r. wydał w Pradze akt wcielenia (inkorporacji) — a więc jeszcze przed zawarciem pokoju z Polską, chcąc postawić niewątpliwie Kazimierza przed dalszymi faktami dokonanymi. Ziemie śląskie, zajęte w bezpośrednie władanie przez Luksemburgów, względnie shołdowane przez nich, zostały formalnie włączone do korony czeskiej. Pamiętać jednak należy, iż w tym mieściło się dalsze jeszcze niebezpieczeństwo dla Śląska. Czechy stanowiły formalnie część składową Rzeszy, podczas gdy Polska umiała się od tego uchronić i za czasów Łokietka czy Kazimierza Wielkiego zażywała pełnej suwerenności. Wcielenie tedy Śląska do Czech oznaczało zarazem pośrednio związanie tej prastarej ziemi piastowskiej z Rzeszą. Jasne jest, iż następstwem tego musiały być dalsze roszczenia niemczyzny do ziemi śląskiej, dalsze panoszenie się na niej Niemców. Nieszczęsne dla losów Słowiańszczyzny Zachodniej i dla samego narodu czeskiego uzależnienie Czech od Rzeszy, musiało wcześniej czy później fatalne przynieść skutki. Zaciążyło to również złowrogo na losach Śląska.

Karol IV dążył do dalszego usuwania pozostałych jeszcze związków Śląska z Polską, próbując w szczególności oderwania biskupstwa wrocławskiego od arcybiskupstwa gnieźnieńskiego, a włączenia go do metropolii praskiej. Starania te jednak napotykały na tak zdecydowany sprzeciw ze strony arcybiskupa gnieźnieńskiego, króla polskiego i Rzymu, iż Karol musiał ich zaniechać. W rezultacie formalny związek Wrocławia z Gnieznem utrzymał się bardzo długo, bo aż do r. 1821, stanowiąc widomy znak dawnej łączności państwowej Śląska z Polską.

Natomiast powiodła się Karolowi IV inna ważna akcja, a mianowicie zapewnienie w przyszłości koronie czeskiej zwierzchnictwa nad księstwem świdnicko-jaworskim, którego niepodległości dotąd Bolko II z powodzeniem bronił. Wobec jednak nowej sytuacji, wytworzonej zdobyciem przez Karola IV tronu cesarskiego i pokojem polsko-czeskim, uznał Bolko konieczność porozumienia z Karolem. Zbliżenie datuje się od r. 1350, w łączności z dążeniem Luksemburgów do zapewnienia sobie sukcesji świdnicko-jaworskiej w razie, gdyby Bolko nie miał męskiego potomka. Wreszcie w r. 1353 Karol IV (po śmierci swej pierwszej żony) poślubił Annę, córkę Bolka, dziedziczkę Świdnicy i Jawora. Zarazem zawarty został układ sukcesyjny, na mocy którego Bolko zapisał swe księstwa Annie, jako królowej czeskiej, oraz jej potomkom z małżeństwa z Karolem — oczywiście na wypadek, gdyby sam Bolko nie miał męskiego potomstwa; równocześnie zawarowano w układzie, że po

śmierci Bolka przede wszystkim ma zapewnione na wspomnianych księstwach dożywocie wdowa po Bolku, księżna Agnieszka, a dopiero po jej zgonie wchodzi Anna i jej potomstwo w prawa do sukcesji. Umowa sukcesyjna była wielkim sukcesem politycznym Karola IV, gdyż otwierała widoki na opanowanie tej części Śląska, która dotąd z całą zaciętością broniła swej niezawisłości. Wprawdzie Bolko i nadal utrzymał stanowisko niezawisłe, a od chwili porozumienia z Karolem, nie napotykając z jego strony na przeszkody, bardzo znacznie rozszerzył swe posiadłości na Śląsku i nawet stał się panem Dolnych Łużyc (wykupiwszy je z rąk margrabiów miśnieńskich), dzięki czemu jego państwo sięgało w pobliże Berlina i poza Łabę; wprawdzie w chwili zawarcia układu Bolko mógł mieć jeszcze nadzieje na potomka męskiego, co przekreślałoby postanowienia umowy i niweczyło wszystkie nadzieje Luksemburgów; wprawdzie Bolko liczył zapewne na zmianę ogólnej sytuacji politycznej w ciągu lat następnych, która pozwoliłaby mu uchylić się od dotrzymania warunków układu. W rzeczywistości jednak wypadki potoczyły się po myśli życzeń nie Bolka, lecz właśnie Luksemburgów. W r. 1368 zmarł Bolko, najwybitniejszy bodaj książę Piastowicz XIV wieku, wytrwały bojownik niezawisłości swego państwa, zarazem doskonały gospodarz i administrator swych posiadłości. Natychmiast odpadły prawie wszystkie nabytki terytorialne dzielnego władcy (m. i. Łużyce zajęli Luksemburgowie, wiążąc je od tej chwili trwale, aż do XVII wieku, z koroną czeską), tak, że Agnieszce zostały tylko ziemie świdnicko-jaworskie; zarządzała nimi dożywotnio, zachowując niezależność od korony czeskiej. Po śmierci jednak Agnieszki (1392) dziedzicem spadku został Wacław Luksemburg (Wacław IV), syn Karola IV. W ten sposób układ sukcesyjny Karola IV z Bolkiem z r. 1353 przygotował likwidację rządów piastowskich w znacznej, niezależnej dotąd części Śląska. Likwidacja ta dokonała się jeszcze w XIV wieku.

Rządy Karola IV stanowiły erę dalszego znacznego utrwalenia zwierzchnictwa królów czeskich na terenie Śląska. Nie mógł temu przeszkodzić Kazimierz Wielki, pochłonięty wówczas sprawami Rusi Czerwonej, którą przyłączył do Polski, ale musiał o ziemię tę toczyć walki z Tatarami i Litwą, a nawet liczyć się z roszczeniami Węgier. Starał się więc o dobre stosunki z potężnym królem czeskim i cesarzem Karolem IV, zwłaszcza, że pragnął wreszcie uregulować sprawę pretensyj władcy Czech do Mazowsza płockiego — które to pretensje były pozostałością jeszcze z okresu żmudnych walk Łokietka o zjednoczenie państwa i jego konfliktu z Janem Luksemburskim.

W układzie w r. 1356, zawartym podczas swej bytności w Pradze, uzyskał Kazimierz wreszcie zrzeczenie się przez Karola IV roszczeń do zwierzchnictwa nad Płockiem, w zamian za co król polski zrzekł się niedawnych nabytków śląskich: Kluczborka, Byczyny i Wołczyna (wcześniej już zrzekł się Namysłowa). Niemniej do końca życia nie spuszczał król polski oka ze spraw śląskich. Zwłaszcza w ostatnich latach swych rządów gotował się do walnej rozprawy z Karolem IV, starając się wyzyskać niekorzystną dla Luksemburgów sytuację polityczną: ogromne bowiem nabytki terytorialne Luksemburgów na Śląsku, w Łużycach i w Marchii brandenburskiej wywołały znaczne zaniepokojenie u sąsiadów. Planując wojnę z Karolem IV, której celem było odzyskanie Śląska, liczył Kazimierz na swe przymierze z Węgrami, oraz — na poparcie ze strony samych książąt śląskich; z Piastowiczami bowiem śląskimi utrzymywał stosunki bliskie, czasem nawet serdeczne, wzmacniając je związkami familijnymi (np. poślubił Jadwigę, córkę Henryka żagańsko-głogowskiego, przodującego wówczas, po śmierci Bolka świdnickiego, wśród plejady książąt śląskich). Karol IV poważnie obawiał się wystąpienia Kazimierza, zwłaszcza że wiedział o sympatiach, jakimi się cieszył król polski na ziemi śląskiej. Luksemburg popierał na tym terenie przede wszystkim miasta, z Wrocławiem na czele, w których żywioł niemiecki odgrywał przeważną rolę, gdyż w radach miejskich zasiadali w głównej mierze przedstawiciele bogatego patrycjatu, w większości niemieckiego. W ogóle Wrocław cieszył się szczególnymi łaskami Karola i pod jego rządami, obsypany deszczem przywilejów, przeżywał okres swej świetności. Nic tedy dziwnego, że Niemcy wrocławscy byli najwierniejszymi poddanymi Luksemburga. Inaczej jednak przedstawiały się nastroje na licznych dworach książęcych i wśród rycerstwa pochodzenia polskiego, nie mówiąc już o warstwach niższych, gdzie żywioł polski był w stanowczej przewadze, ale nie mógł dojść do głosu. Nie ufał też Karol IV duchowieństwu, nawet kapitule wrocławskiej, z której, mimo starań, nie mógł w pełni usunąć ducha polskiego. Stąd też w sporach między kapitułą a miastem stawał zawsze po stronie rady miejskiej, co go doprowadziło nawet do konfliktu z tak lojalnym biskupem, jak Przecławem z Pogorzeli. Znamienne, że w okresie sporów mieszczanie wrocławscy donosili Karolowi, iż w kapitule pokutuje duch polski, a kanonicy są zdrajcami, którzy wciąż myślą o poddaniu miasta królowi polskiemu! Widać więc, że istniało podłoże na Śląsku dla akcji polskiej, a rządy króla czeskiego na wcale kruchych oparte były podstawach.

Niestety plany odzyskania Śląska przecięła śmierć Kazimierza Wielkiego (5 listopada 1370 r.). Następny zaś król polski, Ludwik Węgierski (siostrzeniec ostatniego z Piastów na tronie polskim) nie wykazał zainteresowania dla spraw Śląska, a nawet wprost sprzeniewierzył się w tym względzie intencjom swego poprzednika. Starając się ze względów na ogólną linię swej polityki o dobre stosunki z Luksemburgami, poszedł po linii ich życzeń w kwestii śląskiej. W r. 1372 przyrzekł uroczyście nie dążyć do oderwania ziem śląskich od korony czeskiej. Znamienne, iż wśród wymienionych szczegółowo księstw i ziem śląskich, podległych zwierzchnictwu Karola IV, znajduje się w owym dokumencie (wystawionym w Wyszehradzie) również księstwo opawskie. W istocie od chwili przyznania Raciborza Przemyślidom (1337), książętom opawskim, datuje się rozluźnienie węzłów, łączących Opawę z Morawami; natomiast książęta opawsko-raciborscy zaczynają się uważać za książąt śląskich i tak ich też nazywają współczesne źródła. Dokonuje się więc już w XIV wieku proces zrastania się Opawy ze Śląskiem, czego wyrazem jest wymienienie Opawy w owym dokumencie z r. 1372, jako jednego z księstw śląskich, do których król polski nie będzie sobie w przyszłości rościł praw: a więc Opawskie zaliczano podówczas do ziem, podległych niegdyś królom polskim, co zgodne było istotnie ze stanem faktycznym, tylko że stosunkowo dawnym, bo sięgającym jeszcze XI wieku.

Zamknięta została ta karta dziejów Śląska, którą nazwać można: oderwaniem ziemi śląskiej od macierzy polskiej. Szereg na to złożyło się przyczyn, o których wspominaliśmy w naszym opowiadaniu. Na jedną jeszcze z nich chcemy położyć nacisk. Do oderwania Śląska od Polski przyczyniła się najsilniej niemczyzna, rozpanoszona na ziemi śląskiej dzięki karygodnej lekkomyślności książąt Piastowiczów, która zaczęła już decydować o losach kraju. Najgoręcej pragnęli przejścia pod rządy Luksemburgów Niemcy wrocławscy i celu swego dopięli. Nic tedy dziwnego, że Luksemburgowie odwzajemniali się właśnie gorliwym popieraniem niemczyzny na Śląsku. Zwłaszcza pod rządami Karola IV Niemcy śląscy zażywali błogich lat pomyślności, obdarzani rozległymi przywilejami, pewni, iż w każdym wypadku cesarz i król czeski w jednej osobie stanie po ich stronie. Nic dziwnego, że na wieść o śmierci Karola IV zapanowała we Wrocławiu żałoba (1378). Po tłustych latach dobrobytu zaczynał się dla Niemców wrocławskich okres niepewności, okres obawy, czy przypadkiem Polska nie upomni się o swe dawne ziemie.

Rozdział XIII

NA PRZEŁOMIE DWÓCH WIEKÓW

Potęga Czech, jaką ugruntował Karol IV, doznała zachwiania za rządów jego syna Wacława IV, króla czeskiego (1378—1419), który zasiadł również na tronie niemieckim. Władca ten, pozbawiony równowagi ducha, umiaru i talentów swego ojca, zbyt porywczy i hołdujący namiętnościom, nie umiał utrzymać przodującego stanowiska Czech w Rzeszy, ani też zapewnić należnej powagi władzy monarszej w samych krajach korony czeskiej. Dodajmy, iż na domiar spiętrzyły się przed nim niemałe trudności, tak na terenie Rzeszy, jak i w samych krajach czeskich, do których opanowania nie dorósł. Pod rządami Wacława okazało się przede wszystkim, na jak kruchych podstawach oparta jest władza Luksemburgów na Śląsku.

Na samym wstępie musiał Wacław wkroczyć w sprawy Wrocławia, gdzie wytworzył się silny ferment na tle obsady biskupstwa po Przecławie z Pogorzeli, oraz zatargu między miastem a kapitułą. Zgodnie z tradycją swego ojca, Wacław popierał radę miejską przeciwko kapitule, wśród której członków przynajmniej kilku zawsze podejrzywano o sympatie polskie. Interwencję w sprawy wrocławskie pojmował po swojemu: przybył z wojskiem (1381) do Wrocławia i pozwolił żołdactwu złupić dobra biskupie, kapitulne i klasztorne. Na tym się jednak skończył pokaz siły królewskiej. W istocie najbardziej podrażnił króla fakt, iż kapituła wybrała biskupem wrocławskim Wacława, księcia legnickiego (który był poprzednio biskupem lubuskim), natomiast stanowczo odrzuciła kandydata królewskiego, Czecha, Andrzeja z Dubu. Ponieważ podówczas linia Piastowiczów brzesko-legnickich urastała znowuż do większego znaczenia, gdyż księciu Ludwikowi brzeskiemu udało się przygotować teren pod zjednoczenie Legnicy i Brzegu w jednym ręku, król nie chciał dopuścić na biskupstwo wrocławskie członka tej linii, zwłaszcza że

właśnie Piastowicze legnicko-brzescy rościli sobie pretensje do księstwa wrocławskiego i nie pogodzili się jeszcze w zupełności z objęciem dziedzictwa ongiś Henryka VI przez królów Czech. Podobnie obawiali się Wacława legnickiego na stolicy biskupiej Wrocławianie, nawykli do korzyści, jakie im przyniosły rządy bezpośrednie Luksemburgów. Mimo to przecież kapituła stanęła twardo przy swoim elekcie i uzyskała pełne poparcie papieża Urbana VI. W rezultacie Wacław IV ustąpił i uznał Wacława legnickiego biskupem wrocławskim, choć zachował pozory: zawarł bowiem układ z nowym biskupem, wedle którego tenże obiecał uznawać króla Czech za patrona diecezji, przyrzekł jako pan ziemi nysko-otmuchowskiej być wiernym sojusznikiem króla i wreszcie złożył hołd lenny Wacławowi IV z ziemi grodkowskiej, którą biskupstwo otrzymało swego czasu (1358) w posiadanie. W istocie te pozorne korzyści umowy z r. 1382 nie mogły przekreślić faktu, że w najważniejszej kwestii Wacław IV ustąpił i musiał zgodzić się na biskupa z linii Piastowiczów legnickich.

Zdawało się bowiem, że, w miarę likwidacji rządów piastowskich w Świdnicy i Jaworze, zniknie ostatni poważniejszy ośrodek znaczenia Piastowiczów na Śląsku, co pozwoli na dalsze wzmocnienie zwierzchnictwa królów czeskich. Tymczasem właśnie pod koniec XIV wieku urośli do znaczenia inni Piastowicze, jak np. Ludwik brzeski (który przygotował złączenie na powrót Brzegu z Legnicą), jak Konrad II oleśnicko-kozielski, oraz książęta opolscy, z Przemkiem cieszyńskim i Władysławem opolskim na czele. Godne uwagi jest nawet powiększenie ogólnego obszaru swego posiadania przez Piastowiczów w owych czasach, a to przez wykupienie z rąk książąt opawskich Prudnika, Karniowa, Głubczyc, Cukmantla i Hulczyna; były to zresztą dawne obszary śląskie, lechickie, oderwane jednak od Śląska przez Czechów już w XI wieku, które teraz wracały do związków z macierzą śląską. Ponadto za Wacława IV wróciły pod rządy książąt niektóre obszary Śląska, włączone już przez Luksemburgów wprost do korony czeskiej, jak Głogowskie, Ścinawa, Góra i Namysłów. W ogólności tedy rosło znów znaczenie książąt, a równolegle słabła powaga władzy monarszej. Na domiar książęta Piastowicze zaczęli starać się o zbliżenie do Polski, dbając bardzo o utrzymanie przyjaznych, a nawet zażyłych stosunków z dworem polskim. W szczególności widoczne to było u książąt Śląska Górnego. Co prawda jeden z nich, Władysław opolski, który na służbie u Andegawenów już na Węgrzech rozpoczął błyskotliwą karierę, a za rządów Ludwika węgierskiego w Polsce był jego prawą ręką,

za co otrzymał liczne ziemie na pograniczu śląsko-polskim i na Kujawach od króla jako lenna, nie umiał pogodzić swych wygórowanych ambicji z racją stanu polską. Służalec Andegawenów, następnie Habsburgów i Luksemburgów, protektor niemczyzny na ziemiach polskich, nie chciał się pogodzić z rządami Władysława Jagiełły, którego na tron polski wynieśli panowie małopolscy, dzięki czemu dokonała się unia z Litwą (1385). Intrygi i wichrzenia przeciwko Jagielle uczyniły go sojusznikiem krzyżaków i Zygmunta Luksemburczyka (brata Wacława IV, króla Węgier od 1382 r.), zajadłego wroga Polski. W końcu wyczerpała się cierpliwość polska. Nie tylko pozbawiono Opolczyka lenn w Polsce, lecz ponadto dwukrotnie (w r. 1391 i 1396) wojska polskie wkroczyły na Śląsk Górny i tutaj poskromiły ostatecznie intryganta i jego sojuszników. W następstwie Opolczyk stracił wszelkie znaczenie i ostatnie lata życia spędził na łaskawym chlebie u swych bratanków, Piastowiczów śląskich. Natomiast wzrosła powaga Polski u książąt górnośląskich.

Równocześnie upadło w dalszym ciągu znaczenie Wacława IV, zwłaszcza gdy doszło w łonie rodziny Luksemburgów do ostrych sporów i zaciętych walk, w których na pierwszy plan wybijała się głęboka niechęć między Wacławem a Zygmuntem, królem Węgier. Słabła również i pozycja Wacława IV w Niemczech, a w końcu pozbawiono go tronu cesarskiego (1400). W tych warunkach Wacław starał się o utrzymanie przyjaznych stosunków z dworem polskim. Gdy na Śląsku doszło do groźnego zatargu na tle finansowym między Wrocławianami a książętami opolskimi, w wyniku czego Bolko opolski dał się dotkliwie we znaki kupcom wrocławskim, prowadząc napady rabunkowe na ich karawany, a nadto urządzał najazdy grabieżcze na posiadłości księstwa wrocławskiego, król Wacław IV zaprosił do rozsądzenia sporu Władysława Jagiełłę na wspólnym zjeździe we Wrocławiu (1404). Król polski wydał wyrok rozjemczy, z którego oczywiście Niemcy wrocławscy nie byli zadowoleni, bo kłuł ich w oczy wzrost powagi polskiej na terenie śląskim. Dodać należy, że Wacław IV, szukając w konflikcie z bratem Zygmuntem sojuszników, myślał nawet o oddaniu Śląska Polsce. Niestety Jagiełło pochłonięty był wówczas zagadnieniami krzyżackimi i litewskimi. Nadto sprzeciwili się stanowczo oddaniu Śląska panowie czescy. Zresztą i tak na Wacławie, który pędził życie pijacze i marnotrawne, nie można było polegać. Najlepszy dowód, że gdy Jagiełło w przeddzień walnej rozgrywki z krzyżakami (1410) wezwał na rozjemcę w konflikcie Wacława IV, licząc na jego życzliwość, tenże Wacław, pozyskany pie-

niądzmi przez krzyżaków, wydał orzeczenie korzystne dla zakonu, co Polska oczywiście z oburzeniem odrzuciła. Zresztą najważniejszym podówczas zagadnieniem polityki polskiej było rozprawienie się z krzyżakami: dopiero po zażegnaniu śmiertelnego niebezpieczeństwa z tej strony można było zająć się sprawami śląskimi.

W miarę jak podupadał autorytet władzy królewskiej Wacława IV, rozprzęgały się stosunki na Śląsku. Wrocławianie z żalem wspominali dawne lata świetności i dobrobytu, gdy karawany kupieckie mogły swobodnie krążyć po drogach śląskich, gdy handel kwitnął, korzystając z zapewnionych warunków bezpieczeństwa. Teraz mnożyły się rozboje, zaczynało panować prawo pięści: obroty handlowe kurczyły się, kupcy bali się wychylać poza mury miast. Nie mogąc liczyć na władzę królewską starali się sami Ślązacy zapewnić sobie jakie takie bezpieczeństwo i pokój. Książęta tedy zaczęli tworzyć samorzutnie związki w tym celu, a w ślad ich poszły również i miasta. W końcu, gdy oznaki anarchii w całym państwie czeskim niepokojąco się mnożyły (król Wacław został uwięziony przez brata Zygmunta!), powstał w r. 1402 ogólny związek śląski, obejmujący książąt, rycerzy i miasta królewskie; związek stawał wprawdzie po stronie Wacława IV, ale jako swe zadanie zakreślał zapewnienie na ziemi śląskiej własnymi środkami pokoju i bezpieczeństwa. Powstanie takiego związku dowodziło silnego poczucia odrębności Śląska, jako osobnej jednostki w ramach krajów korony czeskiej. Dowód to, jak nikłe rezultaty wydały dotychczasowe poczynania unifikacyjne Luksemburgów.

Zastój w życiu handlowym podcinał dochody miast, które zaczęły popadać w trudności finansowe. Objawiło się to nawet w zamożnym Wrocławiu. Rada miejska nie mogła sprostać piętrzącym się trudnościom, co znowuż ośmielało organizację rzemiosł (cechy) do tym śmielszych żądań demokratyzacji ustroju miejskiego przez dopuszczenie przedstawicieli rzemiosł do rady. Patrycjat kupiecki bronił jednak uparcie swej wyłączności w zarządzie miasta, nie bacząc na to, że sam król Wacław IV zajął stanowisko przychylne cechom i nakazywał przyjęcie ich reprezentantów do rady miasta. Po wielu bezowocnych próbach ewolucyjnej zmiany stosunków, zrozpaczeni rzemieślnicy pod przewodem rzeźników wszczęli rozruchy (1418). Pospólstwo uderzyło na ratusz, dokonało samosądu nad kilku wybitniejszymi patrycjuszami, członkami rady. Król Wacław, do którego się obie strony zwróciły o rozsądzenie

sporu, nakazał utworzenie nowej rady miejskiej (skarcił rozruchy, ale udzielił amnestii ich uczestnikom), w której przewagę mieli zapewnioną przedstawiciele cechów. Taki stan rzeczy był zresztą przejściowy; patrycjat czekał tylko na śmierć króla (1419), by znów sięgnąć po wyłączną władzę nad miastem. Wypadki wrocławskie były po części echem wydarzeń, jakie rozgrywały się ówcześnie na terenie samych Czech, stanowiąc pewne odbicie tych haseł społecznych, które tamże doszły do głosu pod koniec rządów Wacława IV.

Rozdział XIV

POLSKA, CZECHY I SPRAWA ŚLĄSKA

Napór niemczyzny na ziemie lechickie został w XIV wieku powstrzymany, w znacznej przynajmniej mierze, przez zjednoczenie państwa polskiego za ostatnich Piastów. Element niemiecki, który wcisnął się w centralne nawet ziemie polskie, został okiełznany, częściowo przepędzony, zresztą zmuszony do spokojnej i uczciwej pracy, co z czasem skazywało go na asymilację w otoczeniu polskim. Niestety nie było już mowy o podobnym poskromieniu niemczyzny na Śląsku, gdyż kraj ten odpadł w XIV wieku od państwa polskiego. Formalnie przeszedł Śląsk pod rządy czeskie, faktycznie jednakże pod niemieckie, a to ze względu na panującą w Czechach dynastię Luksemburgów, którzy (zwłaszcza jeśli chodzi o Jana czy Karola IV) popierali przede wszystkim żywioł niemiecki i starali się zapewnić mu przodujące stanowisko na Śląsku, widząc w nim główne oparcie dla swych rządów. Same zresztą Czechy zagrożone były śmiertelnie zalewem niemczyzny; nic tedy dziwnego, że pod rządami królów czeskich panoszyli się Niemcy bezkarnie na ziemi śląskiej. W końcu jednak i w narodzie czeskim wzbudził się silny odruch przeciw rządom niemieckim. Łączyło się to z prądami religijnymi, jakie podówczas zaczęły nurtować w Europie Zachodniej. Powaga papiestwa znacznie podupadła w XIV wieku, przez przeniesienie siedziby papieży (pod naciskiem królów francuskich) do Awinionu. W wielu krajach stracono wiarę w bezstronność papieży, w ich naczelne stanowisko w świecie katolickim, górujące ponad władcami i narodami, jako namiestników Chrystusowych na ziemi, skoro przekonywano się, że papieże ulegają czynnikom świeckim i w walkach politycznych zmuszeni są do stawania to w jednym, to w drugim obozie, szczególnie zaś muszą naginać swą politykę do życzeń królów Francji. Nic dziwnego, że w tych warunkach ozwało się powszechne w chrześcijaństwie zachodnim wołanie o powrót papieży do Rzymu, zgodnie z tradycją następców św. Piotra: wierzono, że

w siedzibie rzymskiej papieże uwolnią się łatwiej od nacisku politycznego potęg państwowych, jak potrafili się uchronić od presji władców Niemiec (tytułujących się cesarzami rzymskimi) w poprzednich wiekach. W istocie w drugiej połowie XIV wieku papiestwo wróciło do Rzymu, ale nie tak łatwo było zatrzeć fatalne dla Stolicy Apostolskiej skutki pobytu w Awinionie. Nacisk potęg świeckich trwał nadal, czego rezultatem było, że obok papieża w Rzymie wybrano drugiego w Awinionie. Zaczął się w dziejach papiestwa okres nieszczęsnej schizmy, tzw. zachodniej. Dla przywrócenia jedności w Kościele zwoływano sobory, ale te długi czas nie potrafiły zażegnać schizmy: doszło do tego, że równocześnie było aż trzech papieży, a poszczególni władcy uznawali jednego z nich — zależnie od własnych rachub i widoków politycznych. Wobec takiego stanu rzeczy upadać musiała w dalszym ciągu powaga papiestwa, co znowuż ośmielało odważniejsze jednostki do podnoszenia głosów, krytykujących nie tylko papiestwo, ale w ogólności stosunki, panujące w Kościele. Z krytyką taką wystąpił przede wszyskim Anglik (profesor w Oksfordzie) Wycliff i zaczął formułować prawdy wiary, niezgodne z oficjalną nauką Kościoła, wskutek czego naraził się niebawem na klątwę papieską, oskarżony o głoszenie herezji. Hasła Wycliffa przeszczepił na teren Czech Hieronim z Pragi, od którego z kolei przejął je profesor uniwersytetu praskiego Jan z Husinec, zwany Husem.

Ruch reformatorsko-religijny Husa łączył się zarazem z ruchem narodowym, skierowanym przeciwko przewadze Niemców nie tylko w Kościele, ale i w całym życiu czeskim. Dzięki staraniom Husa doszło m. i. w r. 1409 do reformy uniwersytetu praskiego, która zapewniła na jakiś czas należną przewagę Czechom nad Niemcami[1]). Pod wpływem Husa zatoczył szerokie kręgi w Czechach prąd odrodzenia narodowego. Zrazu Hus starał się przeprowadzić swe postulaty reform kościelnych (występując przeciwko nadużyciom kleru, zwłaszcza niemieckiego) w porozumieniu z władzami Kościoła. Gdy jednakże wyraźnie opowiedział się za tezami Wycliffa, rzucono nań klątwę kościelną. Mimo to, jako bojownik haseł narodowych czeskich i religijnych, miał Hus za sobą większość narodu czeskiego. Zapoczątkowany przez niego ruch tzw. husycki (husytyzm), stanowiący zespolenie haseł narodowych, religijnych i społecznych, wywołał wieloletni zamęt w Czechach. Nie umiał oczywiście

[1]) Wacław IV tzw. dekretem kutnohorskim przyznał Czechom na uniwersytecie 3 głosy, Niemcom 1.

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO BIBLIOTEKA

opanować sytuacji nieudolny Wacław IV, który nie wiedział, jakie zająć stanowisko: to próbował represyj wobec ruchu husyckiego, to znów uciekał się do taktyki kompromisu. Wystąpienie Husa powiększyło jeszcze rozstrój w Kościele. Dla zażegnania wreszcie schizmy i okiełznania ruchu husyckiego (który zyskiwał sobie zwolenników i poza granicami Czech) zebrał się sobór w Konstancji. Wezwano tamże również samego Husa, aby wyjaśnił swe stanowisko wobec dogmatów wiary. Hus udał się istotnie do Konstancji, uzyskawszy od ówczesnego władcy Rzeszy, Zygmunta Luksemburczyka (nosił tytuł króla rzymskiego, bo jeszcze nie był koronowany na cesarza) list żelazny, zapewniający mu osobiste bezpieczeństwo. Mimo to, gdy sobór potępił jego nauki, Zygmunt odmówił mu ochrony: uznany za heretyka, został Hus spalony na stosie (1415).

Męczeńska śmierć Husa wzburzyła cały niemal naród czeski. Gniew Czechów i żądza pomsty zwróciła się szczególnie przeciwko Zygmuntowi Luksemburczykowi, a nadto przeciw wszystkim Niemcom, którzy w sprawie Husa stanęli po stronie soboru i papieża, m. i. właśnie dlatego, że w ruchu husyckim widzieli poważną przeszkodę dla dalszego rozszerzania się wpływów niemieckich w krajach czeskich. Doszło w końcu w Pradze do rozruchów, w których zwyciężyli stronnicy Husa. W trakcie tego zmarł Wacław IV (1419). Po koronę czeską wyciągał teraz ręce Zygmunt. Ale Czesi nie chcieli ani słyszeć o takim królu, który był uważany za winowajcę śmierci Husa. Tylko prawowierni katolicy w Czechach, w istocie przeważnie Niemcy, uznali swym królem Zygmunta. Większość narodu czeskiego zajęła wobec Luksemburczyka stanowisko zdecydowanie wrogie i postanowiła z orężem w ręku bronić mu wstępu do kraju. Zygmunt nie dawał za wygraną i raz po raz podejmował zbrojne wyprawy na Czechy, które jednakże zostały krwawo odparte. Owe tzw. wojny husyckie zaważyły poważnie na losach Czech: wpłynęły również w znacznym stopniu na stosunki na Śląsku, do czego niebawem wrócimy. Na razie wystarczy zaznaczyć, że okres wojen husyckich przyniósł w następstwie powstrzymanie na jakiś czas ekspansji niemczyzny we wszystkich krajach korony św. Wacława, m. i. również i na Śląsku.

Gdy tak od ściany zachodniej Polsce nie groziła podówczas poważniej ekspansja niemczyzny, to niemniej naród polski musiał wytężyć wszystkie swe siły dla zażegnania niebezpieczeństwa germańskiego z północy. Zakon krzyżacki, który stworzył w XIII i XIV wieku groźną potęgę, usadawiając się w kraju Prusów i zagarniając polskie Pomorze (przez co Polsce odcięto dostęp do Bał-

tyku), prowadził dalszą ekspansję na ziemie litewskie; zagrożonej Litwie przyszła w pomoc Polska, przeprowadzając unię polsko-litewską i nawracając Litwę na chrześcijaństwo, co miało odebrać krzyżakom pretekst do dalszych napaści. Krzyżakom jednakże nie o wiarę chodziło, lecz o stworzenie silnego bastionu niemczyzny na ziemiach między Niemnem a Wisłą, z którego wypady miały im zapewnić panowanie w całej Litwie i w Polsce. W owym bowiem czasie krzyżacy stanowili główną siłę bojową niemczyzny na wschodzie, przednią straż ekspansji germańskiej. Oni to dążyli wówczas do zdobycia dla niemczyzny dalszych ogromnych obszarów kolonizacyjnych, starając się realizować ten plan, który inne czynniki niemieckie podjęły na nowo w późniejszych wiekach. Potęga krzyżacka stanowiła dla Polski niebezpieczeństwo śmiertelne. Od jej złamania zależał wprost byt państwa polskiego. W zrozumieniu tego Polacy połączyli swe siły z Litwą i Rusią (znaczna część ziem ruskich znajdowała się wówczas pod rządami litewskimi), gotując się do walnej rozprawy. Decyzja o znaczeniu dziejowym zapadła na polach Grunwaldu, 15 lipca 1410 r. Potęga zakonu została złamana, Polska odniosła swe, aż do czasów ostatnich, największe zwycięstwo w dziejach. Niestety zwycięstwa nie wyzyskano w pełni. Niebawem okazało się, że unia polsko-litewska przyniosła wprawdzie Polsce wielkie korzyści, ułatwiając odniesienie triumfu nad krzyżakami; zarazem jednakże na skutek unii polityka polska za czasów Jagiellonów musiała zająć się szeregiem zagadnień wschodnich, które związały jej swobodę ruchów i utrudniły poświęcenie należnej uwagi problemom zachodnim. Na domiar już w następnych dniach po zwycięstwie grunwaldzkim ujawniły się znaczne rozbieżności w celach polityki polskiej i litewskiej, które uniemożliwiły pełne wyzyskanie zwycięstwa. W rezultacie dopiero po pół wieku Polska odzyskała dostęp do Bałtyku nad ujściem Wisły; natomiast państwo zakonne nie uległo kompletnej likwidacji; bastion niemiecki utrzymał się w tzw. Prusiech Wschodnich, co miało dla Polski zgubne następstwa.

Te sprawy należą jednak do dalszych rozdziałów historii. Tymczasem stwierdzić trzeba, że Grunwald zażegnał na razie niebezpieczeństwo ze strony niemieckiej. Germański *Drang nach Osten* został powstrzymany na szereg wieków, ostrze bojowe germańskie stępione. Grunwald był przede wszystkim zwycięstwem słowiańskim. Obok Polaków, których udział w triumfie był największy, walczyli przeciwko krzyżakom Rusini i Czesi, których oddziały również ruszyły

na walkę z „nacją niemiecką", do czego wzywała propaganda polska. Wkład czeski w bitwę grunwaldzką, jakkolwiek cyfrowo niewielki, odegrał niewątpliwie poważną rolą w odrodzeniu duchowym narodu czeskiego. Wojownicy czescy, którzy pomagali Polakom do starcia potęgi krzyżackiej, wracali do kraju jako gorliwi szermierze walki z niemczyzną i stanęli napewno w szeregach husyckich. W wielkiej wojnie polsko-krzyżackiej uczestniczyli również Ślązacy, zwłaszcza z Górnego Śląska, gdyż na tym terenie przeprowadzał Jagiełło zaciąg żołnierza, nie napotykając na ogół na sprzeciwy ze strony książąt górnośląskich, którzy w tym czasie niewiele robili sobie z króla Wacława IV, a raczej liczyli się ze zdaniem króla polskiego.

Wojny husyckie (1419—1436) otwarły przed polityką polską różne możliwości, których pełne wyzyskanie mogło wywrzeć wpływ ogromny na dalsze dzieje Słowiańszczyzny Zachodniej, a przynajmniej na losy Śląska. Na razie płomień wojny objął swym zasięgiem tylko same Czechy. Mając drogę zamkniętą do Pragi, Zygmunt Luksemburczyk starał się w pierwszym rzędzie osiąść mocno na Śląsku, by stąd mieć bazę wypadową do wypraw przeciw czeskim husytom. W styczniu 1420 r. przybył do Wrocławia, gdzie odebrał hołd stanów śląskich. Najgoręcej witali nowego władcę oczywiście Niemcy wrocławscy, którzy bali się jak ognia powrotu rządów polskich, a nie życzyli sobie też panowania prawdziwych Czechów, lgnęli więc pod zwierzchnictwo Luksemburczyka, uznając w nim skwapliwie króla czeskiego i swego pana. Gorliwie ofiarował swe usługi Zygmuntowi również biskup wrocławski, Konrad (1417—1447), z linii książąt oleśnickich, zupełnie zniemczały, który stale się wysługiwał Luksemburczykowi i zasłużył sobie na pochwały historyków niemieckich — za popieranie niemczyzny! W ślad za biskupem szli jego bracia, książęta oleśniccy, Konrad Kącki i Konrad Biały. Uległością wobec Zygmunta odznaczał się również książę brzeski Ludwik II, spowinowacony z Hohenzollernami, margrabiami brandenburskimi: on to zapoczątkował haniebne związki familijne Piastowiczów linii legnicko-brzeskiej z Hohenzollernami, które doprowadziły do zupełnego zniemczenia i degeneracji tej linii książącej śląskiej, a zarazem wywarły z czasem fatalny wpływ na dzieje Śląska. Książęta głogowscy, żagańscy, ziębiccy — nie odgrywali podówczas poważniejszej roli na Śląsku i biernie poddali się rządom Zygmunta. Uczynili to również książęta górnośląscy, jakkolwiek na tym terenie Piastowicze coraz wyraźniej oglądali się na Polskę, szukając

zabezpieczenia dla siebie, niepewni, czy odpowiednią ochronę zapewni im Luksemburczyk. W ogólności książęta śląscy godzili się na uznanie Zygmunta w tej głównie nadziei, iż znajdą w nim opiekuna przeciw fali husyckiej, która lada chwila mogła wylać się poza granice właściwych Czech i objąć swym zasięgiem ziemie śląskie. Niepokoiły ich w znacznym stopniu skrajne hasła społeczne, głoszone przez silny odłam husytów, tzw. taborytów, których przeszczepienie na teren śląski groziło poważnymi wstrząsami i mogło zachwiać stanowisko książąt. Z tych samych powodów obawiały się haseł husyckich wyższe warstwy społeczeństwa śląskiego, rycerstwo i patrycjat miejski, nie mówiąc już o duchowieństwie, najbardziej zagrożonym. Podtrzymywali te obawy najskwapliwej przede wszystkim Niemcy śląscy, którzy zdawali sobie sprawę, że ruch husycki głosi hasła narodowe czeskie, antygermańskie, i dlatego przejaskrawiali nawet niebezpieczeństwo rewolucji religijno-socjalnej, idącej z Czech, by posługując się tym straszakiem skupić cały Śląsk w jednym obozie i powstrzymać na jego granicach ekspansję czeszczyzny.

Mało posiadamy niestety danych dla oceny stanowiska niższych warstw miejskich i chłopów, a więc tych sfer, wśród których stanowczo jeszcze przeważała polskość. W dalszym jednakże przebiegu wojen husyckich dostrzegamy wiele wypadków sympatii dla husytyzmu na ziemi śląskiej, szczególnie na Górnym Śląsku, gdzie polskość była najmocniejsza. Oczywiście powstrzymywała wielu Polaków śląskich od opowiadania się za husytyzmem wierność dla Kościoła katolickiego, niechęć do herezji. To samo odnosi się zresztą w zasadzie do charakterystyki stanowiska ogółu narodu polskiego. Z dużymi sympatiami odnoszono się w Polsce do haseł narodowych ruchu husyckiego, co więcej, przyklaskiwano postulatom husytów, domagających się likwidacji przemożnego stanowiska wyższego kleru w państwie, pozbawienia go potęgi materialnej i wpływów politycznych, a w miejsce tego, nawrotu do stanu pierwotnego w chrześcijaństwie, do ubóstwa kleru. Natomiast nie znalazły w Polsce żywszego echa te hasła husyckie, które poruszały zagadnienia dogmatyczno-religijne. Wśród Polaków mało było dla nich zrozumienia, a samo miano poglądów heretyckich budziło nieufność i niechęć. Należy to mieć na uwadze, gdy się ocenia stosunek Polski do spraw husyckich.

W czasie swego pobytu we Wrocławiu w r. 1420 Zygmunt dał pokaz swej gorliwości w zwalczaniu heretyków. Wystąpił wówczas z krytyką uchwał soboru w Konstancji kupiec, Jan Krasa z Pragi;

uwięziony i oddany pod sąd duchowny, został uznany za heretyka. W następstwie Zygmunt kazał go spalić na stósie, wzniesionym na rynku wrocławskim. Niezwłocznie podjął też Zygmunt wyprawę przeciw husytom, w której wzięły udział również oddziały śląskie. Zastępy zbrojne husytów, kierowane przez zdolnego wodza, Jana Żiżkę z Trocnova, odparły najazd wojsk Zygmunta i zadały im ciężkie straty. Wojna przybrała jeszcze na ostrości, łącząc znamiona bojów najbardziej zażartych, bo prowadzonych równocześnie na podłożu przeciwieństw narodowych i fanatyzmu religijnego. Oczywiście Niemcy tak w Czechach, jak i na Śląsku, stanęli po stronie Zygmunta, nie tyle z gorliwości katolickiej, co z nienawiści do Czechów.

Rozsądniejsi przewódcy husytów czeskich rozumieli, że w dalszej walce z Zygmuntem, który mógł zbierać przeciwko nim coraz nowe siły z Węgier i Niemiec, a również i z innych krajów Europy, gdzie działały wezwania papieża do krucjaty na heretyków, muszą sobie zapewnić jakieś oparcie poza Czechami. Zwłaszcza wśród umiarkowanych husytów przeważyło zdanie o konieczności porozumienia z Polską. W związku z tym powstał projekt zaproszenia na tron czeski Władysława Jagiełły, względnie jego brata stryjecznego Witolda, wielkiego księcia Litwy. W r. 1420 przybył do Polski wysłannik czeski, Hynek z Holsztyna, ofiarując koronę czeską Jagielle. Ulegając wpływom magnaterii polskiej, wśród której rej wodzili biskupi, Jagiełło odmówił, bojąc się ściągać na siebie zarzut współpracy z heretykami (pamiętać trzeba, że jeszcze na soborze w Konstancji krzyżacy intrygowali przeciwko Polsce, posługując się kłamliwym argumentem, jakoby Jagiełło był tylko pozornie chrześcijaninem, a w istocie hołdował pogaństwu i protegował pogan na Żmudzi!). Wówczas poseł czeski zwrócił się z podobną propozycją do Witolda: ambitny wielki książę litewski, niechętnie znoszący przewagę Jagiełły i Polski, marzył o wzmocnieniu swego stanowiska i odegraniu jakiejś wielkiej roli dziejowej; wyraził tedy zgodę. Na razie jednak nie wybierał się sam do Czech (zapewne również z powodu skrupułów natury religijnej), lecz obiecał wysłać tamże jako swego namiestnika Zygmunta Korybutowicza (synowca Jagiełły). Przy pomocy swych stronników polskich potrafił też Witold przeprowadzić na zjeździe panów w Lublinie udzielenie poselstwu czeskiemu oficjalnej przychylnej odpowiedzi, jakkolwiek z tym zastrzeżeniem, że wpierw wyśle się poselstwo polskie do Zygmunta, które postara się go nakłonić, by zrzekł się korony czeskiej, a wówczas na życzenie Czechów przyj-

mie ją Jagiełło względnie Witold; zarazem obiecano Czechom podjęcie starań o pojednanie ich z Kościołem.

W poselstwie do Zygmunta udali się: wojewoda krakowski Jan Tarnowski i ówczesny proboszcz kościoła św. Floriana w Krakowie (następnie biskup krakowski) Zbigniew Oleśnicki. Skład poselstwa nie sprzyjał zamysłom Czechów i Witolda, gdyż Tarnowski i Oleśnicki byli reprezentantami obozu katolickiego. Zwłaszcza Oleśnicki odrzucał plan połączenia się Polski z heretyckimi Czechami. Natomiast nosił się z innym planem, a mianowicie chciał trudną sytuację Zygmunta wyzyskać w ten sposób, by przyłączyć na powrót Śląsk do Polski. W myśl tego Oleśnicki, wbrew uchwałom zjazdu w Lublinie, zaproponował Zygmuntowi, by porzucił przede wszystkim dotychczasowy sojusz z krzyżakami, a nawet udzielił Polsce pomocy przeciwko zakonowi, w zamian za co Polska dopomoże mu do uspokojenia Czechów; zażądał jednak, by Zygmunt oddał Polsce Śląsk, na razie w formie zastawu, co przy ówczesnych trudnościach Luksemburczyka musiałoby się zamienić na trwałe posiadanie Śląska przez Polskę. Zygmunt zgodził się na projekt Oleśnickiego, z tym dodatkiem, że Jagiełło (owdowiały właśnie) poślubi córkę Wacława IV Ofkę, a ta wniesie mu w posagu Śląsk. Tak to Zygmunt, dla którego największym niebezpieczeństwem byłaby unia polsko-czeska, czy choćby sojusz Polski z husytami, starał się wszelkimi środkami temu przeciwdziałać i wolał nawet poświęcić Śląsk.

Nie ulega kwestii, że plan Witolda sięgał znacznie dalej, bo do zjednoczenia w przyszłości pod jednym berłem Polski (wraz z Litwą) i Czech. Oznaczałoby to stworzenie takiej potęgi Słowiańszczyzny Zachodniej, o jakiej marzył ongiś Bolesław Chrobry. Stwierdzić jednak trzeba, że przy realizacji tego planu musiałyby się nastręczyć wielkie trudności, tak w Polsce (różnice religijne, odgrywające podówczas ogromną rolę) jak i w samych Czechach (gdzie sprzyjali temu planowi umiarkowani husyci, lecz z dużą niechęcią traktowali go skrajni, tzw. taboryci). Plan Oleśnickiego był skromniejszy, ale za to łatwiejszy do realizacji: przyniósłby on Polsce odzyskanie Śląska, co już samo stanowiłoby wielką korzyść dla Słowiańszczyzny Zachodniej, oznaczałoby powrót Polski na zachód i w następstwie zapewniłoby również poważne oparcie dla Czechów w ich dalszych zmaganiach z niemczyzną. Najpilniejszym zadaniem chwili było zdecydowanie się na poparcie jednego z tych planów, poparcie stanowcze i konsekwentne. Niestety polityka polska nie zdobyła się na jasną linię postępowania. Zwalczały się

oba kierunki, co w rezultacie doprowadziło do zmarnowania nastręczających się rozległych możliwości.

I tak Witold nie zrezygnował ze swego planu, a przede wszystkim pospiesznie podważył cały projekt Oleśnickiego. Wyswatał Jagiełłę z księżniczką ruską, Zofią olszańską i zapewnił sobie wpływ przemożny u króla. Teraz przystąpił do realizacji własnego planu i w r. 1422 wysłał Zygmunta Korybutowicza do Czech na czele zbrojnych zastępów. Korybutowicz przybył do Czech jako namiestnik Witolda, przyszłego króla czeskiego i został tam zrazu życzliwie przywitany. Niebawem jednak okazało się, że nie umiał on opanować sytuacji wewnętrznej, zaostrzającej się na skutek przeciwieństw między umiarkowanym i radykalnym (tak religijnie, jak i społecznie) odłamem husytów. Wieści o rosnących trudnościach Korybutowicza w Czechach osłabiły obóz stronników Witolda w Polsce, a wzmócniły jego przeciwników. Na domiar Zygmunt Luksemburg, mszcząc się za współdziałanie polsko-husyckie, podmówił znów krzyżaków do uderzenia na Polskę; nie ograniczył się zresztą do tego, lecz prowadził dalej intrygi przeciw Polsce w różnych krajach, oskarżając Polskę o sojusz z heretykami; projektował nawet rozbiór Polski między Rzeszę, Węgry i zakon krzyżacki, obiecując też pewne części ziem polskich — książętom śląskim! Wprawdzie było w tym wszystkim więcej straszaków niż istotnej groźby dla Polski, ale niemniej w Polsce zaczęto się odżegnywać od ryzykownych imprez czeskich, zwłaszcza że wyprawa Korybuta skończyła się niepowodzeniem. W rezultacie zwyciężył obóz polityczny niechętny Witoldowi, reprezentowany przez panów małopolskich ze Zbigniewem Oleśnickim na czele. Korybut został odwołany w r. 1423 i Jagiełło wszedł w porozumienie z Zygmuntem Luksemburczykiem, obiecując poparcie jego akcji przeciw husytom. Do tego co prawda nie doszło, gdyż Polacy nie myśleli zwalczać swych pobratymców czeskich. W każdym razie zaniechano planu sojuszu z husytami i unii polsko-czeskiej. Na taki zwrot w polityce polskiej pewien wpływ wywarła też i sytuacja na Śląsku. Okazało się, że w związku z akcją Korybutowicza wzrosły na Śląsku nastroje Polsce nieprzychylne. Książęta śląscy gotowi byli bowiem szukać w Polsce opieki właśnie przeciwko husytom, gdyby zawiodły siły Luksemburczyka; natomiast odstręczał ich od Polski fakt, że popiera ona ruch husycki. Wrogie stanowisko wobec Polski zajął przede wszystkim biskup Konrad (od r. 1422 naczelnik Śląska z ramienia Luksemburczyka, czyli namiestnik królewski), oraz inni książęta dolnośląscy, a na Górnym

Śląsku przede wszystkim Jan raciborski z rodu Przemyślidów (zupełnie zniemczały). Natomiast Piastowicze górnośląscy mimo wszystko orientowali się ku Polsce i słaby tylko udział brali w wyprawach, organizowanych na polecenie Luksemburczyka przeciwko husytom, a również nie stawiali przeszkód Korybutowiczowi w jego przemarszach.

Godne uwagi, że właśnie wówczas, gdy pod wpływem Oleśnickiego polityka polska przybrała kierunek antyhusycki, nastąpiło zbliżenie wszystkich niemal książąt śląskich do Polski, w której widzieli naturalną opiekunkę przeciwko grożącemu najazdowi zastępów husyckich na ziemię śląską. Oleśnickiemu służyło to za argument, że jego polityka jest właściwą, gdyż przy odpowiedniej zręczności po stronie polskiej może ona przynieść odzyskanie Śląska. Plany sojuszu polsko-husyckiego w tych warunkach straciły oparcie w społeczeństwie polskim; znajdowały one wprawdzie i nadal zwolenników przede wszystkim wśród Polaków, zwolenników husytyzmu, których pojawiła się wówczas znaczna liczba, ale znowuż szerzeniu się husytyzmu w Polsce przeciwdziałało ostro duchowieństwo i skłoniło Jagiełłę do wydania w r. 1424 edyktu w Wieluniu, zapowiadającego surowe kary na wyznawców husytyzmu i ich popleczników. Sam zresztą Korybutowicz przekonał się ponownie o trudnościach dojścia do porozumienia z Czechami, gdy w r. 1424 na własną rękę podjął drugą wyprawę do Czech, znowuż bezowocną, gdyż nie znalazł tam żadnego poważniejszego oparcia wśród zwalczających się wzajemnie stronnictw czeskich. W następnych latach Korybutowicz planował porozumienie już tylko z umiarkowanym odłamem husytów czeskich i zamierzał zorganizować za zgodą świata katolickiego wielką wyprawę na taborytów. Teraz dopiero znalazł poparcie książąt śląskich, którzy weszli z nim w układy, licząc głównie na to, że nowa impreza Korybutowicza, w zmienionych warunkach, będzie przeprowadzona w porozumieniu z Polską. Rzecz naturalna, że owe układy Korybutowicza z książętami śląskimi wywołały przeciwdziałanie z dwu stron: zwalczał je Zygmunt Luksemburczyk, obawiający się zbliżenia książąt śląskich do Polski, zwalczali je również taboryci, bo przeciw nim były skierowane. W rezultacie w r. 1427 taboryci uwięzili w Pradze Korybutowicza, za czym i ostatnie jego plany upadły.

Stało się w końcu to, czego się Ślązacy najbardziej obawiali. Wojownicy husyccy, odparłszy wszystkie najazdy Zygmunta

Luksemburczyka, rozpoczęli z kolei napady na kraje sąsiednie, mszcząc się za zniszczenie kraju czeskiego przez najezdników niemieckich. Pragnęli wziąć odwet również na stanach śląskich, które stały po stronie Luksemburczyka, względnie (gdy chodzi o książąt) popierały plany Korybutowicza, skierowane właśnie przeciw taborytom. Zaczęło się od napadu husytów na ziemię kłodzką w r. 1425. Po pierwszej wycieczce zbrojnej husytów na Śląsk nastąpiły dalsze. W latach 1428/9 srożyli się wojownicy husyccy szczególnie na Dolnym Śląsku; pokonawszy oddziały książąt i miast śląskich, rozpuścili swe zagony na wszystkie strony, zajmowali i pustoszyli wsie i miasta, obracając znaczną część kraju w perzynę. Ostały się przed nimi tylko większe miasta (jak Wrocław, Świdnica), których husyci nie usiłowali przeważnie zdobywać, nie chcąc ponosić zbyt wielkich strat. Książęta śląscy stawiali nieraz dzielny opór, ale ulegali w walce. Jeden zaś z Piastowiczów, Bolko V opolski, pojednał się niebawem z husytami i nawet wespół z nimi podejmował wyprawy na inne ziemie, zwłaszcza na księstwo wrocławskie, które dla siebie chciał zdobyć.

W tych ciężkich latach książęta śląscy kierowali swój wzrok ku Polsce, oczekując stamtąd pomocy. Była chwila, że taki biskup Konrad, służalec Zygmunta, wróg Polski (wchodził przeciw niej w porozumienie z krzyżakami) i polskości, przypomniał sobie naraz, że biskupstwo wrocławskie należy do metropolii gnieźnieńskiej i zwracał się do arcybiskupa z prośbą o pomoc przeciw heretykom! Wprawdzie Oleśnicki radby był rzucić siły polskie na husytów, byleby za tę cenę uzyskać dla Polski — Śląsk. Ale o wyprawie na husytów nie mogła Polska myśleć, gdy przeciw niej snuł wciąż intrygi Luksemburczyk, podjudzając krzyżaków, a nadto bruździąc w stosunkach wewnętrznych (podburzał starego Witolda w ostatnich latach jego życia przeciw Jagielle, podsycał i nadal opozycję na Litwie). Jeśli więc Polska nie udzieliła pomocy Śląskowi, to głównie z winy — samego Luksemburczyka! Mając takiego władcę, Ślązacy bici byli podwójnie: od Zygmunta pomocy się nie doczekali, Polska im zaś jej udzielić nie mogła, bo sama była zagrożona intrygami Luksemburczyka. Istotną zaś przyczyną takiej polityki Zygmunta była obawa, by Polska nie powróciła na Śląsk. Wolał on kraj cały widzieć w zgliszczach, byleby nie musiał go oddać Polsce! W tym znów tkwił tragizm polityki Oleśnickiego: pragnął on równocześnie walki z husytami i odzyskania Śląska, ale tego Śląska nie chciał Polsce oddać właśnie Luksemburczyk. By Śląsk naprawdę opano-

wać, trzeba było z niego nie tylko wyrzucić husytów, którzy się na ziemi śląskiej zaczęli na dobre usadawiać, ale również dać zbrojną odprawę Zygmuntowi. Problem to był zanadto powikłany dla ówczesnych polityków polskich, którego nie umieli rozwiązać, zwłaszcza, że komplikował go szczególny splot momentów religijno-politycznych.

Natomiast dostrzegano w Polsce wyraźnie, że polityka antyhusycka Oleśnickiego nie daje żadnych korzyści. Podnieśli tedy głos jego liczni przeciwnicy, wysuwając na powrót żądanie współdziałania z husytami. W kołach opozycji znajdowały silne odgłosy hasła narodowe i religijne husytów, bo mimo surowych edyktów husytyzm zyskiwał sobie wcale licznych zwolenników. Pociągała przede wszystkim wielu Polaków walka z Niemcami, nie mówiąc już o sile atrakcyjnej awanturniczych wypraw husytów czeskich, które przynosiły nie tylko przygody wojenne, ale i — łupy. W rezultacie na pobliski Śląsk zaczęli ściągać ochotnicy z Polski, łącząc się z taborytami, lub tworząc własne oddziały. Na czele oddziałów husyckich czesko-polskich na Górnym Śląsku stanęli nawet wodzowie-Polacy, jak Dobiesław Puchała, Piotr zwany Polakiem, oraz kilku innych. Zjawił się wśród nich również Korybutowicz, któremu udało się wydostać z niewoli taborytów: ambitny ten książę, pragnący za wszelką cenę odegrać jakąś wybitną rolę polityczną, przeszedł teraz do współdziałania z taborytami, byle dla siebie wykroić osobne księstwo na ziemi Śląska Górnego. Znalazł sojusznika w Bolku V opolskim, który gotów mu był odstąpić swe posiadłości, sam za to przy pomocy husytów chciał zdobyć dla siebie księstwo wrocławskie. Naraz w r. 1430 Górny Śląsk znalazł się w rękach husytów, którzy zajęli m. i. Kluczbork, Byczynę, Wołczyn, oraz Gliwice, gdzie Korybutowicz osiadł z dużą załogą; założył tamże dwór książęcy i przygarniał licznych rycerzy z Polski, którzy spieszyli pod jego sztandary. Również Oświęcimskie i Cieszyńskie opanowały oddziały husytów polskich. W ich szeregi zaciągała się licznie ludność górnośląska, bo pociągało ją hasło walki z Niemcami i nadzieja łupów. Nie przeciwdziałali temu książęta górnośląscy, bo nie ośmielali się występować przeciw husytom z Polski, bojąc się narazić samej Polsce.

Wytworzyła się taka sytuacja, że Górny Śląsk znalazł się w ręku husytów polskich i czeskich, a nawet na Śląsku Dolnym (w Głogowskiem) pojawiły się przejściowo oddziały samego Jagiełły, do którego zwrócił się o opiekę jeden z Piastowiczów śląskich.

Kto wie, czy teraz nie był moment właściwy dla Polski do nawiązania porozumienia z husytami, przynajmniej z ich odłamem bardziej umiarkowanym. Niektórzy w Polsce byli właśnie tego zdania, a zabiegał o to usilnie Korybutowicz, pragnąc wyjaśnienia swej nieco zagadkowej pozycji: księcia w Gliwicach, pod bokiem Polski, na ziemi formalnie należącej do królestwa czeskiego. Za jego to głównie staraniem zorganizowano w Krakowie (1431) dysputę religijną, na którą przybyło sporo przewódców husyckich, oraz sam Korybutowicz i Puchała. Ci Polacy, którzy sprzyjali ruchowi czeskiemu i pragnęli szczerze współpracy narodów słowiańskich przeciwko Niemcom, żywili nadzieję, że uda się doprowadzić do pojednania husytów z Kościołem katolickim: wówczas odpadłyby nieszczęsne różnice religijne i możliwa byłaby nareszcie unia polsko-czeska. Niestety trudności porozumienia były zbyt wielkie, gdyż taboryci ani słyszeć nie chcieli o uznaniu zwierzchnictwa papieża, co katolicy stawiali jako warunek pojednania. Rozbił zresztą dysputę Oleśnicki, który jako biskup krakowski rzucił interdykt na miasto na czas pobytu czeskich gości. Fanatyzm religijny przysłonił biskupowi horyzonty polskiej racji stanu. Obrażeni husyci opuścili Kraków, gdzie przy okazaniu więcej dobrej woli z obu stron mogło się było narodzić ścisłe porozumienie narodów słowiańskich. Dla Korybutowicza pobyt krakowski wydał fatalne skutki. W czasie bowiem jego nieobecności w Gliwicach książęta oleśniccy dzięki zdradzie opanowali miasto i zburzyli jego mury. Z tą chwilą skończyła się rola polityczna tego księcia.

Na Śląsku nadal toczyły się walki; husyci z Czech ponawiali swe groźne wypady (1432), a ponadto trzymali w swych rękach mocno szereg grodów śląskich (np. Niemczę, Otmuchów i t. d.). Pragnąc wreszcie spokoju na ziemi śląskiej, nawiązali książęta układy z husytami i za cenę poważnego okupu potrafili nakłonić szereg oddziałów husyckich do ustąpienia z kraju. Już tedy w r. 1432 zaczyna się fala powrotna husytów do Czech. Do odpływu zastępów z ziemi śląskiej przyczynił się zresztą m. i. fakt, że część z nich posłuchała wezwania z Polski do walki z „nacją niemiecką" i podążyła aż na Pomorze, gdzie wzięła udział w wojnie polsko-krzyżackiej. Na wojnę tę Jagiełło zaciągnął również nieco żołnierza spośród Ślązaków, za zgodą książąt Piastowiczów. Tak więc na wojnę z krzyżakami ruszyli wówczas Polacy śląscy przy boku swych rodaków z państwa polskiego, a wspólnotę sprawy słowiańskiej zaznaczyli swym udziałem również i taboryci czescy. Były to czasy, kiedy hasła wspólnego frontu Słowian do walki z niemczyzną głośno roz-

brzmiewały: szkoda doprawdy nieodżałowana, że kierownicy polityki polskiej i czeskiej nie umieli tego dziejowego momentu wyzyskać!

W Czechach przede wszystkim rosły przeciwieństwa między umiarkowanymi husytami, skłaniającymi się do porozumienia z Kościołem, a taborytami, co doprowadziło w końcu do takiego napięcia, że miecz musiał rozstrzygać. W r. 1434 umiarkowani (tzw. utrakwiści) w zażartej bitwie pod Lipanami, gdzie ku radości Niemców Czesi przelewali obficie krew bratnią, złamali potęgę taborytów, której Zygmunt nie potrafił nawet naruszyć poważnie! Teraz dopiero doszło do pojednania (zresztą krótkotrwałego) między umiarkowanym odłamem husytów i Kościołem na soborze w Bazylei. Pokonanie taborytów miało dla Śląska ten skutek, że ostatnie ich oddziały wycofały się z kraju w r. 1434.

Pozostało po latach wojny straszne zniszczenie wielu miast i miasteczek, znacznie jeszcze większej liczby wiosek. Potrzeba było znów szeregu lat, by kraj się odbudował i przybrał dawną postać. W niektórych wypadkach nie dało się już strat odrobić: tak np. ciężko dotknięte zostały dobra kościelne, szczególnie biskupstwa wrocławskiego, dla którego już skończyły się bezpowrotnie „złote czasy" poprzednich wieków. Ucierpieli wszyscy, Polacy i Niemcy, bo fanatyczni wojownicy czescy często nie rozróżniali narodowości, tylko niszczyli w ogólności kraj katolicki, zgarniali obfite łupy. Niemniej przecież stwierdzić wypada, że dotkliwsze ciosy spadły na Niemców, bo przeciw nim kierowała się główna nienawiść taborytów, a zresztą Niemcy stanowili wyższe, bogatsze sfery ludności; nic tedy dziwnego, że oni ponosili przede wszystkim ofiary. Wielu Niemców, potomków dawnych kolonistów, zginęło w czasie wojen lub rozpierzchło się, znajdując schronienie w krajach Rzeszy. Na ich miejscu osadzili się niejednokrotnie Polacy (po części i Czesi, zwłaszcza w ziemiach, graniczących z Morawami); natomiast w rzadkich tylko wypadkach (mówimy o tych czasach) przybywali nowi koloniści niemieccy z Rzeszy, bo po doświadczeniu wojen husyckich teren ten wydawał się im zbyt niepewny, ziemia zbyt gorąca pod stopami!

W następstwie jako wynik pozytywny wojen husyckich należy przyjąć niewątpliwy fakt powstrzymania, przynajmniej na jakiś czas, ekspansji niemczyzny na terenie Śląska. Oczywiście w mniejszym stopniu zaznaczyło się to na Śląsku Dolnym, gdzie już niemczyzna tkwiła mocniej, natomiast w większym na Śląsku Górnym. W tej części kraju i owe, na ogół nikłe postępy, jakie dotąd poczy-

niła niemczyzna, zostały prawie zupełnie zniweczone. Dokonał tego dłuższy na tym terenie pobyt husytów czeskich i polskich. Ale i w ziemiach dolnośląskich musiały zajść wypadki odrodzenia się polskości. Hasła narodowe wojen husyckich, rozbrzmiewające na ziemi śląskiej, nie pozostały bez następstw, przyczyniając się wszędzie do rozbudzenia poczucia słowiańskiego, nienawiści do Niemców. Zwróćmy jeszcze uwagę na jedną okoliczność. Śląsk dostał się w XIV wieku formalnie pod rządy czeskie, naprawdę niemieckie; bo niemiecka była dynastia Luksemburgów, na Niemcach się w pierwszym rzędzie opierała i ich też szczególną otaczała protekcją. W XIV wieku z Czech szła fala germanizacji Śląska. Teraz stosunki uległy zmianie. Czechy przeżywały w czasie wojen husyckich i w latach następnych okres odrodzenia narodowego, co zaznaczyło się nie tylko w życiu politycznym, ale i duchowym narodu czeskiego. Do głosu doszła tamże czeszczyzna, wypierając język niemiecki. Rozwijało się w wieku XV piśmiennictwo czeskie, rozwijał język literacki czeski. Wywarło to wpływ również i na kraje podległe koronie czeskiej, jak Śląsk.

Znamienne, że właśnie w połowie XV wieku pojawia się w dokumentach, zwłaszcza na Górnym Śląsku, język czeski, wypierając język niemiecki, który już, na skutek usilnych starań Niemców, w wielu wypadkach zastępował średniowieczną łacinę. Fakt ten notujemy jako przejaw korzystny, jako sukces sprawy słowiańskiej, zwycięstwo nad niemczyzną. Sporo lat upłynie, zanim język niemiecki (jako urzędowy) zdoła znów na terenie Górnego Śląska wyprzeć język czeski. Ale z tego faktu ówczesnej przewagi czeszczyzny nie wolno wyprowadzać wniosków, do jakich skłonni są niektórzy historycy czescy, którzy na tej podstawie posuwają się do twierdzenia, że podówczas ludność mówiła na Górnym Śląsku po czesku, że po prostu mieszkali tamże Czesi, którzy następnie ulegli germanizacji, i w późniejszym znów okresie odrodzenia się ruchu narodowego polskiego (w wieku XIX) zostali niesłusznie anektowani przez działaczy polskich na rzecz narodowości polskiej. Podobne twierdzenie jest zupełnie bezpodstawne.

Przyjęcie się czeszczyzny na Górnym Śląsku jako języka urzędowego w XV wieku można wyjaśnić tylko w ten sposób, iż w stosunku do ludności polskiej, w przygniatającej większości zamieszkującej ten kraj, odegrał on rolę czynnika, zastępującego język polski, który nie osiągnął jeszcze w owym czasie odpowiedniego wyrobienia i poziomu języka literackiego. Ludność polska chętnie przyjmowała język czeski, zwłaszcza, gdy wstępował on w miejsce

narzucanej już niemczyzny, bo był to język słowiański, dla niej sympatyczny, bo po prostu zrozumiały. Pamiętać nadto należy, że podówczas różnice między polszczyzną a czeszczyzną były znacznie mniejsze niż dzisiaj i zrozumienie języka czeskiego nie przedstawiało dla ówczesnego Polaka istotnych trudności. Pouczające zresztą jest bliższe zapoznanie się z owymi dokumentami czeskimi z obszaru górnośląskiego: okazuje się, że zwłaszcza w latach późniejszych w tekstach czeskich znajdujemy wiele słów rdzennie polskich, obcych mowie czeskiej, co dowodzi, iż owe teksty, formalnie czeskie, stanowiły w istocie jakąś osobliwą mieszaninę języka czesko-polskiego. Po prostu czeszczyznę w języku urzędowym musiano dostosować do mowy ludności, mowy polskiej. Wprowadzenie więc czeszczyzny w dokumentach na Górnym Śląsku było następstwem zdrowej tendencji samych Czechów do zrzucenia z kraju pokostu niemczyzny: oczywiście szły za tym próby czechizacji ludności, które jednakże dały bardzo skąpe wyniki, przeważnie tylko powodując przyswojenie sobie przez ludność górnośląską niektórych wyrażeń czeskich. Ludność ta jednak w ogromnej większości była i pozostała polską.

Rozdział XV

ZMARNOWANE OKAZJE DZIEJOWE

Z prawdziwym żalem przerzucamy te karty historii, na których wypisane są dzieje dalszych lat XV wieku. Ileż to wówczas było sposobności do pełnej regeneracji Słowiańszczyzny Zachodniej, ileż szans dziejowych, które zostały zmarnowane przez brak istotnej współpracy narodów czeskiego i polskiego! Wspólnym wysiłkiem można było w owych czasach odrzucić daleko na zachód falę germańską. Tak się jednak nie stało. Jakiś fatalizm zaciążył na losach Czech i Polski, wprowadzając ustawiczne komplikacje w stosunki wzajemne. Dołączyły się do tego błędy kierownictwa politycznego obu narodów. Wszystko razem spowodowało zmarnowanie rzadkich okazji dziejowych, w następstwie brzemienne w skutkach zboczenie z dróg właściwych na kręte ścieżki, czasem nawet wprost ślepe uliczki bez wyjścia. Całym pokoleniom Słowian Zachodnich przyszło za to pokutować przez wieki!

Dopiero zwycięstwo stronnictwa umiarkowanego nad skrajnymi taborytami otwarło Zygmuntowi Luksemburczykowi drogę do tronu czeskiego. Owi zresztą umiarkowani Czesi (przedstawiciele szlachty czeskiej przede wszystkim) godzili się na Zygmunta tylko w tej nadziei, że wreszcie położy to kres wojnom i zawierusze domowej, oraz zabezpieczy warstwy wyższe czeskie przed radykalizmem społecznym taborytów, a zarazem umożliwi porozumienie części przynajmniej narodu z Kościołem katolickim i zakończy walki religijne. Natomiast obawiali się oni również powrotnej fali rządów niemczyzny w Czechach. Tedy postawili Zygmuntowi szereg warunków, żądając m. i., aby rządził w porozumieniu ze stanami czeskimi, stanowiska państwowe i kościelne obsadzał Czechami a nie Niemcami itd. Gdy Zygmunt przystał na te warunki, sejm czeski uznał go królem. W ten sposób dokonało się formalnie wprowadzenie w Czechach tronu elekcyjnego. Zygmunt zasiadł na tronie czeskim w r. 1436 i wszystkie swe starania wytężył w tym kierunku,

by po sobie zapewnić następstwo zięciowi, Albrechtowi Habsburgowi, ożenionemu z jego córką, Elżbietą (Zygmunt nie miał męskiego potomka).

Niebawem zakończył życie ostatni z Luksemburgów, tej dynastii, która walnie przyczyniła się do zniemczenia Czech i Śląska, której rządy stanowią niemal nieprzerwane pasmo polityki antypolskiej. Większość stanów czeskich zgodziła się uznać królem Albrechta Habsburga. Stronnictwo jednak radykalno-narodowe nie chciało znowuż poddawać kraju pod rządy niemieckiego władcy i na zjeździe w Kutnej Horze postanowiło zaprosić na tron czeski młodszego syna Jagiełły, Kazimierza. Odżyła więc znów myśl ścisłego współdziałania narodów słowiańskich, znajdując oddźwięk i w Polsce. Co prawda przeciwny był propozycji czeskiej biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki, zawsze wrogi husytom, który podówczas stał na czele regencji w Polsce, sprawującej rządy w okresie małoletności króla Władysława III, starszego syna Jagiełły. Opozycja jednak, niechętna Oleśnickiemu, sprzyjająca natomiast myśli zbliżenia polsko-czeskiego, przeparła na zjeździe w Korczynie decyzję wysłania młodego (11-letniego zaledwie) Kazimierza do Czech. W maju 1438 r. wysłano z Polski zastęp rycerstwa do Czech, gdzie na nowym zjeździe w Mielniku stronnictwo radykalno-narodowe ogłosiło Kazimierza Jagiellończyka królem Czech, za czym znaczne siły czeskie połączyły się z oddziałem polskim dla wspólnej akcji w obronie praw królewicza polskiego. Niestety jednak część Czechów (umiarkowanych) stała po stronie Albrechta, którego oczywiście poparli ławą wszyscy Niemcy. Dzięki temu Albrecht uzyskał przewagę i koronował się w Pradze, a następnie, zebrawszy liczne wojsko z Niemiec i z Węgier, podjął walkę z armią polsko-czeską. Wprawdzie nie zdołał przechylić szali zdecydowanie na swą stronę, ale i Polacy, zrażeni przeciwnościami (przede wszystkim rozłamem wśród Czechów) wycofali się niebawem na Śląsk, oczekując na dalsze posiłki z Polski. Jesienią t. r. ruszył istotnie z większym wojskiem sam król polski Władysław III, prowadząc ze sobą brata, Kazimierza, którego chciał posadzić na tronie czeskim.

Władysław wezwał stany śląskie, by uznały zwierzchnikiem kraju Kazimierza, jako króla Czech. Kilku książąt górnośląskich (oraz książę głogowski) zgodziło się uznać Kazimierza, o ile zasiądzie istotnie na tronie czeskim. Natomiast stanowczo był mu przeciwny biskup wrocławski Konrad, który znowuż dowiódł, że duszą i ciałem zaprzedał się Niemcom: opowiedział się on oczywiście po stronie Habsburga. Wyprawa królewska zresztą i tak utknęła

pod Opawą; skoro okazało się, że Czesi nie poparli należycie sprawy Kazimierza, a nadto przyszły wieści, iż Albrecht już na dobrę umocnił się na tronie czeskim, armia polska zaniechała dalszego pochodu i niebawem wróciła do kraju. Trudno było wówczas angażować się poważnie w walkę o tron czeski dla Kazimierza, skoro sami Czesi nie umieli się zdobyć na jedność i część ich znaczna nawet poparła Habsburga. Można było natomiast pomyśleć o przyłączeniu na powrót Śląska do Polski, ale takiego rozwiązania sprawy nie życzyła sobie partia filoczeska w Polsce, która nie traciła jeszcze nadziei, że uda się wreszcie doprowadzić do unii polsko-czeskiej; tedy nie chciała sobie zrażać Czechów zatargiem o Śląsk. Na tym wszystkim wygrał tylko Habsburg; umocniwszy się w Czechach, wybrał się rychło na Śląsk i we Wrocławiu odebrał hołd stanów śląskich.

Niepowodzenie akcji na rzecz Kazimierza wywołało w Polsce ten skutek, że na dworze polskim wzrosły wpływy Oleśnickiego, który stale sprzeciwiał się współpracy z husytami i wskazywał na niemożność dojścia z nimi do porozumienia. Głos Oleśnickiego ważył teraz najwięcej u młodego króla Władysława, w związku z czym dwór polski nawiązał rokowania z Albrechtem, które nie dały Polsce żadnych korzyści, a doprowadziły jedynie do zawieszenia broni (1439). Oleśnicki potrafił odtąd narzucić swój kierunek polityki zagranicznej tym łatwiej, że zarazem rozprawił się z opozycją; gdy stronnictwo przyjazne husytom poderwało się do walki pod wodzą magnata Spytka z Melsztyna, by obalić siłą znienawidzonego biskupa, wojska królewskie zadały rokoszanom klęskę w bitwie pod Grotnikami (1439), w której zginął również sam pan na Melsztynie. Od tej chwili przez szereg lat następnych Oleśnicki rządził faktycznie w Polsce przy boku młodocianego króla.

Właśnie zaś wówczas otwarły się przed polityką polską szczególnie rozległe możliwości. Jesienią 1439 r. zmarł nagle Albrecht Habsburg; jego śmierć stanowiła (zdaniem historyka niemieckiego) „poważny cios dla sprawy niemczyzny w Czechach i na Śląsku". W istocie bowiem z rządami tego Habsburga łączyli Niemcy w krajach korony czeskiej wielkie nadzieje, licząc na to, że będą w nim mieli opiekuna przeciwko ludności słowiańskiej. Albrecht też na każdym kroku sprzyjał niemczyźnie (również i na Węgrzech, gdzie także był królem). Naraz zmieniła zupełnie sytuację śmierć Habsburga. Z małżeństwa z Luksemburżanką pozostawił on tylko córki, a dopiero go jego śmierci królowa wdowa Elżbieta urodziła syna, Władysława, zwanego Pogrobowcem. Oba państwa, Czechy

i Węgry, znalazły się bez władcy. Widoki unii polsko-czeskiej były podówczas lepsze niż kiedykolwiek. Tymczasem jednak Oleśnicki nie myślał o osadzaniu któregoś z Jagiellonów na tronie czeskim, gdyż musiałby wejść w rokowania z husytami, przed czym się wzdragał. Natomiast za główny cel swej polityki postawił sobie uzyskanie dla króla Władysława korony węgierskiej, by stworzyć przez połączenie Polski i Węgier pod jednym berłem potęgę, któraby mogła stawić czoło nawale tureckiej, obejmującej już cały półwysep Bałkański i zagrażającej krajom naddunajskim: Oleśnicki marzył o tym, aby Polska zapewniła sobie pozycję mocarstwową w Europie przez opanowanie basenu naddunajskiego i mocne oparcie swych granic o morze Czarne. W niedługim już czasie okazało się, że w znacznej mierze budował zamki na lodzie, a co gorsza, narażał Polskę na rychły konflikt zbrojny z całą potęgą turecką, którego można było przy innej polityce uniknąć. Wprawdzie znaczna część Węgrów istotnie ofiarowała tron węgierski królowi polskiemu, chcąc pozyskać tą drogą poparcie Polski w chwili, gdy groziło im już bezpośrednio niebezpieczeństwo tureckie. Ale wdowa po Albrechcie, Elżbieta, rozpoczęła walkę o prawa swego syna, niemowlęcia Władysława Pogrobowca i zyskała nawet uznanie dla niego w pewnych kołach węgierskich. W rezultacie Władysław III, który ruszył dla objęcia tronu na Węgry, musiał prowadzić żmudną walkę ze zwolennikami Habsburga, która absorbowała znaczne siły polskie i nie pozwalała polityce polskiej na poważne zajęcie się sprawą stosunku do Czech i Śląska.

Co prawda Oleśnicki, który nie chciał mieszania się w sprawy czeskie, zawsze był zwolennikiem odzyskania Śląska dla Polski. I teraz tedy starał się wyzyskać zamęt po śmierci Albrechta dla poddania Śląska pod wpływy polskie. Próbował zrazu na drodze układów ze stanami śląskimi odzyskać ten kraj dla Polski. W styczniu 1439 r. udało się do Wrocławia poselstwo polskie, na czele którego stał Mościc pan na Orlu: posłowie polscy zażądali od rady miejskiej, by opowiedziała się za uznaniem zwierzchnictwa króla polskiego, a zerwała z koroną czeską. Wrocławianie jednak odpowiedzieli stanowczo odmownie. W radzie miejskiej zasiadali sami Niemcy, którzy woleli trzymać z Habsburgami (jak przed tym wiernie stali przy Luksemburgach) i bali się po prostu, że przejście pod rządy polskie oznaczać będzie rychły upadek przewagi niemczyzny w mieście; zarazem obawiali się ukrócenia ogromnych przywilejów miasta. Nie ulega kwestii, że znaczny wpływ na decyzję wrocławian wywarło stanowisko biskupa Konrada, zaprzedane-

go zupełnie niemczyźnie. Wszak biskup ten, choć Piastowicz z pochodzenia, zawsze wrogo odnosił się do Polski i polskości. Służalec Luksemburgów, sojusznik krzyżaków, uchylał się od zwierzchnictwa arcybiskupa gnieźnieńskiego, dążąc niedwuznacznie do zerwania związków diecezji wrocławskiej z Kościołem polskim. W r. 1435 nakłonił on kapitułę do wydania statutu, zabraniającego przyjmowania „cudzoziemców" na wyższe stanowiska kościelne w diecezji wrocławskiej. Statut ten wymierzony był oczywiście przeciw Polakom, gdyż, dopuszczając na nowe stanowiska tylko ludzi, pochodzących ze Śląska, w istocie otwierał do nich drogę samym Niemcom: od dawna bowiem Niemcy śląscy starali się przeciąć Polakom dostęp do szkół i urzędów, a więc uniemożliwić uzyskanie potrzebnych kwalifikacji do piastowania wyższych stanowisk. Wrogie Polsce nastawienie patrycjatu wrocławskiego i biskupa zatruwało ówczesną atmosferę miasta, a co gorsza, oddziaływało również i na nastroje u wielu książąt, u rycerstwa i miast śląskich. Odmowa uszła na domiar Wrocławianom bezkarnie. Wprawdzie poseł polski odjechał z pogróżkami, ale mogli się ich na razie Niemcy śląscy nie obawiać, gdyż Polska wskutek polityki Oleśnickiego uwikłana była podówczas w walki o tron węgierski i nie mogła poświęcić baczniejszej uwagi Śląskowi.

Niemcy śląscy życzyli sobie władcy niemieckiego. Zrazu cieszyli się, że tron czeski zajmie książę Albrecht bawarski, którego zawezwały stany czeskie. Niebawem jednak, gdy wdowa po Habsburgu Elżbieta powiła syna, Władysława Pogrobowca, Bawarczyk uznał jego prawa do tronu czeskiego. Również stany czeskie w zasadzie zgodziły się na uznanie praw Pogrobowca, z tym jednak, że na czas jego małoletności oddały władzę regencyjną magnatowi czeskiemu, Jerzemu z Podiebradu, przedstawicielowi umiarkowanego odłamu husytów. Pogrobowiec został oddany na wychowanie na dwór swego stryja, cesarza Fryderyka III-Habsburga; tymczasem zaś Czechami faktycznie rządził Jerzy z Podiebradu. Nie w smak to było Niemcom w Czechach i na Śląsku. Liczyli przecież na to, że niebawem Pogrobowiec dorośnie i wówczas będą wreszcie znów mieli władcę-Niemca. Podkreślali tedy wciąż, że stoją po stronie Elżbiety i Pogrobowca; Jerzego z Podiebradu natomiast, którego niechętnie widzieli jako Czecha, w miarę możności wprost ignorowali. Korzystali zresztą z tego, że Jerzy miał w samych Czechach poważne trudności do pokonania i rządzili się jakiś czas sami na Śląsku, który był przez szereg lat krajem prawie bezpańskim.

Biblioteka Akademii Sztuk Generalnego

W takich warunkach Śląsk pogrążył się rychło w zamęt waśni lokalnych, ostrych sporów i konfliktów zbrojnych. Nie uchronił się też od udziału w wojnie, prowadzonej przez Polskę z Habsburgami o tron węgierski. Elżbieta bowiem, która z ogromnym uporem broniła na Węgrzech praw swego małego syna przeciwko królowi polskiemu, starała się zaszachować Polskę od ściany zachodniej, podburzając stany śląskie do najazdów na pograniczne ziemie polskie. Wrocławianie, mimo nalegań Elżbiety, nie kwapili się zrazu do podjęcia walki z Polską, zwłaszcza iż świeżo (1441) otrzymali od Władysława III przywilej, zapewniający im prawo handlu w Polsce (też na Litwie i Węgrzech). Gdy jednak Elżbieta przysłała im w pomoc silny zastęp najemników pod wodzą Leonarda Asenheimera, wrocławianie udzielili mu poparcia przeciwko Polsce. Owego Asenheimera wsparł naturalnie biskup Konrad, również i księżna Legnicy i Brzegu Elżbieta, wdowa po księciu Ludwiku II, sama pochodząca z domu Hohenzollernów (córka elektora brandenburskiego Fryderyka I). Asenheimer założył sobie kwaterę w Namysłowie i stamtąd najeżdżał pograniczne ziemie polskie, zapuszczając się aż pod Wieluń. W odwet Wielkopolanie urządzili wyprawę na Śląsk, spustoszyli okolice Namysłowa i dotarli pod Wrocław. Po stronie polskiej opowiedziało się wówczas kilku panów czeskich, osiadłych na Śląsku, jak Hynek Kruszyna z Lichnic, Jan Kolda z Żampachu i inni, którzy chętnie powstali przeciwko Niemcom. Przeszedł otwarcie na stronę polską również książę Konrad oleśnicki (rodzony brat biskupa Konrada), zwany Białym, który ciężko zgrzeszył poprzednio, łącząc się z krzyżakami, a teraz odrabiał swe winy wspomagając Polskę. Na razie przewaga orężna była po stronie Niemców, tj. Asenheimera. Zmieniło się to, gdy przybyły na Śląsk poważniejsze siły z Polski. Na ich czele Konrad Biały uderzył przede wszystkim na księstwo legnickie, mszcząc się na księżnej Elżbiecie za jej antypolskie stanowisko. Wojska polskie stanęły pod murami Legnicy; ziemie księstwa zostały przez nie opanowane. W tej sytuacji możliwe było odzyskanie całego Śląska, gdyby ze strony polskiej poparto akcję wojenną całą siłą. Tak się przecież nie stało. Ciężar walki na Śląsku podtrzymywali właściwie tylko Wielkopolanie, podczas gdy możnowładcy małopolscy zachowali się biernie, zajęci głównie posiłkowaniem działań wojennych króla Władysława III na Węgrzech. Ich stanowisko wywarło wpływ i na książąt górnośląskich, którzy wszakże ostatnio silnie ciążyli ku Polsce, a w tym okresie zachowali neutralność, nie widząc odpowiedniego zainteresowania się sprawą Śląska u panów

małopolskich (z tymi łączyły ich najbliższe związki). Działania wojenne na Śląsku były w tych warunkach właściwie tylko drobnym fragmentem, na marginesie walki na Węgrzech. Gdy tamże doszło w końcu przy interwencji papieskiej do układu między Władysławem III a Elżbietą Luksemburską, na mocy którego król polski uznany został i przez przeciwników władcą Węgier (przynajmniej na okres małoletności Władysława Pogrobowca), uspokoiło się nieco i na Śląsku. W r. 1442 zawarto zawieszenie broni między Polską i Konradem Białym z jednej, a biskupem Konradem, księżną Elżbietą legnicką i Wrocławiem (oraz miastami Świdnicą i Jaworem, które też wmieszały się do walki) z drugiej strony.

Polityka polska zmarnowała dogodną okazję odzyskania Śląska. Winą należy w tym wypadku obarczyć Oleśnickiego, który całą energię poświęcił sprawom węgierskim. Czyniąc tak, działał w istocie znacznie więcej po myśli interesów Kościoła (sprawa walki z Turkami), niż państwa polskiego. W rezultacie zresztą okazało się niebawem, że polityka Oleśnickiego narzuciła Polsce ciężary, którym nie zdołano podołać. W r. 1444 młody król Władysław III na czele wojsk węgierskich i polskich poniósł klęskę w bitwie pod Warną, gdzie złożył swą głowę na polu walki. Oleśnickiego spotkał zawód kompletny; sny jego o panowaniu Polski po Dunaj i morze Czarne, o wpływach na półwyspie Bałkańskim i wyrzuceniu Turków z Europy, zostały brutalnie rozwiane. Polityka jego przyniosła Polsce tylko poważne straty ludzkie i materialne, oraz pogrążyła dotkliwsze, że doliczyć do nich trzeba zmarnowaną okazję odzyskania Śląska i obalenia tamże przewagi niemczyzny.

Oceniając tak politykę Oleśnickiego, należy jednak zaznaczyć, że ten mąż stanu rozumiał znaczenie Śląska dla Polski i pragnął naprawdę złączenia ziem śląskich na powrót z polską macierzą. Błądził natomiast przypuszczając, że uda się to osiągnąć na drodze pokojowej. Tymczasem trudno było o tym marzyć, skoro na Śląsku wciąż przewodziła niemczyzna, stanowczo wroga związkom kraj przejściowo w zamęt wewnętrzny. Straty Polski były tym z Polską. Co prawda, Niemcy śląscy również niechętni byli rządom czeskim, tak, jak się wówczas zarysowywały, tj. rządom prawdziwego Czecha, Jerzego z Podiebradu. Ale oni jeszcze liczyli na to, że niebawem, gdy dorośnie Habsburg Pogrobowiec, wróci znów w Czechach era rządów niemieckich, jak to było ongiś za Luksemburgów: i w tej właśnie nadziei woleli trzymać się związku z królestwem czeskim. Wygrywali zaś znakomicie różnice między

Polską a Czechami, zwłaszcza antagonizmy religijne (niechęć obozu katolickiego w Polsce do husytów) i pod płaszczykiem wiernego przywiązania do Kościoła katolickiego ubijali swój interes: bronili się wszelkimi siłami przed rządami słowiańskimi na Śląsku, czy to polskimi, czy czeskimi. Koniec całej tej ich grze położyłoby porozumienie polsko-czeskie, do którego niestety nie doszło. Wobec tak wrogiego stanowiska Niemców nie powiodły się próby Oleśnickiego odzyskania Śląska na drodze pokojowej.

Drobnymi tylko sukcesami zdołał on uwieńczyć swą politykę wobec spraw śląskich. Wśród zamętu, jaki raz po raz ogarniał w XV wieku kraje korony św. Wacława i nie oszczędzał również i Śląska, wzrastała niewątpliwie w oczach Piastowiczów śląskich, zwłaszcza górnośląskich, powaga Polski. Następstwem tego była konieczność oparcia się o Polskę, jako czynnika pewnego ładu i stałości, ostoję przeciw burzom, które nawiedzały ziemie śląskie. W r. 1441 książę Wacław (z linii Piastowiczów cieszyńskich) złożył królowi polskiemu hołd z księstw oświęcimskiego i zatorskiego: stanowiło to przygotowanie terenu pod definitywne włączenie księstw do Polski w r. 1454[1]). Tenże książę cieszyński Wacław, popadłszy w długi i nie mogąc spłacić pożyczki, zaciągniętej u Oleśnickiego, sprzedał biskupowi krakowskiemu w r. 1443 księstwo siewierskie. W ten sposób dawne ziemie dzielnicy krakowskiej, przyłączone ongiś do Śląska, wracały do państwa polskiego. Granica zachodnia została znacznie oddalona od Krakowa — w kierunku zachodnim. Cząstkowe te rewindykacje ziem śląskich stanowiły drobny zaprawdę równoważnik, zgoła niewystarczający, poprostu ułamek owych rozległych możliwości, jakie nastręczały się Polsce w połowie XV wieku. Zgodzić się trzeba, że odzyskanie Oświęcimskiego, Zatorskiego i Siewierszczyzny — to zasługa Oleśnickiego. Trudno jednak przymknąć oczy na to, że Oleśnicki prowadził wielką politykę wobec spraw węgierskich, a małą jedynie wobec kwestii czeskiej i śląskiej. Nie chciał ani nawet rzetelnej współpracy polsko-czeskiej: pragnął tylko wyzyskać zamęt w Czechach dla odzyskania Śląska. Ale i w tym kierunku nie wytężył sił, ograniczając się do drobnych stosunkowo zabiegów, które też drobnymi jedynie zostały uwieńczone rezultatami. Wmieszał natomiast Polskę w interwencję na Węgrzech, która spowodowała

[1]) W r. 1454 stało się Oświęcimskie lennem Polski, a w r. 1456 Zatorskie. Po spłaceniu tamtejszych książąt oba księstwa włączono wprost do Polski w r. 1494.

tylko ofiary i straty, oraz poważne kłopoty na przyszłość. Przegrał z kretesem swą wielką politykę, bardzo niewielkie zyski zapewnił Polsce na drodze swej małej polityki. Stąd też musi się zawsze wspominać jego nazwisko, gdy się myśli o zmarnowanych okazjach śląskich w XV wieku i rozważa, kto za to winę ponosi.

Rozdział XVI

POLITYKA DYNASTYCZNA JAGIELLONÓW

Policzone były już lata przemożnych wpływów Oleśnickiego w Polsce. Nowy król, Kazimierz Jagiellończyk (1447—1492) niebawem odsunął go od rządów. Następstwem zmiany w kierownictwie polityki polskiej był też zmieniony kurs polityczny wobec spraw czeskich. Możnaby sądzić, że Kazimierz Jagiellończyk, z którego osobą łączono niedawno program unii polsko-czeskiej, pod tym hasłem prowadzić będzie politykę wobec Czech. Stało się jednak inaczej. Kazimierz zerwał wprawdzie z wrogą husytom polityką Oleśnickiego, ale zastąpił ją nie najwłaściwszym programem unii polsko-czeskiej, lecz wkroczył na drogę kombinacji dynastycznych, które przyniosły chwilowe korzyści dynastii Jagiellonów, natomiast poważne, nie do odrobienia szkody interesom Polski i Słowiańszczyzny Zachodniej. Tym to przykrzejsze, że znów nastręczały się w stosunkach czesko-polskich, a w szczególności gdy chodzi o sprawę Śląska, wielorakie możliwości, których ze strony polskiej nie umiano wyzyskać, właśnie z powodu owych niefortunnych planów i matactw dynastycznych. W konsekwencji rządy Kazimierza Jagiellończyka stanowią znów długie pasmo okazji zmarnowanych.

Wprawdzie król Kazimierz w r. 1454 dokonał włączenia księstw oświęcimskiego i zatorskiego do korony polskiej; ale i w tym względzie wykazał znaczną chwiejność, gdy wobec trudności finansowych, w jakich się znalazł skarb polski, myślał o oddaniu w zastaw najpierw Siewierszczyzny, a następnie ziemi oświęcimskiej, księciu opolskiemu Bolkowi V: mogło to sprowadzić powikłania i odroczyć, nawet zgoła uniemożliwić ostateczne związanie tychże pogranicznych ziem z Polską. Na szczęście sprzeciwiła się tym niebezpiecznym kombinacjom finansowym zdrowa opinia polska i król musiał szukać innych źródeł dochodów. Siewierszczyzna, Oświęcimskie i Zatorskie zostały trwale związane z Polską.

Wcielenie tych ziem do Polski miało stanowić (wedle przewidywań części opinii polskiej, niewątpliwie i samego Oleśnickiego) krok wstępny na drodze do odzyskania całego Śląska. Po wstępie brakło jednak ciągu dalszego, nie z braku możliwości, lecz z tej przyczyny, że Kazimierz Jagiellończyk kierował się zupełnie innymi przesłankami politycznymi. Decydujące dla jego polityki było małżeństwo (1454) z Elżbietą Habsburżanką, siostrą Władysława Pogrobowca (a więc córką Albrechta i Elżbiety Luksemburżanki). Żona-Niemka obdarzyła Kazimierza licznym potomstwem i wniosła do domu jagiellońskiego cały splot kombinacji dynastycznych, wyniesionych z gniazda habsbursko-luksemburskiego. Od tej chwili główną troską pary królewskiej było zapewnienie możliwie wszystkim synom stanowisk monarszych: w Polsce, na Litwie, oraz w Czechach i na Węgrzech, do czego podstawą miały być prawa dziedziczne królowej Elżbiety, jedynej formalnie spadkobierczyni praw do tychże królestw — w razie bezpotomnej śmierci Pogrobowca. Nie racja tedy stanu polska, ale względy polityki dynastycznej stanowiły odtąd o polityce królewskiej wobec spraw czeskich, a więc również i śląskich.

W Czechach sytuacja była nadal napięta wskutek ustawicznego ścierania się prądów narodowych czeskich z niemczyzną. Czesi burzyli się przeciw temu, że ich przyszły władca, Pogrobowiec, wychowany był na dworze cesarza Fryderyka III w Wiedniu, w duchu niemieckim. Domagali się tedy przysłania go do Pragi, gdzie pragnęli go wychować po czesku. Gdy cesarz Habsburg odrzucił ich żądania, partia narodowa czeska odpowiedziała zamachem stanu. Jerzy z Podiebradu zbrojnie opanował Pragę i ogłosił się, nie pytając już o zdanie ani cesarza, ani nieletniego Pogrobowca, namiestnikiem królestwa czeskiego. Zyskał sobie też uznanie w całych Czechach, mimo niechęci Niemców, którzy jednak nie mieli dość siły, by się temu przeciwstawić. Natomiast nadal butnie zachowali się na Śląsku, podkopując powagę władzy Jerzego z Podiebradu. W końcu cesarz Fryderyk musiał odesłać Pogrobowca do Czech. Teraz Jerzy uznał w pełni jego prawa królewskie i przeprowadził koronację młodego Habsburga, który znowuż zrozumiał, że musi zyskać sobie jakieś oparcie w narodzie czeskim i faktyczny ster rządów pozostawił w ręku Jerzego, jako przedstawiciela umiarkowanej partii husyckiej (utrakwistów).

Rozwój wypadków w Czechach przyniósł ogromne rozczarowanie Niemcom śląskim. Znosili oni jeszcze jako tako rządy namiestnicze Jerzego z Podiebradu, w nadziei, że gdy Władysław

Pogrobowiec wreszcie sam ujmie władzę, będzie ją sprawował jak przystało na króla-Niemca, tzn. będzie popierał niemczyznę. Tymczasem Pogrobowiec pozostawił kierownictwo spraw państwowych Jerzemu! Niemcy śląscy otwarcie burzyli się teraz, nie chcąc słuchać rozkazów Czecha. Okazało się wówczas jasno, że Niemcy śląscy garnęli się ongiś pod rządy czeskie nie z miłości do Czechów, tylko dlatego, że same Czechy były pod władzą niemieckiej dynastii Luksemburgów. Kiedy zaś ster rządów w krajach korony św. Wacława ujął Czech, mieli już dość związków z królestwem czeskim i zaczęli myśleć o poddaniu się pod inne zwierzchnictwo. Najchętniej byliby uznali wprost zwierzchnictwo cesarskie. Ale Fryderyk III Habsburg był władcą niedołężnym i zbyt dużo miał trudności w Rzeszy, by mógł jeszcze zapewnić opiekę Niemcom śląskim. Nie widząc innego wyjścia, zaczęli w końcu Niemcy, a zwłaszcza wrocławianie, zwracać oczy ku Polsce, ku tej Polsce, którą dotąd uparcie zwalczali! Taki zwrot nastrojów we Wrocławiu da się jedynie wytłumaczyć szczególnym podówczas zespoleniem przeciwieństw narodowych z religijnymi. Jerzego z Podiebradu nienawidzili Niemcy śląscy, katolicy, jako Czecha i jako husytę. Nie przekonywało ich to, iż Jerzy należał do kierunku umiarkowanego wśród husytów czeskich i nawet nie był w owym czasie zwalczany przez papieża, gdyż głosił ideę porozumienia Kościoła narodowego czeskiego z katolicyzmem. Na Śląsku szerzył się ówcześnie silny prąd fanatyzmu katolickiego, podniecony jeszcze przyjazdem mnicha Jana Kapistrana, który jeździł po różnych krajach, płomiennym głosem nawołując do pogłębienia życia religijnego i do wielkiej wyprawy na Turków[1]). Tłumy z całego Śląska przybiegały do Wrocławia, by słuchać jego kazań. Podniecenie religijne ludności kierowało się tylko w teorii przeciwko zwolennikom Islamu, zbyt odległym; natomiast w praktyce przeciwko wszystkim innowiercom, jak żydom (wybuchły wówczas we Wrocławiu i innych miastach śląskich ekscesy antysemickie) i czeskim husytom. Tylko w tych warunkach było możliwe, że Niemcy śląscy dopuszczali już myśl poddania się Polsce, państwu katolickiemu, byleby tylko uwolnić się spod rządów Jerzego z Podiebradu,

[1]) Warto zanotować taki interesujący fakt: Jan Kapistran głosił kazania na Śląsku po łacinie i tłumy słuchały go w skupieniu, choć dla wielu był to język niezrozumiały; gdy natomiast jego towarzysz próbował tłumaczyć słowa na język niemiecki, tłumy rozchodziły się, nie chcąc dalej słuchać. Najlepszy to dowód, jak stosunkowo mało było wśród owych mas słuchaczy — Niemców.

okrzyczanego za heretyka. Wzburzenie Niemców było tym większe, gdy Władysław po koronacji (1453) oddał Jerzemu w dziedziczne posiadanie Kłodzko, Ziębice i Ząbkowice, a więc wprowadził heretyka do rzędu książąt śląskich!

Co prawda u tych Niemców śląskich więcej było krzyku, niż istotnej ochoty do walki. Gdy Pogrobowiec wezwał stany śląskie do Pragi dla złożenia mu hołdu i przysięgi wierności, stawili się w stolicy Czech książęta śląscy, ale nie przybyli przedstawiciele miast, podległych wprost koronie czeskiej, a więc Wrocławia, Świdnicy i Jawora Niebawem jednak Świdnica i Jawor ukorzyły się przed królem, podobnie i biskup wrocławski Piotr II (następca Konrada). Najdłużej trwał w oporze Wrocław, — dopóki wreszcie Pogrobowiec nie przybył na Śląsk ze znacznym zastępem zbrojnym (1454). Wówczas i wrocławianie ulegli, a za przydługi opór musieli zapłacić duże odszkodowanie pieniężne, co zapewne jeszcze bardziej kupców wrocławskich nastroiło wrogo do pierwszego doradcy króla, Jerzego z Podiebradu. W czasie pobytu króla we Wrocławiu doszło do takiego napięcia między Czechami z orszaku Władysława a Niemcami, że groził już konflikt zbrojny, ledwie zażegnany. Jerzy starał się teraz pospiesznie wzmocnić osłabioną pozycję czeską na Śląsku i osadził we Wrocławiu, w Świdnicy i Jaworze guberatora Czecha, Henryka z Rożmberka (zresztą katolika), a niebawem zlecił mu namiestnictwo całego Śląska. Tenże Henryk znowuż swymi wpływami przeprowadził po śmierci Piotra II obiór swego brata, Jodoka z Rożmberka, na stolicę biskupią wrocławską. Obaj Czesi byli katolikami, więc formalnie nie mogli Niemcy przeciw nim występować. Ale nienawiść ich do Jerzego wzrosła jeszcze bardziej.

Dalszy bieg wypadków prowadził do nowego zaostrzenia sytuacji. Pod koniec r. 1457 zmarł niespodziewanie 18-letni zaledwie Władysław Pogrobowiec. Największe prawa do dziedzictwa po bezpotomnym bracie miała teraz Elżbieta, żona Kazimierza Jagiellończyka. Tymczasem jednak Węgrzy obrali królem swego rodaka, Macieja Korwina Hunyady'ego, a za ich przykładem Czesi wynieśli na swój tron Jerzego z Podiebradu (1458). Stany śląskie nie chciały go uznać swym panem i na zjeździe we Wrocławiu uchwaliły odroczyć uznanie Jerzego aż do chwili, gdy „na właściwym miejscu" zostanie stwierdzona jego prawomyślność w rzeczach wiary. Katolicy śląscy wzdragali się uznać władcą-heretyka, a Niemcy wygrywali te nastroje, bo nienawidzili Jerzego

przede wszystkim jako Czecha. Wielu z nich zwracało oczy — ku Polsce. Ale Kazimierz Jagiellończyk zadowolił się jedynie oficjalnym stwierdzeniem praw swej żony do spadku po Pogrobowcu: w istocie nie myślał na razie mieszać się w sprawy czeskie czy choćby tylko śląskie, gdyż pochłonięty był w zupełności wojną z krzyżakami, która miała ostatecznie pognębić butny zakon niemiecki. Co więcej, starał się nawet o dobre stosunki z Jerzym, gdyż pragnął zapewnić sobie życzliwe stanowisko króla Czech wobec konfliktu polsko-krzyżackiego.

W tych warunkach stany śląskie zdane były zupełnie na siebie, zwłaszcza, że i spodziewane moralne przynajmniej poparcie papieża zawiodło, gdyż Pius II starał się o dobre stosunki z Jerzym, pragnąc doprowadzić na drodze pokojowej do powrotu husytów czeskich na łono Kościoła katolickiego. Nie widząc innego wyjścia, stany śląskie w większości uznały swym władcą Jerzego. Wrocław trwał jednak w oporze; szowinizm germański i fanatyzm katolicki podały sobie ręce, do głosu doszły w mieście żywioły nieprzejednane. Nie posłuchano nawet napomnień papieża, ani tym bardziej rad biskupa Czecha, którzy zgodnie zalecali uznanie Jerzego. W końcu król czeski wyprawił się na Śląsk (1459) i sprowadził dużą armię, chcąc siłą zmusić Wrocław do posłuszeństwa. Miasto jednak było dobrze umocnione i zdołało nawet odeprzeć atak Czechów. Jerzy nie chciał zresztą użyć całej swej siły, by nie zrażać sobie opinii gorliwych katolików, którzy w upartych wrocławianach widzieli obrońców prawdziwej wiary. Jako polityk, wolał sprawę załatwić pokojowo, zwłaszcza, że pilno mu było wracać do Czech, gdzie miał też dość kłopotów z tamtejszymi Niemcami. Spodziewał się, że przychylny mu papież Pius II zdoła wreszcie przemówić wrocławianom do rozumu. W istocie papież zlecił osobnym wysłannikom załatwienie sprawy wrocławskiej. Pod ich wpływem w mieście przeważyły wreszcie żywioły umiarkowane i doprowadziły do układu z Jerzym: hołd miasta odłożono wprawdzie na lat trzy (aż do wyjaśnienia ostatecznego, czy Jerzy jest katolikiem czy heretykiem), tymczasem jednak miasto miało mu być posłuszne, w zamian za co otrzymało potwierdzenie swych przywilejów i przyznanie radzie miejskiej praw władzy starościńskiej na terenie księstwa wrocławskiego (co oznaczało usunięcie starosty czeskiego). Jerzy zadowolił się takim rozwiązaniem sprawy. Niebawem udali się do Pragi posłowie Wrocławia i pokornie prosili o przebaczenie win, a wówczas Jerzy potwierdził układ z miastem.

Kazimierz Jagiellończyk zachował wobec wydarzeń śląskich zupełną neutralność. Co więcej, wszedł w rokowania z Jerzym i na zjeździe w Głogowie w r. 1462 zawarł z nim układ: Jerzy uznał formalnie ostatnie nabytki polskie na Śląsku (Siewierz, Oświęcim, Zator), a Kazimierz obiecał nie wysuwać pretensji swej żony do spadku czeskiego — aż do końca życia Jerzego. Król polski zapewnił sobie w ten sposób przychylność króla czeskiego, potrzebną mu w chwili, gdy rozgrywał sprawę krzyżacką; Jerzy zaś zyskiwał przyrzeczenie Polski nie mieszania się w sprawy Czech i Śląska, co oznaczało poważne wzmocnienie jego władzy królewskiej. Utalentowany ten polityk, wybitny patriota czeski, chciał przede wszystkim zapewnić spokój swemu krajowi: wobec spraw śląskich zachował znaczne umiarkowanie, pragnąc pojednawczością stępić ostrze opozycji niemiecko-katolickiej.

Niemcy posiadają tę właściwość charakteru, że pojednawczość przeciwnika oceniają jako słabość, a liczą się tylko z pokazem brutalnej siły. Tak było i wówczas. Wrogie nastroje Niemców wrocławskich jeszcze się wzmogły. Nieustannie oskarżali Jerzego w Rzymie jako heretyka i swymi intrygami w niemałej mierze przyczynili się do pogorszenia stosunków między Piusem II a królem czeskim. Gotów zrazu do porozumienia z umiarkowanym odłamem husytów, zmienił papież taktykę i w r. 1462 wezwał Jerzego do zupełnego zerwania z Kościołem narodowym czeskim, potępiając zarazem umowy, zawarte swego czasu na soborze w Bazylei z umiarkowanymi husytami (utrakwistami). Jerzy z Podiebradu odpowiedział odmownie. Teraz Niemcy wrocławscy zacierali ręce z radości. Niebawem uzyskali od papieża zwolnienie z poprzedniego przyrzeczenia złożenia hołdu Jerzemu po upływie trzech lat. Miasto zajęło wobec króla czeskiego otwarcie postawę wrogą. Przyjmowało triumfalnie w swych murach nuncjusza arcybiskupa Hieronima z Krety, który stał się faktycznym zarządcą Wrocławia. Władzy Jerzego nie uznawano w ogóle w mieście. Doszło nawet do gorszących scen między nuncjuszem a biskupem Jodokiem, zwolennikiem porozumienia z Jerzym. Gdy zaś Pius II zamknął powieki, nowy papież Paweł II natychmiast podjął ostry kurs wobec husytów czeskich i króla Jerzego. Wywołał rozłam w Czechach, odrywając katolików czeskich od Jerzego, a następnie samego króla wezwał do Rzymu dla usprawiedliwienia się z błędów heretyckich. Jerzy oczywiście nie stawił się, nie chcąc podzielić losu Husa. Wówczas papież (1466) rzucił nań klątwę, zwalniając poddanych od posłuszeństwa.

Szał upojenia ogarnął wrocławian: nie byli już sami. Przeciw Jerzemu powstali w Czechach magnaci katoliccy, a na Śląsku dwaj książęta, Baltazar żagański i Mikołaj I opolski stanęli po stronie Wrocławia; natomiast inni książęta zajęli stanowisko wyczekujące, oglądając się m. i. na stanowisko Polski. Sami wrocławianie gotowi byli poddać się wówczas pod zwierzchnictwo polskie, byleby tylko uwolnić się ostatecznie od władzy „heretyka i uzurpatora". Na wieść o zawarciu pokoju polsko-krzyżackiego w Toruniu (w październiku 1466 r.), w którym Polska przynajmniej częściowo zbierała rezultaty Grunwaldu i odzyskiwała dostęp do morza, oraz zapewniała sobie zwierzchnictwo nad Prusami Wschodnimi, — wrocławianie uderzyli w dzwony, śpiewali po kościołach „Te Deum", wieczorem urządzili iluminację miasta! Czyżby cieszyli się ze zwycięstwa Polski nad niemczyzną? Napewno nie, lecz radzi byli, że Polska zakończyła zmagania z krzyżakami i będzie wreszcie mogła, mając wolne ręce, zająć się sprawą Śląska, tzn. udzieli im pomocy przeciwko Jerzemu. Nowy legat papieski Rudolf, który podsycał fanatyzm wrocławian, zwrócił się w imieniu papieża do króla Kazimierza z formalną propozycją wystąpienia zbrojnego przeciw Jerzemu, co miało przynieść Kazimierzowi lub jednemu z jego synów koronę czeską: w każdym zaś razie obiecywał Kazimierzowi „pełne posiadanie Śląska i Łużyc"!

Sytuacja była taka, że Śląsk faktycznie odpadł od Czech i trzeba było tylko wyciągnąć rękę po ten kraj. Kazimierz jednak dał legatowi odpowiedź wymijającą i podjął niebawem akcję pośredniczącą między Jerzym a jego zbuntowanymi poddanymi. Jakież były powody takiej polityki króla polskiego? Kazimierz liczył się po części z tym, że Polska, ukończywszy świeżo wojnę 13-letnią z krzyżakami, potrzebuje wytchnienia, nie może się tedy angażować w nową wojnę z Czechami. Brał i to pod uwagę, że w masach szlachty polskiej, które wówczas po raz pierwszy doszły poważniej do głosu, osłabiając przemożną dotąd pozycję magnaterii, nurtowały znaczne sympatie do Czechów i wojna z nimi nie byłaby popularna, a nawet napotkałaby na liczne sprzeciwy. Najważniejsze jednak dla Kazimierza były motywy dynastyczne. Królowi nie chodziło o Śląsk, bo w grę wchodziła stawka dla niego o wiele ważniejsza: chciał on wyzyskać trudną sytuację Jerzego w tym kierunku, by zmusić go do uznania następcą w Czechach jednego z Jagiellonów. Gdybyż jeszcze Kazimierz myślał o realizacji unii polsko-czeskiej, jak mu to proponowali niebawem (1467) panowie czescy (katolicy) i biskup wrocławski, gdy właśnie jemu ofiarowali koronę czeską

Co prawda tylko jeden odłam Czechów zwracał się z taką propozycją, natomiast husyci stali twardo przy Jerzym z Podiebradu. Przy zręcznej polityce można było przecież ominąć wiele przeszkód i ostatecznie myśl unii polsko-czeskiej przeprowadzić, bo w końcu i husyci pogodziliby się zapewne z rządami króla polskiego (jako króla Czech), gdyż Czechy znajdowały się w niezwykle krytycznym położeniu, osamotnione, otoczone zewsząd przez wrogów, tym groźniejszych, że zespolonych chwilowo wspólną nienawiścią do herezji husyckiej. Ale Kazimierz nie dla siebie pragnął tronu czeskiego, lecz dla jednego ze swych synów, zwłaszcza dla najstarszego — Władysława. Król polski bowiem uprawiał politykę nie polską, lecz dynastyczną, bo chciał zapewnić dobre stanowiska monarsze swym synom, dbały o wypełnienie obowiązków dobrego ojca rodziny, a niepomny swych powinności wobec Polski, wobec państwa i narodu, którym władał. Zamysły dynastyczne przesłaniały mu wszystko inne, stąd też działał wbrew wymogom racji stanu polskiej.

Chcąc rzecz ocenić bezstronnie, trzeba przypomnieć, że wybranie właściwej drogi działania nie było zbyt łatwe. W istocie bowiem król miał do wyboru dwie drogi, obie dające się pogodzić z racją stanu polską. Przyjąwszy koronę czeską i przeprowadziwszy unię Polski z Czechami, przysporzyłby ogromnych korzyści całej Słowiańszczyźnie Zachodniej, a więc pośrednio i Polsce. Inaczej wówczas potoczyłoby się koło dziejów, w szczególności inaczej układałyby się stosunki słowiańsko-germańskie. Przypuśćmy jednak, że realizacja unii polsko-czeskiej nastręczałaby zbyt poważne trudności, których Kazimierz się uląkł. Państwo polskie było już połączone unią personalną z Litwą, władca obu państw miał tedy już przez to samo nader trudne zadania do spełnienia i obawiać się mógł jeszcze jednej korony na swych skroniach, któraby mogła stać się nie lada ciężarem: objęcie tronu czeskiego, co już samo zresztą nie obyłoby się bez walki (wobec rozbicia politycznego i religijnego w Czechach), otwarłoby przed władcą Polski, Litwy i Czech nowe zagadnienia, związane z wewnętrzną i zagraniczną sytuacją Czech, których rozwiązanie nie było bynajmniej łatwe: zapewne przekraczałoby to nawet możliwości Kazimierza Jagiellończyka, który był władcą przeciętnym. Ale była w takim razie jeszcze druga droga wyzyskania zamieszek czeskich. Można było i należało skorzystać z zamętu i przyłączyć na powrót Śląsk do Polski. Polska miała po temu pełne prawa historyczne, narodowościowe, oraz moralne: wszak Śląsk odpadł w ten sposób od Polski, że władcy Czech (zresztą Niemcy) wyzyskali trudności państwa

polskiego w XIV wieku i zagarnęli ziemie piastowskie, — czemużby Polska nie mogła teraz swej krzywdy dziejowej odrobić? Dodajmy nadto, że odzyskanie Śląska stanowiłoby nie tylko ogromną korzyść dla Polski, ale i dla całej Słowiańszczyzny. Rządy czeskie bowiem w XIV wieku przyspieszyły tylko germanizację znacznej części Śląska, a odrodzenie narodowe czeskie w XV wieku nie zdołało wyrwać już Śląska trwale ze szponów niemczyzny.

Czesi sami mieli u siebie tak wielkie trudności, że w latach następnych z największym tylko wysiłkiem bronili się przed falą germańską, i w rezultacie musieli jej ulec, tracąc niepodległość — na całe wieki. Same Czechy dostały się niebawem znowuż pod rządy niemieckie (habsburskie) i Śląsk, jako część korony czeskiej, wydany był ponownie na łup germanizacji. Tylko Polska mogła uratować Śląsk dla Słowiańszczyzny. Odebranie Śląska Czechom nie było dla nich istotną krzywdą, bo kraju tego i tak nie mogli utrzymać i obronić przed falą germańską. Co więcej, ponowne zajęcie Śląska przez Polskę przyniosłoby niechybnie znaczne korzyści też i samym Czechom, bo zbliżyłoby znowuż Polskę, potężny kraj słowiański, do Zachodu, pozwoliłoby jej nawrócić na dawne szlaki dziejowe piastowskie, umożliwiłoby jej niesienie pomocy właśnie Czechom i ratowanie ich przed zalewem germańskim. Jednym słowem, odzyskanie Śląska przez Polskę dałoby korzyść nie tylko samej Polsce, ale całej Słowiańszczyźnie Zachodniej. Jeśli tedy realizacja unii polsko-czeskiej połączona była ze zbyt wielkimi trudnościami, to należało przynajmniej wykonać zadanie łatwiejsze, zapewne w mniejszej skali dziejowej, ale przysparzające również bardzo znaczne korzyści Polsce i światu słowiańskiemu. Zajęcie Śląska było w istocie sprawą nietrudną, bo kraj wyłamał się spod rządów czeskich, bo same stany śląskie gotowe były przyjąć polskie zwierzchnictwo (nawet Niemcy śląscy!), bo Śląsk przyznawał Polsce sam papież, najwyższa podówczas powaga moralna w Europie. — Kazimierz jednak Śląska nie zajmował, gdyż nie chciał sobie zrażać Czechów: on pragnął w porozumieniu z Jerzym osadzić na tronie czeskim swego syna Władysława i oddać mu wszystkie ziemie korony św. Wacława w stanie niepodzielnym. Myślał o interesach swego syna, a przymknął oczy na interes Polski. Wskutek tego zmarnował najlepszą okazję odzyskania Śląska dla Polski, a Czechów, jak wkrótce zobaczymy, bynajmniej nie uszczęśliwił[1]).

[1]) Jak żywe jeszcze było w ówczesnej opinii polskiej pragnienie odzyskania Śląska, świadczą najlepiej słowa wielkiego historyka-patrioty

Po tych uwagach wróćmy do krótkiego przeglądu biegu wypadków. W r. 1466 zaczęły się działania wojenne na Śląsku, między oddziałami najemników wrocławian a wojskiem czeskim. Uzyskawszy posiłki kilku innych książąt śląskich (większość zachowała stanowisko wyczekujące), zastępy wrocławian przeszły do akcji zaczepnej, uderzając na ziemie, znajdujące się w ręku czeskim: opanowały Ziębice i Ząbkowice. Niebawem jednak nadciągnęły większe siły czeskie od strony Kłodzka, zajęły Ziębice i Paczków oraz otoczyły główne siły wrocławskie w Ząbkowicach, które w końcu zdobyto. Armia wrocławska została zniszczona (1467). Strach padł teraz na Niemców wrocławskich. W lipcu 1467 r. przybyło do Krakowa poselstwo katolików czeskich, biskupa wrocławskiego i — miasta Wrocławia; podążył do grodu wawelskiego też nuncjusz Rudolf. Wszyscy zabiegali o pomoc przeciwko Jerzemu z Podiebradu, a magnaci czescy ofiarowali Kazimierzowi koronę Czech. Król polski przecież prowadził nadal swą politykę i zaproponował pośrednictwo. Cóż, kiedy przeciwnicy Jerzego ani myśleli o zgodzie i na zjeździe we Wrocławiu (w grudnia 1467) ustalili między sobą, że o porozumieniu z heretykiem nie może być mowy. Do Wrocławia przybyli również posłowie polscy, ale zawiedli nadzieje obradujących, gdyż nie przywieźli obietnicy pomocy polskiej, a tylko ponownie ofiarowali polskie pośrednictwo. Dzięki ich staraniom doszło istotnie do chwilowego zawieszenia broni między walczącymi. Król polski chciał godzić ogień z wodą, w mniemaniu, że uda mu się sklecić jakieś porozumienie i przygotować teren dla swych planów dynastycznych. Nie liczył się z tym, że rozognienie po obu stronach było już zbyt silne. Na domiar przeciwnicy Jerzego, nie doczekawszy się poparcia ze strony Polski, poszukali go sobie gdzie indziej — u króla węgierskiego Macieja Korwina.

Ambitny król węgierski posłuchał wezwania przeciwników Jerzego i wystąpił w roli obrońcy katolicyzmu przeciwko zakusom herezji: w istocie myślał przede wszystkim o zdobyczach terytorialnych i łupach dla swych żołnierzy. Zrazu chciał działać przeciw Jerzemu w porozumieniu z Polską. Gdy jednak Kazimierz znów odmówił, Maciej postanowił działać na własną rękę i wkroczył

Długosza, który w swej kronice pod rokiem 1466 (wyrażając radość z powodu odzyskania Pomorza Wschodniego przez Polskę) zapisał: „Szczęśliwym mienię siebie i współczesnych, bo oczy nasze oglądają ziemice ojczyste w jedną całość połączone. Ale jeszcze szczęśliwszym czułbym się, gdybym za łaską Bożą doczekał odzyskania i zjednoczenia z Polską Śląska.. Z radością schodziłbym do grobu i słodziej by mi się tam odpoczywało".

z wojskiem na Morawy. W Ołomuńcu stanęło przed nim poselstwo polskie, próbując akcji pośredniczącej; zanim jednak osiągnęło jakieś rezultaty, tymczasem dokonały się już ważne wypadki. Przeciwni Jerzemu magnaci czescy (też i Niemcy) obwołali Macieja królem Czech w Ołomuńcu (1469). W tej sytuacji Jerzy z Podiebradu uznał, że uratować zdoła Czechy przed Niemcami i Węgrami jedynie tylko przy pomocy Polski. Tedy zaniechał myśli zapewnienia następstwa na tronie czeskim swym synom i postanowił nakłonić stany czeskie do obioru Władysława Jagiellończyka, syna Kazimierza. W istocie sejm czeski w Pradze w czerwcu 1469 r. obrał Władysława królem czeskim, z tym zastrzeżeniem, że Jerzy z Podiebradu zachowa dożywotnio władzę królewską. Co prawda uchwała praska miała w ówczesnych warunkach nieco osłabione znaczenie, gdyż przeprowadziła ją partia umiarkowanych husytów, natomiast magnaci katoliccy opowiedzieli się wcześniej w Ołomuńcu za Maciejem. Mimo to Kazimierz przyjął teraz propozycję czeską; również zjazd stanów polskich w Piotrkowie wyraził zgodę na objęcie tronu Czech przez Władysława. Polacy przyrzekli zarazem, że postarają się pogodzić Czechów ze Stolicą Apostolską. Sprawa to jednak była niełatwa. Wprawdzie papież gotów był uznać Władysława królem czeskim; skłaniał się nawet ku temu Maciej, ale pod tym warunkiem, że obali się najpierw rządy Jerzego, „króla kacerzy": tymczasem Kazimierz chciał tron czeski zapewnić synowi właśnie za zgodą Jerzego i husytów. Na razie tedy o porozumieniu nie było mowy.

Maciej uderzył na czele wojsk węgierskich na same Czechy, ale został odparty. Wówczas zwrócił swą zaborczość w stronę Śląska. Drogą na Nysę udał się do Wrocławia, gdzie odbył wjazd triumfalny (w maju 1469 r.), witany radośnie przez Niemców wrocławskich, którzy woleli mieć pana Węgra, niż Czecha lub Polaka. Rada miejska złożyła mu hołd poddańczy (jako królowi Czech), a niebawem stawili się z hołdem również książęta śląscy. Maciej zaczął się rządzić na Śląsku, przyznając m. i. Fryderykowi I legnickiemu księstwo legnickie (o które toczyły się zażarte spory przez szereg lat), oraz nadając Henrykowi XI głogowskiemu również i tę część księstwa głogowskiego, która jakiś czas należała wprost do korony czeskiej.

Sielanka niemiecko-węgierska nie trwała jednak długo. Wkrótce okazało się, że Jerzy z Podiebradu ma dość jeszcze wojska, by wkroczyć na Śląsk i szukać pomsty na tych, którzy tak skwapliwie poddali się Maciejowi. Niemcy śląscy nazbyt zaufali potędze Ma-

cieja i myśleli, że on ich będzie bronił przed Czechami — przy pomocy wojsk węgierskich. Natomiast Maciej uważał, że Śląska powinni bronić przede wszystkim Ślązacy i żądał od stanów śląskich wojska i pieniędzy. Wielu tedy na Śląsku ochłódło w sympatiach ku Węgrom. Pierwsi odpadli od Macieja książęta górnośląscy, zwłaszcza że nie chcieli się narażać na konflikt z królem polskim, który musiał w końcu wystąpić w obronie praw swego syna. Zamieszanie w kraju rosło. Śląsk niszczyły wojska czeskie, a niemniej i węgierskie.

W marcu 1471 r. zmarł Jerzy z Podiebradu, co o tyle wyjaśniło sytuację, że teraz na sejmie czeskim w Kutnej Horze wybrano ponownie Władysława Jagiellończyka głosami umiarkowanych husytów i części katolików: znaczna grupa magnatów katolickich trzymała zresztą nadal stronę Macieja. Władysław udał się do Pragi, gdzie 21 sierpnia 1471 r. koronowany został na króla Czech. Niestety miał w ręku tylko same Czechy, gdyż na Morawach i na Śląsku przeważał Maciej. Między dynastią Jagiellonów a Maciejem musiało tedy dojść do konfliktu. Król Kazimierz chciał w ten sposób pomóc synowi, że wszedł w porozumienie z przeciwnikami Macieja na Węgrzech: ci zawiązali nawet spisek przeciw Maciejowi i zaprosili na tron węgierski młodszego syna króla polskiego, królewicza Kazimierza. Królewicz ruszył na Węgry z zastępem zbrojnym, ale został pokonany przez wojska Macieja i wyparty. Nieudała impreza węgierska miała tylko ten skutek, że zaostrzyła stosunki między Maciejem a Jagiellonami. Król węgierski tym bardziej zacięcie zwalczał Władysława w krajach czeskich. Słaby Jagiellończyk nie umiał tamże opanować sytuacji, mimo że na Śląsku większość książąt opowiedziała się teraz przy nim; w rezultacie Maciej miał po swej stronie jedynie miasto Wrocław, ośrodek co prawda najmożniejszy, znaczący więcej od książąt, którzy nie stanowili jedności, lecz tkwili w nieustannych sporach i walkach wzajemnych. Niewiele miał tedy Władysław pociechy z tego, że uznali go prawie wszyscy Piastowicze, a również i synowie Jerzego z Podiebradu, którym ojciec oddał w posiadanie Opawę, Ziębice i Ząbkowice, choć przyznać trzeba, że owi Podiebradowicze jeszcze dość ostro występowali przeciw załogom węgierskim na Śląsku. Poprawić istotnie pozycję Władysława w krajach czeskich mogła tylko wydatna pomoc Polski.

Gdy wszystkie próby rokowań z Maciejem, celem nakłonienia go do ustąpienia z krajów korony św. Wacława, zawiodły, przygotował król Kazimierz wielką wyprawę polską przeciwko Macie-

jowi. Uderzenie miało być wymierzone przede wszystkim na Śląsk. Uprzedził przeciwników Maciej i w początkach 1474 r. przybył na Śląsk, gdzie rozprawił się z opornymi książętami, odbierając im całe ziemie i grody. Od stanów śląskich wycisnął nadto bardzo znaczne podatki i osiadł we Wrocławiu, osadzając w tymże mieście i w ważniejszych strategicznie punktach mocne załogi węgierskie, które dotkliwie dały się we znaki ludności łupiestwem i gwałtami. Na domiar Maciej nękał ludność surowymi zarządzeniami wojennymi, nakazując np. żywność zwozić do miast obronnych, względnie niszczyć, by uniemożliwić przeciwnikom aprowizację wojska na miejscu. Późnym latem 1474 r. znaczna armia polska (złożona jednak głównie z pospolitego ruszenia, a więc niekarna i ustępująca pod względem wyćwiczenia i wprawy bojowej najemnym wojskom Macieja) wkroczyła na Śląsk. Przy armii znajdował się sam król Kazimierz, ale dowództwo sprawował marszałek koronny Jan Rytwiański, który na tym stanowisku zupełnie nie dopisał. Polacy zajęli Byczynę, Kluczbork i Oleśnicę, po czym przeprawili się na drugi brzeg Odry i podsunęli się pod Wrocław, pozostawiwszy na prawym brzegu rzeki Opole i Brzeg w ręku Węgrów; utrudniało to znacznie armii polskiej swobodę ruchów i komunikację z krajem, niezbędną choćby ze względu na aprowizację wojska. Po połączeniu się z armią czeską, którą przyprowadził Władysław, Jagiellonowie dysponowali znacznie większymi siłami niż Maciej. Ale w armii polsko-czeskiej brakło zdolnego wodza, podczas gdy Maciej wykazał niezwykłą energię i talenty wojskowe. O zdobyciu Wrocławia, doskonale umocnionego, zaopatrzonego w doborową załogę i artylerię, nie można było myśleć. Polaków i Czechów ogarnęło zniechęcenie, zwłaszcza że brakło żywności (transporty z Polski chwytały podjazdy węgierskie), a nadto nastały przedwcześnie mrozy. Straty w ludziach i koniach były tak wielkie, szanse zaś wojenne tak nikłe, że Jagiellonowie dali za wygraną. W listopadzie odeszli spod Wrocławia Czesi, w grudniu zaś wróciła do Polski armia polska. Szeregi jej były bardzo przerzedzone. Wielu padło na polu bitwy, lub dostało się w niewolę węgierską, gdzie ich morzono głodem; przedniejszych Polaków Węgrzy (na rozkaz Macieja!) uśmiercali na miejscu, nie chcąc obarczać się zbyt wielu jeńcami. Na domiar żołdactwo Macieja napadało i łupiło pograniczne ziemie polskie. W tych warunkach Kazimierz i Władysław zawarli zawieszenie broni z Maciejem, który został w posiadaniu Moraw i Śląska.

Odkąd Polska istniała, nie pamiętano jeszcze tak niesławnej wyprawy. Nic tedy dziwnego, że sarkano głośno na wodzów i na

króla, krytykując otwarcie jego politykę dynastyczną. Wszak Polacy ginęli i marnieli na Śląsku dla sprawy Władysława, króla Czech: dla niego to zdobyć chciał Kazimierz Śląsk, a nie dla Polski! Wobec takich nastrojów stany polskie odmówiły Kazimierzowi dalszych ofiar na tę wojnę, która powodowała nowe komplikacje, gdyż Maciej szkodził, gdzie mógł, Polsce, podsycając na Warmii (przyłączonej w r. 1466 do Polski) bunt biskupa Tungena (Niemca) i nakłaniając krzyżaków do nowego występowania przeciwko Polsce. W krajach czeskich dalsza wojna przyniosła tylko dalsze zniszczenia (też i na Śląsku), a nie zmieniła zasadniczo sytuacji. W końcu Władysław Jagiellończyk musiał zawrzeć pokój z Maciejem w Ołomuńcu w r. 1479: Maciej zachował dożywotnio Morawy, Śląsk i Łużyce, tak że Władysławowi pozostały tylko same Czechy.

Co najgorsze, ucierpiała znacznie powaga Polski na Śląsku. Kiedy niedawno jeszcze zwracano się do niej, widząc w przyłączeniu Śląska do Polski najlepsze wyjście z ówczesnych kłopotów, teraz orientacja polska była w zaniku. Jedni trzymali stronę Władysława, króla czeskiego, inni Macieja, króla węgierskiego. Któż miał się opowiadać za Polską, skoro widoczne już było, że król polski chce tylko zapewnić w krajach czeskich rządy synowi, a ani myśli o związaniu Śląska z Polską! Wskutek polityki dynastycznej Jagiellonów nie tylko zmarnowano najlepszą okazję odzyskania Śląska, ale też zatracono na jakiś czas dobre imię państwa polskiego w oczach ludności śląskiej.

Ziemie śląskie rządzone były teraz przez szereg lat przez Macieja. Król węgierski dał ludności odczuć swą silną rękę. Ustanowił w Wrocławiu swego namiestnika, Węgra Stefana Zápolyę, a najwięcej posługiwał się w sprawach zarządu Śląska zausznikiem Niemcem, Jerzym Steinem. Ten to udzielał przede wszystkim królowi rad, jakimi sposobami wyciągać jak najwięcej środków materialnych ze Śląska. Na kraj nakładano wielkie ciężary podatkowe, a niezależnie od tego Maciej ciągnął dochody z bicia fałszywej monety, którą zalewano kraj, rujnując życie gospodarcze. Na domiar spokoju i bezpieczeństwa nie umiał zapewnić. W kraju, przez który przeciągała wielokrotnie zawierucha wojenna, panowało prawo pięści. Rycerze, a nawet książęta pod pozorem walki z przeciwnikami politycznymi uprawiali często zwyczajny rabunek, stając się prawdziwą plagą spokojnej ludności. Silnie warowne zamki, położone w miejscach trudno dostępnych (zwłaszcza u podnóża gór Czeskich) stanowiły gniazda tych rycerzy i książąt rabusiów. Maciej urządzał przeciw nim wyprawy i kilka takich ośrodków rozbójniczych

zlikwidował. Ledwie jednak król opuścił kraj, udając się do swych Węgier, a już tworzyły się nowe gniazda grabieży i łupiestwa. Wśród książąt śląskich Maciej był znienawidzony, podobnie jak i jego doradcy. Książęta ulegali mu, ustępując przed siłą; bywały jednak wypadki, że ośmielali się potężnemu królowi przeciwstawić. Polityka Macieja szła zresztą po linii usuwania książąt śląskich, tak Piastowiczów, jak i Podiebradowiczów, a przynajmniej uszczuplania ich dzierżaw. Jakiś czas protegował Maciej Jana księcia na Przewozie, następnie na Żaganiu, awanturnika i rozbójnika, który zagrabił księstwo żagańskie, ale rychło sprzedał je książętom saskim, wskutek czego Żagań odpadł od Śląska. Jan żagański przyszedł również w posiadanie księstwa głogowskiego, lecz znów wynagrodził pretensje Hohenzollernów brandenburskich (spowinowaconych z ostatnimi książętami głogowskimi) przez wydanie im Krosna, Sulechowa i Lubska.

Niemcy chwytali w swe łapczywe ręce kawałki Śląska, a Maciej nie przeciwdziałał skutecznie, bo dość miał innych kłopotów. Sam zresztą Maciej starał się możliwie dużo ziem śląskich zająć pod władanie bezpośrednie, przeznaczając je dla swego nieprawego syna Jana Korwina. Zagrożony zaborczością Macieja został na koniec i Jan żagański, a gdy mu się spróbował przeciwstawić, Maciej wysłał w pole znaczne oddziały swych najemników, które zdobyły Głogów i wyzuły księcia Jana z wszystkich jego posiadłości. Awanturniczy książę dostał tylko od Macieja na pocieszenie pewną sumę pieniężną i pędził odtąd życie w osamotnieniu na zamku w Wołowie (własność jego żony); zmarł w r. 1504, jako ostatni z linii Piastowiczów głogowskich. W ogólności Maciej odebrał książętom tyle ziem śląskich, że pod koniec swych rządów posiadał Opawę, Głubczyce, Wodzisław, Toszek, Bytom, część księstwa kozielskiego, raciborskiego i oleśnickiego, oraz głogowskie: ziemie te przeznaczał Maciej jako uposażenie dla swego nieprawego syna, Jana Korwina. Różne ziemie nadał też swym zausznikom (Steinowi i oficerom. Wystarczy wskazać, że na początku XV wieku na Śląsku było około 20 księstw, a pod koniec rządów Macieja ledwie 5! Likwidując stopniowo owych Piastowiczów, Podiebradowiczów i Przemyślidów śląskich, przygotowywał Maciej teren pod swe wyłączne absolutne rządy na Śląsku. W rezultacie władztwo węgierskie na Śląsku było powszechnie znienawidzone. Najwięcej ucierpiały w latach wojennych i wskutek łupiestwa Węgrów najszersze masy ludności, oczywiście głównie polskiej; dość jednak mieli rządów węgierskich również i Niemcy, którzy niedawno

z radością witali Macieja. Kiedy przyszła wieść o jego śmierci (w kwietniu 1490 r.), wszyscy odetchnęli, radzi że przynajmniej jedno zło minęło — jakkolwiek i przyszłość nie przedstawiała się bynajmniej różowo.

Rozdział XVII

JAGIELLONOWIE NA ŚLĄSKU

Ciężkie przejścia lat ostatnich sprawiły, że u książąt śląskich zaczęło kiełkować nieco większe zrozumienie wspólnoty interesów. Na zjeździe, zwołanym przez biskupa Jana Rotha do Wrocławia, uchwalili książęta powziąć wspólną, zgodną decyzję w kwestii, komu się należy podporządkować — koronie czeskiej czy węgierskiej? Gdyby im groziła przemoc, postanowili zbrojnie jej się przeciwstawić. Obawy książąt okazały się zresztą o tyle nieistotne, że niebawem (1490) Węgrzy obwołali królem właśnie Władysława Jagiellończyka, króla Czech. Magnaci węgierscy mieli bowiem dość silnych rządów monarszych, jakich zaznali za czasów Macieja Korwina i tęsknili za władcą słabym, za którego rządów magnateria mogłaby wrócić do dawnych wpływów, a nawet je powiększyć. Dlatego też opowiedzieli się za Władysławem, mając wiadomości z Czech, że jest to król, który ulega w zupełności wpływom możnych i na wszystkie ich żądania się zgadza („král dobře" — jak mówili Czesi). Że pod takim władcą powaga królewska musiałaby doznać poważnego uszczerbku, że stosunki wewnętrzne się rozprzęgały, wobec braku silnej ręki kierowniczej, to rzecz inna: ale magnateria ówczesna w większości krajów nie wykazywała troski o dobro publiczne, kierując się przeważnie tylko własnym interesem.

Książęta śląscy obawiali się wybuchu ponownej walki między Czechami a Węgrami o Śląsk. Obecnie obawy takie odpadły, skoro ten sam władca zasiadł na obu tronach. Nadal jednak aktualne było pytanie, czy Władysław będzie rządził na Śląsku jako król czeski, czy jako król węgierski. Oczywiście Czesi uważali, że teraz Śląsk winien wrócić do królestwa czeskiego. Innego jednak zdania byli Węgrzy, powołując się na traktat w Ołomuńcu (1479), wedle którego przewidywano wprawdzie powrót Śląska do korony czeskiej, ale za znacznym wykupem, złożonym Węgrom

O zapłacie podobnych sum nie było mowy wobec pustek w skarbie czeskim. Roztrzygnąć sprawę mógł przede wszystkim sam Władysław, król czeski i węgierski, ale słaby ten władca unikał decyzji, która by zraziła mu jedną lub drugą stronę. W rezultacie wolał sprawę pokryć milczeniem. Nadal tedy nie wiedziano, jak przedstawia się formalnie przynależność Śląska: czy stanowi on lenno korony czeskiej czy węgierskiej. W praktyce nastąpiło ponowne zbliżenie Śląska do Czech, o co usilnie zabiegali Czesi, uważając, że oni tylko mają prawa do zwierzchnictwa nad krajem, podczas gdy roszczenia węgierskie opierają się jedynie na chwilowym zaborze Macieja, a więc na akcie przemocy. Mimo wszystko formalnie nie została sprawa załatwiona. Stany śląskie nie złożyły hołdu lennego nowemu władcy (właśnie unikając formalnego stwierdzenia, czy przysięgają wierność Władysławowi, jako królowi Czech czy Węgier), odkładając hołd na razie do przybycia Jagiellończyka na Śląsk. Tymczasem 20 z górą lat upłynęło i Władysław na Śląsku się nie zjawił. Gdy wreszcie przybył (raz jedyny) w r. 1511 do Wrocławia, przyjęto go z wszelkimi honorami monarszymi, ale od formalnego hołdu i nadal się uchylono. Podobne stosunki były możliwe tylko przy takim nieudolnym władcy, jak Władysław, który nie umiał się zdobyć na jasne decyzje i bał się jakichś ostrzejszych wystąpień. Wystarczyło mu, że go faktycznie uznano na Śląsku królem, mniejsza o to z jakim przymiotnikiem!

Niemal zaraz po śmierci Macieja Korwina przystąpiono na Śląsku do likwidacji szeregu jego zarządzeń, co Władysław oczywiście aprobował. I tak książę Henryk ziębicki odzyskał w pełni swe posiadłości. Podobnie Konrad Biały (młodszy) oleśnicki wszedł znów w posiadanie swych dawnych dzierżaw[1]). Tylko książę żagański, choć też wyzuty z ziem przez Macieja, nie wrócił do ich posiadania, nie znalazł bowiem odpowiedniego poparcia, a zresztą prawa jego do wielu terytoriów (np. do Głogowa) były nader wątpliwe: ostatecznie musiał się zadowolić Wołowem. Jak wspomnieliśmy, znaczne części Śląska Maciej przeznaczył dla swego syna nieprawego, Jana Korwina. Władysław Jagiel-

[1]) Gdy zmarł, wówczas król Władysław nadał księstwo oleśnickie Podiebradowiczom, którzy odtąd posiadać będą na Dolnym Śląsku Ziębice i Oleśnicę aż do r. 1647 (do wygaśnięcia tej linii książęcej). Natomiast Wołów przeszedł w końcu (1523) w ręce Fryderyka, księcia Legnicy i Brzegu; pozostanie też w tej linii aż do jej wymarcia (1675). — Podiebradowicze postradali natomiast Kłodzko, które sprzedali rodzinie Hardeggów (1501).

lończyk zmienił ten stan rzeczy, ale częściowo zapewnił Korwinowi odszkodowanie. Los tychże ziem został przez króla spleciony ze sprawą sporu w rodzinie Jagiellonów o tron węgierski. Po śmierci Macieja Korwina Kazimierz Jagiellończyk zamierzał osadzić na tronie węgierskm swego młodszego syna, Jana Olbrachta, uważając, że Władysławowi (o którego nieudolności zresztą się przekonał) wystarczy panowanie w Czechach. Innego zdania byli przecież panowie węgierscy, którym odpowiadał właśnie przesadnie łagodny i ustępliwy Władysław; nie życzyli sobie natomiast Olbrachta, wykazującego znamiona silnego władcy. Kiedy między braćmi wynikł zatarg zbrojny o tron Węgier, panowie węgierscy poparli Władysława; Olbracht został pokonany i w ugodzie w Koszycach (1491) musiał zrzec się roszczeń do korony węgierskiej. Dla przywrócenia harmonii w rodzinie jagiellońskiej zgodził się w zamian za to Władysław na przyznanie młodszemu bratu poważnego odszkodowania. Oddał mu w posiadanie księstwo głogowskie (wraz z Szprotawą, Górą i Sycowem), ponadto zaś przyrzekł nadać w niedalekiej przyszłości księstwo oleśnickie (po spodziewanej rychłej śmierci księcia Konrada), oraz opawskie (po wykupieniu go z rąk Jana Korwina), jak również kilka innych ziem górnośląskich. W układzie dodano nadto warunek, że w razie otrzymania korony polskiej Olbracht zrzeknie się wspomnianych ziem na rzecz — Węgier; widać stąd najlepiej, że Władysław nadal uznawał prawa Węgier do ziem śląskich, zdobytych za czasów Macieja. Władysław Jagiellończyk niebawem zlecił namiestnikowi Śląska (godność tę piastował wówczas książę Kazimierz cieszyński) przekazanie rządów w Głogowskiem pełnomocnikowi Olbrachta, Polakowi Janowi Karnkowskiemu. Tymczasem jednak Jan Olbracht podjął na nowo walkę o tron węgierski i ponownie został pokonany. Ten nieudany zryw miał ten skutek, że Władysław uznał za zupełnie wystarczające uposażenie brata-rywała jedynie księstwem głogowskim. Dla ambitnego królewicza polskiego było to niewątpliwie zbyt mało, i zapewne Olbracht domagałby się z czasem lepszego uposażenia, przede wszystkim obiecanego poprzednio Opawskiego i terenów gornośląskich. Wkrótce jednak zmieniła sytuację śmierć Kazimierza Jagiellończyka (1492). Teraz Olbracht został wyniesiony na tron polski i wedle układów winien był się zrzec nawet Głogowskiego. Tak się przecież nie stało. Jan Olbracht trzymał nadal Głogowskie, rządząc tamże wprawdzie nie osobiście, ale przez Karnkowskiego. Zarządca Polak, rotmistrz

królewski, sprawował władzę surowo, tępiąc bandy rozbójnicze, które stanowiły plagę spokojnej ludności, ale zarazem trzymając ostro w karbach też i mieszczaństwo niemieckie, ośmielające się podnosić protesty przeciw zarządzeniom namiestnika polskiego. Fakt utrzymania przez Olbrachta i po objęciu tronu polskiego Głogowa, dowodziłby, że król ten doceniał znaczenie Śląska dla Polski i nosił się z myślą złączenia przynajmniej części ziem śląskich na powrót z państwem polskim. Tym to prawdopodobniesze, że właśnie Olbracht dopilnował ostatecznego wcielenia do Polski księstwa zatorskiego, wykupując je w r. 1494 z rąk księcia Janusza (od pół wieku Zatorskie było już lennem Polski). Jan Olbracht przewyższał talentami monarszymi wszystkich swych braci, a w szczególności górował stanowczo nad Władysławem. Przy znanej swej energii umiałby on rozegrać sprawę Głogowa, a może i innych ziem śląskich po myśli interesów polskich. Niestety wdał się w ryzykowną imprezę przeciwko Turcji i poniósł klęskę w lasach Bukowiny (1497). Osłabiło to znacznie jego pozycję na arenie międzynarodowej, a gdy na domiar stany czeskie właśnie wówczas natarczywie domagały się zwrotu Głogowa (przeciwstawiając się tak rządom polskim w księstwie, jak też ewentualnym roszczeniom węgierskim), musiał Olbracht ustąpić. W r. 1498 odwołał z Głogowa Karnkowskiego, oznajmiając mieszkańcom, że wracają pod rządy Władysława. Tak skończył się epizod głogowski Jana Olbrachta, który w pomyślnych warunkach mógłby przynieść Polsce i Śląskowi trwałe korzyści. Dodać należy, że Olbracht rządził w Głogowie samodzielnie (nie jako lennik Władysława).

Nagłe zrzeczenie się Głogowa było spowodowane, zdaje się, nie tylko trudnościami ogólnymi Olbrachta po klęsce bukowińskiej, ale i względami dynastycznymi. W owym czasie wszyscy już żyjący synowie Kazimierza Jagiellończyka mieli odpowiednie zabezpieczenie (Aleksander był wielkim księciem litewskim, a Fryderyk biskupem i kardynałem) — z wyjątkiem najmłodszego Zygmunta. Zgodnie z zasadami, wpojonymi przez rodziców, troszczyli się bracia o los Zygmunta i może to właśnie dla niego Jan Olbracht zrzekł się Głogowa. Dość na tym, że rychło, bo już w r. 1499 Władysław przekazał Głogowskie Zygmuntowi na prawach lennych. Zygmunt miał tedy być dziedzicznym panem Głogowszczyzny, jako jeden z książąt śląskich, pod naczelnym zwierzchnictwem Władysława. Niebawem też wysłał Zygmunt do Głogowa swych pełnomocników, którzy odebrali od mieszkańców

przysięgę wierności. Akt przekazania władzy wystawiła kancelaria węgierska króla Władysława: dowodzi to, że Władysław liczył się w danej chwili przede wszystkim z pretensjami Węgier do Śląska i ich to wyrazicielem miał być Zygmunt, dobrze widziany w kołach węgierskich doradców króla. Osadzenie Zygmunta w Głogowie było więc wynikiem wpływów węgierskich, które przeciwstawiały się powrotowi Śląska pod rządy czeskie: w związku z tym Węgrzy poparli dynastyczne kombinacje Jagiellonów, przekonani, że znajdą w Zygmuncie popleczника swych roszczeń do ziem śląskich. Nie zawiedli się w tym względzie, stąd też poparli u króla Władysława rozszerzenie władzy królewicza na dalsze terytoria Śląska. Tak więc w r. 1500 przekazał Władysław bratu Syców, a w r. 1501 księstwo opawskie: dotychczasowy posiadacz, Jan Korwin (którego się Władysław chciał pozbyć ze Śląska) otrzymał w zamian banat Chorwacji i Slawonii. Wielka lojalność Zygmunta wobec króla Władysława zapewniała mu nadal życzliwość starszego brata, a duży takt i umiejętności władcze zyskiwały mu znaczne uznanie tak na dworze królewskim, jak i na samym Śląsku. W rezultacie w r. 1504 Władysław mianował go namiestnikiem całego Śląska (w miejsce ks. Kazimierza cieszyńskiego, który nie sprostał obowiązkom swego urzędu), a w końcu Dolnych i Górnych Łużyc. Tytułował się wówczas: „księciem Głogowa i Opawy, Jego Królewskiej Mości Węgier i Czech na Górnym i Dolnym Śląsku i obojga Łużyc najwyższym królewskim namiestnikiem".

Najdłużej sprawował Zygmunt rządy w Głogowie, wykonując je bądź osobiście bądź przez swych namiestników (Wojciecha Sobka, Ślązaka z Głogowskiego, a następnie Mikołaja Pieska z Białej, zapewne też Ślązaka), zawsze jednak wydając sam naczelne dyrektywy. Okres jego rządów (1499—1506) uznają zgodnym chórem kronikarze i historycy (Niemcy) Głogowa za najświetniejszy w dziejach miasta i księstwa. Zastał Zygmunt kraj zniszczony wojną, zubożały; handel był w upadku, podobnie rzemiosło i rolnictwo; na drogach grabiły przejezdnych bandy rozbójników. Natomiast pod sprężystymi i rozumnymi rządami królewicza polskiego najważniejsze bolączki zostały usunięte, bezpieczeństwo zapewnione, stan gospodarczy wydatnie podniesiony, konieczne reformy (np. w zakresie sądownictwa) przeprowadzone. Podobnie na terenie Opawszczyzny zaznaczyły się rządy Zygmunta (względnie jego namiestnika Sobka, przeniesionego tamże z Głogowa) pod wieloma względami dodatnio. Wreszcie i dla

całego Śląska okres namiestnictwa Zygmunta był niezwykle pomyślny: zdołał on uspokoić waśnie między stanami śląskimi (zwłaszcza między duchowieństwem a książętami), przeprowadził reformę monetarną, uzdrawiając na jakiś czas przynajmniej chaotyczne stosunki w tej dziedzinie, dbał o zapewnienie dogodnych warunków dla handlu śląskiego, starał się również podnieść poziom kultury kraju (czynił starania o utworzenie uniwersytetu we Wrocławiu), zapewnił wreszcie bezpieczeństwo publiczne, silną ręką likwidując zakorzeniony głęboko bandytyzm (uprawiany szczególnie przez niemieckich rycerzy rabusiów, nierzadko i przez samych książąt). Warto przytoczyć pochwały, jakie pod adresem Zygmunta jako namiestnika Śląska skierował Niemiec ówczesny, Franciszek Faber Köchritz w swym poemacie łacińskim (podajemy w przekładzie polskim): „Tyś nam wrócił, największy z Jagiellonów, pokój i bezpieczeństwo. Tobie winien kupiec, że może bez trwogi spocząć swobodnie z bogatym towarem, gdziekolwiek go zastanie zmierzch lub potrzeba wypoczynku na upalnym słońcu. Nie dbając o niczyje urodzenie ani potęgę, pomściłeś się na wszystkich potworach niesytych naszej krwi. Czy pan, czy sługa, gdy wspólnie zawinią, jednako za Twoim wyrokiem na wspólnym wiszą haku. Za Twoich rządów nawet przemożny złodziej po raz pierwszy zadrżał przed haniebnym drzewem szubienicy". Słowa te świadczą dobitnie, jak wielkie uznanie zdobył sobie polski królewicz jako namiestnik Śląska.

Niestety w czasie swych rządów na ziemi śląskiej nie wykazał Zygmunt dbałości o interesy polskie. Był tylko arcylojalnym urzędnikiem swego brata Władysława, króla Czech i Węgier, przy czym bardziej dbał o popieranie interesów węgierskich. Przejawiło się to np. w dziedzinie zarządu księstwem opawskim, gdy Zygmunt przeprowadzał dalsze rozluźnienie związków tego terytorium z Morawami, a zbliżenie go do Śląska (co odpowiadało dążnościom Węgrów, którzy chcieli na stałe przyłączyć Śląsk do swego kraju); podobnie starał się Zygmunt związać Łużyce ze Śląskiem, a osłabić ich łączność z Czechami. Węgrzy zresztą i tak nadal żadnego pożytku z tego nie mieli, gdyż późniejszy rozwój wypadków w samych Węgrzech przekreślił wszystkie ich nadzieje na rozrost państwa w kierunku Śląska czy Łużyc. Dla nas jest ważne tylko stwierdzenie, że Zygmunt zupełnie nie brał pod uwagę wymagań polskiej racji stanu. Przejęty duchem polityki dynastycznej, zapomniał o tym, że jest polskim królewiczem: nie uczynił niczego, by Śląsk dla Polski odzyskać. Najlepszy dowód.

że gdy go wybrano królem polskim (1506), niebawem zrzekł się wszystkich terytoriów śląskich (też i Łużyc) na rzecz Władysława; złożył również urząd namiestnika Śląska. Uczynił to wszystko z lekkim sercem, mimo że np. zachowanie Głogowszczyzny (a może i Opawszczyzny) było możliwe formalnie, gdyż przy nadaniu mu tychże ziem nie przyjął (jak niegdyś Olbracht) wyraźnego zobowiązania zrzeczenia się ich na wypadek obioru na króla polskiego: ówcześnie zaś wiele było takich wypadków w Europie, że władca suwerenny jednego kraju mógł posiadać na prawie lennym terytoria, znajdujące się pod władzą zwierzchnią innego monarchy.

W r. 1508 Zygmunt I (jako król polski, panujący w Polsce 1506—1548) zrzekł się wszelkich praw do księstwa głogowskiego imieniem swoim i swych następców, królów polskich. Na domiar i w latach późniejszych, gdy przed polityką polską otwierały się możliwości odzyskania Śląska, popierane zwłaszcza przez żonę królewską, Włoszkę Bonę z domu Sforzów, Zygmunt odnosił się do nich niechętnie. Na pierwszym planie stawiał dobro dynastii i nie chciał uszczuplać ziem swego brata Władysława, czy następnie jego syna (a swego bratanka) Ludwika. Tak więc przez długie lata szkodziła interesom polskim owa nieszczęsna polityka dynastyczna Jagiellonów, zapoczątkowana przez Kazimierza, a kontynuowana przez Zygmunta I. Jej to mamy przede wszystkim do zawdzięczenia, że zmarnowano w XV i w początkach XVI wieku najlepsze okazje odzyskania całości lub przynajmniej części Śląska.

Słabość króla Władysława ułatwiała stanom w krajach korony św. Wacława (też i na Węgrzech) wzmacnianie swych wpływów i uzyskiwanie dalszych przywilejów. Zaznaczyło się to i na Śląsku, gdzie ważną zdobyczą stanów był tzw. „Wielki Przywilej" Władysława z r. 1488. Król zobowiązał się m. i. mianować namiestnika tylko spośród książąt śląskich, nie używać Ślązaków do wojen poza granicami Śląska (chyba za odszkodowaniem), nie nakładać nowych podatków i ceł bez zgody stanów itd. Niebawem stany świeckie na Śląsku zdołały znacznie wzmocnić swą pozycję i wobec kleru. Biskupem wrocławskim był wówczas Jan Roth, narzucony ongiś przez Macieja Korwina, poplecznik interesów węgierskich, oraz niemieckich, biskup germanizator, który w r. 1495 nakazał chłopom polskim w Wójcicach (pod Otmuchowem, w dobrach biskupich) wyuczyć się w ciągu 5 lat języka niemieckiego, pod groźbą wyrzucenia ich z posiadłości biskupstwa! Kiedy ów

Roth starzał się i niedołężniał, zaszła konieczność dobrania mu koadiutora (pomocnika i zastępcy); dobór osoby miał szczególne znaczenie, gdyż taki koadiutor zazwyczaj zostawał następnie biskupem. Zrazu Roth chciał wyznaczyć koadiutorem młodego księcia Fryderyka, syna Kazimierza cieszyńskiego, którego popierali książęta śląscy. W łonie kapituły ozwały się jednak silne sprzeciwy, gdyż kanonicy-Niemcy, popierający zarazem interesy węgierskie (woleli być pod panowaniem węgierskim niż czeskim); obawiali się Piastowicza na stolicy biskupiej, co oznaczałoby wzrost wpływów książąt na Kościół oraz wpływów czeskich (książęta Piastowicze, związani już wówczas węzłami pokrewieństwa z Podiebradowiczami i Przemyślidami, sprzyjali raczej Czechom). Kanonicy wysunęli natomiast kandydaturę Jana Turzo (dziekana katedry wrocławskiej), pochodzącego z bogatej rodziny węgierskiej, osiadłej również w Krakowie[1]). Roth rychło zgodził się na to i Turzo został wyznaczony koadiutorem. Książęta uznali krok kapituły i biskupa wprost za rzucone im wyzwanie: odpowiedzieli tedy napadami zbrojnymi na dobra biskupie, szerząc w nich zniszczenie. Wynikł stąd spór przewlekły i gorszący, zażegnany dopiero przez komisję, wyznaczoną przez króla Władysława, w osobach księcia Kazimierza cieszyńskiego, Zygmunta Jagiellończyka i kanclerza czeskiego Wojciecha Kolowrata. W rezultacie podpisano układ w r. 1504, na którego treści zaważył wpływ kanclerza czeskiego i stanów świeckich (książęta i mieszczaństwo występowali w tym wypadku zgodnie przeciw klerowi). Zgodzono się na to, że Turzo zostanie biskupem, z zastrzeżeniem, że w przyszłości godność biskupa wrocławskiego może osiągnąć jedynie kandydat, pochodzący ze Śląska, Czech, Moraw lub Łużyc (w danej chwili chodziło o wyłączenie na przyszłość Węgra, oznaczało to jednak zarazem i wyłączenie kandydatury obywatela polskiego); podobnie lenna i beneficja w diecezji wrocławskiej może otrzymać tylko pochodzący z krajów korony św. Wacława. Dalsze warunki ograniczały przywileje duchowieństwa w zakresie sądownictwa, podatków itd. W ogólności układ z r. 1504 był dotkliwą porażką duchowieństwa i partii antyczeskiej w kapitule. Sukces doraźnie odnieśli Czesi, ale w następstwie — Niemcy. W miarę bowiem dalszego rozwoju wypadków, postanowienia układu, dotyczące kwalifikacyj kandydatów na biskupstwo i stanowiska w diecezji, wyszły na

[1]) Turzo, wybitny humanista, wychowanek Uniwersytetu Krakowskiego, uważał się sam za Polaka.

korzyść Niemcom, wobec tego, że kandydatów Czechów czy Polaków śląskich brakło: głównie wskutek germanizacyjnej polityki władz świeckich i duchownych we wszystkich krajach korony św. Wacława.

Żadne zresztą układy między stanami nie prowadziły do istotnego uregulowania stosunków na Śląsku, skoro powaga władzy królewskiej za rządów nieudolnego Władysława Jagiellończyka podupadła w sposób zastraszający. Mnożyły się wypadki samowoli, przemocy i bezprawia. Książęta rozstrzygali na własną rękę sprawy, przysługujące tylko królowi, nie troszcząc się zbytnio o to, co powie Władysław. Wśród książąt panowała solidarność jedynie w tych wypadkach, gdy chodziło o wspólne przeciwstawienie się królowi, albo duchowieństwu. Zresztą szerzyły się między nimi spory i zatargi, nierzadko krwawe. Jaskrawym przykładem bezprawia książęcego był nieszczęsny los Mikołaja II opolskiego.

Piastowie górnośląscy przez cały wiek XV ciążyli ku Polsce. Przy umiejętnej polityce polskiej można było na tym właśnie terenie stworzyć poważny ośrodek wpływów polskich, który by mógł się stać podstawą do odzyskania przynajmniej Śląska Górnego dla Polski. Na skutek zaniedbań polityki polskiej do tego nie doszło. Nie przyjęły się tamże również wpływy węgierskie za Macieja Korwina, wobec którego książęta górnośląscy zajmowali przeważnie postawę niechętną, czasem wprost wrogą. Po śmierci Macieja znowuż przeważyły wpływy czeskie: zrozumiałe, skoro Polska nie interesowała się losem Śląska. Ślązacy, zwolennicy połączenia z Polską, pozostawieni byli swemu losowi. Do takich należał przede wszystkim książę Mikołaj II opolski, Piastowicz, który nie uległ ani wpływom czeskim ani niemczyźnie, który czuł się zawsze Polakiem i myślał o połączeniu się z Polską. W okresie najsilniejszych wpływów Macieja Korwina książę Mikołaj odrzucał też zwierzchnictwo węgierskie, wierny swemu planowi oparcia się o Polskę. Przeniknął zamysły księcia opolskiego Maciej: pragnąc zapobiec oderwaniu się Opolszczyzny od całości Śląska, kazał swym popleczníkom pojmać Mikołaja i jego brata, Jana. Nie mając innej drogi do wolności, Piastowicze złożyli Maciejowi hołd i okup, po czym zostali wypuszczeni. Gdy niebawem wraz ze zgonem Macieja upadły rządy węgierskie, Mikołaj opolski nie chciał powrotu pod rządy czeskie, nawiązując do swej myśli połączenia się z Polską. Niestety brak bliższych wiadomości o jego zamysłach, tym mniej o działaniach. Wiadomo tylko, że popadł w konflikt z innymi książętami, zniemczonymi już silnie, oraz z Niemcami,

a przede wszystkim biskupem-germanizatorem Rothem. Historycy niemieccy piszą, że Mikołaj opanowany był „manią prześladowczą“ i dlatego wszędzie wietrzył intrygi wrogów. Sprawa przedstawiała się zapewne w ten sposób, że Niemcy i zniemczali książęta patrzyli niechętnie na księcia Mikołaja, który zachował polskość i władał tylko językiem polskim, — a nawet mu szkodzili.

Gdy Mikołaj znalazł się w r. 1497 na zjeździe książęcym w Nysie, doszło do wybuchu długo tajonej wzajemnej antypatii. Książę opolski przeczuwał, że wrogowie knują nań spisek. W podnieceniu rzucił się ze szpadą na Kazimierza cieszyńskiego (podówczas namiestnika Śląska) i biskupa Rotha, zadając im rany. Dworzanie uprowadzili go zaraz i poradzili mu schronienie się w kościele św. Jakuba, licząc się z odwetem wrogów. Tymczasem jednak o zajściu dowiedzieli się niemieccy mieszczanie, nienawidzący księcia-Polaka. Motłoch wtargnął do kościoła. Wprawdzie jeden z dworzan własnym ciałem zasłonił księcia przed śmiertelnym ciosem: niemniej motłoch zelżył Piastowicza, zdarł z niego szaty i poprowadził do ratusza, gdzie go wtrącono do ciemnicy. Następnego dnia książęta wnieśli na Mikołaja oskarżenie przed sądem ławniczym miejskim. Gdy akt oskarżenia podano w języku niemieckim, Piastowicz zażądał przetłumaczenia na język polski: równocześnie zaprotestował przeciwko sądzeniu go, jako księcia, przez sąd miejski. Nie dano mu nawet odpowiedzi i po szybkim przewodzie sądowym wydano wyrok śmierci! Dnia 27 czerwca 1497 został ścięty toporem kata książę Mikołaj na placu przed ratuszem miejskim. Przed śmiercią miał zawołać: „O Nyso, Nyso, czyż dlatego przodkowie moi darowali cię Kościołowi, abyś mi wydzierała życie?“ Jakżeż tragicznie brzmiał ów wyrzut nieszczęsnego księcia, zawierający zarazem ciężkie oskarżenie pod adresem przodków, książąt piastowskich, którzy z tak karygodną lekkomyślnością wpuścili Niemców na ziemię Śląska, pozwolili im i pomogli usłać sobie ciepłe gniazdka, aż ci Niemcy do takiej doszli zuchwałości, że ośmielili się wydać w ręce kata księcia polskiego, Piastowicza! — Czyn ten uszedł Niemcom nyskim bezkarnie, bo pokryli go swą powagą i stosunkami pierwsi dostojnicy Śląska: namiestnik kraju Kazimierz cieszyński, który zatracił poczucie wspólnoty krwi piastowskiej, polskiej, oraz biskup Roth.

Bezprawny sąd w Nysie uwłaczał władzy królewskiej, bo tylko król, zwierzchnik lenny książąt śląskich, mógł być ich sędzią. Ale Władysław ograniczył się do wyrażenia książętom swego niezadowolenia! Nieudolny Jagiellończyk nie zdobył się na bardziej

skuteczną obronę swych uprawnień władczych. W rezultacie powaga jego upadła jeszcze niżej, a wzrosła samowola książąt i buta Niemców śląskich. Nie pomścił śmierci swego brata lękliwy książę Jan, który po nim odziedziczył księstwo opolskie i dbał usilnie o naprawienie stosunków swego domu z innymi książętami. Tragiczny zgon księcia Mikołaja winien był przynajmniej obudzić głos sumienia narodowego, lub choćby rodowego-piastowskiego, w duszach książąt śląskich. Tak się jednak nie stało. Odtąd w historii Śląska uważać ich należy za ludzi pochódzenia tylko polskiego, z polskością jednak już niewiele mających wspólnego.

Za czasów Władysława Jagiellończyka, którego powagi nikt na Śląsku nie respektował, mnożyły się zastraszające wypadki anarchii, powodując ogólny zamęt i niepewność stosunków. Chwilowo wprawdzie jako tako opanował sytuację królewicz polski Zygmunt w czasie swych rządów namiestniczych, ale po opuszczeniu przez niego kraju czynniki anarchii wzięły znowu górę. Podniosło głowę rozbójnictwo, uprawiane szczególnie przez rycerzy niemieckich, jak ów osławiony Czarny Krzysztof (von Reisewitz), przez długi czas postrach miast i karawan kupieckich, którego w końcu mieszczanie ze Złotoryi przyłapali na jednym rabunku i odstawili do Legnicy, gdzie go powieszono na rynku. Zaczęły się znów spory i nawet walki zbrojne między stanami, a najgłośniejszy był zatarg księcia Bartłomieja ziębickiego (Podiebradowicza) z miastem Wrocławiem, który przerodził się w otwartą wojnę. Nie potrzeba chyba dodawać, że walki domowe i zajazdy połączone były z bezlitosnym niszczeniem majątków przeciwnika i podcinały u samych korzeni podstawy życia gospodarczego kraju. Na domiar utrudniały handel chaotyczne stosunki monetarne. Niebawem po reformach Zygmunta Jagiellończyka stany śląskie próbowały ostatecznie wyjaśnić sytuację w tej dziedzinie, zgadzając się (w r. 1511) na to, że będzie tylko jedna na Śląsku mennica, we Wrocławiu, posiadająca prawo bicia monety wedle określonej stopy. Przeciw monopolowi Wrocławia zaprotestowała jednakże Świdnica, posiadająca od dawna prawo bicia własnej monety, i postawiła na swoim, uzyskując zresztą poparcie króla Władysława Jagiellończyka i jego syna, Ludwika. Znamienne, że w mennicy świdnickiej wypuszczano od r. 1517 tzw. „półgroszki", do złudzenia przypominające pieniądze ówczesne polskie, a to dlatego, że zgodnie z życzeniami ludności, dla której handel z Polską był pozycją najważniejszą, chciano dostosować walutę śląską do stopy monetarnej polskiej. Jak chaotyczne były stosunki, dowodzi fakt, że walutę świdnicką popierał król

czeski, a zwalczał Wrocław i namiestnik Śląska, Fryderyk książę legnicki. Oczywiście wydał zakaz wpuszczania tej waluty do Polski Zygmunt I, występując w obronie mennic polskich, jedynie uprawnionych do wybijania polskiego pieniądza, a narażonych na straty poważne przez praktyki mennicy świdnickiej. Na tym tle powstały spory między stanami na Śląsku i ostre konflikty, które przeciągnęły się na całe lata, powodując dalszy chaos monetarny.

Po okresie silnych rządów króla Macieja, przeżywał teraz Śląsk czasy słabości władzy królewskiej za Jagiellonów, Władysława i jego syna, Ludwika (1516—1526), czasy rządów stanowych, które nie zapewniły krajowi spokoju, bezpieczeństwa i dobrobytu. Dobrze się czuł w ówczesnych stosunkach tylko ten, kto miał siłę. Rzecz prosta, że okres ten sprzyjał wzrostowi znaczenia książąt, którzy po ciężkich dla nich rządach Macieja odzyskali wiele pewności siebie i wzmocnili na ogół swą pozycję. Trzy linie Piastowiczów trzymały się jeszcze: w Legnicy i Brzegu (do czego dołączono jeszcze przez wykupno Wołów w r. 1523), następnie w Cieszynie, wreszcie w Opolu: książę Jan opolski zwiększył nawet wydatnie swe posiadłości, łącząc na powrót z Opolem Racibórz po śmierci ostatniego z nieprawej linii Przemyślidów. Ziębice i Oleśnica znajdowały się w ręku Podiebradowiczów. Hojny i dobroduszny aż do przesady Władysław nadał ponadto za różne usługi kilka ziem śląskich oddanym sobie ludziom. Tak np. Pszczyna dostała się Węgrom Turzonom, Kłodzko Hardeggom, Milicz i Żmigród Kurzbachom. Ponieważ od Turzonów z czasem Pszczyńskie wykupili Promnicowie, tedy w rezultacie wszystkie ziemie wspomniane posiedli panowie niemieccy. Nie mieli oni tytułów książęcych, ale faktycznie korzystali z równych niemal książętom uprawnień i podlegali bezpośrednio królowi. Takie terytoria nazywano szumnie „państwami stanowymi". Liczbę panów niemieckich na Śląsku pomnożył jeszcze Władysław, protegując obrotnego margrabiego Jerzego z linii Hohenzollern-Ansbach (krewnych głównej linii Hohenzollernów, panującej podówczas w Brandenburgii), który umiał się na Węgrzech wkraść w łaski Jagiellończyka, a następnie przeniósł się na Śląsk. Tutaj obiecał mu król Władysław nadanie księstw Opola i Raciborza — po śmierci księcia Jana (Piastowicza), który nie miał potomstwa. Co prawda do spadku po księciu Janie rościli sobie słuszne pretensje przede wszystkim Piastowicze, Fryderyk legnicko-brzeski i Kazimierz cieszyński. Ale chytry Hohenzollern przeciągnął tychże na swą stronę, wydając za Fryderyka jedną z swych sióstr, a drugą za syna Kazimierza cieszyńskiego,

Wacława. Ponadto, sprzedawszy na Węgrzech nadane mu przez Władysława dobra, zakupił na Śląsku Karniów, Głubczyce, Beneszów, Nydek i Bytom, a od księcia Jana, który w r. 1523 uznał go swym następcą w Opolu i Raciborzu, miasto Bogumin. W ten sposób osadzili się na Śląsku Hohenzollernowie, przedstawiciele bojowego germanizmu, najzawziętsi wrogowie Słowian; miało to dla dziejów Śląska z czasem fatalne następstwa. Ale już w owych czasach zatruwał ów margrabia Jerzy atmosferę Śląska jadem intryg germańskich. Z ogromną solidarnością, popierając interesy swego domu, pracował na rzecz swego brata Albrechta, ostatniego wielkiego mistrza krzyżackiego, który, pokonany przez Polskę, wił się jak piskorz, nie znajdując długo wyjścia z polskiej sieci. W końcu jednak znalazł je: przeszedł na luteranizm i zrobił się księciem świeckim, byleby utrzymać nadal pozycję niemiecką w Prusiech Wschodnich, zagrożoną rozkładem zakonu krzyżackiego. Na to potrzebna była jednak zgoda Polski. Otóż właśnie margrabia Jerzy wytężył wszystkie siły, posługując się jako powolnym narzędziem swym szwagrem, Fryderykiem legnickim, by nakłonić króla polskiego Zygmunta do zgody na sekularyzację Prus (zamianę rozpadającego się państwa zakonnego na państwo świeckie). Król polski popełnił fatalny błąd, godząc się na ową sekularyzację. Przy pośrednictwie margrabiego Jerzego i Fryderyka legnickiego doszło do układu w Krakowie: 10 kwietnia 1525 r. złożył ów Albrecht hołd lenny Zygmuntowi I, jako książę świecki Prus Wschodnich. Zamiast wcielić Prusy do Polski po likwidacji zakonu krzyżackiego, zgodził się król polski na pozostawienie placówki niemczyzny na tej ziemi, co spowodowało wprost złowrogie skutki dla Polski, dla Słowiańszczyzny, dla pokoju w Europie!

Hohenzollerna protegowali Jagiellonowie czesko-węgierscy, Władysław i Ludwik, którzy zatracili poczucie polskości, a nawet solidarności jagiellońskiej. Z takim uporem uprawiał ongiś Kazimierz Jagiellończyk swą politykę dynastyczną i w rezultacie nie tylko Polska nie wyciągnęła z niej korzyści, ale nierzadko następstwa jej odbiły się dotkliwie na samych Jagiellonach. Dość powiedzieć, że Władysław Jagiellończyk nieraz zajmował w polityce wprost wrogie stanowisko wobec Jana Olbrachta, czy Zygmunta I, jako królów polskich, uprawiając taką politykę, jaką mu doradzali Węgrzy, Niemcy lub Czesi, a najmniej słuchając głosów polskich, ani też nie licząc się ze zdaniem swych braci na polskim tronie. Na domiar złego przyszłość Czech i Węgier oddał — w ręce niemieckie. Dał się podejść cesarzowi Maksymilianowi z rodu Habs-

burgów i na zjeździe w Wiedniu w r. 1515 zgodził się na układ familijny jagiellońsko-habsburski. Młody Ludwik Jagiellończyk miał poślubić wnuczkę Maksymiliana, Marię, a jego siostra miała wyjść za wnuka cesarza, Ferdynanda. Znaczenie układu polegało na tym, że zarazem ustalono kwestię następstwa tronu w Czechach i na Węgrzech. W razie bezpotomnej śmierci Ludwika Jagiellończyka tron czeski i węgierski miał dostać Ferdynand Habsburg. Natomiast Zygmunt I, zmęczony intrygami Maksymiliana, który popierał wszystkich wrogów Polski, zgodził się wówczas na wyrzeczenie się wszelkich praw do ewentualnego spadku po swych najbliższych krewniakach, Jagiellonach czesko-węgierskich. Tak zniweczono ostatnie możliwości wyciągnięcia jakichś zysków z polityki dynastycznej jagiellońskiej. Wszak mogło dojść w dalszym biegu wypadków do tego, że na Zygmunta, a więc na linię Jagiellonów polskich, przeszłyby prawa do korony Czech i Węgier. Przy umiejętnej polityce mogłyby stąd przypaść Polsce w udziale różnorakie korzyści: trudno byłoby zapewne utrzymać w jednych rękach Polskę i Litwę, Czechy i Węgry; ale może udałoby się z Polską przecież związać Czechy, a przynajmniej odzyskać dla Polski Śląsk! Nic z tego: dwaj Jagiellonowie, Władysław i Ludwik, rządzili po to przez lat szereg w Czechach i na Węgrzech, by w końcu zrobić tamże miejsce — Habsburgom, niemieckiej dynastii. Takie były ostateczne skutki polityki dynastycznej Jagiellonów!

Po śmierci Władysława zasiadł na tronie Czech i Węgier młodociany Ludwik, który nie był w stanie sprostać trudnościom panowania. Niebawem zresztą śmierć przecięła przedwcześnie pasmo jego żywota. Zginął w bitwie pod Mohaczem 29 sierpnia 1526 r., broniąc Węgier przed zalewem tureckim. Zamknięty został w dziejach Śląska epizod jagielloński, który przyniósł polskości Śląska więcej szkód niż pożytku. Tę zaś największą szkodę, że otwarł w końcu drogę do panowania w krajach korony czeskiej, a więc i na Śląsku, niemieckiej dynastii Habsburgów.

Rozdział XVIII

POLSKOŚĆ ŚLĄSKA W ZARANIU CZASÓW NOWSZYCH

Od dawna szerzyli Niemcy w swych pracach naukowo-propagandowych tezę, jakoby Śląsk stał się krajem niemieckim już w wiekach średnich, a polskość zachowała się w dalszych wiekach jedynie tylko w pewnych częściach kraju, głównie na terenie Śląska Górnego, i to jedynie dzięki szczególnym okolicznościom, które powstrzymały dalszy rozrost niemczyzny. Twierdzenie to oczywiście kłamliwe i to świadomie, gdyż dla owych historyków niemieckich (w rodzaju Grünhagena i całej plejady innych) stały otworem źródła do dziejów śląskich, dowodzące czegoś wręcz przeciwnego. Wystarczy tylko sięgnąć do nich (a niestety zachowały się jedynie fragmenty, bo tyle poginęło, zwłaszcza w czasach ostatnich!), by znaleźć mnóstwo dowodów, świadczących o tym, że życie polskie pulsowało niemal na całym Śląsku jeszcze wcale żywo w zaraniu dziejów nowożytnych, że w znacznej części Śląska element polski górował stanowczo, tworząc nieraz przytłaczającą większość ludności wielkich połaci kraju.

Dla przykładu sięgnijmy do opisu Śląska (*Descriptio totius Silesiae*), pisanego około r. 1515 przez niemieckiego uczonego, geografa Bartłomieja Steina, pochodzącego z Brzegu, wychowanka Uniwersytetu Krakowskiego. Stein był Niemcem i otwarcie chełpił się rzekomą wyższością żywiołu niemieckiego nad polskim. Niemniej musiał stwierdzić, pisząc o stosunkach narodowościowych na Śląsku, że kraj zamieszkały był podówczas zarówno przez Niemców, jak i Polaków, przy czym język niemiecki posiadał przewagę po lewym brzegu Odry i Nysy śląskiej (kłodzkiej), gdy natomiast na wschód od tej linii przeważał język polski. W szczególności za ziemie polskie uważał Stein księstwo oleśnickie (z Oleśnicą, Bierutowem, Miliczem i Trzebnicą), następnie Opolskie, Raciborskie i Cieszyńskie. Opis wymienionych ziem kończy jasnym stwierdzeniem: „Oto są obszary po drugiej stronie Odry, w których przeważnie uży-

wany jest język polski". Nie zaprzecza zresztą Stein, że i po lewym brzegu Odry mieszkało w owych czasach sporo Polaków, gdy w opisie terenów lewobrzeżnych mówi o „niezliczonej ilości wsi i wiosek, leżących pomiędzy miastami i obok nich", zaznaczając, iż „bogatsze należą do Niemców" — a więc tylko niektóre!

Z opisu Steina dowiadujemy się, że w samym Wrocławiu odbywały się wówczas nabożeństwa w języku polskim. Skądinąd wiadomo, że w XVI wieku przy każdym prawie kościele wrocławskim bywał jeden kapłan polski; aż do XIX wieku utrzymało się nabożeństwo polskie w trzech kościołach katolickich i jednym ewangelickim[1]). Gdy w r. 1475 założono we Wrocławiu pierwszą drukarnię, wyszedł z niej pierwszy druk polski (był to najstarszy druk polski, zawierający m. i. modlitwę Pańską). Posiadamy zresztą szereg innych danych, świadczących o polskości wielu terenów na zachód od Odry i Nysy śląskiej. Tak np. w daleko wysuniętym na zachód Żaganiu, w klasztorze kanoników regularnych, na przełomie XIV i XV wieku jeden z mnichów wygłaszał kazania wyłącznie w języku polskim, ponadto zaś od wszystkich tamtejszych zakonników niemieckich wymagano znajomości „języka śląskiego", tj. polskiego, bo inaczej lud nie rozumiałby ich w ogóle! Okolice Wrocławia, Oławy i Brzegu również i po lewym brzegu Odry były podówczas polskie, skoro polskość swą utrzymywały jeszcze długi czas później, nierzadko nawet po wiek XIX! Pod Głogowem szereg wsi zachowało swą polskość aż do wieku XVIII włącznie. W tak zniemczonych pozornie miastach, jak Strzelin, czy Ziębice, głoszono polskie kazania do r. 1616; po wsiach okolicznych kazania polskie spotykamy jeszcze przez cały wiek XVII, a często i XVIII w. Okolice Środy uchodziły za teren silnie polski przynajmniej do początków XIX wieku. Do tegoż czasu m. w. utrzymały się resztki polskości w Kożuchowie i w Zielonej Górze. Nawet tak wcześnie zniemczone, bo już w XIII wieku, okolice podgórskie i górskie, wykazywały liczne ślady polskości pod koniec wieków średnich. Wszak w ostatnich latach XV wieku zabrał się energicznie do tępienia polskości w rejonie Nysy i Otmu-

[1]) Bandkie pisze w swej pracy *Historia drukarń w Królestwie Polskim i Wielkim Księstwie Litewskim* (t. I. Kraków 1826): „Stolica Śląska ma wiele mieszkańców polskich, bo już o 1½ mili od Wrocławia są wsie, gdzie lud mówi po polsku, a o mil 2 lub 3 całe są parafie nad Odrą polskie. W samym mieście, jako to u św. Wojciecha, w kościele eksdominikańskim i u św. Krzyża w kolegiacie, a u św. Krzysztofa ewangelickie; dawniej zaś jeszcze więcej było nabożeństw po polsku w XVI wieku, kiedy przy każdym prawie kościele bywał jeden kapelan polski".

chowa biskup wrocławski Roth, stwierdziwszy widocznie, że dotychczasowy napór niemczyzny nie doprowadził jeszcze do germanizacji ludności wieśniaczej tych okolic. Znajomość języka polskiego w takim Kłodzku musiała być w wieku XV rzeczą nierzadką, skoro tamże podjęto wówczas przekład psałterza na język polski (ów psałterz, t. zw. floriański, stanowi jeden z najważniejszych zabytków polskiego języka średniowiecznego). Choćby tych kilka faktów wystarczy do stwierdzenia, że i na zachód od Odry i Nysy śląskiej polskość utrzymywała się pod koniec wieków średnich, mimo kilkuwiekowego już naporu niemczyzny, popieranego przez wszystkie górne warstwy, duchowieństwo, książąt i rycerzy, niemieckich lub zniemczonych. Niestety wielu już podówczas Polaków było straconych dla polskości, bo uległo naciskowi germanizacji. Strat tych nie możemy już nigdy, nawet w przybliżeniu obliczyć. Sporo danych, wyjaśniających stosunki demograficzne narodowościowe na terenie Śląska Dolnego, dostarczyłyby z pewnością archiwa śląskie, z których jednak już przed ostatnią wojną uczeni polscy nie mogli czerpać swobodnie. Stwierdziliśmy sami, że w takim np. archiwum wrocławskim archiwiści niemieccy udostępniali nam tylko to, co sami uważali za stosowne, tzn. za dopuszczalne z punktu widzenia interesów niemieckich. Burzliwe koleje ostatniej wojny rozproszyły archiwa śląskie i na pewno tylko w pewnej części uda się je odzykać i udostępnić dla polskiej nauki. Niejedno zniszczone bezpowrotnie.

Stąd tak trudna jest pełna rekonstrukcja obrazu polskości w wiekach minionych. Ale już na podstawie skąpych przeważnie danych możemy się orientować po części w jej zasięgu w początkach ery nowożytnej. Notujemy z prawdziwym bólem straty polskości w ciągu wieków średnich. Były one bardzo poważne, ale przecież jeszcze podówczas w znacznej mierze do odrobienia. Wspomnieliśmy o tej części ludności polskiej, która już uległa germanizacji. Tradycje pochodzenia polskiego były przecież i u tej części ludności niewątpliwie jeszcze bardzo żywe, i przy sprzyjających warunkach można było wielu niedawno zniemczonych odzyskać dla polskości, co już znacznie trudniejsze było w następnych pokoleniach. Dodajmy, że takiego np. Steina (który studiował nie tylko w Krakowie, ale i w Wiedniu) uderzała „niewyraźna" wymowa niemiecka Ślązaków: chodziło w tym wypadku niewątpliwie o niedawno zgermanizowanych Polaków.

Na wschód znowuż od wspomnianej linii Odry i Nysy kłodzkiej przeważał stanowczo i bezspornie żywioł polski. Wprawdzie i tu

fakt starali się niektórzy historycy niemieccy postawić pod znakiem zapytania, snując mgliste wywody o rzekomej niemieckości np Górnego Śląska w wiekach średnich, która następnie ponieść miała poważne straty dopiero w okresie wojen husyckich: one to, wedle twierdzenia owych historyków niemieckich, spowodowały cofnięcie się niemczyzny z terenów górnośląskich i otwarły pole czeszczyźnie. Bezpodstawność podobnego twierdzenia wykazał zresztą już dawno (w r. 1902, w czasopiśmie *Oberschlesien*) badacz niemiecki Zivier. Zbytecznie głowili się inni historycy niemieccy nad zagadką, w jaki sposób możliwe było tak silne cofnięcie się niemczyzny na Górnym Śląsku w ciągu XV wieku, że pod koniec wieków średnich kraj ten był niemal zupełnie polski? Odpowiedź na to prosta i dał ją już wymieniony Zivier: niemczyzna nie musiała się tak bardzo cofać na tym terenie, bo jej jeszcze niewiele było tamże. Wprawdzie Niemcy powoływali się na fakt pojawiania się języka niemieckiego w dokumentach urzędowych na Górnym Śląsku pod koniec XIV i w początkach XV wieku. Argument to bardzo słaby. Były istotnie wypadki używania w dokumentach języka niemieckiego, zresztą bardzo rzadkie (przeważnie używano, zgodnie z zwyczajem średniowiecznym, łaciny), ale pochodziło to stąd, że język polski nie uzyskał jeszcze odpowiedniego wyrobienia literackiego, a łacina, jako język martwy, nie dała się odpowiednio nagiąć do potrzeb życiowych. W rezultacie posługiwano się tedy językiem niemieckim tu i ówdzie, jedynie z konieczności, oraz dla wygody nielicznej warstwy Niemców, warstwy niestety przodującej. Język niemiecki nie zdał jednak egzaminu jako język urzędowy, bo go ogromna większość ludności zupełnie nie rozumiała.

Gdy tedy w drugiej połowie XV wieku zaczęto pod naciskiem Czechów, walczących wówczas z niemczyzną, wprowadzać język czeski jako urzędowy, ludność przyjęła chętnie tę nowość, ponieważ dźwięki czeszczyzny były dla niej przeważnie zrozumiałe. W ten sposób język czeski wypchnął bez większych trudności niemczyznę, przejściowo narzuconą, nie posiadającą żadnych niemal podstaw w masie ludności miejscowej. Zresztą, jak wspomnieliśmy poprzednio, przyjęcie się języka czeskiego na terenie górnośląskim było możliwe tylko ze względu na wciąż jeszcze niski poziom wyrobienia języka polskiego. Dzięki temu czeszczyzna mogła się usadowić dość mocno na Górnym Śląsku, i to tylko jako język urzędowy, bo głębiej korzeni nie zapuściła: pozostawiła swe ślady głównie tylko w postaci niewielu wyrazów, które przyjęła do swego słownika codziennego miejscowa ludność polska.

Wpływy językowe czeskie utrzymały się następnie i w dalszych latach, gdy język polski osiągnął już odpowiedni poziom wyrobienia, wstępując na wyżyny języka literackiego w wieku XVI. Śląsk bowiem stanowił nadal politycznie kraj korony czeskiej, co umożliwiało dalsze utrzymanie języka czeskiego w dokumentach, a utrudniało wprowadzenie polszczyzny, jako języka urzędowego innego państwa. Niemniej język polski, którym mówiła ogromna większość ludności, torował sobie w wielu wypadkach drogę też i do urzędów, co prawda nie państwowych, bo temu władze naczelne królestwa czeskiego przeszkadzały, ale przynajmniej miejskich. Tak więc spotykamy pierwszy dokument w języku polskim w tekstach urzędowych miasta Woźniki. W ciągu XVI wieku po polsku zaczęto spisywać dokumenty miejskie w Koszęcinie, Kluczborku, Tarnowskich Górach, następnie w Pszczynie i Mysłowicach. Powoli język polski zyskiwał przewagę na terenie Górnego Śląska (choć władze niechętnie to widziały), mając jedyne oparcie — w nastrojach ludności, która życzyła sobie, by i dokumenty urzędowe spisane były w tej mowie, jakiej na codzień używała. Oczywiście wprowadzenie języka polskiego do dokumentów ograniczało się do aktów urzędowych w miastach . Natomiast na dworach książęcych górnośląskich używano nadal w dokumentach przeważnie czeszczyzny (lub łaciny), wzorując się na aktach kancelarii królewskiej czeskiej. Dla ścisłości zresztą należy zaznaczyć, że owa czeszczyzna dokumentów na Górnym Śląsku przetykana była gęsto wyrazami polskimi: dowodzą tego choćby zachowane dokumenty miasta Pszczyny z XVI wieku, których teksty, w zasadzie czeskie, miejscami robią wrażenie tekstów po prostu polskich! Okazuje się tedy, że nawet używając czeszczyzny ludność miejscowa upodobniała ją sobie do własnego języka, stanowiącego mowę codzienną na Górnym Śląsku — języka polskiego. Stosowanie wieloletnie czeszczyzny przez władze miało m. i. ten skutek, że doprowadziło do pewnego zamętu w dziedzinie językowej, zwłaszcza w terenach pogranicznych, w Głubczyckiem, w Prudnickiem, w Kłodzkiem, gdzie ludność wytworzyła sobie swoisty dialekt miejscowy, oparty na podstawach mowy polskiej, z zapożyczeniem jednak wielu wyrazów czeskich, jak też i sposobu wymawiania wedle wzorów czeskich.

Na ziemi górnośląskiej polski był przede wszystkim lud wiejski, prastary gospodarz tej ziemi, wierny mowie i obyczajom przodków. Z Polaków w pierwszym rzędzie rekrutowały się również kadry robotników, pracujących w kopalniach górnośląskich. Górnictwo

na tym terenie miało już dawne tradycje, bo z XII i XIII wieku, kiedy to wydobywano z ziemi ołów, srebro i żelazo, m. i. w okolicy Bytomia. W początkach XVI wieku wzrosło zainteresowanie górnictwem w związku z odkryciem nowych pokładów srebra i ołowiu w pobliżu Tarnowskich Gór. Wówczas to wziął górnictwo pod swą opiekę książę Jan opolski, wydając w r. 1528 ustawę pt.: *Ordunek Górny* (czyli górniczy). Pierwsza to ustawa górnicza na Śląsku Górnym, zredagowana — w języku polskim. Książę Piastowicz zabezpieczał w niej ochronę pracy górnika, normując jego obowiązki i prawa; zarazem podkreślał, że władze górnicze winny składać się na równi z Niemców, Polaków, ewentualnie i Czechów, a urzędnicy niemieccy muszą wykazać się znajomością języka polskiego! Książę Jan wiedział najlepiej, że większość robotników stanowią Polacy.

Polskie przeważnie były miasta i miasteczka Górnego Śląska w początkach XVI wieku. Wprawdzie żywioł niemiecki pchał się w okresie napływu niemczyzny w wiekach średnich szczególnie do miast, ale nie dotarł w liczbie poważniejszej do miast górnośląskich, a w każdym razie nie uzyskał tamże większości. Omawiając stosunki narodowościowe w miastach na tym terenie twierdzą historycy niemieccy, jakoby element niemiecki stanowił od wieku XIII do XV większość w miastach górnośląskich, a zmiany w tym względzie dokonać się miały dopiero pod sam koniec ery średniowiecznej. Twierdzenie to oparte na bardzo kruchych podstawach, bo głównie na wykazach nazwisk mieszczan. W istocie, przeglądając te wykazy, można mieć co najmniej wątpliwości, czy oznaczają one Niemców czy Polaków. Cofnięcie się niemczyzny na przełomie XV i XVI wieku tłumaczą owi pisarze niemieccy różnymi przyczynami, jak bardzo znacznym osłabieniem napływu nowych przybyszów z Niemiec, co więcej, nawet odpływem części Niemców z gorącego terenu górnośląskiego (doświadczenia z okresu wojen husyckich!), oraz — polszczeniem się wielu Niemców, skazanych na dłuższy pobyt w środowisku polskim. Jasne chyba, że o wpływie środowiska można mówić przede wszystkim w tym wypadku, gdy myśli się o większości ludności, stanowiącej owo środowisko. Przecież chyba dla Niemców, rzekomo „wyższych kulturalnie", nie istniałoby niebezpieczeństwo wynarodowienia, gdyby owi pogardzani Polacy stanowili garstkę ludności miejscowej! Przyjmijmy na chwilę tezę niemiecką, o owej „wyższości" germańskiej: z tego punktu widzenia sprawę oceniając, musimy chyba dojść do wniosku, iż powodem polszczenia się Niemców był poprostu fakt stopnio-

wego ulegania wpływom otoczenia, w którym Polacy stanowili przygniatającą większość!

Nie będziemy się zresztą wdawali w polemiki z tezami propagandy niemieckiej, udrapowanej w szaty rzekomej naukowości. Tak czy inaczej prowadząc rozumowanie, musimy dojść do wniosku, że Niemcy stanowili w miastach górnośląskich cienką stosunkowo warstwę ludności, która, gdy warunki ukształtowały się dla niej nieco mniej pomyślnie, topniała coraz bardziej, aż w końcu niemal zniknęła, ustępując miejsca przeważającej sile polszczyzny. W rezultacie sami historycy niemieccy stwierdzają (mniejsza o powody takiego stanu rzeczy), że w początkach XVI wieku w Gliwicach, Toszku, Strzelcach, Kluczborku, Żorach, Bytomiu, Bielsku, Raciborzu, Koźlu i Opolu element niemiecki znajdował się bezwzględnie w mniejszości. Skądinąd wiadomo, iż w Opolu Polacy stanowili $^4/_5$ ludności, a Racibórz był też przeważnie polskim miastem! Ogólnie więc zaznaczymy fakt polskości ówczesnych miast i miasteczek na Śląsku Górnym. Podobny stan rzeczy, oczywiście w wyższym jeszcze stopniu co do ludności wieśniaczej, panował w prawobrzeżnych terenach Brzeskiego, w Namysłowie i Sycowie, w Oleśnicy, w Trzebnicy i Miliczu. W początkach XVII wieku księżna Dorota Sybilla z domu Hohenzollernów, żona księcia brzeskiego Jana Chrystiana, uczyła się języka polskiego, by móc się porozumieć z poddanymi swego męża. Pan niemiecki Sylwiusz Nimrod, który posiadał w drugiej połowie XVII wieku Oleśnicę, zapewne z tego samego powodu przybrał sobie nauczyciela języka polskiego. W Byczynie i Wołczynie młodzież niemiecka jeszcze pod koniec XVII wieku uczyła się języka polskiego, gdyż było to konieczne w stosunkach z ludnością miast, miasteczek i wsi okolicznych, przeważnie polską. Nieco później szerzej wspomnimy o znacznej ilości druków polskich, treści przeważnie religijnej, wychodzących w Brzegu, Kluczborku i Olesnie. W okolicach Trzebnicy jeszcze pod koniec XVIII wieku większość ludności mówiła po polsku, a bardziej odporne jednostki zachowały tamże swą polskość aż po wiek XX!

Wyższe warstwy najłatwiej ulegały zniemczeniu, poddając się narzucanej przez dwory książęce modzie cudzoziemczyzny, grzesząc manierą przyjmowania wzorów obcych, poczuwając się (niestety aż nazbyt często!) w wyższym stopniu do solidarności z równorzędną im społecznie warstwą napływowych rycerzy niemieckich, niż z polskim ludem! A jednak i szlachta śląska, przynajmniej na Górnym Śląsku, była jeszcze podówczas przeważnie

polska. Lgnęła ku Polsce, zabiegała o urzędy na dworach królów i magnatów polskich, czerpała kulturę z Polski, kupowała książki w Krakowie. W księgach metrykalnych górnośląskich znajdujemy w wieku XVII i XVIII liczne nazwiska szlachcianek śląskich, pisane poprawnie z końcówkami żeńskimi (np. Bujakowska, Przyszowska, Wolczewska, Kamińska); nawet nazwiska o brzmieniu niemieckim upodabniano do pisowni polskiej, opatrując je końcówkami polskimi (np. Rauthenowa, Hunternówna, Gelsmarówna). Szybciej ulegli niemczyźnie książęta Piastowicze. I tutaj trzeba jednak zaznaczyć wcale wyraźną różnicę między Piastowiczami legnicko-brzeskimi, najsilniej zniemczonymi (proces ich germanizacji dokonał się ostatecznie na przełomie XV i XVI wieku — wskutek małżeństw z Niemkami z domu Hohenzollernów), a Piastowiczami opolskimi i cieszyńskimi. Na dworach książąt opolskich przeważał aż do chwili ich wymarcia (1532) język i obyczaj polski. Nieszczęsny Mikołaj opolski nawet nie znał języka niemieckiego, a podobno i brat jego Jan nie władał (przynajmniej aż do objęcia władzy w księstwie) niemczyzną. Na dworze księcia Kazimierza cieszyńskiego, związanego familijnie i politycznie z Czechami, rozbrzmiewała niewątpliwie silnie czeszczyzna, pomieszana z polszczyzną (wedle ówczesnego zwyczaju na tym terenie).

Źródła przekazują nam natomiast wiadomość, że na dworze księcia Wacława cieszyńskiego (w połowie XVI wieku) język polski był bardziej rozpowszechniony niż niemiecki. Wszyscy zresztą owi Piastowicze, nie wyłączając legnicko-brzeskich, pielęgnowali pieczołowicie tradycje swego pochodzenia polskiego, piastowskiego, i chlubili się tym na każdym kroku. Utrzymywali żywe kontakty z Polską, prowadzili z królami i panami polskimi rozległą nieraz korespondencję. Listy do adresatów w Polsce pisali po łacinie, po części i z tego powodu, że taka była ówczesna maniera pisarska, szczególnie w dobie humanizmu. Z Polski otrzymywali listy pisane po łacinie lub po polsku; widać albo sami język polski rozumieli, albo też przynajmniej wśród dworzan nie trudno było o dokładną znajomość polszczyzny. Wśród szlachty zaś górnośląskiej znajomość języka polskiego była w XVI wieku jeszcze tak powszechna, że spod dachów dworków śląskich wychodziły listy pisane polszczyzną niegorszą od tej, jaką pisano w Małopolsce czy w innych częściach Rzplitej. Wskazaliśmy poprzednio, jak poważnym ciosem dla autorytetu państwa polskiego na ziemi śląskiej było niewyzyskanie tak dogodnych w wieku XV sposobności włączenia Śląska do Polski. A jednak mimo wszystko potężne w XVI wieku państwo

polskie posiadało znaczną siłę atrakcyjną dla szlachty śląskiej, nawet dla książąt Piastowiczów; o Polsce wyrażano się z podziwem i szacunkiem, czego liczne dowody znajdujemy choćby w współczesnym piśmiennictwie śląskim.

Kler śląski stanowił od wielu lat narzędzie germanizacji kraju, gdyż wyższe stanowiska piastowali przeważnie Niemcy, i to tak w duchowieństwie świeckim, jak i zakonnym. W szczególności kapituła wrocławska opanowana była przez Niemców, zwalczających zawzięcie wpływy tak polskie, jak (w XV wieku) i czeskie. Wystarczy wskazać na rolę takich biskupów, jak Konrad II, który zamykał swym dekretem z r. 1435 drogę do stanowisk w kapitule Polakom, czy Jan IV Roth, który w dobrach biskupich starał się przeprowadzić zupełną germanizację ludności wieśniaczej. Jeśli chodzi o klasztory, dość wymienić klasztor w Lubiążu, stanowiący od początku swego istnienia placówkę germanizacyjną, oraz wiele, wiele innych klasztorów na Śląsku. A jednak i w tej dziedzinie dokonały się w ciągu XV i XVI wieku pewne zmiany na lepsze. Zmniejszony napływ Niemców na ziemię śląską musiał odbić się również i na stosunkach, narodowościowych w klasztorach. W miejsce adeptów Niemców zaczęli się coraz częściej zgłaszać Polacy, tak że niektóre konwenty ulegały stopniowej polonizacji. Proces ten zachodził tak w klasztorach męskich, jak i żeńskich. Co prawda Niemcy, piastujący najwyższe stanowiska w Kościele śląskim, baczyli pilnie, by przynajmniej wyższe godności pozostały w rękach niemieckich. Prowadziło to z czasem do silnych tarć, zwłaszcza w klasztorach, gdzie polska większość wystąpiła z żądaniem dopuszczenia Polaków również do wyższych stanowisk. Konflikty na tym tle zaostrzyły się szczególnie w okresie reformacji, gdy ogromna większość Niemców przeszła na luteranizm i adeptów Niemców zgłaszało się coraz mniej, a miejsca ich zapełniali Polacy i Polki. Sprawą tą zajmiemy się nieco później.

Tymczasem zanotujemy tylko fakt stopniowego wzmacniania się żywiołu polskiego w licznych zakonach na ziemi śląskiej. Duchowieństwo zbliżało się w ten sposób do ludności, mogło przemawiać do niej językiem macierzystym, dla większości zrozumiałym. Przeciwstawiali się temu oczywiście wszelkimi siłami Niemcy, zajmujący stanowiska kierownicze, przywykli do tego, że od lat Kościół spełniał właśnie rolę czynnika germanizacyjnego. W następstwie zaostrzały się przeciwieństwa między klerem niższym a wyższym, widoczne nie tylko w klasztorach, ale i w szeregach duchowieństwa świeckiego. Rozkwit bowiem Uniwersytetu Krakowskiego w XV

wieku sprawiał, że coraz liczniej Ślązacy odwiedzali mury uczelni krakowskiej, gdzie oddychali atmosferą polską i podtrzymywali swą polskość, względnie ją nawet odzyskiwali, a w każdym razie pozostawali na długie lata pod urokiem kultury polskiej.

Najsilniej przejawiały się wpływy polskie oczywiście na tym terenie Śląska, który był pod względem organizacji kościelnej związany z diecezją krakowską, a więc w dekanacie bytomskim i pszczyńskim (należały one do r. 1821 do biskupstwa krakowskiego). W tej części Górnego Śląska duchowieństwo podlegało biskupstwu krakowskiemu, kształciło się w Krakowie: stanowiska duchowne obsadzali na tym terenie biskupi krakowscy spośród Polaków, pochodzących bądź ze Śląska, bądź też z Małopolski. Dodajmy, że w tych częściach Śląska Górnego, które podlegały biskupstwu wrocławskiemu, władze biskupie musiały po parafiach osadzać Polaków, lub przynajmniej duchownych, znających język polski, gdyż inaczej praca duszpasterska wśród ludności polskiej byłaby praktycznie niemożliwa. Wyższe jednak stanowiska rezerwowane były dla Niemców. W tym względzie miała kapituła za sobą poparcie władz, tak w czasach rządów Luksemburgów, jak w okresie Macieja Korwina, czy następnie Habsburgów: dopuszczenie Polaków do wyższych stanowisk uważały władze tak kościelne, jak i świeckie za bardzo niebezpieczne ze względów politycznych, rozumując, ze swego punktu widzenia słusznie, że utrzymywanie polskości Śląska pociągnie za sobą prędzej czy później odpadnięcie kraju — na rzecz Polski. Z tychże powodów popierały władze dążenia biskupów wrocławskich do rozluźnienia związków diecezji z metropolią gnieźnieńską: wprawdzie nie powiodło się Karolowi IV ongiś wcielenie biskupstwa wrocławskiego do metropolii praskiej, ale pozostały nadal dążności do faktycznego wyłamania się diecezji z ram ogólnej organizacji Kościoła polskiego. Nie bacząc na wezwania arcybiskupów gnieźnieńskich, ani nawet papieża, butni Niemcy-biskupi wrocławscy starali się utrzymać istotną samodzielność, kierując się nie względami na dobro Kościoła (które właśnie na skutek ich taktyki nieraz doznawało uszczerbku, np. w okresie reformacji), lecz niechęcią, nawet wprost nienawiścią do polskości: niestety Stolica Apostolska, powodowana różnorakimi względami politycznymi, nie zdobyła się w stosunku do biskupów wrocławskich na zdecydowane wystąpienie, by ich zmusić do respektowania zarządzeń zwierzchników.

Ważną spójnią między Śląskiem a Polską były bardzo żywe związki kulturalne, w czym najważniejsza rola przypadła Krako-

wowi, jako głównemu środowisku nauki i kultury polskiej. Wobec braku własnego uniwersytetu, młodzież śląska musiała wyjeżdżać na studia poza granice kraju[1]). Zrazu celem wyjazdów naukowych był uniwersytet w Pradze, założony w r. 1348 przez Karola IV. Powstała nieco później, w r. 1364 (jako druga uczelnia wyższa w Europie środkowej) akademia krakowska, twór Kazimierza Wielkiego, w swych skromnych początkach nie stanowiła dostatecznie silnej atrakcji dla młodzieży śląskiej. Wędrówki Ślązaków na studia do Pragi stały się jednak znacznie rzadsze w XV wieku, od chwili opanowania uczelni praskiej przez Husa i jego zwolenników. Wówczas młodzież śląska zaczęła wyjeżdżać do świeżo utworzonego uniwersytetu w Lipsku. Tymczasem jednak uczelnia krakowska, odnowiona i rozszerzona jako pełny uniwersytet w r. 1400 (przez Władysława Jagiełłę, z fundacji królowej Jadwigi), weszła w XV wieku w okres świetnego rozkwitu. Zwłaszcza pod koniec tego wieku i w pierwszych latach wieku XVI przeszczepienie na teren polski prądów humanizmu otwarło erę wspaniałego rozwoju uniwersytetu krakowskiego. Stał się on wówczas nie lada magnesem, przyciągającym całe rzesze młodzieży śląskiej, która wolała jeździć do polskiego Krakowa niż do niemieckiego Lipska. Napływ Ślązaków do uczelni krakowskiej był tak gromadny, że w niektórych latach młodzież śląska stanowiła do 20% ogółu studiujących. Do Krakowa spieszyła na naukę młodzież nie tylko z pobliskich, górnośląskich terenów, a więc z obszarów niemal czysto polskich. Ponadto bowiem spotykamy w wykazach studentów z tego okresu Ślązaków ze wszystkich stron kraju, jak z Wrocławia, Głogowa, Legnicy, Za-

---

[1]) Ośrodkiem najpoważniejszym naukowym na Śląsku była w XIII i w pierwszej połowie XIV wieku wrocławska szkoła katedralna, owiana jeszcze podówczas duchem polskim, która miała pełne dane po temu, by z czasem przekształcić się na uczelnię wyższą, typu uniwersyteckiego. Tymczasem w XIV wieku szkołę (jak i przeważnie kapitułę) opanowała niemczyzna i — doprowadziła do zastoju życia umysłowego w uczelni. Rzuca to sporo światła na rzekomą wyższość kulturalną Niemców i ich zdolności umysłowo-twórcze. Zniemczony Wrocław nie zdobył się przez całe wieki na stworzenie w swych murach akademii, aż dopiero zmontowali ją w r. 1702 — jezuici.

Na studia wyższe jeżdżono tedy ze Śląska w XIII i XIV wieku do Włoch i Francji, a od r. 1348 do najbliższej Pragi, następnie znowuż (w XV wieku) do Lipska i Krakowa. W latach 1433—1510 przewinęło się przez mury uczelni krakowskiej około 2.500 studentów śląskich.

Spośród uczonych, jakich wydał Śląsk w wiekach średnich, należy wymienić kilku. Najpoważniejszy z nich to Witelo (ur. 1250), syn kolonisty Niemca i Polki śląskiej, matematyk, fizyk i filozof.

gania, Kożuchowa, Lwówka, Świdnicy, Jawora, Bolesławca, Kłodzka, Nysy i Opawy. Z skarbnicy wiedzy w Krakowie czerpali obficie tak Polacy śląscy, jak i Niemcy, którzy również wynosili z murów uczelni podziw dla polskiej wiedzy i kultury. Z Krakowa przeszczepiali wychowankowie krakowscy prądy humanizmu na ziemię śląską. Najwybitniejszy przedstawiciel wczesnego humanizmu śląskiego Wawrzyniec Corvinus (prawdziwe nazwisko Raabe), pochodzący ze Środy, przyjaciel naszego Mikołaja Kopernika, uważał (choć Niemiec) Polskę za swą przybraną ojczyznę i w swych rymach wielbił piękno kraju, cnoty jego mieszkańców, a w szczególności wysoki poziom nauki i kultury Krakowa. Możnaby wymienić jeszcze co najmniej kilku humanistów ze Śląska, którzy wtórowali Corvinusowi w wierszach pochwalnych na cześć Krakowa i Polski, a znacznie jeszcze większą liczbę takich, którzy z Krakowa wynieśli podstawy wiedzy i podniety do dalszej pracy na polu naukowym względnie literackim.

Niektórzy Ślązacy znaleźli na katedrach Uniwersytetu Jagiellońskiego właściwy teren swej dalszej pracy naukowej, nierzadko głośnej, jak Jan z Głogowa, teolog, astronom i geograf, jak Michał z Wrocławia, teolog, filolog, astronom i matematyk, jak następnie zwłaszcza Walenty Fontana ze Żmigrodu, odważny obrońca teorii heliocentrycznej Mikołaja Kopernika, czterokrotnie wybierany rektorem uczelni krakowskiej, lub filolog Andrzej Schoneus z Głogowa, wielokrotnie piastujący godność rektorską. Tenże Schoneus tak pisał w r. 1587 do biskupa wrocławskiego: „Była ta akademia krakowska i jest dotychczas dla całej Sarmacji i dla naszego Śląska seminarium, z którego niezliczeni i doskonali Kościoła twojego zastępcy zawsze wychodzili i teraz wychodzą. Ten związek akademii ze Ślązakami, dawnymi już laty wszczęty i przez tyle wieków pielęgnowany, odnów, umocnij i utrwal!". Tak apelował do biskupa o utrzymanie związków kulturalnych i kościelnych z Krakowem i z Polską uczony śląski, Niemiec z pochodzenia, przejęty podziwem i czcią dla nauki polskiej. Głos jego nie znalazł oddźwięku w kapitule wrocławskiej, gdzie od lat już całych rozpanoszył się duch zawziętej niemczyzny, gdzie biskup i kanonicy służyli podówczas wiernie Habsburgom i odgradzali się od wpływów polskich!

Poważne zmiany w stosunkach kulturalnych Śląska z Krakowem sprowadziła reformacja, która w trzecim dziesiątku XVI wieku opanowała już bardzo znaczną część ziemi śląskiej, przeważając zwłaszcza na Śląsku Dolnym. Kraków pozostał nadal ośrodkiem katolicyzmu, a znaczna część młodzieży śląskiej ciągnęła teraz na

naukę tam, gdzie podawano ją w sosie nowinek religijnych, tj. do uniwersytetów niemieckich. W następstwie, w wykazach studentów uczelni krakowskiej po r. 1530 spotykamy coraz mniej młodzieży z Wrocławia czy Brzegu, a jeszcze mniej z takiej Legnicy czy Żagania, krótko mówiąc z terenów, na których święciła triumfy reformacja. Licznie natomiast garnie się nadal młodzież z Opolskiego i Raciborskiego, gdzie ludność przeważnie pozostała wierna katolicyzmowi, czy też z Nysy i Grodkowa, ziem biskupich, w których dość rychło katolicyzm podjął zwycięską walkę z reformacją. W owych czasach Kraków stanowił najbliższy ośrodek nauki a zarazem myśli katolickiej. W Krakowie kształcili się tedy Ślązacy, późniejsi bojownicy katolicyzmu na ziemi śląskiej. Dość wspomnieć, że w Krakowie odbyło studia w latach 1530—1600 niemniej jak 20 przyszłych kanoników katedry wrocławskiej. Kraków odegrał podówczas szczególną rolę w podtrzymaniu katolicyzmu na Śląsku, a następnie w odrodzeniu katolicyzmu śląskiego w XVII wieku.

Ślązacy, wychowankowie Uniwersytetu Krakowskiego, odwdzięczali się swej uczelni bądź wierszami pochwalnymi, jak kilku już wymienionych, jak nadto np. Adam Schroeter z Żytawy (poeta-humanista, tworzący pod wpływem poety polskiego Klemensa Janickiego), który sławił m. i. saliny wielickie, oraz piękno krajobrazu polskiego. Marek Ambrosius z Nysy wydał niebawem po ukończeniu studiów w Krakowie herbarz polski (stanowiący przeróbkę dzieła Jana Długosza, najznakomitszego historyka polskiego wieków średnich), poprzedzając swą pracę dedykacją na część Zygmunta Augusta i wierszem *Na chwalę Polski*. Tenże Ambrosius wykonał mapę Inflant z okazji wcielenia tej prowincji do Polski (1561). Podobnie mapę Inflant oraz opis tak Inflant, jak i Litwy, sporządził Maciej Strubicz z Nysy, sekretarz królów Zygmunta Augusta i Stefana Batorego, który uzyskał szlachectwo polskie. Inny wychowanek krakowski, szlachcic z Cieszyńskiego Wacław Grodecki, był autorem mapy Polski, którą poświęcił Zygmuntowi Augustowi.

W istocie, lgnęli podówczas Ślązacy do Polski, tym więcej, że panował tamże na ogół spokój i dobrobyt, że bujnie rozwijały się nauki, w atmosferze znacznej wolności politycznej i tolerancji religijnej — podczas gdy ziemia śląska niebawem pogrążyła się pod Habsburgami w odmęt ostrych konfliktów i walk religijnych, a w końcu nawiedzona została straszną burzą wojny 30-letniej. Jeśli dodamy do tego nader żywe związki handlowe Śląska z Polską, utrzymujące się mimo wszelkich utrudnień granicznych, musimy

stwierdzić, że w zaraniu czasów nowszych Śląsk ciążył ku Polsce. Działo się to na przekór polityce Habsburgów, którzy chcieli właśnie przeciąć owe związki śląsko-polskie, bojąc się odpadnięcia Śląska od korony czeskiej. Silniejsze bowiem od wszelkich kordonów granicznych były tradycje dawnej łączności państwowej, była przede wszystkim wspólnota krwi większości ludności śląskiej z macierzą polską. Nawiązując bowiem do naszych poprzednich wywodów pragniemy podkreślić, że w owym czasie większość ludności Śląska zachowywała jeszcze swą polskość, a wielu było takich, co tylko powierzchownie ulegli germanizacji i których można było jeszcze dla polskości łatwo uratować. Naturalnie, gdyby ogólne warunki polityczne temu sprzyjały. Niestety kilka jeszcze wieków ciężkich, coraz cięższych doświadczeń, dotknąć miało lud śląski, zanim otwarła się przed nim wreszcie droga do Polski!

Rozdział XIX

REFORMACJA NA ŚLĄSKU

W pierwszej połowie XVI wieku dwa wydarzenia zaciążyły poważnie na dalszym toku dziejów Śląska: zaszczepienie i ekspansja reformacji na ziemi śląskiej, oraz przejście kraju pod rządy Habsburgów. Zajmiemy się najpierw pokrótce zagadnieniem pierwszym.

Stosunki w Kościele śląskim pod koniec ery średniowiecznej kształtowały się podobnie, jak w innych krajach sąsiednich, tzn. wymagały rychłej i to nieraz bardzo zasadniczej reformy. W szczególności poziom kleru śląskiego pozostawiał bardzo wiele do życzenia. Zamiast dbać o podniesienie własnego poziomu życia religijno-moralnego oraz swoich owieczek, duchowieństwo popadło w rutynę formalistyki, pielęgnując do przesady tradycyjne formy kultu, pozbawione często istotnej treści wewnętrznej. Wyższe duchowieństwo świeckie pogrążyło się w materializmie i w okresie humanizmu przyjęło tryb życia swobodny, budzący nie tylko krytykę, ale wprost zgorszenie. Niższe duchowieństwo raziło ciemnotą i prostactwem. Klasztory stały się w wielu wypadkach przybytkami sybarytyzmu życiowego: zakonnicy zatracali troskę o swój poziom tak moralny, jak i umysłowy, zachowując wobec wiernych tylko czcze pozory dbałości o zewnętrzne formy kultu religijnego. Miejsce prawdziwej wiary zajmował aż nader często zabobon. Pojmowali zło niektórzy dygnitarze kościelni, jak biskup wrocławski Jan Turzo, człowiek światły, wykształcony humanista, który próbował usunąć bardziej jaskrawe przejawy nadużyć i ciemnoty. Gdy w r. 1517 wystąpił mnich niemiecki w Wittenberdze, Marcin Luter, przeciwko niektórym dogmatom kościelnym, atakując szczególnie ostro naukę o odpustach, Turzo wydalił z swej diecezji kaznodziei odpustowych, rozumiejąc, że szkodzą Kościołowi przez wytwarzanie powszechnej opinii, jakoby odpust można było uzykać za pieniądze. Równocześnie niemal kazał Turzo usunąć z kościoła św. Doroty we Wrocławiu obraz Matki Boskiej, o któ-

rym mówiono, że płacze, jeśli wierni nie złożą dość wysokiej ofiary! Były to jednak wszystko tylko półśrodki. Sam Turzo nie posiadał dostatecznej gorliwości w sprawach wiary, by mógł Kościół śląski uchronić od wstrząsów, jakie mu groziły. Od dawna już wołano w świecie chrześcijańskim o reformę Kościoła. Próbowały zająć się nią sobory w XV wieku, ale bez rezultatu. Ruch soborowy wyjałowiał w sporach na temat wyższości soboru względnie papieża i zawiódł oczekiwania tych, którzy spodziewali się zasadniczych reform. W tych warunkach zanikała nadzieja na przeprowadzenie reformy Kościoła przez powołane do tego najwyższe instytucje kościelne, papiestwo i sobór powszechny. Tymczasem zaś humanizm, nowy prąd życia umysłowego, który z Włoch rozszerzył się po całej niemal Europie w ciągu XV i w początkach XVI wieku, zaostrzył krytycyzm, pobudził do ostrzejszych i śmielszych ataków na Kościół. Żądania reformy rozlegały się coraz głośniej. Przytłumione ongiś hasła Wycliffa i Husa podejmowano na nowo. Powstało zagadnienie: albo Kościół sam potrafi przeprowadzić istotne reformy, albo też dojdzie do rozłamu, bo stan istniejący był na dłuższą metę nie do utrzymania.

Rozłam dokonał się w pierwszej połowie XVI wieku, zapoczątkowany wystąpieniem Lutra, za którym poszło szereg innych reformatorów. Nie doczekano się reformy, tedy nastąpiła reformacja, głosząca hasło oderwania się od Kościoła rzymskiego i tworzenia odrębnej wiary, osobnych form organizacji kościelnej. Nowe hasło znalazło tak wielu zwolenników w różnych krajach Europy Zachodniej i Środkowej, że zaczęły powstawać odrębne Kościoły. Złożyło się na to, obok powodów natury religijnej, cały szereg innych przyczyn, politycznych, społecznych, narodowych. Era średniowieczna była zamknięta. Tworzyła się nowa era dziejów, nowożytna, wysuwając mnóstwo nowych problemów we wszystkich prawie dziedzinach życia. Rodził się na świecie nowy porządek, obejmujący zmiany w życiu umysłowym, duchowym, politycznym, narodowym, społeczno-gospodarczym.

Nauka Lutra rozprzestrzeniła się szeroko najpierw w Niemczech, gdyż znalazła tam szczególnie dogodne podłoże w stosunkach polityczno-społecznych. Poklask zyskał sobie Luter m. i. z tej przyczyny, że wysuwał obok religijnych hasła narodowe, tworząc Kościół niemiecki, niezależny od Rzymu. Przetłumaczył Pismo św. na język niemiecki, zaprowadził nabożeństwo w języku niemieckim. Większość Niemców opowiedziała się za luteranizmem, jako wiarą narodową niemiecką. Należy to wziąć bacznie pod uwagę przy

rozważaniu sprawy reformacji na Śląsku. Od dawna przecież stosunki w Kościele wymagały reformy i wielu o nią wołało. Gdy jednak przeciw panującym stosunkom wystąpił Jan Hus, wówczas Niemcy zwarcie wypowiedzieli się przeciw niemu. Wprawdzie Hus głosił wiele takich haseł, które następnie od niego przejął Luter: ale Niemcy nie chcieli słuchać nowej nauki, płynącej z Czech, od Słowian. Zaślepiała ich nienawiść do wszystkiego, co słowiańskie. Tedy zwalczali zażarcie husytów czeskich, biorąc gromadny udział w krucjatach, które przeciwko nim organizował Zygmunt Luksemburski. Wspomnieliśmy, z jakim uporem Niemcy wrocławscy zwalczali Jerzego z Podiebradu, „króla heretyków", choć reprezentował odłam husycki umiarkowany, pragnący porozumienia z Kościołem rzymskim. Wiadomo, że swymi intrygami w Rzymie przyczynili się walnie do zerwania między papieżem a królem Jerzym. Czyżby byli tak gorąco przywiązani do Kościoła, czyżby tak usilnie chcieli podtrzymać powagę i autorytet papieża? Na to pytanie odpowiedź przynosi ich zachowanie się po wystąpieniu Lutra. Już w rok niespełna po jego wystąpieniu drukarze wrocławscy (pierwszą drukarnię założono we Wrocławiu w r. 1475) tłoczyli i sprzedawali jego pisma, nie spotykając się z represjami ze strony władz miejskich. W kilka lat później zaprowadzono reformację we Wrocławiu. Uchwycili się oburącz nauki Lutra, bo sprzyjali wszystkiemu, co niemieckie. Tak było w polityce, nie inaczej też w sprawach wyznaniowych.

Luteranizm zaszczepiał się wśród Niemców śląskich tym łatwiej, że nie miał się kto temu przeciwstawić. Młodociany król Ludwik Jagiellończyk nie umiał energicznie ująć steru rządów, a zresztą zajęty był w zupełności sprawą zorganizowania obrony Węgier przed najazdem tureckim. Biskup Turzo był raczej obojętny w sprawach wiary, a jego następca Jakub v. Salza był zwolennikiem taktyki umiarkowanej, kompromisowej, która tylko pomagała luteranizmowi do dalszej ekspansji. Wśród stanów wyższych, książąt i szlachty, oraz niemieckiego patrycjatu w miastach, reformacja znalazła rychło zwolenników. W tych warunkach reformacja przyjmowała się szybko na ziemi śląskiej i czyniła ogromne postępy.

Ledwie zapoznano się z tezami Lutra, a już niebawem zaczęło wielu mnichów i zakonnic opuszczać mury klasztorne i wchodzić w związki małżeńskie. Niemieccy zakonnicy przy kościołach św. Doroty i św. Jakuba we Wrocławiu opowiedzieli się za luteranizmem. Wśród duchowieństwa zapanowało rozprzężenie. Sytuację

wyzyskała rada miejska, obsadzona przze Niemców, przeważnie już zwolenników Lutra. W r. 1522 rada usunęła z Wrocławia zakon bernardynów. W r. 1523 osadziła samowolnie, wbrew protestom biskupa i kapituły, na parafii przy kościele św. Magdaleny Jana Hessa, otwartego zwolennika Lutra (tenże Hess był poprzednio kanonikiem wrocławskim, ale został usunięty przez biskupa Jakuba właśnie za głoszenie tez Lutra). W r. 1524 rada miejska zwołała wszystkich księży i nakazała im nauczanie wiernych w duchu luterskim. Sprzeciwił się temu jedynie przeor dominikanów (przy kościele św. Wojciecha) i został przez władze z miasta usunięty. Wprawdzie król Ludwik ostro potępił samowolne postępowanie rady miejskiej, ale ochronił ją przed represjami margrabia Jerzy Hohenzollern, wpływowy ogromnie na dworze Jagiellończyka, który jako pierwszy z książąt śląskich opowiedział się wyraźnie za Lutrem i zaczął z niezwykłą gorliwością popierać jego naukę.

Za przykładem Wrocławia wprowadzono luteranizm w Kożuchowie i Złotoryi, następnie i w dalszych miastach śląskich, zwłaszcza w dawnym księstwie świdnicko-jaworskim; wszędzie za staraniem przodującej warstwy Niemców. Na stanowisko książąt wielki wpływ wywarł Jerzy Hohenzollern. On to zaprowadził luteranizm w Karniowie i Głubczycach w r. 1523. On też nakłonił swego szwagra, Fryderyka II legnickiego, do ogłoszenia wiary luterskiej jako obowiązującej na terenie Legnicy i Brzegu. Niebawem książę Karol na Ziębicach i Oleśnicy (Podiebradowicz) opowiedział się za luteranizmem i zaczął go popierać w swoich ziemiach. Na luteranizm przeszło również wielu dostojników kościelnych, opatów, przeorów, nawet prałatów i kanoników kapituły wrocławskiej! Na terenie samego zresztą Wrocławia (wraz z przedmieściami) około r. 1537 wszystkie kościoły parafialne znajdowały się w ręku protestantów. Duchowieństwo katolickie utrzymało się jedynie w katedrze biskupiej i kilku klasztorach.

W ciągu niewielu lat reformacja opanowała niemal cały Śląsk Dolny. Na terenie Górnego Śląska sytuacja była nieco inna. W Cieszyńskiem popierał reformację gorliwie magnat czeski Jan z Pernsztyna, który po śmierci księcia Kazimierza (1528) sprawował opiekę nad małoletnim jego synem, Wacławem II: ten zresztą, po dojściu do pełnoletności, wprowadził oficjalnie w swym księstwie reformację. Protegował ją nadto margrabia Jerzy Hohenzollern, pan Karniowa i Głubczyc, który na podstawie układu z księciem Janem opolskim miał otrzymać również Opole i Racibórz. Układ ten potwierdził wprawdzie król Ludwik i przebiegły

Hohenzollern już za życia księcia Jana odbierał od swych przyszłych poddanych przysięgę wierności. Nowy jednak król Czech (od r. 1526), Ferdynand Habsburg, ze względów politycznych i religijnych nie chciał oddać Hohenzollernowi ziem górnośląskich, tym więcej, że pragnął sam zawładnąć skarbami Piastowicza, o których krążyły już legendy. Nakłonił tedy słabego księcia Jana do skasowania poprzedniego układu sukcesyjnego z Hohenzollernem i złożenia zapewnienia, że ziemie jego przypadną koronie czeskiej. Gdy margrabia Jerzy energicznie protestował, poszedł Ferdynand na drogę kompromisu, nie chcąc sobie zrażać całego domu Hohenzollernów. Ostatecznie doszło w r. 1531 do układu między Habsburgiem a Hohenzollernem, na mocy którego księstwa Opola i Raciborza miały formalnie przypaść koronie czeskiej, jednakże margrabia mógł je objąć w czasowe posiadanie, aż do chwili spłaty przez Ferdynanda poważnej sumy pieniężnej, jako odszkodowania za pozbawienie go praw do sukcesji. Ponadto osobno uregulowano sprawę Bytomia i Bogumina, które miał Jerzy otrzymać z prawem przekazania następcom, aż do trzeciego względnie czwartego pokolenia. W następstwie, kiedy zmarł ostatni Piastowicz opolsko-raciborski (1532), urzędnicy Ferdynanda opanowali przede wszystkim skarbiec, zabierając na rzecz swego pana sporo gotówki i kosztowności (choć mniej, niż głosiła fama). Nie na długo tego starczyło Habsburgowi, który był ustawicznie w kłopotach finansowych. Tedy nie miał z czego spłacić Hohenzollerna i musiał mu oddać w posiadanie Opole i Racibórz. Margrabia dzierżył je aż do śmierci (1543), rządząc zresztą nie sam (bo przebywał głównie w Niemczech), lecz przez swego starostę, zniemczałego Polaka Jana Posadowskiego. W jakiś czas po jego śmierci Ferdynand przejął z rąk Hohenzollernów Opole i Racibórz (1552), oddając im w zamian Żagań. Wszystko to miało o tyle związek ze sprawami wyznaniowymi, że wprawdzie Jerzy Hohenzollern popierał wedle możności reformację na Górnym Śląsku, ale miał nieco ręce związane, gdyż był tylko czasowym posiadaczem kraju i nie mógł się rządzić zupełnie wedle swej woli, krępując się względami na właściwego pana, Ferdynanda. W Bytomiu zresztą i Boguminie swobodniej popierał reformację. Dla stosunków religijnych na Górnym Śląsku ważniejszy przecież, niż formalna opieka Habsburga nad katolicyzmem, był fakt przynależności dekanatu bytomskiego i pszczyńskiego do diecezji krakowskiej. Z katolickiego Krakowa napływało na Śląsk duchowieństwo polskie i ono to podtrzymywało katolicyzm wśród ludu górnoślą-

skiego. Wpływy katolickie z Polski sięgały zaś i poza granice owych dekanatów, przenikając również do dalszych części Górnego Śląska.

W ogólności polski lud na Śląsku zajął wobec reformacji postawę bierną a nawet niechętną. Niemcy garnęli się do luteranizmu, natomiast Polacy nie czuli sympatii dla tej „wiary niemieckiej" (jak ją nieraz w Polsce nazywano). Wprawdzie i w Polsce wielu odpadło w okresie reformacji od katolicyzmu. Ale luteranizm szerzył się na terenie państwa polskiego głównie tam, gdzie mieszkali Niemcy (po miastach, np. w Gdańsku, Toruniu, Elblągu, nie mówiąc już o Prusiech tzw. Książęcych, które jako lenno Polski rządzone były przez Albrechta Hohenzollerna). Polacy, którzy sprzyjali reformacji, opowiadali się raczej za nauką reformatora francuskiego Kalwina, albo za protestantami czeskimi (na podłożu dawnego husytyzmu powstała w Czechach sekta tzw. Braci Czeskich), albo wreszcie szukali własnego kierunku, zdecydowanie radykalnego pod względem religijnym i społecznym, tworząc sektę „Braci Polskich". Niechęć ogólnopolską do luteranizmu podzielali niewątpliwie też i Polacy na Śląsku. Tam, gdzie tworzyli najsilniejsze skupienie ludnościowe, na Górnym Śląsku, mogli w wyższym stopniu dać wyraz swym przekonaniom, starając się utrzymać przy katolicyzmie, jako wierze ojców, zwłaszcza, że kontakt z Polską był na tych terenach żywszy i bardziej trwały. Ale i tam w wielu wypadkach, a szczególnie na Śląsku Dolnym, musieli ulegać naciskowi religijnemu. W miastach decydowały rady miejskie o stosunkach wyznaniowych; w dobrach ziemskich książęta i panowie. Ton nadawali wszędzie Niemcy albo ludzie zniemczeni. Wystarczało, że rada miejska usunęła z parafii księdza katolickiego, a osadziła w jego miejsce ewangelika: ludność, chcąc nie chcąc, musiała słuchać jego kazań wedle nowej nauki, stosować się do nowego kultu, jeśli nie miała w ogóle unikać kościoła i zrywać z chrześcijaństwem. Toż samo działo się w dobrach ziemskich. Dodajmy, że zmiany w kulcie religijnym dokonywały się nieraz stopniowo, dla laika nawet niespostrzeżenie. Wprowadzając reformację, zachowywano często niektóre zwyczaje katolickie, a dopiero z czasem usuwano je zupełnie, dostosowując kult religijny do ogólnych wytycznych, przyjętych jako zasady luteranizmu (tzw. wyznanie augsburskie).

W ten sposób powoli Polacy śląscy stawali się luteranami. Nieraz nawet dokonywało się to pod jawnym naciskiem. W Niemczech przyjęto bowiem potworną wprost zasadę, że pan ziemi może decydować o wierze swych poddanych. Tolerancję religijną, i to

bardzo niepełną, bo nie dla wszystkich wyznań, i tylko do czasu, przyznawano tam tylko wyższym warstwom: znaczna część mieszczan i wszyscy chłopi musieli przyjmować wiarę swych panów! W tych warunkach nic dziwnego, że mnóstwo Polaków na Dolnym, a sporo i na Górnym Śląsku pod naciskiem z góry ulegało luteranizmowi. Dla polskości Śląska miało to w każdym razie skutki szkodliwe. Luteranizm zbliżał do Niemiec, a odstręczał do Polski, która pozostała krajem w znacznej większości katolickim. Zanim Polacy śląscy zdążyli się zorganizować w gminy katolickie polskie, tymczasem już wielu z nich uległo wpływom germanizacyjnym Kościoła luterskiego. Straty stąd popłynęły dla polskości bardzo poważne.

Nie myślimy zresztą tych rzeczy zbytnio uogólniać. Były zapewne jednostki wśród Polaków, które dobrowolnie przechodziły na luteranizm, po prostu na znak protestu przeciwko panującym w Kościele katolickim stosunkom, na których uzdrowienie napróżno lata całe czekano. Znacznie więcej było takich, którzy wprawdzie tylko dlatego stali się ewangelikami, że takie zaistniały warunki lokalne (jedna parafia w rękach ewangelików), bądź że do tego doprowadził bezwzględny nacisk panów i zwierzchników-Niemców: wielu z nich przejęło się jednak szczerze duchem wiary ewangelickiej i potrafiło ją zachować przez całe pokolenia, choć warunki temu stanowczo nie sprzyjały (w okresie kontrreformacji habsburskiej). Największy podziw i uznanie muszą spośród Polaków ewangelików budzić ci, którzy mimo wszelkich trudności umieli zachować swą polskość. Trzeba jednak stwierdzić, że znacznie więcej uległo poprzez luteranizm zniemczeniu. Z tego też względu zanotować musimy ujemne skutki reformacji dla polskości Śląska.

Luteranie głosili zrazu hasło wolności dogmatycznej, przeciwstawiając się narzucaniu przez Kościół katolicki takiej a nie innej wykładni Pisma św. i prawd wiary: wedle nich każdy miał prawo dochodzenia do poznania zasad prawdziwej wiary (przez czytanie Pisma św.). To była teoria, ale inaczej wyglądała praktyka. Gdy się niebawem okazało, że wielu zwolenników reformacji nie godzi się na taką interpretację Pisma św., jaką głosił Luter, lecz pragnie pójść własną drogą, kiedy zaczęły się tworzyć nowe sekty, wówczas luteranie przystąpili do ich zwalczania. Kto nie pisał się na te prawdy wiary, które ułożono w r. 1530 jako tzw. wyznanie augsburskie, był znów dla nich odszczepieńcem, heretykiem: takiego uważali często za większego jeszcze wroga, niż katolika! Szczególnie ostro przystąpili do zwalczania skrajnej sekty anabaptystów

(nowochrzczeńców) i antytrynitarzy (występujących przeciwko dogmatowi o Trójcy św.), zwłaszcza, że sekta ta głosiła również radykalne hasła społeczne, żądając równości wszystkich stanów. Otóż panowie niemieccy nie życzyli sobie szerzenia takich haseł. Poparli Lutra, bo przynosiło im to znaczne korzyści materialnę i polityczne: zagarniali majątki kościelne, wzmacniali swą władzę, przejmując nadzór również nad Kościołem w swych terytoriach. Natomiast wszelkie ruchy społeczne warstw niższych, jakie przejawiły się w okresie reformacji, tępili najostrzej. Poparł ich w tym względzie Luter, licząc się przede wszystkim z możnymi tego świata. W następstwie sekty religijne, zabarwione radykalizmem społecznym, tępiono niemiłosiernie w całych Niemczech: prześladowali je tak katolicy, jak niemniej i luteranie.

Podobnie było i na Śląsku. Hasła religijno-społeczne anabaptystów znalazły tutaj zwolenników głównie wśród warstw niższych, chłopów i proletariatu miejskiego. W Głogowskiem część ludności, przeważnie włościańskiej, przejęła się anabaptyzmem: chłopi zaczęli sprzedawać dobytek i przenosić się na Morawy, gdzie spodziewali się znaleźć lepsze dla siebie warunki życia i swobody wyznaniowej. W okolicy Ząbkowic wielu chłopów przyjęło anabaptyzm. Zaniepokoili się poważnie książęta i niemiecka (lub zniemczała) szlachta śląska. Zastosowano wobec zwolenników anabaptyzmu najsurowsze represje. Książę Karol ziębicko-oleśnicki stłumił ruch w ten sposób, że przewódców napiętnował publicznie w Ząbkowicach, kazał im uszy poobcinać i wygnał z kraju! W Legnicy znowuż szlachcic niemiecki Kasper Schwenkfeld stworzył nową sektę, domagając się w ogólności skasowania sakramentu komunii św. Zrazu cieszył się znacznym powodzeniem w mieście, oraz możnym poparciem, bo sprzyjał mu nawet książę Fryderyk II legnicki. Gdy jednak tak król Ferdynand, jak i luteranie potępili bezwzględnie Schwenkfelda i jego zwolenników (Habsburg kazał ich wieszać, traktując podobnie jak anabaptystów), musiał i Piastowicz legnicki zaprzestać popierania sekciarza i wydalił go z Legnicy, gdzie zaprowadzono ostatecznie obrządek luterski. Tak pojmowali wolność sumienia panowie niemieccy, obojętne czy katolicy czy luteranie! Inaczej było w Polsce, gdzie panowała podówczas wolność religijna: rozwijały się tamże różne kierunki religijne, szerzyli swe poglądy nawet owi skrajni anabaptyści, zwani w Polsce arianami lub Braćmi Polskimi. A nawet wtedy, gdy katolicyzm uzyskał na powrót stanowczą przewagę (w drugiej połowie XVI wieku), inne wyznania przez długie lata korzystały z szerokiej tolerancji religijnej. W tych

warunkach wielu anabaptystów ze Śląska uchodziło właśnie do Polski, gdzie łączyli się z arianami i w ruchu ich odgrywali poważną rolę. Wiele nazwisk możnaby tutaj przytoczyć: ograniczymy się do wymienienia takiego Szymona Pistoriusa z Opola, który w Polsce został kaznodzieją ariańskim w Czarkowie i w swych wierszach wyrażał żal z powodu oderwania Śląska od Polski, która stała się jego drugą ojczyzną!

Pisał to Pistorius w XVII wieku, w czasach, gdy straszna burza wojen religijnych rozpętała się i nad ziemią śląską. Wówczas najlepiej oceniał, jak fatalne dla samego Śląska była oderwanie od macierzy polskiej. Od XIV wieku kraj stał się częścią składową królestwa czeskiego, które znowuż było lennem Rzeszy. W ten sposób Śląsk politycznie związany został z Niemcami, a związki te zacieśnić się musiały w XVI wieku, gdy król czeski Ferdynand Habsburg zasiadł z czasem również na tronie cesarskim w Niemczech. Następstwa tego odczuła ludność Śląska niezwykle boleśnie. Reformacja stanowiła dopiero początek zamieszek religijnych, które niebawem doprowadziły do krwawych wojen, przesyconych fanatyzmem wyznaniowym. Widownią ich stały się Niemcy, Czechy i Śląsk, natomiast wolna od takich wojen była Polska.

Rozdział XX

POCZĄTKI RZĄDÓW HABSBURSKICH

Na podstawie układu z r. 1515 po śmierci Ludwika Jagiellończyka Ferdynand Habsburg zgłosił swe pretensje do korony czeskiej i węgierskiej. Poważnym dla niego konkurentem mógłby być w danej chwili jedynie król polski Zygmunt I. Ale Zygmunt osłabił ogromnie swą pozycję, zrzekając się sam w r. 1515 praw do Czech i Węgier w imieniu własnym i swych następców. Wprawdzie na dworze polskim zaczęto odczuwać żal z powodu owej rezygnacji. Zwłaszcza młoda królowa, Bona Sforza, nieprzyjazna Habsburgom, dążyła do sojuszu z Francją, by w ten sposób stworzyć silny blok antyhabsburski i oderwać przynajmniej Śląsk od korony czeskiej. Warunki jednak nie sprzyjały podobnym planom, gdyż Habsburgowie podówczas pokonali Francję i wiązanie się z nią uważano w Polsce za zbyt ryzykowne. W rezultacie po śmierci Ludwika Zygmunt ograniczył się jedynie do wysłania pisma pod adresem stanów czeskich i śląskich, w którym lekko napomknął o swych niewygasłych prawach do czeskiej korony. Orientując się jednakże w ówczesnej sytuacji politycznej w Europie, nie spodziewali się Czesi, aby Zygmunt I energicznie zajął się ich sprawą i podjął walkę z Habsburgami, którzy stanowili największą potęgę w Europie: za Ferdynandem stanąłby bowiem niewątpliwie brat jego, cesarz Karol V, władca Niemiec, Niderlandów, Hiszpanii i znacznej części Włoch, niedawny pogromca Francji. Uznali tedy Czesi za konieczne pogodzenie się z losem i przyjęcie na tron czeski znów króla — Niemca: zapewne nie zdawali sobie ani w części sprawy z tego, jak fatalne będą następstwa tego faktu dla Czech. W październiku 1526 r. stany czeskie, zachowując pozory elekcyjności tronu, oddały Ferdynandowi koronę św. Wacława. W grudniu t. r. zgodziły się uznać Ferdynanda swym panem również stany śląskie, obradujące w Głubczycach, pod warunkiem, że uszanuje przywileje kraju i spłaci pretensje pieniężne Węgier do Śląska, niezałatwione jeszcze od czasu

Macieja Korwina i układu w Ołomuńcu (z r. 1479). Ferdynand oczywiście nigdy Węgrom sum owych nie zapłacił, ale sprawa cała i tak przybrała inny obrót ze względu na dalszy tok wypadków na Węgrzech. Część Węgrów dokonała wyboru Ferdynanda na króla, ale partia narodowa obwołała królem Jana Zapolyę, magnata węgierskiego. Na tym tle wywiązała się walka o Węgry, w którą wmieszali się Turcy, stając po stronie Zapolyi. Po wieloletnich bojach doszło w następstwie do podziału Węgry na trzy części: jedynie część zachodnio-północną utrzymali Habsburgowie, podczas gdy środkową zajęli Turcy, a tylko Siedmiogród zachował pozorną niepodległość (w istocie pod przewagą Turcji), rządzony przez rodzinę Zapolyów, a następnie innych książąt pochodzenia węgierskiego. Przy takim rozbiciu Węgier upadły siłą rzeczy ich pretensje do Śląska, który formalnie i faktycznie stanowił nadal część korony czeskiej.

W maju 1527 r. przybył Ferdynand do Wrocławia, gdzie przyjął od rady miasta i stanów śląskich hołd poddańczy. Możnaby się spodziewać, że Niemcy śląscy z radością przywitają wreszcie nowego władcę-Niemca, bo przecież tęgo im najbardziej w burzliwych czasach XV wieku brakowało. Sprawa przedstawiała się jednak o tyle inaczej, że na Śląsku szerzyła się już w pełni reformacja, a Ferdynand był katolikiem i nie taił swej niechęci do innowierców. Ale Habsburg miał wówczas poważniejsze kłopoty, gdyż czekała go wojna z Turcją o władanie nad Węgrami i chciał przede wszystkim wydobyć ze Śląska znaczne sumy pieniężne na tę wojnę. Wyzyskały trudności Habsburga stany śląskie i uchwaliły mu znaczne podatki, stając natomiast twardo w obronie nowego porządku kościelnego na Śląsku. W tych warunkach Ferdynand wolał odłożyć zwalczanie reformacji na później i ograniczył się do wydania edyktu, nakazującego księżom, którzy odpadli od Kościoła, opuszczenie granic Śląska: edykt ten zresztą nie został wykonany. Ponadto uspokoił Habsburg wyrzuty swego katolickiego sumienia represjami, skierowanymi przeciw sekcjarzom, dobrze zresztą wiedząc, że przyklasną temu nie tylko katolicy, ale i luteranie. W istocie pozostawił właściwie sprawy wyznaniowe na ziemi śląskiej swemu losowi. Gdy w r. 1538 ponownie przybył do Wrocławia, upomniał tylko radę miejską, aby z całą surowością tępiła anabaptystów i nie czyniła krzywdy resztkom duchowieństwa katolickiego, jakie jeszcze utrzymało się przy katedrze i po klasztorach.

W połowie XVI wieku wszyscy książęta śląscy byli już protestantami, z wyjątkiem jednego — biskupa wrocławskiego, pana

na Nysie i Grodkowie. Za czasów biskupa Bałtazara Promnica ewangelicyzm zapuścił zresztą silnie korzenie również i w Nysie: nic dziwnego, skoro biskup uchodził za „skrytego przyjaciela" protestantów i nawet w gimnazjum w Nysie osadził nauczycieli luterskich! Ferdynand patrzył na wszystko przez palce, przynajmniej do czasu. Najwięcej niepokoiły go na razie zakusy domu Hohenzollernów na coraz dalsze ziemie śląskie. Wiadomo już, że margrabia Jerzy z linii Hohenzollern-Ansbach, posiadłszy Karniów i Głubczyce, gotował się do objęcia sukcesji opolsko-raciborskiej po księciu Janie opolskim. W samą porę wystąpił przeciw temu Habsburg, ale w końcu załatwił sprawę połowicznie, gdyż zachował formalne prawa korony czeskiej do wspomnianych księstw, ale pozostawił je w zastawie w ręku margrabiego Jerzego aż do jego śmierci (1543). Dopiero z małoletnim synem margrabiego, Jerzym Fryderykiem załatwił transakcję zamienną: odebrał Opole i Racibórz, a oddał młodemu Hohenzollernowi w r. 1552 Żagań (wykupiony dopiero kilka lat temu przez Ferdynanda z rąk książąt saskich). Niemniej Hohenzollernom pozostały ze spadku opolsko-raciborskiego Bytom i Bogumin, a więc ważne pozycje na Śląsku Górnym. Tymczasem jednak Hohenzollernowie inną drogą wciskali się już na Śląsk. Najpoważniejszy spośród ówczesnych książąt śląskich, Piastowicz Fryderyk II legnicki, od dawna już zaprzedał się domowi Hohenzollernów, z którym był licznymi węzłami skoligacony. W następstwie oddawał swym niemieckim krewniakom ważne usługi, a w końcu zgodził się przyznać im prawo sukcesji w księstwie legnicko-brzeskim. W r. 1537 zawarł z elektorem brandenburskim Joachimem II, głową domu Hohenzollernów, układ familijny, wedle którego na wypadek wygaśnięcia rodu Piastowiczów w linii męskiej Legnica, Brzeg i Wołów (oraz ziemie zastawne Trzebnica i Wołczyn) miały przypaść Hohenzollernom. Nie mógł się na to zgodzić Ferdynand, gdyż w ten sposób bardzo znaczne terytoria śląskie znalazłyby się znów w ręku Hohenzollernów, co mogłoby niebawem doprowadzić do zupełnego obalenia zwierzchnictwa Habsburgów na Śląsku, zwłaszcza, że Hohenzollernowie mieli już mocne oparcie w Niemczech (w Brandenburgii i innych terytoriach, które w latach następnych wciąż pomnażali). W r. 1546 zjechał Ferdynand znowuż do Wrocławia i ogłosił unieważnienie paktu familijnego; Fryderyk legnicki musiał pogodzić się z wolą królewską, natomiast elektor Joachim złożył przez swego pełnomocnika protest. Z papierowego protestu, nie popartego siłą, Habsburg niewiele sobie robił. Hohenzollern był jednak przewidujący i schował głęboko

w swym archiwum akt układu familijnego, licząc na to, że może kiedyś przyjdzie czas na wydobycie go na światło dzienne. Na tym akcie oprą z czasem Hohenzollernowie swe roszczenia do ziem śląskich.

Ferdynand miarkował swą niechęć do protestantów do chwili, kiedy poczuł się na siłach do zastosowania ostrzejszego kursu. W latach 1546/7 brat jego, cesarz Karol V przeprowadził zwycięsko wojnę w Niemczech z obozem protestanckim, zorganizowanym w tzw. związek szmalkaldzki. W czasie tej wojny Ferdynand wezwał stany śląskie, by dostarczyły pomocy cesarzowi. Protestanci śląscy nie chcieli przecież walczyć przeciw współwyznawcom. Pod naciskiem Habsburga stany śląskie dostarczyły tylko nader skąpych posiłków, zachowując zresztą przeważnie pozycję wyczekującą. Niektóre miasta okazywały nawet jawne sympatie dla związku szmalkaldzkiego. Gdy oręż cesarski odniósł zwycięstwo w Niemczech, Ferdynand dokonał przede wszystkim krwawych represji w Czechach w stosunku do protestantów. Na Śląsku postąpił już znacznie oględniej, ograniczając się do represyj głównie na terenie ziem, bezpośrednio podległych królowi, jak w księstwach wrocławskim, jaworskim, świdnickim oraz głogowskim, i to zadowalając się nałożeniem znacznych kar pieniężnych, oraz usunięciem burmistrzów, otwarcie sympatyzujących z obozem szmalkaldzkim. Aby zapobiec dalszemu szerzeniu się reformacji, nakazał zamknięcie wszystkich drukarń śląskich, z wyjątkiem jednej we Wrocławiu, nad którą miał sprawować kontrolę biskup wrocławski. Zarządzenie to znowuż nie zostało wykonane, a kontrola takiego biskupa, jak wspomniany Promnic, niewiele mogła zaszkodzić propagandzie reformacji. Na dalsze postępowanie Ferdynanda wobec protestantów wpłynęły zresztą zmiany w układzie stosunków wewnętrznych w Niemczech. Niebawem Karol V stanął wobec niespodziewanych komplikacji, gdy utworzył się nowy obóz opozycyjny, w skład którego wchodzili tak protestanci, jak i katolicy; zgodność taka wynikła stąd, że wszyscy książęta przeciwstawiali się zamysłom Karola V, dążącego do wzmocnienia władzy monarszej w Rzeszy. Zrażony wszystkimi trudnościami, na domiar pokłócony podówczas z papieżem, Karol V postanowił wreszcie załatwić sprawy wyznaniowe w Niemczech na drodze kompromisu. Na sejmie w Augsburgu w r. 1555 uchwalono tzw. pokój religijny, zapewniający wolność wyznaniową katolikom i luteranom („wolność" ta dotyczyła tylko stanów wyższych, natomiast znaczna część mieszczaństwa i wszyscy chłopi musieli przyjąć wyznanie, jakie się spodobało wybrać panu!).

Przyznanie równouprawnienia luteranom w Niemczech wpłynęło również i na taktykę Ferdynanda na Śląsku, gdzie w ostatnich latach swych rządów traktował oględnie luteranów, starając się jedynie tępić skrajne sekty.

W miarę możności Ferdynand starał się związać Śląsk ściślej z koroną czeską na zasadach centralistycznych. Zaznaczyło się to przede wszystkim na terenach bezpośrednio podległych królowi, gdyż Ferdynand nie miał dość siły, by poważnie ograniczyć też i władzę książąt. Wyraźną zresztą jego dążnością było stopniowo przejęcie i terytoriów książęcych pod bezpośredni zarząd Habsburgów. W związku z tym właśnie nie dopuścił do dalszego rozrostu potęgi Hohenzollernów na Śląsku, lecz w końcu wcielił Opole i Racibórz do ziem korony czeskiej, a następnie zabezpieczył sobie na przyszłość prawo przejęcia Legnicy, Brzegu i Wołowa, unicestwiając ów pakt familijny Piastowiczów z Hohenzollernami. Tendencja Habsburga była wyraźna, ale często nie dopisywały siły: zwłaszcza zaś pustki w skarbie zmuszały go do ciągłych przetargów ziemiami śląskimi. Dążności centralistyczne Ferdynanda przejawiły się m. i. na polu monetarnym. Chciał on usunąć ze Śląska polską monetę, prawdziwą czy też podrabianą, która tam wciąż krążyła, z upodobaniem używana powszechnie przez ludność, wprowadzić natomiast jednolitą stopę monetarną, dostosowaną do stopy monetarnej czeskiej względnie austriackiej (talary, grosze). Ślązacy jednak, którzy przede wszystkim dbali o jak najżywsze stosunki handlowe z Polską, bronili się przed reformą monetarną Ferdynanda. Choć tedy Habsburg kazał zamknąć inne mennice śląskie i ustanowił jedyną, we Wrocławiu, mennicę własną, w której kazał wszystkie monety przetapiać wedle stopy czesko-austriackiej, choć zarządził wycofanie z obiegu wszystkich monet polskich i podrabianych, naśladujących stopę monetarną polską, i to pod groźbą kary śmierci — nic to nie pomagało. Ślązacy nie chcieli przyjmować monety habsburskiej, bo przywykli od dawna do używania pieniądza polskiego: powszechne orientowanie się w obrotach handlowych wedle stopy monetarnej polskiej było tak silnie zakorzenione na Śląsku, że ludność wolała nawet przyjmować podrabiany pieniądz, ale imitujący polski, niż monety Ferdynanda. Gdy na domiar rozeszły się wieści, że i z mennicy wrocławskiej wychodzą monety tzw. „spodlone“ (o wartości kruszcu poniżej wartości nominalnej), wzburzenie wezbrało tak silnie, że w samym Wrocławiu doszło do rozruchów ulicznych. W końcu Ferdynand dał za wygraną i niebawem zamknął swą mennicę we Wrocławiu, a w kraju krążyły

nadal różne monety. Ślązacy woleli chaos monetarny, niż reformy unifikacyjne habsburskie: przede wszystkim zaś chcieli takiej monety, któraby im była najdogodniejsza w obrotach handlowych z Polską.

W istocie cała troska Ferdynanda o sprawy śląskie ograniczała się do tego, by wzmocnić tamże władzę królewską i wydusić z kraju możliwie dużo pieniędzy dla wspomożenia zawsze pustej swej kasy. Prawdziwej troski o losy kraju, o dobro poddanych, ani śladu. Ferdynand był panem krajów austriackich, Czech i części Węgier: po abdykacji Karola V (1556) został on również cesarzem i odtąd godność cesarską w Niemczech piastować będą wszyscy jego następcy. Habsburgowie mieli tedy mnóstwo kłopotów przeróżnych, którym sprostać mogli tylko z największą trudnością. Śląsk stanowił dla nich kraj peryferyjny, znacznie mniej ważny od innych terytoriów, którymi władali. Prawdziwie zaś po macoszemu traktowali Śląsk Górny; cóż ich obchodziły losy ludności obcej im zupełnie, ludności w ogromnej większości polskiej? Do Opola i Raciborza Ferdynand nawet wcale nie zaglądał. Śląsk dla niego — to był jedynie bogaty Wrocław, to książęta i panowie stanowi, to co najwyżej jeszcze kilka zamożniejszych, niemieckich miast dolnośląskich. Zaniedbany przez władze kraj górnośląski pod rządami Habsburgów podupadał i ubożał. Polski chłop i polski górnik wyzyskiwany był przez panów niemieckich, oraz naśladującą ich często niewolniczo, zniemczałą szlachtę. Poważnym wprawdzie zadatkiem dalszego rozwoju gospodarczego kraju było górnictwo, skupiające się głównie w okręgu Tarnowskich Gór, otoczone opieką przez ostatniego Piastowicza opolskiego. Niestety wkrótce zjechało się do Tarnowskich Gór mnóstwo szumowin z Niemiec, znęconych nadzieją łatwego zysku. Chcieli się dorabiać kosztem polskiego robotnika, wymagając od niego pracy ponad siły, za marną zapłatą. Polakiem owe przybłędy z Niemiec pogardzały. Nie inaczej odnosili się do ludności urzędnicy miejscowi, narzuceni przez władze Niemcy, którzy nie raczyli mówić po polsku, lecz władczo wydawali rozkazy w języku niemieckim, którego ludność nie rozumiała i nie chciała się uczyć.

Nic dziwnego, że rozgoryczeni robotnicy polscy burzyli się przeciw takim stosunkom. Podniecały właśnie umysły odgłosy odległych haseł radykalno-społecznych, dochodzące w dobie reformacji z innych krajów. W r. 1533/4 górnicy polscy w Tarnowskich Górach powstali przeciw ciemiężcom. Z kilofami i siekierami rzucili się na kopalnie, niszcząc urządzenia. Było to już po śmierci

księcia Jana opolskiego. Zszedł do grobu ostatni Piastowicz opolski, a zarząd kraju przejęły zrazu władze cesarskie, by wkrótce je przekazać jako ziemię zastawną margrabiemu Hohenzollernowi. Czyż to nie zastanawia, że właśnie w tym momencie powstali górnicy polscy? Odczuli oni najlepiej zmianę władzy zwierzchniej na swej ziemi rodzinnej. Po rządach księcia Polaka, który wykazał niemało troski o los polskiego robotnika, przyszły rządy panów niemieckich. Przeciwko Niemcom ruszyli się tedy górnicy polscy. Ruch został stłumiony przez wojsko. Panowie niemieccy mieli na swe usługi żołdactwo, a robotnik polski znikąd nie mógł oczekiwać pomocy. Ale panujący wyzysk i ucisk robotnika polskiego nie sprzyjał rozwojowi górnictwa. Zaniedbany przez władze habsburskie kraj górnośląski, wydany na łup samowolnych panów i urzędników niemieckich, ubożał w latach następnych. Upadło w ciągu XVII wieku górnictwo, do czego przyczyniły się oczywiście walnie wojny, niszczące Śląsk w owym czasie.

Przypominali sobie o Śląsku Habsburgowie nagle wtedy, gdy trzeba było znaleźć jakiś obiekt do przetargów politycznych i finansowych, jakieś ziemie zastawić lub wymienić. Do tego nadawał się w ich przekonaniu najlepiej — właśnie Górny Śląsk. Tak więc, nie mogąc inaczej rozwiązać trudnego kompleksu spraw węgierskich, weszli w układy z rodziną Zapolyów, przy czym pośredniczyła też i dyplomacja polska, gdyż Zygmunt I i królowa Bona interesowali się losem swej córki Izabeli, wydanej za Jana Zapolyę, która po śmierci męża broniła praw swego synka, małoletniego Jana Zygmunta Zapolyi. Doszło w końcu do porozumienia: młody Jan Zygmunt Zapolya miał się zrzec wszelkich praw do Węgier i wydać Siedmiogród Habsburgom, w zamian za to otrzymywał w posiadanie dziedziczne Opole i Racibórz, jako lenno królestwa czeskiego. W r. 1552 królowa Izabela przybyła na Śląsk i w imieniu swego syna odebrała hołd od poddanych. Ponieważ jednak już wówczas widoczne były skutki rządów niemieckich na ziemi górnośląskiej, tak że kraj dawał dochody niewielkie, a nawet dawna świetna rezydencja książąt opolskich popadła w taką ruinę, że nie można było tamże zamieszkać, tedy Izabela nie długo zagrzała miejsca i niebawem (1556), nawiązawszy znów porozumienie z ruchem narodowym węgierskim, który nie chciał kompromisu z Habsburgami, wyjechała na powrót do Siedmiogrodu. — Dwukrotnie jeszcze w dalszych latach wiązali Habsburgowie losy Górnego Śląska ze swymi kombinacjami węgierskimi. W r. 1598 oddali Opole i Racibórz w posiadanie Zygmuntowi Batoremu (bratankowi króla polskiego, Ste-

fana Batorego), księciu siedmiogrodzkiemu, a w r. 1622 Gabrielowi Bethlenowi, również księciu Siedmiogrodu: obie transakcje były zresztą tylko chwilowe i nietrwałe. Niemniej świadczą one, jak mało czuli się Habsburgowie związani z Górnym Śląskiem. Nic dziwnego, że władze habsburskie kraj ten, którego los był często pod znakiem zapytania, jaskrawo zaniedbywały, traktując go jedynie jako teren doraźnej eksploatacji.

Mniej jeszcze zainteresowania, niż Ferdynand, okazywali dla spraw całego Śląska jego następcy: Maksymilian II (1564—1576), oraz Rudolf II (1576—1611), cesarze i królowie czescy zarazem. Każdy z nich raz tylko raczył pojawić się na ziemi śląskiej — dla odebrania hołdu poddańczego. Nic dla Śląska nie robili, natomiast żądali od ludności — posłuszeństwa i podatków.

Władze habsburskie popierały natomiast, gdzie tylko mogły, niemczyznę na ziemi śląskiej, w niej widząc główne dla siebie oparcie na przyszłość. W ogólności trzeba pamiętać, że Habsburgowie reprezentowali podówczas największą potęgę niemiecką, najgroźniejszą dla krajów sąsiednich, zwłaszcza słowiańskich. Już za rządów Ferdynanda Czechy i Węgry zaznały „dobrodziejstwa" rządów habsburskich, które obalały przywileje krajowe, niosły absolutyzm i germanizację. Z prawdziwym współczuciem patrzano wówczas na losy bratniego narodu czeskiego w Polsce. Niestety o jakiejś współpracy polsko-czeskiej, dla ratowania Czech przed coraz groźniejszym niebezpieczeństwem kompletnej germanizacji, nie było mowy. Od chwili unii z Litwą polityka polska skierowała się na wschód i kroczyła nadal po tej drodze. W następstwie przyjęła na siebie olbrzymie zadania, związane z rozległymi terytoriami litewsko-ruskimi. Rozwiązanie ich przerastało siły narodu polskiego. Zbyt wielkie były choćby same trudności wewnętrzne, wobec różnolitości elementów etnicznych, wyznaniowych i kulturalnych, wchodzących w skład Rzeczypospolitej. Na domiar dołączyły się konflikty z potężnymi państwami, jak z Moskwą, która w miarę wzmacniania się wewnętrznego wysunęła pretensje do ziem ruskich, znajdujących się w obrębie Litwy i Polski, oraz z Turcją, która usadowiła się mocno na wybrzeżu czarnomorskim, objąwszy zwierzchnictwo również nad Tatarami krymskimi i zaczęła rywalizować z Polską o zwierzchnictwo nad krajami naddunajskimi. W interesie głównie Litwy, pożądającej posiadania pełnego ujścia Dźwiny, Zygmunt August (1548—1572) zdecydował się wcielić Inflanty do Polski, co zresztą powiodło się jedynie połowicznie, a tylko pogłębiło jeszcze konflikt z Moskwą (dla której nabycie Inflant oznaczało otwarcie

sobie okna na Bałtyk), oraz wplątało Polskę w nowy groźny zatarg ze Szwecją.

W tych warunkach polityka polska, pochłonięta w zupełności sprawami utrzymania i obrony niezmiernie wydłużonej granicy wschodniej i południowo-wschodniej, odwróciła się od problemów zachodnich. Cieszono się w Polsce, że na razie od strony zachodniej nie grozi bezpośrednie niebezpieczeństwo, gdyż Niemcy pogrążały się coraz bardziej w zamęt wyznaniowy i rozstrój polityczny. Nie wyzyskano zupełnie wyjątkowo korzystnego momentu, gdy można było odzyskać prastare ziemie polskie nad Bałtykiem i nad Odrą. Pozwolono Niemcom rozegrać swoje konflikty wewnętrzne, nie niepokojąc ich zupełnie. To były dalsze zaniedbania polityki polskiej, grzeszącej karygodnym krótkowidztwem, nie przeczuwającej, że z chaosu niemieckiego może się z czasem wyłonić potęga, która podejmie na nowo *Drang nach Osten* i to z siłą dotąd niewidzianą, z brutalizmem, który świat cywilizowany wprowadzi w osłupienie! A tymczasem pod bokiem Polski, mimo panującego jeszcze w Rzeszy chaosu, tworzyły się podstawy przyszłej potęgi Hohenzollernów. Usadowiwszy się w Brandenburgii, na dawnych ziemiach słowiańskich, wciskając się na Pomorze, stworzyli sobie nadto dogodną placówkę do dalszej ekspansji na wschód w Prusiech Wschodnich (udając na razie potulnych lenników Polski — do czasu), a nawet zapuszczali swe macki na ziemie śląskie. W XVI czy XVII wieku była jeszcze pora po temu, by niebezpieczeństwo zażegnać; ale politycy polscy moment właściwy przeoczyli. Popełnili przy tym błąd nie do darowania, pozwalając na to, by wielotysięczne masy Polaków pozostawały pod obcymi rządami, na Śląsku, na Pomorzu, w Prusiech Wschodnich. Polska wchłonęła w swój organizm państwowy mnóstwo obcego żywiołu, który z natury rzeczy wcześniej czy później musiał stanowić element rozkładowy, a zapomniała o własnych rodakach, oderwanych od pnia macierzystego i skazanych w znacznej części na stopniowe wynarodowienie! Niestety rządząca w Polsce warstwa magnatów i szlachty nie wykazywała właściwego zrozumienia problemu ludności polskiej poza granicami państwa, gdyż ludność ta składała się — przeważnie z chłopów. A wedle ówczesnych pojęć (nie tylko w Polsce, ale i w całej niemal Europie) za naród uważano tylko warstwy wyższe, traktując chłopów jako bezduszną masę poddańczą!

Na dobro ówczesnej szlachty polskiej zapisać wszelako należy, że nie zamykała zupełnie oczu na niebezpieczeństwo niemieckie, jakkolwiek dostrzegając tylko jeden jego fragment. W każdym

razie przynajmniej nastawiona była wrogo przeciwko Habsburgom. Ogół szlachty nienawidził Habsburgów, jako przedstawicieli absolutyzmu monarszego i niemczyzny. Bolała szlachta nad losem Czechów, którym coraz dotkliwiej dawało się we znaki jarzmo habsburskie. Sprawa interesowała szlachtę tym bardziej, iż po wygaśnięciu Jagiellonów z linii męskiej na Zygmuncie Auguście (1572) nastały w Polsce czasy wolnej elekcji i Habsburgowie występowali jako kandydaci do tronu polskiego. Gdyby te zabiegi zostały uwieńczone powodzeniem, Habsburgowie na tronie polskim otwarliby i w samej Polsce szeroko wrota dla ekspansji niemczyzny. Na szczęście instynkt narodowy ostrzegł tym razem szlachtę przed nierozważnym krokiem. Na pierwszej wolnej elekcji (1573) głównie magnaci popierali Habsburga — a szlachta wybrała królewicza francuskiego, Henryka Valois. Na drugiej znowuż (1576) partia magnacka, w gorszącej doprawdy zgodności z Niemcami gdańskimi, opowiedziała się za Maksymilianem II, cesarzem i królem czeskim, — a partia szlechecka wybrała Stefana Batorego, przewódcę ruchu węgierskiego, antyhabsburskiego. Habsburgowie nie dali za wygraną i po raz trzeci kandydowali, w r. 1587, opierając się znowuż na garści magnaterii polskiej: natomiast szlachta polska poszła ławą za królewiczem szwedzkim Zygmuntem, który po matce miał w żyłach krew jagiellońską. Kandydat habsburski, arcyksiążę Maksymilian, próbował zbrojnie zająć Kraków i stworzyć fakt dokonany. Został jednak odparty i wycofał się na pogranicze śląskie, gotów mimo wszystko ponownie wpaść do Polski. Nauczył wówczas Niemców rozumu kanclerz i hetman polski Jan Zamoyski (stanowczy wróg Habsburgów): wkroczył z wojskiem na terytorium Śląska i pod Byczyną (24 stycznia 1588) zadał zupełna klęskę Maksymilianowi, a samego arcyksięcia wziął do niewoli. Popłoch padł na Niemców śląskich; zaczęli się zbroić pospiesznie w obawie dalszego pochodu wojsk polskich. Niestety Zamoyski nie poszedł dalej, bo nie życzył sobie tego nowy król polski, Zygmunt III (1587—1632), który pragnął właśnie ścisłego sojuszu z Habsburgami — wbrew intencjom rzesz szlachty polskiej, nienawidzącej Habsburgów. Za staraniem króla został niebawem (1589) zakończony ów zatarg między Polską a Habsburgami traktatem, zawartym na pograniczu śląsko-polskim, w Bytomiu i Będzinie.

Kiedy w czasie pierwszej wolnej elekcji rozglądano się w Polsce za kandydatem do tronu, zwrócono uwagę również i na Piastowiczów śląskich: pominięto ich jednak rychło, wysuwając m. i. zarzuty, że zbyt są zależni od cesarzy i — że nie znają już języka pol-

skiego. Wprawdzie nie było to całkiem ścisłe, ale z owej argumentacji szlachty można łatwo wywnioskować, że niechęć do Piastowiczów śląskich wynikała z ich silnego zniemczenia. Znamienne, iż wśród kandydatów wymieniano imiennie tylko jednego z książąt śląskich, Wacława III cieszyńskiego, na którego dworze panował język polski! Natomiast najsilniej zabiegał o tron polski książę Henryk legnicki, wnuk Fryderyka II, który jednak nie był przez Polaków poważnie brany w rachubę, gdyż uchodził za awanturnika, hulakę i marnotrawcę. A przecież ów Henryk legnicki zasługuje na uwagę choćby z tego względu, iż stale lgnął do Polski. Nie tylko dwukrotnie zabiegał o tron polski, ale, niezrażony niepowodzeniem, dalej utrzymywał szczególnie żywy kontakt z Polską i Polakami. Zwłaszcza częste jego wyjazdy do Polski budziły poważne podejrzenia na dworze habsburskim. Kiedy stawiano mu otwarcie zarzuty z tego powodu, Henryk odpowiadał, „że pochodzi z szlachetnej krwi królów polskich, przeto też w nim ta polska krew dotąd wre i on Polaków bardzo lubi". Naraził się w końcu cesarzowi Rudolfowi, który wysłał przeciw niemu ekspedycję karną pod komendą biskupa wrocławskiego Marcina Gerstmanna, jako gubernatora Śląska. Książę uległ przemocy i został uwięziony. Niebawem uszedł jednak z Wrocławia i schronił się do Polski, gdzie go przyjmowano z wielką życzliwością, jako Piastowicza i ofiarę Habsburga. Książę legnicki skończył niespokojny swój żywot na ziemi polskiej, w Krakowie (1588).

Tragiczna to postać ów Piastowicz, na pozór całkiem zniemczony, w którym naraz odzywa się krew polska. Dla takiego księcia nie było już miejsca na Śląsku pod rządami habsburskimi!

Rozdział XXI

KONTRREFORMACJA NA ŚLĄSKU

Postępy reformacji, która objęła swym zasięgiem większość krajów Europy Zachodniej i Środkowej, przynagliły wreszcie załatwienie sprawy reformy Kościoła katolickiego. W połowie XVI wieku zebrał się sobór w Trydencie (1545—1563), który przeprowadził szereg reform w dziedzinie organizacji Kościoła (m. i. w zakresie działalności, obyczajów, życia umysłowego i religijnego kleru), nie odstępując zresztą od zasadniczych dogmatów katolickich, przeciwnie, nawet je utrwalając i precyzując. Wzmocniony wewnętrznie Kościół katolicki przystąpił teraz do kontrofensywy, dążąc do odzyskania utraconych w dobie reformacji terenów. Stąd też okres ten w dziejach Europy nosi nazwę kontrreformacji, albo restauracji katolickiej. W przedniej straży owej kontrofensywy katolicyzmu szedł zakon jezuitów (utworzony w pierwszej połowie XVI wieku w Hiszpanii), stawiający sobie za cel główny odzyskanie dla Kościoła utraconych owieczek. Kontrreformacja przyniosła w ciągu drugiej połowy XVI i w XVII wieku wyniki bardzo poważne. Naturalnie rzadko tylko udawało się nawrócenie tych, którzy z przekonania, mając inne poglądy na sprawy dogmatyczne, przeszli na protestantyzm. Wielu jednak tylko dlatego poszło do obozu protestanckiego, że nie godziło się ze stosunkami panującymi w Kościele i na próżno przez całe lata czekało na ich poprawę. Wielu wreszcie, zwłaszcza w początkowych fazach reformacji, nie orientowało się dostatecznie, gdzie leży granica między katolicyzmem a reformacją, ulegając złudzeniu, że uda się różnice wyznaniowe wygładzić i przywrócić jedność kościelną: otóż tacy wracali teraz przeważnie gromadnie na łono Kościoła katolickiego, stwierdziwszy, że w istocie więcej im odpowiadają dogmaty i obrządek katolicki, niż protestancki. Poważną wreszcie siłą atrakcyjną Kościoła było dokładne sprecyzowanie spraw dogmatycznych, podczas gdy wśród protestantów, rozbitych na szereg sekt wyznaniowych, panowały często

pod tym względem stosunki chaotyczne. W rezultacie Kościół katolicki odzyskał przeważnie utracone pozycje w krajach romańskich (choć we Francji nie obyło się bez długoletnich wojen religijnych) i w Polsce. Znacznie gorzej przedstawiała się sprawa w krajach germańskich. Sukcesy kontrreformacji ograniczyły się tutaj zrazu głównie do Niemiec południowych (krajów austriackich i Bawarii), po części zachodnich. Dalsze próby odzyskania utraconych terenów w Niemczech napotkały na rosnący opór protestantów i doprowadziły niebawem do wybuchu walk religijnych w krajach habsburskich i w Niemczech.

Fala kontrreformacji zrazu tylko w małym stopniu dotknęła Śląsk. Cesarz Maksymilian, raczej obojętny w rzeczach wiary, a nawet skłaniający się skrycie ku luteranom, nie stawiał protestantom śląskim żadnych przeszkód. Następca jego Rudolf, acz gorliwy katolik, dopiero z czasem zabrał się do walki z protestantami. W r. 1577 przybył do Wrocławia, odebrał (jako król czeski) hołd stanów śląskich i — więcej się na Śląsku nie pokazał, zaniedbując jaskrawo sprawy tego kraju. Biskupi wrocławscy nie wykazywali troski poważniejszej o sprawy kościelne. Doprawdy, biskupstwo wrocławskie nie miało szczęścia do swych włodarzy. Niewiele lepszym biskupem od Promnica był Kasper Logau, więcej interesujący się gromadzeniem majątku niż sprawami Kościoła. Następny biskup, Marcin Gerstmann, dopiero pod naciskiem kapituły podjął pewne kroki dla uzdrowienia stosunków wśród kleru śląskiego. Był przede wszystkim zajadłym Niemcem i pilnie baczył, by stanowiska kościelne obsadzić Niemcami, z wyłączeniem Polaków. Nie słuchał poleceń swego zwierzchnika kościelnego, arcybiskupa gnieźnieńskiego i odmówił przybycia na synod duchowieństwa polskiego w Piotrkowie (1577), na którym przyjęto dekrety trydenckie, co stanowiło ważny krok na drodze do poparcia restauracji katolickiej. Ale dla Gerstmanna ważniejsza była walka o usamodzielnienie biskupstwa wrocławskiego od Gniezna (a więc zacieranie śladów dawnego zwierzchnictwa polskiego nad Śląskiem), niż dobro Kościoła. Dopiero na wyraźne życzenie kapituły przyjął biskup postanowienia trydenckie w r. 1580. Jeśli coś robił, to więcej dla pozoru, niż z gorliwości. Sprowadził do Wrocławia jezuitów (1581), ale nie wyrobił im żadnej trwałej pozycji; wystarczył sprzeciw stanów śląskich i jezuici nie zdołali założyć swego kolegium w żadnym z miast śląskich. Wobec protestantów zachowywał się Gerstmann z taką kurtuazją, że nawet w samej Nysie sprzedawano publicznie książki antykatolickie, a w dobrach biskupich zarządcy-protestanci

gnębili katolików! Natomiast więcej gorliwości katolickiej wykazywała kapituła, w której szereg stanowisk obejmowali już wychowankowie kolegium w Rzymie, specjalnie dla kształcenia duchownych niemieckich utworzonego (w r. 1555, tzw. *Collegium Germanicum):* na studia teologiczne kierowano tamże i Ślązaków. Z kolegium wychodzili bojownicy kontrreformacji i niemczyzny zarazem, wierni słudzy papieża i domu Habsburgów, uważanego podówczas przez papiestwo za główną ostoję katolicyzmu. Stąd też prądy kontrreformacji. wychodzące z łona kapituły, łączyły się przeważnie z hasłem popierania niemczyzny, a lekceważeniem (jeśli nie wprost usuwaniem) polskości.

Próbom wprowadzenia restauracji katolickiej opierały się stany śląskie, co zrozumiałe wobec tego, że książęta byli protestantami, podobnie jak i większość rycerstwa oraz patrycjatu miejskiego. Spośród książąt Podiebradowicze stracili mocno na znaczeniu, gdy wskutek złej gospodarki finansowej utracili Ziębice (przeszły one w ręce Habsburgów) i utrzymali się tylko w Oleśnicy. Osłabła również pozycja Piastowiczów legnicko-brzeskich wskutek podziału księstwa na dwie części w połowie XVI wieku. W okresie podziału poważniejszą rolę odgrywało księstwo Brzegu (zwłaszcza pod rządami Jerzego II, dbałego o podniesienie poziomu gospodarczego i kulturalnego kraju, ale służalcy Habsburgów) niż Legnicy. W latach 1596—1602 przejściowo połączył Brzeg, Legnicę i Wołów pod swym panowaniem książę Joachim Fryderyk. Po jego śmierci znów podzielili się spadkiem synowie: Jan Chrystian wziął Brzeg, a Jerzy Rudolf Legnicę i Wołów. Już po samych imionach owych książąt widać, jak silnie w dom Piastowiczów wżarła się niemczyzna: same niemieckie imiona, przeważnie po Hohenzollernach, z którymi wchodzili ustawicznie w związki pokrewieństwa. Linia Piastowiczów cieszyńskich miała w Wacławie III (zmarł w r. 1579) zdolnego przedstawiciela, który zarządzał dobrze swym krajem. Wreszcie w Karniowie, Bytomiu i Boguminie rządzili Hohenzollernowie z bocznej linii (Ansbach). Ostatnim z tej linii był margrabia Jerzy Fryderyk (zmarły w r. 1603), który, wbrew poprzednim układom z Habsburgami, zapisał w testamencie swe ziemie elektorowi brandenburskiemu (z głównej linii Hohenzollernów): nieudolny Rudolf II pozwolił w końcu na to, że wspomniane ziemie śląskie objął w posiadanie syn elektora, margrabia Jan Jerzy. Wszyscy ci książęta pracowali nad utrwaleniem protestantyzmu w swych ziemiach. Pod wpływem Hohenzollernów, którzy w początkach XVII wieku przyjęli kalwinizm, wyznanie kalwińskie stało się modne na dworach książęcych

na Śląsku: na kalwinizm przeszedł oczywiście margrabia Jan Jerzy, a również Piastowicze na Brzegu i Legnicy, jak wreszcie książę cieśnicki Karol II. W ziemiach ich zresztą nadal panował luteranizm, głęboko już zakorzeniony, uważany przez większość Niemców za wyznanie narodowe.

Podobnie jak na dworach książęcych, tak i wśród „panów stanowych", rycerstwa i patrycjatu przeważał stanowczo protestantyzm, wyciskając swe piętno na życiu religijnym kraju. Ludność poddana musiała słuchać panów, też i w sprawach sumienia. Nic dziwnego, że i na Górnym Śląsku, wśród mas polskiej ludności, protestantyzm zaczął czynić znaczne postępy, jak np. w Bytomiu i w Tarnowskich Górach, pod rządami Hohenzollernów, czy w Pszczynie, która była w posiadaniu „panów stanowych" — Promnicow (od r. 1548).

Tymczasem jednak w krajach habsburskich wzmogła się pod koniec XVI wieku bardzo silnie akcja kontrreformacji. Przeprowadził ją w zupełności arcyksiążę Ferdynand w Styrii, przy walnym udziale jezuitów: protestantyzm został tam wytępiony. W następstwie wypadków styryjskich wzmógł się nacisk restauracji katolickiej również w Austrii oraz w Czechach, gdzie Rudolf II zaostrzył znacznie postępowanie wobec protestantów. Ośmieliło to i sfery kościelne na Śląsku. Na stolicy biskupiej wrocławskiej zasiadł pod koniec XVI wieku Andrzej Jerin, oddany naprawdę sprawie kontrreformacji, a po nim Jan Sitsch (w początkach XVII wieku), już w pełni bojownik restauracji katolickiej. Wojujący katolicyzm wprowadził na ziemię śląską jednak dopiero biskup ołomuniecki, kardynał Dietrichstein, do którego diecezji należała Opawa. W mieście, zupełnie niemal podówczas protestanckim, zarządził naraz Dietrichstein likwidację kultu protestanckiego i usunięcie predykantów (1602). Gdy wzburzona ludność wystąpiła ostro przeciwko temu, a nawet zelżyła biskupa, Dietrichstein wystarał się u Rudolfa II o surowy mandat przeciwko miastu. W r. 1607 wysłano pułk wojska do Opawy. Mieszczanie przez kilka tygodni stawiali opór, ale w końcu, nie doczekawszy się żadnej pomocy od stanów śląskich, otwarli bramy. Żołnierze cesarscy hulali teraz w mieście przez całe osiem miesięcy, dokonując rabunków i gwałtów. Równocześnie Dietrichstein wespół z komisarzem cesarskim skasował kult protestancki, predykantów wypędził i nakazał ludności powrót do katolicyzmu. To były metody prawdziwie niemieckie. Wypadki w Opawie stanowiły wstęp do ponurego dramatu, który miał się teraz przez wiele lat rozgrywać na ziemi śląskiej.

Dalsze postępy wojującego katolicyzmu w krajach habsburskich wstrzymały rozterki w łonie samej rodziny Habsburgów. Rudolf II, samotnik i melancholik, stroniący od załatwiania spraw państwowych, dawał raz po raz dowody swej nieudolności: starzejąc się, popadł na domiar w chorobę umysłową. Z niepokojem patrzyli na taki stan rzeczy inni członkowie rodu Habsburgów, tym więcej, że Rudolf był bezdzietny, a nie chciał wyznaczyć następcy; wojnę z Turkami przegrał, a odmawiał ratyfikacji pokoju, zawartego na możliwych jeszcze dla Habsburgów warunkach. Wreszcie zjazd familijny Habsburgów postanowił zażądać od dziwaka i odludka, pół wariata, ustąpienia i przekazania władzy młodszemu bratu, arcyks. Maciejowi. Gdy Rudolf odmówił, Maciej wystąpił przeciw niemu zbrojnie. Uzyskał poparcie stanów austriackich i węgierskich, oraz morawskich, przyrzekając im za to znaczne swobody wyznaniowe. Natomiast stany czeskie zajęły inne stanowisko: wymogły na Rudolfie przyrzeczenie tolerancji i swobód politycznych, a wówczas oświadczyły się po jego stronie. W rezultacie doszło do układu między Habsburgami: Rudolf zatrzymał Czechy i Śląsk oraz koronę cesarską, a Maciej objął władzę w Austrii, na Węgrzech (w części habsburskiej) i na Morawach.

Teraz jednak Rudolf wzbraniał się dotrzymać swych przyrzeczeń wobec Czechów. W odpowiedzi stany czeskie wystawiły własne siły zbrojne i wymogły na Habsburgu wreszcie wydanie tzw.. „listu majestatycznego", tj. aktu, zapewniającego daleko idące poszanowanie wolności wyznaniowej w Czechach (1609). Sukces Czechów zachęcił i stany śląskie do wysunięcia podobnych żądań. Prostestanci czescy poparli Ślązaków: pod ich naciskiem Rudolf wydał i dla Śląska „list majestatyczny", w którym zapewnił równouprawnienie wyznaniu augsburskiemu na równi z katolicyzmem (20 sierpnia 1609 r.). Nadto przyrzekł Habsburg, że odtąd stanowisko namiestnika (starosty krajowego) na Śląsku nadawane będzie księciu świeckiemu, a nie biskupowi wrocławskiemu; protestanci od dawna niechętnie widzieli biskupów katolickich na stanowisku namiestnika, a zwłaszcza w danej chwili nie chcieli dopuścić do tego, by namiestnikiem został nowy biskup wrocławski, arcyksiążę Karol Habsburg, brat Ferdynanda styryjskiego, zawzięty bojownik kontrreformacji. Na razie protestanci śląscy zdołali więc uzyskać zapewnienie tolerancji, przynajmniej dla wyznania augsburskiego: kalwini nie byli objęci aktem tolerancji, bo większość luterska stanów śląskich dbała tylko o swe wyznanie, a do kalwinów odnosiła się z niechęcią. Stwierdzić bowiem trzeba, że w ówczesnych Niem-

czech, inaczej niż w Polsce, nie umiano pojąć, że tolerancja powinna być dla wszystkich wyznań. Akt z roku 1609 nie oznaczał więc wprowadzenia istotnej wolności wyznaniowej na Śląsku. Na domiar luteranie w ten sposób rozumieli równouprawnienie, że swych poddanych innego wyznania gnębili po dawnemu; toż samo zresztą robili panowie katoliccy w swych posiadłościach. W naturze niemieckiej niema bowiem zrozumienia dla poglądów i przekonań innych. Prawo, sumienie — to są hasła na pokaz, ale bez istotnego podłoża w krwi germańskiej. Kto ma siłę, ma prawo! W tym względzie Niemcy byli zawsze ci sami, od średniowiecza do czasów najnowszych: gdy czasem jakieś ludzkie momenty występowały silniej w ich dziejach, okresy takie politycy i pisarze niemieccy nazywali — momentami słabości!

Ugoda między Habsburgami nie była trwała. Rudolf nadal intrygował przeciw Maciejowi, a gdy nadto naraził się stanom czeskim, zwrócił wszystkich przeciwko sobie. W r. 1611 musiał abdykować, a stany czeskie oddały koronę św. Wacława Maciejowi. Po zgonie Rudolfa (1612) Maciej został obwołany również cesarzem.

We wrześniu 1611 r. Maciej przybył do Wrocławia dla odebrania hołdu. Stany śląskie jednak nie wcześniej mu hołd złożyły, aż potwierdził „list majestatyczny", oraz zgodził się na dalsze ustępstwa: ustanowił osobną, tzw. „niemiecką kancelarię" dla Śląska i Łużyc, podległą wprost królowi, a więc niezależną od kancelarii czeskiej. Oznaczało to formalnie bardzo znaczne uniezależnienie Śląska od Czech, a w istocie stanowiło utrwalenie kompletnej przewagi żywiołu niemieckiego w zarządzie Śląska, gdyż w skład owej „kancelarii niemieckiej" (znamienna jest już sama nazwa!) wchodzić mieli urzędnicy, proponowani przez stany śląskie, a więc niemieckie górne warstwy społeczeństwa. Z polskiego punktu widzenia należy właściwie oceniać ową szumnie głoszoną walkę stanów śląskich o „prawa śląskie": chodziło naprawdę o prawo dla Niemców śląskich wyłącznego władania krajem, jakby własnym folwarkiem.

Namiętności wyznaniowe na Śląsku wzmagały się nieustannie w związku z podobnym procesem, dokonującym się w Czechach i w Niemczech: żadne tedy „równouprawnienie" formalne, zwłaszcza tak niepełne, jak owo z r. 1609, nie mogło nadciągającej burzy zażegnać. Protestanci, gdzie tylko byli w przewadze, wzmacniali swe pozycje i usuwali katolicyzm. Równocześnie jednak rósł i nacisk restauracji katolickiej. Szczególnie gorliwym jej bojownikiem był arcyks. Karol Habsburg, biskup wrocławski, który w swym księstwie biskupim (Nysa, Grodków) wprowadzał przymusowo katolicyzm,

a postępował tym śmielej, że miał za sobą poparcie cesarza i domu Habsburgów, jak również i przyjaźń króla polskiego Zygmunta III, równie gorliwego katolika, ożenionego z siostrą biskupa, Habsburżanką. Nie lada sukces odniosła nadto restauracja katolicka, pozyskując jednego z książąt piastowskich. W r. 1613 przeszedł na katolicyzm książę cieszyński Adam Wacław i zaczął od tej chwili prześladować w swych posiadłościach protestantów z równą gorliwością, jak poprzednio katolików. Takie były następstwa potwornej zasady niemieckiej *cuius regio, eius religio*. Cesarz Maciej, politykujący z protestantami z konieczności, ale w istocie im wrogi, wyzyskał skwapliwie fakt konwersji Adama Wacława, i w r. 1617 mianował właśnie jego namiestnikiem Śląska, rad że przecież stanowisko to piastować będzie katolik (poprzednio, zgodnie z przyrzeczeniem Rudolfa II, mianowany był Karol II oleśnicki). Z kolei zawód spotkał niebawem również i cesarza, gdyż książę cieszyński zmarł w tym samym roku i Maciej musiał mianować namiestnikiem protestanta, księcia brzeskiego Jana Chrystiana, gdyż wśród książąt śląskich nie było znów w danej chwili ani jednego katolika (Adam Wacław pozostawił małoletniego syna, a biskup wrocławski nie wchodził w rachubę).

Wszystko to były dopiero zapowiedzi wielkiej burzy, która nadciągnąć miała z Czech. Protestanci czescy już za rządów Macieja narzekali na gwałcenie przez katolików ich przywilejów, zapewnionych w „liście majestatycznym". Wzburzenie w sferach protestantów rosło tym więcej, że po bezdzietnym Macieju kraje habsburskie miał objąć Ferdynand styryjski, którego postać była czerwoną płachtą dla protestantów. Zdając sobie sprawę, że ich czekają czasy jeszcze cięższe, domagali się protestanci usilnie poszanowania swych przywilejów. Winę niedotrzymania ich składali nawet nie na samego cesarza, ale na urzędników cesarskich w Pradze. W r. 1618 doszło w końcu do wybuchu, gdy delegaci protestantów czeskich udali się ze skargami na zamek i po krótkiej sprzeczce wyrzucili cygnitarzy cesarskich przez okno. Na dworze habsburskim uznano to za obrazę majestatu królewskiego. Stary i niedołężny Maciej pragnął wprawdzie uniknąć walki, ale wyznaczony jego następcą arcyks. Ferdynand domagał się ostrych represji wobec buntowników. W zrozumieniu, że konflikt otwarty jest nieuchronny, stany czeskie wybrały sobie rząd tymczasowy i rozpoczęły zbrojenia, zwracając się również o pomoc do protestantów niemieckich i śląskich. Stany śląskie uchwaliły istotnie udzielenie pomocy współwyznawcom czeskim. Gdy tedy w r. 1618 wojska habsburskie wkroczyły do Czech,

ruszył tamże zastęp śląski pod komendą margrabiego Jana Jerzego Hohenzollerna i połączył się z wojskiem czeskim.

Konflikt zaostrzył się z chwilą śmierci starego Macieja (1619). Stany czeskie odmówiły oczywiście uznania królem Ferdynanda, a stany śląskie złożyły oświadczenie solidarności z czeskimi. Kraje korony św. Wacława zrywały z dynastią habsburską! Pod koniec czerwca 1619 r. zebrał się sejm czeski w Pradze, na który przybyły również delegacje stanów śląskich, morawskich i łużyckich. Uchwalono utworzenie z krajów korony św. Wacława państwa związkowego, w skład którego wejść miały prawie niezależne kraje: Czechy, Morawy, Śląsk i Łużyce, z wspólnym królem na czele. W sierpniu t. r. sejm powziął uchwałę detronizacji Habsburgów, po czym wybrano królem elektora Palatynatu Fryderyka, kalwina, przewódcę protestantów niemieckich (których znaczna część, radykalniejsza, utworzyła w r. 1608 związek pod nazwą Unii, na co katolicy odpowiedzieli utworzeniem własnego związku, Ligi, w r. 1609). Niebawem nowy król czeski przybył do Pragi, a w lutym 1620 r. odwiedził i Wrocław, gdzie odebrał od stanów śląskich hołd poddańczy. Faktyczną władzę na Śląsku ujął w ręce rząd krajowy (utworzony na wzór czeski), z namiestnikiem księciem Janem Chrystianem i margrabią Janem Jerzym (jako wodzem wojsk śląskich) na czele. Zmiana panującego, zresztą krótkotrwała, przyjęta była z radością tylko przez protestantów, i to nawet nie wszystkich, bo już luteranów drażniło mocno wyznanie kalwińskie tak Fryderyka, jak i kierowników rządu krajowego. Dla ludności polskiej Śląska sprawa była w istocie rzeczy dość obojętna. Niemcy zwalczali się wzajemnie, a to tylko było smutne, że terenem walki stać się miały niebawem również i ziemie śląskie.

Wypadki z r. 1618, które zapoczątkowały wielki konflikt, stanowiły wstęp do długiej wojny, zwanej 30-letnią.

Rozdział XXII

WOJNA 30-LETNIA NA ZIEMI ŚLĄSKIEJ

Powstanie czeskie doprowadziło do oderwania się krajów korony św. Wacława od monarchii habsburskiej. Kraje te utworzyły sobie własną organizację związkową, w ramach której poszczególne części miały otrzymać niemal niezależność. Kwestia była otwarta, czy nowy porządek rzeczy wytrzyma próbę ogniową: jak ułożą się stosunki pomiędzy poszczególnymi krajami, które łączyć miała odtąd tylko unia personalna, jak wreszcie wypadnie rozgrywka z Habsburgami, nieuchronna w ówczesnej sytuacji? Pytanie dalsze musiało się nasuwać: jak zachowają się wobec tego sąsiedzi, zwłaszcza Polska, która przecież mogła przypomnieć swe słuszne pretensje do Śląska, jako dawnej ziemi piastowskiej?

Dla nas najważniejsza jest odpowiedź na to właśnie pytanie. Rzecz naturalna, że wypadki w Czechach i na Śląsku śledzono w Polsce z wielkim zainteresowaniem. Tylko że opinia polska nie była w poglądach na owe sprawy jednolita. Od dawna tok wypadków w dziedzinie polityki zagranicznej i wewnętrznej wykopał przepaść między królem, Zygmuntem III (po ojcu z domu szwedzkiego Wazów, po matce z Jagiellonów) a szlachtą. Opinia szlachecka zarzucała mu, i to z wielką słusznością, że kieruje się w polityce motywami dynastycznymi, że wszystko robi dla odzyskania tronu szwedzkiego, lekceważąc potrzeby polskiej racji stanu, że wiąże się związkami familijnymi i kombinacjami politycznymi z domem habsburskim, znienawidzonym w Polsce, że wreszcie i w polityce wewnętrznej chce naśladować Habsburgów i dąży do wprowadzenia władzy absolutnej. Rozdźwięki między królem i szlachtą miały już swą historię: żywo tkwiły jeszcze w pamięci wspomnienia niedawnego rokoszu Zebrzydowskiego. Dodajmy, że, nieliczni co prawda, lecz aktywni i wpływowi protestanci polscy zwalczali Zygmunta III jako protektora jezuitów i gorącego orędownika kontrreformacji. Uparty Waza kroczył swoją drogą, nie bacząc

na głosy większości szlachty. Nic dziwnego, że szlachta patrzyła na wszystkie jego poczynania z wielką nieufnością. To wszystko trzeba wziąć pod uwagę, gdy się mówi o stosunku Polski do sprawy Śląska w początkach wojny 30-letniej.

Zygmunt III sprzyjał Habsburgom i sprawie katolickiej, a na protestantów śląskich patrzył jako na buntowników, których należy co rychlej poskromić. Orientowali się dobrze w poglądach Zygmunta III protestanci śląscy i obawiali się poważnie, by król polski nie wkroczył na Śląsk, z pomocą dla Habsburgów. Stany śląskie w ówczesnym składzie nie sympatyzowały z Polską, gdyż protestanci-Niemcy niechętni byli Polakom, w większości katolikom. Tedy stany śląskie niczego sobie nie życzyły, tylko by Polska zachowała wobec ich konfliktu z Habsburgami neutralność. Natomiast pomocy polskiej wyglądali — katolicy śląscy z biskupem wrocławskim Karolem Habsburgiem na czele, znowuż nie z sympatii, bo to także byli Niemcy, ale z potrzeby: rozwój bowiem wypadków w latach 1619/1620 zapowiadał zupełną katastrofę katolicyzmu na Śląsku i likwidację rządów habsburskich. Tak więc Karol Habsburg kołatał u Zygmunta III o ratunek i zwracał się nawet do arcybiskupa gnieźnieńskiego, przypomniawszy sobie naraz, że przecież diecezja wrocławska należy do metropolii gnieźnieńskiej i arcybiskup winien pomyśleć o udzieleniu pomocy katolikom śląskim, stojącym w obliczu zagłady. Również i w kapitule wrocławskiej, tak przesiąkniętej już duchem niemieckim, znaleźli się nagle liczni stronnicy polscy, którzy jedynie w pomocy polskiej widzieli ratunek przed zalewem fali protestanckiej. Jak trwoga — to dobra dla nich była i Polska. Kler śląski apelował do uczuć katolickich Polaków, a nawet gotów był garnąć się pod skrzydła opiekuńcze metropolii w Gnieźnie, do związków organizacji kościelnej, które z całą świadomością i najgorszą wolą zrywali właśnie biskupi wrocławscy, w rodzaju Konrada oleśnickiego, Rotha czy Gerstmanna. Stany protestanckie znowuż odwoływały się do uczuć wolnościowych szlachty polskiej: wszak szlachta polska, tak wroga wszelkim zakusom absolutyzmu i zazdrosna o swe przywileje, zrozumie najlepiej walkę stanów śląskich z koszmarem rządów habsburskich!

Jakie zajęła stanowisko w takiej sytuacji Polska? Zygmunt III gotów był udzielić pomocy biskupowi wrocławskiemu, jako biskupowi i jako Habsburgowi, chcąc w zamian uzyskać dla siebie pewne korzyści dynastyczne: otrzymać od cesarza jedno z księstw śląskich jako lenno dla któregoś z swych synów, zrodzonych z Habsburżanek (dwóch kolejnych żon króla). W istocie i biskup wrocławski i poseł

cesarski nęcili Zygmunta III widokami oddania części ziemi śląskiej, ale tylko czasowo, jako zastawu za pieniądze, wyłożone na ekspedycję korpusu posiłkowego. Biskup Karol, schroniwszy się w końcu przed protestantami do Polski, w grudniu 1619 r. w. Krakowie mianował jednego z synów Zygmunta III, 4-letniego Karola Ferdynanda koadiutorem biskupstwa wrocławskiego, a więc wyznaczał go na swego następcę. To było dla Zygmunta III nieco za mało; on myślał o księstwie świeckim dla swej dynastii na Śląsku. I w nadziei, że je otrzyma od Habsburgów, wysłał kilkakrotnie oddziały jazdy polskiej na ziemię śląską, na własną rękę, nie pytając o zgodę stanów polskich i nie bacząc na protesty, a chcąc przynajmniej w części zasłużyć się Habsburgom.

Polityka króla spotkała się z bardzo ostrą krytyką polskiej opozycji, która niezależnie nawet od różnic wyznaniowych, sympatyzowała z ruchem stanów śląskich, a nienawidziła Habsburgów, wypominając im ciemiężenie wieloletnie Czechów i Węgrów. Nie wzruszyły jej apele Zygmunta III, który zwracał się w końcu do szlachty (chcąc zyskać aprobatę swej polityki) z zapytaniem, czy nie należałoby w ówczesnej sytuacji przypomnieć w ogólności praw Polski do Śląska? Apel minął bez echa, bo szlachta nie wierzyła, by Zygmunt III dbał o interesy polskie, natomiast była przekonana, iż chodzi mu jedynie o jakieś korzyści dynastyczne. Przepaść między królem a szlachtą pogłębiła się jeszcze, gdy Zygmunt III wysłał samowolnie oddział wojska na Węgry, na pomoc Habsburgom przeciw powstańcom węgierskim, i w następstwie ściągnął na Polskę nawałnicę turecką, bo Turcja ujęła się za Węgrami, jako swymi stronnikami. Krzyk powstał wówczas w Polsce na króla ogromny i zagłuszył wszystkie argumenty, które mogły przemawiać za interwencją polską na Śląsku.

Mimo wszystko bowiem plan królewski miał swe dobre strony. Mniejsza o motywy postępowania króla: można było zająć część przynajmniej Śląska i trzymać go w zastawie bardzo długo, zważywszy późniejsze komplikacje polityczno-wojenne na Śląsku i trudności Habsburgów. Kto wie, może wyniknęłyby stąd trwałe korzyści dla Polski i dla polskości Śląska? Oczywiście szanse należytego wyzyskania sytuacji, zgodnie z racją stanu polską, znacznie obniżało ogólne nastawienie Zygmunta III, który zbytnio ulegał Habsburgom i bał się im w czymkolwiek narazić. A zyski mogła Polska wyciągnąć dla siebie z chaosu śląskiego tylko przy niezmiernie trzeźwej, świadomej własnych interesów, polityce. Takiej polityki nie spodziewała się szlachta od króla i bała się, że jego interwencja na

Śląsku ściągnie na Polskę nowe tylko kłopoty i powikłania. Dlatego też odmówiła królowi wszelkiego poparcia w jego planach śląskich. Tragiczne rozdźwięki między królem a szlachtą paraliżowały poczynania polityki polskiej. Na domiar wojna z Turcją wymagała od narodu skupienia wszystkich sił w jednym kierunku. Gdy więc pod koniec 1620 r. przybyło do Polski poselstwo od stanów śląskich, prosząc o zachowanie sąsiedzkiej przyjaźni, otrzymało odpowiedź na sejmie, że mogą się niczego ze strony Polski nie obawiać. Wypadki dalsze na Śląsku potoczyły się bez udziału Polski.

Losy „państwa związkowego" rozstrzygnęły się bardzo rychło. Do walnej rozprawy orężnej Czesi stanęli osamotnieni, gdy protestanci niemieccy, na których pomoc liczyć mieli prawo, skoro powołali na tron czeski naczelnika ich związku (Unii), nadesłali nader skromne posiłki: część luteranów opowiedziała się nawet po stronie cesarza (tak uczynił elektor saski Jerzy, głowa ewangelików Rzeszy) — z niechęci do kalwinów. Ferdynand Habsburg, obrany w Rzeszy cesarzem, wysłał w pole armię liczniejszą, złożoną z pułków habsburskich i posiłkowych wojsk Ligi katolickiej pod komendą Maksymiliana bawarskiego. 8 listopada 1620 r. na Białej Górze pod Pragą poniosły wojska protestanckie zupełną klęskę. Wynik bitwy oznaczał katastrofę protestantyzmu w Czechach i narodu czeskiego zarazem, który w większości połączył swą sprawę z protestancką. Panem kraju stał się Ferdynand, znacząc swe rządy krwawym prześladowaniem protestantów i Czechów, wprowadzeniem absolutyzmu i centralizmu habsburskiego oraz germanizacją kraju. W szczególności wyższe warstwy społeczeństwa czeskiego zostały wytępione względnie zniemczone: narodowość czeska zachowała się tylko wśród prostego ludu, skąd z czasem (w wieku XIX) wyjdzie proces świetnego odrodzenia narodowego czeskiego.

Represje dotknęły w znacznie mniejszym stopniu Śląsk tylko dzięki temu, że losem protestantów śląskich zajął się sojusznik cesarski, elektor saski. Za jego pośrednictwem doszło do ugody w Dreźnie (w lutym 1621 r.); Ferdynand Habsburg potwierdził przywileje stanów śląskich i równouprawnienie ewangelików, a nawet ogłosił amnestię, spod której wyjęto jedynie margrabiego Jana Jerzego Hohenzollerna, jako główną sprężynę buntu. Margrabia uszedł z kraju, ziemie zaś jego na Śląsku przeszły w ręce habsburskie. Ferdynand jednak oddał Bytom i Bogumin na pokrycie za-

ciągniętych długów bogatemu szlachcicowi (pochodzenia węgiersko-niemieckiego) Hencklowi v. Donnersmarck: rodzina ta, obdarzona następnie tytułem hrabiowskim, utrzymała się w posiadaniu ziem górnośląskich aż do czasów ostatnich. — Opuścił kraj również książę Jan Chrystian z Brzegu; namiestnikiem Śląska mianował Ferdynand jego brata, Jerzego Rudolfa legnickiego. Stany śląskie ukorzyły się przed Ferdynandem, który nawet nie zaszczycił ziemi śląskiej swym przyjazdem. Na razie Śląsk wyszedł cało z opresji, musiał jedynie opłacić się poważnymi sumami pieniędzy cesarzowi i elektorowi saskiemu (drogo kosztowało jego pośrednictwo!). Dla wydobycia odpowiednich sum stany nałożyły na kraj poważne podatki, co zaraz odbiło się dotkliwie na życiu gospodarczym kraju.

Wprawdzie Ferdynand przyrzekł wolność luteranom, ale mimo to starał się stopniowo wprowadzić na Śląsk restaurację katolicką. Na razie przede wszystkim oddawał coraz więcej ziem w posiadanie katolikom. Tak więc Karniów, odebrany Hohenzollernom, nadał Karolowi Lichtensteinowi, który już wcześniej dostał Opawę. Ród Lichtensteinów, gorliwych katolików i wiernych sług habsburskich, zdobył sobie jeszcze dalsze wpływy. W Cieszynie, po śmierci Adama Wacława, objął rządy jedyny jego syn, Fryderyk Wilhelm, zmarł jednak niebawem (1625) bezpotomnie. Prawem spadku Cieszyńskie przeszło teraz na siostrę zmarłego księcia, Elżbietę Lukrecję. Władze habsburskie chciały już położyć rękę na księstwie, ale w końcu Ferdynand uznał prawo dożywotnie księżniczki do władania w Cieszyńskiem. Elżbieta Lukrecja wyszła za jednego z Lichtensteinów, co znacznie wzmogło znaczenie tego rodu na Śląsku. W księstwie jaworsko-świdnickim władali już Habsburgowie, podobnie jak w opolsko-raciborskim. Przejściowo oddano wprawdzie Opole i Racibórz Węgrowi, Bethlenowi, wrogowi Habsburgów, chcąc go w ten sposób ugłaskać (Bethlen był kalwinem, przewódcą ruchu narodowego węgierskiego i stronnikiem Turcji); gdy jednak Bethlen wkrótce wystąpił ponownie wrogo wobec Habsburgów, cesarz odebrał mu księstwa. Odtąd przez lat szereg Opole i Racibórz były pod władzą habsburską; zarząd tych ziem zlecił Ferdynand hr. Fryderykowi Oppersdorffowi, gorliwemu katolikowi. Rodzina Oppersdorffów (oczywiście niemiecka) osiedliła się na Górnym Śląsku już w r. 1605, w Głogówku, gdzie zaraz sprowadzono jezuitów z kolegium w Ołomuńcu. Wreszcie księstwo żagańskie nadał cesarz swemu wodzowi, Albrechtowi Wallensteinowi (Waldsteinowi). W ten sposób coraz więcej posiadłości na Śląsku dostawało się w ręce katolickie. Wszędzie tam wprowadzano stopniowo restau-

rację katolicką. Najśmielej występował teraz, powróciwszy z Polski na Śląsk, biskup wrocławski Karol Habsburg, na terenie Nysy, oraz Kłodzka (oddanego mu w zarząd przez Ferdynanda). W Nysie założył biskup kolegium jezuickie (wraz z gimnazjum), pierwszą na ziemi śląskiej trwałą placówkę jezuitów; w mieście skasowano niebawem kult ewangelicki. Z Kłodzka wygnano predykantów protestanckich. Ziemie pod władzą biskupa przodowały więc w akcji kontrreformacyjnej. Nie uległo to zmianie po śmierci Karola (1624), gdy biskupem wybrano 11-letniego królewicza Karola Ferdynanda Wazę. Znamienne, że kanonicy Niemcy sprzeciwiali się obiorowi królewicza polskiego i ustąpili dopiero pod naciskiem Habsburgów, którzy mieli wobec ojca królewicza, Zygmunta III, długi wdzięczności do spłacenia: niemniej zastrzegli się zażarci Niemcy w sutannach i fioletach, że wybierają Karola Ferdynanda jako członka domu Wazów i krewniaka Habsburgów, ale nie jako królewicza polskiego! Już to samo rzuca światło na nastroje, panujące w wyższym duchowieństwie na Śląsku. Zapanował tamże duch szowinizmu niemieckiego i nienawiści do Polski i Polaków.

Dalszy przebieg wojny zaostrzył jeszcze znacznie antagonizmy wyznaniowe. Po stłumieniu powstania czeskiego wojna przeniosła się do Niemiec, gdzie część protestantów wystąpiła orężnie przeciw panoszeniu się wojsk cesarskich, Ligi katolickiej i hiszpańskich (które wkroczyły do Palatynatu, skąd wygnano również owego niefortunnego ekskróla Czech, Fryderyka). Przewaga była po stronie wojsk katolickich, tedy z pomocą protestantom pospieszył król duński Chrystian IV (protestant). W r. 1626 wojska protestantów niemieckich i króla duńskiego zostały jednak pokonane przez armie katolickie i rozpierzchły się po Niemczech. Ponieważ Bethlen obiecywał protestantom poparcie, ku granicy węgierskiej ruszyły oddziały Niemców i Duńczyków pod komendą Mansfelda i Ernesta weimarskiego. Droga z Niemiec na Węgry szła przez Śląsk, który teraz stał się niespodzianie terenem wojny. W r. 1626 niekarne i zdziczałe żołdactwo niemiecko-duńskie wkroczyło na Śląsk, znacząc drogę swego przemarszu rabunkiem, gwałtami i pożogą.

Najsilniej dotknięte zostały ziemie Górnego Śląska, gdzie wojska protestanckie zimowały (1626/7). W pogoni za nimi wkroczył z armią na Śląsk wódz cesarski Wallenstein i niemniej od tamtych dał się we znaki ziemiom śląskim. Żołnierze obu armii więcej zajmowali się grabieżą niż walką, gdyż w owych czasach żołnierz najemny żył wyłącznie niemal z łupu — kosztem ludności cywilnej. Miasto czy miasteczko, leżące na drodze przemarszu, musiało skła-

dać wielki okup, jeśli chciało uniknąć grabieży. Nieraz po odejściu jednego wojska przychodziło drugie, tym razem nieprzyjacielskie, i okup trzeba było płacić na nowo, i to większy, za karę, że zapłaciło się przeciwnikowi! Czasem i złożenie okupu nie ratowało ludności przed grabieżą. Miasta, zwłaszcza większe, chronione jeszcze były po trosze przez obronne mury: wprawdzie nie wytrzymywały one przeważnie naporu całej armii, ale stanowiły przecież ochronę przed luźnymi oddziałami i bandami maruderów. Najgorzej natomiast cierpiała ludność wiejska: jedynym dla niej ratunkiem była ucieczka w lasy, co pozwalało przynajmniej unieść cało głowę, bo po przemarszu wojska z wioski pozostawały zazwyczaj tylko zgliszcza i popioły. Mieszkańcy tracili orientację, kto wróg a kto przyjaciel, bo żołnierz najemny niewiele lepiej poczynał sobie w posiadłościach swego zwierzchnika, pod którego sztandarem walczył, niż w ziemiach przeciwnika. Często obojętne było żołnierzowi i wyznanie ludności, zwłaszcza, iż taki np. Wallenstein zaciągał pod swe chorągwie każdego, kto się zgłosił, obojętne czy katolika, czy protestanta.

Oczywiście wodzowie dawali na ogół wskazówki, kogo należy przede wszystkim rabować, a kogo oszczędzać, i większe formacje wojskowe wskazówki te respektowały. Tak więc Mansfeld i Ernest weimarski żywili żołnierza w dobrach katolickich (pustosząc je zarazem), a Wallenstein czynił to samo w dobrach protestantów. Gdy wreszcie w r. 1627 Wallenstein zabrał się energiczniej do prowadzenia wojny, niebawem oczyścił Śląsk z wojsk protestanckich. Niezwłocznie władze cesarskie przeszły do represyj, zwłaszcza w ziemiach habsburskich, na Górnym Śląsku. Pod pretekstem, że część ludności dała przytułek wojskom protestanckim (cóż miała, bezbronna, innego uczynić?), władze habsburskie ogłosiły zniesienie równouprawnienia ewangelików. Natomiast wprowadzono przymusowo kult katolicki. Najsilniejszy nacisk w tym względzie wywierali Oppersdorffowie w Opolskiem i Raciborskiem, Lichtensteinowie w Opawskiem i Karniowskiem. Jakiś czas jeszcze ochraniali swych współwyznawców protestanccy panowie: Promnicowie w Pszczyńskiem i Donnersmarckowie w Bytomskiem oraz Bogumińskiem. Również i księżna cieszyńska Elżbieta Lukrecja, choć katoliczka, postępowała ogłędnie wobec protestantów. Dodać należy, że na złagodzenie metod restauracji katolickiej w części Górnego Śląska wpłynął znacznie fakt przynależności dekanatów pszczyńskiego i bytomskiego do diecezji krakowskiej. Parafie, odbierane protestantom, zajmowali tutaj księża Polacy, przysłani z Krakowa, którzy nie uciekali się do germańskich metod i nie tyle przymusem,

co głoszeniem prawd wiary i łagodnością postępowania starali się jednać dusze ludności dla katolicyzmu. Wiemy, że owi księża z Polski nieraz nawet wystawieni byli na ataki ze strony protestantów. Znosili to przeważnie ze spokojem, wierząc, że z czasem pozyskają sobie zbłąkane owieczki. Ludność przyjmowała ich przeważnie dobrze, a nawet lody nieufności ewangelików miejscowych powoli pękały, gdy taki ksiądz z Polski przemawiał językiem polskim, mową ojczystą wszystkich Polaków, też i tych, których fatalne koleje losy poddały pod jarzmo obcych panów. Wielu też Polaków powróciło wówczas do katolicyzmu, któremu zresztą pozostała wierna większość miejscowej ludności polskiej. Księży z Polski sprowadzano wówczas również do Cieszyna, gdzie rozwijali owocną działalność: wraz z nimi wracał do kościołów w Cieszyńskiem język polski, odzyskując swe należne prawa w stosunku do niemczyzny i czeszczyzny.

Niestety tylko część Śląska leżała w zasięgu metod polskich w dziedzinie religii. Gdzie indziej panowały metody niemieckie. Stopniowo nacisk restauracji katolickiej rozciągał się na coraz dalsze ziemie śląskie. Urzędnicy cesarscy, Oppersdorff, Dohna, Bibran zaczęli „nawracać" również Śląsk Dolny. Zaczęło się od odbierania protestantom kościołów i zwracania ich księżom katolickim. Gdy Jerzy Oppersdorff podjął taką akcję w Głogowie, ludność stawiła opór. Wówczas pospiesznie sprowadzono kilka tysięcy dragonów Lichtensteina z Czech i oddano im kwatery w mieście, pozwalając hulać wedle upodobania. Tylko ten, kto przyniósł kartkę od spowiedzi (i to od jezuity!), mógł mieć mieszkanie zwolnione od kwaterunku żołdactwa. Słabsi ulegali, silniejsi duchem woleli porzucić całe mienie na pastwę dragonów i ujść z miasta. Nic dziwnego, że w tych warunkach w krótkim czasie protestancki Głogów stał się formalnie „katolickim", czym się chełpili służalcy cesarscy. Ponieważ metody uznali za skuteczne, stosowali je w innych miastach. Niebawem owe „dragonady" nawiedziły Kożuchów, Górę, Zieloną Górę, Szprotawę, Bytom dolnośląski, Jawor, Świdnicę, Lwówek, Bolesławiec, Ziębice, Ząbkowice itd., miasta, leżące w posiadłościach habsburskich. Tylko do Wrocławia nie ośmielono się wprowadzić dragonów, „apostołów" (prawdziwie w duchu niemieckim!) katolicyzmu: władze habsburskie bały się bowiem, że z tą najsilniejszą twierdzą protestantyzmu przeprawa byłaby zbyt ciężka. Podobnie pozostawiono w spokoju na razie Legnicę, Brzeg, Wołów, Oleśnicę — terytoria książąt protestanckich. Urzędnicy habsburscy i inni przodownicy restauracji kato-

lickiej nie ukrywali zresztą zbytnio swych dalszych planów: kompletnego wytrzebienia protestantyzmu i wprowadzenia, wraz z katolicyzmem, absolutyzmu habsburskiego na Śląsku.

Tak przedstawiała się sytuacja w r. 1630. W tymże roku jednak protestantom niemieckim, stojącym również w obliczu zagłady, przyszedł z pomocą król szwedzki Gustaw Adolf z bitną swą armią, przepojoną duchem fanatyzmu protestanckiego. Teraz znów protestanci niemieccy łączyli się z królem szwedzkim, jedni samorzutnie, inni pod naciskiem, jak elektorzy saski i brandenburski. Gustaw Adolf rozgromił armię katolicką i stał się niebawem panem znacznej części Niemiec. Wznowienie wojny w Rzeszy odbiło się rychło i na Śląsku, gdzie już w r. 1632 walczyły wojska saskie, brandenburskie i szwedzkie z pułkami habsburskimi. Zrazu protestanci mieli przewagę, a kiedy Gustaw Adolf zginął w bitwie pod Lützen (1632), szanse się znowu wyrównały.

W okresie przewagi oręża protestanckiego (1632) wojska cesarskie zostały niemal zupełnie wyparte z Śląska. Wszędzie wznawiano kult ewangelicki; powracali pastorowie i emigranci, jak np. książę Jan Chrystian brzeski. Na wieść o śmierci króla szwedzkiego padł znów postrach na protestantów śląskich. Dla zabezpieczenia się przed pomstą habsburską książęta protestanccy (Jan Chrystian z Brzegu, Jerzy Rudolf z Legnicy, oraz Karol Fryderyk z Oleśnicy), wespół z miastem Wrocławiem, zawarli układ z wodzami protestanckimi, oddając się pod opiekę Saksonii, Brandenburgii i Szwecji. Niewiele to pomogło, gdy Wallenstein wkroczył jesienią r. 1633 na Śląsk: wkrótce Śląsk został prawie zupełnie oczyszczony z wojsk protestanckich. Ale Wallenstein planował już przerzucenie się na stronę przeciwników cesarza (chciał ogłosić się królem Czech) i tylko dla zachowania pozorów prowadził jeszcze działania wojenne. W początkach 1634 r. zamierzał już odkryć swe karty i połączyć się z obozem protestanckim. Padł jednak ofiarą spisku (w Chebie, w lutym t. r.) zorganizowanego w armii przez oficerów, wiernych cesarzowi.

Sprawa Wallensteina osłabiła na jakiś czas tempo działań wojennych. W ciągu roku 1634 nastąpiło znowuż ich wzmożenie, gdy na czele armii cesarskiej stanęło nowe dowództwo. Oddziały saskie i szwedzkie toczyły walki również i na Śląsku z pułkami cesarskimi, niszcząc kraj coraz bezwzględniej. Na domiar wybuchła na Śląsku zaraza, która pochłonęła dziesiątki tysięcy ofiar (w samym Wrocławiu do 13.000). Ogólny przebieg wojny w Niemczech wykazał w tej fazie wyższość oręża

cesarskiego. Podziałało to na chwiejnych elektorów, saskiego i brandenburskiego, którzy w r. 1635 porzucili stronę szwedzką i zawarli pokój z cesarzem. Elektor saski, który uchodził za opiekuna stanów śląskich, tyle uzyskał u cesarza Ferdynanda, że ten zgodził się puścić w niepamięć odstępstwo i zachować przywileje oraz wolność wyznaniową jedynie księstwom Legnicy, Brzegu i Oleśnicy, tudzież miastu Wrocławowi. Natomiast w reszcie Śląska miał wrócić stan z r. 1630, a więc restauracja katolicka. Ferdynand oświadczył wyraźnie, że kto chce zostać protestantem musi w ciągu najdalej 3 lat opuścić teren Śląska.

W ówczesnej chwili, gdy na pozór wszystko przemawiało za pełnym triumfem ostatecznym cesarza w toczącej się wojnie, przyznanie swobody kultu protestanckiego w trzech księstwach śląskich i we Wrocławiu mogło już być uważane za dowód pewnego umiarkowania Ferdynanda. W istocie protestantom śląskim groziło ieszcze większe niebezpieczeństwo, ale Habsburg pomiarkokował się ze względu na Polskę. Nie było bowiem dlań tajemnicą, że książę legnicki Jan Chrystian, zmuszony znów do chronienia się na terytorium Polski, zwracał się do króla Władysława IV (następcy Zygmunta III, panującego 1632—1648) z propozycją objęcia zwierzchnictwa nad Śląskiem. Są dane po temu, że o poddaniu się pod opiekę króla polskiego myślała nawet rada miasta Wrocławia. Doznawszy zawodu od Szwecji, Saksonii, Brandenburgii, Niemcy wrocławscy szukali rozpaczliwie jakiegoś ratunku przed zemstą zwycięskiego Habsburga i życzyli sobie już nawet zwierzchnictwa polskiego! Należy stwierdzić, że w owych czasach państwo polskie, potężne, cieszące się na ogół pokojem, wywierało urok niemały na Ślązaków, doświadczanych ciężkimi przejściami wojennymi i twardą ręką rządów habsburskich. Ponadto sam król Władysław IV umiał sobie zjednać pewne sympatie też i u protestantów. Król ten w istocie miał na oku ten sam cel naczelny, co jego ojciec: odzyskanie dziedzictwa szwedzkiego. Ale do tego celu dążył różnymi drogami. Po śmierci Gustawa Adolfa łudził się jakiś czas, że uda mu się wrócić na tron szwedzki na drodze pokojowej, za zgodą samych Szwedów. Stąd też starał się o pozyskanie sobie świata protestanckiego, co mu przychodziło tym łatwiej, że daleki był od fanatyzmu katolickiego swego ojca i umiał się zdobyć na tolerancję wobec innych wyznań. Chętnie tedy nawiązał kontakty ze stanami śląskimi i w r. 1635 wstawiał się za nimi u cesarza. Zainteresowanie Władysława dla spraw śląskich zaniepokoiło Habsburga: bał się tego ożywienia związków Śląska z Polską, które by mogło wzbu-

dzić po obu stronach granicy pragnienie połączenia ziem, niegdyś siłą rozerwanych. Dlatego też wolał nie doprowadzać stanów śląskich do ostateczności i zdobył się w stosunku do nich na pewne umiarkowanie. Równocześnie zaś łudził Władysława IV nadzieją oddania rodzinie Wazów jakiejś części Śląska — oczywiście tylko w posiadanie na prawach lennych. Inną znowuż propozycją zaskoczyła króla polskiego — Francja. Polityką jej kierował podówczas kardynał Richelieu, zdecydowany wróg Habsburgów, który już od szeregu lat popierał skrycie protestantów niemieckich, oraz Danię i Szwecję, traktując siły protestanckie jako narzędzie do osłabienia potęgi habsburskiej, groźnej dla Francji. Gdy wszystko to nie pomogło i Habsburgowie w 1635 r. triumfowali nad wrogami, Richelieu uznał konieczność rzucenia na szalę wojny oręża francuskiego. Od chwili przystąpienia Francji do walki otwartej z Habsburgami wojna straciła w znacznej mierze charakter wyznaniowy, a przybrała polityczny. Francja jednak nie mogła walczyć sama. Tedy Richelieu organizował gorączkowo rozbity obóz antyhabsburski: zachęcał protestantów niemieckich do dalszej walki, wspomagał i zasilał pospiesznie osłabioną armię szwedzką. Dyplomacja francuska starała się wszędzie pozyskać sobie przyjaciół, a Habsburgom przysporzyć kłopotów. Zaproponowała tedy Władysławowi IV poważny zasiłek finansowy na wojnę — z Austrią! Zyskiem dla króla polskiego miało być odzyskanie Śląska. Mądry Richelieu wiedział, że jego propozycje mają mało szans realizacji. Dla Władysława IV najważniejsze było odzyskanie tronu szwedzkiego. Rychło okazało się, że Szwedzi nie życzą go sobie za króla: tedy pozostawała Władysławowi tylko walka orężna o tron szwedzki. W tej walce mógł liczyć na pomoc ze strony Habsburgów, a nie Francji, która była sojuszniczką Szwecji. Tedy cały splot interesów dynastycznych wiązał Władysława raczej z polityką habsburską. Niemniej Richelieu swoje propozycje wysunął, by przynajmniej posiać nieufność między dworem polskim i cesarskim, oraz powstrzymać Władysława od ewentualnego udzielenia pomocy Habsburgom w dalszej wojnie.

Władysław IV propozycje francuskie odrzucił, bo więcej mu zależało na Habsburgach niż na Francji: błędnie oceniając układ sił walczących, wierzył w ostateczny triumf Habsburgów w wojnie, co miało mu ułatwić rozgrywkę o tron szwedzki. Ale i po stronie Habsburgów nie wziął udziału w wojnie, ponieważ wiedział, że nie pozwoliłaby na to szlachta polska, która chciała dla Polski pokoju. W rezultacie Polska pozostała neutralną wobec dalszych zmagań po-

tęg europejskich w wojnie 30-letniej. Po Śląsk ręki nie wyciągnęła, choć były po temu możliwości. Król zaś swe ambicje dynastyczne zaspokoił przynajmniej częściowo, uzyskując dla domu Wazów polskich od Habsburgów w r. 1645 księstwa Opola i Raciborza: w czasowe zresztą tylko posiadanie, jako zastaw na poczet sum pieniężnych, które Habsburgowie byli winni od lat Wazom polskim (nie spłacili bowiem sum posagowych Habsburżanek: Anny i Konstancji, żon Zygmunta III).

Ledwie władze habsburskie usadowiły się mocniej na Śląsku (od r. 1635), a już zaczęły zaostrzać kurs wyznaniowy i polityczny. Nie zmieniła w tym względzie sytuacji śmierć Ferdynanda II, bo nowy król czeski (i cesarz zarazem) Ferdynand III (1637—1657) szedł w ślady ojca: na Śląsku w ogóle się nie pojawił, ale władzom zalecał ścisłe związanie kraju w dziedzinie politycznej, administracyjnej i wyznaniowej z całym systemem monarchii habsburskiej. W latach najbliższych kontrreformacja srożyła się w ziemiach, podległych bezpośrednio Habsburgom, szczególnie w księstwach Jawora i Świdnicy, gdzie starostą był arcygorliwy katolik i służalec habsburski, Jerzy Ludwik v. Stahremberg. Nagle w r. 1639 wtargnęli na Śląsk (od strony Łużyc) Szwedzi pod gen. Bannerem — i rychło opanowali cały Śląsk Dolny. Gdzie przyszli, rabowali i niszczyli kraj, ale równocześnie — wznawiali nabożeństwa protestanckie a katolików przepędzali. Jeszcze sroższe nastały czasy dla ludności, kiedy na Śląsk nadciągnęły większe siły cesarskie i zaczęły odbierać Szwedom miasta i zamki. Kto poprzednio sprzyjał Szwedom, tego dotknęły bezwzględne represje władz cesarskich. Jakie losy przechodziły podówczas miasta śląskie, dowodzi choćby przykład Jeleniej Góry.

W r. 1639 zawitali do miasta Szwedzi; wycisnęli z mieszczan prowiant i pieniądze, po czym większość ich odeszła, a został tylko mały oddział. Z kolei zbliżyły się wojska cesarskie. Jeden z oficerów obiecał miastu amnestię, jeśli przyjmie załogę cesarską. Mieszczanie wymówili się, wskazując, że przecież w mieście stoi zastęp Szwedów, który napewno nie zechce dobrowolnie odejść. Rozgniewany oficer cesarski kazał swym żołnierzom zająć przedmieścia: żołdactwo rabowało i gwałciło kobiety, dopóki ludność nie złożyła znacznego okupu. Pierwsze miesiące 1640 r. przetrwali mieszczanie Jeleniej Góry w ciągłej niepewności swego losu, gdyż Szwedzi wciąż siedzieli w mieście (liczba ich nawet się zwiększyła) a wojska cesarskie krążyły w pobliżu. W maju zjawił się w Jeleniej Górze generał szwedzki Stahlhansch z większymi siłami: na mieszczan

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

spadły jeszcze większe ciężary, ale protestanci cieszyli się, że przynajmniej swoboda ich kultu na jakiś czas będzie zabezpieczona. Radość była przedwczesna. Już w lipcu podszedł pod miasto generał cesarski Goltz z poważnymi siłami i zaczął bombardować miasto. Wprawdzie operujące w okolicy wojska szwedzkie zmusiły Goltza do odstąpienia spod miasta, ale we wrześniu wrócił ponownie, prowadząc świeże posiłki i rozpoczął regularne oblężenie. Protestanci miejscowi, którzy wiedzieli, jaki ich los czeka, wspomogli załogę szwedzką. Mimo głodu i wycieńczenia mężczyźni walczyli na murach, kobiety sypały okopy; kilkakrotnie odrzucono propozycje kapitulacji. Nadeszły słoty listopadowe i zimna. Obrońcy jeszcze gotowi byli walczyć, ale generał szwedzki orzekł, że dalsza obrona miasta wobec stanu fortyfikacyj i braku zapasów jest niemożliwa: tedy załoga szwedzka musi opuścić miasto i przebije się przez wojska cesarskie. Na pocieszenie oznajmił mieszczanom, że Szwedzi zabiorą ze sobą tych mieszczan, którzy nie chcą dostać się w ręce władz habsburskich. Szwedzi istotnie niebawem wyszli z miasta, zrabowawszy jeszcze na drogę, co się dało. Wraz z nimi pociągnął smutny korowód: znaczna liczba ludności, mężczyzn, kobiet, dzieci (w tym niedołężni starcy!) opuściła miasto, wlokąc resztki ocalonego mienia na wózkach. Większość padła na drodze z wycieńczenia. Do na wpół zniszczonego miasta wkroczyły wojska cesarskie. Spragnione łupu żołdactwo rozbiegło się zaraz po strychach i piwnicach, szukając pozostawionych rzekomo przez Szwedów skarbów. Niewiele znaleziono, chyba to, czego Szwedzi w pospiechu nie zdążyli zabrać; natomiast ograbiono przy sposobności pozostałych mieszczan. Dodajmy, że w latach następnych jeszcze wielokrotnie wojska cesarskie i szwedzkie wyciskały z Jeleniej Góry prowiant i kontrybucje. W zamożnym mieście utrzymała się do końca wojny tylko gromada biedaków.

Na całym Śląsku ludność tułała się po bocznych drogach i lasach, nie znajdując zresztą nawet i tam bezpiecznego schronienia. Gdy bowiem brakło żywności i łupu po miasteczkach i wsiach, rozpasane żołdactwo rozpoczęło wyprawy w lasy, by tam jeszcze zrabować ludności resztę mienia. Aż do roku 1648 niemal bez przerwy snuły się po ziemi śląskiej różne pułki, kompanie, szwadrony, raz cesarskie, to znowu szwedzkie. Poszczególne miasta i miasteczka zmieniały ciągle panów. Tylko Wrocław, zaopatrzony w potężne mury i liczną załogę, ostał się wśród ogólnej zawieruchy. Miasto opłacało się kilka razy różnym generałom, lawirowało między jedną i drugą stroną walczącą, biedniało z roku na rok, gdyż ruch handlo-

wy zamarł, a kraj zamieniał się w ruinę — ale nie wpuściło w swe mury załogi cesarskiej ani wojsk szwedzkich. Nadszedł wreszcie rok 1648. Spłonęło jeszcze miasto Jawor, podpalone przez wojska cesarskie, rozdrażnione zbyt długim oporem załogi szwedzkiej. Przewagę na Śląsku uzyskały wojska habsburskie, ale zapowiadano znów najazd większych sił szwedzkich od strony Czech. Naraz rozeszła sie wieść o zawarciu ogólnego pokoju, tzw. westfalskiego (24 października 1648 r.).

Wojnę wygrały ostatecznie Francja i Szwecja. Osłabiona została pozycja Habsburgów w Europie i w Rzeszy, gdzie cesarz musiał się zgodzić na wzmocnienie stanowiska książąt-elektorów i równouprawnienie nie tylko luteranów, ale i kalwinów. Natomiast kraje korony czeskiej pozostały w wyłącznym władaniu Habsburgów, zdane na ich łaskę i niełaskę. Dla Śląska wytargowali co prawda Szwedzi na kongresie pokojowym pewne ustępstwa w dziedzinie wyznaniowej. Cesarz zapewnił wolność wyznania augsburskiego księstwom Legnicy, Brzegu i Oleśnicy, oraz miastu Wrocławowi. W ziemiach podległych bezpośrednio koronie czeskiej miał panować wyłącznie kult katolicki: cesarz obiecał jednak szanować wolność przekonań protestantów, tj. nie zmuszać ich do przyjmowania katolicyzmu i nie wyrzucać (w razie odmowy) z kraju, byleby nie odprawiali publicznych nabożeństw. W drodze wyjątku dozwolono im zbudować jedynie trzy kościoły, w Jaworze, Świdnicy i Głogowie, i to poza murami miasta. Ustępstwa te miały zresztą znaczenie formalne: już rychło bowiem okazało się że protestanci nie będą mogli z nich korzystać, wobec trudności, stawianych na każdym kroku przez władze habsburskie. Jeśli tedy protestanci śląscy spodziewali się, że w wyniku krwawej i niszczącej wojny wywalczą sobie przynajmniej swobodę wyznania, to przeliczyli się srodze. Wedle bowiem planów habsburskich kompletna likwidacja protestantyzmu na Śląsku miała być tylko kwestią czasu.

Rozdział XXIII

SKUTKI WOJNY

Wojna trwała ogółem lat 30: na samym Śląsku działania wojenne toczyły się z małymi przerwami od r. 1626, a więc lat około 22. Przerwy te wypełnione były zresztą kwaterunkami wojskowymi, oraz represjami władz w stosunku do ludności, co w sumie stwarzało w kraju stan, niewiele różniący się od wojennego. Można tedy sobie wyobrazić ogrom zniszczenia, jaki pozostawił posiew wojny na ziemi śląskiej. Wedle przybliżonych obliczeń współczesnych świadków, liczba ludności spadła o 200.000, a więc o jedną trzecią w stosunku do stanu przedwojennego. W niektórych częściach kraju spadek był jeszcze bardziej przerażający. Tak np. w ziemi pszczyńskiej po wojnie pozostać miała (wedle współczesnej relacji) jedynie $^1/_4$ ludności! Niektóre miasta uległy zupełnemu zniszczeniu, jak Jawor, Bolków, Kamienna Góra, Świerzawa, lub prawie zupełnemu, jak Jelenia Góra, Lwówek, Kożuchów, i szereg innych. W Świdnicy z 1300 domów pozostało jedynie 118; w zamożnej Ścinawie tylko 3 kościoły i dwa domy, w Oławie 20 domów. W Lwówku przed wojną mieszkało 6500 ludzi, w tym 1700 obywateli miasta: z tej liczby w r. 1648 ledwie 40 zachowało się w gruzach miasta. W Głogowie przed wojną mieszkało 2500 obywateli miasta, w r. 1638 tylko 122, a w r. 1648 zapewne jeszcze mniej. Na wsiach spustoszenie przybrało nieraz jeszcze większe rozmiary. W księstwie świdnicko-jaworskim w kilka lat po wojnie stwierdzono, że 26 wsi stało zupełną pustką, a w 20 innych wsiach wśród gruzów snuło się po kilku zaledwie mieszkańców. W księstwie Brzegu jeszcze $^1/_3$ łanów stała ugorem, nieuprawiana — z powodu braku rąk do pracy. Straty ludnościowe spowodowane były tak samymi działaniami wojennymi, jak i ich pośrednimi skutkami. Tak więc tysiące ofiar porywały choroby, — nieodłączny towarzysz wojny, szczególnie srożący się w owych czasach, gdy brakowało odpowiedniej opieki sanitarnej.

Bezbronna wobec epidemii szalejących w kraju, ludność przyjmowała je jako dopust Boży. Jedyny ratunek widziała w pielgrzymkach do miejsc świętych, zwłaszcza w modłach do św. Rocha, jako obrońcy przed zarazą. Gdy zaraza ustała, ludność upatrywała w tym zbawczą rękę swego patrona i z wdzięczności stawiała mu drewniane kościółki, z których jeden zachował się do ostatnich czasów pod Olesnem.

Ludzie straceni dla osiedli śląskich i normalnego życia na tej ziemi, to nie tylko ci, którzy zginęli wskutek działań wojennych, lub padli ofiarą zarazy. Ponadto bowiem mnóstwo ludności rozbiegło się po prostu na wszelkie strony świata. Wielu kryło się całymi miesiącami po lasach i na wpół zdziczało. Niejeden przystał do przeciągających przez kraj wojsk najemnych, bo wolał wojaczkę, łatwy chleb i łupy, niż dalszą poniewierkę. Wielu, bardzo wielu emigrowało ze Śląska i w ogóle do rodzinnych stron już nie powróciło. Miejscem schronienia były często Łużyce, a częściej jeszcze — Polska, kraj znacznej tolerancji religijnej, w którym mogli cieszyć się swobodą luteranie i kalwini. Z miasta Góry już w czasie „dragonad" Lichtensteina wyemigrowało 4000 protestantów i znalazło schronienie w Lesznie. Szlachcic polski Jan Jerzy Schlichting (z rodziny inflanckiej, pochodzenia niemieckiego, z dawna osiadłej w Wielkopolsce i spolszczonej) założył nawet na pograniczu śląskim (opodal Głogowa) miasteczko Szlichtyngowa, gdzie osiedlił znaczną ilość protestantów śląskich: do tego osiedla przybywali ponadto skrycie protestanci, pozostali jeszcze na Śląsku, by na ziemi państwa polskiego wysłuchać nabożeństwa luterskiego, które specjalnie dla nich odprawiano. Do Polski uchodził szlachcic, mieszczanin i chłop śląski. Szukały w Polsce kobiety śląskie schronienia przed zniesławieniem, grożącym ustawicznie ze strony zdziczałego żołnierza najemnego. W ziemiach państwa polskiego szukali przytułku w pierwszym rzędzie Polacy śląscy, wiedząc, że znajdą się wśród swoich, że porozumią się wszędzie w mowie ojczystej; do Polski uchodzili jednak i Niemcy śląscy, bo państwo polskie nie stawiało przeszkód w tym względzie, bo naród polski był tolerancyjnie wobec przybyszów, — o aż nadto tolerancyjny! A Niemcy odwdzięczyli się — po swojemu: tak np. nadali Lesznu nazwę Lissa i z czasem radośnie witali połączenie owej „niemieckiej Lissy" z państwem pruskim! Byle przybłęda niemiecki, znalazłszy na ziemi polskiej dach nad głową i suty kęs chleba, zaczynał się po jakimś czasie rozpychać łokciami i nawet krzyczeć głośno, że mu się krzywda dzieje, jeśli mu Polacy na każdym kroku nie ustępowali!

Życie gospodarcze na Śląsku pogrążone było w zupełnym upadku. Pola stały odłogiem, domy, nawet nie zniszczone, po wsiach i miastach zionęły pustką. Stosunki handlowe rozprzęgły się zupełnie i lat całych trzeba było na przywrócenie w tej dziedzinie dawnego stanu. Górnictwo upadło. W Bytomskiem, dźwignięte w XVI wieku wysiłkiem księcia Jana opolskiego[1]), zaniedbane następnie pod rządami habsburskimi, w czasie wojny 30-letniej doczekało się zupełnej ruiny. Górnicy rozpierzchli się, ruch w kopalniach zamarł, urządzenia uległy zniszczeniu. Odbudowa życia gospodarczego po takiej ruinie wymagała ogromnego wysiłku, zwłaszcza, jeśli się uwzględni dotkliwy brak rąk do pracy, zaznaczający się we wszystkich dziedzinach gospodarki krajowej. Jeszcze w 20 lat po wojnie stan ludności w miastach śląskich był przeważnie wielokrotnie niższy od przedwojennego. Najszybsze postępy akcji odbudowy gospodarczej zaznaczyły się w księstwach Legnicy, Brzegu i Wołowa, a to dzięki rzetelnemu wysiłkowi książąt Piastowiczów, synów Jana Chrystiana z Brzegu (zmarłego w r. 1639), oraz Jerzego Rudolfa na Legnicy i Wołowie: gdy tenże zmarł bezpotomnie (w r. 1653), wówczas także Legnica i Wołów przeszły na synów Jana Chrystiana, którzy podzielili się całością terytoriów piastowskich. Najgorzej natomiast przedstawiała się sytuacja w ziemiach, podległych bezpośrednio Habsburgom. Władze cesarskie bowiem nie tylko same prawie nic nie zrobiły, ale nadto utrudniały rozwój inicjatywy samej ludności przez szereg zarządzeń biurokratyczno-fiskalnych oraz stosowanie szykan wobec protestantów, którzy znowuż musieli w wielu wypadkach opuszczać kraj, co powodowało dalszy ubytek ludności i to produktywnej (np. sporo rzemieślników wyniosło się do Łużyc, które należały od r. 1621 do Saksonii, względnie uszło do Polski). Majątki ziemskie, opuszczone przez właścicieli (którzy wyginęli lub uszli z kraju przed represjami), rozdawał cesarz w nagrodę za wierną służbę swym oficerom lub dygnitarzom cywilnym. W ten sposób na Śląsku osiedlała się nowa szlachta, spośród ludzi „zasłużonych" wobec reżimu, oczywiście Niemców, przeważnie katolików.

---

[1]) Dowód żywego udziału Polaków śląskich w ówczesnej fazie rozwoju górnictwa i hutnictwa oraz zainteresowań w tej dziedzinie stanowi napisany jędrną polszczyzną utwór Walentego Roździeńskiego (z Roździenia na Górnym Śląsku, „kuźnika" tamtejszego) pt. *Officina ferraria abo huta y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego* (druk. w Krakowie, 1612).

Ci przybysze rządzili się zupełnie jak w kraju podbitym, zagarniając nieraz samowolnie gospodarstwa chłopskie. Do pracy na roli ściągali wynędzniałą ludność, której wojna wszystko zabrała, bezdomnych biedaków, pod warunkiem jednak przyjęcia poddaństwa: kto się raz poddał panu, stawał się (wraz ze swym potomstwem) przypisańcem do gleby, której nie wolno mu już było bez pozwolenia pana opuścić. Wprawdzie niejeden chłop wolał w tych warunkach zrezygnować z osiedlania się na stałe, a raczej wędrował po kraju i wynajmował się do robót rolnych tam, gdzie znajdował lepszą płacę i obfitsze wyżywienie. I te jednak możliwości zostały wydatnie ograniczone, gdy panowie niemieccy wystarali się u władz o zarządzenie, ustalające maksymalne (nader niskie) stawki dla robotników rolnych. Władze habsburskie stanęły tedy zupełnie po stronie panów, przeciwko chłopom. W następstwie na Śląsku upadała dawna wolność wieśniacza, a zapanowała powszechna niewola ludu wiejskiego: metody bowiem nowej szlachty niemieckiej przejęli niebawem również dawni panowie, widząc że władze taki stan rzeczy aprobują, a nawet mu sprzyjają. Nowa szlachta habsburska, przesiąknięta nawyczkami wojennymi ówczesnego stanu oficerskiego, brutalna i bezwzględna, ceniła tylko rzemiosło wojenne i służbę w biurokracji habsburskiej, a lekceważyła uczciwą pracę: poniewierała tedy tak chłopów jak i mieszczan. Pijaństwo i rozpusta były dla niej główną treścią życia. Pewne złagodzenie obyczajów zaznaczyło się wprawdzie pod koniec XVII wieku, wskutek naśladownictwa mody francuskiej: spod owych jednak peruk i żabotów, oraz powierzchownego małpowania manier francuskich wyzierało aż nazbyt często niemieckie prostactwo i grubiaństwo. Zarazem „francuszczyzna“ powodowała życie ponad stan: nadmierne sprowadzanie towarów francuskich i innych zagranicznych, wznoszenie pałacyków i zakładanie ogrodów na modłę francuską, sprowadzało często bankrutwo szlachcica. Los taki spotykał częściej szlachcica dawnego, pochodzenia polskiego, który miał słabsze podstawy finansowe, bo nie wzbogacił się na koniunkturze powojennej, z której w pełni korzystała owa szlachta habsburska. W rezultacie pod koniec XVII wieku i w wieku XVIII zachodziły liczne wypadki bankructwa starszej szlachty śląskiej i opuszczania majątków: oczywiście zajmowali je z reguły dorobkiewicze, panowie niemieccy.

Nasuwa się jeszcze pytanie, jaki wpływ wywarła wojna 30-letnia na stan niemczyzny i polskości na Śląsku? Historycy niemieccy nieraz biadali, że straty ludnościowe większe poniosła niemczyzna śląska, a brak rąk do pracy po wojnie spowodował właśnie

poważniejszy napływ Polaków. Nie ulega kwestii, że na tereny pograniczne śląskie musiało podówczas napłynąć trochę chłopów z Polski, których chętnie przyjmowała szlachta śląska do pracy na swych gruntach, stojących odłogiem. Sprowadzanie robotników rolnych z Polski na roboty sezonowe miało na Śląsku swe dawne tradycje: posiadamy dane źródłowe z pierwszej połowy XVI wieku co do przyjazdów polskich pracowników sezonowych do Wrocławia. Po wojnie 30-letniej, gdy brakło materiału ludzkiego do pracy, robotnicy rolni polscy musieli być szczególnie pożądani i napewno zachęcano ich do pozostania na stałe. Jaka mogła być liczba takich stałych osiedleńców, tego określić nie można. Nie sądzimy jednak, by była tak poważna, by mogła istotnie zaważyć na stosunkach ludnościowych Śląska. Stopniowe zaś pogarszanie się doli chłopa pod reżimem panów niemieckich niewątpliwie niejednego przybysza skłoniło do powrotu, a na pewno w wielu innych przytłumiło ochotę do przenoszenia się na ziemię śląską. Wedle opisu niemieckiego z XVIII wieku, wielu chłopów uchodziło wówczas z Górnego Śląska do Polski z całym skromnym mieniem i jeszcze Fryderyk II zastał po zaborze Śląska na tych terenach szereg gospodarstw, w których byli panowie ale brakowało chłopów. W sumie napływ chłopów z Polski na Śląsk po wojnie nie wpłynął zasadniczo na stosunek liczbowy Polaków do Niemców, tym więcej, że na skutek późniejszego częściowego odpływu nastąpiło prawdopodobnie znowuż wyrównanie do stanu sprzed wojny.

Natomiast zgodzić się można z tym, że wojna dotknęła w wyższym stopniu ludność niemiecką na Śląsku niż polską. Niemcy w pierwszym rzędzie stanowili już wówczas na Śląsku warstwę rządzącą i posiadającą. Częste przemiany w stosunkach politycznych i wyznaniowych, oraz nieodłącznie z tym związane represje, godzić tedy musiały silniej właśnie w Niemców. Ogólne zniszczenie kraju dotykało wszystkich na pozór równomiernie, ale w pewnej mierze dotknęło więcej Niemców, jeśli się zważy, że zwłaszcza bogatsze mieszczaństwo było niemieckie, albo od dawna zniemczałe. A na pewno więcej do stracenia miał bogaty kupiec, niż skromny rzemieślnik. Wreszcie i dalsze, powojenne represje władz habsburskich i panów katolickich ugodziły w większej mierze w Niemców, bo ci przede wszystkim byli protestantami, podczas gdy znaczna część ludności polskiej pozostała wierna katolicyzmowi. Nawet do Polski, a zwłaszcza do Saksonii, emigrowała spora ilość Niemców. W sumie tedy byłby do zanotowania poważniejszy ubytek ludności niemieckiej. Ale znowuż nie można zbytnio przeceniać znaczenia

tego faktu, gdyż w latach następnych, pod reżimem habsburskim, żywioł niemiecki cieszył się stanowczym poparciem władz i miał warunki po temu, by pozycje swe odzyskać. Pewne przesunięcie w stosunkach narodowościowych w wyniku wojny 30-letniej stanowiło tedy objaw raczej przejściowy i krótkotrwały. Istotną korzyścią dla polskości było już choćby to samo, że wskutek wojny i jej następstw postępy niemczyzny, trawiącej swe siły na walkach wewnętrznych, zostały na jakiś czas wstrzymane.

Szczególnie natomiast pomyślne warunki dla ożywienia polskości powstały w połowie XVII wieku na terenie Śląska Górnego, a to w związku z przejściem Opola i Raciborza na lat 20 pod zarząd polskiej linii Wazów. Od dawna już Wazowie polscy żądali od Habsburgów spłaty sum, należnych z tytułu posagów księżniczek Habsburżanek, żon Zygmunta III; dołączyły się do tego żądania zapłaty posagu Cecylii Renaty, żony Władysława IV. Spłaty owych sum nie można było doczekać się całe lata, gdyż kasy habsburskie zionęły stale pustką, zwłaszcza w okresie wojny 30-letniej. Tedy Władysław IV zażądał oddania mu w zastaw części ziem śląskich, co łączyło się zarazem z jego polityką dynastyczną: pragnął bowiem uzyskać dla swego małoletniego syna jakieś księstwo poza granicami państwa polskiego, gdyż przez to wzmocniłby pozycję syna i ułatwił (jak sądził) jego obiór na tron polski. Wiadomo, że Habsburgowie nieraz używali ziem górnośląskich jako terenu przetargów w różnych swych kombinacjach polityczno-finansowych. W tym wypadku jednak, gdy chodzi o króla polskiego, wahali się długo: po prostu obawiali się, by wpuszczenie króla polskiego na Śląsk nie doprowadziło z czasem do trwałego połączenia części ziem śląskich z państwem polskim. Gdy jednak Władysław IV stanowczo nalegał na oddanie mu pod zastaw właśnie księstw Opola i Raciborza, ostatecznie ustąpili. W r. 1645 Ferdynand III zawarł umowę z Władysławem, na mocy której oddał w czasowe posiadanie, na lat 50, królowi polskiemu i jego następcom Opolskie i Raciborskie: aż do tego czasu mieli Habsburgowie spłacić sumy należne Wazom. Nie od razu jednak nastąpiło przejęcie Opola i Raciborza przez Władysława IV, gdyż Habsburg zażądał jeszcze dodatkowo dość znacznej pożyczki, której król polski nie mógł chwilowo udzielić. Dopiero drugie małżeństwo króla z księżniczką francuską Ludwiką Marią przyspieszyło załatwienie sprawy. Żona Francuzka wniosła bowiem królowi znaczny posag, z którego wypłacono Habsburgowi żądaną pożyczkę. W rezultacie w kwietniu

1647 r. załogi cesarskie ustąpiły z księstw Opola i Raciborza, a ich miejsce zajęły załogi polskie.

Habsburg bał się, jak wspomnieliśmy, zupełnej utraty owych ziem na rzecz Polski. Poczynił tedy w kontrakcie odpowiednie zastrzeżenia. Tak więc Władysław IV musiał podpisać rewers, stwierdzający, że prawa do zastawu ziem górnośląskich posiada jedynie rodzina Wazów polskich, a Rzeczpospolita Polska nie może żadnych praw wysuwać z tego tytułu. Następnie cesarz zachowywał prawa zwierzchnie nad księstwami: stanowiska urzędnicze mogli tedy Wazowie obsadzać tylko w porozumieniu z cesarzem, nie wolno im było również wprowadzać żadnych nowych praw, ani też wznosić nowych fortyfikacji, a nawet regulować rzeki Odry (!) — bez porozumienia z cesarzem. Znamienne jest jeszcze zastrzeżenie habsburskie, by duchowni „nie wnosili nic nowego z Polski"! Na dworze cesarskim zdawano sobie sprawę z tego, że Górny Śląsk jest ziemią polską, w związku z czym zacieśnienie współżycia może zakończyć się trwałym złączeniem tej ziemi z państwem polskim. Dalszy tok wypadków zależał w głównej mierze od wzajemnego stosunku sił; nie bez znaczenia były również dalsze losy Wazów polskich i ich stanowiska w Polsce.

Władysław IV już w r. 1645 przybrał tytuł księcia Opola i Raciborza i przekazał go swym następcom. Syn jego (Zygmunt Kazimierz) umarł jednak w latach chłopięcych. Tedy Władysław przeniósł swe prawa do zastawu górnośląskiego na brata, Jana Kazimierza, który z kolei, zostawszy w r. 1648 królem polskim, przelał je na brata, Karola Ferdynanda, biskupa wrocławskiego. Z chwilą śmierci tegoż (1655) księstwa zastawne wróciły do Jana Kazimierza, ale król polski zrzekł się praw do nich na rzecz swej żony, Ludwiki Marii (wdowy po Władysławie IV). Małżeństwo to było bezdzietne, tedy linia Wazów wygasła. Ostatnia posiadaczka praw do zastawu, Ludwika Maria, łączyła los księstw z własnymi kombinacjami dynastycznymi, których związek z Polską był co najmniej wątpliwy. Niestety więc polityka Wazów nie doprowadziła do trwalszego związania sprawy owych księstw śląskich z racją stanu polską: wygasanie zaś linii Wazów polskich przyspieszyło moment powrotu Opolskiego i Raciborskiego pod rządy habsburskie.

Taki właśnie przebieg wypadków był zresztą wynikiem wzajemnego stosunku sił, monarchii habsburskiej i państwa polskiego, w drugiej połowie XVII wieku. W chwili przejęcia przez Władysława IV zastawu górnośląskiego Polska była państwem potężnym,

zamożnym, zażywającym pokoju, — podczas gdy Habsburgowie ostatkami sił prowadzili jeszcze wojnę 30-letnią, która w końcu przyniosła im porażkę i to dotkliwą. Wprawdzie monarchia habsburska musiała i w dalszych latach borykać się z dużymi trudnościami (rosnące napięcie konfliktu z Francją i z Turcją), ale państwo polskie znalazło się w jeszcze gorszej sytuacji. Nieszczęsne panowanie Jana Kazimierza (1648—1668) wypełnione było niemal nieustannymi bazami wojennymi, spadającymi na Polskę: wojny kozackie, wojny z Tatarami, Turcją, Moskwą i Szwecją, wreszcie wojna domowa (rokosz Lubomirskiego) — osłabiły ogromnie państwo, strawiły jego najlepsze siły ludzkie i materialne. Stosunek sił Polski do monarchii habsburskiej zmienił się poważnie — na niekorzyść Polski. W tych warunkach trudno było podejmować próby związania Śląska Górnego z Polską — wbrew Habsburgom. Inne zagadnienia zaciążyły tak silnie na polityce polskiej, że uniemożliwiły wysunięcie na porządek dzienny zagadnienia śląskiego. Habsburgowie zaś czuwali i postarali się o to, by w odpowiednim momencie sprawę zastawu zlikwidować.

Ludwika Maria przelała prawa do zastawu na swą siostrzenicę, którą wydała za księcia francuskiego d'Enghiena. W ten sposób posiadaczem Opola i Raciborza miał zostać książę francuski (wedle rachub Ludwiki Marii kandydat na tron polski). Otóż Habsburgowie nie mogli dopuścić do wpuszczenia Francuza na Śląsk (też i na tron polski) w momencie, gdy właśnie naczelnym dla nich zagadnieniem był wielki, europejski konflikt z Francją. Wytężyli tedy wszystkie siły (posługując się przy tym intrygami oddanych im jezuitów), by sprawę zastawu zlikwidować. W r. 1666 wykupili księstwa z zastawu. Opole i Racibórz wróciły pod rządy bezpośrednie habsburskie. Okres 20-letni zarządu Wazów polskich na Górnym Śląsku nie doprowadził do wcielenia tych ziem do Polski. Przyczyny tego główne były trzy: 1. Sprawa zastawu traktowana była przez Wazów jako ich kwestia osobista, dynastyczna, której nie starali się powiązać z racją stanu polską. 2. Słabość ówczesna Polski nie pozwalała na zajęcie się kwestią Śląska. 3. Opinia polska nie wykazała dla tej sprawy poważniejszego zainteresowania, co zresztą było do pewnego stopnia winą samych Wazów, którzy uważali zastaw górnośląski za własną imprezę polityki dynastycznej wazowskiej.

Niemniej i ów, niestety krótki, 20-letni okres rządów wazowskich przyczynił się do wzmocnienia polskości na Górnym Śląsku. Ludność widziała po zamkach załogi polskie, posługiwała się mo-

netą polską, którą tam wprowadzili Wazowie: mimo protestów dworu habsburskiego moneta ta przyjmowana była bardzo chętnie przez ludność, pragnącą utrzymania żywych kontaktów handlowych z Polską. Od chwili przejęcia zarządu kraju przez Wazów Śląsk Górny zabezpieczony był już przed klęskami wojny 30-letniej, w ostatniej jej fazie. Wazowie starali się o ulżenie doli ludności, przez lata uginającej się pod ciężarami wojny. Wszelkie dalej idące poczynania i próby reformy rozbijały się o przeszkody, stawiane właśnie przez władze habsburskie, czuwające bacznie, by „prawa zwierzchnie" ich pana nie zostały naruszone. Ponadto klęski, jakie spadły wówczas na Polskę i zarazem na dom Wazów, nie pozwalały im na istotne przyjście z pomocą zbiedzonej ludności górnośląskiej. W miarę jednak szczupłych swych możliwości, dbali Wazowie o ludność kraju, na pewno lepiej niż władze habsburskie, — często naprawiając krzywdy i tępiąc nadużycia urzędników, narzuconych przez dwór habsburski. Wystarczy wskazać na zdanie współczesnego kronikarza śląskiego (Lucae-Lichtensterna), który stwierdził, że w okresie rządów wazowskich ziemie górnośląskie znacznie się odbudowały i upiększyły. Okres ten był więc dla Opolskiego i Raciborskiego ogólnie korzystny: przyczynił się zarazem niewątpliwie do wzmocnienia polskości na ziemi górnośląskiej.

Rozdział XXIV

REAKCJA KATOLICKA I GERMANIZACJA

W Opolskiem i Raciborskiem za czasów wazowskich katolicyzm czynił postępy, ale nie uciekano się tam do środków gwałtownych wobec protestantów. Inaczej było w innych ziemiach śląskich. Pełną swobodą cieszyli się protestanci tylko w księstwach Legnicy, Brzegu i Wołowa, do wygaśnięcia ostatniej linii Piastowiczów, oraz w Oleśnicy; wprawdzie w r. 1647, po śmierci ostatniego z Podiebradowiczów, zanosiło się na przejście księstwa w ręce habsburskie, ale w końcu cesarz nadał je magnatowi wirtemberskiemu, Sylwiuszowi Nimrodowi, który jako protestant ochraniał swych współwyznawców. Ponadto ewangelicy zażywali jeszcze swobody we Wrocławiu. Zresztą los ich stawał się w krajach habsburskich coraz bardziej nieznośny. Swobodę kultu mieli tam przyznaną jedynie w Głogowie, Świdnicy i Jaworze, i to ograniczoną, gdyż pozwolono im tamże wznieść kościoły tylko poza miastami i to z cegły lub drzewa, oraz bez wież: budowle te nosiły tedy stale piętno czegoś prowizorycznego. Zresztą odebrano protestantom wszystkie kościoły — razem 656 — tak dawne katolickie, jak i wzniesione przez samych protestantów. W kościołach tych (po ponownym poświęceniu) wprowadzono kult katolicki. Pastorów i nauczycieli ewangelickich usunięto ze stanowisk: większość ich uszła z kraju, a chociaż część próbowała potajemnie pełnić funkcje duchowne po domach prywatnych i lasach, ale i tam dosięgały ich władze habsburskie, prześladując i tępiąc zawzięcie. Formalnie niby władze cesarskie wzbraniały tylko kultu ewangelickiego, ale nie wyznania. Tedy niektórzy protestanci odbywali pielgrzymki do zborów poza granicami Śląska, do Łużyc, Brandenburgii oraz Polski: w r. 1669 władze cesarskie wydały jednak zakaz takich pielgrzymek, a przekroczenie go karano więzieniem. Równocześnie nakazano wszystkim ewangelikom święcić dni świąteczne katolickie. Korzystając obficie z systemu szpiegostwa

i donosów, władze habsburskie tropiły po domach protestantów, w poszukiwaniu za tajnymi nabożeństwami, książkami ewangelickimi itd. System reakcyjny rozciągnięto w pełni w r. 1653 również i na księstwo cieszyńskie, które po śmierci Elżbiety Lukrecji przeszło pod zarząd habsburski.

Rozgrywki religijne między Niemcami mogłyby nas nie obchodzić: ale sprawa dotyczyła również i Polaków. Sporo bowiem było protestantów Polaków, którzy mimo wszelkich przeciwności zachowali polskość. Walczyć zaś musieli nie tylko z prześladowaniem ze strony władz habsburskich, które ich chciały pod przymusem nawrócić na katolicyzm i zarazem zgermanizować: bo dla ówczesnych władz naprawdę lojalnym poddanym habsburskim był tylko Niemiec-katolik, — kto z tych dwu przymiotników nie zdał egzaminu, uchodził za podejrzanego i zasługującego na szykany. Ponadto musieli owi Polacy-ewangelicy stawić również czoło naciskowi władz kościelnych ewangelickich, przesiąkniętych duchem germanizacyjnym. Wprawdzie sfery kierowniczę ewangelickie dopuszczały na terenie Śląska posługiwanie się przez pastorów językiem niemieckim, gdyż w wielu miejscach był to jedyny sposób dotarcia przez kazania i pieśni religijne do dusz ludności. Uważały to przecież tylko za konieczność, stosowaną w okresie przejściowym, dopóki cała ludność nie ulegnie germanizacji. Wystarczająco ilustruje prawdziwe ich tendencje fakt, że kładziono nacisk na stopniową germanizację pastorów, zakazując np. poślubiać im żony Polki i trzymać polską służbę! W tych warunkach trzeba było nie lada siły ducha, by oprzeć się germanizacji, gdy się przy tym zważy, że na poparcie, choćby duchowe, ze strony katolickiej Polski nie mogli Polacy ewangelicy na Śląsku zupełnie liczyć. Do Polaków katolików dochodziła przynajmniej książka religijna polska, najwięcej z Krakowa, — „książka krakowska". Polacy ewangelicy musieli sobie sami tworzyć piśmiennictwo religijne, w czasach, kiedy już protestantyzm polski był w upadku i podobną produkcją nie mógł swych współwyznawców śląskich zasilać. I tworzyli je, mimo nader ciężkich warunków. Zwłaszcza na terenie Oleśnickiego, w samej Oleśnicy, Kluczborku, Byczynie, Twardej Górze, rozwijało się wcale żywo polskie piśmiennictwo protestanckie, znajdując świetnych reprezentantów w osobach takiego np. pastora Jerzego Bocka spod Byczyny, „fararza kluczborskiego" Adama Gdacjusza, pastora z Brzegu Samuela Ludwika Zasadzkiego (Zasadiusa) itd. Pisali oni przeważnie pięknym, jędrnym językiem, którego nie powstydziłby się na pewno niejeden ich kolega po piórze z terenu Rzeczy-

pospolitej. Druki religijne protestantów polskich wychodziły także w Brzegu i Wrocławiu. Poważny ośrodek protestantów polskich znajdował się podówczas i w Cieszyńskiem, gdzie w początkach XVIII wieku działali pastorzy polscy, wspomniany już Zasadzki i Muthmann, starając się również dostarczyć swej owczarni strawy duchowej w języku polskim: doczekali się wreszcie prześladowania ze strony władz cesarskich i musieli Cieszyńskie opuścić.

Wśród ludności polskiej na Śląsku protestanci stanowili niewątpliwą mniejszość. Tym ważniejsze tedy jest rozważenie, choćby krótkie, położenia Polaków katolików w okresie tzw. katolicyzmu habsburskiego. Otóż stwierdzić trzeba, że reakcja katolicka na Śląsku stanowiła zarazem narzędzie polityki habsburskiej: ludność śląska miała być katolicką, lojalną wobec Habsburgów i, o ile możności, niemiecką. Jeden z dygnitarzy kościelnych oświadczył w r. 1627: „kto nie był dobrym Niemcem, nie może być dobrym Rzymianinem (tj. rzymskim katolikiem)". Zgodnie z tą zasadą postępowały władze kościelne na Śląsku, wypełniając skwapliwie polecenia władz habsburskich. Członkiem kapituły wrocławskiej mógł być tylko Niemiec. Wspomnieliśmy już, na jaki opór napotkała kandydatura królewicza Karola Ferdynanda Wazy na biskupa wrocławskiego, tylko z tej przyczyny, że kanonicy Niemcy nie chcieli mieć nad sobą zwierzchnika Polaka. Ponieważ jednak ze względów politycznych w danej chwili Habsburgowie popierali królewicza, kanonicy niemieccy musieli ustąpić: niemniej dali upust swej nienawiści do Polski, gdy z całą czelnością żądali od tegoż właśnie królewicza, by jako biskup wrocławski wystarał się u papieża o formalne uniezależnienie biskupstwa od metropolii gnieźnieńskiej! Karol Ferdynand oczywiście do takiej sprawy ręki nie przyłożył, choćby z poczucia lojalności wobec samych podstaw hierarchii kościelnej i państwa polskiego, na którego tronie jego bracia zasiadali. W praktyce zresztą postępowanie kapituły wrocławskiej szło po linii nieustannego uchylania się od owego zwierzchnictwa, choć na tym cierpiały interesy Kościoła i powaga hierarchii kościelnej. Furia niemieckich dygnitarzy kościelnych była tym większa, że w okresie reformacji w wielu wypadkach musiano nadać poważniejsze stanowiska w Kościele śląskim Polakom — po prostu z tego powodu, że kandydatów Niemców brakło: w owych czasach nierzadkie były wypadki, że nawet wyżsi duchowni niemieccy przechodzili na ewangelicyzm! Tedy w okresie restauracji katolickiej sfery kościelne niemieckie postawiły sobie za jeden z głównych celów ponowne usunięcie żywiołu polskiego z wyższych zwłaszcza stanowisk. Zna-

lazły też w tym względzie pełne poparcie władz habsburskich. Gdy w r. 1623 klasztor cystersów w Rudzie wybrał sobie opata Polaka, Ferdynand II odmówił mu zatwierdzenia. W drugiej połowie XVII wieku narzucono kapitułom klasztornym obecność komisarzy cesarskich przy wyborach opatów i ksień: oczywiście ci komisarze mieli przede wszystkim czuwać nad tym, by wybierano Niemców i Niemki. Władze kościelne szły tedy ręka w rękę z władzami cesarskimi w akcji germanizacyjnej w Kościele śląskim. Łagodził jeszcze stosunki biskup Karol Ferdynand: po nim jednak zasiadali na stolicy biskupiej wrocławskiej już wyłącznie Niemcy, wszystko ludzie oddani Habsburgom, przeważnie w ogóle nie związani ze Śląskiem, m. i. dwóch arcyksiążąt. Nic dziwnego, że tacy biskupi popierali akcję niemczenia Kościoła śląskiego.

Duchowieństwo polskie nie dało się przecież zepchnąć na szary koniec — bez walki. Polskość w Kościele śląskim podtrzymywała bowiem w znacznej mierze przynależność dekanatów bytomskiego i pszczyńskiego do diecezji krakowskiej. Dzięki temu przynajmniej do części Górnego Śląska przybywali duchowni z Polski, a germanizatorzy w kapitule wrocławskiej nie mogli temu przeszkodzić, zresztą tylko formalnie: w praktyce jednak starali się przeciwdziałać akcji restauracji katolickiej z Polski, a wciskać wszędzie duchownych niemieckich, nie bacząc naturalnie na to, że lepsze plony duchowe zebraliby na pewno Polacy wśród ludności polskiej Górnego Śląska. Ale dostojnikom kościelnym niemieckim mniej chodziło o postępy akcji katolickiej: niech idzie wolniej, byleby równocześnie dało się Polaków przerabiać na Niemców! Znacznie swobodniej postępowali oczywiście na terytoriach, przynależnych do diecezji wrocławskiej. Duchowni Polacy zaczęli jednak stawiać opór. W Kościele śląskim mnożyły się tarcia, a nawet dochodziło do ostrych konfliktów — na tle narodowościowym. Duchowieństwo polskie broniło swych pozycji, przeświadczone, że pełna słuszność jest po jego stronie: polska owczarnia potrzebuje polskiego pasterza, wszak tego wymagają choćby tylko interesy katolicyzmu, zwłaszcza na terenach zmagania się z protestantyzmem. Niemców w sutannie ludność polska przyjmowała ze zrozumiałą niechęcią, czasem wprost wrogo. W r. 1638 jeden z kanoników kapitulnych skarżył się, że Polacy „wolą widzieć zbliżającego się do nich psa lub djabła, niż Niemca!". Na synodzie duchowieństwa śląskiego w r. 1653 doszło do silnych tarć między duchownymi niemieckimi i polskimi. Że duchowni Polacy mieli poczucie rzetelne swej polskości, dowodzą np. takie fakty, jak solidaryzowanie się w kilku wypadkach księży

polskich z polskimi chłopami, gdy ci, zrozpaczeni uciskiem, powstawali z bronią w ręku przeciwko panom niemieckim.

Do szczególnie drastycznych zajść doszło na terenie klasztorów. Najwięcej zaś rozgłosu nabrały wypadki w starym klasztorze cystersek w Trzebnicy, słynnym z kultu św. Jadwigi, księżny śląskiej. W klasztorze tym tradycyjnie na stanowisko ksieni wybierano księżniczki z domu piastowskiego — aż do XVI wieku. Jak wiadomo, Piastowicze śląscy ulegli silnemu już zniemczeniu: tedy i owe ksienie uchodziły za Niemki i w klasztorze zapanował duch niemiecki. Sytuacja jednak zmieniła się w XVI wieku. W okresie reformacji niektóre zakonnice poszły z klasztoru, lub skrycie sprzyjały protestantyzmowi. Zabrakło w ogóle nowych adeptek Niemek. Natomiast liczniej zaczęły się zgłaszać kandydatki z Polski (panny z domów szlacheckich), gdyż właśnie podówczas pielgrzymki z Polski do grobu św. Jadwigi przybrały na sile. Niebawem Polki uzyskały w konwencie większość, ale mimo to nadal ksieniami były Niemki, bo takie było życzenie bezpośredniego zwierzchnika klasztoru, opata cystersów w Lubiążu (opactwo to było zawsze w rękach Niemców) i władz świeckich. Na domiar niemiecka ksieni i nieliczne jej towarzyszki Niemki traktowały polskie zakonnice wzgardliwie i nieraz brutalnie. W końcu Polki miały już dość reżimu niemieckiego i pod koniec XVI wieku odważyły się wybrać swą rodaczkę, Annę Jemiołowską. Była to mniszka starsza i poważana. A jednak sam cesarz Rudolf II zaprotestował przeciwko obiorowi Polki i ustąpił dopiero wówczas, gdy nawet opat z Lubiąża i biskup wrocławski przedstawili mu, że przewlekanie sprawy doprowadzi do zamieszania w klasztorze i dostarczy tylko materiału protestantom do antykatolickiej propagandy. Jemiołowskiej zresztą potrafiły tak uprzykrzyć życie zakonnice Niemki, że po dwu latach zmarła, wśród podejrzeń o otrucie! Teraz Rudolf II zapowiedział stanowczo, że ksienią w klasztorze trzebnickim może być tylko Niemka. Sprawę przewlekano tak długo, aż udało się przeprowadzić obiór Niemki. Triumf katolickich germanizatorów był krótkotrwały, natomiast uciecha protestantów niebywała: ksieni Niemka, Maria v. Luck, zrzuciła (w r. 1610) szaty duchowne, przyjęła ewangelicyzm i — znalazła sobie męża! Dopiero taki skandal zmusił Habsburgów do milczenia. Odtąd większość polska w klasztorze wybierała Polki, naprawdę godne piastowania stanowiska ksieni. Od r. 1610 do r. 1705 w klasztorze rządziły przeważnie Polki (z jednym tylko wyjątkiem). Wypada dodać, że miało to wpływ dobroczynny nie tylko dla klasztoru, ale i dla polskości wsi klasztornych: nie było bowiem

rzeczą przypadku, że w okolicy Trzebnicy polskość utrzymała się aż do XX wieku, mimo że sąsiednie tereny uległy już znacznie wcześniej germanizacji.

Władze habsburskie nie przeszkadzały rządom Polek, dopóki były w największych kłopotach. Ledwie jednak zakończyła się wojna 30-letnia, podjęły gorliwie politykę germanizacyjną w kościele śląskim. W r. 1649 wydano zakaz przyjmowania Polek do nowicjatu, dopóki niemieckie zakonnice nie uzyskają $^2/_3$ większości. Wykonanie zarządzenia nakazano opatowi z Lubiąża, który przecież jakiś czas się ociągał — bojąc się pomsty Polaków, a granica polska biegła niedaleko! Ostry konflikt wybuchł wreszcie w r. 1705, kiedy władze habsburskie nakazały stanowczo obiór ksieni Niemki. Nieustraszone Polki, ufne w swą większość i słuszne prawo, wybrały jednak Polkę. Posypały się na nie brutalne represje. Opat Ludwik z Lubiąża zastosował wobec mniszek polskich metody przekonywania iście germańskie: kazał je zakuć w kajdany i zamknąć w piwnicy, o chlebie i wodzie! Gdy i to nie pomagało, przysłano do klasztoru szwadron dragonów cesarskich! Dopiero groźba gwałtu zmusiła mniszki do kapitulacji i obioru ksieni — po myśli władz habsburskich; wybrano zniemczałą Polkę, Zuzannę Kopidlańską. Dodajmy, że podówczas w klasztorze Polek było 33, Niemek 5! W następnych latach władze cesarskie wydały nowe zarządzenia, nakazujące przyjmować przede wszystkim kandydatki niemieckiej narodowości do nowicjatu. Ale widać panny niemieckie niezbyt kwapiły się do służby Bożej, bo i nadal Polki miały większość. Mimo nacisku ze strony władz wybrały po śmierci Kopidlańskiej szczerą Polkę, Benedyktę Biernacką. Rozgniewany cesarz Karol VI nakazał (w r. 1718), aby odtąd przyjęcie Polki do nowicjatu wymagało specjalnego zatwierdzenia władz. W praktyce takiego zatwierdzenia z reguły odmawiano. Dopiero te metody habsburskie, przejęte zresztą następnie przez władze pruskie, przyspieszyły germanizację klasztoru. W r. 1711 Niemki uzyskały przewagę nad Polkami (15 — 11); w r. 1803 na 28 Niemek w klasztorze była już tylko jedna Polka.

Wypadki w Trzebnicy rzucają najjaskrawsze światło na metody katolicyzmu habsburskiego. W zasadzie władze kościelne odnosiły się niechętnie do interwencji władz cesarskich w murach klasztornych. Ale co innego, gdy chodziło o zduszenie polskości w klasztorach. Wówczas, nie bacząc na pogwałcenie praw kanonicznych, podawały sobie ręce władze kościelne i świeckie. Jeden z hi-

storyków niemieckich[1]) wyjaśnia to z całym cynizmem: „W tym wypadku (mowa o Trzebnicy) połączyła się władza kościelna (chodzi o opata z Lubiąża) z cesarską, aby w sprawie narodowościowej klasztoru, czy ma być polskim czy niemieckim, wkroczyć na rzecz niemieckiego charakteru klasztoru"! Sprawa jest jasna: chodziło o wspólny front niemczyzny przeciwko polskości. Kler niemiecki służył sprawie germanizacji Śląska."

Podobne wypadki, choć mniej nabrały rozgłosu, rozgrywały się w klasztorze norbertanek w Czarnowąsie, gdzie walka narodowościowa wrzała jeszcze ostrzejsza i równie długa, jak w Trzebnicy: ostatecznie w ciągu XVIII wieku pod naciskiem władz kościelnych i świeckich przeprowadzono germanizację klasztoru. Nie sposób w naszym krótkim zarysie mnożyć dalsze przykłady. Dodać jednak należy, że germanizacja poprzez Kościół dokonywała się w różnych formach. Jedną z nich było np. odbieranie katolikom Polakom prawa używania większych kościołów, a spychanie ich do małych kaplic. Tak więc w Raciborzu, gdzie mieszkali prawie sami Polacy, a nieliczni Niemcy, do niedawna ewangelicy, dopiero pod naciskiem (i to nieszczerze) w drugiej połowie XVII wieku wracali do katolicyzmu, biskup Leopold Wilhelm (1656—1662, Habsburg) zastrzegł używanie kościoła parafialnego tylko dla Niemców, zostawiając Polakom jedynie małą kapliczkę św. Marcelego. Wprawdzie zrazu w obszernym kościele Marii Panny na kazaniach niemieckich było pusto, a Polacy tłoczyli się w małej kapliczce, byle słuchać słowa Bożego w swoim języku. Z czasem jednak ten i ów Polak, nie mogąc się docisnąć do kapliczki, zaczął chodzić na nabożeństwa niemieckie: o to właśnie chodziło germanizatorom, by w dusze polskie sączyć niemczyznę przy każdej sposobności, a wiadomo jak skutecznie można to czynić pod pokrywką religii!

Inną formą było ograniczanie zasięgu działalności duszpasterskiej klasztorów, których władze zwierzchnie znajdowały się w Polsce, a forytowanie równoczesne klasztorów prowincji czeskiej czy morawskiej, które zupełnie opanowane były przez niemczyznę. Tak np. nie pozwolono reformatom z Gliwic, należącym do prowincji polskiej[2]), stworzyć filii swego klasztoru w Raciborzu, choć chcieli własnym kosztem odbudować klasztor raciborski (który spłonął

[1]) Nentwig, w *Darstellungen und Quellen zur schlesischen Geschichte*, t. III (Wrocław 1907).

[2]) Reformatów nazywano na Śląsku franciszkanami, podczas gdy w Polsce były to nazwy dwóch odrębnych zakonów.

w początkach XVI wieku), byle im tylko pozwolono prowadzić akcję duszpasterską wśród polskiej ludności miasta. Władze cesarskie i kościelne orzekły, że reformaci prowincji polskiej mogą zachować tylko swe klasztory dotychczasowe, w Gliwicach i na górze św. Anny; natomiast prawo budowy nowych klasztorów przysługuje jedynie reformatom prowincji czeskiej, osiedlonym już w kilku punktach na ziemi śląskiej (w Opawie, w Cieszynie, w Głubczycach i Koźlu). W rezultacie w r. 1697 reformaci opawscy zbudowali w Raciborzu nowy klasztor, który niebawem stał się placówką niemczyzny.

Większe jeszcze znaczenie miało osiedlenie się na Śląsku jezuitów z prowincji czesko-morawskiej (z Ołomuńca), którzy rychło wyparli z terenu górnośląskiego działających już tamże jezuitów z prowincji polskiej (z Krakowa). Wprowadzeni najpierw przez Oppersdorffów do Głogówka, założyli w r. 1667 rezydencję, następnie kolegium (1673), oraz gimnazjum i seminarium w Opolu. Opole stało się więc głównym na terenie Górnego Śląska ośrodkem akcji jezuitów prowincji czeskiej, w istocie przeważnie Niemców. Wprawdzie musieli dostosować się do sytuacji na miejscu i pracę swą duszpasterską rozpoczęli w dwóch językach: polskim i niemieckim. Jakież było ich rozczarowanie, kiedy okazało się, że na kazaniach polskich pełno ludzi, a na niemieckie mało kto przychodzi! Chwilowo musieli nawet kazania niemieckie zawiesić. Ale nie dali za wygraną i umiejętnie szerzyli różnymi środkami (m. i. przez swe broszury religijne) niemczyznę. Nic zresztą dziwnego: owi jezuici z prowincji czeskiej to byli albo Niemcy, albo zniemczali Czesi. Posługiwanie się językiem polskim uważali za konieczność chwilową, dopoki ludność nie przyswoi sobie języka niemieckiego: to zaś starali się wedle możności przyspieszyć! W szkołach opolskich uczyli po łacinie i po niemiecku. Podobnie w gimnazjum, które założyli niebawem przy swej rezydencji w Tarnowskich Górach. Pod kierunkiem mistrzów jezuickich młodzież śląska skazana była na stopniową germanizację. Akcja ich przyczyniła się również silnie do germanizacji innych sfer ludności śląskiej. Wystarczy zaznaczyć, że w Opolu w r. 1735 wygłosili jezuici w kościele św. Krzyża 15 kazań po niemiecku, a tylko jedno po polsku. Wprawdzie i wówczas ludność polska stanowiła w Opolu przygniatającą większość: ale uczęszczała na kazania jezuitów, doskonałych i uczonych mowców, najgłośniejszych pionierów bojowego katolicyzmu. Wszak jezuici byli w modzie. Tego uważano wówczas za najlepszego katolika, kto chodził do jezuitów. Zarazem cieszyli się szczególnym popar-

ciem władz habsburskich, bo też oddani byli szczerze tronowi cesarskiemu: w pojęciu jezuitów opolskich sprawa katolicyzmu i Habsburgów — to jedno. Stąd też byli najgorliwszymi szerzycielami owego katolicyzmu rządowego, habsburskiego. W konsekwencji spełniali rolę germanizacyjną. Zazdrośni o swe wpływy, starali się odciągnąć paulinom w Częstochowie tłumy pątników, które spieszyły z całego Śląska do Jasnej Góry i zorganizowali we własnej placówce, w Piekarach Śląskich, miejsce kultu Matki Boskiej (w r. 1676): od tej chwili znaczna część ludu śląskiego zadowalała się pielgrzymkami do Piekar, gdzie jezuici rozszerzali broszurki religijne również i w języku polskim, ale dołączali — podobizny cesarza! Pomyślmy na chwilę nad tą sprawą. W Częstochowie, dokąd i tak bardzo wielu pielgrzymów ze Śląska nadal ciągnęło, zaspokajali Ślązacy swe duchowe potrzeby, wdychając zarazem w płuca atmosferę czysto polską. W Piekarach starali się w nich jezuici wpoić przynajmniej zasady lojalności wobec Habsburgów. Od poczucia lojalności wiodła już prosta droga do zniemczenia się. Nie można oczywiście oskarżać jezuitów w ogólności o tendencje germanizacyjne. Na pewno inaczej postępowaliby jezuici z Polski. Ale właśnie dlatego władze habsburskie popierały na Śląsku szczególnie jezuitów z prowincji czeskiej, bo ci szerzyli ducha niemczyzny.

Pod skrzydłami opiekuńczymi władz habsburskich jezuici rozwinęli żywą działalność również i na Śląsku Dolnym, tworząc poważne swe ośrodki m. i. w Brzegu, Głogowie, Świdnicy, Żaganiu, Legnicy i Wrocławiu. W r. 1659 założyli we Wrocławiu gimnazjum, gdzie stopniowo wprowadzali akademicki system wykładów. Po długoletnich ich staraniach, napotykających na sprzeciwy ze strony protestanckiego mieszczaństwa wrocławskiego, w r. 1702 cesarz Leopold I zgodził się na nadanie szkole wrocławskiej praw akademickich. Tak więc Wrocław miał wreszcie swój uniwersytet, z dwoma na razie wydziałami (teologia i filozofia), ale nie taki, jakiego sobie ewangelicy wrocławscy życzyli. Niestety i z polskiego punktu widzenia nie było powodu do radości: jezuicki uniwersytet był bowiem ośrodkiem katolicyzmu cesarskiego, a więc i niemczyzny. W r. 1811 Prusy przekształciły uczelnię na państwową.

W ogólności stwierdzić musimy, że katolicyzm habsburski oznaczał nową falę germanizacyjną na Śląsku. Na szczęście nie była to jeszcze germanizacja systematyczna i zorganizowana, bo Habsburgowie mieli dość innych kłopotów i nie zwracali większej uwagi na Śląsk; ale i tak poczyniła poważne wyrwy w polskości Śląska.

Oczywiście daleko było do wytępienia polskości na Śląsku. Tego nie mogli dokonać nie tylko Habsburgowie, ale późniejsi władcy Prus i zjednoczonych Niemiec. W czasach omawianych polskość Śląska przejawiała się jeszcze na każdym kroku. Wielu Niemców uczyło się języka polskiego, bo bez tego trudno się było porozumieć z chłopem, rzemieślnikiem, i to również i na Dolnym Śląsku, w samym Wrocławiu. Najlepszym dowodem liczne podręczniki do nauki języka polskiego, przeznaczone dla Niemców śląskich, których wiele drukowano podówczas na Śląsku; że cieszyły się poczytnością, o tym świadczą często kilkakrotne dalsze ich wydania. Maciej Dobracki w przedmowie do wydania rozmówek polsko-niemieckich pt.: *Wytworny polityk* (tzn. „politycznie", czyli poprawnie mówiący) napisał m. i. (1669): „Wiadomo ogólnie, że żaden język nie jest w krainie śląskiej potrzebniejszy od języka polskiego i to nie tylko kupiectwu i rzemieślnikom, dla codziennych z Polakami interesów, lecz również wyższych i niższych sfer ziemianom, ze względu na ich podwładnych, którzy aż poza rzekę Odrę w większej części są Polakami". Dobracki nazbyt ostrożnie (wszak pisał dla Niemców!) określił zasięg języka polskiego. Wiadomo skąd inąd, że „poza Odrą", a więc po lewym brzegu Odry polskość była jeszcze w owych czasach wcale silna. Należy sobie przecież zdać sprawę, że pod naporem niemczyzny, posługującej się różnymi środkami nacisku i propagandy, m. i. również amboną i konfesjonałem, ponosiła z roku na rok straty. A nam żałować wypada każdego Polaka śląskiego, który, oderwany bez swej winy od państwa polskiego, wydany na łup rządów obcych, zatracił poczucie swej polskości. Straty to przeważnie nie do odrobienia.

Wspominaliśmy już o wygaśnięciu linii Piastów opolskich (1532) i cieszyńskich (1653). Tradycje piastowskie podtrzymywała tedy jedynie linia brzesko-legnicka, która w połowie XVII wieku miała jeszcze licznych przedstawicieli i nikt nie przewidywał katastrofy dynastii. Wprawdzie Jerzy Rudolf, książę Legnicy i Wołowa, zmarł bezpotomnie (1653); ale los obdarzył jego brata, Jana Chrystiana księcia Brzegu, licznym potomstwem. Trzech jego synów, Jerzy, Ludwik i Chrystian, dziedziczyło teraz nie tylko ojcowski Brzeg, ale i objęte w spadku po stryju — Legnicę i Wołów. Naraz zaczęły spadać ciosy na dom piastowski. Książę Ludwik zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku na turnieju w Meklemburgii (1662). W dwa lata po nim zeszedł do grobu Jerzy III. Obaj nie pozostawili potomstwa. Wszystkie więc ziemie piastowskie odziedziczył ksią-

żę na Wołowie, Chrystian. Godne uwagi, że ten przedostatni Piastowicz śląski lgnął ku Polsce i starał się, gorliwiej od swych poprzedników, nawiązać stosunki ze światem polskim. Gdy w r. 1660 urodził mu się syn, chciał mu dać imię Piast — dla uczczenia pamięci praojca rodu! Nie była za takim imieniem zapewne matka, księżna Ludwika z Anhaltu, a więc Niemka; stanowczo zaś sprzeciwili się duchowni niemieccy z otoczenia księcia, podnosząc, że nie godzi się nawracać do tradycji pogańskiej, w istocie zaś zwalczając tradycję polską! Ostatecznie dano młodemu Piastowiczowi na chrzcie imiona: Jerzy Wilhelm — w myśl tradycji domu Hohenzollernów, niestety już od lat głęboko zakorzenionej w domu Piastowiczów brzesko-legnickich. Niebawem książe Chrystian powziął myśl wysunięcia swej kandydatury do tronu polskiego (1668), ale nie znalazł w Polsce zwolenników, gdyż kandydatura zniemczałego księcia, w dodatku kalwina, nie pociągała szlachty. Nie zdążył nawet wychować swego syna i córki, księżniczki Karoliny, gdy nagle zmarł w r. 1672 — w sile wieku. Pozostał tedy przy życiu ostatni z Piastowiczów, Jerzy Wilhelm. Zrazu rządy w księstwach piastowała księżna wdowa, Ludwika z Anhaltu, a młody Jerzy Wilhelm kończył swą edukację. Gdy doszedł do lat 15, dwór cesarski zgodził się, by objął już samodzielnie rządy. Ale fatum ciążyło na szczątkach domu piastowskiego. Zdolny i ogólnie lubiany młodzieniec, któremu przepowiadano wielką przyszłość, nabawił się nagle (na polowaniu) choroby płuc i 21 listopada 1675 r. zeszedł ze świata. Nad trumną ostatniego Piastowicza, złożoną w grobowcach książęcych w Legnicy, ronili łzy poddani, opłakując wygaśnięcie dynastii, tak silnie związanej z dziejami Śląska.

Pozostała jeszcze siostra zmarłego, księżniczka Karolina, która jednak zerwała z rodziną, poślubiając pułkownika cesarskiego (księcia holsztyńskiego) i przechodząc na katolicyzm. Więcej jeszcze, niż matka i żyjący podówczas brat, oburzone były stany protestanckie księstw, które w całej sprawie widziały intrygę jezuitów i obawiały się, by rządy w księstwie nie przeszły w ręce katolickie. Przedwczesna śmierć Jerzego Wilhelma zmieniła kompletnie sytuację: teraz groziła protestantom rzecz znacznie gorsza, bo przejście pod bezpośrednie rządy habsburskie! Oczywiście Habsburgowie odrzucili z miejsca pretensje księżny Karoliny, powołując się z całym cynizmem — na niedawno wyrażone stanowisko stanów księstwa. Niezwłocznie też wyciągnęli sami ręce po dziedzictwo piastowskie. Wprawdzie roszczenia do Legnicy i Brzegu

wysunęli też Hohenzollernowie, powołując się na układ familijny (z r. 1537) z Piastowiczami; niektóre dane wskazują, że i na dworze króla polskiego Jana III Sobieskiego (1674—1696) myślano o wysunięciu pretensji do spadku piastowskiego. Ale pozycja Habsburgów była na tyle mocna, że mogli się nie obawiać poważnie w danej chwili innych konkurentów. Zwłaszcza Polska, zajęta wojną z Turcją, zmuszona była nawet do starań o wspólną akcję antyturecką z Habsburgami: mimo tedy podszeptów dyplomacji francuskiej, która nakłaniała króla polskiego właśnie do uderzenia na Śląsk, Jan III nie mógł się zdecydować na zbyt ryzykowną przy ówczesnych możliwościach polskich imprezę. Cesarz Leopold natomiast pospiesznie postarał się o stworzenie faktu dokonanego: w grudniu 1675 r. władze cesarskie opanowały księstwo, zmuszając stany do złożenia przysięgi wierności Habsburgowi, jako zwierzchnikowi bespośredniemu ziem piastowskich. Brzeg, Legnica i Wołów przeszły natychmiast w ręce habsburskie; jedynie powiat oławski pozostawiono w dożywocie matce ostatniego Piastowicza, księżnie Ludwice, a po jej śmierci (1680) i to terytorium przejęły władze habsburskie.

Leopold I obiecał w r. 1675 zachowanie w księstwach wolności wiary ewangelickiej, zgodnie z postanowieniami westfalskimi. Na razie tedy reakcja katolicka zwróciła się przeciwko kultowi kalwińskiemu, wprowadzonemu przez ostatnich książąt piastowskich. Kiedy skasowano kalwinizm, zabrano się i do luteranizmu. Od pomniejszych szykan przeszły władze cesarskie do odbierania ewangelikom kościołów i wypędzania predykantów. W rezultacie do początków XVIII wieku odebrano protestantom 110 kościołów, tzn. prawie wszystkie. Znowuż znaczna liczba protestantów uszła za granicę, do Polski lub do Saksonii. W r. 1680 skasowano i w Oławie kult protestancki. Katolicyzm habsburski święcił nowe triumfy. Niestety represje dotknęły w tym wypadku również i wielu Polaków ewangelików, gdyż w księstwach Legnicy, Brzegu i Wołowa, gdzie polskość była bardzo silna, znaczna ilość Polaków od dawna przeszła na protestantyzm. Nowe stąd wyniknęły straty dla polskości.

Rozdział XXV

JAN III SOBIESKI NA ŚLĄSKU

Wspominaliśmy już, że Polska za Jagiellonów objęła w posiadanie rozległe obszary wschodnie, których utrzymanie i obrona nakładały na państwo ogromne ciężary, rosnące w miarę czasu. W wieku XVII musiała staczać Polska ciężkie boje z napierającą falą imperializmu tureckiego, przedstawiającego podówczas niezwykle groźną potęgę. Interesy Polski i Turcji skrzyżowały się na ziemiach czarnomorskich i naddunajskich. Na tym tle powstały zatargi polityczne, które przerodziły się w wieku XVII w wojny polsko-tureckie. Jan III Sobieski, którego imię związane jest tak ściśle z bojami Polski z Półksiężycem (Turcją i Tatarami), chciał rozwiązać radykalnie zagadnienie tureckie — przez wyparcie Turków z Europy. Do tego jednak siły polskie były stanowczo nie wystarczające. Tedy Jan III wysuwał projekty zorganizowania ligi państw chrześcijańskich, która by podjęła zbiorowym wysiłkiem wielką akcję antyturecką. Długo jednak głos króla polskiego nie znajdował oddźwięku na dworach państw europejskich. Uchylali się także od wspólnej akcji Habsburgowie, choć również zagrożeni, gdyż od półtora wieku prowadzili boje z Turkami o Węgry. Radzi byli nawet Habsburgowie, iż główne siły Turcji zwracały się przeciwko Polsce, bo mieli wówczas chwile wytchnienia. O krótkowzroczności swej polityki przekonali się jednak w r. 1683, gdy cała potęga turecka zwaliła się na Węgry, gdy obóz narodowy węgierski pod przewodem Emeryka Tökölego powstał przeciw rządom habsburskim, gdy w końcu wielki wezyr turecki Kara Mustafa skierował swój pochód na stolicę habsburską — Wiedeń. Wówczas zwrócili się z błagalnymi wezwaniami o pomoc do Polski. Jan III pomocy im udzielił, w przekonaniu, że należy położyć kres ekspansji tureckiej, która już obejmowała całe Węgry i mogła i od granicy południowej (poprzez Karpaty) zagrażać Polsce. Tak zrodziła się decyzja Sobieskiego marszu pod Wiedeń, oblężony już przez wojska tureckie.

Echa walk z Turkami na Węgrzech dochodziły na Śląsk w ciągu XVI i XVII wieku, budząc nieraz nawet panikę: nigdy jednak Śląsk nie był tak zagrożony, jak w r. 1683. Całe Węgry były w ręku Turków i ich sojuszników, powstańców węgierskich. Czambuły tatarskie i oddziały Tökölego zapuszczały się już na Morawy. Na Śląsku zbrojono się pospiesznie, ale równocześnie zdawano sobie sprawę, że niema mowy o stawieniu skutecznego oporu o własnych siłach. W tej sytuacji wyglądano pomocy — z Polski.

Jan III zbierał pospiesznie siły zbrojne polskie pod Krakowem. 11 sierpnia wysłał król w przedniej straży korpus hetmana polnego Sieniawskiego w kierunku na Bielsko: zadaniem Sieniawskiego było osłanianie drogi przemarszu głównych sił polskich i zabezpieczenie zarazem Śląska przed atakami Tatarów i Węgrów. Przeszedłszy przez Bielsko i Cieszyn, hetman Sieniawski dnia 18 sierpnia stanął na Morawach, gdzie miał czekać na zbliżenie się całej armii polskiej. Główne siły polskie ruszyły 14 sierpnia z Krakowa, pod hetmanem wielkim koronnym Stanisławem Jabłonowskim, ku Tarnowskim Górom. Dnia 15 sierpnia wyjechał z Krakowa sam król wraz z dworem, w kierunku na Mysłowice i Bytom. 20 sierpnia wysłuchał Jan III mszy św. przed obrazem Matki Bożej w Piekarach.[1]) Następnie udał się do Tarnowskich Gór, gdzie dwa dni przebywał, czekając na zebranie się wszystkich sił polskich. Wojską regularnego zebrało się razem około 20.000, nie licząc orszaków senatorów i dygnitarzy, czeladzi i ciurów obozowych. 22 sierpnia Jan III odbył przegląd wojska, które stanęło w szyku bojowym pod komendą hetmana Jabłonowskiego. Ogólny podziw budziła marsowa postawa żołnierza, piękne konie, dobre uzbrojenie i ekwipunek całej armii. W Tarnowskich Górach powitali króla polskiego wysłannicy cesarscy i delegacja szlachty śląskiej z Oppersdorffem na czele. Po rewii wojskowej królowa „Marysieńka“ pożegnała się z mężem i wróciła do Krakowa.

Jan III ruszył teraz przez Gliwice i Rudę na Racibórz, gdzie go przyjmował na zamku Oppersdorff. 24 sierpnia opuścił król Racibórz i na czele 3.000 jazdy udał się w dalszą drogę, zostawiając w tyle główne siły i tabory. Podążając przez Piotrowice i Opawę przekroczył Jan III 25 sierpnia granice Śląska i wkroczył na Morawy (26 sierpnia był już w Ołomuńcu). Spieszno mu bowiem było do walnej rozprawy z Turkami! W kilku dniach przebył Morawy,

[1]) Była to kopia właściwego obrazu, który jezuici wywieźli zawczasu do Opola, w obawie przed najazdem tatarskim.

w Mikułowie połączył się z korpusem Sieniawskiego, a już 31 sierpnia spotkał się z księciem Karolem lotaryńskim, naczelnym wodzem wojsk cesarskich. 5 września dotarł z resztą armii nad Dunaj hetman Jabłonowski. Cały marsz armii polskiej odbył się, jak na ówczesne czasy i środki techniczne, w tempie rekordowym. Dnia 12 września 1683 r. pod Wiedniem rozegrała się walna bitwa wojsk polskich, cesarskich i niemieckich posiłkowych. Pod naczelną komendą króla polskiego wojska chrześcijańskie zadały zupełną klęskę armii tureckiej. Mało tego, że Wiedeń został oswobodzony: bitwa pod Wiedniem złamała potęgę turecką. Odtąd Turcja przestała być groźną dla państw Europy Środkowej i Wschodniej. Natomiast otwarta została inna karta dziejów: sprawa stopniowej likwidacji posiadłości tureckich w Europie.

W czasie przemarszu przez ziemię śląską ludność zgotowała królowi i armii polskiej niezwykle gorące powitanie. Współczesny Francuz d'Alerac zaznacza w swych pamiętnikach, iż „żaden monarcha nie spotkał się z tak jaskrawymi wyrazami hołdu ze strony ludności państwa obcego, jak król polski ze strony poddanych cesarza". Inny pamiętnikarz francuski, Dupont, podaje, że „tak mieszkańcy miast, jak i ludność wsi najbliżej położonych miejsc przemarszu armii, zbiegali się zewsząd, by ujrzeć tego, od którego jedynie oczekiwali zachowania swych wolności, swego życia i mienia". Zrozumiałe, że ludność śląska widziała w królu polskim jedynego obrońcę przed Turkami i Tatarami. Ale mimo wszystko obserwatorzy francuscy nie rozumieli istotnych przyczyn tak gorącego przyjęcia: bo dla nich ludność śląska to byli tylko poddani cesarscy! Nie orientowali się zupełnie, że na drodze przemarszu witała Jana III przede wszystkim ludność polska! W sercach Polaków śląskich wezbrało uczucie radości i dumy na widok króla — wojownika, opromienionego aureolą wielu zwycięstw nad Turkami, na widok wspaniałej armii polskiej! Dali wyraz swej odwiecznej tęsknocie za Polską, z którą ich fatalne koleje losu rozłączyły, a która naraz okazała się ich oczom w pełnym majestacie. Owi „poddani cesarscy" patrzyli na władcę Polski jako na króla swojego; na armię polską jako na swoich żołnierzy! Tego nie mogli pojąć przygodni Francuzi, nie znający zupełnie stosunków narodowościowych na Śląsku. Ale rozumieli to urzędnicy cesarscy, rozumiał cesarz Leopold I: i dlatego na dworze cesarskim z wielkim niepokojem śledzono owacje ludności dla Jana III, dlatego starano się, tuż po bitwie wiedeńskiej, rolę oręża polskiego pomniejszyć; zarazem czuwały władze cesar-

skie nad tym, by nie zostały zadzierżgnięte trwalsze związki między Polską a Śląskiem.

Wystarczy przytoczyć jeden fakt znamienny. W r. 1687 królowa „Marysieńka" Sobieska udała się w celach kuracyjnych do wód leczniczych w Cieplicach śląskich po Jelenią Górą, z licznym orszakiem (jak na królową przystało) pań i panów polskich, mając przy boku córkę (Teresę Kunegundę) i dwóch synów (Aleksandra i Konstantego). Na dworze cesarskim zapanowało poruszenie: królowa polska w ziemiach cesarskich! Cesarz miał nieczyste sumienie. Za odsiecz Wiednia odpłacił się królowi polskiemu i jego żołnierzom czarną niewdzięcznością, odmawiając należnego uznania i honorów, utrudniając dalsze kroki armii polskiej w owej kampanii wojennej, a nawet zaniedbując sprawę aprowizacji wojska! Habsburgowie chcieli wyciągnąć ze zwycięstwa nad Turkami wszystkie korzyści dla siebie, a odsunąć od nich Polskę. W toku dalszej wojny było to aż nadto widoczne! Nic dziwnego że na dworze polskim zrażono się do Austrii, natomiast próbowano znów zbliżenia się do jej głównej antagonistki — Francji. Tedy na wieść o wyjeździe „Marysieńki" na Śląsk powstały w Wiedniu poważne obawy. A nuż królowa polska jedzie na przeszpiegi, a nuż chce nawiązać bliższy kontakt ze stanami śląskimi, by w ten sposób przygotować odebranie Habsburgom Śląska? Wprawdzie trzeba było królową odpowiednio przyjąć, bo przecież to królowa państwa sojuszniczego! Ale dodano natychmiast orszakowi „Marysieńki" anioła stróża, w postaci rezydenta cesarskiego w Polsce Zierowskiego, który każdy jej krok śledził i o wszystkim na dwór cesarski donosił. Kłopotów miał Zierowski sporo. „Marysieńka" przybyła do Wrocławia *incognito*, ale wieść o jej pobycie natychmiast rozeszła się po mieście. Kiedy udała się na nabożeństwo do katedry, tłumy witały ją radośnie, jako królową Polski, żonę słynnego pogromcy Turków. Niepokoiło to bardzo pana rezydenta. W Cieplicach śląskich goście polscy płacili za wszystko polskim pieniądzem. Trudno, trzeba było dać polecenie przyjmowania monety polskiej, ale zarazem nakazano ludności możliwie rychło jej się pozbywać: lepiej nie przyzwyczajać ludności śląskiej do tej monety — rozumowali biurokraci cesarscy. Na domiar jakiś magnat śląski wpadł na pomysł zaproszenia królowej na matkę chrzestną swego dziecka. Zierowski stanowczo mu to odradził i pochwalił się zaraz swą gorliwością w raporcie do cesarza: wszak nie można dopuścić do jakichkolwiek ściślejszych związków społeczeństwa śląskiego z Polską! Dał wreszcie wyraz prawdziwy pojęciu gościnności niemieckiej, gdy pisał do Wiednia, że najlepiej

byłoby w ogóle skasować kąpieliska śląskie, by w przyszłości nie mieć kłopotów z wizytami Polaków! Z ulgą wreszcie odetchnął Zierowski na wiadomość, że „Marysieńka" musi przyspieszyć swój powrót do Polski, bo przyszły relacje o poważnej chorobie Jana III. Tak wyglądała gościnność habsburska! Nad wszystkim górowała obawa przed odpadnięciem Śląska na rzecz Polski! Obawy były, dodajmy niestety, płonne. Polska tak już uwikłała się w wojnę z Turcją, tak wiele włożyła w to krwawego wysiłku i ofiar, że musiała już wojnę prowadzić do końca. Skazana była na sojusz dalszy z Habsburgami. W tych warunkach Jan III nie mógł zająć się sprawą odzyskania Śląska, choć o niej nieraz myślał.

Wdzięczna pamięć pozostała wśród ludności Śląska po królu — zwycięzcy i jego wojownikach. W czasie pobytu w Gliwicach Jan III zasadził własnoręcznie dwie lipy u wejścia do kościoła franciszkanów. Za przykładem króla i na jego cześć ludność śląska zabrała się niebawem do sadzenia lip — na całej drodze przemarszu armii polskiej. Niektóre z owych lip do dziś dnia przypominają wielkie chwile, jakie Śląsk przeżywał w r. 1683. Owe lipy gliwickie, otaczane czcią przez miejscową ludność polską, zachowały się niemal do ostatnich czasów: zmarniały dopiero w mroźnej zimie 1929 r. Nie doczekały się już radosnej chwili wkroczenia do Gliwic zastępu żołnierza Polski Odrodzonej!

W toku dalszej wojny z Turcją Habsburgowie również Polski potrzebowali. Chcąc tedy Jana III udobruchać, zaproponowali małżeństwo najstarszego jego syna, królewicza Jakuba, z siostrą cesarzowej, księżniczką neuburską Jadwigą Elżbietą. W państwie elekcyjnym, jak Polska, trudno było przewidzieć, czy królewicz Jakub zasiądzie po śmierci ojca na tronie. Starano się więc młodej parze na każdy wypadek przyszłość odpowiednio zabezpieczyć. W wyniku porozumienia dworów cesarskiego i polskiego uradzono, że należy sumy posagowe ulokować w dobrach ziemskich, które by dawały dostateczne dochody na książęce utrzymanie. Jan III najchętniej widziałby lokatę owych sum na ziemi śląskiej, w pobliżu granicy polskiej, np. w Opolskiem czy Raciborskiem. Temu jednak sprzeciwiły się władze cesarskie, znowuż z obawy, by nie wzmacniać zbytnio wpływów polskich na ziemiach górnośląskich, gdzie pamiętano jeszcze niedawne rządy polskich Wazów. W końcu zapadła decyzja przeznaczenia pod lokatę kapitału powiatu oławskiego, jako dalej leżącego od granic państwa polskiego. W r. 1691 sprawę uzgodniono i małżeństwo zostało za-

warte. Cesarz oddał Jakubowi Sobieskiemu i jego żonie w czasowe posiadanie terytorium, obejmujące miasto Oławę, zamek książęcy, oraz przyległe dobra kameralne, — oczywiście z prawem wykupu przez cesarza w każdej chwili, oraz przeniesienia hipoteki na inną lokatę; Jakub Sobieski mógł przebywać swobodnie w mieście Oławie i zamku, wraz z rodziną i dworem, ale bez prawa utrzymywania załogi wojskowej: zresztą mógł korzystać z tych praw, jakie uprzednio na terytorium Oławy przysługiwały książętom Brzegu.

Jakub Sobieski był więc posiadaczem hipotecznym Oławy od r. 1691 do r. 1737 (do śmierci). Nie tutaj miejsce na omawianie jego dalszych burzliwych losów. Zaznaczymy tylko, że po śmierci Jana III tronu polskiego nie uzyskał: na tronie Piastów i Jagiellonów zasiadł, poparty m. i. przez Brandenburgię i Austrię, elektor saski jako August II (1697—1733). Pierwszy to wypadek w dziejach polski, że królem został Niemiec. Następstwa tego były już bardzo rychło widoczne. Polska, państwo jeszcze silne pod koniec XVII wieku, znalazło się niebawem pogrążone w zupełnym upadku. Panowanie drugiego Sasa, Augusta III (1733—1763) stanowiło dalsze pasmo nieszczęść, chaosu wewnętrznego i kompletnej bezsilności państwa na zewnątrz. Rządy niemieckich władców przygotowały rozbiory państwa polskiego. — Odepchnięty od tronu polskiego Jakub Sobieski od r. 1698 przebywał przeważnie w Oławie (najpoważniejszą przerwę w pobycie oławskim spowodowało porwanie królewicza przez Augusta II w r. 1704 i prawie trzyletnia niewola saska). Samodzielnej roli na ziemi śląskiej nie odegrał, gdyż śledzony był i krępowany na każdym kroku przez władze cesarskie. Mierne zresztą zdolności nie pozwalały mu na rozwinięcie szerszej działalności. Kontakty z Polską utrzymywał zawsze żywe. Na zamku oławskim rojno było nieraz od gości, zwłaszcza polskich: po komnatach rozbrzmiewała głośno mowa polska, której mury zamku w czasach ostatnich Piastowiczów niewiele zapewne słyszały. W r. 1734 Jakub opuścił Oławę i wyniósł się do Polski, zgryziony szykanami, jakich mu nie szczędziły władze cesarskie. Na wieść o jego śmierci (w Żółkwi, w r. 1737) władze habsburskie niezwłocznie opanowały zamek, nie dopuszczając do spadku córki królewicza, Marii Karoliny, która wyszła za mąż za księcia francuskiego (de Bouillon). Dalsze prawowanie się krewnych Sobieskiego o spadek zostało faktycznie przekreślone przez bieg wypadków: w r. 1741 Oławę zajęły wojska pruskie.

Wypada zaznaczyć, że wspomnienie po królewiczu pozostało na terytorium Oławy bardzo dobre. Niemiecki kronikarz Oławy, Mohaupt, napisał, że „pod jego rządami Oława doszła do kwitnącego dobrobytu"; z wyjazdem królewicza do Polski „skończyły się szczęśliwe czasy Oławy". Jeśli tak pisał Niemiec, i to po półwiekowych z górą rządach pruskich (w r. 1804), to na pewno znacznie dłużej zachowała wdzięczne wspomnienie o polskim królewiczu miejscowa ludność polska. Dla niej pobyt na zamku Jakuba Sobieskiego był wznowieniem przerwanych związków ze światem polskim. W następstwie tedy przyczynił się do wzmocnienia polskości na tym terenie. Dodajmy, że lud szeregu wsi powiatu oławskiego zachował swą mowę ojczystą aż do wieku XX: wśród starszego pokolenia będzie tam można jeszcze iskry polskości spod popielíska nalotu germańskiego wykrzesać!

Rozdział XXVI

OSTATNIE LATA RZĄDÓW HABSBURSKICH

Stopniowo starali się Habsburgowie związać Śląsk ściśle z innymi swymi krajami, które przekształcali na jednolicie rządzoną monarchię austriacką. Na pozór zachowano na Śląsku dawny podział na księstwa, który jednak miał właściwie tylko znaczenie administracyjne. Podział administracyjno-polityczny Śląska przedstawiał się dość różnolicie. Siedem dawnych terytoriów książęcych należało wprost do korony czeskiej, czyli podlegało bezpośrednio Habsburgom: a to księstwo świdnicko-jaworskie, głogowskie, opolsko-raciborskie, wrocławskie, legnickie, brzeskie i wołowskie. Ponadto istniało jeszcze siedem księstw, rządzonych formalnie przez książąt, uznających zwierzchnictwo króla czeskiego (tj. cesarza): księstwo cieszyńskie, od połowy XVII wieku pod zarządem habsburskim, następnie nadane w XVIII wieku księciu Franciszkowi Stefanowi lotaryńskiemu, Nysa-Grodków, rządzone przez biskupów wrocławskich, oleśnickie, nadane młodszej linii książąt wirtemberskich, opawskie i karniowskie, znajdujące się w ręku Lichtensteinów, żagańskie w ręku Lobkowitzów, oraz ziębickie w posiadaniu Auerspergów.

Zbliżone swym charakterem do owych księstw były „państwa stanowe", w liczbie pięciu (Syców, Milicz, Pszczyna, Żmigród, Bytom). Spośród miast 11 miało stanowisko uprzywilejowane, jako tzw. miasta królewskie (Wrocław, Świdnica, Jawor, Dzierżoniów, Głogów, Szprotawa, Opawa, Środa, Legnica, Brzeg, Oława); korzystały one z prawa wysyłania swych deputatów na sejmy krajowe. W istocie podział ten pozbawiony był głębszej treści. Władza książąt stała się niemal fikcją, gdyż faktyczny zarząd księstw (i państw stanowych) spoczywał w ręku kolegiów, w skład których wchodziła połowa urzędników, mianowanych przez księcia, a połowa przez władze cesarskie. Godność namiestnika (starosty

krajowego) stała się czczym tytułem, odkąd zwłaszcza cesarz (od r. 1664) nadawał ją biskupom wrocławskim, uległym zupełnie woli cesarskiej. Ostatnim takim namiestnikiem był biskup Franciszek Ludwik (książę neuburski): gdy w r. 1719 został arcybiskupem trewirskim, złożył godność namiestniczą, a wówczas cesarz przekazał ją szefowi władz cesarskich na Śląsku, dyrektorowi nadurzędu (Oberamtu) Janowi Antoniemu Schaffgotschowi. Od tej chwili już do końca rządów habsburskich na Śląsku godność namiestnika piastowana była przez urzędników cesarskich. W istocie tedy wszystkie sprawy zarządu kraju skupiły się w ręku władz habsburskich. Sejmy śląskie straciły znaczenie. Książęta nie przybywali na nie osobiście, lecz przysyłali swych delegatów. Takie zgromadzenie delegatów zajmowało się głównie rozdziałem przypadających na Śląsk sum podatkowych, których wysokość określał sam cesarz: stało się powolnym organem systemu habsburskiego. Wszystko wchłaniał stopniowo centralizm habsburski. Śląsk musiał płacić wielkie podatki na ogólne potrzeby monarchii, przy czym ludność na każdym kroku przekonywała się, że władze zupełnie nie starają się zaspokoić z owych sum choćby w części potrzeb samego Śląska. Na domiar biurokracja habsburska, szeroko rozbudowana, pochłaniała znaczne kwoty. Wielka zresztą różnolitość podatków, nakładanych pod coraz nowymi postaciami, wprowadzała chaos i zamieszanie w życie gospodarcze kraju.

W dziedzinie wyznaniowej nastąpiło w początkach XVIII wieku niespodzianie pewne odprężenie. W r. 1706 wkroczył przez Śląsk do Saksonii król szwedzki Karol XII — w pościgu za Augustem II, którego chciał strącić z tronu polskiego. Naraz obudziła się wśród protestantów śląskich nadzieja na poprawę losu. Karol XII był gorliwym luteranem i wyraźnie objawił chęć zajęcia się sprawą swych współwyznawców. Dysponował potężną armią, z którą się wszystkie potęgi europejskie musiały liczyć. Cesarz Józef I (1705—1711) prowadził właśnie wojnę z Francją (tzw. wojna sukcesyjna hiszpańska). Na dworach europejskich śledzono z ogromnym napięciem politykę Karola XII: nasuwało się pytanie, czy ten król-wojownik wmiesza się w konflikt habsbursko-francuski, czy ewentualnie nie stanie po stronie Francji i nie uderzy na Austrię? W tych warunkach dwór cesarski starał się usilnie o poprawne stosunki z Karolem XII i musiał liczyć się z jego zdaniem. Król szwedzki nie myślał w istocie o wojnie z cesarzem, bo, pokonawszy Augusta II, planował wielką wyprawę na Rosję; niemniej chciał się przyczynić do poprawy losu ewangelików śląskich i straszył cesarza wojną, osadza-

jąc m. i. załogę szwedzką w Głogowie, ważnym strategicznie punkcie nad Odrą. Przerażony Józef I podjął z nim rokowania, których wynikiem była konwencja, zawarta w Altranstädt (we wrześniu 1707 r.). Cesarz zgodził się zwrócić ewangelikom kościoły i zapewnić swobodę kultu w księstwach Legnicy, Brzegu, Wołowa, Oleśnicy i Ziębic, a więc tam, gdzie zastrzegał to ewangelikom traktat westfalski z r. 1648. Dotyczyło to oczywiście i miasta Wrocławia, gdzie zresztą luteranizm ostał się przed reakcją katolicką. Ponadto ewangelicy mogli zażywać swobody sumienia na całym Śląsku: nikt więc nie powinien być szykanowany z powodu wyznania, ani też zmuszony do zmiany wiary; gdzie brak kościołów i szkół ewangelickich, może protestant urządzać w prywatnym domu nabożeństwo wedle swego kultu i kształcić dzieci prywatnie w tymże duchu. — Przy wykonywaniu warunków konwencji (pod kontrolą szwedzką!) władze habsburskie zwróciły protestantom 121 kościołów (w wymienionych księstwach). Jako zaś dowód swej szczególnej „łaski", pozwolił cesarz ewangelikom zbudować dodatkowo kościoły w Kożuchowie, Żaganiu, Miliczu, Cieszynie, Jeleniej Górze i Kamiennej Górze (nazwano je „kościołami z łaski" — *Gnadenkirchen*). Za wszystko musieli zresztą ewangelicy śląscy dobrze zapłacić: cesarzowi za „łaskę", królowi szwedzkiemu za wstawiennictwo, pełnomocnikom szwedzkim i cesarskim za kontrolę i życzliwe wykonanie konwencji.

Niebawem ryzykowna wyprawa na Rosję zgotowała Karolowi XII katastrofę. Upadł mit potęgi szwedzkiej, a w następstwie zmieniło się postępowanie władz habsburskich wobec ewangelików. Formalnie wprawdzie nie wypowiedziano konwencji z r. 1707, ale w praktyce sabotowano jej wykonanie. Ewangelicy narażeni byli we wszystkich swych poczynaniach na utrudnienia i szykany ze strony władz. Jeśli istotnie pewną część przyznanych ustępstw udało się im wprowadzić w życie, to zawsze po wielu zachodach i po sowitym opłaceniu się różnym dygnitarzom cesarskim. Większość postanowień konwencji pozostała martwą literą. W ogólności los ich doznał tylko nieznacznego stosunkowo polepszenia. Trzeba dodać zresztą, że postanowienia konwencji dotyczyły wyłącznie ewangelików. Kalwini byli nadal poza nawiasem, podobnie jak inne sekty: tych przede wszystkim dotykało prześladowanie władz habsburskich.

W systemie monarchii habsburskiej Śląsk był prowincją wyzyskiwaną i zaniedbaną. Panoszyła się wszędzie biurokracja habs-

burska, coraz bardziej wszechwładna i butna, lekceważąc interesy i potrzeby ludności. W tych warunkach Śląsk był krajem bez przyszłości. Dobrze zapowiadające się niegdyś górnictwo upadło niemal zupełnie, handel nie miał możliwości rozwoju. Wprawdzie Karol VI (1711—1740) starał się przez układ handlowy z państwami sąsiednimi otworzyć dla handlu śląskiego nowe drogi rozwojowe. Nie dawało to jednak pożądanego wyniku, skoro istotne przyczyny zastoju handlu śląskiego nadal pozostawały bez zmiany. Przede wszystkim na handlu śląskim odbiły się nader dotkliwie ówczesne wypadki w Polsce. W okresie tzw. Wojny Północnej (1700—1721) Polska została silnie zniszczona, a ludność jej zubożała. Obroty handlowe polsko-śląskie zmalały, a wszak stanowiły one najpoważniejszą pozycję w handlu śląskim. Poprzez Polskę prowadził również dotąd szlak handlowy z Wrocławia do Europy Wschodniej. Tymczasem w początku XVIII wieku car Piotr Wielki zdobył dla Rosji porty bałtyckie. W rezultacie handel rosyjski skierował się ku Bałtykowi i na drodze morskiej zapewnił sobie kontakty z Zachodem, rezygnując w znacznej mierze z drogi lądowej poprzez Polskę i Śląsk. Wynikły stąd bardzo poważne straty dla handlu śląskiego. Wprawdzie Wrocławianie starali się straty odrobić przez skierowanie swego handlu na nowe drogi, ku Bałtykowi, poprzez porty w Szczecinie i Hamburgu. Natrafili jednak na poważne przeszkody ze strony państwa brandenbursko-pruskiego Hohenzollernów, które pochłonęło szeroki pas pobrzeża bałtyckiego,, m. i. port szczeciński (zabrany ostatniej posiadaczce — Szwecji w r. 1719). Opanowawszy ujście Odry, planowali królowie pruscy zdobycie całego jej biegu — tj. zagarnięcie Śląska. Z tą już myślą na przyszłość, starali się na razie wykazać ludności Śląska, że jedynym dla niej wyjściem z impasu gospodarczego byłoby przejście pod panowanie pruskie. Wykazywali to swoistą metodą pruską, utrudniając kupcom wrocławskim nawiązanie handlu z Bałtykiem drogą najkrótszą — przez Odrę. Szykany handlowe pruskie przyczyniały się niewątpliwie do dalszego skrępowania handlu śląskiego.

Byłoby jednak błędne przypuszczenie, jakoby jakaś poważniejsza część ludności śląskiej wyciągnęła z praktyki władz pruskich ten wniosek, że należy życzyć sobie przejścia pod rządy pruskie. Ślązacy przywykli w ostatniej fazie rządów habsburskich do pokoju, a przy tym oswoili się z systemem habsburskim, który, choć nader uciążliwy, mimo wszystko przecież mniej krępował

swobodę ludności, niż skrajnie centralistyczny system pruski, jaki wykształcili Hohenzollernowie. Pod Habsburgami panował ucisk, ale i chaos podatkowy: w tym systemie łatwiej było znaleźć pewne luki, ułatwiające życie codzienne, niż w rygorystycznym systemie fiskalnym pruskim. Na domiar państwo pruskie przepojone było duchem militaryzmu, obcym na ogół ludności Śląska, który od czasów wojny 30-letniej przez wiek niemal cały cieszył się pokojem. Nic dziwnego, wszak na tym terenie Habsburgom chodziło w zasadzie o zachowanie istniejącego stanu rzeczy, co nie zbyt trudno było im zapewnić wobec pokojowego nastawienia najbliższej sąsiadki — Polski. Natomiast system pruski, nastawiony na zbrojenia i przygotowanie wojen zaborczych, zapowiadał rozpętanie burzy wojennej w Europie. Ślązacy nie kwapili się do przywdziania mundurów pruskich i do wojaczki. Jedynie młodzież szlachecka niemiecka, protestancka, dawała się nieraz porwać propagandzie militarystycznej Prus i nierzadko uchodziła ze Śląska, by wstępować w szeregi armii pruskiej, gdzie dochodziła do wysokich stanowisk oficerskich. Ale kupiec niemiecki, czy rzemieślnik, również i protestant, oceniał trzeźwo korzyści i straty ewentualnego przejścia pod rządy pruskie: w rezultacie wolał istniejący stan rzeczy, choćby zły, ale zawsze lepszy od „raju" pruskiego.

Oczywiście, zapewne jeszcze mniej sobie życzyli rządów protestanckich Prus — katolicy śląscy, bez różnicy narodowości. Najmniej zaś na pewno — Polacy. Ci byli traktowani przez władze habsburskie zdecydowanie gorzej, niż Niemcy: lekceważono ich i poniżano, wydawano na łup wyzysku urzędników, władz miejskich i niemieckich lub zniemczałych ziemian. Polacy śląscy nie czuli nad sobą opieki władz. Podróżnicy, zwiedzający Górny Śląsk w drugiej połowie XVIII wieku, stwierdzali nader niski poziom życia gospodarczego i cywilizacji na tym terenie. Stan taki był wynikiem przede wszystkim wiekowego zaniedbania władz habsburskich. Nie mogli tedy Habsburgowie oczekiwać od Polaków śląskich uczuć wiernopoddańczych. Ale nie stanowiły też dla Polaków atrakcji rządy pruskie, chociaż na pewno nie uświadamiano sobie całej ich grozy.

W ogólności stwierdzić trzeba, że na Śląsku w ostatniej fazie rządów habsburskich, a w przeddzień najazdu pruskiego, agitacja pruska nie znajdowała szerszego oddźwięku (poza pewnymi kołami szlachecko-protestanckimi). Zarazem jednak nie było mowy o istotnym przywiązaniu mas ludności do Habsburgów. Znaczna więk-

szość ludności pogrążona była w apatii. Ludność śląska nie życzyła sobie Hohenzollernów, ale też nie kwapiła się do przelewania krwi za sprawę Habsburgów. Owa bierność ludności, wynik dwuwiekowych przeszło fatalnych rządów habsburskich, ułatwiła też w znacznej mierze Fryderykowi II szybkie opanowanie ziemi śląskiej.

Rozdział XXVII

PRUSY ZAGRABIAJĄ ŚLĄSK

Wielkim błędem dziejowym Polski było zaniedbanie przez kilka wieków niebezpieczeństwa niemieckiego. W następstwie bitwy pod Grunwaldem złamana została siła ekspansywna zakonu krzyżackiego, placówki wojującej niemczyzny: ale pozostawiono w rękach niemieckich znaczną część tzw. Prus Wschodnich, a na domiar nie postarano się ze strony polskiej o odzyskanie ziem nadodrzańskich, co jedynie mogło istotnie zabezpieczyć Polskę przed ponownym skokiem zaborczym niemczyzny. Co prawda Polska od XVI do XVII wieku cieszyła się na ogół pokojem od strony Rzeszy, i to wystarczało, aby do reszty uśpić czujność społeczeństwa polskiego, wpoić mu przeświadczenie zupełnie błędne, że granica zachodnia państwa polskiego jest najbezpieczniejszą. Taka ocena sytuacji była dowodem ogromnej krótkowzroczności politycznej. Granica bowiem zachodnia Polski, tak fatalnie wykreślona, jak to miało miejsce od XIV do XVIII w., była tylko dzięki temu na razie bezpieczna, że Niemcy pogrążone zostały na długie lata w walki polityczno-religijne i brakowało w Rzeszy ośrodka, zdolnego do skupienia poważniejszej siły, a w następstwie do podjęcia na nowo porzuconej na jakiś czas (z konieczności!) ekspansji na wschód, na ziemie polskie. Nie potrafili zjednoczyć sił całych Niemiec pod swym kierownictwem Habsburgowie, ponieważ przez forsowanie katolicyzmu narazili się na konflikt wieloletni z obozem protestantów niemieckich, któremu w pomoc przyszły państwa inne, tak protestanckie (Dania, Szwecja), jak i katolickie (Francja), nie chcąc dopuścić do zbytniego wzrostu potęgi monarchii habsburskiej: dodajmy, że nadto Habsburgowie, władając bardzo różnolitymi terytoriami, tworzącymi zlepek ziem, połączonych dość przypadkowo jednością dynastii, musieli rozwiązywać cały splot innych, skomplikowanych zagadnień (np. konflikt wiekowy z Turcją), które absorbowały ich

siły i nie pozwalały na skupienie ich w celu istotnego zjednoczenia Rzeszy. Co nie powiodło się Habsburgom, powiedzie się z czasem — Hohenzollernom.

Od r. 1415 usadowiwszy się w Brandenburgii, dynastia Hohenzollernów powoli ale nieustannie rozszerzała swój stan posiadania terytorialny, wykazując żarłoczność, nawet jak na Niemców, niezwykłą. Monarchia Hohenzollernów wchłaniała różne obszary niemieckie, ale przede wszystkim kierowała swą ekspansję na ziemie słowiańskie. W ciągu XVII wieku umocnili oni swą pozycję w Prusiech Wschodnich, gdzie (jako książęta pruscy) uniezależnili się od zwierzchnictwa polskiego, — oraz opanowali Pomorze Zachodnie, wykazując już całkiem wyraźnie tendencje do połączenia terytorialnego obu tych ziem przez zajęcie Pomorza gdańskiego i odepchnięcie Polski od morza, co im się zresztą na razie nie udało. W tymże wieku XVII dążyli usilnie do zajęcia ujścia Odry, zajętego podówczas przez Szwedów: plan ten zrealizowali dopiero w latach 1719—1720. Od tej chwili państwo brandenbursko-pruskie, rządzone przez Hohenzollernów — królów pruskich (tytuł królewski przyjęli w r. 1701, koronując się w Królewcu), starało się zrealizować dwa przede wszystkim cele najbliższe: 1. opanowanie całego biegu Odry przez zajęcie Śląska, 2. pozbawienie Polski dostępu do morza. Cele te zrealizowało kolejno w XVIII wieku, i to z nawiązką, gdyż w rozbiorach Polski pochłonęło na domiar dalsze wielkie połacie ziem rdzennie polskich, przyczyniając się głównie do likwidacji dawnego państwa polskiego. W ten sposób urosła potęga państwa pruskiego pod dynastią Hohenzollernów. Polska nie przeciwstawiała się jego rozrostowi wówczas, gdy jeszcze była pora po temu, lekceważąc grożące z tej strony niebezpieczeństwo — co przypłaciła straszną ceną, bo utratą swego bytu państwowego. Małym chyba pocieszeniem będzie stwierdzenie, że i inne państwa Europy nie zdawały sobie sprawy z następstw powstania potęgi pruskiej. Dopiero częściowo zaczęto się na dworach europejskich orientować w grożącym niebezpieczeństwie w XVIII wieku, widząc zaborcze postępy Prus za Fryderyka II, ale lepiej zrozumiano je dopiero w wieku XIX, gdy właśnie Prusy dokonały zjednoczenia Niemiec — pod dynastią Hohenzollernów. Wówczas jednak już same podstawy pokoju w Europie zostały wstrząśnięte.

Hohenzollernowie od dawna czekali na dogodną sposobność do wysunięcia swych roszczeń do ziem śląskich. Sposobność taka nadeszła w związku z kryzysem w dynastii habsburskiej. Karol VI

nie miał męskiego potomka, wobec czego od dawna czynił starania, by zapewnić sukcesję w krajach habsburskich swej córce Marii Teresie (z pominięciem córek swego starszego brata, zmarłego w r. 1711 Józefa I, z których jedna wyszła za elektora bawarskiego Karola Albrechta, a druga za elektora saskiego Fryderyka Augusta, panującego od r. 1733 w Polsce jako August III). W tym celu wydał Karol w r. 1713 ustawę, regulującą następstwo tronu w krajach habsburskich, tzw. Sankcję pragmatyczną; a następnie starał się usilnie, by znalazła ona ogólne uznanie. W istocie wszystkie kraje habsburskie uznały prawo Marii Teresy do sukcesji: stany śląskie dokonały tego bez żadnego sprzeciwu w r. 1721. Nie poprzestając na tym, Karol VI zabiegał o uznanie praw Marii Teresy również i na dworach europejskich: w wyniku starań wieloletnich, połączonych z różnymi ustępstwami politycznymi a nawet terytorialnymi ze strony Karola VI, wszystkie zainteresowane dwory europejskie, nie wyłączając Prus, zgodziły się uznać Sankcję pragmatyczną, a uczynili to również najbardziej zainteresowani — elektorzy bawarski i saski, którzy sami mogli rościć sobie pretensje do spadku po Karolu VI. Równocześnie cesarz Karol poczynił odpowiednie starania o zapewnienie wyboru na tron cesarski księcia lotaryńsko-toskańskiego Franciszka Stefana, męża Marii Teresy: również i w tym wypadku zdołał sobie zapewnić zgodę powołanych czynników, tj. elektorów Rzeszy (też i króla Prus, jako elektora brandenburskiego). Wszystkie więc pozory przemawiały za tym, że po śmierci Karola VI Maria Teresa winna spokojnie objąć w posiadanie kraje habsburskie, a jej małżonek tron cesarski. W istocie sprawa przedstawiała się zgoła inaczej.

Traktaty, umowy i najuroczystsze obietnice potrafiła ówczesna dyplomacja przekreślać z całym cynizmem, skoro tylko nastręczała się okazja do zysków politycznych, a zwłaszcza terytorialnych. Najwięcej cynizmu i perfidii wykazała właśnie polityka Prus. W rezultacie ledwie Karol VI zamknął powieki (20 października 1740 r.), a już na wszystkich dworach europejskich nastało gorączkowe poruszenie: wszyscy ci, którzy niedawno uroczyście uznawali prawa Marii Teresy, gotowali się teraz do wysunięcia na nowo swych roszczeń. Tymczasem kraje habsburskie poddały się ulegle władztwu Marii Teresy: również i wydział stanów śląskich (*conventus publicus*) przesłał jej pismo gratulacyjne z racji objęcia rządów, nazywając Marię Teresę „najwyższą księżną Śląska".

Skonsternowani takim stanem rzeczy pretendenci, elektorzy bawarski i saski, nie ośmielali się jeszcze otwarcie występować

przeciwko Marii Teresie i oglądali się przede wszystkim na poparcie Francji, która jednak również nie kwapiła się do rozpoczynania wojny z Marią Teresą, widząc, że za nią stoją wszystkie kraje habsburskie. W tych warunkach hasło do wojny rzucił dość nieoczekiwanie młody król pruski, Fryderyk II (1740—1786). Przypomniał on dawne roszczenia Hohenzollernów do Karniowa (skąd ich wyrugowali Habsburgowie w r. 1622) oraz do księstw Legnicy, Brzegu i Wołowa (opierając się na pakcie familijnym z Piastowiczami śląskimi z r. 1537). Gotując się pospiesznie do wojny, równocześnie postawił Fryderyk II Marii Teresie niezwykłą w swym cynizmie propozycję: obiecał bronić jej i jej męża praw w obliczu tworzącej się koalicji bawarsko-sasko-francuskiej (której wystąpienie zbrojne wcale jeszcze nie było zdecydowane!) z całą swą armią i dodać sumę pieniędzy na koszta tej ewentualnej przyszłej wojny, — o ile Maria Teresa wyda mu natychmiast Śląsk Dolny! Oczywiście dwór wiedeński odrzucił z oburzeniem takie propozycje. Mimo to układy toczyli dalej posłowie pruscy w Wiedniu, a tymczasem, nie czekając na ich ostateczny wynik, Fryderyk II zgromadził 20.000 wojska na pograniczu śląskim (w okolicy Krosna) i w dniu 16 grudnia 1740 r. rozkazał pierwszym oddziałom pruskim wkroczyć na Śląsk.

Postępując z prawdziwie krzyżacką perfidią, ogłosił Fryderyk II ludności Śląska, że wkracza nie jako wróg, lecz jako przyjaciel Austrii i pragnie tylko zabezpieczyć Śląsk przed wszystkimi jej wrogami! W ten sposób niewątpliwie zdołał obałamucić część opinii śląskiej, która w swej znacznej większości, jak wspomnieliśmy, bynajmniej sobie rządów pruskich nie życzyła. Godne uwagi, że wśród samych władz austriackich na Śląsku, które zresztą już na pierwszą wieść o przygotowaniach wojennych Fryderyka straciły zupełnie głowę, powstał nawet projekt oddania się pod opiekę Polski, jeśliby Maria Teresa nie potrafiła zapewnić ochrony prowincji przed najazdem pruskim! Znamienne dla ówczesnych nastrojów są również liczne fakty ucieczki księży z ziem śląskich po prawym brzegu Odry — do Polski (jeszcze przed wkroczeniem wojsk pruskich). Niestety Polska, doprowadzona na skraj przepaści przez rządy Sasów, nie mogłaby nawet roztoczyć skutecznie swej opieki nad Śląskiem.

Tymczasem wypadki wojenne rozgrywały się z wielką szybkością. Armia pruska, przekroczywszy granicę opodal Zielonej Góry, ruszyła na Głogów, gdzie gen. austriacki Wallis zdołał skupić kilka tysięcy żołnierza — niemal jedyną poważniejszą siłę zbrojną, jaką dysponowali Austriacy na Śląsku. Ponieważ twierdza głogow-

ska się broniła, Fryderyk pozostawił jeden korpus wojska pod miastem, inny zaś pod gen. Schwerinem wysłał przez Legnicę ku granicy czeskiej; sam wreszcie podążył pod Wrocław. Nie chcąc oszczędzać sobie trudu zdobywania stolicy Śląska, przywdział Fryderyk lisią skórę i zaproponował miastu „układ neutralności", wedle którego na okres działań wojennych Wrocław miał być wolny od załogi wojskowej tak austriackiej, jak i pruskiej. Układ taki zawarto istotnie 1 stycznia 1741 r. W praktyce oznaczało to wydanie w niedalekiej przyszłości miasta na łup Prusaków. Przybierając obłudnie maskę życzliwości wobec mieszczan, Fryderyk dnia 3 stycznia wjechał do miasta i wydał ucztę dla przedstawicieli mieszczaństwa, oraz duchowieństwa tak ewangelickiego, jak i katolickiego. Równocześnie zaś nakazał władzom cesarskim (z dyrektorem „Nadurzędu" Schaffgotschem na czele) wynieść się w ciągu 24 godzin z Wrocławia. Na przedmieściach pozostawił batalion pruski, który w każdej chwili mógł wtargnąć do miasta.

Tak upewniwszy się co do Wrocławia, ruszył Fryderyk na południe i zajął bez wystrzału Oławę. Inne oddziały pruskie opanowały łatwo cały niemal Śląsk Dolny, oraz część Śląska Górnego, wypierając szczupłe siły austriackie na Morawy: jedynie w Brzegu i Nysie broniły się jeszcze załogi austriackie. W ciągu stycznia 1741 r. obsadziły wojska pruskie przeważną część Śląska. Tak łatwe sukcesy ośmieliły Fryderyka II do zrzucenia maski: w styczniu odwołał swych posłów z Wiednia i wypowiedział wojnę Austrii, oraz wydał drukiem memoriał, w którym uzasadniał „prawami historycznymi" grabież Śląska, nazywając ją zresztą, ze zwykłą perfidią pruską, „wzięciem w posiadanie" (*Besitzergreifung*) tej prowincji.

Działania wojenne ożywiły się niebawem, gdy większe siły austriackie ruszyły z Moraw na odzyskanie Śląska (pod gen. Neippergiem). Tymczasem Prusacy wzięli nagłym atakiem Głogów (w marcu), po czym Fryderyk II główne swe siły ściągnął na południe, gdzie chciał wydać walną bitwę nadciągającym Austriakom. 10 kwietnia rozegrała się bitwa pod Malewicami (w powiecie brzeskim). Losy bitwy ważyły się długo i zanosiło się już na klęskę pruską. Sam Fryderyk II uciekł z pola bitwy do Opola i dopiero nazajutrz dowiedział się, że jego generał Schwerin dzięki większej bitności piechoty pruskiej wygrał bitwę. Teraz pokonany gen. austriacki Neipperg wycofał się pod warownią Nysę, a Kłodzko i Brzeg poddały się Prusakom. Chcąc jeszcze mocniej usadowić

się na Śląsku, kazał Fryderyk swym wojskom opanować Wrocław, co przy użyciu podstępu powiodło się z łatwością w maju t. r.: miasto złożyło przysięgę wierności królowi Prus, a tylko część duchowieństwa katolickiego wolała opuścić Wrocław niż uznać rządy pruskie.

Zachęcone dopiero sukcesami pruskimi wydały wojnę Marii Teresie państwa koalicji: Bawaria, Francja i Saksonia. Zagrożona przez tylu wrogów Maria Teresa nawiązała rokowania tajne z Fryderykiem przy pośrednictwie angielskim, godząc się już na oddanie mu całego Śląska Dolnego oraz Nysy, w zamian za pokój. Pod osłoną tych rokowań Fryderyk II obległ Nysę i skłonił załogę austriacką, przekonaną, że w wyniku układów i tak miasto zostanie oddane Prusom, do kapitulacji (pod koniec października). Coraz pewniejszy siebie Fryderyk zebrał stany śląskie we Wrocławiu (w listopadzie) i kazał sobie złożyć hołd poddańczy. Niebawem zerwał rokowania z Austrią, gdyż już nie chciał się zadowolić samym Śląskiem Dolnym, i wkroczył na Morawy (w początkach 1742 r.). Rozstrzygnięcie padło znów na polu bitwy: pod Czasławiem wojska pruskie odniosły zwycięstwo nad Austriakami (w maju 1742 r.). Nie mogąc podołać wszystkim wrogom Maria Teresa zgodziła się wreszcie na wygórowane żądania Fryderyka. W czerwcu 1742 r. podpisano we Wrocławiu warunki pokoju, na mocy których Austria odstąpiła Prusom cały Śląsk Dolny i większość Górnego, z wyjątkiem Cieszyńskiego, części Opawskiego (na południe od Opawki) oraz Karniowa. Ostateczny pokój zawarto 28 lipca 1742 r. w Berlinie. Śląsk został więc podzielony na dwa zabory, pruski i austriacki, przy czym lwią część zagarnęły Prusy. Losy ludu śląskiego rozstrzygały się — bez udziału słabej i bezsilnej Polski!

Niezwłocznie po zakończeniu tej tzw. pierwszej wojny śląskiej Fryderyk II zaczął po swojemu urządzać nową prowincję swego państwa. Nie był jednak jeszcze zupełnie pewny jej posiadania, gdyż toczyła się nadal wojna tzw. sukcesyjna austriacka, której jednym z epizodów była właśnie wojna o Śląsk. W dalszym zaś toku wojny sukcesyjnej Austria, pozbywszy się na razie tak poważnego wroga, jak Prusy, zaczęła odnosić nad Bawarią i popierającą ją Francją niemałe sukcesy. Stanowisko Marii Teresy wzmocnił nadto poważnie sojusz z Anglią i Sardynią; również i August III (jako elektor saski) przeszedł na stronę Austrii. Nie ulegało kwestii, że w razie ostatecznego zwycięstwa w toczącej się wojnie Maria Teresa upomni się niechybnie o Śląsk, zagrabiony przemocą przez

Prusy, zwłaszcza że bynajmniej nie taiła, iż nigdy się nie pogodzi z utratą Śląska, a Fryderyka II uważała za pospolitego grabieżcę. W tej sytuacji król pruski postanowił po raz drugi uderzyć na Austrię, by nie dopuścić do jej pełnego zwycięstwa i w samą porę ją jeszcze osłabić. W istocie chodziło mu tylko o zabezpieczenie swej zdobyczy śląskiej, ale ponowne przystąpienie do wojny z Austrią w r. 1744 przybrał pięknym frazesem: ujmował się rzekomo za losem swego niedawnego sojusznika bawarskiego (którego sprawę w r. 1742 bez skrupułów porzucił, skoro tylko wytargował na Austriakach Śląsk!). W sierpniu 1744 r. wojska pruskie zajęły nagle Opawę i Karniów, po czym wtargnęły na Morawy i do Czech, zajmując nawet przejściowo Pragę. Wkrótce jednak szczęście wojenne opuściło Prusaków i pospiesznie musieli wycofać się z Czech, gdzie ludność ustosunkowała się do nich przeważnie zdecydowanie wrogo. W ślad za cofającymi się pułkami pruskimi wkroczyły na Śląsk wojska austriackie i opanowały niebawem niemal cały Górny Śląsk. Maria Teresa wydała już manifest do ludności Śląska, w którym oświadczyła, że nie uznaje traktatu z r. 1742 i zamierza uwolnić kraj spod jarzma pruskiego. Wprawdzie z wiosną 1745 r. udało się Prusakom wyrzucić Austriaków ze Śląska Górnego, ale za to w ciągu t. r. ustawicznie silne armie austriackie, wspomagane przez wojska saskie, atakowały od strony Czech Śląsk Dolny. W rezultacie kraj ucierpiał bardzo dotkliwie przez przemarsze wojsk, rekwizycje żywności i kontrybucje, ale tok wypadków wojennych nie zmienił jego losów. Wojska pruskie w kilku spotkaniach pokonały Austriaków i Sasów, co wreszcie odebrało Marii Teresie nadzieję odzyskania w ówczesnej sytuacji Śląska. W r. 1745 obie strony ukończyły drugą wojną śląską, zawierając traktat pokoju w Dreźnie, który potwierdził warunki traktatu z r. 1742, a więc pozostawił zdobycz śląską w ręku Fryderyka II.

Fryderyk II wprowadził na Śląsku administrację na wzór pruski. Na czele zarządu prowincji postawił osobnego ministra, który podlegał wyłącznie samemu królowi. Cały kraj podzielił na dwa wielkie obwody administracyjne, głogowski i wrocławski, które łącznie obejmowały 48 powiatów, na czele których stali tzw. „landraci". Sądowe obwody wprowadził trzy, z władzami naczelnymi w Głogowie, Wrocławiu, oraz w Opolu (następnie przeniesione do Brzegu). System podatkowy ustanowił wedle wzorów pruskich: był on przejrzystszy od austriackiego i bardziej równomiernie rozłożony, ale obciążenie ogólne kraju było niemniejsze, a tym przy-

krzejsze, że 3/4 wpływów podatkowych szło na wojsko. Fryderyk zdawał sobie sprawę, że Maria Teresa nie zaniecha dalszych prób odzyskania Śląska. Tedy pospiesznie umacniał stare i budował nowe twierdze, a przede wszystkim starał się z kraju wyciągnąć możliwie dużo rekruta. W związku z tym wprowadził system poboru pruski, o wiele dokuczliwszy dla ludności od dawnego austriackiego. Reakcja ludności była znamienna: całe gromady młodzieży uchodziły ze Śląska przed poborem i to przede wszystkim ze Śląska Górnego. Zrozumiałe, że to głównie młodzież polska uchodziła za granicę, do Polski, nie chcąc przywdziewać munduru pruskiego i walczyć pod sztandarami Fryderyka, dla umocnienia i rozszerzenia potęgi Prus!

Zadowoleni byli natomiast z przejścia pod rząd pruski protestanci śląscy, przynajmniej w swej większości, witając radośnie zapowiedź Fryderyka II w manifeście z r. 1741, że celem jego jest wybawienie protestantyzmu śląskiego spod ucisku państwa katolickiego. W istocie Fryderyk, hołdujący liberalizmowi doby Oświecenia, nie wierzył w żadną religię i często wyrażał się szyderczo o wszystkich kultach. Niemniej popierał protestantyzm, uważając to wyznanie za najodpowiedniejszą religię dla poddanych państwa pruskiego, wpajającą im poczucie pełnej lojalności wobec władcy, który był głową tak Kościoła ewangelickiego, jak i reformowanego (kalwińskiego): natomiast z wyraźną niechęcią odnosił się do katolicyzmu, tym więcej, że właśnie katolicka Austria była jego wrogiem i katolików śląskich traktował w ogólności jako podejrzanych o sympatie austriackie. Protestantyzm miał być w jego ręku narzędziem, jednającym mu przychylność ludności Śląska i pomagającym do umocnienia wpływów pruskich w zdobytej prowincji. W styczniu 1741 r. sprowadził na Śląsk 12 specjalnie wyszkolonych w Berlinie predykantów, po czym w głównej kwaterze wojskowej dano im przydział do różnych gmin śląskich. Tych predykantów nazywano „dwunastu apostołami": zadaniem ich była propaganda religijna i polityczna — na rzecz króla Prus. Pospiesznie kształcono w Berlinie dalszych predykantów, by obsadzić możliwie wszystkie gminy, gdzie protestanci stanowili poważniejszą liczbę mieszkańców. W zasadzie Fryderyk katolikom kościołów nie odbierał, równocześnie zaś tylko w wyjątkowych wypadkach dawał protestantom zasiłki na budowę nowych zborów: uważał, że nie może wydawać pieniędzy na religię, gdyż ich potrzebuje przede wszystkim na wojsko. Natomiast w r. 1742 pozwolił zbudować zbór każdej gminie, która jest w stanie własnymi środkami przeprowadzić budowę i utrzymać osobnego predykanta. W następstwie powstało niebawem ponad 200 zborów —

w tym 19 na Górnym Śląsku — przeważnie zresztą bardzo prymitywnie urządzonych: po prostu domy prywatne, magazyny, nierzadko i stodoły, zamieniano na domy kultu ewangelickiego, a dopiero po wielu latach powstawały w ich miejsce odpowiednio wyposażone świątynie. Wprowadził również Fryderyk II natychmiast równouprawnienie kalwinów, na co zresztą krzywo patrzyli ortodoksyjni luteranie. Nadto pozwalał Fryderyk na swobodę wyznania i kultu także innym sektom, okazując w zasadzie pełną tolerancję wyznaniową. — W pierwszych już dwu latach rządów pruskich przeszło 6000 katolików na ewangelicyzm: chodziło w tym wypadku przeważnie o dawnych protestantów (względnie ich rodziny), którzy pod naciskiem habsburskim musieli ongiś pozornie przyjąć katolicyzm.

Fryderyk jednak zdawał sobie z tego sprawę, że wszystkich katolików nie przerobi na protestantów. Na ogół tedy nie naruszał ich swobód religijnych, kasując jedynie dotychczasowy prymat Kościoła katolickiego na Śląsku. Właśnie przez tolerancję wobec katolików chciał ich wyrwać spod wpływu Austrii (jak też i Polski!) i związać z państwowością pruską. Niemniej żądał od duchowieństwa zwłaszcza katolickiego pełnej lojalności. Nie wystarczyła mu przysięga wierności, jaką złożyła większość duchowieństwa: na Górnym Śląsku utrzymywał specjalnych płatnych szpiegów, którzy mieli śledzić zachowanie się kleru (w znacznej części polskiego) i składać raporty królowi. Na pozór mógł Fryderyk zachować wobec Kościoła katolickiego postawę tolerancyjną tym łatwiej, że znaczna część duchowieństwa poddała się ulegle nowym rządom: w oportunizmie celował zwłaszcza biskup wrocławski Filip Ludwik v. Sinzendorf (1732—1747), który starał się usilnie zasłużyć sobie na względy u króla. Przy pomocy Sinzendorfa mianował Fryderyk koadiutorem biskupstwa Filipa Gotharda Schaffgotscha, nie pytając o zgodę kapituły ani papieża. Długo papież nie chciał tego uznać, gdyż Schaffgotsch znany był z życia swobodnego i przekonań wolnomyślicielskich oraz oportunizmu w sprawach religijnych (też i politycznych). W końcu jednak papież ustąpił i Schaffgotsch został następcą Sinzendorfa (1747—1795): inna rzecz, że niebawem i Fryderykowi się naraził, gdy w okresie dalszego konfliktu austriacko-pruskiego, węsząc skąd wiatr wieje, zawahał się w pewnej chwili, czy nie należałoby raczej stanąć po stronie Marii Teresy. — W zasadzie Kościół katolicki zachował swój stan posiadania na Śląsku, ale musiał poddać się ścisłej kontroli króla pruskiego i do jego woli się dostosowywać. Zarazem zagarniał Fryderyk skwapliwie część majątku

kościelnego, przede wszystkim przez nałożenie na duchowieństwo bardzo wysokich podatków. Skutek był taki, że w r. 1748 kapituła wrocławska musiała prosić króla o pozwolenie sprzedaży złotych i srebrnych aparatów kościelnych, gdyż nie miała pieniędzy na zapłacenie podatków, a nawet na koszta codziennego utrzymania. Na domiar w życiu publicznym Fryderyk wyraźnie dawał pierwszeństwo protestantom przed katolikami. Tak np. już w r. 1741 zarządził, że władze miejskie na Dolnym Śląsku mają się składać przede wszystkim z protestantów, dla których zastrzegł wszystkie czołowe stanowiska (burmistrzów, syndyków itd.). Większe miasta, jak Wrocław, Brzeg, Legnica itd. miały przyznane prawo swobodnego przedstawiania kandydatów do władz miejskich, pod warunkiem jednak, że będą to tylko protestanci. Również i na Górnym Śląsku, gdzie katolicy mieli zdecydowaną większość, starał się Fryderyk wprowadzić protestantów nawet do rad miejskich: tak np. nakazał oddać dwa stanowiska protestantom w magistracie miasta Prudniku, gdzie w ogóle nie było wśród mieszczan protestantów. W takich wypadkach nasyłano protestantów z miast Dolnego Śląska, oczywiście ludzi zaufanych Fryderyka. Jaki to miało wpływ na stosunki narodowościowe w tych ziemiach, o tym wspomnimy szerzej na innym miejscu.

Niemieccy pisarze rozpisywali się nieraz obszernie na temat korzyści gospodarczych i cywilizacyjnych, jakie osiągnął Śląsk dzięki przejściu pod rządy pruskie. I do tej sprawy jeszcze wrócimy. Na razie stwierdzić tylko należy, że korzyści te były w istocie względne. Np. handel śląski zyskał co prawda przez otwarcie spławu rzeką Odrą do Bałtyku, ale mocno ucierpiał przez nagłe zerwanie łączności z krajami habsburskimi, z którymi wiązały go wieloletnie stosunki. Nie ulega kwestii, że Fryderyk II, zwłaszcza w drugiej fazie swych rządów, gdy wojny ostatecznie ustały, dbał więcej o Śląsk, niż Habsburgowie: dla nich Śląsk był zawsze krajem peryferyjnym, dla niego ziemią przyszłości państwa pruskiego. Fryderyk Śląskiem się interesował, podczas gdy Habsburgowie kraj ten zaniedbywali zupełnie. Król pruski chciał właśnie wykazać ludności śląskiej korzystne następstwa zmiany zwierzchnictwa państwowego, tedy starał się o ożywienie handlu i przemysłu, oraz górnictwa, zupełnie podupadłego za czasów habsburskich, a w pewnej mierze i o podniesienie poziomu rolnictwa. Ale korzyści, jakie stąd mogły płynąć, obniżały, jeśli nie wręcz przekreślały, ogromne podatki, nałożone i następnie podwyższane przez króla. Dość powiedzieć, że nie tylko duchowieństwo musiało 50% dochodu z swych dóbr odda-

wać na rzecz skarbu państwa, ale i chłop niewiele mniej, bo 34%! Sumy te szły na pomnażanie armii pruskiej. Śląsk musiał ogromną daninę płacić i przyczyniać się walnie do dalszego rozrostu potęgi Prus. Pobór rekruta i ogromne podatki, jedno i drugie ściągane bardzo rygorystycznie, — oto były te „dobrodziejstwa". których w pierwszym rzędzie zaznał Śląsk pod rządami pruskimi. A do tego dodać jeszcze należy olbrzymie szkody materialne i ludzkie, poniesione w toku dwu znanych nam już wojen śląskich, jak i trzeciej, tzw. siedmioletniej (1756—1763).

Maria Teresa nie przebolała bowiem utraty Śląska i wytrwale myślała o rewanżu na Fryderyku. Rozumiejąc jednak, że o własnych siłach nie zdoła obalić potęgi pruskiej, dążyła do stworzenia całej koalicji państw europejskich, która by wspólnym wysiłkiem zgniotła Fryderyka i przywróciła państwo Hohenzollernów do dawnego stanu — skromnego księstwa Rzeszy. W r. 1756 powstała już koalicja, złożona z Austrii, Rosji, Francji, oraz Saksonii, do której przystąpiła niebawem również Szwecja. Osamotniony Fryderyk II mógł liczyć jedynie na pomoc Anglii (i to głównie finansową), która, rywalizując podówczas z Francją na morzu i w koloniach, chciała związać jej armie również na lądzie europejskim — właśnie przy pomocy wojsk pruskich. Fryderyk zawczasu przejrzał plany koalicji i, ubiegając jej uderzenie, w sierpniu 1756 r. napadł najpierw na nieprzygotowaną Saksonię: rozbił armię saską i zajął cały kraj, zmuszając Augusta III do szukania schronienia w Polsce. W r. 1757 uderzył z wielką armią na Czechy, ale nie zdołał zdobyć Pragi: tymczasem zaś nadciągnęła z odsieczą armia austriacka i zadała klęskę Prusakom pod Kolinem. Teraz dopiero zaczęła się rozkręcać wielka machina wojenna koalicji i przygniatać Prusy swym ciężarem. Od zachodu uderzyli Francuzi, ale tych zdołał powstrzymać Fryderyk, pospiesznie wycofawszy się z Czech. Tymczasem jednak Rosjanie wkroczyli do Prus Wschodnich, Szwedzi na Pomorze brandenburskie, a Austriacy na Śląsk. Wojska austriackie obsadziły cały Śląsk Górny i większą część Dolnego, zajmując m. i. atakiem Świdnicę, bez walki zaś Wrocław. Upojeni łatwymi sukcesami, za wcześnie zlekceważyli Austriacy przeciwnika. Wyzyskując ich zbytnią pewność siebie, Fryderyk pospiesznie ruszył z głównymi siłami na Śląsk, pozbierał rozproszone oddziały pruskie grupy operacyjnej śląskiej, i pod Litomiem (między Środą a Wrocławiem) odniósł zwycięstwo nad armią austriacką (w grudniu 1757 r.). W następstwie oczyścił cały niemal Śląsk z załóg austriackich, z wyjątkiem

Świdnicy. Austriacy stracili zupełnie głowę i kapitulowali również we Wrocławiu. Wkroczywszy do stolicy Śląska zastosował Fryderyk niezwłocznie ostre represje wobec tych urzędników miejscowych, którzy poprzednio skwapliwie uznali zwierzchnictwo austriackie. Z wiosną 1758 r., po oblężeniu, również i Świdnica dostała się w ręce pruskie.

Fryderyk chciał zadać teraz decydujący cios Austrii i wtargnął z wojskiem na Morawy. Ale nie udało mu się zdobycie Ołomuńca, a tymczasem Austriacy wpadli na Górny Śląsk i odcięli mu dowozy. Ratując się, musiał pospiesznie król pruski wycofać się okrężną drogą przez Czechy na Śląsk Dolny. Najpierw podążył przeciwko Rosjanom, którzy już wdarli się do Marchii i stąd docierali w pobliże Góry i Żmigrodu. Niebawem wojska pruskie odparły zwycięsko Rosjan, równocześnie jednak ponosząc klęskę od Austriaków (pod Hochkirch). Niemniej w ciągu 1758 r. zdołał jeszcze Fryderyk wyprzeć główne siły austriackie ze Śląska. Widoczne było przecież, że na dłuższą metę przewadze nieprzyjaciół nie podoła. Wojska pruskie poniosły w walkach straty ogromne, których nie mogły zastąpić nawet najbardziej drakońskie rekrutacje. A tu nieprzyjaciel słał coraz nowe armie na plac boju.

Nadszedł rok 1759, który miał przynieść wyjaśnienie sytuacji wojennej. Mimo wszelkich starań zapobiegawczych Fryderyka II, nie powiodło mu się przeszkodzenie połączeniu sił austriackich z rosyjskimi. Na rezultaty nie trzeba było długo czekać. W sierpniu 1759 r. została armia Fryderyka rozgromiona pod Kundraczycami (Kunersdorf, w Brandenburgii) przez Austriaków i Rosjan. Zanosiło się teraz na zupełne zniszczenie państwa pruskiego. Niestety wśród komendy wojsk sprzymierzonych nie było zgody, a ponadto wodzowie austriaccy i rosyjscy grzeszyli powolnością i niezdecydowaniem. Dzięki temu uzyskał Fryderyk chwilę wytchnienia, co pozwoliło mu zebrać rozproszone wojska, zasilić nowym rekrutem — i dalej walczyć. Przez rok 1760 toczyły się na Śląsku ze zmiennym szczęściem walki między Prusakami a Austriakami i Rosjanami, które dotkliwie niszczyły kraj i doprowadzały nieszczęsną ludność do zupełnej udręki[1]). Nowe armie austriackie i rosyjskie zajęły nawet przejściowo Berlin, ale znowuż Fryderyk opanował Saksonię, poprzednio odbitą przez Austriaków. Wyczerpanie wojną dawało się przecież odczuć znacznie silniej stronie pruskiej. W r. 1761 Fry-

[1]) Austriacy bezowocnie oblegali Wrocław, broniony przez gen. pruskiego Tauentziena (w r. 1760).

deryk z ostatnią swą armią okopał się w warownym obozie pod Bolesławicami (na północ od Świdnicy) i z trudem odpierał ataki armii austriackiej i rosyjskiej. W końcu Rosjanie, skarżąc się na braki aprowizacyjne, odmaszerowali z głównymi siłami w stronę Polski, co skłoniło i wodza austriackiego Laudona do odwrotu. Fryderyk znów wyratował się z opresji. Wszystko to jednak były tylko chwile oddechu: w istocie król pruski nie miał już środków do walki, zwłaszcza że Anglia po zmianie rządu wycofała swe subsydia. Chcąc zdobyć jeszcze trochę pieniędzy, uciekał się Fryderyk do fałszowania tak własnej, jak szczególnie cudzej monety (polskiej!), wchodząc w niecne spółki z pospolitymi fałszerzami i spekulantami. Historycy pruscy pisali całe tomy panegiryków na cześć jego hartu ducha w tych ciężkich, prawie beznadziejnych chwilach. Jak wiadomo, w czasie drugiej wojny światowej Hitler chętnie powoływał się na przykład Fryderyka, zachęcając swych Niemców do dalszych ofiar i wysiłków. Rachuby Hitlera zawiodły zupełnie — na szczęście dla Europy i świata. Inaczej jednak było w czasach Fryderyka i to właśnie dawało Hitlerowi pewne podstawy do wiary, że historia się powtórzy. Fryderyk podtrzymywał walkę, bo wiedział, że na dworze carskim istnieje i działa po jego myśli silna partia filopruska. Carowa Elżbieta chciała zguby Fryderyka, ale syn jej, następca tronu Piotr, wychowany na wzorach pruskich, otoczony niemieckimi zausznikami, uważał w swym ograniczonym umyśle Fryderyka II niemal za bożyszcze i pragnął mu przyjść z pomocą. Agenci pruscy usilnie podtrzymywali partię następcy tronu i Fryderyk liczył właśnie na zmianę kursu polityki rosyjskiej.

Doczekał się jej w r. 1762. Elżbieta zmarła i na tron rosyjski wstąpił Piotr III, który niezwłocznie zawarł pokój z Fryderykiem, a nawet sojusz przeciwko dotychczasowym swym sojusznikom. Wojska rosyjskie dostały tedy najpierw rozkaz zaprzestania działań wojennych przeciw Prusom, a następnie nawet rozkaz połączenia się z nimi dla wspólnych akcji wojennych! Do tego znowuż nie doszło, gdyż cara, którego uznano za szaleńca, obaliła niebawem rewolta wojskowa i wyniosła na tron jego żonę Katarzynę II. Nowa władczyni nie myślała wspomagać czynnie Fryderyka, ale uznała pierwszą decyzję swego męża — pokój z Prusami. Niemniej już samo wycofanie się Rosji z wojny oznaczało dla Fryderyka wybawienie, gdyż teraz już możliwe było dlań stawienie silnego oporu osamotnionej niemal Austrii (udział Francji w tej wojnie był stosunkowo nikły, nie mówiąc o Saksonii czy Szwecji), wyczerpanej rów-

nież poważnie siedem lat trwającą wojną. W tych warunkach zgodziła się Maria Teresa na rokowania, zakończone pokojem w Hubertsburgu (15 lutego 1763 r.). Śląsk pozostał przy Prusiech, w granicach z r. 1742 i 1745. Pokój ten ustalił więc na wiele lat podział Śląska na dwa zabory: pruski i austriacki. Czarne orły Habsburgów i Hohenzollernów trzymały kraj piastowski w swych szponach, dławiąc polskość po obu stronach kordonu granicznego.

Rozdział XXVIII

GERMANIZACJA ŚLĄSKA ZA CZASÓW FRYDERYKA II

Pozostawiając omówienie stosunków na Śląsku Cieszyńskim (pod zaborem austriackim) do dalszych rozdziałów, na razie zająć się musimy nieco szerzej losem ludności polskiej pod zaborem pruskim. Wiadomo, że już od lat, szczególnie pod rządami habsburskimi, ludność ta wystawiona była na praktyki germanizacyjne władz, kleru, panów i popieranych przez nich przybyszów niemieckich. Mimo wszystko jednak nacisk ten nie był ani dość powszechny, ani dość systematyczny. Zaniedbywana przez władze, uciskana przez panów i w wielu wypadkach wystawiona na silne wpływy niemczyzny (np. przez Kościół), ludność polska siedziała przecież w zwartej często masie na swej ziemi i całe wielkie połacie Śląska zachowywały swą polskość. Sytuacja zmieniła się z chwilą umocnienia się Prusaków na Śląsku, i to zmieniła się bardzo na gorsze.

Niemczyzna, która już od dawna opanowała wyższe warstwy na Śląsku, sprawiała na powierzchownych obserwatorach życia śląskiego wrażenie, że kraj jest niemiecki. Z podobnym przekonaniem wkraczał na Śląsk Fryderyk II, widząc przed sobą domagające się rozwiązania zagadnienia religijne oraz polityczne (w jego przekonaniu związane z religijnymi), ale nie oczekując jakichś problematów narodowościowych. Dopiero głębsze wniknięcie w stosunki śląskie otwarło i królowi i władzom pruskim oczy. Kiedy minister pruski dla Śląska Schlabrendorf w r. 1756 objeżdżał Górny Śląsk, stwierdził „ku swemu zdziwieniu", że kraj jest w ogromnej większości — polski. Po miastach mógł się jeszcze porozumieć po niemiecku, ale po wsiach chyba tylko z panem lub czasem jego oficjalistą, natomiast rzadko już z księdzem. W czasie jednej z swych późniejszych wizytacji Górnego Śląska znalazł Schlabrendorf w powiecie pszczyńskim i bytomskim tylko dwóch księży, mówiących po niemiecku! Już choćby te fakty ilustrują nam dobitnie polskość Górnego Śląska w owych czasach.

Ale polskość sięgała znacznie dalej, poza granice terytorium, które określano jako Śląsk Górny. Niemiec prof. Schummel, podróżujący w r. 1791 po ziemi śląskiej, nabrał przekonania, że granica Górnego i Dolnego Śląska nie stanowi bynajmniej właściwej linii granicznej między żywiołem polskim a niemieckim, jak to wielu jego ziomków uważało: za słuszniejszą granicę faktycznego zasięgu obu narodowości uważał Schummel — linię Odry. Wynika z tego, że od czasu geografa Steina (z początków XVI wieku), który właśnie ziemie na wschód od Odry nazywał „polskim Śląskiem", w istocie niewiele się zmieniło. Niemczyzna poczyniła znaczne wyrwy w zwartej dawniej masie Polaków na terenie prawobrzeżnym, ale mimo to zachowały owe tereny charakter polski aż do XVIII wieku włącznie. Polskość silnie trzymała się jeszcze wówczas w okolicach nie tylko Kluczborka, Namysłowa, Oleśnicy, Sycowa, ale w niemałych skupieniach również w okolicy Trzebnicy, Twardej Góry, Żmigrodu i Milicza. Wspomniany Schummel podaje w swym opisie, że jadąc od Wrocławia w kierunku na Bierutów do Namysłowa, dostawał na swe zapytania od ludności miejscowej odpowiedzi: „nie rozumię" — „częściej, niżby sobie tego życzył". Najdalej ku północy zachowały polskość również pograniczne wsi powiatów zielonogórskiego i kożuchowskiego.

Ale i Odra nie stanowiła bynajmniej granicy zasięgu ówczesnego polskości. Nawet w tak zniemczonym Wrocławiu nierzadko jeszcze rozbrzmiewała mowa polska: wygłaszano tam jeszcze kazania w czterech kościołach i uczono po polsku. Na zachód od Wrocławia język polski sięgał po dolną Bystrzycę; na południe od stolicy Śląska głoszono kazania po polsku w Katarzynie, Borku, Żórawinie i Łukaszowicach. Wedle relacji Niemca Zimmermanna (z drugiej połowy XVIII wieku) po polsku mówili mieszkańcy wsi w pobliżu Świdnicy i Strzelina: jako mieszany pod względem narodowościowym określa Zimmermann Więzów. Między Strzelinem i Więzowem a Oławą i Brzegiem stanowiły pomost liczne wsi polskie, szczególnie w częściach lewobrzeżnych powiatu oławskiego. Nierzadki był podówczas język polski i w dalej wysuniętych częściach Śląska Dolnego, w Ziębickiem, a również i w Kłodzkiem: co do Kłodzkiego, to najlepszym chyba dowodem jest wydrukowana w r. 1804 we Wrocławiu w języku polskim *Instrukcja dla sołtysów wieyskich w Śląsku i w hrabstwie Glackim* — której tytuł wskazuje, że wydawcy liczyli się z faktem istnienia mowy polskiej i na tym terenie, tak już na pozór od dawna przeżartym przez germanizację! — Na ziemiach lewobrzeżnych język polski utrzymywał się

jeszcze częściowo w Grodkowskiem i Niemodlińskiem, oraz Głubczyckiem, mieszając się w południowych okolicach tego powiatu z narzeczem morawskim (przejściowym polsko-czeskim). Polacy stanowili wreszcie stanowczą większość w okolicach lewobrzeżnych Głogówka, Koźla i Raciborza, gdzie znowuż dopiero bardziej na południe wysunięte wsi Raciborskiego posiadały znaczniejszy odsetek ludności morawskiej: natomiast od Baworowa w kierunku miasta Głubczyc rozsiadł się już w większej liczbie żywioł niemiecki. Okolice Białej i Prudnika stanowiły teren mieszany, co do pewnego stopnia można powiedzieć i o częściach powiatu nyskiego. Wprawdzie szczególnie ziemia nyska, od XIII w. kolonizowana zawzięcie przez biskupów wrocławskich osadnikami niemieckimi, posiadała już zapewne większość niemiecką, ale nie brak było jeszcze sporych skupisk polskich nawet w pobliżu samej Nysy i Otmuchowa. Gdy władze pruskie w r. 1742 zajmowały się regulowaniem granicy w powiecie nyskim, sędzia w Kępnicy musiał zwracać się do świadków — ludzi miejscowych — w języku polskim, gdyż nie znali niemieckiego!

Tak przedstawiała się polskość Śląska w drugiej połowie XVIII wieku. Władzom pruskim nie podobał się ten stan rzeczy, ale okres wojen śląskich nie pozwalał na rozpoczęcie jakiejś systematycznej akcji germanizacyjnej. Ponadto władze pruskie nie napotkały na razie na poważniejsze objawy niechęci ze strony ludności polskiej: ponieważ ludność ta przeważnie była katolicką, więc raczej skłonni byli Prusacy do krytyki pod adresem w ogólności katolików śląskich, oskarżając ich o sprzyjanie Austrii, przy czym nie poruszano specjalnie kwestii Polaków. Jeśli ludność polska nie przeciwstawiała się wyraźnie rządom pruskim, to przyczyn tego należy szukać w nikłym uświadomieniu narodowym Polaków śląskich, oderwanych od wieków od macierzy i zaniedbanych przez ogół narodu polskiego, oraz w tym, że przecież Polacy śląscy nie mieli żadnych powodów do żalu za Austrią, a nie wiedzieli jeszcze, co ich czeka pod rządami pruskimi. Po prostu dwa państwa niemieckie walczyły między sobą — cóż to mogło obchodzić przeciętnego Polaka na Śląsku, przeważnie nie wykształconego, zupełnie nie nauczonego myśleć kategoriami politycznymi i ujmować całość zagadnień? Niemniej już w pierwszych latach rządów pruskich władze zaczęły dostrzegać pewne niepokojące objawy: gdy Fryderyk II wprowadził system pruski poboru rekruta, to najwięcej uchylała się od tego młodzież z Górnego Śląska, uchodząc do Polski, a w czasie wojny 7-letniej znowuż rekrut górnośląski najczęściej opuszczał samowolnie szeregi wojska pruskiego. Po wojnie władze pruskie podjęły na Śląsku w ogólności

akcję w kierunku definitywnego związania zagrabionej prowincji z państwem pruskim. Fryderyk II chciał wszystkich mieszkańców Śląska przerobić na „wiernych", a przynajmniej lojalnych poddanych pruskich. Przekonał się już, że w tym celu nie wystarczy popieranie protestantyzmu; postawił sobie za zadanie również, i to w wyższym znacznie stopniu, zgermanizowanie obszarów polskich.

Fryderyk II Polaków nienawidził, a pogarda, jaką okazywał Polakom i podkreślanie ich rzekomej niższości kulturalnej i cywilizacyjnej, miała swe istotne podłoże przede wszystkim w głębokiej nienawiści do wszystkiego co polskie. Fryderyk chętnie przedstawiał się jako człowiek doby Oświecenia; skwapliwie hołdował modnym kierunkom filozoficznym i literackim; na ustach miał nieraz sporo frazesów o humanitaryzmie. Za język odpowiedni dla sfer kulturalnych i dla prawdziwych dzieł literatury uważał francuszczyznę, natomiast niemczyznę traktował pogardliwie, jako język, nadający się tylko do biurokracji i do koszar. Ale w głębi duszy był typowym Niemcem, zachłannym i brutalnym, grubiańskim i cynicznym, lekceważącym prawa i poniżającym godność jednostki, rozmiłowanym właśnie przede wszystkim w atmosferze biurokracji i koszar: dla niego jedynym celem życia było utrwalenie potęgi państwa pruskiego i przekazanie następcom tego bezdusznego organizmu państwowego, wyrosłego na gwałcie i przemocy, opartego na bagnetach i zmechanizowanej biurokracji. W takim państwie nie było miejsca na poszanowanie praw innych narodowości, bo z samej jego istoty płynęła dążność do wpojenia wszystkim poddanym ducha pruskiego.

Po wojnie 7-letniej spadły na ziemię śląską zarządzenia germanizacyjne Fryderyka II. W r. 1764 wydał król nakaz władzom kościelnym, aby wszyscy „duchowni, którzy nie umieją po niemiecku... natychmiast przyłożyli się do nauczenia tego języka i nauczyli się go koniecznie w przeciągu jednego roku — w przeciwnym razie niech się przygotują na złożenie ze swego urzędu". W przyszłości zaś nie wolno było udzielić probostwa, ani też przyjąć do stanu duchownego (też i do klasztorów) takiego, „który by po niemiecku doskonale nie umiał". Pismo to dotyczyło Górnego Śląska; w tymże roku jednak ukazało się inne zarządzenie Fryderyka, treści podobnej, dotyczące Dolnego Śląska. Zarządzenie to wydane zostało dla diecezji wrocławskiej, oraz tych części diecezji krakowskiej (dekanat bytomski i pszczyński) oraz ołomunieckiej (południowe skrawki Głubczyckiego, Prudnickiego i Raciborskiego), które weszły w skład państwa pruskiego. W praktyce nie dało

się go wykonać, gdyż większość księży na Górnym Śląsku i w niektórych obszarach Dolnego nie umiała zupełnie po niemiecku i nie mogła się tego w ciągu roku „doskonale" wyuczyć, a usunąć ich trudno było, gdyż brakło kandydatów. Nawet bowiem dla władz pruskich było rzeczą jasną, że księża na terenach polskich muszą znać język polski, gdyż inaczej nie mogą w ogóle spełniać swych funkcji. Chodziło tylko, aby równocześnie mieli opanowany język niemiecki (najlepiej, by to byli Niemcy, znający język polski!) i w ten sposób powoli sączyli jad germanizacji w dusze swych owieczek: ale i to jedynie w części dało się przeprowadzić, zwłaszcza na terenie dekanatu bytomskiego i pszczyńskiego, gdzie obsady probostw dokonywała kuria biskupia krakowska. Samo jednak już zarządzenie Fryderyka odsłania nam właściwe intencje germanizacyjne. Stanowiło ono wytyczne dla władz kościelnych, szczególnie diecezji wrocławskiej, i stopniowo było wprowadzane w życie. Że dało ono wyniki germanizacyjne, dowodzi choćby fakt, że właśnie w tym czasie dokonuje się w przyspieszonym tempie zniemczenie niektórych klasztorów, np. trzebnickiego. Inne klasztory próbowały stawiać bierny opór, np. klasztor franciszkanów w Gliwicach, należący do prowincji polskiej zakonu (reformatów, których na Śląsku nazywano franciszkanami). Kiedy jednak władze pruskie dowiedziały się, że w tym klasztorze mówi się przeważnie po polsku, nakazały biskupowi wrocławskiemu, aby temu zapobiegł.

Drugim narzędziem germanizacji miała być szkoła. Wprawdzie Fryderyk II, mimo swych hołdów na pokaz dla filozofii Oświecenia, o szkolnictwo w istocie dbał niewiele: dla niego ważniejsze było rozbudowanie administracji, skarbowości i wojska. Ale jeśli szkoła miała służyć germanizacji — to dlaczegóżby jej w tym celu nie użyć? Zabiegi odpowiednie rozpoczął minister dla Śląska Schlabrendorf, nakazując komorze górnośląskiej (opolskiej) staranie o niemieckich nauczycieli dla polskich osiedli, i to już w r. 1751. W kilka lat później zarządziły władze, iż „tylko tacy, którzy władają niemieckim (obok polskiego) językiem mogą otrzymać posadę na Górnym Śląsku". Po wojnie 7-letniej Schlabrendorf zajął się pilniej tą sprawą, wzburzony faktem, że w Bytomskiem tylko dwuch nauczycieli rozumiało po niemiecku; zresztą i na Dolnym Śląsku sporo było takich wypadków. Właśnie wprowadzono na Śląsku przymus szkolny. Władze skwapliwie pospieszyły się w r. 1764 z zarządzeniem, wedle którego tylko nauczyciel, znający język niemiecki, mógł otrzymać w przyszłości posadę na Śląsku. Co więcej, nie znających niemczyzny nakazano pozbawić stanowiska i to w przeciągu

6 tygodni! Znowuż rozporządzenie było nieżyciowe i jeżeli reforma szkolna miała się jako tako udać, to z konieczności musiał rząd patrzeć przez palce na istotne stosunki na Śląsku w dziedzinie szkolnictwa. Niemniej nacisk rządu trwał dalej: zarządzenia dla nauczycieli o obowiązku władania językiem niemieckim ponawiano w ciągu XVIII wieku kilkakrotnie. Dyrekcje seminariów otrzymały wyraźny nakaz kierowania do szkół w okolicach o większości polskiej wyłącznie takich kandydatów, którzy władają biegle językiem niemieckim. Stopniowo tedy polityka germanizacyjna rządu w dziedzinie szkolnictwa musiała dać pożądane rezultaty. Tragiczny był zaiste los Polaków śląskich. Władze habsburskie niemal zupełnie zaniedbywały szkolnictwo na Śląsku (zwłaszcza Górnym), a kiedy w końcu władze pruskie zajęły się rozbudową szkolnictwa, równocześnie użyły szkoły za narzędzie do niemczenia ludności! Część ludności polskiej broniła się przez utrzymywanie dla swej dziatwy szkółek prywatnych polskich: w samym Opolu istniały 3 takie szkoły. Ale władze pruskie uznały je rychło za szkodliwe i starały się prywatne szkolnictwo polskie bezwzględnie wyplenić.

Polacy śląscy bronili jednak swej mowy i opierali się, wedle sił, naciskowi władz. W r. 1773 Fryderyk II „ku wielkiemu swemu niezadowoleniu“ stwierdził, że „nauka języka niemieckiego i jego rozpowszechnienie napotyka na wiele przeszkód“. Tedy przykazał surowo „landratom“ wywarcie odpowiedniego nacisku na ziemian, by wraz z inspektorami i proboszczami starali się w swych dobrach „rozpowszechnić język niemiecki“, i to przy użyciu „wszystkich środków“. Jeżeli weźmiemy pod uwagę ówczesną zależność chłopa od pana, szczególnie ciężką na Górnym Śląsku, to bez trudności zrozumiemy, jakie rezultaty mogło wydać takie zarządzenie. A znaczna ilość panów niemieckich skwapliwie starała się wykonać wolę królewską i zasłużyć sobie na pochwałę władz. W wielu okolicach na Górnym Śląsku ziemianie sami opłacali nauczycieli, powołanych do szerzenia niemczyzny. Minister Schlabrendorf stawiał za przykład hr. Gesslera z powiatu głubczyckiego, który osobiście dbał o nauczanie specjalnie dzieci języka niemieckiego. W istocie germanizatorzy po części zrezygnowali ze zbyt wielkiego trudu wpajania niemczyzny starszym, natomiast ze szczególną energią zabrali się do dzieci polskich. Jak potworne dawało to rezultaty, niech posłuży za przykład zdanie współczesnego (Schummla), który w r. 1791 stwierdził, że na Górnym Śląsku na skutek wysiłków władz i gorliwych ziemian nawet tam, „gdzie rodzice dzisiaj jeszcze nie

umieją po niemiecku się wysłowić, dzieci mówią bez wyjątku piękniej i poprawniej, jak po wsiach około Głogowa, lub w górach". Takie były wyniki germanizacji przez szkołę. Tą drogą starano się ograbić polskość z najcenniejszych jej kadr — z dziatwy. Dodajmy, że równocześnie i doroślejszą młodzież starano się w inny sposób germanizować. Tak więc w r. 1764 Fryderyk II zabronił udzielać ślubu młodzieży wiejskiej obojga płci, o ile nie wykaże się znajomością języka niemieckiego! A ziemianom zabronił pod rygorem kary pieniężnej przyjmowania do służby na folwarku dziewczyn czy parobków, nie rozumiejących po niemiecku! Urzędnikom nakazał co kwartał przedkładać sprawozdanie, jak przestrzega się wykonania tych zarządzeń.

Historycy niemieccy próbowali nieraz tłumaczyć wykrętnie, że Fryderykowi II chodziło nie o germanizację, lecz o — szerzenie kultury! Dla obalenia tych wykrętów wystarczy przytoczyć zdanie Anglika, podróżującego w r. 1780 po Śląsku: „Obecny rząd stara się polski język wytępić i zaprowadzić niemiecki". Wszystkie zresztą zarządzenia władz pruskich w sumie dążyły do jednego celu: germanizacji, — i szkolnictwo popierały o tyle, o ile służyło za narzędzie w tym kierunku. Najlepszym dowodem prześladowanie prywatnych szkółek polskich. Istotne nastawienie Fryderyka II wobec polskości ilustruje najlepiej fakt następujący: w r. 1777 król pruski jechał z Oławy do Wrocławia i na popasie pytał miejscowych, czy młodzież w polskich wsiach pobiera naukę w języku niemieckim i kiedy właściwie język polski zostanie na Śląsku Dolnym zupełnie wytrzebiony!

Oczywiście urzędy na Śląsku dawano wyłącznie Niemcom, natomiast do wojska skwapliwie pobierano młodzież polską. Nie zrażał się bynajmniej Fryderyk II wcale licznymi wypadkami zbiegania Polaków z szeregów pruskich. Dalej wyciągał rekruta z polskich okolic Śląska, wiedząc dobrze, że koszary i plac ćwiczeń — to najlepszy sposób wpojenia młodzieży polskiej pewnego zasobu słów niemieckich. Powracający z wojska do wsi rodzinnej byli często jedynymi, znającymi w danym osiedlu przynajmniej trochę język niemiecki: ale i to wystarczało nieraz, by zaszczepić niemczyznę w czysto polskim środowisku.

Fryderyk wprowadził przecież jeszcze jeden sposób niemczenia Śląska: przez kolonizację. Już niebawem po zagrabieniu Śląska (1742) nakłonił do przesiedlenia się z Czech kilkaset rodzin husytów oraz tzw. braci morawskich. Sprowadzeni zrazu do Zię-

bic, następnie założyli sobie husyci osadę pod Strzelinem, zwaną Husinec, z której z czasem powstała inna znów osada — Nowy Podiebrad. Dalsze grupy emigrantów czeskich znalazły pomieszczenie w Opolskiem, Kłodzkiem, oraz Sycowskiem (tam powstały m. i. osady Wielki i Mały Tabor). W sumie osiedliło się za czasów Fryderyka II na Śląsku około 3000 Czechów. Na szerszą skalę podjął kolonizację Śląska Fryderyk II dopiero po wojnie 7-letniej. Powodem bezpośrednim akcji było znaczne wyludnienie kraju po wojnach śląskich. Obliczano, że trzy wojny o Śląsk spowodowały ubytek około 150.000 ludności na ziemi śląskiej. Największy nacisk kładł od razu Fryderyk na kolonizację Górnego Śląsku, motywując to słabym stosunkowo zaludnieniem tego terytorium i możliwością wyzyskania gospodarczego licznych nieużytków. W r. 1767 polecił Fryderyk władzom pruskim na Śląsku, w szczególności Schlabrendorfowi, wygotowanie odpowiednich planów kolonizacji. Tak jednak Schlabrendorf, jak i inni rzeczoznawcy pruscy wyrazili liczne zastrzeżenia co do celowości akcji, wskazując m. i. na małą urodzajność gleby w Opolskiem, co nie zachęci kolonistów do osiedlania się. Fryderyk nie dał się przekonać i nakazał rozpoczęcie akcji osadniczej. Przybrała ona na sile szczególnie po śmierci Schlabrendorfa, kiedy ministrem administracji Śląska został Hoym, ulegle spełniający wolę króla. Tak zazwyczaj skąpy, w tym względzie nie szczędził Fryderyk pieniędzy, byle dzieło kolonizacji wesprzeć. W ciągu niespełna 20 lat (do r. 1786, tj. do śmierci Fryderyka) założono na Śląsku około 240 nowych osad, nie licząc tego, że równocześnie powstało w istniejących wsiach sporo nowych domów, przeznaczonych dla kolonistów. Nowe kolonie zakładane były głównie przez władze państwowe, jakkolwiek pewien w tym udział miała również i inicjatywa prywatna: Fryderyk bowiem naciskał na szlachtę śląską, oraz na klasztory, by przyczyniły się do akcji kolonizacyjnej. W ogólności osadzono na Śląsku w tym okresie około 62.000 kolonistów, przeważnie przybyszów z Niemiec, których Fryderyk II ściągał na Śląsk obietnicami różnych korzyści, a nieraz nawet sprowadzał przymusowo. Najwięcej kolonistów osadzono w polskich terenach Śląska Dolnego (w okolicach Sycowa, Namysłowa, Wołczyna, Kluczborka, Olesna), oraz na Śląsku Górnym (w okolicach Koźla, Opola, Zabrza, Bytomia i Pszczyny).

Jak przedstawiał się ów niemiecki materiał napływowy? Przytoczmy zdanie pisarza niemieckiego Beheima (z drugiej połowy XIX wieku), który obszernie zajmował się problemem tej tzw.

„fryderycjańskiej“ kolonizacji: „Stara, zasiedziała ludność, obruszała się, że ją lekceważono w każdym względzie i porównywano z hołotą, w najlepszym razie z awanturnikami, mówiącymi językiem lub dialektem, jakiego nikt nie rozumiał“. Koloniści „w poczuciu, iż przysłani są przez króla, panoszyli się i najbezwstydniejsze, przesadzone objawiali pretensje. Ludzi tych zwabiły edykty; w nowej „obiecanej ziemi“ spodziewali się oni znaleźć mało pracy, a wiele przyjemności. Była to częstokroć hołota, na którą liczyć nie można było, leniwa i bezwstydna. Zaraz z początku starali się oszukać króla i podwójne koszta podróży wydobyć; niektórym się też udało uzyskać dwa, a nawet trzy razy wstępne uposażenie, ponieważ kontroli nie było. Oczywiście wiele było wśród tego mnóstwa emigrantów niespokojnych awanturników, próżniaków i burzycieli pokoju“. Inni pisarze niemieccy stwierdzają, że „większość kolonistów była hołotą wszelkiego rodzaju, nie przyzwyczajoną do stałej siedziby i pracy“, lub też, że Fryderyk nie zyskał w kolonistach nic „prócz zgubnego grubiaństwa“. Taki to element, hardy i pewny siebie, bo miał za sobą poparcie królewskie, a moralnie zdeprawowany, najechał na ziemię śląską. Koloniści „fryderycjańscy“ pysznili się oczywiście przede wszystkim swą niemieckością, swą rzekomo wyższą kulturą i cywilizacją. W istocie, poza pewnymi zdobyczami technicznymi, którymi mogli chwilowo zaimponować zaniedbanej przez wiekowe rządy habsburskie ludności miejscowej, nie wnosili niczego pozytywnego w życie „ziemi obiecanej“: natomiast szerzyli wszędzie niemieckie grubiaństwo, a nieraz i występki. W każdym razie przyczynili się wielce do germanizacji kraju. Wprawdzie niektórzy pisarze niemieccy obniżają znaczenie kolonizacji dla germanizacji kraju, wskazując, iż w wielu wypadkach owe „fryderycjańskie“ kolonie zupełnie nie spełniły swego zadania: nieraz koloniści porzucili rychło swe osiedla, a bywało też, że w otoczeniu wsi polskich sami niebawem zatracili swą niemieckość i ulegli spolszczeniu. Nie można jednak tych wypadków uogólniać. Wiele bowiem kolonii utrzymało się i pozostało ośrodkami niemczyzny.

Oceniając rzecz ogólnie należy stwierdzić, że w każdym razie liczba ludności niemieckiej na Śląsku powiększyła się o dobre kilkadziesiąt tysięcy dusz, co stanowiło poważny zastrzyk krwi niemieckiej. Koloniści zażywali przywilejów w formie uwolnienia od czynszów na szereg lat i od służby wojskowej. Cieszyli się poparciem władz, tak materialnym jak i moralnym. Tworzyli warstwę uprzy-

wilejowaną. Musiało to wywrzeć swe piętno na życiu kraju. Ci koloniści, którzy utrzymali się na nowych osiedlach, stanowili kadry pionierów germanizacji, zasilani zresztą i w latach późniejszych obficie nowymi przybyszami z głębi Niemiec. Bezpośrednio najgroźniejsze skutki dla polskości spowodowała kolonizacja na terytorium pogranicza zasięgu polskości i niemczyzny, a więc na Dolnym Śląsku i w powiatach lewobrzeżnych Śląska Górnego. Na tym terenie w drugiej połowie XVIII wieku nastąpiło dość poważne przesunięcie linii językowej ku wschodowi. Ale nie na tym koniec. Fryderykowi chodziło o narzucenie całemu Śląskowi pokostu niemczyzny, a więc i o zniemczenie tych ziem górnośląskich, gdzie dotąd Polacy stanowili jakieś 90% ludności. Tedy szczególną wagę przykładał właśnie do kolonizowania żywiołem niemieckim terenów prawobrzeżnych Górnego Śląska. Na skutek akcji kolonizacyjnej powstały na tym terenie liczne wyspy germańskie, po wsiach, a zwłaszcza po miastach, co zresztą łączyło się z równoczesnym niemal ożywieniem górnictwa śląskiego. Przybysze germańscy pokryli nalotem, co prawda jeszcze cienkim, ziemię górnośląską. O to chodziło Fryderykowi: o stworzenie natychmiast pozorów, że kraj jest przynajmniej w części niemiecki, a przygotowanie na przyszłość kompletnej jego germanizacji.

Próżno historycy niemieccy próbowali wyjaśniać kolonizację „fryderycjańską“ względami natury gospodarczej i cywilizacyjnej. Wiemy, jaki materiał stanowiła większość kolonistów. Od takich ludzi Polacy śląscy niewiele mogli się nauczyć w dziedzinie gospodarki, a na pewno nie byli zbudowani ich postawą moralną. Przeważnie zaś ludność polska przewyższała przybyszów — inteligencją wrodzoną, której tylko opłakane warunki pod wiekowymi obcymi rządami nie pozwalały rozwinąć należycie. Cytowany już przez nas objektywny Niemiec Schummel podkreśla, że przyjechał na Górny Śląsk z głową napchaną informacjami swych ziomków, którzy przedstawiali lud polski jako jakichś dzikusów, o fizjonomiach czerwonoskórych z Ziemi Ognistej (!), podludzi, nie mówiąc już o obfitym zasobie ulubionych przysłów niemieckich w rodzaju „polskie gospodarstwo“, „polskie sejmowanie“ itd. Dopiero na miejscu otwarły mu się oczy, gdy zobaczył ludzi normalnych, nie gorszych pod względem urody fizycznej ani poziomu inteligencji od Niemców, a w wielu wypadkach ich pod oboma względami przewyższających! — zwłaszcza zaś wyróżniających się korzystnie dobrocią i szlachetnością! Takie wyznanie mogło wyjść z ust Schummla, który należał do tych nielicznych Niemców, nie czujących rasowej

nienawiści do Słowian. Ale inni Niemcy, przybywający na Śląsk, choć stwierdzić mogli to samo, nie chcieli ani sami sobie ani innym powiedzieć prawdy, bo to mogłoby poderwać poczucie wyższości Niemców wobec Słowian, bo to w konsekwencji godziłoby w przywileje i interesy niemczyzny, jako narodu panów! — Nie szukamy przecież od Niemców uznania: takich jak Schummel przyszłoby szukać dzisiaj chyba na próżno, a na opinii innych nam nie zależy. Zdanie Schummla przytoczyliśmy tylko jako charakterystyczną ocenę ze strony współczesnego Niemca owej rzekomej „wyższości" niemieckiej.

Otóż stwierdzić trzeba, że celem Fryderyka było co prawda zagospodarowanie kraju, ale przede wszystkim — przez Niemców! Śląsk chciał zasiedlać „niemieckimi gospodarzami", *mit Leuten deutscher Nation*. Historyk niemiecki, Koser, jeden z najgłośniejszych badaczy czasów Fryderyka II, stwierdził wyraźnie: „Życzenie, aby kraj ile możności najwięcej zgermanizować, istniało już od samego początku (akcji kolonizacyjnej), a z czasem coraz więcej z wszelką stanowczością się objawiało". Do podobnych wniosków doszli i inni niemieccy znawcy doby Fryderyka II. Kolonizacja stanowiła jeden z punktów programu, jaki Fryderyk sobie zakreślił w stosunku do Śląska: była jednym z narzędzi germanizacji. Nie łudził się król pruski oczywiście, że zdoła za jednym zamachem Polaków przerobić w tym sensie na Niemców, aby mówili i pisali biegle po niemiecku. Ale chciał możliwie rychło do tego doprowadzić, aby się nauczyli „myśleć i czuć po niemiecku". Polacy śląscy mieli się przejąć duchem pruskim, stać się wiernymi poddanymi państwa pruskiego. A sprytny „Fryc" rozumiał, że wpojenie ducha pruskiego Ślązakom, mówiącym po polsku, w niedalekiej przyszłości doprowadzi do zatraty obyczaju polskiego i mowy polskiej. Niech nikogo nie złudzi fakt, że nieraz kazał sam Fryderyk drukować rozporządzenia urzędowe po polsku, co historycy niemieccy podają skwapliwie jako dowód „liberalizmu" króla. Czynił to tylko wtedy, gdy mu chodziło o możliwie szybkie zrozumienie zarządzeń rządowych i równie rychłe ich wykonanie, bo machina biurokracji pruskiej musiała przecież iść sprawnie! Stopniowo jednak tępił język polski, nasyłał do kraju kolonistów niemieckich i starał się wsączyć Ślązakom jad prusactwa. W ogólności czynił wszystko, co w danej chwili było w jego mocy, aby po podboju orężnym Śląska zdobyć ten kraj piastowski na trwałe dla niemczyzny.

Rozdział XXIX

NIEDOLA LUDU ŚLĄSKIEGO

Wszyscy podróżujący po Śląsku w drugiej połowie XVIII wieku stwierdzali zgodnym chórem pożałowania godną dolę ludności wieśniaczej. Niezwykle nędzne chaty mieszkalne, albo nawet mieszczenie się po stajniach, najprymitywniejsze pożywienie, szaty, przypominające raczej żebracze łachmany — oto wyniki obserwacji stosunków na wsi śląskiej i to w szczególności w okolicach polskich Śląska Dolnego i na Górnym Śląsku. Do tego dodawano w owych spostrzeżeniach nieodłącznie: straszną niewolę, wyzysk i nieludzkie traktowanie przez panów. W istocie szlachta śląska, przeważnie Niemcy lub zniemczali Polacy, zyskała sobie już u współczesnych nader smutną sławę. Była to warstwa nierobów i próżniaków, żyjących dostatnio (często ponad stan) kosztem krwawicy chłopa, odnosząca się z pogardą nie tylko do chłopa, ale przeważnie i do mieszczanina, pyszniąca się swym urodzeniem, zarozumiała a głupia, uważająca za jedynie godny dla ludzi swego stanu zawód oficerski albo urzędniczy (i to tylko gdy chodzi o wyższe stanowiska, głównie synekury!), znajdująca upodobanie przede wszystkim w pijaństwie i obżarstwie, łowach i rozpuście. W rękach takiej szlachty znajdowały się nierzadko ogromne latyfundia, gdzie na folwarkach pracował polski lud roboczy, zmuszany do pracy ponad siły, smagany za najlżejsze „przewinienie“ (lub po prostu za rzekomą opieszałość w pracy) przez pana lub jego ekonoma. W takim stanie rzeczy nie może dziwić niski stan umysłowy i cywilizacyjny chłopa. Zaniedbany przez całe wieki, chłop polski na Śląsku nie mógł czerpać ze źródła wiedzy, chyba tylko w wyjątkowo szczęśliwych wypadkach, a nie mógł ani marzyć o podniesieniu swej stopy życiowej. Podróżników po Śląsku uderzały liczne „wady“ ludu śląskiego: brak czystości, opilstwo, rzekoma skłonność do kradzieży, zabobon, a niektórzy dodawali lenistwo i tępotę. Powierzchowni lub niesumienni obserwatorzy życia śląskiego (zwłaszcza Niemcy) upraszczali sobie

sprawę w ten sposób, że to wszystko uważali „za wady narodowe“ polskie! Sumienniejsi, nawet objektywni Niemcy, jak pastor Pohle i wspomniany Schummel, starali się wniknąć głębiej w sprawę i dochodzili do wniosku jedynie słusznego, że taki stan rzeczy jest wynikiem przede wszystkim wiekowej niewoli chłopa śląskiego. Panowie to doprowadzili chłopa do skrajnej nędzy, której konsekwencją jest brud i pijaństwo — jedyna chwila zapomnienia dla uciśnionego, którego traktuje się w życiu codziennym gorzej jak bydlę robocze. O tępocie może tylko ten mówić, kto grzeszy wyraźnie złą wolą: a któż pozwolił kiedy chłopu na Śląsku kształcić się swobodnie, kto dał mu warunki po temu? Jeśli chłop śląski kradnie, to tylko z nędzy i z głodu. „Lenistwo i opilstwo są następstwami poddaństwa“ — pisze inny obserwator. Któż będzie się dziwić temu, że chłop nie wytęża (jeśli nie musi) wszystkich swych sił, skoro żyje w przeświadczeniu, że jest stale ofiarą niesłychanego wyzysku ze strony pana? Jakim prawem śmie się zarzucać lenistwo chłopu, który przez całe wieki pracował niestrudzenie dla pana i dla siebie? „Kto widział, jak chłop po odrobionej pańszczyźnie nocą nawet pracuje, aby gospodarstwo swe opatrzyć i zboże zebrać, kto go słyszy, jak o księżycu całą noc młóci, ten z dobrym sumieniem nie może mu zarzucać lenistwa“. Prawda, że religijność ludu śląskiego, zwłaszcza katolickiego, sprowadza się w istocie aż nazbyt często do czczej formalistyki praktyk religijnych, jak również i do zabobonu: ale to wina ogólnie niskiego stanu oświaty, o który nie dbali ani panowie, ani władze niemieckie, ani też duchowieństwo — przynajmniej w dostatecznej mierze. — Owi nieliczni uczciwi Niemcy stwierdzali otwarcie istotny powód szkalowania polskiego ludu śląskiego: nienawiść plemienną Niemców do Polaków. Pastor Pohle wprost pisał pod adresem swych ziomków: „Kochani niemieccy rodacy, przyznajcie tylko szczerze, że wy waszymi polskimi braćmi nie dla ich języka pogardzacie, ale ich dlatego lekceważycie, bo nie są Niemcami!“. Pastor uderzył w sedno rzeczy.

Historycy niemieccy niejednokrotnie podnosili rzekomą zasługę Fryderyka II na polu ulżenia doli chłopa. Naprawdę sprawa znowu przedstawia się nieco inaczej. Wprawdzie Fryderyk II wydał w r. 1764 edykt, nakazujący szlachcie zwrot przywłaszczonych nieprawnie majątków chłopskich (szlachta nagminnie praktykowała pod różnymi pretekstami takie metody, powiększając swój stan posiadania, a chłopów zamieniając na niewolnicze siły robocze): uczynił to król oczywiście nie z pobudek humanitarnych, lecz ze względów wojskowych i fiskalnych, gdyż wolny chłop nie tylko stanowił

najlepszego rekruta, ale też ponosił liczne świadczenia rzeczowe dla wojska, czego nie można było wymagać od chłopa poddanego, przygniecionego ciężarami pracy na rzecz pana. W oparciu o ten edykt starał się istotnie minister Schlabrendorf wziąć nieco w obronę chłopa przed wyzyskiem ziemian, m. i. dążąc do zapewnienia chłopu opieki prawnej, co przeważnie było niemożliwe wobec wpływów szlachty w sądach. To jednak już wystarczyło, by szlachta poruszyła wszystkie sprężyny na dworze królewskim, a w końcu doprowadziła do dymisji ministra: nie doczekał się zresztą formalnej dymisji Schlabrendorf, gdyż w toku sprawy umarł. Znamienne jednak jest właśnie stanowisko Fryderyka II: uległ on w zupełności naciskowi szlachty i orzekł, że zadaniem władz jest obrona przywilejów szlacheckich i obchodzenie się ze stanem szlacheckim „bardziej godne" (niż to czynił Schlabrendorf)! Król bowiem uważał szlachtę za podporę swego tronu. Spośród szlachty dobierał swój korpus oficerski i kadry urzędnicze. Szlachty nie chciał sobie zrażać i woiał jej przyznać słuszność, niż chłopu. W rezultacie następca Schlabrendorfa, Hoym, i minister sprawiedliwości, Carmer, dbali w pierwszym rzędzie o interesy szlachty. Tak wyglądała w istocie „dbałość" Fryderyka o dolę chłopa śląskiego.

Zrozpaczony chłop stosował na znak prostestu bierny opór a nawet porywał się do buntu. W r. 1765 zaczęła się ruchawka w Głubczyckiem: część chłopów uszła do Czech, inni zaś odmówili pańszczyzny i zwrócili się z petycją do władz. W odpowiedzi spotkali się z wyzwiskami i policzkami ze strony „landrata", a gdy to nie poskutkowało, przysłano do wsi szwadron huzarów. Chłopstwo rzuciło się wówczas na żołdaków pruskich z widłami i kijami, i odparło atak. Niebawem przysłały władze pruskie większy oddział wojska i ruch został oczywiście stłumiony. Nastąpiły represje: przewódców chłopskich ukarano śmiercią, innych dożywotnim lub wieloletnim więzieniem, z dodatkiem kar cielesnych. Mimo to ruchy chłopskie objęły w r. 1767 dalsze części Górnego Śląska, Rybnickie, Raciborskie, Pszczyńskie, Bytomskie: w powiecie Toszek-Gliwice zbuntowało się 40 wsi! Chłopi porzucili pracę i zbierali się w lasach, uzbrojeni w widły, siekiery i kosy. Los ruchawki był podobny, jak w Głubczyckiem. Nasłano regiment kawalerii, który krwawo stłumił powstanie. Teraz panowie srożyli się z wyrafinowanym okrucieństwem nad pokonanymi. W latach 1766—1768 wybuchły bunty chłopskie również na Śląsku Dolnym, w Oławskiem, w Kłodzkiem, Świdnickiem itd. Wszystkie zostały stłumione siłą.

Tak było za czasów Schlabrendorfa, którego szlachta nazywała „przyjacielem chłopów". W latach następnych ogólny kurs władz zmienił się jeszcze znacznie na niekorzyść chłopa, ale znowuż pewne, choć nieznaczne, odprężenie wprowadziła żywo podjęta akcja kolonizacyjna, która zapewniła również i części chłopów miejscowych nowe grunta i czasowe zmniejszenie świadczeń (do kolonizacji użyto w pewnej mierze chłopów z Dolnego i Górnego Śląska), oraz powiększyła nieco liczbę sił roboczych w kraju. Było to odprężenie tylko chwilowe. Niebawem sojusz władz pruskich ze szlachtą miejscową sprowadził jeszcze dalsze pogorszenie doli wieśniaczej. Wystarczy zaznaczyć, że ziemianie zaczęli narzucać kolonistom (zwłaszcza pochodzącym ze Śląska) normalne ciężary poddaństwa i pańszczyzny, choć im władze niedawno obiecywały wolność osobistą, a minister Hoym te praktyki szlachty w zupełności aprobował. Rezultatem było nowe wrzenie wśród chłopów śląskich. Do poważniejszych wystąpień doszło w r. 1780 w Pszczyńskiem, gdzie robotnicy rolni zastrajkowali i stawiali opór wojsku, dopóki ich nie złamały przysłane z Koźla silniejsze formacje kawalerii i piechoty. Przewódców wtrącono do więzienia, innych karano chłostą. Godne uwagi, że panowie krytykowali masowe aresztowania — bo to pozbawiało ich znowu sił roboczych! I w tym względzie władze uznały „słuszność" ich stanowiska: po rozruchach w Kluczborskiem (1781) postanowił Hoym zmienić nieco wymiar kar — wszak część buntowników może odpokutować właśnie ciężką pracą na folwarku pańskim, a dotknie się ich boleśniej przez konfiskatę własnej zagrody! Tak się też działo, jak minister orzekł. Chłopom odbierano zagrody i czyniono z nich zupełnych nędzarzy, zmuszonych do niewolniczej pracy, po której spoczynek krótki mieli — w stajni z bydłem! Podobny los spotykał całą rodzinę ukaranego chłopa. Karę zaś chłosty, wykonywaną z prawdziwie niemieckim sadyzmem, aprobował sam Fryderyk II: w r. 1782 wydał polecenie stosowania jej w hrabstwie kłodzkim, jako bardzo skuteczny wymiar kary na uczestników rozruchów, które tamże miały miejsce. Mimo drakońskich kar i represji kilkakrotnie jeszcze za rządów Fryderyka II wybuchały rozruchy chłopskie, najczęściej na Górnym Śląsku i w pogranicznych częściach Dolnego. Już z tego widać, że burzyła się przede wszystkim ludność polska, bo ta najgorzej była traktowana przez panów i przez władze. W związku z tym Niemcy nieraz twierdzili, że nie rząd ponosił winę takiego stanu rzeczy, lecz panowie miejscowi, którzy na terenie pogranicz-

nym nawykli stosować wobec chłopa metody „polskie", rzekomo szczególnie nieludzkie, wzorując się na swych sąsiadach spoza kordonu granicznego. Tymczasem wiadomo, że właśnie mnóstwo chłopów śląskich uchodziło podówczas spod władzy pruskiej — do Polski! W okresie panowania Fryderyka obliczano liczbę uchodźców na około 15.000. Ci uchodźcy mimo wszystko woleli stosunki polskie niż pruskie. Szerzony zaś przez Niemców mit o rzekomych staraniach rządu pruskiego w kierunku poprawy doli chłopa, rozwiewa bliższe przyjrzenie się stosunkom panującym na Śląsku, gdzie, jak wskazaliśmy, władze rządowe szły w istocie ręka w rękę z szlachtą, i pozwalały jej na otwarte sabotowanie tych nielicznych zarządzeń rządowych, które mogły włościaństwu przynieść jakąś ulgę. W sprawozdaniu komisji rolnej dla Śląska (z r. 1799) znajdujemy wyraźne i urzędowe stwierdzenie faktu, „że tak poważna klasa mieszkańców kraju (chłopów) przez tak wiele lat nie tylko nie znajdowała żadnej pomocy ze strony władz, ale nadto pozbawiona była wszelkiej opieki prawnej — wydana w zupełności na łup samowoli szlachty". Oto istotny stan rzeczy na Śląsku pod „światłymi" rządami Fryderyka II i jego następców.

W ostatnim dziesiątku lat zaczęły nadchodzić na ziemię śląską odgłosy rewolucji francuskiej. Spośród szczytnych haseł „wolności, równości i braterstwa" łowili Ślązacy szczególnie te dźwięki, które głosiły zniesienie poddaństwa i pańszczyzny. Jakże długo jeszcze przyszło chłopom czekać na ich urzeczywistnienie na ziemi śląskiej! Niecierpliwsi włościanie uciekali się znowuż w różnych częściach Śląska do strajków rolnych, które, jak zwykle, tłumiło wojsko. Hasła rewolucyjne wprowadziły podniecenie również i wśród rzesz rzemieślników śląskich, co przejawiło się w strajkach i zaburzeniach we Wrocławiu (1793 i 1796). Rząd pruski tłumił jednak wszelkie przejawy oporu bezwzględnie. Ówczesny król pruski Fryderyk Wilhelm II (1786—1797) tkwił zupełnie w tradycyjnych pojęciach monarchii absolutnej i uważał za swoją „powinność" tępienie ruchów demokratycznych. Rządy swe opierał wyłącznie na wyższych sferach, magnatach i szlachcie. W tych warunkach i władze pruskie na Śląsku w wyższym jeszcze stopniu protegowały ziemian, doprowadzając do rozpaczy chłopów. Właśnie za czasów Fryderyka Wilhelma II ozwały się głosy kilku światlejszych Niemców, jak profesora Schummla i pastora Pohlego, biorące w obronę lud polski Górnego i Dolnego Śląska przed strasznym wyzyskiem panów. Głosy te pozostały odosobnione i nie zna-

lazły echa należnego w społeczeństwie niemieckim. Mógł sobie Schummel czy Pohle wypisywać, że Polacy nie są ludźmi niższej kategorii od Niemców — ogromna większość narodu niemieckiego wzruszała ramionami i myślała swoje. Zwłaszcza, że zagadnienia społeczne na Śląsku łączyły się silnie z problemem narodowościowym. Chłop niemiecki na Dolnym Śląsku był na ogół w lepszej sytuacji, bo i ziemię miał lepszą i od dawna zapewnił sobie jako przybysz, kolonista, lepsze warunki bytu: podobnie rzecz się miała z kolonistami z Niemiec na Górnym Śląsku, choć już tutaj panowie, przywykli do trzymania chłopa w niewoli, krzywo się patrzyli na przywileje, przyznane przez Fryderyka II kolonistom i w miarę możności starali się je ograniczyć. W każdym razie dola chłopów niemieckich była bez porównania lepszą niż polskich, na których skrupiał się cały wyzysk panów niemieckich, pewnych, że za Polakiem śląskim nikt z władz szczerze się nie ujmie. Ziemianie z okolic polskich Śląska podtrzymywali też przede wszystkim świadomie owe niepochlebne opinie o ludzie polskim: oni właśnie rozgłaszali celowo wieści o ciemnocie, tępocie, brudzie, lenistwie i zbrodniczych skłonnościach ludności polskiej Śląska, by znaleźć jakie takie pokrycie dla swych metod brutalnego ucisku. A władze rządowe pruskie metody te aprobowały w zupełności.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

W drugiej połowie XVIII w. zaszły w dziedzinie życia gospodarczego Śląska ważne wydarzenia, które niebawem miały wywrzeć wpływ ogromny również i na dolę ludu polskiego. Na ziemi śląskiej leżały przebogate pokłady mineralne, które już w wiekach średnich starano się wydobyć na powierzchnię i zużytkować dla życia gospodarczego. W owych początkach górnictwa śląskiego działała inicjatywa polska i dopiero późniejsze nieszczęsne koleje Śląska, a zwłaszcza przejście pod rządy habsburskie, oraz wieloletnie zaniedbywanie kraju przez Habsburgów, jak też i wojny, jakie sprowadzili na ziemię śląską, spowodowały w sumie zupełny upadek górnictwa. Władze pruskie zainteresowały się górnictwem śląskim, oczywiście przede wszystkim pod kątem widzenia możliwości zysku z tego źródła dla skarbu państwa. W lepszym stanie znalazły kopalnie w okolicy Wałbrzycha, gdzie też rychło rząd pruski podjął starania celem ożywienia produkcji i eksportu węgla przez budowę dróg i otwarcie możliwości transportowych. O wiele gorzej było na Górnym Śląsku, gdzie komisja królewska pruska na-

potkała tylko trzy kopalnie, właściwie w rodzaju „bieda-szybów", a to dwie kopalnie węgla w Bytomskiem i w Pszczyńskiem, oraz jedną kopalnię galmanu (Gieschego) w Szarleju. W r. 1770 czynnych było w całym górnictwie górnośląskim jedynie 247 robotników! Wysiłki prywatnych jednostek, pragnących podnieść górnictwo z upadku, paraliżowane były przez zbyt wielkie ciężary podatkowe i daniny: obok podatków na rzecz państwa musiał bowiem przedsiębiorca ponadto płacić wysokie daniny właścicielom gruntów, Hencklom-Donnersmarckom.

Dopiero około r. 1780 rząd pruski zajął się bliżej sprawą ożywienia górnictwa górnośląskiego, przy czym znalazł właściwego człowieka dla tej sprawy w osobie inżyniera Redena, Niemca, który zapoznał się z górnictwem i hutnictwem w Anglii, gdzie w tych dziedzinach zaznaczył się już w ciągu XVIII wieku postęp ogromny. Wedle propozycyj Redena rząd wziął na siebie inicjatywę rozbudowy górnictwa, zaczynając od umowy z Hencklem Donnersmarckiem, na mocy której zapewniono temu magnatowi śląskiemu procent od przyszłych zysków z produkcji górniczej. Reden został mianowany dyrektorem urzędu górniczego dla Górnego Śląska, z siedzibą w Tarnowskich Górach. Pracę swą rozpoczął od usunięcia wód podziemnych, które często zalewały i niszczyły kopalnie: w związku z tym użyto po raz pierwszy na Śląsku sprowadzonej z Anglii maszyny parowej. Próbując coraz nowych wierceń, w poszukiwaniu przede wszystkim ołowiu i srebra — dopiero z czasem zrozumiano w pełni znaczenie gospodarcze węgla — tworzył coraz nowe szyby. Reden ocenił w pełni znaczenie terenu górnośląskiego, widząc tutaj niezwykle korzystne możliwości związania górnictwa z przemysłem. Za jego tedy staraniem powstały na Śląsku pierwsze wysokie piece, przeznaczone do przerabiania surówki żelaza przy pomocy wytwarzanego z węgla koksu. Zasięgał w tym względzie rad rzeczoznawców angielskich, z których jeden, inżynier hutniczy ze Szkocji Baildon, pozostał na stałe na Śląsku i przyczynił się walnie do zorganizowania przemysłu śląskiego. Reden opowiadał się w pierwszym rzędzie za utrzymaniem górnictwa w rękach rządowych. W Berlinie jednak ścierały się różne wpływy i w rezultacie zgodzono się również na dopuszczenie inicjatywy prywatnej. Powstały tedy niebawem prywatne przedsiębiorstwa górniczo-hutnicze Donnersmarcka i Hohenlohego. — Zaznaczyć należy, że obok Redena i Baildona poważny wkład w początki nowoczesnego górnictwa i hutnictwa górnośląskiego

wnieśli Polacy: Mielęcki i Bogacz, pracujący w urzędzie górniczym w Tarnowskich Górach.

Początki nowoczesnego górnictwa i przemysłu górnośląskiego zaważyły w znacznej mierze na dalszych losach ludności polskiej tej ziemi. Dla uciemiężonego ludu polskiego spowodowały pewne, na razie jeszcze niewielkie, odprężenie: górnictwo i przemysł potrzebowały rąk do pracy, tedy przedsiębiorcy musieli sięgnąć przede wszystkim do robotnika miejscowego — polskiego, zwłaszcza że ten przy ówczesnej nędznej stopie życia masy ludności górnośląskiej zadowalał się małym zarobkiem, a pracował z całym wytężeniem. Zatrudnienie ludności miejscowej w przemyśle musiało odbywać się zrazu w mierze ograniczonej, gdyż ciężary poddaństwa nie pozwalały chłopu porzucać swobodnie ziemi pańskiej. Niemniej już pewna część ludności znalazła zatrudnienie w górnictwie i przemyśle, a ponadto chłopi mieli dodatkową możność zarobkowania (jak np. przy przewozie, dostarczając koni), co ułatwiało po trosze ich dole. Reden sprowadzał robotników też i z innych terenów, zwłaszcza z pobliskich ziem polskich (późniejsze Zagłębie Dąbrowskie), zagrabionych przez Prusy w trzecim rozbiorze. Dla tych robotników założono osobne osady: największa z nich to dzisiejszy Chorzów (Królewska Huta), gdzie w r. 1798 powstało 8 pierwszych domów dla rodzin robotniczych. — Rozwój górnictwa i przemysłu wywarł przecież i inne skutki. Na koniunkturze żerowali przede wszystkim przedsiębiorcy niemieccy, jak wspomniani Hencklowie-Donnersmarckowie, Hohenlohe czy inni. Powstała klasa nowych „królów" przemysłu, oczywiście Niemców: wokoło nich gromadzili się inżynierowie niemieccy, urzędnicy, dozorcy, sztygarzy. Cała ta górna warstwa niemiecka zagarniała główną część zysków, zostawiając dla polskiego robotnika ledwie ochłapy. Co więcej, w następstwie rozwoju górnictwa i przemysłu wyrastały w ciągu najbliższych lat wielkie miasta na Górnym Śląsku, gdzie znów niemczyzna wiodła prym. Na terytorium polskim, gdzie od wieków mieszkał chłop polski, a tylko z rzadka rozrzuceni byli panowie niemieccy, wzrastały teraz miasta niemieckie. One to, w wyższym stopniu niż nieliczne kolonie wiejskie niemieckie, nadawały krajowi pokost niemczyzny. Na przełomie XIX i XX wieku tworzyły się wyspy niemieckie w morzu polskim, popierane żywo przez władze pruskie, gdyż (poza korzyściami gospodarczymi) stwarzały one pozory niemieckości kraju.

Rozdział XXX

ROZBIORY POLSKI — CZASY NAPOLEOŃSKIE

Zniszczenie dawnego państwa polskiego było od dawna planowane przez politykę pruską. Właśnie Fryderyk II podał projekt pierwszego rozbioru Polski (1772), a następnie polityka pruska pilnie baczyła, by wyzyskać każdą nadarzającą się okazję do zagrabiania dalszych ziem polskich. W rezultacie Prusy uczestniczyły i w obu dalszych rozbiorach Polski (1793 i 1795), dotrzymując kroku carskiej Rosji, a dystansując Austrię (która brała udział w pierwszym i trzecim rozbiorze). Tak upadło dawne państwo polskie, na skutek aktów przemocy sąsiednich potęg oraz słabości wewnętrznej, za co winę ponosi rządząca w Polsce warstwa magnacko-szlachecka, tkwiąca w egoizmie interesów stanowych, nie rozumiejąca w swej masie ogólnej konieczności reform społecznych i ustrojowych. Co prawda i w tej warstwie znalazły się jednostki, które potrafiły się zdobyć na właściwą ocenę sytuacji i podniosły program reformy państwa: do tego grona światłych należał, a nawet nieraz mu przodował, ostatni król polski Stanisław August Poniatowski — charakter zresztą słaby, nie na owe ciężkie czasy. Tragedią jednak Polski było, że zbyt późno zabrano się do reform, że nadto już wówczas państwa zaborcze nie dopuściły do naprawy państwa, którego istnieniu chciały kres położyć. Upadło tedy państwo polskie w chwili, gdy z uchwaleniem Konstytucji 3 Maja 1791 r. wkroczyło na drogę zbawiennych reform społecznych i politycznych, wyprzedzając pod niejednym względem państwa sąsiednie: gdy zwłaszcza w powstaniu, które wzniecił r. 1794 przeciwko obcej przemocy naczelnik Tadeusz Kościuszko, rozwinięto znacznie jeszcze śmielszy program reform społecznych, naprawiający wiekową krzywdę, wyrządzaną stanowi włościańskiemu. Nie uratowało to niestety bytu niepodległego państwa. Ale dzięki Konstytucji 3 Maja i powstaniu Kościuszki pokolenie światłych reformatorów przekazało przynajmniej następnym

pokoleniom piękny testament Polski gasnącej, który dla całych generacji narodu polskiego był pieczołowicie przechowywanym programem Polski przyszłej, o jaką niestrudzenie walczyły, Polski lepszej od dawnej, Polski demokratycznej.

Na Śląsku rozbiory Polski nie odbiły się poważniejszym echem. Zrozumiałe to, skoro Rzeczpospolita szlachecka od dawna już nie interesowała się losem ziemi śląskiej, skoro kontakty polsko-śląskie osłabły jeszcze znacznie po zagarnięciu Śląska przez Prusy. Natomiast godne uwagi, że właśnie hasła demokracji polskiej, próbującej w ostatniej chwili ratować upadające państwo, wywołały odgłosy na Śląsku. Jak stwierdza historyk niemiecki, Ziekursch, w r. 1794 wybuchły na Śląsku rozruchy chłopskie — pod wpływem zarazem haseł rewolucyjnych francuskich i polskich, w dobie powstania Kościuszkowskiego. Zostały oczywiście stłumione przez władze, jak poprzednie rozruchy chłopów śląskich, jak i następne, które przybrały poważniejsze rozmiary zwłaszcza na Górnym Śląsku w r. 1796 i 1799, obejmując całe niemal powiaty. Chłopstwo śląskie nie posiadało dostatecznej siły i organizacji do wywalczenia sobie należnych praw: w tych warunkach stałe przymierze panów śląskich i władz pruskich bez większych trudności mogło dławić wszelkie przejawy oporu chłopa, dysponując wojskiem, istotną podstawą, na której opierało się biurokratyczno-militarne państwo pruskie. Niemniej ważne jest stwierdzenie owych pierwszych znamion łączności ludu śląskiego ze sprawą walki o niepodległość Polski w imię haseł równości i sprawiedliwości społecznej.

Przemoc państw, opartych na systemie absolutyzmu i militaryzmu, gniotła zrazu wszystkie przejawy dążeń wolnościowych i demokratycznych, starając się przede wszystkim środkami policyjnymi powstrzymać przenikanie haseł Wielkiej Rewolucji francuskiej. Ale niebawem cały porządek rzeczy w Europie został wstrząśnięty w posadach, gdy armie rewolucyjne francuskie zaczęły zadawać poważne ciosy na polach bitew armiom austriackim i pruskim. Z początku niosły one na swych sztandarach hasła rewolucyjne: Wolności, Równości, Braterstwa, i próbowały szerzyć istotnie te szczytne hasła. Niebawem jednak rządy we Francji uchwycił Napoleon Bonaparte, który zręcznie wyzyskał młode siły demokracji francuskiej dla własnych ambicji władczych i skierował je w łożysko imperializmu francuskiego, podniecając ambicje Francuzów do hegemonii w Europie. Tytan energii i woli, „Bóg wojny", zaczął burzyć od wieków ustalony układ stosunków polityczno-państwowych w Europie (zburzył np. zmurszałą budowlę starego „cesarstwa

rzymskiego narodu niemieckiego"), rzucając rękawicę tradycyjnym potęgom. Wojenny taniec rozpętał się na dobre w Europie, wciągając w swe wiry coraz nowe państwa. W r. 1805 Napoleon rozgromił Austrię i pokonał orężnie armię cara Rosji, Aleksandra. W r. 1806 przyszła kolej na Prusy, które wobec stron walczących prowadziły zwykłą swą perfidną grę, spodziewając się oszukaństwem i szantażem wyciągnąć dla siebie jak największe korzyści. W tym wypadku przecież owa gra pruska zawiodła. Poznał się na niej doskonale Napoleon i wiedział co sądzić o rzekomej „neutralności" Prus, które tylko czyhały, by zadać cios w plecy Francji — kiedy tylko będzie to można wykonać bez większego ryzyka. W r. 1806 postanowił skończyć z Prusami.

Państwo pruskie żyło mitem swej niepokonalnej armii, który szerzyli w całej Europie władcy i politycy pruscy od czasów Fryderyka II. W istocie jednak wiele się zmieniło od owych czasów — w samym państwie pruskim. Na czele państwa stali władcy bądź nieudolni, jak Fryderyk Wilhelm II, bądź przeciętni, jak Fryderyk Wilhelm III (1797—1840). Tacy władcy otaczali się przeważnie podobnymi ministrami i politykami, którzy nie umieli lub nie chcieli wlać nowych prądów ożywczych w państwo, oparte na bezdusznym schemacie biurokratyczno-militarnym. Wchłonięcie ogromnych obszarów polskich (Pomorza, Wielkopolski, Mazowsza i Kujaw, nawet części Małopolski) nie posłużyło państwu pruskiemu: coraz widoczniejsze było, że tworzy ono sztuczny zlepek różnych terytoriów i narodowości, związanych jedynie siłą w jeden kompleks administracyjny. Obok przeciwieństw narodowych, również i religijnych, wyłaniały się z wzrastającą siłą przeciwieństwa społeczno-gospodarcze. Podporą biurokracji i armii, a więc głównych nerwów państwa pruskiego, była szlachta, która uprawiała kastowość, trzymając w ucisku chłopów, niewiele lepiej obchodząc się i z mieszczaństwem, sama korzystając z pełni przywilejów. Armia popadła w rozkład wewnętrzny: była ona domeną wyłączną zarozumiałych a głupich, na pozór ogładzonych, w istocie grubiańskich i brutalnych oficerów-junkrów, sybarytów i sadystów zarazem, pastwiących się przy pomocy zwierzęcej tresury nad znękanym moralnie i fizycznie, przeważnie cierpiącym nędzę rekrutem. Nic dziwnego, że pogardzane i poniewierane masy ludności wsłuchiwały się w hasła humanitaryzmu doby Oświecenia i w odgłosy demokracji francuskiej. Nie pomagały represje policyjno-wojskowe butnych kierowników państwa pruskiego. Budowla murszała i przy silniejszym podmuchu groziła zawaleniem.

A podmuch przyszedł nie lada. W r. 1806 Napoleon uderzył z całą potęgą na Prusy. W październiku t. r. w bitwach pod Jeną i Auerstädt został zniszczony trzon na pozór świetnej armii pruskiej. Niebawem Napoleon stanął w Berlinie. Zwycięskie armie francuskie pędziły przed sobą rozbite oddziały pruskie ku tzw. Prusom Wschodnim, gdzie szukał schronienia również król pruski Fryderyk Wilhelm III z całym dworem, licząc na pomoc cara Aleksandra. W Wielkopolsce i na Mazowszu wybuchło powstanie polskie. Wraz z armiami Napoleona wracali na ziemię polską emigranci, którzy nigdy nie stracili wiary w przywrócenie niepodległości Polski i na ziemi włoskiej tworzyli legiony polskie pod wodzą gen. Henryka Dąbrowskiego. Tam to, na ziemi włoskiej, zrodziła się przepojona gorącą nadzieją pieśń Józefa Wybickiego: *Jeszcze Polska nie zginęła!* Z tą pieśnią na ustach wracali niezrażeni ciężkimi chwilami wyczekiwania weterani legionowi, wierząc, że teraz, po rozbiciu głównego wroga Polski — Prus, nadejdzie wreszcie moment upragniony odrodzenia państwa polskiego. Napoleon obiecał w Berlinie Polakom, że odbuduje państwo polskie; i tą nadzieją ożywiony powstał naród polski do walki z odwiecznym wrogiem.

Tymczasem Śląsk był jeszcze w rękach pruskich. Główne armie francuskie parły na wschód, by wywalczyć ostateczne rozstrzygnięcie wojny. W wielkich planach militarnych Napoleona Śląsk miał znaczenie drugorzędne i całe tygodnie przeszły, zanim cesarz Francuzów pchnął tam swoje wojska. Wyzyskali zwłokę dowódcy pruscy na Śląsku: ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zaczęli organizować obronę kraju, umacniając zwłaszcza twierdze zbieranym pospiesznie żołnierzem. W listopadzie pojawiły się wreszcie orły napoleońskie na ziemi śląskiej. Na zdobycie Śląska wyprawił Napoleon korpus IX swej armii pod komendą swego brata, ks. Hieronima: w korpusie tym niewielu było zresztą Francuzów, a głównie wojska posiłkowe niemieckich sojuszników Napoleona — oddziały bawarskie, saskie i wirtemberskie. Po miesięcznym oblężeniu zdobył korpus napoleoński Głogów (3 grudnia). Również miesiąc czasu zabrało oblężenie Wrocławia (twierdza padła 7 stycznia 1807). W dzień po kapitulacji wkroczył do stolicy Śląska zwycięski wódz, Hieronim Bonaparte. Niebawem w ręce francuskie wpadł Brzeg, następnie Świdnica. Broniły się jeszcze garnizony pruskie w Koźlu i w Kłodzku. W różnych częściach kraju krążyły jeszcze rozbite oddziały pruskie, prowadząc walki podjazdowe z wojskami Bonapartego.

Z chwilą wkroczenia wojsk francuskich w wielu wsiach na Śląsku ludność przestała odrabiać pańszczyznę i płacić czynsze panom. W roku 1807 wybuchły strajki rolne w Namysłowskiem i w Oleśnickiem. Nadto ludność polska ujawniła swe nastroje przez uchylanie się od poboru do wojska pruskiego; jeśli to się nie udało, Polak śląski zbiegał przy pierwszej okazji z szeregów i poddawał się wojskom francuskim. Ale do powstania polskiego na Śląsku nie doszło podówczas. Odgłosy powstania w sąsiednich powiatach Mało- i Wielkopolski docierały na Śląsk, ale silniejszego echa nie wywołały. Przyczyna takiego stanu rzeczy zupełnie jasna: Polak śląski, oderwany przed wiekami od macierzy, zmuszony do słuchania obcych panów, zapomniany przez swych współbraci z innych prowincji Polski, nie posiadał uświadomienia narodowego. W tę masę, pogłążoną w letargu, trzeba była dopiero wlać nowe życie. Polak śląski panów pruskich nienawidził i dawał temu po swojemu wyraz. Ale nie pojmował jeszcze dostatecznie, w jaki sposób inaczej może kształtować swą przyszłość. Do pojawiających się od strony pogranicza polskiego oddziałów polskich ustosunkowywał się życzliwie, rad, że to ludzie swoi, mówiący tym samym polskim językiem. Takie nastroje ludności górnośląskiej stwierdził np. porucznik Trembecki, wysłany na ten teren przez komendanta organizujących się w pogranicznych ziemiach województwa krakowskiego oddziałów pospolitego ruszenia polskiego. Zapuścił się pod Koźle i wszędzie znajdował „zaufanie obywateli niektórych", a szczególnie życzliwe przyjęcie u pospólstwa, które witało żołnierzy polskich „radosnymi okrzykami" i prosiło o ochronę przed komendami pruskimi w miastach większych. Wkroczenie poważniejszych sił polskich byłoby może wywołało wyraźne wystąpienie ludności przeciw Prusakom. Tymczasem jednak wszystkie niemal sformowane w Mało- i Wielkopolsce oddziały zbrojne musiano wysyłać na rozkaz Napoleona pospiesznie na główny front wojenny, na Pomorze i do Prus Wschodnich. Na pograniczu pozostały tylko drobne zastępy partyzanckie, nie ujęte jeszcze dostatecznie w kluby dyscypliny wojskowej. Pojawienie się takich partyzantów (jak np. grupy Jana Sułkowskiego, który chwilowo nawet opanował z wiosną 1807 r. Gliwice i Mikołów) nie wzbudziło zaufania do sił zbrojnych polskich, zwłaszcza że przeważające liczbą i uzbrojeniem wojska pruskie łatwo wyparły przybyszów. W tych warunkach trudno było oczekiwać jasnego wystąpienia Ślązaków. Nie wiedzieli nawet na pewno, czy

ich Polska przytulić chce do swego łona, bo ani ręki porządnie do nich nie wyciągnięto.

Na domiar w całym kraju akcja bojowa pruska odżyła w początkach 1807 r., gdyż znaczną część formacyj IX korpusu francuskiego odesłano na główny front wojenny. Komendant pruski w Kłodzku Götzen kierował akcją, która miała nawet oczyścić Śląsk z oddziałów francuskich! Pod Kątami zadali Prusacy porażkę Bawarczykom, walczącym po stronie francuskiej. W takiej chwili przybył od granicy saskiej na ziemię śląską pułk ułanów polskich, nadciągający z Włoch (z dawnych formacji legionowych). Oddział pruski, ośmielony sukcesem pod Kątami, uderzył na Polaków pod Strzygłowem (w maju 1807 r.). Rychło Prusacy przekonali się na własnej skórze, że Polacy — to nie Bawarczycy. Ułani rozgromili zupełnie zastęp pruski, biorąc kilkuset jeńców (m. i. komendanta pruskiego) i zdobywając armaty. Po zwycięstwie strzygłowskim ułani polscy odbyli wjazd do Wrocławia (przez bramę Oławską), witani uroczyście przez Hieronima Bonapartego. Wedle relacji współczesnej pułk polski, „lubo nie bardzo strojny na zdrożonych koniach, wielce się wrocławskiej ludności podobał".

Niebawem przybyły na Śląsk i inne formacje polskie z Włoch, mianowicie kadry dawnych pułków legionowych, które następnie uzupełniano nowym rekrutem z Polski. Tak Wrocław stał się ośrodkiem dla zreorganizowanej dawnej legii włoskiej, obecnie formowanej pod nazwą „nadwiślańskiej". Poza Wrocławiem zajęli Polacy kwatery w Nysie, Prudniku, Głogówku i Białej. Od czasów przemarszu wojsk Sobieskiego po raz pierwszy Śląsk widział regularne wojsko polskie. Wspomnienia tych chwil zapisały się w pamięci Ślązaków. Niestety sprawa polska nie potoczyła się po myśli Polaków, którzy tak wielkie nadzieje związali z Napoleonem. Zrazu spodziewano się, że Napoleon zniszczy w ogóle państwo Hohenzollernów i z taką myślą cesarz istotnie się nosił. Naraz, po krwawych walkach z resztkami wojsk pruskich i Rosjanami na terenie Prus Wschodnich (które wypadły dla Francuzów zwycięsko), zawarł Napoleon z Rosją i z Prusami pokój w Tylży (w maju 1807 r.), w którym wprawdzie okroił państwo pruskie, ale je zachował. Wobec Polaków wywiązał się tylko w drobnej części ze swych przyrzeczeń, tworząc z ziem drugiego i trzeciego zaboru pruskiego tzw. Księstwo Warszawskie (przy czym Gdańsk miał być „Wolnym Miastem"). Nawet więc nazwy „polskie" nie dał swemu tworowi, lecz tylko „warszawskie": nie chciał bowiem zrażać sobie zbytnio

innych zaborców Polski. W rękach pruskich pozostały dwie cenne ziemie Polskie: Pomorze i Śląsk, bez których nie było mowy o naprawdę niepodległym państwie polskim. Co do Śląska, to Napoleon nawet wówczas, kiedy myślał o zupełnej likwidacji państwa pruskiego, nie zamierzał wcielać tej krainy do Polski, lecz planował oddanie jej Austrii w zamian za tzw. Galicję, którą Austria odstąpiłaby Polsce. Następnie plany cesarza uległy zmianie i Śląsk pozostał przy Prusiech.

Napoleon popełnił w owej chwili jeden z najcięższych swych błędów, gdy zrezygnował z likwidacji państwa pruskiego. Nie tylko zawiódł oczekiwania Polaków, którzy krwawili się pod jego sztandarami w nadziei należnej nagrody i liczyli przynajmniej na odzyskanie Pomorza (niektórzy myśleli i o Śląsku!), — ale zaszkodził przede wszystkim sobie. W państwie pruskim bowiem miał nadal wroga nieprzejednanego, upartego a perfidnego, umiejącego łudzić pozorami uległości a nawet przyjaźni, czym tylko pokrywano zręcznie nienawiść i żądzę odwetu. Prusy łasiły się wobec Napoleona silnego i potężnego, nie zaprzestając ani na chwilę prowadzenia przeciwko niemu podziemnych intryg. Gdy tylko Napoleonowi noga się powinie, wyciągną nóż — by zadać mu cios w plecy.

Napoleon kazał Prusom zapłacić duże odszkodowanie wojenne: jako zastaw tych sum pozostawił załogi wojskowe francuskie w Szczecinie, Kostrzyniu i Głogowie. Dzięki temu Głogów był nadal w ręku Francuzów, aż do r. 1813. W latach 1809/10 część garnizonu głogowskiego stanowiły oddziały kawalerii polskiej Księstwa Warszawskiego.

W każdym razie Prusy poniosły straszną, bezprzykładną klęskę, która króla pruskiego i jego otoczenie mocno otrzeźwiła z poprzedniego zamroczenia mitem „niezwyciężalności" państwa „fryderycjańskiego". Nowi ministrowie pruscy, Stein i Hardenberg, podjęli pracę reformatorską w dziedzinie społecznej, administracyjnej, gospodarczej itd. Przede wszystkim edyktem królewskim z dnia 9 października 1807 r. zniesione zostało poddaństwo chłopa; dzięki temu mógł wreszcie chłop rozporządzać swą osobą i przenosić się bez zezwolenia pana na inne miejsce, co wpłynęło wydatnie na zasilenie siłami roboczymi górnictwa i przemysłu śląskiego. Należy zaznaczyć, że polskie części Śląska korzystać mogły z tego prawa dopiero ze znacznym opóźnieniem, gdyż władze miejscowe w porozumieniu z ziemianami, przerażonymi perspektywą utraty znacz-

nej liczby rąk do pracy na roli, trzymały jakiś czas edykt królewski w tajemnicy; w końcu ogłosiły go wprawdzie, ale ponieważ chłop polski przeważnie nie umiał czytać po niemiecku, starano się edykt tłumaczyć nader wykrętnie, by przecież pozbawić chłopa przynajmniej części przyznanych mu korzyści. W istocie odroczono na Górnym Śląsku uwłasnowólnienie chłopa do końca prawie r. 1810. Równocześnie starano się opanować rosnące wśród chłopów wzburzenie zapowiedziami reform, które miały zapewnić chłopu uwłaszczenie, tj. nadanie ziemi na własność dziedziczną i uwolnienie od ciężarów pańszczyźnianych. Tymczasem minął rok 1810 i o uwłaszczeniu nie było mowy: przeciwnie, ogłoszono, że ciężary i powinności chłopskie na rzecz pana nadal obowiązują, a nawet je zaostrzono! Wieśniak górnośląski przekonał się, że go oszukują. W Głubczyckiem i Raciborskiem wybuchły rozruchy chłopskie. W Raciborzu 19 wsi zawarło umowę, spisaną w języku polskim, w której zobowiązały się wspólnie postępować w obronie interesów chłopskich. Wkrótce do związku przystąpiły dalsze wsi, tak że razem 81 wsi objęła ruchawka chłopska. Gromady chłopów zaczęły napadać na dwory ziemian i na księży, domagając się wydania prawdziwych edyktów królewskich, które rzekomo zapewniały im wolność i uwłaszczenie: naiwni, nie wiedzieli, że już rząd ustąpił pod naciskiem szlachty i popierał jej interesy! Nasłano na chłopów oddziały wojska, którym chłopstwo zrazu stawiało opór, ale w końcu uległo przemocy.

Rząd zdobył się wreszcie na zaoranie głosu w tak palącej sprawie uwłaszczenia i we wrześniu 1811 r. wydał tzw. edykt regulacyjny. Miał on ustalić, na jakich zasadach może chłop stać się właścicielem gruntu. A więc chłop, posiadający około 50 morgów, czyli tzw. gbur, mógł uzyskać prawo własności do ziemi, jeśli zaspokoi pretensje pana przez oddanie mu ½ (w niektórych wypadkach ⅓) gruntu; nadto chłop musiał przejąć wszystkie ciężary gminne i długi, wiszące na całym gruncie, tak na części oddanej panu, jak i własnej: ponieważ zaś przeciętnie grunta w polskich częściach Śląska były zadłużone do 43% ogólnej wartości, tedy część chłopska przejmowała zadłużenie do 86% wartości! Dodać należy, iż chłop „uwłaszczony" tracił oczywiście prawo do pańskiego lasu i pastwisk, do zapomóg w zbożu siewnym i do pomocy przy naprawie budynków itd., co dotychczas wchodziło w zakres świadczeń pana dla chłopa pańszczyźnianego. Jeszcze gorsza była dola chłopów-zagrodników, tj. posiadających przeciętnie poniżej 30 morgów: taki

musiał oddać za uwłaszczenie większą część posiadanej ziemi, zachowując (na wniosek hrabiego Donnersmarcka!) tylko chatę i 4—5 morgów ziemi! Widać więc, jak wyglądała „łaska" rządu pruskiego dla chłopa śląskiego. O perfidii pruskiej świadczy najlepiej fakt, że takie przepisy wydane zostały specjalnie dla „polskiego Śląska": cel pruski był wyraźny — chodziło o to, aby jak najmniej chłopów polskich mogło korzystać z prawa do uwłaszczenia, aby równocześnie panom niemieckim nie tylko nie zrobić najmniejszej „krzywdy", lecz przeciwnie, powiększyć ich stan posiadania przez otwarcie możliwości zagarnięcia wielu tysięcy morgów ziemi, należnej chłopu. Historyk niemiecki Ziekursch sam stwierdził po dokładnym zbadaniu doli chłopa śląskiego, że w ówczesnych warunkach Górnoślązak, który chciał być uwłaszczonym, musiał tę zdobycz okupić „straszliwymi ofiarami": stawiało to w ogólności całą „zdobycz" pod znakiem zapytania. W następnych zaś latach nowe edykty rządowe i praktyka władz oraz ziemian w polskich częściach Śląska sprawiły, że tylko niewielka ilość „gburów" doszła do prawa własności; w ciągu całych 10 lat ani jeden „zagrodnik" nie zdołał przeprowadzić „regulacji" z właścicielem, a więc nabyć choćby kilku morgów gruntu na własność. — Dodajmy wreszcie, że i chłop uwłaszczony musiał przejąć na siebie tyle ciężarów, że w praktyce nadal był bardzo silnie zależny od pana i uginał się pod brzemieniem przeróżnych służebności. Tak wyglądała pruska sprawiedliwość społeczna w okresie „reformatorskim", którym się tak nieraz szczycą pisarze niemieccy: owszem, sprawiedliwość była — ale nie dla Polaków!

Skarb pruski był pusty. Należało płacić ratami odszkodowanie Francji, a równocześnie — gotować się do nowej wojny, odwetowej. Tedy w r. 1810 rząd pruski nakazał zniesienie wszystkich klasztorów, o ile nie zajmowały się nauczaniem lub szpitalnictwem, oraz konfiskatę ich majątków. Edykt ten dotknął m. i. klasztory franciszkanów (reformatów) w Gliwicach i na górze św. Anny, które dotąd należały do prowincji małopolskiej (z siedzibą główną w Krakowie) i wytrwale broniły się przed zakusami germanizacji. Kasata tych ośrodków polskich, z których zwłaszcza klasztor na górze św. Anny pełnił ważne zadanie podtrzymywania wśród ludności polskiej mowy, oznaczała dotkliwy cios dla polskości Górnego Śląska. Większość zakonników — Polaków wypędzono z terenu Śląska; tylko kilku utrzymało się w charakterze kapelanów lub wikarych.

Od dawna kłuła Prusaków szczególnie w oczy tradycyjna przynależność dekanatów bytomskich i pszczyńskich do diecezji krakowskiej. Dzięki temu bowiem stanowiska kapłańskie obsadzała kuria biskupia krakowska często ludźmi z Małopolski, obok Ślązaków, co w znacznej mierze podtrzymywało związki tej części Górnego Śląska z Polską. W r. 1789 wydał jednak Fryderyk Wilhelm II zakaz przyjmowania „obcych" księży, tj. pochodzących z Polski. Na domiar pobliskie terytoria Małopolski zostały w pierwszym rozbiorze wcielone do Austrii, co również utrudniło dopływ kandydatów z tych ziem na Śląsk. W tych warunkach pozostała jedyna możliwość zapewnienia dopływu nowych kapłanów na probostwa i wikariaty w wspomnianych dekanatach: przez kształcenie na księży Ślązaków. Rozumiały to władze biskupie w Krakowie i właśnie w owych latach chętnie przygarniały Ślązaków, chcących odbyć studia w Krakowie, gdzie można ich było przysposobić do stanu duchownego kształcąc w duchu katolickim i — polskim. Były to czasy odrodzenia Uniwersytetu Krakowskiego, przemianowanego podówczas na Szkołę Główną Koronną, zreformowaną na sposób nowożytny przez ks. Hugona Kołłątaja. Ustrój „kołłątajowski" uczelni krakowskiej przetrwał rozbiory i utrzymał się nawet jakiś czas pod rządami austriackimi (do r. 1803). Otóż właśnie w okresie 1780—1803 zaznaczyła się ożywiona frekwencja studentów śląskich, przeważnie z Górnego Śląska zaboru pruskiego (po części z Cieszyńskiego): liczba studentów śląskich dochodziła do 15% ogólnej liczby. Garnęli się Ślązacy do krakowskiego ogniska wiedzy, mimo utrudnień a nawet zakazów wyjazdu, wydawanych przez władze pruskie. W r. 1809 Kraków przyłączony został (po wojnie francusko-polsko-austriackiej) do Księstwa Warszawskiego, a więc znalazł się znów po kilkunastoletniej niewoli na wolnej ziemi polskiej: stać się mógł silnym magnesem, przyciągającym młodzież śląską, wychowawcą przyszłych kapłanów dla ziemi górnośląskiej. Prusacy postanowili położyć temu kres. Wymogli na biskupie krakowskim Gawrońskim, osadzonym przez Austriaków (którzy popierali go za uległość wobec Austrii), w r. 1811 zgodę na przyłączenie dekanatów bytomskiego i pszczyńskiego, do diecezji wrocławskiej. Watykan opierał się temu przez szereg lat, ale w końcu pod naciskiem Prus wyraził swą zgodę w r. 1821[1]). W istocie było to już tylko uznanie stanu faktycznego;

[1]) W r. 1821 upadło również formalnie zwierzchnictwo arcybiskupstwa gnieźnieńskiego nad Wrocławiem, w związku z reorganizacją biskupstw na ziemiach dawnego państwa polskiego, przeprowadzoną przez papieża Piusa VII.

od r. 1811 ustało zwierzchnictwo biskupa krakowskiego nad dekanatami. Zniesienie przynależności tej części Górnego Śląska do diecezji krakowskiej oznaczało dalszy, bardzo poważny cios dla polskości ziem górnośląskich, którego następstwa dopiero w dalszych latach staną się w pełni widoczne.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W najcięższych warunkach budowali podówczas Polacy na niewielkim kawałku swych ziem Księstwo Warszawskie, stworzone w pokoju tylżyckim (1807), powiększone przez dalszą część ziem polskich, odebranych Austrii w r. 1809. Rzecz znamienna, że w owych burzliwych czasach, kiedy z roku na rok niemal zmieniały się granice w Europie, przesuwane dowolnie przez Napoleona, w planach polityków polskich zaczęto interesować się sprawą Śląska. Przez całe długie lata zapomnieli mężowie stanu polscy o prastarych ziemiach piastowskich. Dopiero w okresie Księstwa Warszawskiego odżyła myśl o Śląsku i granicy Odry. Zasługa to przede wszystkim Hugona Kołłątaja, od lat przewódcy obozu reformatorskiego. W r. 1808 napisał Kołłątaj traktat polityczny pt. *Uwagi nad teraźniejszym położeniem...*, w którym zamieścił tak pozornie jasne i proste, ale niestety przez wiele pokoleń polityków polskich zapomniane prawdy, jak że „rządzony i rządzący powinni się rozumieć i jednym do siebie mówić językiem", oraz „że wszystkie kraje po prawym brzegu Odry są słowiańskie: Ślązacy od źródeł Odry aż po granicę Brandenburgii mówią po polsku"; a więc terytoria te winny wrócić pod rządy polskie, i to nie tylko Śląsk, ale i części polskie Nowej Marchii, oraz tzw. Prusy Wschodnie. Po raz pierwszy od wielu lat przypominano, że Polska winna się upomnieć nie tylko o ziemie, utracone ostatnio w rozbiorach, ale i o dawno już od macierzy oderwane obszary, które przecież były niegdyś polskie i mimo wiekowej niewoli polskości nie zatraciły. Co więcej, Kołłątaj podkreślał, że ziemie te droższe mu od innych, gdzie polskość nie tak odwieczna, nie tak rdzenna. Oto jego wyznanie: „Jestem Polak, radbym, aby cała Polska wróciła pod berło króla Jegomości, lecz gdyby jaka jej część miała się wrócić w nagrodę Śląska, wolałbym Śląsk, jak część Polski, z innej strony wyrównującą mu". To były hasła nowe, zapowiedź nowej ery w stosunkach polsko-śląskich.

Polacy niestety zbyt łatwo wierzyli w szczerość obietnic Napoleona, który przecież posługiwał się sprawą polską tylko jako atutem w swej grze polityczno-wojennej: zbytnio też zaufali w jego gwiazdę szczęśliwą. Rok 1812 przyniósł w tym względzie gorzkie rozczaro-

wanie. Wyprawa „wielkiej armii" napoleońskiej na Moskwę skończyła się katastrofą. Pod koniec roku 1812 wynędzniałe rozbitki wspaniałej armii wracały przez Śląsk na zachód. Przez ziemię śląską uchodził spiesznie do Francji pokonany cesarz Francuzów, by raz jeszcze zebrać nowe siły i stanąć do walki z wrogami. Przeciwko niemu powstała cała niemal Europa. Z wiosną 1813 r. przystąpiły do wojny Prusy, które Napoleon lekkomyślnie pozostawił swego czasu przy życiu, które teraz zrzuciły maskę kłamanej przyjaźni i uderzyły na osłabionego tytana. Po całych Niemczech szło hasło „wojny o wyzwolenie" *(Befreiungskrieg)* spod przewagi francuskiej. Polacy zachowali do końca wierność Napoleonowi. W początkach r. 1813 pospieszyły przez ziemię śląską oddziały armii polskiej do Saksonii, gdzie Napoleon ściągnął swe wojska, by stawić raz jeszcze czoło wrogom. Pod Lipskiem (1813) rozegrały się losy Europy na wiele lat: armia napoleońska uległa przewadze wojsk koalicyjnych. Zginął w walce bohaterski wódz wojsk polskich ks. Józef Poniatowski. Niebawem pociągnął przez ziemię śląską smutny korowód: wierni żołnierze wieźli ciało swego wodza do ziemi ojczystej. Wracały resztki świetnej ongiś armii Księstwa Warszawskiego. Ludność Śląska widziała podówczas, po raz ostatni na lat wiele, mundury polskie. Wpatrywała się w oczy żołnierzy, chcąc w nich wyczytać — rozpacz albo nadzieję. Ku swemu podziwowi dojrzała iskry nadziei i usłyszała dźwięki dumnej pieśni o Tej, która „jeszcze nie zginęła". W dusze Polaków śląskich padły pierwsze ziarna świadomości narodowej. Nie od razu zakiełkowały, bo gleba była zbyt wyjałowiona. Ale nadchodziły już niepowstrzymanie czasy przebudzenia się świadomości narodowej ludu śląskiego. Niebawem poczuje się on znów częścią żywego, niezniszczalnego, wielkiego narodu — niebawem i dla niego słowo *Polska* nabierze pełnej treści.

— — — — — — — — — — — — — — — —

W r. 1815 na kongresie w Wiedniu dokonano nowego podziału Polski. Z części Księstwa Warszawskiego utworzono „Królestwo Polskie" (tzw. Kongresowe), związane unią personalną z Rosją (królem był car Aleksander). Z Krakowa z okolicą zrobiono „Wolne Miasto" pod opieką trzech mocarstw zaborczych. Resztę ziem Księstwa Warszawskiego, a więc Wielkopolskę, Kujawy i skrawki Pomorza (z Toruniem) przyłączono znowuż do Prus. Wraz tedy z Pomorzem nadwiślańskim, które od rozbiorów jęczało w jarzmie pruskim, oraz ze Śląskiem — szereg najbardziej rdzennych ziem polskich dzierżył znów w swych szponach czarny orzeł pruski. Łudzili

się jednak Niemcy, sądząc, że na zagrabionych terenach polskich zniszczą rychło polskość i łatwo zdobędą nowe obszary kolonizacyjne dla niemczyzny. Państwo polskie upadło, ale naród dalej walczył o swe prawo do życia i odzyskanie pełnej niepodległości. Najbardziej zaś radosnym faktem było, że w walce tej wziął z czasem udział i lud śląski.

Rozdział XXXI

SPRAWA POLSKOŚCI ŚLĄSKA STAJE SIĘ AKTUALNĄ

Od czasów Fryderyka II rząd pruski rozpoczął systematyczną germanizację Śląska. Politycy pruscy sądzili, że wystarczy niewiele lat takiego systemu, a ludność polska zostanie przerobiona na Niemców. Tymczasem jednak napotykali na bierny opór ludności. Polacy śląscy w swej masie jakoś nie kwapili się do przyjmowania „dobrodziejstwa" kultury niemieckiej: rzekoma „wyższość" im nie imponowała, a reprezentanci prusactwa budzili zbyt często politowanie lub wprost pogardę u prostej, nie z własnej winy niewykształconej, w samym swym rdzeniu szlachetnej, prawej i rozsądnej ludności śląskiej. Polacy śląscy przywykli już od wieków znosić rządy obcych panów. Brak trwalszych związków z macierzą sprawiał, że poczucie narodowości było u nich słabo rozwinięte, poczucie łączności z całym narodem polskim mocno przytłumione. Ale ci Polacy nie chcieli być Niemcami: pragnęli zachować mowę i obyczaj ojczysty. Na tym tle wystąpił wyraźny antagonizm polsko-niemiecki na Śląsku. Właśnie zaostrzenie nacisku germanizacyjnego za czasów pruskich, oraz nadanie mu charakteru systematycznego przez ujęcie w prawa antypolskie, wywołały pierwszą poważniejszą i szerszą reakcję społeczeństwa polskiego. Przejawiała się ona na razie w takich formach, jak wystąpienia chłopów polskich przeciw panom niemieckim, jak uchylanie się od służby wojskowej w sposób dość powszechny, skoro zwróciło to uwagę władz pruskich (ostatnio w r. 1813), jak bierny opór przeciwko narzucaniu przez Kościół, szkołę i pracodawców języka niemieckiego. Przeciwieństwa stawały się już widoczne. Sprawa zaczęła interesować tak władze pruskie, jak i poszczególne jednostki spośród Niemców. Reagowały one rozmaicie. Władze gotowe były wzmocnić nacisk, panowie — traktować chłopów polskich nadal jak bezduszne istoty, bydło robocze, by usprawiedliwić swój niesły-

chany wyzysk. Najbardziej przecież znamienne są tendencje germanizatorów do zupełnego przecięcia więzów duchowych między ludem śląskim a całością narodu polskiego. Zaczęli tedy głosić, że Ślązacy nie są właściwie Polakami, lecz stanowią jakiś szczep odrębny, mówiący osobnym narzeczem, które ochrzcili nazwą *wasserpolnisch*; stąd Polaków śląskich nazwano *Wasserpolaken*, co pierwotnie w mowie Niemców śląskich oznaczało flisaka polskiego, spławiającego towary na tratwach na rzecze Odrze. Inni znowuż Niemcy wymyślili osobliwą koncepcję, wedle której język Ślązaków stanowi jakąś mieszaninę czesko-morawsko-polsko-niemiecką, a w każdym razie coś odrębnego od mowy polskiej. Rozumny Ślązak potrząsał głową na te głupstwa z politowaniem, ale brak mu było wykształcenia, by mógł podjąć polemikę w słowie, czy w druku. Nonsensy były przecież tak widoczne, że nawet podniosły przeciwko nim głosy krytyki niektóre światlejsze jednostki spośród Niemców, po części z pobudek zwykłego humanitaryzmu, po części zaś nawet z głębiej pojętego interesu niemczyzny, rozumiejąc, że taktyką zakłamania i szerzenia łatwych do obalenia pseudo-naukowych tez, w istocie zupełnych bredni, nie odda się trwałej przysługi samej sprawie niemieckiej.

W r. 1791 wystąpiło dwóch Niemców, pastor Pohle z Tarnowskich Gór i prof. Schummel z Wrocławia, z publikacjami, biorącymi w obronę ludność polską Śląska przeciwko nagonce szowinistów niemieckich i przeciwko bredniom, szerzonym w książkach rzekomych „naukowców" niemieckich[1]). Nieco później przyłączył się do tych „obrońców Górnoślązaków" pastor z Pszczyny Jan Samuel Richter (w r. 1797 i 1827). Na tym miejscu nie możemy się wdawać bliżej w ową arcyciekawą dyskusję, jaką podjęli wspomniani Niemcy. Zajmiemy się tym przy innej okazji, opracowując obszerne dzieje Śląska w czasach nowożytnych. Tutaj zwrócimy tylko uwagę na kilka znamiennych momentów, jakie podówczas podnieśli sami Niemcy. Przede wszystkim zastrzegali się (zwłaszcza Schummel), jakoby chodziło im wyłącznie o Górnoślązaków: występowali jako orędownicy Polaków, mieszkających na Śląsku, a więc na Górnym i na Dolnym, przynajmniej (jak to mimo swych dobrych chęci zbytnio upraszczał Schummel) po prawym brzegu Odry. Cóż się

[1]) Pohle opublikował w r. 1791 broszurę pt. *Der Oberschlesier, vertheidiget gegen seine Widersacher*, a Schummel, w r. 1792: *Reise durch Schlesien im Juli und August 1791*. W latach późniejszych ogłosił dwie rozprawki na podobny temat wymieniony poniżej pastor J. S. Richter.

zarzuca tym polskim mieszkańcom Śląska? Że nie są w istocie Polakami (i dlatego winni się stać Niemcami), bo mówią nieco odmiennym narzeczem? A jak wieloma narzeczami mówią Niemcy? Wystarczy zaznaczyć — pisze Schummel — że on sam nie mógł zrozumieć swych ziomków w pobliżu Ścinawy, a co do gór śląskich, to mowę ich mieszkańca musiano by wyśmiać w każdej prowincji Rzeszy! Pastor Pohle postawił kropkę nad i, pisząc: „niemiecko-śląski *wasserdeutsch* jest jeszcze znacznie gorszy, niż polsko-śląski *wasserpolnisch*. Wspominaliśmy już poprzednio, jak Schummel i Pohle stawali w obronie Polaka śląskiego przed obelgami, miotanymi przez Niemców: podnosili przymioty ludności polskiej, której tylko przez całe wieki brak było należytej opieki i możności kształcenia się. Jeśli ktoś chce prawdziwie dla dobra Ślązaków działać, to winien przede wszystkim stworzyć im warunki nabywania oświaty, począwszy od uregulowania w sposób ludzki spraw społeczno-gospodarczych, aż do rozbudowy odpowiedniego szkolnictwa. Schummel przypuszczał, że rozwinięcie sieci szkolnictwa niemieckiego wystarczy: zachwycał się dodatnimi wynikami, jakie osiągnęła młodzież polska w zakresie znajomości języka niemieckiego w tych okolicach, gdzie zwłaszcza inicjatywa prywatna panów niemieckich w tej dziedzinie dopisała. Widać stąd, że Schummel mimo wszystko uznawał germanizację, byleby ona dokonywała się drogą ewolucyjną, „humanitarną". Natomiast pastor Richter posunął się dalej, dowodząc, że zasadniczym warunkiem podniesienia kulturalnego i moralnego ludności śląskiej jest wyuczenie jej poprawne języka polskiego, bo tylko język ojczysty może stanowić właściwą podstawę rzetelnego wysiłku w celu podniesienia ludności na wyższy poziom; prawdziwie kształcić się można tylko w tej mowie, którą wyniosło się z kolebki, którą wessało się wraz z mlekiem matczynym. O co zresztą właściwie chodzi Niemcom? — po prostu nienawidzą Polaków śląskich — jako Polaków! Chcieliby polskość Śląska zlikwidować, a wprowadzić niemczyznę. Taki jest cel istotny planów niemieckich, a tymczasem pokrywa się go rozprawianiem o rzekomych prawach i przywilejach niemczyzny na ziemi śląskiej! Jak ta sprawa się przedstawia? Oto co pisze Schummel o owych „prawach historycznych" itp.: „Gdyby one miały mieć znaczenie, to musielibyśmy my (Niemcy) nie mówić na Śląsku ani słowa po niemiecku, lecz wyłącznie po polsku — bo polszczyzna jest niewątpliwie starszym językiem krajowym, a niemczyzna dopiero stopniowo wkradała się

i wciskała". „Lepiej nie zaczynajmy z Polakami śląskimi żadnego procesu: przed sądem historii przegralibyśmy go we wszystkich instancjach!" Zdanie Schummla nie stanowi dla nas pod względem treści żadnej rewelacji: my samy wiemy najlepiej, jak prastare są nasze prawa do Śląska. Zacytowaliśmy je natomiast z tego względu, że wyszło ono spod pióra — Niemca. Znaczenie zaś wywodów Schummla ocenić trzeba jeszcze z innego punktu widzenia: otwarło ono dyskusję o polskości Śląska, ktorą podjęli inni, przede wszystkim polscy uczeni, przystępując do pracy badawczej z całym aparatem naukowym.

Pierwsza palma zasługi na tym polu należy się bezsprzecznie Jerzemu Samuelowi Bandtkiemu. Ojciec jego, pochodzący z rodziny niemieckiej osiedlonej w miasteczku wygnańców śląskich, w Szlichtyngowej pod Wschową, był jeszcze Niemcem (wyznania augsburskiego), ale już pozostawał pod wpływem kultury polskiej. Po matce miał Jerzy Samuel w żyłach krew polską. Urodzony w Lublinie, studia odbył w gimnazjum św. Elżbiety we Wrocławiu, następnie uczęszczał na uniwersytety niemieckie w Halli i Jenie. Wrócił do Polski na bardzo smutne chwile drugiego i trzeciego rozbioru. Niejeden charakter czysto polski tragiczne te czasy mogły złamać, lub przynajmniej skrzywić. Tymczasem Bandtkie, pół-Niemiec i protestant, właśnie w tych czasach odkrył w sobie duszę polską, przywiązał się szczerze do polskiej ojczyzny. Nabrał prawdziwego podziwu dla kultury polskiej i chciał się jej przysłużyć rzetelnie, prostując błędne mniemanie obcych a zwłaszcza fałsze Niemców, miotających obelgi na dorobek kulturalny Polski i całej Słowiańszczyzny. W r. 1798 osiadł na dłuższy czas we Wrocławiu, jako nauczyciel języka polskiego w gimnazjum św. Elżbiety, następnie jako rektor szkoły św. Ducha. Na tej placówce podjął przede wszystkim badania nad dziejami Śląska, starając się zebrać materiały, dowodzące prastarej polskości tej krainy, jej związków z Polską w przeszłości i niewygasłych przejawów życia polskiego w chwili jemu współczesnej.

Prace swe ogłaszał bądź w języku niemieckim, bądź polskim. Prace historyczne rozpoczął od wywodu o polskim pochodzeniu nazwy „Śląsk" (od góry Ślęży), w czym przeciwstawiał się tezom nauki niemieckiej. Przez łączenie badań historycznych z językowymi uzasadniał następnie pierwotność osadnictwa słowiańskiego w górach śląskich, nie cofając się przed podjęciem polemiki naukowej z tezami pisarzy niemieckich, które zwalczał

spokojnie i rzeczowo, ale niemniej stanowczo. Szczególnie wnikliwe studia prowadził nad okresem dzielnicowym na Śląsku i rządami Piastowiczów, wykazując m. i., że „jest fałszem historycznym i jest niesprawiedliwością, jeśli się temu księciu (Henrykowi Brodatemu) przypisuje świadomą dążność do germanizacji Śląska i jeśli się go samego uważa za niemieckiego księcia, jak to od wielu lat dziesiątek czyni historiografia niemiecka". Tak rodzinne i potoczne życie Henryka Brodatego i jego dworu, jak i całą jego działalność państwową, przenikał w całej rozciągłości duch polski i przywiązanie do polszczyzny i obyczaju". Przytoczyliśmy to zdanie, by wskazać, jakie wnioski wysnuwał Bandtkie z badań nad tą epoką. Osobno zajął się Bandtkie kwestią tzw. narzecza śląskiego i jego związków z mową polską. Po skrupulatnych studiach naukowych i badaniach w terenie doszedł do nader znamiennych wniosków, że mowa Polaków śląskich stanowi (poza właściwościami dialektycznymi, które spotkać można i w innych częściach Polski) jedność z mową całego narodu polskiego. W r. 1802 pisał Bandtkie: „Pilnie objechałem część Śląska, wszędzie rozumiałem ludzi i oni pojmowali mię bez żadnej trudności. Zupełnie tak samo, jak niemiecki Ślązak będzie wszędzie rozumiał Saksończyka, Austriaka lub Frankończyka i na odwrót będzie przez nich rozumiany, lub też prawdziwy Polak będzie rozumiany wszędy przez polskiego Ślązaka". Brał następnie w obronę mowę Ślązaków przed zakusami germanizatorów, którzy próbują dowodzić perfidnie, jakoby „tylko mowa niemiecka prowadziła do prawdziwej kultury" i chcą wyłącznie niemczyznę narzucać ludowi śląskiemu poprzez Kościół i szkołę.

Nie zaniedbał również Bandtkie pracy praktycznej na polu szerzenia znajomości nieskażonego języka polskiego na Śląsku i w tym celu wydał *Nowy elementarz polski,* zaopatrzony wypisami z autorów polskich, by „młodzież zawczasu naprowadzać do tego, że w ojczystym języku równe są skarby wymowy, jak i w innych". Wkrótce po tym wydał *Słownik dokładny języka polskiego i niemieckiego,* pragnąc m. i. także Niemców zapoznać z mową i kulturą polską, udostępnić im skarby literatury polskiej. Dla Niemców wydał też krótką gramatykę języka polskiego. Bandtkie był idealistą. Wierzył on, że naród niemiecki jest w swym rdzeniu szlachetny, tylko grzeszy nieświadomością spraw polskich, gdyż albo ich nie zna, albo też wytworzył sobie o nich błędne mniemanie na podstawie kłamliwych relacji Niemców nieuczciwych.

Mylił się niestety zasadniczo, licząc na możliwość przemówienia do masy narodu niemieckiego argumentami rzeczowymi i obalenia w ten sposób nienawiści czy choćby uprzedzeń. Praca to była próżna, bo dotrzeć mógł w ten sposób tylko do nielicznych jednostek szlachetniejszych, ale antypolskiego nastawienia ogółu Niemców nie zmienił.

Zyskał sobie natomiast Bandtkie pełne uznanie świata naukowego polskiego. W r. 1811 został powołany do Krakowa na stanowisko dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej i profesora bibliografii na Uniwersytecie Krakowskim. Nie zaniedbał przecież kontaktów z Wrocławiem i pracy nad zagadnieniami śląskimi, czego najlepszym dowodem wydane drukiem w r. 1821 *Wiadomości o języku polskim na Szląsku i o polskich Szlązakach*. W rozprawie tej dał możliwie wszechstronny obraz życia polskiego na Śląsku w początkach XX wieku, na podłożu historyczno-rozwojowym. Podkreślał dawną polskość całego Śląska i wskazywał na pozostałe jej liczne ślady na Dolnym Śląsku, nie mówiąc już o czysto polskich niemal okolicach Śląska Górnego. Obliczał, że na Śląsku żyło jeszcze w jego czasach około 700.000 Polaków na około 2 miliony całej ludności. Dokładnie starał się nakreślić granicę językową polsko-niemiecką, zaznaczając szczególnie miejsca na Dolnym Śląsku, gdzie polskość jeszcze się utrzymywała, albo — niedawno przygasła — za pamięci współczesnych jeszcze istniała. Mocno podkreślał wreszcie łączność plemienną i językową Polaków śląskich z całością narodu polskiego. Rozprawa owiana jest duchem gorącego umiłowania ludu i kraju śląskiego, oraz szczerym pragnieniem obrony jego polskości przed zakusami germanizacyjnymi.

Bandtkie swymi pracami wzbudził znaczne zainteresowanie dla spraw śląskich wśród uczonych polskich ośrodka krakowskiego. Za jego to wpływem grono uczonych krakowskich zajęło się badaniem przeszłości Śląska, wydając rozprawy na tematy śląskie, zamieszczane w periodyku *Miscellanea Cracoviensia* i w *Rocznikach Krakowskiego Towarzystwa Naukowego*; obok rówieśników i kolegów Bandtkiego, jak Feliks Jaroński, Paweł Czajkowski, należy wymienić przedstawicieli młodszego pokolenia, przeważnie uczniów Bandtkiego, jak Walenty Kulawski, Adolf Mułkowski, Karol Mecherzyński, którzy w rozprawach naukowych poruszali tematy śląskie i związki Śląska z Polską. Z tego młodszego pokolenia, które wyrosło na glebie, użyźnionej działalnością Bandtkiego, po-

chodził krakowianin Józef Łepkowski, jeden z najbardziej zasłużonych pracowników na polu budzenia w Polsce zainteresowań dla spraw śląskich, zarazem zaś biorący czynny udział w akcji odrodzenia narodowego na samej ziemi śląskiej. Dzięki Bandtkiemu Kraków stał się ośrodkiem, budzącym zainteresowania śląskie również i w innych dzielnicach Polski pod zaborami. Pamiętać przy tym należy, że Kraków, jako „Wolne Miasto", zażywał do r. 1846 (do chwili wcielenia do Austrii) względnej swobody w rozwoju życia kulturalnego polskiego. Tedy na Uniwersytet Krakowski ściągała, mimo zakazów i szykan władz zaborczych, młodzież z innych stron Polski, m. i. również spora gromadka młodzieży śląskiej. W atmosferze krakowskiej, stworzonej przez Bandtkiego, mogła czerpać ze skarbnicy kultury i ducha polskiego, zarazem odrodzić swą polskość — dowiadując się o prawdach bardzo starych, ale zapomnianych, że Śląsk i Polska to była jedność w przeszłości, że lud śląski to nadal jedność z narodem polskim, którą tylko usilne zakusy niemczyzny chcą rozerwać.

Trzeba przyznać, że ogół narodu polskiego przez całe wieki o Śląsku niemal zapomniał. W tych warunkach, rzecz prosta, ludność śląska pozbawiona była oparcia i pomocy, choćby moralnej, duchowej. Ten smutny stan rzeczy ulegał stopniowo zmianie na lepsze w XIX wieku. Wspomnieliśmy już o mądrym wystąpieniu publicystycznym Kołłątaja, o przełomowego znaczenia pracach Bandtkiego. Wystąpienia ich wywarły wpływ należny głównie dzięki temu, że równocześnie nowymi drogami zaczęła płynąć myśl narodowa polska. Upadło państwo polskie; po trzech rozbiorach przyszedł czwarty w r. 1815. Ale pozostał naród żywy, niezwalczony, pragnący w ciężkich chwilach niewoli zachować swą egzystencję i odzyskać niepodległość. Rodzi się nowa myśl polska, oparta na mocnym przeświadczeniu, że naród może żyć także i bez państwa własnego, byle nie zatracił swej świadomości, poczucia swej jedności i odrębności wobec narodów zaborczych, byle przechował niezłomną wolę wywalczenia sobie niepodległego bytu. W związku z tym musiano zwrócić uwagę na Śląsk, ową dzielnicę polską, oderwaną od państwa polskiego przed wiekami, której lud mimo najcięższych warunków zachował przecież mowę i obyczaj przodków. Równocześnie naród polski szukał pokrzepienia w chwilach niewoli przez rozpamiętywanie swej wielkiej przeszłości, czasów prawdziwej siły i potęgi: w związku z tym odżyły zainteresowania dziejami Polski piastowskiej, której Śląsk

był częścią integralną. Zwrot ku przeszłości nie mógł polegać jedynie na bezkrytycznym wczytywaniu się w karty dziejów minionej wielkości. Musiało się rodzić pytanie, dlaczego Polska upadła, jakie były błędy i winy poprzednich pokoleń, jakie zaniedbania dziejowe? I właśnie te rozważania zwracały myśl polską ku ziemiom zachodnim, ku Bałtykowi i Odrze. Te i tym podobne refleksje nasuwały konieczność wniknięcia w przyczyny zła, które podcięło podstawy istnienia państwa. Obok zagadnień polityki zagranicznej, poddano rozwadze kwestie ustrojowe, społeczne i gospodarcze. Na tym podłożu zrodziła się polska myśl demokratyczna, która wyznaczała chłopu całkiem inną (niż to czyniono dawniej) rolę w życiu narodu polskiego. Dopiero teraz zaczęto w pełni doceniać rolę chłopa polskiego na Śląsku, który zachował zasadnicze skarby samodzielności narodowej: mowę i obyczaj, choć wierzchnie warstwy od dawna już uległy niemal zupełnie zniemczeniu. Teraz Śląsk zaczął znajdować w życiu narodowym polskim właściwe, należne mu miejsce. Na takim podłożu mogło wydać bujny plon ziarno, zasiane przez Kołłątaja i Bandtkiego.

Wydobyto z zapomnienia rolę tych maluczkich ze społeczności narodowej polskiej, którym doprawdy należało się uznanie i wdzięczność całego narodu. Zrozumiano dziejową zasługę chłopa śląskiego, nie zapomniano i o śląskiej kobiecie z ludu. Jakże piękny hołd jej oddał poeta i historyk polski Julian Ursyn Niemcewicz: „Któż mowę polską utrzymał w pospólstwie, taką, jaką była za Piastów? Nie szlachta zapewne, tak łatwo przekształcająca się gwoli rozkazów dworów (państw zaborczych), tych, od których łaski spływają, nie niższa nawet płeć męska, wędrująca, służąca w wojsku, ucząca się rzemiosł u obcych: utrzymała ją płeć żeńska, przeznaczona żyć w tych zagrodach domowych, w których pradziadowie ich żyli, chwaląc Boga w tych modlitwach, w tych pieniach, w których go oni od tylu wieków chwalili, w tym języku kołysząca niemowlęta swoje, w tej mowie udzielająca im pieszczot i tkliwych serca macierzyńskiego uczuć".

Nie ulega kwestii jedno: zainteresowanie się społeczeństwa polskiego Śląskiem łączyło się ściśle z demokratyzacją myśli narodowej. Wystarczy zaznaczyć, że na teren śląski zwróciło baczną uwagę działające w latach 1833—1846 pod zaborami, szczególnie w tzw. Galicji i w Krakowie, Stowarzyszenie Ludu Polskiego, stanowiące ekspozyturę Towarzystwa Demokratycznego, działającego po powstaniu listopadowym na emigracji (we Francji i w Belgii).

Z Krakowa zasilano właśnie z tych kół akcję narodową na Śląsku. Antagonizm polsko-niemiecki na ziemi śląskiej — to był przede wszystkim antagonizm chłopa i robotnika polskiego do panów i pracodawców niemieckich. Odrodzenie narodowe na Śląsku mogło się tedy dokonać tylko w łączności z polską myślą demokratyczną, która tworzyła program Polski Nowej, opartej na zasadach sprawiedliwości społecznej, na zasadach równości wszystkich stanów.

Rozdział XXXII

JÓZEF LOMPA — BUDZICIEL ODRODZENIA NARODOWEGO NA ŚLĄSKU

W r. 1821 pisał Lompa do Bandtkiego, przebywającego już podówczas w Krakowie: „Jegomość co prawda opuścił Śląsk, ale żyje jednak dalej wśród nas przez swe sławne i pożyteczne pisma". List ten dowodzi, że prace Bandtkiego wydały plon również i na ziemi śląskiej, przyczyniając się do ożywienia poczucia narodowego przynajmniej jednostek spośród ludności miejscowej. To już było dużo. Jednostki takie, jak Lompa, poprowadziły dalej pracę wszerz, starając się nią ogarnąć masy polskiego Śląska.

Józef Lompa urodził się w Olesnie (w r. 1797), jako syn skromnego właściciela sklepiku kramarskiego. Ojciec i matka Lompy byli Polakami śląskimi, tedy młody Józef w domu ojczystym słyszał język polski, jak zresztą i w rodzinnym mieście Olesnie, gdzie podówczas Polacy jeszcze posiadali stanowczą większość. Do szkoły ludowej uczęszczał w Olesnie: uczono tam niewiele, ale przynajmniej po polsku, a niski poziom szkoły dowodzi tylko, jak zaniedbane było nauczanie na Śląsku mimo szumnych frazesów pruskich o szerzeniu kultury na ziemi śląskiej. Na razie młody Lompa nauczył się nieco gry na organach, co sprawiło, że ojciec oddał go do klasztoru reformatów w Wieluniu jako praktykanta — organistę, myśląc równocześnie o dalszych studiach syna w szkole wieluńskiej pijarów. W Wieluniu, dopiero w trzecim rozbiorze zagrabionym przez Prusy, tętniło jeszcze w pełni życie polskie, co niewątpliwie wywarło wpływ odpowiedni na Lompę. Ale młody organista nie zagrzał tam długo miejsca, gdyż reformaci chcieli go nakłonić do wstąpienia do zakonu, a że Lompa jakoś nie zdradzał ochoty do przywdziania habitu, tedy rychło ulotnił się z Wielunia i wrócił do Olesna — ku zmartwieniu ojca, który zapewne chętnie widziałby syna księdzem. Przez kilka lat młody Lompa zarabiał na życie jako praktykant sądowy, to znowu jako pry-

watny nauczyciel i pisarz u jednego z dziedziców okolicznych, lub też jako sekretarz u drugiego. Ale żądny był przede wszystkim wiedzy i uciuławszy trochę grosza pojechał (w r. 1815) do Wrocławia: tam zapisał się do seminarium nauczycielskiego. Szkołą kierował kanonik Daniel Krüger, prowadząc ją w duchu wyłącznie niemieckim. Seminarium wrocławskie stanowiło, obok założonego w r. 1802 seminarium nauczycielskiego w Głogówku (stojącego jednak na ogólnie niskim poziomie) główne ognisko wiedzy dla przyszłych nauczycieli na terenie śląskim. Tymczasem uczono w nim wyłącznie po niemiecku: wychowankom szkoły chciano wpoić niemczyznę i wykształcić ich na przyszłych germanizatorów dziatwy śląskiej. Lompa jednak nie dał się zbić z tropu. Może w Olesnie, a prędzej jeszcze w czasie krótkiego pobytu w Wieluniu, zapoznał się z książką polską. Chciwy był wiedzy, ale przede wszystkim — w języku polskim. Nie wierzył kłamstwom nauczycieli seminarium, że „literatury polskiej nie było i nie ma", bo już po trosze się z nią zapoznał i wiedział, co sądzić o bredniach propagandy germańskiej. Za oszczędności skupował po straganach i antykwarniach książki polskie i czytał je po kryjomu, choć i tak narażał się na besztania kontrolującego lekturę studentów księdza Krügera. Po dwuletnich studiach w seminarium poszedł Lompa na posadę nauczycielską. Krótko pobywszy na przejściowych posadach w powiatach sycowskim i oleskim, oraz w mieście Lublińcu, osiadł wreszcie na stałe we wsi Lubszy (w powiecie lublinieckim), gdzie całe lat 30 spędził na pracy nauczycielskiej.

Nadeszły właśnie lata bardzo ciężkie dla polskości na Śląsku. Wyszedłszy ostatecznie zwycięsko z okresu wojen napoleońskich, rząd pruski nabrał znów pewności siebie i przystąpił do zdecydowanej akcji germanizacyjnej na Śląsku. W r. 1816 utworzono osobną regencję w Opolu, dla Śląska Górnego, by tym silniej związać tę część kraju z państwowością pruską. Prusacy mieli świeżo w pamięci wypadki z r. 1813, kiedy to pobór do wojska na terenie górnośląskim nastręczał znaczne trudności: Polak śląski do wojska nie chciał iść, a gdy go w końcu ubrano w mundur pruski, uchylał się wyraźnie od walki w pruskim interesie. Władze postanowiły tedy ująć mocniej w karby ludność górnośląską i wyuczyć ją patriotyzmu pruskiego. Radca regencji opolskiej, Prusak Benda, napisał w r. 1819 (w polakożerczej książce *Betrachtung Oberschlesiens*: „Lud (górnośląski) . . . należy do niemieckiego monarchy, podlega niemieckim prawom i wszakże nie zna on ani swych panu-

jących, ani języka, ani swych praw. Stroni od urzędników państwowych, którzy bardzo mało, albo wcale nań nie mają wpływu... Lud ten nie ma nic wspólnego, oprócz nazwisk, z Polakami, gdyż nawet nie mówi językiem polskim, lecz jakąś mieszaniną czesko-morawsko-polsko-niemiecką, której trudno by szukać w jakimkolwiek języku piśmiennym. To prawdziwe nieszczęście da się ...jedynie przez to usunąć, jeżeli język ten zostanie jak można najrychlej wytępiony przez nauczanie w języku niemieckim." Benda bał się języka polskiego w szkołach śląskich, gdyż to mogło by „wykształcić lud polski (śląski) na polskich narodowców": jakby wyczuwał pierwsze podmuchy odrodzenia narodowego na Śląsku. Zdaniem Bendy, władze pruskie winny się pospieszyć i nauczanie w języku polskim w ogóle ze szkół usunąć. Wówczas zaś „język niemiecki otworzy dlą ludu polskiego, nie umiejącego dotychczas po niemiecku, wrota cywilizacji niemieckiej". Sukces niemiecki przy takich metodach może być bardzo rychły: „Zaprawdę! nie trzeba będzie na to nawet pół wieku, aby w prowincji niemieckiej wytępić żywioł polski do szczętu". W podobny ton uderzali autorzy kilkudziesięciu broszur niemieckich, wyszydzając polskość Górnoślązaków i domagając się najszybszego wprowadzenia niemczyzny w szkołach i w Kościele śląskim. W obronie Polaków śląskich stanął wówczas pastor pszczyński Richter, oraz Bandtkie, Niemcewicz i inni. Władzę jednak mieli w ręku szowiniści pruscy i naciskali na germanizację ludności.

Wedle statystyki władz pruskich w r. 1824 w tzw. regencji opolskiej w 162 kościołach głoszono kazania tylko po niemiecku, w 32 po polsku i po niemiecku, w 219 wyłącznie po polsku. Taki stan uznali Prusacy za nie wystarczający z punktu widzenia niemczyzny: tedy w r. 1824 zarządzili wszędzie, po miastach, oraz ile możności i po wsiach, odbywanie przynajmniej co jakiś czas kazań po niemiecku, by ludność przyzwyczaić do niemieckiego. Wedle tejże statystyki w r. 1824 w 199 szkołach uczono tylko po niemiecku, w 282 po niemiecku i po polsku, a w 131 jedynie po polsku. Historyk niemiecki Laubert stwierdził, że podobny stan rzeczy nie był już zły dla niemczyzny: oczywiście, skoro Górny Śląsk posiadał stanowczą większość ludności polskiej! Ale i tego było Prusakom za mało. Co prawda tak w Berlinie jak i w Opolu zwalczały się różne poglądy na sprawę nauczania na Śląsku. Wszystkie władze pruskie opowiadały się za germanizacją: niektórzy jednak rozsądniejsi Niemcy wskazywali, że nie podobna wyłączyć nagle ze szkół zu-

pełnie język polski, gdyż młodzież, nie znająca niemieckiego, w ogólności niczego się nie nauczy. W interesie tedy poziomu nauczania na Śląsku musi się jakiś czas utrzymać język polski aż stopniowo młodzież oswoi się z niemczyzną. Chodziło tylko o tempo germanizacji, szybsze lub wolniejsze.

Na tle takich przesłanek doszło do rozporządzenia regencji opolskiej w r. 1826, aby młodzież szkolną uczyć w obu językach. Historycy niemieccy skwapliwie starają się to zarządzenie przedstawić jako dowód liberalizmu niemieckiego. W istocie polskość na tym niewiele zyskała. Kandydatów bowiem do szkół śląskich kształciły nadal seminaria we Wrocławiu i w Głogówku, gdzie panowały tendencje germanizacyjne: kandydatów na nauczycieli kształcono tam wyłącznie w niemczyźnie, zohydzając na domiar na każdym kroku język polski i w ogóle polskość. Grono nauczycielskie seminarium w Głogówku zaprotestowało nawet energicznie przeciwko dopuszczeniu języka polskiego w szkołach (wedle wspomnianego rozporządzenia)! Z takich seminariów wychodzili ludzie całkiem lub na pół zniemczeni, w każdym razie wytrąceni z równowagi duchowej, którzy sami nie wiedzieli, czym są właściwie: jacyś „miejscowi", „Ślązacy" — w sensie najgorszym tego słowa, urobionym na modłę szowinistów pruskich. Tacy nauczyciele, podobnie jak i księża, wychowankowie seminariów niemieckich, przemawiali do dziatwy i do ludu rzeczywiście jakimś łamanym językiem polsko-niemieckim, bo żadnego z języków porządnie nie umieli.

W tych warunkach nawet w okresie rzekomego „liberalizmu" Niemcy zapisywali na swe konto nie lada sukcesy. W r. 1827 liczba ogólna szkół ludowych na Śląsku wzrosła do prawie 800, ale liczba szkół wyłącznie polskich spadła do — 70! Następnie przystąpiły władze pruskie do tworzenia po miastach szkół dokształcających, tzw. obywatelskich *(bürgerlich)*: w nich, podobnie jak i w gimnazjach (zresztą prawie niedostępnych dla ludności polskiej) uczono oczywiście tylko po niemiecku. Kto chciał się więc dalej kształcić, musiał zapoznać się dobrze z językiem niemieckim: to miało być wskazówką dla rodziców, że należy już zawczasu dać dzieciom odpowiednie przygotowanie — posyłając do szkoły powszechnej niemieckiej. W okręgach górniczo-przemysłowych tworzył rząd specjalne szkoły zawodowe (gdzie indziej znów szkoły rolnicze, ogrodnicze itd.), które, jak pisze historyk niemiecki Laubert, „przez swój poglądowy system nauczania w szczególnie przy-

stępny sposób służyły szerzeniu się niemczyzny". Widzimy, że germanizatorzy mieli obfity repertuar środków, a wszystkie zmierzały do jednego celu: niemczenia ludności.

Jaki duch przenikał podówczas szkołę górnośląską, widać najlepiej z listu Karola Miarki, który tak opisywał swe lata szkolne: „Oprócz początków w wiejskiej szkole ojca, odbierałem w szkole miejskiej, w gimnazjum (w Gliwicach) i w seminarium (w Głogówku) wykształcenie jedynie niemieckie, nie słysząc w tych zakładach ani jednego słowa po polsku. Przy każdej owszem sposobności wyrażali się nauczyciele z pogardą o Polsce, o narodzie i języku polskim, nazywając go barbarzyńskim, który, nie posiadając żadnej literatury (!), nie zasługuje na pielęgnowanie, lecz na zagładę. Ile razy musieli wspomnieć o historii polskiej, traktowali Polaków najniegodziwiej . . . poniżali i zohydzali wszystko co polskie."

Gimnazja i seminaria przerabiały nawet rdzennych Polaków śląskich na Niemców, zabijały w nich duszę polską. Kandydaci nauczycielscy, opuszczający mury takiego seminarium w Głogówku, oddziaływać musieli przeważnie zgubnie na młodzież polską. Dodajmy, że poziom ich naukowy był przeważnie niski, a przy tym warunki materialne nauczyciela na wsi były tak liche, iż troska o byt codzienny zaprzątała mu głowę znacznie więcej, niż praca pedagogiczna. Na domiar nie miał nauczyciel odpowiednich pomocy naukowych: podręcznika niemieckiego dziatwa nie rozumiała, a polskich nie było.

Na tym ponurym tle można dopiero należycie ocenić rolę Lompy. Już w czasie pobytu wrocławskiego wykazał on zamiłowanie do polskiej książki i polskiej literatury. Obiąwszy placówkę nauczycielską, był on w pełni świadom tego, że jest Polakiem, członkiem wielkiej społeczności narodowej, której jednolite ongiś ciało rozerwały kordony graniczne. Za główne zadanie uznał obudzenie świadomości narodowej swych ziomków śląskich, uratowanie ich przed utonięciem w morzu niemieckim. Pod koniec życia mógł dumnie o sobie powiedzieć: „Wszelkimi siłami podtrzymywałem polszczyznę, szczepiąc ją w młode serca i chroniąc tym sposobem od zniemczenia". Lompa pokochał szczerze język praojców i polską kulturę: pragnął tę miłość przeszczepić w dusze wszystkich Polaków śląskich. Chciał kształcić młodzież i starszych, ukochany lud śląski, z którego sam wyszedł: ale chciał kształcić przez podawanie wiadomości w języku polskim, a następnie przez zapoznanie swych

najbliższych rodaków z dziejami Śląska, z położeniem i warunkami geograficznymi kraju. Nie było tedy przypadkiem, że jako pierwszą swą pracę drukowaną wydał *Krótkie wyobrażenie historyi Szląska* (1821): w szereg lat później opublikował *Krótki rys jeografii Szląska* (1843). Z czasem opracował, już opanowawszy jako tako metodę pracy naukowej, zarysy historii miast śląskich: Bytomia, Gliwic, Koźla, Opola, po części i Byczyny. W trosce o dostarczenie młodzieży szkolnej polskich podręczników, nie ograniczał się do zakresu geografii i historii, lecz (zgodnie zresztą z swymi rozległymi zainteresowaniami) wydawał czytanki szkolne, podręcznik historii naturalnej, oraz rachunków, wzory kaligraficzne itd. Pragnąc podtrzymać wśród ludu śląskiego tradycje prastarego obyczaju, zbierał i wydawał materiały etnograficzne, legendy i „powieści gminne" śląskie. Dostarczał tak młodzieży, jak i ludowi, lektury w języku polskim, przeważnie tłumacząc powieści niemieckie, ale w sposób swobodny, dostosowany do potrzeb czytelnika śląskiego. Dbając o podniesienie poziomu gospodarczego ludu śląskiego, wydawał podręczniki z zakresu ogrodnictwa, warzywnictwa i pszczelarstwa (sam był zamiłowanym pszczelarzem). Jak większość Górnoślązaków, był Lompa człowiekiem głęboko wierzącym: starał się tedy zaspokoić potrzeby duchowe Polaków — katolików śląskich przez publikacje zbiorów pieśni religijnych.

Wartość literacka i naukowa pism Lompy jest bardzo różna. Dał stosunkowo niewiele rzeczy oryginalnych, znacznie częściej tłumacząc obce dzieła, lub też opierając się na wynikach badań innych. W niektórych własnych opowieściach i wierszach Lompy wyczuwa się iskry talentu twórczego, którego jednak warunki nie pozwoliły należycie rozwinąć. Najpoważniejszą wartość naukową mają prace etnograficzne Lompy, przede wszystkim jako zbiory materiałów, obejmujące wierzenia, pieśni i legendy ludu śląskiego, które Lompa uratował dla potomności: następne bowiem fale germanizacyjne większość z nich zatarły w pamięci Ślązaków. Rozległy zakres pracy piśmienniczej Lompy zwrócił nań uwagę Polaków z innych dzielnic: zasługi pisarza śląskiego uczczono, powołując go do kilku towarzystw naukowych i fachowych polskich. W ogólnym dorobku piśmiennictwa polskiego ma też zapewnione Lompa poczesne miejsce, jako jeden z pierwszych polskich pisarzy ludowych.

W dziejach Śląska zapisał się Lompa niezatartymi zgłoskami jako właściwy twórcą nowoczesnego piśmiennictwa polskiego na

Śląsku. Podał swemu ludowi książkę polską, rozszerzając horyzonty umysłowe Polaków śląskich, równocześnie zaś kształcąc ich w poprawnej mowie polskiej. Sam Lompa dopiero w miarę czasu wyrabiał sobie styl polski poprawny, dając w końcu rodakom śląskim strawę duchową w takiej polszczyźnie, jakiej nie powstydziłby się pisarz z innych dzielnic Polski, gdzie tradycje piśmiennictwa i języka literackiego polskiego biegły od wieków nieprzerwanie.

Nie można wreszcie pominąć pracy publicystycznej Lompy, w której poruszał szereg problemów tak z przeszłości Śląska, jak też i z aktualnej chwili: artykuły te pomieszczał w prasie śląskiej, oraz w czasopismach krakowskich i poznańskich, które zasilał korespondencjami. Osobny rozdział należy się też Lompie jako działaczowi społecznemu i narodowemu, o czym wspomnimy w dalszym toku naszego opowiadania.

Rozdział XXXIII

ŚLĄSK W LATACH 1848/49

Rozbudzenie świadomości narodowej polskiej dokonywało się na Śląsku powoli. Zbyt dawno oderwany od macierzy, przez całe lata niemal przez nią zapomniany, nie pojmował jeszcze Polak śląski dostatecznie, co go łączy z resztą narodu polskiego. Niemieckich swych ciemiężców nienawidził: ale jeszcze z pewną obojętnością patrzył na „panów" z Krakowa, którzy na Śląsk zaczęli przybywać i próbowali nawiązać serdeczne nici z ludem śląskim. Nie rozumiał jeszcze łączności własnych i ogólnopolskich interesów. Polski ruch niepodległościowy, oparty wciąż głównie na tradycjach państwa polskiego sprzed rozbiorów, z ośrodkami w Warszawie, Krakowie, czy w Poznaniu, nie znajdował oddźwięku w duszach Ślązaków. Naród polski prowadził walkę o niepodległość, o przekreślenie gwałtów rozbiorów: ale gdyby nawet powiodło się odbudować państwo polskie w granicach przedrozbiorowych, to gdzież tam było miejsce dla Śląska? Ciężkie doświadczenia pod obcymi rządami pozostawiły w duszy Polaka śląskiego osad wielkiej ostrożności w postępowaniu, w wyrażaniu swych myśli i uczuć — osad nieufności. Tradycje niedawno jeszcze niepodległego państwa polskiego i hasła powstańcze, na nich oparte, do niego nie przemawiały: tym więcej, że akcją niepodległościową polską pod zaborami nadal kierowały w pierwszym rzędzie żywioły szlacheckie, po części mieszczańskie — a w tych warstwach polskość na ziemi śląskiej już prawie zanikła.

Polak śląski — to chłop, drobny rzemieślnik i robotnik. Tego prostego człowieka interesowały głównie sprawy życia codziennego, utrzymania się jakoś na powierzchni w nader ciężkich warunkach. Był w antagonizmie społecznym do ziemianina, fabrykanta, bogatego kupca i przemysłowca — oczywiście Niemców. Zagadnienia społeczne zajmowały w jego pojęciach miejsce przed narodowymi. Trzeba było dopiero czasu, by zdołał nawiązać przerwaną nić tradycji z całym narodem polskim, by poczuł się jego pełnym

i równouprawnionym członkiem: trzeba było czasu i ewolucji nie tylko myśli politycznej, ale i stosunków społecznych w innych ziemiach polskich w kierunku demokratycznym. W miarę tego łatwiej mógł Ślązak pojąć, co go łączy z narodem polskim. Lud śląski musiał zrozumieć, że jego sprawa jest wspólna ze sprawą narodową polską. Na razie dopiero wchodził w pierwszą fazę odrodzenia narodowego. W coraz ostrzejszym antagonizmie do warstw wyższych i rządów pruskich, jednakowo go wyzyskujących i nękających, z rosnącym uporem bronił swej odrębności: wobec rosnącego nacisku niemczyzny kurczowo bronił swych odwiecznych skarbów — mowy ojczystej i obyczaju przodków. Na całe szczęście znalazł swego Lompę, który mu walnie pomagał w walce o te wartości. Mając w ręku książkę polską, podnosił się na duchu. Teraz już wiedział, że jego mowa to nie jakieś cudackie narzecze, produkt szczególnych warunków, wytworzony przez mieszaninę językową na terenie pogranicznym zasięgu narodowości polskiej, czeskiej i niemieckiej; że w tej mowie można pisać rzeczy i piękne i mądre, jak piszą Niemcy; że w tej mowie tworzyli i pisali arcydzieła jego bracia polscy spoza kordonu, o czym mógł się przekonać nie tylko z słownych zapewnień Lompy, ale i z dość licznych cytat z dzieł literatury polskiej, jakie Lompa w swych książkach zamieszczał. A książki Lompy chwytały go bardziej za serce, niż tamte „książki krakowskie", które dawniej przywozili na Śląsk księża lub studenci z Krakowa: te były bardziej swojskie, bo drukowane na ziemi śląskiej i napisane — właśnie dla ludu śląskiego. To była własność Polaka śląskiego. Dzięki nim umacniał się w obronie mowy polskiej.

Pod tym hasłem zaczęła się pierwsza faza odrodzenia narodowego na Śląsku. Treścią jej główną była walka o prawa, o swobodę języka polskiego. Ale to jeszcze nie oznaczało pełnego odżycia świadomości narodowej. Polak śląski jeszcze nie wiązał swej sprawy z ogólnopolską: stąd też powstanie listopadowe w tzw. Królestwie Kongresowym i późniejsze walki niepodległościowe narodu polskiego nie wywołały żywszego oddźwięku na ziemi śląskiej[1]). Wielu Ślązakom wydawało się, że musi im wystarczyć

[1]) Nie ulega kwestii, że powstania polskie wywołały również pewne odgłosy na Śląsku. Niestety nasza nauka historyczna nie przeprowadziła jeszcze dostatecznych badań w tej materii. Wiadomo już jednak, że np. w r. 1846, w czasie przygotowań do powstania ogólnopolskiego, emisariusze polscy z Krakowa i Poznania docierali i na Śląsk, badając teren i wchodząc w kontakt z ludnością. W początkach lutego 1846 r. bawił na Śląsku

wywalczenie sobie u rządu pruskiego praw językowych i równości społecznej. Bałamuciły ich „hasła wolnościowe", szerzone podówczas i w Niemczech. Jeśli rząd będzie inny, liberalniejszy, uwzględniający skromne postulaty Polaków śląskich, to zawsze będzie lepiej: co prawda i tak przyjdzie żyć dalej pod rządami obcymi, ale w końcu tak było już od wieków i może tak być musi? Na zasadniczą zmianę nastrojów ludności polskiej Śląska w tym względzie nie nadeszła jeszcze pora. Na to trzeba było jeszcze ewolucji kilku dziesiątek lat, wypełnionych nowymi, ciężkimi doświadczeniami ludu śląskiego: aż dopiero dotrzeć miała do jego świadomości prawda najważniejsza, że między Polakiem a Niemcem nie może być zgody, że Polak śląski może wykuć dla siebie lepszą przyszłość tylko w ścisłej łączności z resztą narodu polskiego; że naród polski jest jeden, nierozerwalny i sprawa wszystkich Polaków jest wspólna. Pierwsze, skromne jeszcze zapowiedzi tej ewolucji przyniosły wypadki roku 1848 na Śląsku.

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Po wojnach napoleońskich dola chłopa polskiego na Śląsku uległa jeszcze pogorszeniu. Ziemianom niemieckim nie wystarczało, że na podstawie edyktu regulacyjnego z r. 1811, bardzo korzystnie dla nich skonstruowanego, pod pozorem likwidacji pańszczyzny nasycili się pod dostatkiem odebraną chłopom ziemią, puszczając tzw. zagrodników (chałupników) przeważnie z kwitkiem. Ziemia sama, to jeszcze było za mało dla pańskich, niemieckich apetytów: oni chcieli mieć jeszcze tanie siły robocze, a tutaj chłop, wprawdzie strasznie pokrzywdzony, bo pozbawiony należnej mu ziemi, szedł do górnictwa i przemysłu, i trzeba było dopiero najmować robotnika i zapłacić — a wówczas zboże kalkulowało się zbyt drogo i nie znajdowało zbytu, wobec konkurencji taniego zboża z Ameryki. Od czegóż jednak wpływy panów u władz pruskich, gdzie junkrzy obsiedli najlepsze stanowiska? Postarali się o nowe zarządzenie, tzw. „deklarację" w r. 1816, która tak utrudniała rozwiązanie dotychczasowego stosunku pańszczyźnianego między chłopem a panem, przez zmuszanie chłopa do zaspokojenia przesadnych pretensji pań-

---

również sam Ludwik Mierosławski. Władze pruskie nie lekceważyły tych poczynań, czego dowodem wytężona akcja policyjno-wywiadowcza na terenie Śląska i zgromadzenie tamże znacznych ilości wojska. W procesach, wytaczanych powstańcom polskim w Poznańskiem i uchodźcom z Krakowa, władze pruskie stwierdziły fakty łączności głównych ośrodków akcji polskiej z Polakami śląskimi. Sprowadziło to, oczywiście, zaostrzenie systemu policyjnego i represje.

skich, że w rezultacie chłop mógł wprawdzie formalnie uwolnić się od pańszczyzny, ale — za cenę wyrzeczenia się do $^3/_5$ gruntu i nierzadko dopłaty w gotówce! Zrozpaczeni chłopi wytaczali masowo procesy panom, łudząc się, że przecież władze staną po ich stronie. Nic podobnego: władze administracyjne i sądy trzymały zawsze z panem. Jeśli więc w ogólności dochodziło do „regulacji", to z największą szkodą dla chłopskiego, tj. zarazem polskiego stanu posiadania na Śląsku. Ale panom niemieckim chodziło o jeszcze silniejsze skrępowanie chłopa, by nawet przy ogromnych ofiarach nie mógł się wyzwolić z więzów pańszczyźnianych. Zwłaszcza zabiegali w tym duchu w Berlinie książę pszczyński i Henckel-Donnersmarck, który zresztą swój cynizm posuwał do tego stopnia, że kazał pracownikom pańszczyźnianym odrabiać dniówki w przemyśle, bijąc taniością robocizny konkurencję innych fabrykantów! Na skutek starań tych magnatów rząd wydał w r. 1827 „specjalne rozporządzenie dla Górnego Śląska", a więc ustawę wyjątkową dla chłopów polskich: ułożona była tak perfidnie, że formalnie odraczała, w istocie uniemożliwiała przeprowadzenie „regulacji", o ile jej sobie pan nie życzył. W następstwie w latach 1827—1846 na 12.000 zagrodników górnośląskich uzyskało rozwiązanie stosunku pańszczyźnianego zaledwie tylko 10! Niby więc korzystał chłop z wolności osobistej, ale trzymany był w więzach pańszczyzny, o ile chciał zgodnie z prawem załatwić swój stosunek do pana; inaczej musiałby się wyrzec w ogólności wszelkich praw do gruntu. Wiadomo, jak ciężko chłopu z taką myślą się pogodzić! A więc uginał dalej karku w jarzmie ciężkich posług na rzecz pana, z iskierką nadziei w sercu, że przecież stan ten kiedyś się poprawi. Dodajmy, że i chłopi „uregulowani" cierpieli przez całe lata skutki wielkich, często potwornych ofiar, jakimi musieli okupić swe uwolnienie od pańszczyzny: biedę, jaka na nich wielokrotnie spadała, odczuwali jako wyzysk i krzywdę.

Nie lekki był również los polskiego robotnika: musiał on spełniać „czarną" robotę w kopalni czy w fabryce, biorąc przeważnie marną zapłatę, podczas gdy wszystkie lepsze stanowiska, dozorców, fachowców, sztygarów, urzędników, inżynierów, nie mówiąc już o dyrektorach i magnatach przemysłowych, zajmowali Niemcy; cała ta czereda napływowych (w związku z rozwojem górnictwa i przemysłu) Niemców przyczyniła się walnie do zniemczenia miast górnośląskich w XIX wieku.

Spracowany i wynędzniały, stale krzywdzony chłop czy robotnik, znajdował chwilowe choćby zapomnienie — w alkoholu.

Wpływało to oczywiście fatalnie na zdrowotność ludności polskiej, nawet na degenerację. Starali się temu przeciwdziałać dwaj szczególnie księża polscy: proboszcz w Piekarach ks. Jan Alojzy Ficek i sprowadzony przez niego z Krakowa reformat o. Stefan Brzozowski. Rozwinęli wśród ludu niezwykle żywą propagandę przeciw pijaństwu, tworząc tzw. bractwa wstrzemięźliwości, które objęły podobno do 300.000 Ślązaków. Znamienne, że władze pruskie zatrwożyły się akcją księży, węsząc jakąś próbę organizowania społeczeństwa polskiego na Śląsku pod pokrywką zwalczania alkoholizmu. Strach pruski miał wielkie oczy. Księża ci nie byli politykami, a tylko chcieli po swojemu poprawić dolę prostego ludu śląskiego.

Prusacy mieli nieczyste sumienie i bali się ruchu chłopskiego na Śląsku. Atmosfera była napięta w całej Europie. Powiały silnym podmuchem prądy wolnościowe, zapowiadające zagładę tyrańskim rządom władców absolutnych. Niestety rok 1848, rok „Wiosny ludów", poprzedziły straszne czasy głodu i zarazy na Górnym Śląsku (częściowo i na Dolnym). Ulewne, jakby nie kończące się deszcze nawiedziły ziemię śląską, wywołując powodzie, niszczące plony. Po nich przyszła długotrwała posucha. Skutki były katastrofalne dla ludności: plaga nieurodzaju i głodu, w następstwie zaraza (1847/8). W powiecie pszczyńskim zmarło na skutek głodu 1000, na skutek tyfusu 7000 osób (na ogólną liczbę 69.000 ludności). Podobne tragedie przeżywała ludność powiatu rybnickiego; niewiele lepiej było w innych powiatach Górnego, i niektórych Dolnego Śląska. W sumie na samym Górnym Śląsku zmarło 50.000 osób, przeważnie spośród biedniejszej, a więc polskiej ludności. Władze pruskie przypatrywały się z założonymi rękami katastrofie. Dopiero gdy plaga zarazy już wygasła, podjęły niby jakieś kroki — pod presją wzburzonej opinii. Niósł wówczas pomoc rodakom śląskim przybyły z Krakowa lekarz Władysław Wężyk (działający przedtem w Poznańskiem), polski demokrata, wysłany prawdopodobnie na Śląsk jako emisariusz Stowarzyszenia Ludu Polskiego. Wężyk zmarł sam na Śląsku na tyfus, jako ofiara zawodu, „samarytanin ludu śląskiego". Wśród lekarzy na Śląsku zaszło wówczas więcej wypadków śmierci, nie mówiąc już o tym, że np. w Raciborzu połowa ich zachorowała na tyfus: władze rządowe pruskie zajęły bardzo osobliwe stanowisko, a mianowicie zakazały wysyłać lekarzy na Górny Śląsk — niech Polacy mrą, pozbawieni opieki lekarskiej! Nawet prasa niemiecka wrocławska

zaczęła w końcu atakować rząd za zupełną bierność wobec zarazy, pustoszącej ziemię górnośląską. Z istotną pomocą przyszły nieszczęśliwej ludności jedynie jednostki prywatne, organizując komitety ratunkowe. Wydatnie wspomogło braci śląskich społeczeństwo polskie z Krakowa i tzw. Królestwa Kongresowego, skąd przywożono żywność i odzież, i to „z najdalszych okolic". W strasznych chwilach głodu i zarazy odezwała się solidarność polska: Ślązacy zachowali to we wdzięcznym wspomnieniu.

Od dawna nurtujące ruchy rewolucyjne wyszły wreszcie w r. 1848 z podziemia w wielu krajach Europy. W lutym wybuchła rewolucja w Paryżu, w marcu w Wiedniu i Berlinie. Na tronie pruskim zasiadał wówczas Fryderyk Wilhelm IV (1840—1861), który w początkach swych rządów okazywał skłonności do liberalizmu i nawet pewną życzliwość dla Polaków. Na skutek zabiegów kilku działaczy polskich udało się wówczas uzyskać dość poważne koncesje na rzecz języka polskiego w szkołach w Poznańskiem. Liberalniejszy kurs ówczesny rządu pruskiego przejawił się również w drobnych ustępstwach w dziedzinie językowej na Śląsku. W r. 1842 dopuszczono naukę języka polskiego w gimnazjach w Opolu, Gliwicach i w Nysie, jak też w jednym z gimnazjów wrocławskich oraz w tamtejszej wyższej szkole obywatelskiej. Nadto wprowadzono naukę języka polskiego w ewangelickim seminarium w Wrocławiu, oraz w seminarium nauczycielskim w Głogówku. Ustępstwa poczynił rząd pruski ze względu na konieczności życiowe: okazało się bowiem, że nauczyciele niemieccy, nasyłani na obszary polskie Śląska, musieli dopiero pospiesznie uczyć się języka polskiego, gdyż inaczej nie byli rozumiani w ogóle przez młodzież. Ustępstwa te były drobne i zgoła nie wystarczające. Stopniowo zaczęły władze, jakby wstydząc się swego chwilowego pokłonu w kierunku liberalizmu, cofać się na swe dawniejsze pozycje. Tak np. akcja Karola Kosickiego, ziemianina śląskiego z Wielkich Wilkowic w powiecie Tarnogórskim (pochodzącego z rodziny śląsko-polskiej, od dawna zniemczonej, który wprawdzie uważał się na Niemca, ale starał się uwzględnić potrzeby miejscowej polskiej ludności), zmierzająca do przywrócenia redakcji rozporządzeń regencji opolskiej w dwóch językach, nie dała wyniku. Władze pruskie posłużyły się znanym wykrętem, że ludność śląska mówi nie językiem polskim, lecz własnym narzeczem, którego podtrzymywanie nie ma żadnego celu; rząd nie

myśli również przyzwyczajać Ślązaków do języka polskiego — tedy wystarczy im niemczyzna! W ogólności rząd pruski zarzucił kurs liberalny, tym więcej, że sam król pruski zaczął coraz wyraźniej odżegnywać się od wykazywanych poprzednio „słabości" i poczynał sobie jak władca samowładny. W tej sytuacji grupy demokratyczne i wolnościowe uznały konieczność przejścia na drogę rewolucji. 18 marca 1848 r. tłumy w Berlinie wyszły na ulicę. Polała się krew, ale w końcu przerażony Fryderyk Wilhelm IV ustąpił i zapowiedział zwołanie Zgromadzenia Narodowego, które miało uchwalić dla państwa pruskiego konstytucję w duchu demokratycznym.

Na Śląsku doszło również do rozruchów, w samym Wrocławiu i wielu innych miastach, przeważnie na Śląsku Dolnym, gdzie niemczyzna była w większości. Była to walka czynników demokratycznych niemieckich z reżimem absolutnym. Niemcom chodziło więc o konstytucję, o prawa obywatelskie i polityczne dla szerokich sfer społeczeństwa. Ruch ten w pierwszym zapale rewolucyjnym mógł wykazywać pewne sympatie dla Polaków, jako warstwy uciśnionej, domagającej się równouprawnienia. Sympatie takie przejawiły się w Berlinie, ale nie widać ich prawie na Śląsku, gdzie od wieków niemczyzna rozpychała się swobodnie łokciami kosztem polskości i nie myślała nigdy z praw „narodu rządzącego" rezygnować. Zresztą i owe sympatie pospólstwa berlińskiego do Polaków były bardzo krótkotrwałe: wystarczyło, że Polacy w Poznańskiem zaczęli organizować sobie rzeczywiście własne życie — polskie, by wkrótce niemczyzna podniosła krzyk, że grozi oderwanie pięknej prowincji od Prus! Niewiele tygodni upłynęło i Niemcy stanęli wspólnym frontem przeciw Polakom. Mogli demokraci niemieccy głosić hasła wolnościowe, ale to było przeznaczone na użytek wewnętrzny — niemiecki. Ani myśleli o tym, by Polakom przyznawać pełną swobodę życia narodowego. — W szczególności na Śląsku ruch rewolucyjny w miastach objął prawie wyłącznie Niemców. W części polskiej Śląska wybuchły wprawdzie rozruchy w Bytomiu, w których wzięli udział również polscy górnicy z Szarleja. Władze wysłały jednak na ulice — oddział huzarów, którzy szablami rozprószyli demonstrujących. Polakom śląskim brak jeszcze było organizacji, nie mogli tedy wystąpić jako czynnik jednolity. Na domiar klęski głodu i zarazy tak przygnębiły ludność, wyczerpując jej siły fizyczne i moralne, że Polacy śląscy na ogół biernie zachowali się w pierwszych dniach rewolucji. Nie posiadali jeszcze jasnego pro-

gramu, ani wodzów. Pomieszani po miastach z Niemcami, nie orientowali się, jakie należy zająć stanowisko.

Nieco żywiej ruszyła się wieś. Na wieść o rewolucji w miastach, podnieśli głowę chłopi w różnych powiatach Dolnego Śląska, domagając się ostatecznej likwidacji pańszczyzny, zniesienia czynszów i podatków. Tu i ówdzie wysunięto radykalne hasła społeczne: żądano np. wspólnoty lasów i stawów. W niektórych wypadkach napadano na dwory bardziej znienawidzonych panów, dokonując nawet samosądów nad ciemiężycielami. Rozruchy miały miejsce w okolicy Trzebnicy, Wrocławia, Żmigrodu, Oławy, Kluczborka, a więc w terytoriach, gdzie jeszcze utrzymał się żywioł polski. Najbardziej pokrzywdzeni na Śląsku byli chłopi polscy. Nie ulega kwestii, że oni to przede wszystkim porwali się na dwory pańskie, niemieckie. Uderza przecież bierność chłopa górnośląskiego: i w tym wypadku trzeba szukać przyczyny w strasznej depresji ludu górnośląskiego po okresie głodu i niewygasłej jeszcze epidemii tyfusu. Przerzedzona i wycieńczona ludność górnośląska nie była zdolna do powstania.

Żywszy prąd przeszedł jednak masy polskie na Górnym Śląsku, kiedy rozpisano wybory do parlamentu (Zgromadzenia Narodowego) pruskiego, na podstawie ordynacji wyborczej stosunkowo (jak na owe czasy) demokratycznej. Nieliczni działacze polscy rozpoczęli ożywioną akcję uświadamiającą, podkreślając przede wszystkim hasła społeczne. Wybory majowe 1848 r. dały wynik dla Niemców niespodziewany: z powiatów polskich Śląska wybrano samych Polaków, m. i. ks. Józefa Szafranka, proboszcza bytomskiego, rolnika Gorzołkę z powiatu oleskiego, rolnika Mildnera z Janowa pod Mysłowicami. Ziemianie niemieccy, lub zniemczali przepadli przy wyborach. Wybierano chłopów, rzemieślników, drobnych kupców. Jak szydzą historycy niemieccy, niejeden z owych posłów pospiesznie szył sobie dopiero ubranie, by godnie wystąpić w Berlinie. W istocie dla Niemców było to rewelacją, że ludność wybierała ludzi swoich, do których miała zaufanie. Zapewne Niemcy sądzili, że chłop i robotnik polski, pogrążony w ciemnocie, nie zrozumie o co chodzi i będzie głosował na panów niemieckich! Stało się inaczej: Polak śląski okazał po raz pierwszy dobrą orientację w sytuacji.

Pomogli mu w tym działacze polscy. Na czoło wysunął się wspomniany ks. Szafranek, który od lat już prowadził cichą pracę oświatową wśród ludu, wydając polskie kalendarze. Obok niego przestąpił do pracy politycznej i publicystycznej Lompa. Duży

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

zmysł organizacyjny wykazał nauczyciel z Bytomia, Emanuel Smołka. Pojawili się na Śląsku polscy działacze demokratyczni z Krakowa, Józef Łepkowski i Mierowski, by stanąć do pracy narodowej na zaniedbanym dotąd ugorze. Nie sprzeniewierzył się swym dotychczasowym hasłom obrony ludności polskiej Kosicki (choć przepadł przy wyborach, jako ziemianin!) i poparł wysiłki innych. Dla uświadomienia ludności potrzebne było przede wszystkim stworzenie prasy polskiej na Śląsku. Wprawdzie już w r. 1842 zaczęło wychodzić pierwsze pismo polskie na Górnym Śląsku, *Tygodnik Polski*, wydawany przez ówczesnego nauczyciela przy szkole ewangelickiej w Pszczynie i właściciela drukarni, Krystiana Schemmla[1]). Pismo to, „poświęcone włościanom", przyczyniało się do szerzenia oświaty wśród ludności polskiej: tematów politycznych nie poruszało, gdyż wydawca unikał konfliktu z władzami pruskimi. Czasy klęski głodowej na Górnym Śląsku zmiotły z powierzchni *Tygodnik Polski*. Dopiero w r. 1848 podjął Schemmel nowe wydawnictwo pt. *Tygodnik Górnośląski*. Ale Polakom śląskim innych już pism było potrzeba, redagowanych nie tylko po polsku, ale i w duchu polskim. Taką rolę spełniać miał *Dziennik Górnośląski*, założony w połowie 1848 r. w Bytomiu, pod redakcją Łepkowskiego i Mierowskiego. Było to pierwsze pismo narodowe polskie na Śląsku, w którym, obok obrony interesów Górnoślązaków, starali się redaktorzy podkreślać momenty ogólnopolskie i w tym duchu wychowywać lud miejscowy. W piśmie współpracował również Lompa; z jego inicjatywy drukarz Kuhnert podjął zresztą niebawem wydawanie w Olesnie *Telegrafu*, tygodnika „dla polepszenia, wyćwiczenia i wyuczenia ludu" i Lompa zaczął przede wszystkim to pismo zasilać swymi artykułami. Mniejsze już znaczenie posiadały wydawane przez księdza Ficka w Piekarach: *Tygodnik Katolicki* oraz *Listy Mariańskie*, zajmujące się głównie sprawami religijnymi oraz propagandą akcji wstrzemięźliwości. Powstawanie pism polskich było możliwe dzięki zniesieniu cenzury przez rząd.

Bytom, siedzibą *Dziennika Górnośląskiego*, stał się zarazem ośrodkiem organizacji oświatowych polskich, jakie teraz powsta-

[1]) Poprzednio próbowali Niemcy wydawać dla ludności polskiej periodyki, drukowane po polsku wprawdzie, ale w istocie stanowiące jedynie tłumaczenia pism niemieckich, a głównie rozporządzeń władz. Takim periodykiem był wydawany w Pszczynie *Dziennik Urzędowy* (od r. 1812). Nie dość wyjaśnione są jeszcze wcześniejsze próby dziennikarstwa na Śląsku w języku polskim (z r. 1792).

wały. W r. 1848 zawiązało się z inicjatywy Lompy „Towarzystwo pracujących dla oświaty ludu górnośląskiego"; organizowali je, obok Lompy, Kosicki, Smołka i Łepkowski. Towarzystwo gromadziło książki, które stały się podstawą czytelni polskich w Bytomiu, Woźnikach, Lublińcu, Mysłowicach i Rybniku. W r. 1849 Lompa wespół ze Smołką założył „Towarzystwo nauczycieli Polaków". Naraz, ku podziwowi Niemców, ruch polski przybierać zaczął poważne formy organizacyjne.

Najważniejszym przecież wydarzeniem był wiec ogólnopolski z całego Śląska. Zorganizowali go czołowi działacze polscy: Szafranek, Lompa, Kosicki, Smołka, Łepkowski i Mierowski — dla omówienia postulatów, jakie posłowie polscy winni przedstawić w parlamencie pruskim. W dniu 13 czerwca zjechali do Bytomia przedstawiciele niemal wszystkich gmin polskich na Śląsku i uchwalili wytyczne dla posłów, dotyczące przyznania pełnego równouprawnienia języka polskiego w szkołach, sądach i urzędach na Śląsku. Po raz pierwszy wówczas przybrali Polacy śląscy jednolitą postawę wobec rządów pruskich.

Były to czasy wielkich haseł i wielkich złudzeń. Działacze polscy wierzyli w szczerość haseł wolnościowych niemieckich, grzesząc zarazem krótkowzrocznością, bo nie dostrzegali, iż równorzędnie z prądem wolnościowym nurtuje w społeczeństwie niemieckim prąd inny — narodowy, dążący do zjednoczenia wszystkich Niemców w jedną całość państwową. Niemcy były jeszcze rozbite na szereg państw i państewek, bardzo luźnie tylko związanych w organizacji Związku Niemieckiego (*Deutscher Bund*). Znaczna część społeczeństwa niemieckiego dążyła do stworzenia jednolitego państwa niemieckiego, przy czym rozbieżności panowały dopiero przy rozważaniu kwestii, która z głównych potęg niemieckich ma dokonać tego zjednoczenia: Austria czy Prusy? Większość zwolenników zjednoczenia opowiadała się za oddaniem przewodnictwa Prusom, uważając nawet, iż Austria, jako państwo o składzie narodowościowym zbyt różnolitym, w ogólności winno pozostać poza nowym, jednolitym państwem niemieckim. Takie tendencje w następstwach musiały być dla Polaków pod rządami pruskimi nader groźne, gdyż wzmacniały potęgę Prus i podsycały zarazem szowinizm niemiecki, skupiając masy narodu niemieckiego przy tronie Hohenzollernów — dynastii, która miała zrealizować wieloletnie marzenia Niemców o zjednoczeniu, o nowym cesarstwie niemieckim.

Tych niebezpieczeństw działacze polscy ze Śląska na razie nie dostrzegali. Natomiast duże nadzieje wiązali z hasłami demokratycznymi, jakie rozbrzmiewały w czasie obrad Zgromadzenia Narodowego w Frankfurcie, reprezentującego wszystkie ziemie niemieckie. Uchwalono tam m. i., że „wszystkie narody na ziemiach Związku Niemieckiego mają mieć zupełną swobodę narodowego rozwoju i zażywać równouprawnienia w kościele, szkolnictwie, literaturze, administracji wewnętrznej i sądownictwie". Na tę deklarację frankfurcką powołał się ks. Szafranek, przedstawiając w parlamencie pruskim w Berlinie postulaty posłów polskich ze Śląska. Zażądał pełnego równouprawnienia Polaków śląskich (np. przy obsadzaniu stanowisk urzędniczych), równych praw dla języka polskiego w szkole, w urzędach, w sądach, szkół tylko polskich dla miejscowości polskich, mianowania tamże wyłącznie takich urzędników, którzy władają mową polską, wprowadzenia w szkołach średnich i wyższych nauczania języka polskiego dla przygotowania odpowiednich kadr nauczycielskich i urzędniczych, wydawania również w języku polskim wszelkich praw i rozporządzeń, także i protokółów z obrad parlamentu pruskiego.

Petycję tej treści złożył Szafranek w dniu 21 lipca 1848 r. Stanowiła ona prawdziwą rewelację dla wielu Niemców, którzy przyzwyczaili się uważać Śląsk za prowincję niemiecką — bo Śląsk nie należał w chwili rozbiorów do państwa polskiego, a zresztą propaganda pruska od dawna przedstawiała Śląsk jako prowincję niemiecką, gdzie tylko jeszcze część nie dość „oświeconej" ludności mówi jakąś osobliwą, „mieszaną" gwarą. Naraz okazało się, że ludność tego Śląska uważa się po prostu za Polaków, że żąda dla siebie takich samych praw językowych, jakich domagają się posłowie polscy np. z Poznańskiego. Większość niemiecka parlamentu berlińskiego była oczywiście przeciwna przyjęciu wniosku ks. Szafranka. Ale nastroje „wolnościowe" tego parlamentu, który miał uchwalić konstytucję demokratyczną dla Prus, nie pozwalały znów tak z miejsca odrzucać petycji śląskiej: tedy poradzili sobie Niemcy w ten sposób, iż dyskusję nad wnioskiem — wciąż odraczali. Wiedzieli o tym działacze polscy na Śląsku i postanowili wzmocnić stanowisko Szafranka. Pospiesznie wygotowano w Bytomiu ponowną petycję, pod którą zebrano 2500 podpisów z 200 gmin, co oznaczało wyraz woli pół miliona ludności śląskiej! Wsparty powagą takiej akcji zbiorowej, ks. Szafranek znowuż wystąpił w Berlinie ze swym wnioskiem, dołączając żądanie pełnego i natychmiastowego uwła-

szczenia włościan. Niemcy często podkreślają, że właściwie żądania ówczesne ludności polskiej Śląska ograniczały się jedynie do spraw językowych i społecznych, nie dowodziły tedy jeszcze istotnej świadomości narodowej, polskiej — Ślązaków. Tymczasem właśnie ks. Szafranek zaznaczył łączność narodową Śląska z innymi dzielnicami polskimi, kiedy w parlamencie berlińskim przystąpił (wraz z posłem Gorzołką z Olesna) do grona posłów polskich z Poznańskiego (tzw. „Ligi Polskiej").

Równocześnie pisał Lompa w *Dzienniku Górnośląskim*: „Otóż mamy na sejmie w Berlinie naszego deputowanego ks. Szafranka, on żąda dla nas narodowości, to jest, abyśmy za Polaków a nie za Niemców uważani byli i aby ojczysty nasz język tak dobrze był ceniony i szacowany jak niemiecki". A więc postulaty tylko językowe? Tymczasem czytamy dalej w artykule Lompy: „My włościanie Ślązacy z Górnego Śląska, zamieszkując od wieków tę ziemię, sądzimy się sami być prawymi jej dziedzicami, a zatem żądamy, aby narodowość nasza przyznaną nam była a równe jak i niemiecka prawa mieć mogła, to jest żądamy, aby po szkołach niższych uczono tylko po polsku, a język niemiecki ma być tylko jako inne, np. francuski, traktowany. Niech też w szkołach naszych uczą, jak to przed laty działo się na ziemi naszej, to jest dziejów Polski".

To już była zapowiedź, że Ślązakom nie wystarczy sam język. Nawet w razie przyznania praw językowych mogliby pozostać „Prusakami mówiącymi po polsku", jak to się marzyło niektórym politykom pruskim. Lompa żądał dla Ślązaków nauki historii własnego kraju, jako części historii polskiej, co już położyć miało kamień węgielny pod właściwe uświadomienie narodowe ludu śląskiego, jako części wielkiego narodu polskiego! Dobrze zorientował się Bismarck, kiedy w wystąpieniu parlamentarnym ks. Szafranka widział pierwszy przejaw „polonizacji" (tzn. obudzenia się na powrót polskości) elementu śląskiego, który, jego zdaniem, był dotąd usposobiony *stramm preussisch*. I dodał Bismarck w swych pamiętnikach: „Szafranek . . . nauczył nas, że między Polakami a Niemcami zgoda jest niemożliwa". Postać dzielnego księdza dobrze utkwiła w głowie późniejszemu kanclerzowi Prus i Niemiec! Dodajmy, że Szafranek dawał tylko wyraz tym przemianom, jakie zaczęły się dokonywać w duszy Polaków śląskich. Sprawy ludu, który go obdarzył zaufaniem, bronił odważnie. Obok postulatów językowych wysunął też i społeczne, domagając

się zdecydowanego polepszenia doli ludu wiejskiego. Jako bojownik praw chłopa zasiadł na lewicy w parlamencie. Wówczas władze pruskie, które chciały pozbyć się tego rzecznika praw ludności polskiej, oskarżyły go u biskupa wrocławskiego Melchiora Dieppenbrocka o tendencje radykalne i zażądały, by mu zakazano działalności poselskiej. Biskup uległ o tyle, że zakazał Szafrankowi zasiadać na lewicy. Dzielny proboszcz bytomski wybrnął z trudnej sytuacji w ten sposób, że wprawdzie nie „zasiadł", ale stał przed ławami lewicy i w tej pozycji przetrwał wielogodzinne nieraz sesje parlamentu: jak napisał Bismarck, ponieważ cały czas stał „jak szyldwach" na posterunku, „nie musiał dopiero wstawać, kiedy zabierał się do wygłoszenia mowy antyniemieckiej".

Do obrad nad drugim wnioskiem Szafranka nie doszło w ogóle. Dobiegał schyłku rok 1848. Po wielkich nadziejach nadeszły gorzkie rozczarowania. Wszędzie w Europie reakcja, po chwilowym wstrząsie, zbierała na nowo siły i starała się przywrócić dawny stan rzeczy. Tu i ówdzie, dla pozorów, rzucano ludom jedynie ochłapy. Tak było i w Prusiech. Dnia 5 grudnia 1848 r. Fryderyk Wilhelm IV rozwiązał Zgromadzenie Narodowe (parlament) berlińskie i sam od siebie nadał państwu konstytucję. Nie tego oczekiwała ludność, która wybierała przedstawicieli w tym celu, by zgodnie z jej życzeniami uchwalili nowy ustrój państwa. Żądała pełni praw wolnościowych, narodowych i obywatelskich, a tymczasem dostała strzępy. W szczególności ciężkiego zawodu doznali Polacy w Poznańskiem, gdzie przemoc germańska stłumiła ruch wolnościowy i utrzymała w pełni jarzmo pruskie. Zawiedli się również działacze śląscy, którzy marzyli o zapewnieniu polskości na Śląsku swobodnego rozwoju. W bardzo skromnym tylko stosunku do wielkich nadziei stały owe korzyści, jakie zapewniało całej ludności państwa pruskiego nadanie konstytucji; dzięki temu przynajmniej prawnie został zniesiony system rządów absolutnych. Wystarczyło to może dla Niemców, ale nie dla Polaków. Niebawem bowiem okazało się, że i w systemie konstytucyjnym reżim pruski potrafił niemniej (z czasem jeszcze w wyższym stopniu, w oparciu o masy szowinistycznego społeczeństwa pruskiego) gnębić polskość.

Istotną korzyścią było ostateczne zniesienie zabytków poddaństwa i pańszczyzny, które pokutowały zwłaszcza przy poparciu władz pruskich na Śląsku. W marcu 1850 r. nowa ustawa „regulacyjna" umożliwiła chłopu wyzwolenie się z ciężarów na rzecz pana o tyle korzystniejsze niż dotąd, że w zasadzie chłop zatrzymywał

grunt, a odszkodowanie miał spłacać panu w ratach rocznych. Niemniej grunta, jakie dotąd, w czasie poprzednich „regulacji" niezwykle krzywdzących dla chłopa, zagarnęli ziemianie niemieccy, pozostały w ich rękach. W rezultacie na polskim Śląsku chłop wyszedł na uwłaszczeniu znacznie gorzej, niż w innych dzielnicach pod zaborem pruskim. Po uwłaszczeniu bowiem przeciętny obszar gospodarstwa chłopskiego na Pomorzu wynosił 72 morgi, w Poznańskiem 65 morgów, a na Śląsku — 23 morgi. Tak to wielka własność ziemska na Śląsku obłowiła się kosztem chłopa w ciągu XVIII i w pierwszej połowie XIX wieku — w okresie, kiedy na pozór rząd prowadził akcję uwłaszczenia chłopa, a w istocie pozwalał panom zagrabiać znaczną część chłopskich gruntów. Nie ulega kwestii, że była to świadoma taktyka władz pruskich, które życzyły sobie skupienia przeważnej części ziemi w rękach niemieckich. Najlepiej ocenił rezultaty owej pruskiej reformy rolnej historyk niemiecki, profesor uniwersytetu wrocławskiego Ziekursch: „Wielu polskich chłopów śląskich i wielkie masy zagrodników utraciły ze swych pól większe części albo wprost wszystkie grunta na rzecz dziedziców. Stali się oni chałupnikami albo drobnymi dzierżawcami lub bezrolnymi robotnikami i poszli na służbę wielkich przedsiębiorstw". Pozbawiony ziemi chłop szukał zatrudnienia w górnictwie i przemyśle, gdzie swą pracą ciężką a marnie opłacaną przysparzał zysków baronom przemysłowym śląskim, oczywiście Niemcom.

Dodajmy, że w r. 1848 włościaństwo śląskie żądało przyznania mu prawa swobodnego łowiectwa w lasach miejscowych. Sprawę tę chłopi śląscy kładli szczególnie na sercu swym przedstawicielom, wybranym do parlamentu pruskiego. W istocie udało się przeprowadzić w parlamencie ustawę o wolności łowiectwa. Ale radość ludności śląskiej była przedwczesna. W r. 1850 ustawę zmieniono, przyznając prawo łowieckie tylko posiadaczom majątków 300-morgowych (w jednym zwartym kompleksie). Jeden z pisarzy niemieckich (Menz H., *Oberschlesien* t. XII) zaopatruje to cynicznym komentarzem: „Trzeba oddać każdemu, co mu się należy — panu polowanie, chłopu pracę przy pługu"! Takie w istocie było nastawienie Niemców do ludu śląskiego. Dla Niemców miały być wszystkie pańskie przywileje, posady, stanowiska i zyski, dla chłopa i robotnika polskiego tylko czarna robota i nędzne warunki egzystencji.

Władze pruskie nie zapomniały przewódcom polskim wystąpień w r. 1848. Mściły się tedy na nich, jako na budzicielach świa-

domości narodowej ludu śląskiego. Zrażony szykanami władz i trudnościami, stawianymi przez kurię biskupią, ks. Szafranek wycofał się w zacisze życia duszpasterskiego i zaprzestał działalności politycznej[1]). Łepkowskiemu nakazały władze pruskie opuścić terytorium Śląska, za czym upadł osierocony *Dziennik Górnośląski*, jak zresztą i inne pisma polskie, stworzone w r. 1848. Historyk pruski Laubert z zadowoleniem stwierdza, że na polu prasy polskiej na terenie Śląska zaległa na szereg lat „cisza cmentarna". Lompa został przez władze regencji opolskiej usunięty z posady nauczycielskiej (w r. 1850): pozbawiony środków do utrzymania licznej rodziny, ratował się przed skrajną nędzą pisywaniem artykułów do redagowanej przez Stalmacha *Gwiazdki Cieszyńskiej* i do warszawskiej *Gazety Codziennej*, prowadzonej przez znanego powieściopisarza polskiego J. I. Kraszewskiego, który też wspomagał „zacnego pisarza" śląskiego zasiłkami pieniężnymi. Nauczyciel Smołka został przeniesiony z posady nauczycielskiej w Bytomiu do Tarnowsk. Gór: chodziło oczywiście o usunięcie dobrego organizatora życia polskiego z głównego dotychczas ośrodka pracy polskiej — Bytomia. Jedynie Kosickiego pozostawiono w spokoju, bo był to możny ziemianin, ustosunkowany, a na domiar uchodził za Niemca i sam się zresztą za takiego uważał. Kosicki prowadził dalej akcję u władz o publikowanie rozporządzeń władz regencyjnych również w języku polskim: ostatecznie uzyskał tyle, że przynajmniej prześciowo władze regencji opolskiej wydawały dodatek w języku polskim do swego *Dziennika Urzędowego*. Zanim to zdołał wywalczyć, wydawał jakiś czas za własne pieniądze w Piekarach *Poradnik dla ludu górnośląskiego*, w którym podawano ludności polskiej rozporządzenia władz, objaśniano przepisy prawne, oraz dołączano wskazówki praktyczne w dziedzinie rolnictwa i rzemiosła: w redakcji pracowali Lompa i Smołka.

Życie polityczno-organizacyjne Polaków śląskich zostało przez władze rozbite. Niemniej pozostały wśród ludu wspomnienia roku 1848 r.: tkwiły żywo w jego umysłach postaci ks. Szafranka, Lompy, Smołki i innych.

---

[1]) Szafranek posłował dwukrotnie do parlamentu pruskiego: w r. 1848 i 1849.

Rozdział XXXIV

WZLOT I UPADEK SZKOLNICTWA POLSKIEGO NA ŚLĄSKU

Dziwnym zrządzeniem losu właśnie po r. 1848 nastały lepsze warunki dla rozwoju szkolnictwa polskiego na ziemi śląskiej. Gdy polscy działacze musieli opuścić ręce, prześladowani przez władze pruskie, zjawił się na Śląsku Niemiec, który uczynił dla polskości więcej, niż jakikolwiek Polak w ówczesnych warunkach mógł dokonać. Niemcem tym był ks. Bernard Bogedain. Pochodził on z niemieckiej śląskiej rodziny (urodzony pod Głogowem); po stracie rodziców wychowywany był przez stryja w klasztorze cystersów w Obrze w Poznańskiem, gdzie nauczył się doskonale po polsku i poznał bliżej społeczeństwo i życie polskie. Święcenia kapłańskie odebrał w Poznaniu. Dzięki gruntownemu wykształceniu (ukończył uniwersytet we Wrocławiu) i zdolnościom pedagogicznym, został mianowany dyrektorem seminarium w Paradyżu i na tym stanowisku dał się poznać z życzliwości wobec Polaków. Był i pozostał Niemcem. W r. 1848, kiedy ruch wolnościowy polski ogarnął Poznańskie, Bogedain był przekonany, że państwo polskie rychło będzie odbudowane: poprosił tedy władze o przeniesienie go do Opola, gdyż „pragnął pozostać obywatelem niemieckim". Przy regencji opolskiej znalazł odpowiednie dla siebie stanowisko jako radca szkolny i naczelny inspektor szkół powszechnych. Jako cel zasadniczy swej działalności zakreślił sobie podniesienie oświaty ludu śląskiego. Uznał zaś, że tego dopiąć może przede wszystkim przez umożliwienie ludowi nauki w języku ojczystym, polskim, w którym jedynie „można do serca przemówić i podnieść do Boga, jednym słowem uszlachetnić człowieka". Stwierdził bowiem rychło, że w szkołach nauczyciele, sami nie umiejący często porządnie żadnego języka, chcą wtłaczać w mózgi dziatwy niemczyznę: w rezultacie młodzież uczy się zdań niemieckich na pamięć, przeważnie nie rozumiejąc w ogóle ich treści i nie odnosząc z nauki żadnego pożytku.

Zdaniem Bogedaina należy tedy młodzież uczyć religii, jak też podstaw ogólnego wykształcenia w języku polskim, bo tylko wówczas będzie umysł zdolny do należytego przyswojenia sobie zasadniczych pojęć i właściwego ich zrozumienia. Dla Bogedaina ważniejsza bowiem była oświata ludności, niż jej pospieszna, narzucona z góry germanizacja. W następstwie przeprowadził, że język polski uznano jako wykładowy w szkołach ludowych na Górnym Śląsku. Natomiast język niemiecki zatrzymał Bogedain jako jeden z przedmiotów nauczania. Bogedain był Niemcem i interesów niemczyzny nie tracił z oczu. Uważał tedy, że ludność górnośląska winna zapoznać się z językiem niemieckim, ale po przyswojeniu sobie podstaw wiedzy w języku ojczystym. Sądził, że popłyną stąd bardziej istotne i trwałe korzyści dla niemczyzny. Pisał do swego przyjaciela: „Im bardziej będzie lud wykształcony, chociaż w języku polskim, tym łatwiej następnie będzie zdolny do przyswojenia sobie niemczyzny".

Władze pruskie w Opolu i w Berlinie nie czyniły w zasadzie trudności Bogedainowi, wyrażały jednak zdanie, iż należy uczyć młodzież w „narzeczu miejscowym", gdyż „pielęgnowanie języka wielkopolskiego może zaprowadzić Górnoślązaków w obręb polskiej narodowości i wielkopolskich usiłowań". Bogedain jednak był człowiekiem światłym, na domiar obeznany dobrze z polszczyzną. Odrzucił tedy z miejsca możliwość nauczania w jakimś rzekomym dialekcie śląskim, bo wiedział, że jest to tylko skażony naleciałościami niemieckimi język polski. W szkołach ludowych wprowadził język literacki polski, jako jedynie odpowiedni dla ludności śląsko-polskiej. Nadto, stwierdziwszy z osłupieniem, że na Śląsku Górnym niema wprost księdza czy nauczyciela, który by nie kaleczył niemiłosiernie polszczyzny (a Bogedain miał ucho wyszkolone przez długi pobyt w Poznańskiem!), uznał za konieczne szybkie szkolenie w języku polskim kandydatów w seminariach. W nowo założonym seminarium w Pyskowicach obsadził nawet stanowiska nauczycieli Polakami z Poznańskiego, aby należycie uczyli polszczyzny poprawnej. Wprowadził również język polski w seminarium w Głogówku jako obowiązkowy. Nakazał wreszcie używanie polskich podręczników w szkole ludowej. Starając się podnieść poziom polskiego śpiewu kościelnego, wydał sam w r. 1856 *Chorał czyli dostateczny zbiór melodyj do przeszło 700 pieśni w języku polskim*. Zbiór ten został wprowadzony za staraniem Bogedaina do wszystkich kościołów górnośląskich i w czasie swych wizytacji Bogedain kontrolował organistów (zazwyczaj nauczyciele byli zarazem organistami, jak

np. Lompa), czy go posiadają i wykonują. Podczas wizytacyj badał również, czy nauczyciele uczą w poprawnej polszczyźnie. Już samo zetknięcie się nauczycieli śląskich z tym osobliwym Niemcem, mówiącym piękną polszczyzną i ganiącym metody przymusowej germanizacji, wywierało wrażenie niezwykłe. Świadczy o tym Karol Miarka, nauczyciel szkoły w Pielgrzymowicach, podówczas jeszcze nieświadom, czym jest właściwie, Niemcem czy Polakiem, który z ust Bogedaina usłyszał słowa niespodziewane, ale jakże słuszne, iż istotną przyczyną niskiego poziomu umysłowego ludności górnośląskiej jest przede wszystkim — germanizacja. Cóż z tego, że lud mówi po niemiecku, kiedy wraz z germanizacją popada w demoralizację! „Zaniedbano język przyrodzony — mówił ksiądz wizytator — a przecież tylko przez język macierzyński można do serca mówić, tylko przez język macierzyński może serce odzywać się do nieba! Usiłowanie szkół nieokreślone zniemczyło niektóre okolice, osobliwie na lewym Odry brzegu, ale występki i zbrodnie dosięgły w owych stronach rozmiaru, przed którym się serce przyjaciela ludu lęka". Od Bogedaina dowiadywali się śląscy nauczyciele o wartościach mowy polskiej: jakże inaczej brzmiały te słowa od wyzwisk i obelg pod adresem polszczyzny, jakich nasłuchali się do syta od Niemców miejscowych, z którymi musieli się stykać na co dzień!

Bogedainowi zawdzięcza lud śląski odrodzenie szkolnictwa polskiego. Niestety niewiele lat tylko spędził na swym stanowisku w Opolu. W r. 1858 powołany został na biskupa-sufragana do Wrocławia. I nadal nie zaniedbywał Górnego Śląska i przyjeżdżał na biskupie wizytacje. W r. 1860 bawił w Pszczynie i nagle zmarł w czasie wizytacji. Złożony też został w Pszczynie na wieczny spoczynek, z żalem żegnany przez lud górnośląski. Był Niemcem, ale jednym z tych nielicznych w społeczeństwie niemieckim ludzi światłych, który dostrzegał w pełni straszne spustoszenie moralne i umysłowe, jakie powodowały metody germanizacyjne. Chciał lud śląski najpierw oświecić, podnieść go na wyższy poziom cywilizacyjny i moralny. Mniemał, że w ten sposób właśnie wypełni przepaść między polskością a niemczyzną na Śląsku, i na dalszą metę odda przysługę niemczyźnie: tak należy rozumieć jego powiedzenie o germanizowaniu „łagodnymi środkami". Ksiądz-marzyciel mylił się jednak sądząc, że może być w ogóle mowa o wyrównaniu różnic między Polakami a Niemcami. Niewiele lat upłynęło i rząd pruski porzucił wszelkie obsłonki, przystępując do tym bez-

względniejszej i brutalniejszej walki z polskością. W r. 1863 ograniczono język polski w szkołach, a w r. 1872 minister pruski Falk zniósł go niemal zupełnie (dopuszczając używanie go jedynie przy nauce religii w klasach najniższych i to jeszcze z ograniczeniami!). Idealistyczne plany Bogedaina okazały się domkiem z kart, który rozpadł się — kopnięty butem pruskim. Tymczasem jednak działalność Bogedaina wydała skutki, jakich zapewne nie przewidywał. Dzięki niemu przez jedno ćwierćwiecze młodzież śląska mogła się względnie swobodnie uczyć po polsku. W ciągu jednego pokolenia polskość zdołała na ziemi górnośląskiej odrobić swe wieloletnie straty. Ze szkół śląskich wyszedł zastęp młodzieży, świadomej swej polskości, już nie jakichś nieokreślonych „Ślązaków" (*Wasserpolen*), a prawdziwych Polaków. Ten zastęp pozwolił na stworzenie frontu polskiego przeciwko wielkiej ofensywie niemczyzny w czasach Bismarcka. Działalność Bogedaina pozwoliła ludowi śląskiemu na zbudowanie pomostu, ale nie do porozumienia z Niemcami, lecz do łączności z całym narodem polskim.

Mówiąc o odrodzeniu szkolnictwa polskiego na Śląsku w czasach Bogedaina, nie sposób pominąć równoczesnego rozbudzenia się poczucia narodowego wśród Polaków-protestantów, wcale licznych zwłaszcza na Śląsku Dolnym. Choć gminy protestanckie w wyższym stopniu niż katolickie narażone były na nacisk germanizacyjny, zdołały przecież częściowo zachować swą polskość. I tam znalazło się kilku pastorów, którzy przemówili za nauczaniem ludu w języku polskim. Do nich należał przede wszystkim pastor Fiedler z Międzyborza, niestrudzony orędownik wprowadzenia języka polskiego do szkoły ludowej. Godne podkreślenia, że motywował to nie tylko względami religijno-pedagogicznymi, ale i — wolą ludności. W r. 1850 pisał, że mieszkańcy „coraz więcej dopominają się zaprowadzenia języka polskiego w szkole". W okresie reform szkolnych Bogedaina walka o język polski w szkole znalazła żywy oddźwięk w owych gminach protestanckich. Na sesji księży ewangelickich diecezji w Sycowie wygłosił pastor Fiedler odczyt przeciwko germanizacji, a w obronie mowy polskiej, w którym zapewniał, że „nasz słowiański Ślązak" trzymać się będzie polskiego. Wprowadzono wówczas istotnie naukę języka polskiego w seminariach ewangelickich w Wołczynie (1851) i Kluczborku (1858). W czasie otwarcia seminarium kluczborskiego wygłosił radca konsystorza ewangelickiego we Wrocławiu Wachner takie słowa: „Nasz polski, ewangelicki lud, którego pobożność i sposób myślenia prawdziwie

chrześcijański mógłby służyć za wzór niejednej gminie niemieckiej... lud ten przez wiele dziesiątków lat był deptany i poniewierany. Dlatego też dzień dzisiejszy jest dniem zadośćuczynienia, w tym bowiem zakładzie mają się kształcić nauczyciele, którzy by byli w stanie wykładać nie tylko po niemiecku, ale też w ojczystym języku tego ludu". W owym czasie i na Śląsku Dolnym, w kurczących się coraz bardziej skupiskach ewangelików polskich, ożyła znowu polskość.

Niestety, skupiska te kurczyły się systematycznie w ciągu XIX wieku. Gminy polskie, tak katolickie, jak i protestanckie, tonęły w morzu niemieckim. W pierwszej połowie XIX wieku zanikły nabożeństwa polskie po lewym brzegu Odry, a choć polskość tam jeszcze jakiś czas trzymała się, pielęgnowana przez starsze pokolenia, zamierała wśród młodszych. Ostatnie ślady mowy polskiej dotrwały tamże (w okolicach Wrocławia, Brzegu i Oławy) do początków XX wieku. Fala niemiecka kolejno posuwała się dalej na wschód, zalewając obszary prawobrzeżne Dolnego Śląska. W połowie XIX wieku gasną ogniska polskości w prawobrzeżnych częściach powiatów brzeskiego, oławskiego i wrocławskiego, w okolicach Namysłowa, Trzebnicy i Żmigrodu. Znaczne sukcesy niemczyzny notują historycy pruscy zwłaszcza w latach 1860—1870, wskutek czego granica zasięgu żywiołu polskiego została silnie odepchnięta ku wschodowi. Wysiłki jednostek takich, jak pastor Fiedler, miały na celu ratowanie tonących skupień polskości. Dzięki temu w znacznej mierze polskość utrzymała się w Kluczborskiem, w okolicach Wołczyna i Byczyny, następnie pod Namysłowem, Sycowem, Międzyborzem, w drobnych tylko skupieniach pod Żmigrodem i Miliczem. Tutaj wszędzie walka w obronie języka polskiego była coraz cięższa, gdyż władze pruskie liczyły się więcej jeszcze z faktem istnienia masy ludności polskiej na terenie Górnego Śląska, natomiast terytoria dolnośląskie traktowały z całą dowolnością jako niemieckie i starały się polskość tamże zupełnie przytłumić. Na domiar polskie ośrodki ewangelickie wykazywały z natury rzeczy mniejszą odporność na wpływy niemczyzny, nie znajdując wsparcia ze strony masy Polaków górnośląskich, przeważnie katolików.

Okres liberalizmu szkolnego pozwolił w ogólności na wykształcenie na terenie Śląska zastępu nauczycieli, którzy zapoznali się z poprawnym językiem polskim i w swej pracy zawodowej nieśli prawdziwą polszczyznę młodzieży śląskiej. Śmielszy powiew pol-

skości nawiedził nawet mury uniwersytetu wrocławskiego. Od dawna odbywali tam studia liczni Polacy, głównie z Poznańskiego, po części ze Śląska. Już przed rokiem 1830 powstało tam stowarzyszenie polskie „Polonia", szerzące ducha polskiego, którego członkowie, przeważnie studenci z Poznańskiego, utrzymywali łączność z ruchem niepodległościowym polskim innych dzielnic. W r. 1830 spadły na stowarzyszenie represje policji pruskiej, na skutek czego „Polonia" skończyła swój żywot. Niebawem Polacy na uniwersytecie wrocławskim podnieśli myśl zorganizowania kółka naukowego słowianoznawczego, które by swych członków zaznajamiało z „językami, literaturą, dziejami i prawem ludów słowiańskich"; członkiem kółka mógłby zostać każdy student, władający językiem polskim lub innym słowiańskim (bez względu na narodowość). Na tych podstawach zorganizowano w istocie w r. 1836 „Towarzystwo Literacko-Słowiańskie", liczące zrazu 20 członków. Prezesem został Czech dr Purkynie, profesor fizjologii uniwersytetu wrocławskiego, następnie praskiego. Główne kadry stowarzyszenia stanowili Polacy, wśród nich również Górnoślązacy: m. i. ks. Szafranek, a w latach następnych ks. Norbert Bonczyk i ks. Konstanty Damrot. Placówka była szczególnie ważna dla studentów z Górnego Śląska, którzy przybywali na uniwersytet wrocławski często bez wyrobionej świadomości narodowej, mówiąc między sobą gwarą śląską, a równocześnie wchłaniając niemczyznę: nierzadko właśnie studia uniwersyteckie przyspieszały walnie germanizację młodzieży górnośląskiej. Między tymi „utrakwistami" (mówiącymi dwoma językami, bez wyraźnego poczucia narodowości) a Polakami z innych dzielnic brakło często istotnego współżycia. „Utrakwiści" nie dojrzeli również w pełni do uczestnictwa w „Towarzystwie Literacko-Słowiańskim". Trzeba ich było dopiero pozyskać dla polskości. Pracę w tym duchu podjął Konstanty Damrot, od r. 1862 student filozofii uniwersytetu wrocławskiego. Z jego inicjatywy założono w r. 1863 „Towarzystwo Polskich Górnoślązaków", którego celem było „wydoskonalenie się w języku polskim, mianowicie zaś w konwersacji polskiej", oraz „ożywienie ducha naukowego". W kółku tym Górnoślązacy z zapałem rozpoczęli studia nad językiem polskim, ćwicząc się w gramatyce, studiując autorów polskich i pisząc referaty z zakresu języka i literatury polskiej. Duszą „Towarzystwa" był przez szereg lat Damrot (który przeszedł na teologię), uświadomiony narodowo, pragnący swych współbraci śląskich, „utrakwistów", oświecić w duchu narodowym polskim. Poza pracą naukową urozmaicano sobie

czas zabawami studenckimi i wycieczkami, które zbliżały do siebie uczestników i pogłębiały współżycie w duchu polskim. Za swój hymn uważali członkowie kółka pieśń Damrota: *Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słynie*. W r. 1868 wydano drukiem we Wrocławiu śpiewnik akademicki pt. *Pieśni zabawne dla Kółka Polskich Górnoślązaków*. W latach 1863—1875 przewinęło się przez kółko 135 akademików śląskich. Przeważną ich część zdołano tą drogą odzyskać dla polskości. W latach dawniejszych studenci górnośląscy często dawali się przerabiać w murach uniwersytetu na Niemców: teraz opuszczali je jako uświadomieni Polacy. W miarę czasu duch polski coraz silniej ożywiał „Towarzystwo". Poczucie patriotyczne wzmagało się właśnie w okresie „walki kulturnej", podjętej przez rząd pruski. Niestety ogólne warunki nie sprzyjały jego dalszemu bytowi. „Towarzystwu" patronowały władze biskupie wrocławskie. Gdy Bismarck podjął walkę z Kościołem, a kuria wrocławska została zamknięta, część znaczna studentów Górnoślązaków (przeważnie studiowali teologię) musiała przenieść się na inne uniwersytety: w r. 1876 „Towarzystwo Pol. Górnoślązaków" zamknęło swą działalność. Wznowione w r. 1880 jako „Towarzystwo Górnośląskie", utrzymało się do r. 1886: wówczas władze pruskie zamknęły wszystkie związki akademickie polskie.

Niemałe znaczenie dla rozbudzenia ducha polskiego w murach uniwersytetu wrocławskiego miało również utworzenie w r. 1841 katedry filologii słowiańskiej. Od r. 1860 na tej katedrze zasiadał wybitny badacz literatury polskiej, Wojciech Cybulski, Polak-patriota (powstaniec roku 1831, uczestnik rewolucji berlińskiej w r. 1848), piastujący zarazem godność kuratora „Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego". Po Cybulskim objął katedrę Władysław Nehring, historyk, krytyk literacki i filolog — slawista, który wykształcił cały zastęp uczniów Polaków, zajmujących z czasem czołowe stanowiska w nauce polskiej: on też kierował „Towarzystwem Liter.-Słowiańskim" aż do jego zamknięcia w r. 1886. Jeśli dodamy, że równocześnie u Niemca Ryszarda Roeppla, wykładającego historię (ożenionego z Polką z Warszawy) studiowało szereg Polaków, o głośnych w historiografii polskiej nazwiskach, to stwierdzimy, że w drugiej połowie XIX wieku polskie życie naukowe pulsowało silnie w murach wrocławskich. Studenci śląscy mieli też niejedną okazję do zapoznania się tamże z historią i kulturą polską.

— — — — — — — — — — — — — — — —

Niedługo trwały pomyślniejsze warunki rozwoju szkolnictwa polskiego na Śląsku, stworzone głównie przez Bogedaina. Już

w r. 1863 rząd zaostrzył nacisk w kierunku szerokiego uwzględniania niemczyzny w programach szkolnych. Nadchodziła nowa fala germanizacji, w związku z wzrostem potęgi politycznej i militarnej Prus, kierowanych od r. 1862 przez „żelaznego kanclerza" Ottona Bismarcka. W r. 1866 Prusy pokonały Austrię i wyrugowały ją ze Związku Niemieckiego, ujmując same przewodnictwo w Niemczech. W r. 1870/71 Prusy, wspomagane siłami zbrojnymi państw związkowych, uderzyły na Francję i odniosły zwycięstwo, które wzbudziło szał szowinizmu germańskiego w całych Niemczech: w następstwie ogłoszono w r. 1871 w Wersalu cesarstwo niemieckie, z Wilhelmem Hohenzollernem (dotąd królem pruskim) na czele. Bismarck, istotny twórca cesarstwa niemieckiego, został kanclerzem Rzeszy i sternikiem jej nawy państwowej. Duch biurokracji, centralizmu i militaryzmu pruskiego owładnął teraz całe Niemcy, wyzwalając znów najgorsze instynkty całego narodu. Wprawdzie ustrój był konstytucyjny, ale górę wzięły w parlamencie partie, reprezentujące reakcję społeczną, imperializm i szowinizm germański. Stworzenie cesarstwa niemieckiego stało się w tych warunkach wielkim niebezpieczeństwem dla pokoju w Europie.

W polityce wewnętrznej szał szowinizmu germańskiego groził egzystencji pozostających pod jarzmem pruskim innych narodów, przede wszystkim Polaków. Zagrożeni poczuli się również katolicy niemieccy, którzy w nowym tworze państwowym znaleźli się w mniejszości, przytłoczeni przewagą sił protestantyzmu, przede wszystkim protestanckich Prus. W r. 1850 konstytucja pruska przyznała katolikom znaczne prawa. Teraz katolicy starali się zawarować swe prawa i zabezpieczyć przez włączenie ich do konstytucji cesarstwa. Dla przeprowadzenia swych postulatów na terenie parlamentarnym zorganizowali się w partię polityczną, tzw. Centrum katolickie. Rychło doszło do otwartego konfliktu między Centrum a skrajnie imperialistyczną i szowinistyczną partią narodowo-liberalną (na tle stosunku do Watykanu): za partią tą, reprezentującą ciężki przemysł, bogate mieszczaństwo i inteligencję protestancką, hołdującą nacjonalizmowi i tendencjom centralistycznym w duchu utrwalenia przewagi Prus, opowiedział się Bismarck, znajdując ponadto poparcie u żywiołów konserwatywno-junkierskich. Wypowiedział tedy kanclerz walkę Centrum, jako czynnikowi, który mógłby doprowadzić do rozbicia jedności Rzeszy. Walkę z Centrum pojął szeroko, jako walkę z katolicyzmem na terenie Niemiec. Na tę decyzję Bismarcka wpłynęła również jego fanatyczna nie-

nawiść do Polaków. Znaczna większość Polaków to byli katolicy i Centrum z natury rzeczy musiało u nich szukać sojuszników w walce o prawa katolicyzmu. Bismarck obawiał się, że w sojuszu z Centrum mogą Polacy i dla siebie wywalczyć większe prawa, co odroczyłoby na szereg lat germanizację terytoriów polskich, którą właśnie chciał przyspieszyć. Motywy szowinizmu pruskiego kierowały tedy również Bismarckiem, kiedy podejmował walkę z katolicyzmem, znaną pod nazwą „walki kulturnej" (*Kulturkampf*).

W r. 1871 Bismarck zniósł utworzony przed 30 laty przez Fryderyka Wilhelma IV oddział katolicki przy pruskim ministerstwie wyznań, oraz (1872) odebrał duchowieństwu nadzór nad szkołami, które dotąd sprawowało. Te posunięcia Bismarcka skierowane były w pierwszym rzędzie przeciw Polakom: uważał on bowiem, że zarówno oddział katolicki przy ministerstwie, jak zwłaszcza duchowni inspektorzy szkolni ochraniają polskość i przeszkadzają germanizacji „niemieckich kresów wschodnich". Za staraniem Bismarcka w r. 1872 sejm pruski przekazał nadzór nad szkołami publicznymi i prywatnymi państwu; mianowani przez rząd inspektorzy szkolni mieli roztoczyć nadzór też i nad nauką religii. Następstwem tych uchwał było podjęcie przez rząd pruski ostrego kursu germanizacyjnego na Górnym Śląsku. Regencja opolska rozporządzeniem z 20 września 1872 r. zaprowadziła we wszystkich szkołach język niemiecki jako wykładowy, pozwalając nauczać w języku polskim jedynie religii i to na najniższym stopniu nauki; natomiast już na drugim stopniu przeważnie, a na trzecim wyłącznie, nauczanie religii miało się odbywać w języku niemieckim. W konsekwencji nawet nauka religii stała się narzędziem germanizacji młodzieży śląskiej. W ciągu roku 1872 zwinięto nauczanie języka polskiego w szkołach ludowych i w seminariach. Cały dorobek szkolnictwa polskiego z okresu Bogedaina został przekreślony. Urzędników (radców szkolnych, duchownych), którzy i nadal próbowali przeciwstawić się szałowi germanizacji, przeniesiono na inne tereny, w głąb Niemiec. Większość Niemców śląskich, dla których solą w oku były częściowe swobody w dziedzinie szkolnej, z jakich korzystali ostatnio Polacy, przyjęła z zachwytem nowe zarządzenia rządowe. Z szeregu miast śląskich (z Głubczyc, Katowic, Rybnika, Strzelec, Sycowa) wysłali szowiniści niemieccy adresy dziękczynne do Bismarcka, sławiąc go, że położył kres „polszczeniu krajów niemieckich"! Niemcy śląscy bali się wzrostu świa-

domości narodowej wśród ludności polskiej, rozumiejąc, że jednym z następnych etapów tego procesu musi być — wyrugowanie z ziemi śląskiej niemczyzny. A oni chcieli być nadal panami w kraju ujarzmionym i cieszyli się, że Bismarck wszedł na drogę, która im tę pozycję na zawsze (jak mniemali) zapewni.

Rozdział XXXV

KAROL MIARKA I „WALKA KULTURNA" NA ZIEMI ŚLĄSKIEJ

Na przykładzie Karola Miarki możemy stwierdzić dowodnie, jak żmudna była w ówczesnych warunkach powrotna droga Ślązaka do Polski. W domu ojca (nauczyciela w Pielgrzymowicach) mówiono wprawdzie po polsku, ale brak było w rodzinie Miarków świadomości narodowej polskiej. Sami nie wiedzieli, czym byli. Polskości swej się prawie wstydzili; imponowała im niemczyzna, jako język panów i władców kraju. Wspomnieliśmy już, jakie nastroje wynosił Karol Miarka z gimnazjum gliwickiego i z seminarium w Głogówku, gdzie na każdym kroku zohydzano polskość. Objąwszy po śmierci ojca posadę nauczyciela i organisty w Pielgrzymowicach (w powiecie pszczyńskim), Miarka pracował nad pogłębieniem swej wiedzy i starał się obowiązki zawodowe spełniać wzorowo. W szkole i w obcowaniu z ludźmi używał mowy polskiej; ale nadal niemczyznę uważał za coś wyższego i próbował pisać artykuły i wiersze — po niemiecku. Prawdziwą rewelacją dlań była dopiero wizytacja Bogedaina (w r. 1853), który mu zwrócił uwagę na piękno języka polskiego i nakłaniał do głębszych studiów na literacką polszczyzną. Niebawem ks. Antoni Janusz, proboszcz z Zebrzydowic (po stronie austriackiej), który przygotowywał wydanie kancjonału (śpiewnika kościelnego) dla ludności polskiej, zaprosił Miarkę do współpracy. W związku z tym Miarka zaczął zbierać teksty i melodie polskich pieśni ludowych: po raz pierwszy wówczas przekonał się, że pieśni ludowe polskie są piękniejsze i melodyjniejsze od niemieckich, że lud je prawdziwie kocha i pieczołowicie przechowuje z pokolenia na pokolenie, broniąc się przed pieśniami obcych, które „nie przemawiają do serca polskiego".

Tak zaczął Miarka swą drogę powrotną do Polski. Miał ambicje literackie i pragnął pisać powieści historyczne, już teraz nie po niemiecku, lecz po polsku. Kupił sobie (1859) gramatykę pol-

ską i studiował pilnie język polski. Znaczny wpływ wywarło na niego pismo Pawła Stalmacha *Gwiazdka Cieszyńska,* przychodzące zza kordonu granicznego na Śląsk Górny, które do pewnego stopnia zastępowało brak pisma polskiego na terenie górnośląskim. Miarka napisał powieść historyczną z czasów zaprowadzenia na Śląsku chrześcijaństwa, pt. *Klemensowa Górka* i w r. 1861 wysłał ją Stalmachowi, który, dokonawszy pewnych poprawek, wydrukował ją w *Gwiazdce.* Na zaproszenie Stalmacha przybył wówczas Miarka do Cieszyna. Stalmach, zasłużony już działacz polski w Cieszyńskiem, pokazał Miarce swą bibliotekę i objaśnił go o wartościach książki i kultury polskiej. Dopiero od tej chwili poczuł się Miarka naprawdę Polakiem.

Obok pracy literackiej, ciągnęła go publicystyka. Miał temperament społeczny, chciał pracować z ludem i dla ludu śląskiego. Pragnął swym braciom śląskim pomóc do przebycia tej drogi, jaką sam niedawno przeszedł. W r. 1863 wydrukował w *Gwiazdce* artykuł pt. *Głos wołającego na puszczy górnośląskiej czyli o stosunkach ludu polskiego na pruskim Śląsku.* Przeciwstawiał się ostro obelgom, rzucanym przez Niemców na ludność śląską i zwalczał tezę, jakoby jedynym środkiem do podniesienia poziomu kultury na Górnym Śląsku była germanizacja. Hamulcem postępu nie są (jak to twierdzą Niemcy) wady narodowe polskie, lecz po prostu fakt, że „jesteśmy Polakami, a mamy się stać Niemcami". Język polski jest w zaniedbaniu i pogardzie, a tylko w języku ojczystym lud może zdobywać oświatę, kształcić umysł. Narzucona germanizacja powoduje tylko — demoralizację, wypacza charakter ludu. Należy ludowi podawać literacką polszczyznę, bo język Górnoślązaków nie stanowi żadnego odrębnego narzecza, lecz jest mową prapolską, zachwaszczoną jedynie przez germanizmy. Z bólem serca stwierdzał Miarka, że Ślązacy nieraz wstydzą się swej polskości, że obruszają się, gdy się ich nazywa Polakami. Starał się tedy oświecić rodaków, jak piękna i wzniosła jest kultura polska, ile skarbów mieszczą w sobie dzieje Polski. Ślązak musi mieć świadomość przynależności do wielkiego narodu polskiego, nie wstydzić się jej, lecz przeciwnie, uważać za zaszczyt: „tylko wyrodny syn zapomina rodziców i przodków, z których krwi pochodzi". Artykuł Miarki wstrząsnął sumieniem wielu Ślązaków. Znalazł rozległe echo i poza granicami Śląska. Przedrukowano go w Poznaniu, podały go w wyjątkach pisma polskie, czeskie i inne słowiańskie.

Niebawem został Miarka stałym współpracownikiem *Gwiazdki Cieszyńskiej* i zasilał pismo korespondencjami „z pruskiego Górnego Śląska", oraz innymi artykułami i utworami. Zasadniczym ich motywem jest obrona polskości i walka z germanizacją. Przez podróż do Wielkopolski zapoznał się bliżej z braćmi spod Poznania i Gniezna, czując coraz silniej łączność całego narodu polskiego i chcąc to poczucie wpoić ludowi śląskiemu. Pogłębiał swe studia nad dziejami Polski i związkami historycznymi śląsko-polskimi; owocem tego było kilka powieści historycznych, które Miarka pisał dla swych współbraci śląskich. Odczuwał jednak przede wszystkim potrzebę pracy publicystycznej na samym terenie górnośląskim. Konieczne było tutaj pismo polskie, które by nawiązało kontakt z ludem i trzymało rękę na pulsie wydarzeń politycznych, spełniając ważne zadanie informacyjne i uświadamiające w duchu narodowym.

Od szeregu lat na Górnym Śląsku brak było pisma polskiego. Rolę zastępczą w pewnej tylko, niewystarczającej mierze, spełniała *Gwiazdka Cieszyńska*, oraz *Przyjaciel ludu*, wychodzący w Chełmnie na Pomorzu, pod redakcją Ignacego Danielewskiego. Pismo pomorskie zdobyło sobie w r. 1867 nawet około 250 prenumeratorów na Śląsku. Teren śląski budził wówczas coraz żywsze zainteresowanie działaczy polskich z Pomorza i Poznańskiego. Wysyłano z Poznania na Śląsk emisariuszy, co rychło wzbudziło czujność władz pruskich, obawiających się przeniesienia „agitacji narodowej polskiej" na „lojalny" dotąd teren śląski. Warunkiem powodzenia akcji polskiej na Śląsku było przede wszystkim odpowiednie pismo. Nosił się od dawna z myślą założenia pism polskich na Śląsku („aby tam rozniecić przygasłą iskrę narodowości polskiej") literat z Poznańskiego, Józef Chociszewski. Prześladowany jednak przez władze pruskie, musiał się w końcu ograniczyć do wydawania w Chełmnie na Pomorzu *Katolika*, „pisma religijno-obrazkowego dla oświaty ludu". Na ziemi górnośląskiej wciąż brakowało pisma polskiego.

Wyczuł dobrą koniunkturę spekulant Karol Heneczek, który z Częstochowy przeniósł się już przed laty do Piekar i założył tam drukarnię: w niej drukowano pisma polskie w r. 1848 i szereg wydawnictw dewocyjnych, co przyniosło Heneczkowi poważne zyski. W porozumieniu z proboszczem piekarskim ks. Purkopem przystąpił on w r. 1868 do wydawania pisma pt. *Zwiastun górnośląski*. Wzorowane ono było na katolickich periodykach niemieckich i postawiło sobie za cel informowanie ludności w duchu katolickim

oraz obronę spraw Kościoła. Było to pismo katolickie, wydawane po polsku, dla ludności polskiej. Nie mogło jednak spełnić roli budziciela narodowości polskiej, skoro redakcja wychodziła z założenia, że „lud górnośląski do rzeczy politycznych (tj. narodowo-polskich) obudzić się nie da i było by to nawet szkodliwe dla ludu". Bądź co bądź, jako jedyne pismo w języku polskim, już przez to samo wypełniało do pewnego stopnia dotkliwą lukę. Zainteresował się tedy pismem Miarka i niebawem wstąpił w skład redakcji, starając się przede wszystkim nudne i zbyt poważne pismo ożywić i dostosować do potrzeb ludu śląskiego, pisząc „proste i zrozumiałe artykuły". Ponadto jednak Miarka wprowadzał stopniowo akcenty narodowe, przeciwstawiając się wyraźnie germanizacji. Jakkolwiek dzięki współpracy Miarki pismo zyskało znacznie na poczytności, Heneczek przestraszył się tonów radykalniejszych, gdyż dbał w pierwszym rzędzie o względy u kleru, i to wyższego, niemieckiego, oraz o poprawne stosunki z władzami. Gdy do tego dołączyły się i inne nieporozumienia między wydawcą a Miarką, tenże opuścił redakcję i w r. 1869 założył własne pismo pt. *Katolik*, odkupiwszy prawa wydawnicze od Chociszewskiego i przenosząc wydawnictwo z Chełmna na Śląsk.

Program *Katolika*, wydawanego w Królewskiej Hucie (Chorzowie), zarysował się niebawem dość wyraźnie. Miarka stał bezwzględnie na gruncie katolickim, zarazem jednak bronił praw języka polskiego i narodowości polskiej. Poczytność jego pisma rychło wzrosła, gdyż w burzliwych owych czasach Miarka zdobywał się nieraz na dużą śmiałość wystąpień. Nic dziwnego, że *Zwiastun*, którego wydawca odżegnywał się „od wszelkich patriotyzmów", tracił czytelników, nawet księży, i w r. 1872 przestał wychodzić. *Katolik* zaś, którego redaktor Miarka już w r. 1870 za śmiałe wystąpienia narażał się na represje, zyskiwał abonentów, dochodząc z czasem do imponującej, jak na ówczesne stosunki śląskie, cyfry 6000 prenumeratorów. Miarka nie ograniczał się zresztą do pracy publicystycznej (zawód nauczycielski zupełnie zarzucił), lecz próbował organizować społeczeństwo polskie na Śląsku. W r. 1869 założył „Kasyno Katolickie", które stało się ważnym punktem zebrań, odczytów, zabaw itd. środowiska polskiego w Chorzowie. Przy „Kasynie" powstał również teatr amatorski polski. Zachęcony powodzeniem Miarka zakładał filie „Kasyna" w Siemianowicach, Mysłowicach, Bytomiu, Pszczynie i Żorach. Kiedy władze pruskie za uprawianie polityki zamknęły „Kasyno"

chorzowskie (1872), Miarka powołał do życia w jego miejsce „Koło Towarzyskie", które nawiązało stosunki z podobnymi organizacjami w Poznańskiem. W Chorzowie założył Miarka także spółdzielnię polską, „Spółkę Spożywczą Poczciwych Wiarusów", placówkę polskiej samopomocy gospodarczej, która jakiś czas rozwijała się pomyślnie.

Szczególną rolę w życiu politycznym Śląska odegrał Miarka w okresie „walki kulturnej". Od czasu „Wiosny ludów" lud śląski nie posiadał swego przedstawiciela w parlamencie pruskim. Po r. 1848 wprowadził bowiem Fryderyk Wilhelm IV system wyborczy, tzw. trójkurialny, który dawał zdecydowaną przewagę warstwom wyższym: w rezultacie ze Śląska wybierano do parlamentu samych Niemców, kandydatów rządowych. Sytuacja zmieniła się w r. 1871, kiedy wprowadzono nowy, bardziej demokratyczny system wyborczy do parlamentu ogólno-niemieckiego w Berlinie (niezależnie od tego wedle dawnego systemu wybierano posłów do sejmu pruskiego). Na Górnym Śląsku starły się dwie partie niemieckie: narodowo-liberalna, skupiająca głównie inteligencję protestancką, szowinistyczna, przemawiająca za przodownictwem Prus w Rzeszy, i Centrum, które broniło katolicyzmu, ale zarazem i praw narodowych i językowych Polaków — gdyż chciało sobie pozyskać katolickie masy ludu polskiego. W tej sytuacji nie było innego wyjścia, jak poprzeć Centrum. Na tym stanowisku stanął Miarka. Masy polskie na Śląsku, jeszcze słabo uświadomione narodowo, poruszyć można było na razie tylko hasłem obrony katolicyzmu; popierając Centrum, Polacy przeciwstawiali się swemu najgorszemu wrogowi, nacjonalizmowi pruskiemu. Miarka w *Katoliku* wyraźnie to podkreśla, mówiąc o konieczności zwalczania „niemieckiego ducha", a przeciwstawiając mu niejako Centrum, jako partię, głoszącą hasła ponad narodowe, katolickie. Gdy w okręgu rybnicko-pszczyńskim rozgorzała walka między kandydatem Centrum ks. Müllerem, a kandydatem rządowym, *Katolik* poparł żywo Müllera, który też w znacznej mierze akcji Miarki zawdzięczał swój wybór. Centrum zwyciężyło nadto, dzięki głosom polskim, w okręgu Bytom, Opole, Koźle, Strzelce, Prudnik, Niemodlin, Grodków. Tymczasem jednak wskutek protestów partii liberalno-narodowej unieważniono wybór ks. Müllera. Szanse przy ponownych wyborach (1872) przeważył na rzecz kandydata centrowego właśnie Miarka w artykule (pt. *Jezus, Maria, Józef*) w *Katoliku*. Ks. Müller został wybrany ponownie.

Podrażniony Bismarck na posiedzeniu parlamentu odczytał artykuł Miarki (w tłumaczeniu niemieckim) i powiedział m. i.: „Wedle mych wiadomości, *Katolik* postawił sobie za zadanie stworzyć frakcję polską na wiernym dotąd terenie Górnego Śląska, co mu się udaje za przyczynieniem się duchowieństwa, po części niemieckiej narodowości". Strasząc Niemców widmem ruchu narodowego polskiego na Śląsku, chciał w ten sposób zdyskredytować Centrum. Miarka w liście otwartym do Bismarcka wyliczał wszystkie krzywdy, jakich doznaje od władz pruskich ludność polska i podkreślał, że Polacy nigdy na Niemców przerobić się nie dadzą: „czego Niemcy w kilku wiekach nie dokonali, zapewne teraz nie dokażecie". Zaznaczał jednak, że Górnoślązacy zawsze byli wierni cesarzowi i pragną tylko, by im pozwolono „po staremu w języku przyrodzonym chwalić Boga i szanować cesarza". — Z prawdziwą przykrością odczytujemy słowa Miarki o „wierności" Górnoślązaków. Pamiętać jednak należy, że pisał on to nie tylko z oportunizmu (by uchronić się przed represjami władz), ale i ze względu na licznych rodaków śląskich, którzy nie doszli jeszcze do pełnej świadomości narodowej. Sam wyprzedzał ich niewątpliwie znacznie, ale uważał, że potrzebny jest jeszcze pewien okres wychowawczy dla wielu Ślązaków. W jednym z artykułów w *Katoliku* pisał (1873): „bądźmy chytrzy jako węże, a roztropni jako gołębie". Zaznaczanie lojalności wobec władzy monarszej traktował jako konieczność taktyczną — w ówczesnych warunkach.

W latach następnych Miarka nadal gorliwie popierał Centrum, przyczyniając się kilkakrotnie do zwycięstwa tej partii na Górnym Śląsku. Dawniej „rządowy" Śląsk Górny, stał się teraz domeną partii opozycyjnej. Władze pruskie oceniały należycie wpływy *Katolika* i gnębiły wydawnictwo grzywnami, a redaktora nadto procesami i kilkakrotnym więzieniem. Jakiś czas zastępował Miarkę w redakcji ks. Franciszek Przyniczyński, oraz ks. Stanisław Radziejewski (przybyły z Poznańskiego). W r. 1873 ks. Przyniczyński ustąpił z redakcji i założył własne pismo pt. *Gazeta Górnośląska* w Bytomiu (1874), która niebawem stała się pismem konkurencyjnym dla *Katolika*. W tymże czasie Miarka przeniósł swe pismo do Mikołowa, gdzie w latach następnych wydawał również *Monikę*, czasopismo „poświęcone wychowaniu domowemu", oraz *Poradnik gospodarczy* dla włościan. W r. 1879 założył „Górnośląskie Towarzystwo Włościan", przemianowane następnie na „Towarzystwo Kredytowe". Kiedy ziemię górno-

śląską znowuż nawiedziła klęska nieurodzaju i głodu (1879), Miarka zorganizował komitet pomocy: datki i dary popłynęły wówczas z całej Polski, szczególnie z Warszawy, co stanowiło wyraźny dowód łączności narodu polskiego z braćmi górnośląskimi. Miarka część pieniędzy zebranych umieścił w kasie kredytowej włościan, co wykorzystały władze pruskie i oskarżyły go o malwersacje. Złej woli Miarce nie udowodniono, tylko lekkomyślność i niedopatrzenia: to jednak wystarczyło, by go sąd pruski skazał na kilkumiesięczne więzienie. Pobyt więzienny nadszarpnął tak silnie zdrowie Miarki, że w r. 1881 odstąpił ks. Radziejewskiemu wydawnictwo *Katolika* (ten przeniósł je z powrotem do Chorzowa). W czasie procesu ujawniło się w pełni rozdwojenie wśród działaczy polskich na Śląsku, gdy ks. Przyniczyński w *Gazecie Górnośląskiej* podnosił ostre zarzuty przeciwko Miarce. Natomiast przeważna część opinii polskiej broniła dobrego imienia Miarki. Kiedy w r. 1881 udał się do Lwowa, przyjęto go tam serdecznie. Na ostatnie dni swego życia osiadł Miarka w Cieszynie, gdzie zmarł w r. 1882.

Miarka odegrał rolę historyczną w dziejach odrodzenia narodowego na Śląsku. Uświadamiał lud śląski w duchu polskim jeszcze przed „walką kulturną", wpajał umiłowanie mowy i kutury polskiej. W okresie „walki kulturnej" poszedł tą drogą, jaką jedynie uznał za celową z punktu widzenia interesów katolicyzmu oraz ludu śląskiego. Występując energicznie w walce wyborczej przy boku Centrum, równocześnie wciągał do życia politycznego swych rodaków, dotąd uśpionych i odrętwiałych. To jest jego niewątpliwą zasługą. Okres wychowania politycznego w ramach stronnictwa katolickiego był dla mas górnośląskich koniecznością. Już jednak w jego czasach zaczęto ze strony niektórych działaczy polskich podnosić, że Centrum nie dość uwzględnia postulaty polskie; że komitet wyborczy partii we Wrocławiu po dyktatorsku rozporządza mandatami i szafuje głosami polskimi, nie dbając o życzenia ludności; że czas już może pomyśleć o wystawieniu własnych list polskich i nie ukrywać wstydliwie postulatów polskich pod płaszczykiem ogólno-katolickim. Takie zarzuty podnosiła m. i. *Gazeta Górnośląska* Przyniczyńskiego. Miarka do tak radykalnej zmiany taktyki nie był zdolny; nie uważał jej za możliwą, ani celową, — nie potrafiłby się przeciwstawić potędze kleru śląskiego. Czasy, które nadchodziły, wymagały innych ludzi. On spełnił swe zadanie i mógł odejść, zostawiając pole działaczom nowego pokroju. W pamięci

Polaków śląskich zapisały się przecież niezatartymi głoskami takie jego zdania, jak: „Górne Śląsko było zawsze polskie i katolickie", lub: „Co do nas, to się omyli (jedna z gazet niemieckich), jeżeli przypuszcza, że lada fryckowi pozwolimy gwałcić przyrodzone prawa nasze! Myśmy na naszych śmieciach i wara od nas!" Gleba była już przeorana, trzeba było tylko rzucić na nią nowe ziarno.

Rozdział XXXVI

LATA PRZEŁOMU

Powoli i ciężko szła praca odrodzenia narodowego na Śląsku. Nie dziwmy się temu. Trzeba było dopiero ogromnych wysiłków i czasu, by lud śląski poczuł się w pełni częścią narodu polskiego. Na co złożyły się lata, ba, całe wieki, tego nie dało się szybko odrobić. Stąd też droga do odrodzenia narodowego musiała iść przez fazy przejściowe, które ludność stopniowo do tej wielkiej przemiany przygotowały. Wciąż jeszcze kordony graniczne, które przez wieki przedzielały lud śląski od reszty narodu polskiego, rzucały wraży urok. Choć działacze śląscy już wiele pracy włożyli w uświadomienie ludu, przeciętny Ślązak zbyt mało wiedział, jak wygląda to społeczeństwo braci Polaków po drugiej stronie kordonu. Kiedy etnograf polski Lucjan Malinowski w r. 1869 odbywał kilkumiesięczną podróż naukową po Śląsku (dla zbadania miejscowych gwar polskich i morawskich), miejscowi ludziska nie mogli się nadziwić, że taki wykształcony człowiek mówi tylko po polsku, a ledwie kaleczy język niemiecki. Pan („panoczek") — to w ich wyobrażeniu był Niemiec: nie rozumieli, że w innych częściach Polski może być inaczej, choć nie ma państwa polskiego; nie pojmowali, że inni Polacy mogą mieć tak silnie rozwiniętą własną, polską warstwę wykształconą. Albowiem na Śląsku wciąż jeszcze brakowało liczniejszych kadr polskiej inteligencji. Opłakane stosunki społeczne ludu śląskiego, oraz szykany władz, utrudniających dostęp Polakom śląskim do szkół, wreszcie metody germanizacyjne szkół, zwłaszcza średnich i wyższych, złożyły się na taki stan rzeczy. Jeśli już Ślązak dostał się do gimnazjum, czy seminarium, albo i na uniwersytet, to zazwyczaj wracał stamtąd zniemczony. Zrobił się „panoczkiem" w pojęciu ludności, inteligentem, to równocześnie przekształcał się na Niemca. Trzeba było nieraz szczególnie sprzyjających warunków po temu, by wychowanek szkół niemieckich germanizacji nie uległ, względnie dość rychło się z jej

nalotu po wyjściu ze szkoły otrząsnął. Mimo wszystko wytwarzały się powoli kadry, choć szczupłe, miejscowej inteligencji, która wzięła na siebie ogromny ciężar oświecenia ludu i uświadomienia w duchu narodowym polskim. Dopóki się dało, działała ona przez szkołę. Gdy i to stawało się coraz trudniejsze wskutek rosnącego nacisku metod germanizacyjnych pruskich[1]), pozostawały jako narzędzia akcji: dziennikarstwo i piśmiennictwo. Jak wspominaliśmy, w obu tych kierunkach owocnie działali Lompa i Miarka, starając się obudzić wśród rodaków śląskich znajomość poprawnego języka polskiego, umiłowanie mowy, tradycji, oraz dążąc do takiego zapoznania ludu śląskiego z dziejami i kulturą polską, by Ślązak wiedział, czym jest właściwie i nie wstydził się przynależności do narodu polskiego, miana Polaka.

Z skromnych początków, rozwinęła się literatura ludowa śląska wcale wysoko w drugiej połowie XIX wieku. Epopeję śląską stworzył ks. Norbert Bonczyk z Miechowic pod Bytomiem (1837—1893), następca ks. Ficka na probostwie bytomskim. Jego *Stary Kościół miechowski* — to „lat dziecinnych wspomnienie". Na tle opowieści o zburzeniu starego kościoła w Miechowicach wyśpiewał Bonczyk w 8 księgach piękno wsi śląskiej, tworząc poemat, wznoszący się w niektórych partiach na wyżyny prawdziwego artyzmu, cały zresztą ujmujący prostotą i wdziękiem naturalnym. Te „wiejskie obrazki" Bonczyka budziły u Ślązaka miłość dla własnego kraju; innym Polakom odsłaniały w sposób niekłamany uroki wsi i życia ludu śląskiego. W drugim poemacie, znacznie słabszym pod względem literackiej wartości, pt.: *Góra Chełmska czyli św. Anna z klasztorem oo. franciszkanów*, przedstawił proboszcz bytomski główne fazy „walki kulturnej". Broniąc gorąco religii, przeciwstawiał się równocześnie Bonczyk otwarcie germanizacji przez szkołę. Obok wiary katolickiej, język polski był jego drugim umiłowaniem. Próżno by u Bonczyka szukać samodzielnych akcentów narodowych. Sprawa obrony wiary i mowy polskiej była u niego zespolona w jedną, nierozerwalną całość. Typowy przedstawiciel tego pokolenia, które podjęło bój z reżimem Bismarcka, z duchem protestanckim, to znów laickim, zawsze nawskroś pruskim i antypolskim — nie rozumiejąc jeszcze w pełni, co to Polska jako całość i jakie w niej dla Śląska miejsce.

[1]) W r. 1765 władze pruskie zarządziły, iż „synom chłopów, karczmarzy, ogrodników i innego gminu nie wolno w ogóle studiować". W miastach nakazano „dzieci zwyczajnych rzemieślników i najemników zupełnie od studiów wykluczyć". Tendencja dostatecznie jasna i — „postępowa"

Zasługą Bonczyka było nie tylko pogłębianie wierszami wśród ludu śląskiego umiłowania języka polskiego, ale również praca organizacyjna. W r. 1869 założył Kasyno Polskie w Bytomiu, a nie bawem pomyślał i o organizacji dla młodzieży, tworząc w r. 1871 związek młodzieży polskiej pod patronatem św. Alojzego. Dla sztandaru owych „Alojzjanów" napisał krótki wierszyk:

„Ty młodzieży, wznoś sztandary,
Broń języka, broń swej wiary.
Kto te ojców skarby spodli,
Darmo się do Boga modli".

A więc sprawa wiary katolickiej i mowy polskiej. W tym duchu uświadamiał młodzież na zebraniach związkowych. Za przykładem Bytomia pozakładano związki „Alojzjanów" przy wszystkich niemal parafiach.

Znacznie głębsze tony poczucia narodowego spotykamy u współczesnego Bonczykowi liryka śląskiego, ks. Konstantego Damrota (1841—1895). Znać nie poszły na marne wycieczki Damrota w młodych latach w Kieleckie, jak też przestawanie z akademikami Polakami na Uniwersytecie wrocławskim. Swe utwory młodzieńcze, ujmujące szczerością i świeżością uczucia, zebrał w zbiorku pt.: *Wianek z Górnego Śląska*, wydanym w Chełmnie (1867), pod pseudonimem Czesława Lubińskiego. Po kilkuletniej pracy nauczycielskiej w Pilchowicach, przeniósł się następnie do Kościerzyny na Pomorzu, gdzie przez lat 13 piastował stanowisko dyrektora seminarium. Wróciwszy na Śląsk, pełnił funkcje dyrektora w seminarium w Opolu, następnie w Pruszkowie. W czasie pobytu na Pomorzu przyjrzał się życiu Kaszubów i stwierdził sporo analogii między nimi a Ślązakami. Pisał o Kaszubach: „Lud biedny, tak samo opuszczony, jak nasz lud śląski, bo nie ma przewodników. Ale będzie lepiej i z Kaszubami i ze Ślązakami. Lud sam się ocknie, a już się budzi". Damrot zrozumiał znaczenie morza dla Polski i wyczuł nierozerwalne węzły, jakie łączą sprawę Śląska i Pomorza, tych dwu prastarych dzielnic Polski, tak niezbędnych dla jej istnienia, a tak ciężko doświadczanych w toku dziejów. Na cześć polskiego morza wyśpiewał szereg pełnych poezji pieśni (zwłaszcza *Baltica*), zebranych z czasem w zbiorze pt. *Na niwie śląskiej* (druk. w r. 1893).

Stopień uświadomienia narodowego u Damrota był znacznie wyższy niż u Bonczyka. Damrot wyszedł śmiało z opłotków śląskich, pojmował sprawę swej dzielnicy rodzinnej jako fragment sprawy ogólno-polskiej. Germanizacji przeciwstawiał się twardo,

z głęboką wiarą, że żadna siła wroga nie zdoła zabić polskiego ducha. Kiedy sejm pruski, popierając akcję kolonizacji niemieckiej na ziemiach polskich, uchwalił w r. 1886 100 milionów marek na wykup ziemi z rąk polskich, Damrot chwycił za pióro i skreślił rymy pełne otuchy:

„Sto milionów marek — to nie fraszka,
Dość, by wykupić województwo całe,
Lecz sprawa z duchem polskim nie igraszka,
By go wygubić i Niemcy za małe".

Łączył się oczywiście z tymi działaczami polskimi, którzy stawali dzielnie w obronie wiary i mowy ojców. Ale Damrot, to już nie „lojalny poddany pruski", którego mógłby zaspokoić inny, bardziej wobec Polaków liberalny, kurs rządu pruskiego. Damrot tęsknił za pełną niepodległością, za Polską wolną, w której skład wszedłby również i ukochany Śląsk. Patrząc na stare baszty zamczyska piastowskiego w Opolu, wyśpiewał rymy natchnione:

„Bo stare te baszty przypominają
Nie tylko chwile nam wieku złotego,
Lecz i nadziei wygasnąć nie dają,
Że godło Piastów zaświeci z tych wieży
Znów i nad Śląskiem zaświta swoboda,
Gdy Orzeł Biały swe skrzydła rozszerzy
I będzie jeden pasterz, jedna trzoda".

To już wizja powrotu Polski niepodległej na prastarą ziemię piastowską, złączenia Śląska z macierzą.

Ustępował Damrotowi talentem, a przede wszystkim wykształceniem i wyrobieniem pisarskim Juliusz Ligoń (1823—1889), prosty kowal spod Koszęcina, którego nie zdołały przerobić na Niemca koszary pruskie w Nysie, bo duch polski był w nim już w młodych latach nad spodziewanie silny, moc woli niezłomna. Pracując ciężko w fabryce w Królewskiej Hucie, czytał niestrudzenie polskie książki i dokształcał się mozolnie. Nabytej wiedzy nie chował dla siebie, lecz przeszczepiał w mózgi swych rodaków. Zbierał koło siebie robotników i rolników śląskich, czytał im książki, a zwłaszcza gazety i objaśniał, uświadamiał w duchu polskim. Pisał sam wiersze i artykuły do polskich dzienników. Współpracował z Miarką w tworzeniu polskich organizacji. Wraz z nim bronił religii i języka ojców, ale pojmował, że to jeszcze nie wszystko. Podczas gdy Miarka zawierzył Niemcom z Centrum, Ligoń zdrowym rozsądkiem ocenił, że nie sposób na pięknych słówkach

niemieckich polegać. Dla Centrum Polacy dobrzy, gdy potrzebne są ich głosy przy wyborach, kiedy trzeba rządowi pokazać siłę katolicyzmu śląskiego. Ligoń radził pomyśleć zawczasu o wybieraniu polskich posłów, by zaznaczyć, że sprawy polskiej nie można utopić w powodzi haseł katolickich. W tym przekonaniu Ligoń ganił zbyt związaną z ruchem centrowym akcję *Katolika* i popierał uderzającą w tony narodowe mocniejsze *Gazetę Górnośląską* ks. Przyniczyńskiego. Ligoń w uświadomieniu narodowym pospieszył o krok dalej od Miarki czy Bonczyka, a przynajmniej dalszy etap ewolucji przejawiał na zewnątrz — w publicystyce, w wierszach i w pracy organizacyjno-politycznej. Podobnie jak Damrot, patrzył na Śląsk jako na część wielkiej ojczyzny polskiej:

„Kaszubi, Staroprusacy, Mazury i Warszawiacy,
Wielkopolanie, Ślązacy — wszyscyśmy bracia Polacy,
I dalej pod Karpatami — też jednym duchem tchną z nami,
Na Warmii i Królewiacy — wszyscyśmy jedno rodacy.
Więc kochajmy się wzajemnie — bo tak Bogu jest przyjemnie,
Niech miłość z nami wciąż żyje — jedno serce w nas bije".

Kiedy w r. 1883 uroczyście obchodzono w Krakowie 200-setną rocznicę czynu wojennego Jana III Sobieskiego i wojsk polskich pod Wiednim, Ligoń napisał poemat pt. *Odsiecz Wiednia* w takiej intencji:

„By także Śląsko coś swego miało
I w tej pamiątce też udział brało!
By nie myślano, że my Ślązacy,
Nie mamy uczuć — tak jak Polacy!"

Władze pruskie prześladowały Ligonia; żandarmi przeprowadzali u niego rewizje, konfiskując książki polskie. Dyrektor fabryki, Niemiec, usunął w końcu działacza polskiego z pracy, bez prawa do renty. Ligoń wolał żyć w nędzy, ale przekonań się nie wyparł. Postać to jedna z najpiękniejszych na ówczesnej niwie śląskiej.

Współpraca Polaków z Centrum była wynikiem chwilowej zbieżności celów, miała tedy charakter w znacznej mierze koniunkturalny. Przewódcy Centrum toczyli walkę z rządem i pod hasłem obrony religii katolickiej zyskiwali sobie przy wyborach głosy polskie. W zamian za to posłowie centrowi stawali niejednokrotnie w obronie praw języka polskiego. Większość z nich czyniła to ze względów taktycznych, bo przecież trzeba było wykazać się

jakąś akcją wobec wyborców polskich. Niektórzy działali zapewne nawet z przekonania, uważając, że w interesie pogłębienia pojęć i uczuć religijnych u młodzieży należy przynajmniej wstrzymać się od używania nauki religii jako narzędzia germanizacji. Takiego zdania był niewątpliwie biskup Henryk Foerster, który w okólniku do księży swej diecezji pisał w r. 1873, że „religijne wykształcenie dzieci polskiego języka jest dla niego przedmiotem szczególnej troski, gdyż niemiecka nauka, jako niezrozumiała, pozostać musi bezskuteczną dla serca i woli". Centrowcy jednak ograniczali się co najwyżej do wstawiania się za językiem polskim w szkołach, zwłaszcza na niższym stopniu. I oni w istocie opowiadali się za germanizacją ludu śląskiego, tylko raczej stopniową, ewolucyjną, bez zbyt silnego nacisku, — byle nie zrazić sobie Polaków katolików i nie utracić owieczek (m. i. obawiali się, że zbyt pospieszna germanizacja wyjdzie na korzyść protestantyzmowi, popieranemu bezsprzecznie przez rząd pruski). Nie życzyli sobie też centrowcy bynajmniej rozwoju pełnego uświadomienia narodowego wśród ludu śląskiego. Tezą ich zasadniczą było: Ślązacy pragną tylko zachowania swego języka i obyczaju, a zresztą są wiernymi poddanymi pruskimi i odrzucają od siebie jakąś szkodliwą „agitację wielkopolską". Dodać należy, iż taką nazwą określano wszelkie ruchy polskie o charakterze ogólno-narodowym, dążące do wciągnięcia Polaków śląskich do wspólnej walki narodu o wyzwolenie. Przy podobnym nastawieniu przewódców centrowych, oraz ogromnej większości kleru śląskiego, musiało niedługo dojść do konfliktu.

Na dalszy rozwój wypadków wpłynęła walnie zmiana kursu rządu prukiego wobec katolicyzmu. Bismarck doszedł do przekonania, że walka z Kościołem jest niełatwa do rozegrania, a tymczasem powoduje rozbicie społeczeństwa niemieckiego i osłabia spoistość państwa. W latach 1880—1883 rząd i sejm pruski zaprzestały „walki kulturnej", łagodząc poprzednie swe wystąpienia przeciwko Kościołowi katolickiemu. Jednym z głównych motywów zmiany kursu polityki pruskiej był właśnie wzgląd na sprawę polską. Nie pora zwalczać się wzajemnie — rozumowali szowiniści pruscy, skoro należy przede wszystkim skupić wszystkie siły niemczyzny dla zupełnego pognębienia polskości „w prowincjach wschodnich Rzeszy". Niepokoiła ich bowiem poważnie siła ruchu narodowego w Poznańskiem i na Pomorzu, jak też pierwsze przejawy odrodzenia narodowego na Śląsku, widoczne już w okresie „walki kulturnej". Zaprzestając tedy walki z Centrum, cały obóz szowi-

nistów germańskich przystąpił do tym energiczniejszej walki z polskością. W r. 1885 rząd pruski zarządził usunięcie z granic państwa pruskiego wszystkich Polaków, posiadających obce obywatelstwo (rosyjskie lub austriackie). Drakońskie owe „rugi pruskie" miały na celu tak zmniejszenie ilości Polaków w granicach Prus, jak i przecięcie łączności pomiędzy Polakami z różnych zaborów. W roku następnym sejm pruski uchwalił fundusz 100 milionów marek na wykupno ziemi z rąk polskich i osadzenie na niej kolonistów niemieckich. Ustawa ta zapoczątkowała erę systematycznego zwalczania Polaków w dziedzinie gospodarczej: dalszym jej etapem będzie osławiona ustawa „wywłaszczeniowa" z roku 1908. Równocześnie rząd pruski wydał zarządzenia, mające na celu ostateczne zniemczenie szkoły na ziemiach polskich. Usuwając język polski niemal bez reszty, starał się rząd pruski zarazem zabić ducha polskości. W związku z tym przeznaczono znaczne kwoty „na wzmocnienie nadzoru szkolnego w Poznańskiem, Opolskiem i w Prusiech Zachodnich (na Pomorzu)"; chodziło o likwidowanie nauczycieli „niepewnych", a zastępowanie ich szowinistami, którym za to płacono specjalne dodatki służbowe. Poważne fundusze wyasygnował wreszcie rząd pruski na budowę nowych szkół niemieckich, stypendia i inne formy pomocy dla niemieckiej młodzieży. Obawa, że naród polski, wciąż żywy i niezwalczony, a nawet wzmagający swe siły żywotne, zrzucić może pęta niewoli i wówczas weźmie odwet na niemczyźnie za wiekowe krzywdy — spędzała sen z powiek Bismarckowi i całej plejadzie szowinistów germańskich: by tego koszmaru się pozbyć, chcieli zawczasu naród polski zupełnie zniszczyć.

Nie ograniczyli się zresztą germanizatorzy do samej akcji rządowej. Z pomocą rządowi przyszło społeczeństwo niemieckie! W r. 1894 założono w Poznaniu „Towarzystwo dla popierania niemczyzny w prowincjach wschodnich", znane pod nazwą „hakaty" (od początkowych liter założycieli: Hansemanna, Kennemanna i Tiedemanna), które podjęło się gorliwie akcji popierania niemczyzny a zwalczania bezwzględnie polskości. Niebawem (1895) „hakata" utworzyła sobie filię we Wrocławiu. Na zebraniu organizacyjnym osławiony Tiedemann, jeden z głównych inicjatorów tej przyspieszonej akcji germanizacyjnej, podkreślał konieczność walki również z odrodzeniem narodowym polskim na Śląsku. W zarządzie organizacji znaleźli się oczywiście wielcy potentaci śląscy, jak hr. Henckel-Donnersmarck, czy ks. Hohenlohe. W skład organizacji

wstępowali licznie urzędnicy państwowi, co było przez władze bardzo mile widziane: udział urzędników w organizacjach polskich był oczywiście zakazany.

W owych to chwilach, gdy polskości groziła zagłada, naraz centrowcy wzięli wodę w usta i nie stanęli w obronie mas swych wyborców śląskich. Część z nich, co prawda, metod hakatystów nie pochwalała: ale i ci w końcu życzyli niemczyźnie triumfu na Śląsku. Nadto większość centrowców chciała teraz, kiedy rząd zaprzestał walki z Kościołem, okazać nie gorszy patriotyzm pruski od liberalnych nacjonalistów i wzięła nawet czynny udział w akcji germanizacyjnej. Centrum zrzuciło przyłbicę. Raz jeszcze okazało się, jak mylili się ci Polacy, którzy liczyli na uczciwość i lojalność niemiecką. Murzyn zrobił swoje, murzyn może odejść — znane to przysłowie ilustruje nam taktykę centrowców. Polacy śląscy swymi głosami pomogli centrowcom do rozszerzenia wpływów, pomnożyli ich reprezentację poselską w parlamencie niemieckim i sejmie pruskim. Dzięki temu Centrum wygrało walkę z Bismarckiem. Losy katolicyzmu w Niemczech były zabezpieczone, przynajmniej na razie. Co prawda księża centrowi łudzili się jeśli przypuszczali, że dalszy swobodny rozwój szowinizmu niemieckiego da się kiedykolwiek pogodzić z katolicyzmem czy w ogólności z chrześcijaństwem. Wszak germański szowinizm doprowadzić musiał w końcu do zasadniczego konfliktu z samymi podstawami etyki chrześcijańskiej! Tego jednak centrowcy albo nie rozumieli, albo — rozumieć nie chcieli, bo sami przeżarci już byli, jak przystało na „dobrych patriotów pruskich", rakiem szowinizmu germańskiego. W każdym razie Centrum zawiodło gorzko nadzieje tych Polaków, którzy, grupując się głównie koło *Katolika*, mu zawierzyli.

Niestety część Polaków śląskich nie odrazu zorientowała się w sytuacji, bo zresztą i Centrum kroczyło na pozór po linii dotychczasowej, reprezentując oficjalnie katolicyzm śląski i poddając niekiedy krytyce metody germanizacyjne rządu, choć dość anemicznie i bez żadnego skutku. Na domiar Centrum stworzyło już tak silne kadry organizacyjne, że opanowało w zupełności kler śląski i to również polski. Księża polscy przywykli do odbierania rozkazów z Wrocławia, ośrodka dyspozycyjnego centrowców śląskich i długi czas nie umieli się wyłamać z ram dyscypliny kościelno-partyjnej. Wszak kto poddawał krytyce Centrum, zasługiwał sobie na miano złego katolika! Karność partyjna i posłuszeństwo wobec hierarchii

— obowiązywały cały kler śląski. Za klerem szły masy ludu, jak przywykły już od dawna, a w szczególności w okresie „walki kulturnej". Dla ruchu polskiego na Śląsku nastało poważne niebezpieczeństwo. Sprawa polska mogła utonąć w sprawie katolickiej. Polakom śląskim groził los ten, że zostając dobrymi katolikami pozostaliby zarazem, jak tego sobie życzyli przewódcy niemieccy Centrum, „dobrymi Prusakami", względnie na takich byliby z czasem przerobieni. Zwłaszcza, że rząd pruski, wyzyskując poprawę stosunków z Kościołem, starał się posłużyć klerem śląskim jako narzędziem germanizacji. Nie napotkał też u władz kościelnych śląskich na przeszkody, od kiedy stolicę biskupią wrocławską zajął Jerzy Kopp, biskup-dyplomata, dbały o dobre stosunki z rządem, więc już z tego choćby powodu uległy wobec jego nacisku, co zresztą nie przychodziło mu zbyt trudno, gdyż ponad skrupuły sumienia kapłańskiego wybijały się u niego instynkty urodzonego germanizatora. Tenże Kopp z całym cynizmem umiał tłumaczyć swym owieczkom polskim, że mowa i narodowość nie są najwyższym dobrem ludzkim (chcąc je pocieszyć, że stawszy się Niemcami też mogą być zbawione!), a równocześnie nie uważał za stosowne wystąpić przeciwko metodom germanizacyjnym hakatystów. Typowa to germańska etyka: nacjonalizm niemiecki jest dobry i uzasadniony, każdego innego trzeba się wyzbyć — dla wyższych rzekomo celów! Nic więc dziwnego, że książę-biskup wydał w r. 1890 poufny okólnik do wszystkich dekanatów diecezji, w którym zalecał rozszerzanie nabożeństwa w języku niemieckim, oraz przysposabianie młodzieży w tymże języku do przyjmowania sakramentów. Pod skrzydłami partii centrowej i jej głównej podpory, kleru śląskiego, mogło się było dokonać rychło przerobienie Polaków śląskich na Niemców. Oczywiście — gdyby przynajmniej część Polaków w taktyce niemieckiej na czas się nie zorientowała.

Na szczęście jednak nie udało się już germanizatorom zdławić procesu odrodzenia narodowego ludu śląskiego. Nie stanowił on już masy biernej, gliny, z której można by każdą kukłę ulepić. Choć na pozór szerokie rzesze ludności polskiej broniły tylko religii i mowy przodków, ale już kiełkowało wśród nich zdrowe ziarno pełnej świadomości narodowej.

Nie zamarło ono, lecz wyrosło w kłos bujny — dzięki pracy nowego pokolenia działaczy, którzy ludem pokierowali.

Największy wpływ na lud wywierał nadal *Katolik*, cieszący się mirem pisma, które odważnie przeciwstawiało się germanizacji

w okresie „walki kulturnej". Po Miarce brakło jednak odpowiedniego redaktora, zwłaszcza że i księdza Radziejewskiego władze kościelne (na życzenie rządu) przeniosły do Wielkopolski. W końcu pismo znalazło przecież zdolnego redaktora w osobie Adama Napieralskiego (1861—1928), Wielkopolanina, który w r. 1889 przybył na Śląsk i niebawem, dzięki swym talentom publicystycznym, uzyskał kierownictwo pisma. Znaczną popularność zdobył sobie Napieralski i wśród robotników śląskich, gdy już w r. 1889, w czasie wielkiego strajku, założył „Związek Wzajemnej Pomocy dla robotników górnośląskich", pozostający zresztą pod patronatem kleru. Napieralski przejął tradycyjną linię polityki *Katolika*. Bronił co prawda interesów polskich, ale trzymał dalej z Centrum, co mu wiązało ręce i uniemożliwiało śmielsze wystąpienia. Nieraz krytykował politykę partii centrowej, ale jej nigdy wprost nie zwalczał — bo chciał iść zawsze z klerem, nigdy przeciwko niemu. Emancypację ludu śląskiego spod wpływów kleru uważał za niemożliwą. Pismo prowadził doskonale, tak że pod jego kierownictwem osiągnęło imponujący nakład 20.000 egzemplarzy. Zasługa to jego bezsporna, że szerzył w ten sposób (też i przez inne wydawnictwa) słowo polskie na ziemi śląskiej. Na tym jednak i na stopniowym organizowaniu społeczeństwa przestawał. Nie miał w sobie ducha walki, wolał kunktatorstwo i drobne korzyści. Unikał nawet ostrzejszych wystąpień przeciwko władzom, by siebie i wydawnictw nie narazić na represje. Taki człowiek mógł na ogół spełnić swą rolę w czasach spokojniejszych. Ale czasy były zbyt gorące. Hakata uderzała z całą furią na polskość. Centrum nie dawało skutecznej ochrony, a nawet wprost zdradzało dotychczasowego sojusznika. Atak można było odeprzeć tylko przez zaszczepienie ducha bojowego ludności polskiej. Nie pora na kunktatorstwo i kompromisy, gdy wróg śmiertelny rusza do walki — nie dając pardonu. Polacy śląscy potrzebowali śmielszych przewodników i wyraźniejszych haseł. Napieralski mógł być w swym zakresie pracy pożyteczny — przy innych, którzy bardziej eksponowane posterunki zajęli. Sami Napieralscy na stanowiskach czołowych byliby sprawę polską zaprzepaścili.

Ducha bojowości w życie Polaków śląskich wniósł natomiast dr Józef Rostek, syn chłopski z Raciborskiego (1859—1929). W czasie nauki w gimnazjum raciborskim sączono w niego ducha niemczyzny, ale przypadkowa lektura książki polskiej odrodziła w nim polskość: uświadomienie narodowe pogłębiła znacznie w młodym

gimnazjaliście potajemna wycieczka do Krakowa, gdzie wchłonął prawdziwie polską atmosferę i zaczerpnął sił do dalszej pracy na niwie śląskiej. Studiując medycynę we Wrocławiu, założył tamże w r. 1880 nowe Towarzystwo Górnośląskie (stare zamarło w roku 1876), które przez lat sześć stanowiło prawdziwą kuźnię polskości wśród akademików śląskich; w r. 1886 zostało Towarzystwo rozwiązane przez rząd pruski. Na Rostka zwrócił uwagę studiujący podówczas we Wrocławiu Wielkopolanin, poeta Jan Kasprowicz[1]), który na ręce kolegi Ślązaka złożył wiersz o Śląsku, tchnący nadzieją rychłej wolności:

„Śród niewoli, śród ucisku,
Trzeba nam wiary w zbawienie,
A w słonecznym spłynie błysku
I rozwieje nocne cienie
Wolność złota.

Tak! wiary nam trzeba i pracy,
By rozegnać czarne chmury.
Więc dalej bracia Ślązacy,
Podnieście głowy do góry.

Niech ochota
W waszym sercu na wieki zagości,
A i wy ujrzycie poranek wolności."

Stanowisko jednego z kierowników politycznych ruchu polskiego na Śląsku wyznaczył Rostkowi już w czasie studiów wrocławskich inny Wielkopolanin, dr Franciszek Chłapowski, od lat pracujący owocnie na terenie śląskim, bliski znajomy Miarki, przyjaciel i protektor Ligonia, opiekun wielu organizacji polskich, m. i. również kółka akademickiego wrocławskiego. Chłapowski wiedział dobrze, że dla pełnego odrodzenia duchowego na Śląsku potrzebny jest „wielki poczet przewodników duchowych, Polaków nie tylko językowych, ale Polaków politycznych, narodowych", — i w tym kierunku dawał przygotowanie Rostkowi. Częste bytności w Poznańskiem i małżeństwo z Wielkopolanką (Ludwiką Trąmpczyńską) zbliżyło jeszcze więcej Rostka do społeczeństwa tej dzielnicy, która, ciemiężona przez tego samego zaborcę, powołana była przede wszystkim do zasilania duchowego swych braci śląskich.

Ukończywszy studia, osiadł Rostek w Raciborzu, jako pierwszy lekarz polski w tym mieście, zarazem pierwszy w ogóle le-

[1]) Podówczas znajdujący się w szeregach młodzieży socjalistycznej, Jan Kasprowicz pracował nad uświadomieniem robotnika śląskiego i oświetlał zagadnienia śląskie w prasie polskiej poza kordonem.

karz — rodowity Polak górnośląski. Znał on doskonale stosunki w swych rodzinnych stronach i rozumiał, że właśnie tutaj, na tym zaniedbanym dotychczas przez działaczy polsko-śląskich terenie, potrzeba szczególnie wytężonej akcji społeczno-politycznej. Miasto Racibórz stało się już poważnym ośrodkiem niemczyzny, z którego rozłaziła się na sąsiednie okolice: akcję germanizacyjną ułatwiały miejscowe stosunki etniczne, gdyż na południu Raciborszczyzny mieszkało sporo Czechów (zwłaszcza w Hulczyńskiem), a pogranicze zasięgu żywiołu polskiego i czeskiego wytworzyło sferę ludnościową mieszaną, tzw. morawską, co powiększało jeszcze bałamuctwo i osłabiało poczucie narodowe ludności polskiej. Przełomem w tym względzie było stworzenie właśnie w Raciborzu przez Rostka ważnej placówki prasowej: w r. 1889 ukazały się *Nowiny Raciborskie*, pod redakcją Jana Karola Maćkowskiego (Wielkopolanina), zrodzone jednak z inicjatywy Rostka i reprezentujące przez niego wyznaczony kierunek ideologiczny.

Rostek nawiązał do polityki, jaką zapoczątkował ks. Przyniczyński wraz z bratem na łamach *Gazety Górnośląskiej*. Chodziło o podjęcie naprawdę polskiej polityki i emancypację spod ciążących już wpływów centrowych. Przy wyborach kandydaci z Centrum zdobywali mandaty głosami polskimi, ale tychże kandydatów wyznaczał autokratycznie komitet wyborczy Centrum we Wrocławiu, nie pytając się wcale o zdanie polskich wyborców. Tymczasem polscy działacze zaczęli podnosić coraz głośniej żądania: owszem, popierają Centrum, ale niech ta partia wystawia takich kandydatów, którzy dają gwarancję, że będą bronić nie tylko interesów katolicyzmu, ale też interesów ludności polskiej; niech będzie wolno Polakom zbierać się na osobne wiece przedwyborcze i na tych wiecach, obradując po polsku, omawiać kandydatury i wysuwać postulaty. W okresie „walki kulturnej" centrowcy mile widzieli wiece, organizowane m. i. przez proboszcza z Wierzchu, ks. Roberta Engla, bo stanowiły one pokaz siły katolicyzmu śląskiego i doskonałe narzędzie propagandy centrowej. Na wiecach tych wysuwano w istocie żądania obrony praw języka polskiego w szkole śląskiej, ale centrowcy pilnowali, aby wszystko odbywało się w ramach ogólnej taktyki kierownictwa partii. Gdy w r. 1889 ks. Engel na wiecu w Głubczycach zażądał rezolucji w sprawie nauki języka polskiego, centrowcy przyjęli to z wyraźną niechęcią: kurs opozycyjny Centrum bowiem już złagodniał i przeciwstawianie się otwarte rządowi uznali katolicy niemieccy za niepożądane. Taktyka centrowców otwierała oczy politykom polskim. W łonie

Centrum ujawniały się coraz wyraźniej rysy — na tle antagonizmu polsko-niemieckiego. Na wiecu w Raciborzu, w r. 1891, tylko z trudem udało się politykom centrowym utrzymać wspólność obrad, gdyż dr Rostek chciał poprowadzić osobno zgromadzenie polskie, dla omówienia polskich postulatów.

Niemniej po doświadczeniu raciborskim kierownicy Centrum zrezygnowali z masowych wieców katolickich, licząc się z tym, że polska większość uczestników nie zadowoli się wyznaczonym z góry programem, lecz narzuci zgromadzeniu swe hasła narodowe. Złość ich skierowała się przede wszystkim przeciwko *Nowinom Raciborskim*, które coraz śmielej akcentowały kierunek polityczny narodowy polski, odcinając się od w pełni lojalnego kierunku *Katolika*. Niemiecka prasa centrowa obrzuciła Rostka i jego pismo obelgami, zarzucając mu m. i., że wprowadza „truciznę" i „agitację wielkopolską" na spokojny i „lojalny" dotąd teren śląski. W atakach na Rostka brało żywy udział duchowieństwo śląskie posłuszne wskazaniom partii centrowej; niestety też i większość duchowieństwa polskiego. Kiedy w r. 1892 *Nowiny Raciborskie* postawiły biskupowi Koppowi słuszny zarzut popierania germanizacji, duchowieństwo śląskie wystąpiło z akcją protestacyjną przeciw rzekomemu szkalowaniu księcia Kościoła. Dziekan mysłowicki ks. Michalski zebrał pod protestem podpisy wszystkich księży swego dekanatu, z wyjątkiem jednego — wikarego przy kościele św. Jadwigi w Chorzowie ks. Aleksandra Skowrońskiego, który podpisu odmówił. Oskarżony o „orientację wielkopolską", został niebawem ks. Skowroński przeniesiony z okręgu przemysłowego do powiatu prudnickiego (do Ligoty). Podobne wypadki przerzucania z miejsca na miejsce księży Polaków, którzy znaleźli się na „czarnej liście" władz pruskich, były wcale częste.

Próżne były niemieckie wysiłki. Akcja narodowa polska ogarniała coraz szersze kręgi. Od dawna działacze polscy myśleli o stawianiu przy wyborach kandydatów-Polaków, choćby się to nie podobało kierownictwu wrocławskiemu Centrum. Już w r. 1881 ksiądz Przyniczyński i Ligoń próbowali taki plan przeprowadzić — na razie bez powodzenia. Ale teren w latach następnych był lepiej przygotowany, w czym niemała zasługa *Nowin Raciborskich*. Również i *Katolik* zaczął nieco śmielej zabierać głos i domagać się polskich kandydatów. W podobnym duchu oddziaływała na lud również *Gazeta Opolska*, założona w r. 1890 przez Bronisława Koraszewskiego, Wielkopolanina, która zajmowała niejako pośre-

dnie stanowisko między radykalizmem *Nowin* a kunktatorstwem *Katolika*, spełniając w każdym razie ważną rolę budzicielki polskości nad Odrą. Na ziemię śląską zaczęła wreszcie docierać socjalistyczna *Gazeta Robotnicza*, wydawana od r. 1891 w Berlinie (bo na Śląsku drukowanie pisma socjalistycznego było jeszcze niemożliwe — wskutek zażartej kontrakcji kleru). *Gazeta Robotnicza*, redagowana przez Ignacego Daszyńskiego, następnie Stanisława Grabskiego i (w latach 1892/3) Stanisława Przybyszewskiego, od r. 1892 organ ogólnopolskiej Polskiej Partii Socjalistycznej (P. P. S.), uświadamiała robotnika polskiego w duchu antykapitalistycznym i antyniemieckim (co zresztą na Śląsku wychodziło przeważnie na jedno), ostro piętnowała księży centrowych, wysługujących się w praktyce niemczyźnie. Akcja prasy polskiej i działaczy polskich wydała owoce.

Nadeszły wybory w r. 1893. W okręgu bytomskim od r. 1885 mandat poselski piastował major Juliusz Szmula, były oficer pruski, jeden z nielicznych posłów centrowych, który w istocie brał w obronę robotnika polskiego i przeciwstawiał się otwarcie germanizacji. Szmula był Polakiem i w miarę czasu coraz silniej akcentował swą polskość; współżył z Polakami, a nawet okazywał sympatie dla radykalnego kierunku *Nowin*. Niemieckie kierownictwo Centrum, kokietujące hakatystów, postanowiło jego kandydatury nie wysuwać: pominęło Szmulę, postawiło na posła księdza dziekana Nerlicha z Piekar. Szmula wiedział jednak, że ma za sobą lud śląski i kandydował na własną rękę. Zdobył mandat poselski do parlamentu i to ogromną większością głosów — 22.000 na 10.000! Wśród centrowców zapanowała konsternacja: takie zlekceważenie autorytetu, księdza dziekana! — cóż to za rewolucyjne nastroje wśród potulnych dotąd wyborców polskich? Lud polski triumfował, że swego kandydata przeprowadził. Barometrem nastrojów Polaków śląskich było stanowisko Napieralskiego, który odważył się na takie słowa w *Katoliku*: „Te czasy minęły bezpowrotnie, kiedy *Schlesische Zeitung* (główny organ centrowców na Śląsku) polskiemu ludowi kandydatów przeznaczała. Lud stoi na własnych nogach i radzi o sobie. Bydełkiem wyborczym być przestał". Nie oznaczało to zresztą bynajmniej zupełnego zerwania z Centrum, jak do tego dążyli Rostek i Maćkowski. Napieralskiemu i grupie „Katolika" chodziło tylko o zmuszenie władz centrowców do liczenia się z opinią wyborców polskich. Sam Szmula po wyborach zasiadł w parlamencie wpośród posłów centrowych

Ewolucja polityczna ruchu polskiego na Śląsku była dopiero w stadium przejściowym.

Niestety w Raciborskiem poszło znacznie gorzej niż w Bytomskiem. Komitet wyborczy polski z Rostkiem i Maćkowskim na czele wysunął kandydaturę nauczyciela Filipa Roboty przeciwko oficjalnemu kandydatowi centrowemu ks. Frankowi. W walce wyborczej padły hasła bardziej radykalne, gdyż komitet polski zapowiadał zupełne zerwanie z Centrum. Wyzyskało to Centrum, agitując za Frankiem pod hasłem utrzymania jedności obozu katolickiego: agitacja centrowa zbałamuciła zwłaszcza ludność tzw. morawską, najsłabiej uświadomioną narodowo. W rezultacie Robota zdobył 5.749 głosów, a Frank 9.582. Zwyciężył więc oficjalny kandydat centrowy, a przepadł polski. Wybory te wykazały, że wiele jeszcze gruntu na Śląsku leży odłogiem.

Działacze polscy nie zrażali się jednak i kroczyli dalej wybraną drogą. Przy wyborach uzupełniających w Prudnickiem (1894) otrzymał kandydat polski, włościanin z Wierzchu Franciszek Strzoda 7.565 głosów i pokonał ziemianina centrowca Delocha (7.746 głosów). W następnym roku znowuż wybory ściślejsze w okręgu pszczyńsko-rybnickim dały ogromną przewagę Polakowi Radwańskiemu nad oficjalnym kandydatem Centrum, baronem v. Huene. Przodownicy centrowi byli już przerażeni. „Kto ma właściwie kierować ludem górnośląskim, kler czy trzej poznańscy redaktorzy (Napieralski, Koraszewski, Maćkowski)?“ — zapytywał jeden z niemieckich pismaków centrowych.

Czując, że grunt im się usuwa spod nóg, a pragnąc za wszelką cenę utrzymać swe wpływy na Śląsku, podjęli centrowcy zręczną taktykę. Przed nowymi wyborami zorganizowali w r. 1897 w Berlinie wspólne narady swych kierowników z redaktorami pism katolickich śląskich, tak polskich jak i niemieckich. Stawili się ze strony polskiej: Napieralski, Koraszewski i Jan Eckert, następca Maćkowskiego w *Nowinach Raciborskich*, który, wbrew opinii Rostka, złagodził radykalizm narodowy pisma, i ulegał stopniowo wpływom Napieralskiego. Uzgodniono, że odtąd Centrum będzie przy układaniu kandydatur brało pod uwagę stosunki narodowościowe i społeczne w poszczególnych okręgach wyborczych na Śląsku. Zapewniało to Polakom możność odpowiedniejszego dla nich doboru reprezentacji poselskiej, ale — w ramach Centrum. Ruch polski odniósł więc pewien sukces, ale połowiczny. Ustępstwa polityków centrowych mogły zaspokoić polityków-kunktatorów i zwolenników kompromisu w rodzaju Napieralskiego. Nie mogło to wy-

starczyć działaczom pokroju Rostka, którego dążeniem było, aby Polacy śląscy odżegnali się w ogóle od Centrum i wybierali naprawdę własnych, niezależnych posłów. W istocie układ przedstawiał więcej korzyści dla Niemców z Centrum, bo im pozwolił nadal kontrolować ruch polski i wtłaczać go w ramy ruchu katolickiego. Mając do wyboru albo rozbicie partii centrowej, albo ustępstwa pewne wobec Polaków, wybrali chytrzy Niemcy to drugie. Niewątpliwie łudzili się, że uda im się powstrzymać dalszą ewolucję ruchu polskiego w kierunku otwarcie narodowym i politycznym, bez obsłonek ogólno-katolickich i regionalnych. Układ oznaczał więc sukces taktyczny Niemców. Chodziło im o uśpienie czujności Polaków. Napieralski znowuż liczył na to, że pod osłoną ugody z Centrum będzie mógł spokojnie prowadzić swą akcję oświatowo-kulturalną i organizacyjno-gospodarczą (w r. 1895 założył Bank Ludowy w Bytomiu) wśród ludu śląskiego. W odpowiednich warunkach taktyka Napieralskiego byłaby może słuszna, ale nie w owym czasie, kiedy lud śląski nie przeszedł jeszcze mimo wszystko chrztu ogniowego walki narodowej, pod rozwiniętym w pełni sztandarem haseł polskich. A to przecież było koniecznością dla dopełnienia procesu odrodzenia narodowego na Śląsku. Bez tego etapu końcowego groziło znowuż ruchowi polskiemu zakrzepnięcie w dotychczasowych formach, nie wykończonych, które mogły nie wytrzymać stale rosnącego naporu germanizacji. Na to przecież liczyli niemieccy kierownicy Centrum.

Na skutek zawarcia ugody wybory do parlamentu w r. 1898 przeszły stosunkowo spokojnie. Ale już wówczas okazało się, jak kruche ma owa ugoda podstawy na ziemi śląskiej. W Opolskiem ludność głosowała na Szmulę, (którego poparła *Gazeta Opolska* Koraszewskiego), a nie na oficjalnego kandydata Centrum, i Szmula zwyciężył[1]). Coraz trudniej było godzić ogień z wodą.

[1]) Należy zaznaczyć, że Szmula był pierwszym prezesem „Towarzystwa Literackiego", zawiązanego w Bytomiu w r. 1892 przez grono działaczy spośród inteligencji górnośląskiej (podstawą stały się biblioteka i skromne fundusze, przekazane przez jeden z ośrodków emigracji polskiej w Rumunii). „Towarzystwo" nie mogło przez całe lata rozwinąć przepisanej statutem działalności naukowo-wydawniczej i kulturalnej, gdyż brakło dostatecznego zastępu miejscowej polskiej inteligencji, niezbędnego oparcia dla tego rodzaju instytucji. Prawdziwy jego rozkwit datuje się dopiero od przemianowania stowarzyszenia na „Towarzystwo Przyjaciół Nauk na Śląsku" w r. 1920, a zwłaszcza przeniesienia do Katowic (1921). Główną podporą instytucji w następnych latach był ks. dr Emil Szramek, zasłużony badacz dziejów Śląska, umęczony w r. 1941 przez siepaczy hitlerowskich w Mauthausen.

Rozdział XXXVII

RUCH POLSKI PRZYBIERA WYRAŹNE OBLICZE NARODOWE

Próżno byłoby dyskutować, czy odrodzenie narodowe na Śląsku dokonane zostało o własnych siłach, rękoma działaczy śląskich przede wszystkim, czy też zdecydował wpływ działaczy z innych dzielnic polskich. Oba bowiem czynniki odegrały swą rolę i nie można żadnemu z nich przyznawać stanowczej przewagi. Rozpatrując poszczególne fazy ewolucji ruchu odrodzeńczego na Śląsku, należy przecież stwierdzić, że nosił on aż niemal do końca XIX wieku znamiona akcji rodzimej, śląskiej, rozwijającej się oczywiście w oparciu o stopniowe zbliżanie się duchowe Polaków śląskich do rodaków z innych dzielnic. Jednostki, które wyprzedziły masy współbraci śląskich przez wcześniejsze uświadomienie swej polskości, wysunęły się na czoło ruchu i starały się obudzić wśród ludu śląskiego poczucie świadomości narodowej i łączności historyczno-kulturalnej z całym narodem polskim.

Nie ulega jednak kwestii, że w dalszych etapach rozwoju odrodzenia narodowego na Śląsku konieczne były bodźce z zewnątrz. Chodziło o rozbudzenie na Śląsku ruchu politycznego, który sprzągł lud śląski z resztą narodu w jego walce o niepodległość. W walce o nową Polskę musieli wziąć udział wszyscy Polacy, bez względu na ówczesne kordony graniczne, bez względu również na to, czy ziemie, na których od wieków mieszkali, wchodziły w dobie rozbiorów czy też nie wchodziły w skład państwa polskiego. Albowiem rozwój myśli politycznej w Polsce, idący w kierunku pogłębienia pojęcia narodowości, stopniowo coraz bardziej wyzwalał się z pęt tradycyjnego nawiązywania do koncepcji terytorialnej państwa z końca XVIII wieku, wysuwając natomiast na przyszłość koncepcję nową: odrodzone państwo polskie winno przede wszystkim objąć wszystkie terytoria, zamieszkałe przez ludność polską. W takiej koncepcji musiało się znaleźć właściwe miejsce dla ziemi śląskiej.

Znaczny odłam społeczeństwa polskiego domagał się coraz silniej zwrócenia szczególniejszej uwagi na te części narodu polskiego, które od wieków przemoc obca odłączyła od macierzy, a które mimo najcięższych warunków polskości swej nie zatraciły. Ku brzegom Bałtyku, ku Odrze — zwracała się teraz myśl polityczna polska. Zwrot ten łączył się zarazem z rodzącą się nową oceną ówczesnej rzeczywistości polskiej. Nowa myśl polska, w ogólności przepojona duchem narodowym i ulegająca stopniowo znacznej demokratyzacji, poddawała rewizji dotychczasowe poczynania niepodległościowe narodu i szukała właściwych dróg na przyszłość. W związku z tym rosło przeświadczenie, że głównym, najbardziej nieprzejednanym i najgroźniejszym wrogiem narodu polskiego, są przede wszystkim Prusy. Na pierwszy plan wysuwała się konieczność zdecydowanej orientacji antyniemieckiej. Zrozumiałe, że taka ewolucja myśli politycznej polskiej prowadziła do wysunięcia na czoło zagadnienia obrony polskości na ziemach, zagrabionych przez Niemców. Hasło podtrzymania tamże polskości i unicestwienia dalszych zakusów germanizacyjnych zyskiwało w całym narodzie rosnące uznanie i skłaniało do akcji w tym kierunku. Sprawa Śląska stawała się nieodłączną częścią programu niepodległościowego polskiego.

Strategia narodowa zwracała się przede wszystkim przeciwko niemczyźnie. Z tego wypływały i nakazy taktyczne chwili. Hasłem była walka bezkompromisowa z falą germańską, nie pozostawiająca miejsca na żadne pomysły „ugodowe". Nastroje bojowe, w imię haseł radykalizmu narodowego, obejmowały Poznańskie, sięgały na Pomorze: nie mogły pominąć i ziemi śląskiej. Wprowadzały je na teren Śląska takie pisma, jak *Gazeta Grudziądzka, Goniec Wielkopolski, Dziennik Berliński,* opanowany przez studiującą w Berlinie młodzież akademicką polską, oraz wydawany przez Marcina Biedermanna tygodnik poznański *Praca.* W pismach tych pojawiły się artykuły rodowitych Górnoślązaków, Jana Kowalczyka i Wojciecha Korfantego, którzy wystąpili z ostrą krytyką taktyki politycznej Napieralskiego, nadającego istotnie ton opinii polskiej na Śląsku. Napieralski rozporządzał nie tylko tak poczytnym pismem jak *Katolik,* ale w r. 1899 założył drugie pismo, *Dziennik Śląski* (w Bytomiu), którego redakcję objął Wielkopolanin Józef Siemianowski. Zawarłszy pakt z Centrum w r. 1897, Napieralski prowadził znów swą politykę ostrożną i kompromisową: odrzucał myśl tworzenia odrębnej, czysto polskiej partii na Śląsku, zadowa-

lając się zapewnieniem Polakom śląskim pewnej reprezentacji w parlamencie poprzez Centrum. Tej taktyce hołdowała w zasadzie również *Gazeta Opolska* i *Nowiny Raciborskie* pod redakcją Eckerta — wbrew zdaniu założyciela pisma, Rostka. Redaktorzy śląscy, ulegając wskazówkom Napieralskiego, uważali, że ruch polski na Śląsku rozwija się w specyficznych warunkach i, jakkolwiek stanowi z natury rzeczy cząstkę ruchu ogólnopolskiego, musi „osobno maszerować". Młodzi działacze śląscy, Kowalczyk i Korfanty (1875—1939) byli innego zdania. Obawiali się, że przy „marszu osobnym" mogą się snadnie rozejść drogi. Opowiedzieli się za marszem wspólnym z ruchem wielkopolskim.

W r. 1901 wydał Korfanty w Berlinie broszurę *Precz z Centrum*. Tytuł sam wyjaśnia myśl przewodnią pisma. W tymże roku opublikował Biedermann w Poznaniu *Pobudkę wyborczą, pismo ulotne ku obronie politycznych praw ludu górnośląskiego*, w której przedstawiał Polakom śląskim konieczność porzucenia obozu centrowców, gdyż Polak prawdziwy musi odrzucić sojusz z Niemcami, natomiast działać w ścisłej łączności z braćmi z innych dzielnic. Chodziło o to, aby Polacy śląscy wybierali swych narodowych przedstawicieli, którzy w parlamencie weszliby w skład „Koła Polskiego" — reprezentacji Polaków z Poznańskiego i Pomorza. Dla lepszej propagandy tych haseł na terenie śląskim założył Biedermann osobne pismo *Górnoślązak* w Poznaniu, w r. 1901, które pod koniec roku przeniesiono do Katowic. Redaktor pisma, Wojciech Korfanty, jasno przedstawiał swe zasadnicze cele: pismo będzie dążyć do tego, aby lud śląski wyzwolił się „spod jarzma swoich dotychczasowych opiekunów" (Centrum), oraz „aby ludność polska od Pucka do Mysłowic miała przedstawicielstwo w sejmie pruskim i parlamencie niemieckim, jedno Koło Polskie, które by reprezentowało naród polski całego zaboru pruskiego, wobec Niemców i całej Europy". Korfanty podkreślał silnie charakter katolicki ruchu śląskiego, niemniej jednak odróżniał katolicyzm od kleru i bez obsłonek piętnował tych duchownych śląskich, którzy nadużywali swych funkcji kapłańskich dla szerzenia germanizacji. *Górnoślązak* znalazł rychło sporo zwolenników w masach robotniczych okręgu przemysłowego, oraz wśród nielicznej co prawda, ale ideowo wyrobionej młodej inteligencji śląskiej: natomiast duchowieństwo podjęło z pismem zaciętą walkę, poza jednostkami, które śmiało stanęły po stronie haseł narodowych polskich. Oczywiście władze pruskie gnębiły pismo represjami, a niemieccy kierownicy ciężkie-

go przemysłu prześladowali bezwzględnie robotników, sprzyjających orientacji *Górnoślązaka*. Mimo to zdołał Korfanty z pomocą Kowalczyka utrzymać pismo i przygotować akcję wyborczą na rok 1903. Znaczną pomocą w akcji prasowej było utworzenie w r. 1902 drugiego pisma o podobnej orientacji, które w Gliwicach pod nazwą *Głos Śląski* założył Siemianowski, ustąpiwszy z koncernu prasowego Napieralskiego i opowiadając się za polityką radykalno-narodową. Napieralski widział, jak jego *Katolik* traci abonentów na rzecz nowych pism: niemniej trwał na swym stanowisku i prowadził ostrą walkę publicystyczną, jako zwolennik utrzymania łączności z Centrum i tzw. jedności obozu katolickiego na Śląsku.

Już w r. 1902 obóz *Górnoślązaka* założył „Polskie Towarzystwo Wyborcze", które wydało odezwę do ludu. Czytamy w niej m. i.: „Jesteśmy Polakami! Oto wyznanie naszej wiary politycznej. Jako Polacy nie możemy pozwolić na to, aby panoszyły się na ziemi polskiej jakiekolwiek stronnictwa niemieckie. . . Dziwną co najmniej jest rzeczą, aby Niemcy, choćby katolicy, byli przedstawicielami ludności polskiej, której nigdy zrozumieć nie mogą. My nie zwracamy się przeciw Centrum, jako stronnictwu katolickiemu... Zwracamy się przeciw Centrum raz dlatego, że żaden Niemiec nie ma prawa wyciągać ręki po mandat polski, dalej, że Centrum nabiera coraz bardziej cech partii rządowej, w końcu, że zwolennicy jego u nas uprawiają politykę germanizacyjną . . . Jako Polacy całą naszą działalność na polu politycznym i zarobkowym musimy oprzeć wyłącznie na interesach szerokich mas ludu. Przez lud — dla ludu! Oto hasło nasze!". Komitet polski wystawił w siedmiu okręgach własnych kandydatów, a tylko w Opolskiem i Prudnickiem opowiedział się za kandydatami centrowymi Szmulą i Strzodą, którzy nie wahali się istotnie bronić interesów ludu polskiego — jak przystało na Polaków.

Równorzędnie rósł w siły ruch socjalistyczny polski, grupujący się około przeniesionej w r. 1901 do Katowic *Gazety Robotniczej*, walczący z licznymi trudnościami, bo m. i. zwalczany też przez socjalistów niemieckich. *Gazeta Robotnicza* prowadziła bezkompromisową walkę z hakatyzmem, kapitalizmem niemieckim i germanizatorami w sutannie, wysuwając na pierwszy plan obronę doli polskiego robotnika śląskiego.

Walka wyborcza była niezwykle, jak na dotychczasowe stosunki śląskie, namiętna. W niektórych okręgach aż trzy listy ubiegały się o głosy polskie: lista *Górnoślązaka*, centrowa i socja-

listyczna. Napieralski popierał w zasadzie kandydatów centrowych, w zamian za co żądał od kierownictwa Centrum wyznaczenia kandydatów Polaków. Co prawda komitet centrowy wystawił w okręgu bytomskim kandydaturę Polaka, ale w gliwicko-toszecko-lublinieckim wysunął hr. Ballestrema, centrowca i hakatystę w jednej osobie. Rozgoryczony Napieralski zalecał w *Katoliku* wyborcom wstrzymanie się w ogóle od głosowania: taktyka znowuż fatalna, gdyż w ten sposób zmarnowano część głosów polskich, które winne były paść na Polaka. Władze stosowały przeróżne represje przeciwko obozowi *Górnoślązaka*, jak i socjalistom. Oba te kierunki zwalczał zajadle kler, a biskup Kopp wydał nawet orędzie, które nakazał księżom odczytać z ambon: wynikało z orędzia, że każdy dobry katolik winien głosować tylko na posłów centrowych!

W wyborach czerwcowych 1903 r. obóz narodowo-radykalny zdobył 46.000 głosów — na 120.000 głosujących. Socjaliści uzyskali ponad 20.000 głosów. W istocie więc za listami centrowców i konserwatystów niemieckich opowiedziała się mniejszość wyborców. W żadnym jednak okręgu nie zdołali kandydaci *Górnoślązaka* bądź socjalistów uzyskać bezwzględnej większości. Wobec rozbicia głosów zarządzono w kilku okręgach wybory ściślejsze. Jedynie połączenie głosów polskich mogło zapewnić należne sukcesy. Zrozumieli to polscy socjaliści i w okręgu Zabrze-Katowice (gdzie otrzymali poprzednio 10.000 głosów) polecili swym wyborcom głosować na Korfantego: Napieralski pospiesznie zaczął przedstawiać w *Katoliku* Korfantego jako przyjaciela socjalistów i tym gorliwiej zalecał głosowanie na centrowca Letochę, za którym szło całe duchowieństwo[1]). Dzięki jednak poparciu socjalistów Korfanty zdobył większość: za nim padło 23.550 głosów, za Letochą 22.875 głosów. W okręgu pszczyńsko-rybnickim przy wyborach ściślejszych przepadł Kowalczyk tylko niewielką różnicą głosów. Mimo wszystko Polacy przeprowadzili samodzielnie pierwszego swego posła ze Śląska. Korfanty w parlamencie przystąpił do Koła Polskiego, manifestując jedność sprawy Polaków śląskich z innymi Polakami.

---

[1]) Ignacy Daszyński zapisał w swych *Pamiętnikach* (1925): „Ciekawą dla niejednego rzeczą będzie wskazanie na fakt, że z początku skorzystał z polskich głosów socjalistycznych na Górnym Śląsku radykał prawie czerwony, p. Wojciech Korfanty. Otrzymał on w r. 1903 przy ściślejszych wyborach prawie 10.000 głosów, które przedtem przy głównym wyborze padły na tow. Morawskiego. Socjaliści polscy stworzyli niegdyś szczebel do kariery p. Korfantego. Polityka jest sztuką zapominania..."

Wybory otwarły dopiero oczy Napieralskiemu na nastroje wśród Polaków śląskich. Znaczna ich część, głosując na Korfantego, podkreślała po prostu, że nie chce więcej słyszeć o Centrum i popierać partii, choćby arcykatolickiej, ale kierowanej przez Niemców. Napieralski czuły był na nastroje ludności, tym więcej, że ich barometrem była ilość abonentów *Katolika:* otóż nakład pisma spadł o 3.000 — a tyleż czytelników zyskał *Górnoślązak.* Uświadomienie narodowe i polityczne ludności śląskiej posunęło się już dalej, niż to przypuszczał Napieralski. Zaskoczony wypadkami, postanowił zmienić kurs polityczny. Tuż po wyborach wydał broszurę *(Der „Katolik" und das schlesische Centrum),* w której przedstawił główne etapy polityki centrowców i wykazał, jak lekceważyli postulaty ludu polskiego, a wysługiwali się rządowi: partia kroczyła drogą, wiodącą na „cmentarz polityczny". Jeszcze w r. 1903 założył ks. Aleksander Skowroński, jeden z nielicznych kapłanów, czujących istotnie narodowo, „Polskie Towarzystwo Ludowe", które miało stanowić organizację polityczną Polaków katolików, odżegnywujących się teraz od Centrum, a więc głównie grupy *Katolika.* Jako prezes stowarzyszenia ks. Skowroński nawiązał bezzwłocznie rokowania z Kowalczykiem (zastępującym bawiącego w Krakowie Korfantego), przedstawicielem „Polskiego Towarzystwa Wyborczego". W październiku 1903 r. doszło wreszcie do porozumienia między dwoma obozami polskimi, które odtąd miały stanowić jedność i wybierać wspólnie kandydatów polskich, działając w ścisłej łączności z „Polskim Komitetem Centralnym" w Niemczech. Zręcznie dokonane przejście Napieralskiego do zasadniczego programu *Górnoślązaka* oznaczało w każdym razie dalszy etap rozwoju ruchu polskiego: dwa najsilniejsze odłamy polskie stanęły już w pełni na gruncie samodzielności ruchu. Niestety, mimo pozorów zgody narodowej, dalej trwała mniej lub więcej utajona rywalizacja Korfantego z Napieralskim. Na domiar osiągnięta formalnie zgoda nie była kompletna, skoro poza nią stał obóz socjalistów polskich. Właśnie jednak Napieralski i kler polski, popierający *Katolika,* woleli podać rękę Korfantemu, byleby przeciąć jego chwilowy sojusz z socjalistami. Nadal tedy nie było prawdziwej jedności wśród Polaków śląskich.

Niemcy wiedzieli o rozbiciu wśród Polaków, tedy pokusili się o odebranie mandatu poselskiego Korfantemu. Pod błahym pretekstem unieważniły władze mandat Korfantego i zarządziły ponowne wybory w okręgu Zabrze-Katowice. Spotkała je znów przykra nie-

spodzianka. Polacy co prawda kłócili się między sobą. ale zwyciężyło już wśród nich przeświadczenie, że należy wybierać posłów prawdziwie polskich, niezależnych, którzy by następnie wstępowali do Koła Polskiego i współpracowali ściśle z posłami polskimi z Poznańskiego i Pomorza. Wprawdzie centrowcy postawili kandydaturę Polaka, bardzo popularnego ks. Jana Kapicy z Tych, ale Polacy nie dali się już brać na plewy centrowe. W czasie ponownych wyborów (1905) Kapica zebrał tylko 9.000 głosów, a Korfanty ponad 23.000! Nie chodziło w tym wypadku o osobę Korfantego, jakkolwiek nie można mu odmówić wielkiej wziętości na Śląsku, uzasadnionej śmiałością jego wystąpień i zręcznością agitacyjną; nie to było szczególnie ważne, że Korfanty należał podówczas jeszcze do stronnictwa narodowo-demokratycznego (kierowanego przez Romana Dmowskiego, stronnictwa zyskującego zwolenników przede wszystkim dzięki swojej orientacji wszechpolskiej i antyniemieckiej). Masa Polaków śląskich opowiadała się za Korfantym głównie z tego powodu, że stanowił on symbol narodowego uświadomienia ruchu polskiego na Śląsku, który zdołał się już wyzwolić z kurateli centrowej i ciasnych horyzontów jakiegoś regionalizmu śląskiego, — który chciał uczestniczyć w ruchu ogólnopolskim pod hasłem stanowczej, bezkompromisowej walki z napierającą niemczyzną.

Niemcy postępowali coraz brutalniej wobec Polaków w Poznańskiem i na Pomorzu. Odpowiedzią na ich metody był strajk szkolny w Poznańskiem, jako protest przeciwko narzucaniu niemczyzny przy nauce religii: w strajku wzięło udział około 50.000 dzieci polskich. Również i na Śląsku zaszło kilka wypadków strajku szkolnego. Część ludu śląskiego wierzyła przecież jeszcze duchowieństwu i ufała, że ono potrafi wstawić się za dziatwą, której odmawia się nawet pacierza polskiego. Łudzono się, że zabierze głos pierwszy pasterz diecezji śląskiej, biskup Kopp, którego kler śląski wciąż jeszcze przedstawiał ludowi jako bezstronnego kapłana, który nie pozwoli na krzywdę owieczek polskich. Kopp był dobrym graczem i niekiedy czynił pewne gesty w obronie Polaków-katolików, ale tylko dla pozorów: rząd pruski wiedział dobrze, jakie są prawdziwe przekonania Koppa i odkładał spokojnie jego wstawiennictwa za Polakami na spód biurka, a biskup ani myślał dalej się prawować. Harmonia między rządem i hakatystami a biskupem panowała w istocie zupełna: godził ich zawsze wspólny cel germanizatorski.

Gdy strajk szkolny w Poznańskiem wstrząsnął opinią świata i uprzytomnił jej brutalizm metod germanizacyjnych, nie mógł kler śląski sprawy przemilczeć. Nawet Kopp zrozumiał, że trzeba coś uczynić i wysłał swego komisarza na zjazd działaczy partii centrowej w Nysie, gdzie uchwalono dość miękki protest przeciwko mieszaniu się państwa w dziedzinę nauczania religii, która winna pozostawać wyłącznie w rękach kleru. To nie wystarczało księżom śląskim, którzy czuli naprawdę po polsku. Wielkie wrażenie wywarł na nich śmiały protest arcybiskupa gnieźnieńskiego Floriana Stablewskiego — i porównywali dzielne wystąpienie tego patrioty polskiego z fałszywymi gierkami Koppa. Zorganizował się naprędce komitet księży-Polaków i postanowił urządzić wielki wiec protestacyjny w Katowicach (w listopadzie 1906 r.): do komitetu wszedł, poza znanymi patriotami jak ks. Skowroński i ks. Paweł Brandys, nawet taki zakuty centrowiec, jak ks. Kapica. A jednak — biskup Kopp zakazał w ostatniej chwili odbycia wiecu! Co więcej, księża-centrowcy utworzyli w Kędzierzynie związek księży górnośląskich, pomijając tych księży polskich, którzy należeli do komitetu wiecu katolickiego i nawet uchwalając im naganę! Przebrała się wreszcie miarka cierpliwości księży uświadomionych narodowo: i oni postanowili teraz otwarcie zerwać z Centrum. Właśnie nadchodził termin wyborów. W związku z tym księża-Polacy wystosowali odezwę do ludu, w której zapowiedzieli udział czynny w wyborach po stronie Polskiego Komitetu Wyborczego. Odezwę podpisało 13 księży polskich: pod następnymi odezwami wyborczymi polskimi znalazło się podpisów 14. Natomiast odezwy centrowe opatrzyło swym podpisem niemniej jak 245 księży! Już choćby zestawienie tych cyfr świadczy, jak nikłe było uświadomienie narodowe większości księży polskich, którzy wszak w owej liczbie 245 stanowili większość, — jak silny był terror centrowców i władzy biskupiej.

Mimo wszystko owa czternastka odegrała ważną rolę w rozwoju ruchu narodowego na Śląsku. Szczupły komitet księży-Polaków poparł prace wyborcze komitetu polskiego i zasilił go swymi kandydaturami. Po raz pierwszy na Śląsku wystąpili w konkurencji wyborczej księża przeciwko księżom! Miało to swój sens głęboki: oznaczało odrzucenie przez ruch polski na Śląsku fałszywej pokrywki katolicko-regionalnej, a przyjęcie wyraźnego oblicza narodowego. Musiało się wreszcie wyjaśnić, kto jest Polakiem bez zastrzeżeń, a kto kryje się pod płaszczykiem katolicyzmu centrowego, lawirując między polskością a niemczyzną. Napięcie walki narodowej

na Śląsku rosło. Gdy nadeszła chwila wyborów w r. 1907, lud polski na Śląsku dał piękny wyraz swych uczuć narodowych. W pięciu okręgach zwyciężyli kandydaci, opowiadający się za wstąpieniem do Koła Polskiego w parlamencie. W okręgu opolskim ks. Brandys; w okręgu Bytom-Tarnowskie Góry Napieralski; w okręgu Katowice-Zabrze Korfanty; w okręgu pszczyńsko-rybnickim ks. Skowroński; w okręgu Lubliniec-Toszek-Gliwice ks. Jankowski. W r. 1903 zdobył ruch narodowy polski 1 mandat. W r. 1907 — 5 mandatów! To był postęp niezwykły. Lud śląski wszedł już w okres uświadomienia narodowo-politycznego. W 8 okręgach śląskich padło na listy czysto polskie 115.000 głosów, na listy centrowe 46.000 głosów. Dodajmy, że w okręgu prudnickim Polacy nie wystawili swej listy, nie chcąc zwalczać kandydata centrowego Strzodę, który zyskał ponad 10.000, podczas gdy na niemieckiego centrowca padło ledwie 3.000 głosów. Inne listy niemieckie skupiły około 120.000 głosów. Niestety na listy niemieckie i centrowe głosowało nadal wielu Polaków, sterroryzowanych przez władze i pracodawców niemieckich, ulegających naciskowi moralnemu księży centrowców. Wszak bywały wypadki, że księża odmawiali rozgrzeszenia zwolennikom Koła Polskiego! Na kazaniach (wygłaszanych po polsku!) piętnowali księża centrowi ruch narodowy polski, nazywając go „zielskiem rewolucyjnym". Niejaki ksiądz Stanoszek głosił z ambony, że „Pan Bóg nagłą śmiercią wszystkich tych ukarze, którzy na ks. Głowackiego (centrowca) nie głosowali". Oto kilka kwiatków z niwy agitacyjnej księży centrowych!

Rozwścieczeni postępami ruchu narodowego polskiego hakatyści wszelkiego rodzaju dwoili, troili wysiłki celem zgnębienia polskości na Śląsku. Już w r. 1904 powiedział kanclerz niemiecki Bülow: „Naszym obowiązkiem jest za wszelka cenę zachować Górny Śląsk jako kraj pruski i niemiecki. Górny Śląsk jest krajem żelaza, krajem czarnych diamentów, krajem pospolitego ruszenia... Rzut oka na mapę wykazuje dowodnie, że niema części naszej monarchii, gdzie zachowanie zwyczajów niemieckich, mowy niemieckiej, umysłowości pruskiej i niemieckiej byłoby tak ważne, jak na Górnym Śląsku". W myśl takich wskazań postępowały władze pruskie na ziemi śląskiej, wspomagane przez całą miejscową niemczyznę. Mimo swej całej tępoty w sprawach politycznych i negliżowania wartości duchowych narodu polskiego, dostrzegli jednak Niemcy, jak bezpodstawna i oparta na zakłamaniu była ich przez lata podtrzymywana teza, że Górnoślązacy nie są Polakami, lecz jakimś

zanikającym szczepem „mieszanym", skazanym na wchłonięcie przez niemczyznę. Naraz zaczęli pojmować, że sprawa przedstawia się inaczej. W pierwszych latach XX wieku na Śląsku zarysował się ostro problem polski, narodowy i polityczny, przybierając podobne formy jak w Poznańskiem. Zaskoczenie to było dla Niemców ogromne, — ale też tym większa ich furia odwetowa.

Oświadczenie ministra pruskiego Hammersteina w sejmie pruskim (w r. 1904) tak określało stosunek rządu do ludności polskiej: „Będziemy mieli spokój z kwestią polską dopiero wówczas, gdy nie będziemy mieli Polaków, lecz tylko po polsku mówiących Prusaków. Według mego zdania, jest jeszcze nasza cierpliwość za wielka. My nie mamy przed sobą przeciwnika równego nam samym; naszą rzeczą jest rozkazywać, ich rzeczą słuchać". Polityka rządowa dążyła do kompletnej likwidacji zagadnienia polskiego. Rok 1907 przyniósł ustawę wywłaszczeniową, ktora wywołała ogromne poruszenie w całym świecie. Po prostu wciąż narody kulturalne nie wierzyły, by podobne metody były możliwe. Z czasem miały niemal wszystkie narody Europy doświadczyć brutalizmu germańskiego. Wówczas zrozumiały to, co na razie było dla nich wprost nie do pojęcia: bo całej potworności ducha pruskiego nie pojmie nikt, kto nie zaznał sam brutalnych i barbarzyńskich w pełnym tego słowa znaczeniu rządów pruskich.

Wzmagające się szykany pruskie dotknęły ciężko ludność polską na Śląsku. Prasę polską, szczególnie otwarcie propagującą myśl narodową, gnębiono procesami; redaktorów skazywano pod błahymi pozorami na wielomiesięczne lub nawet wieloletnie więzienie. Robotnikom i urzędnikom zakazano abonowania pism polskich, jak też oczywiście należenia do polskich stowarzyszeń. Funkcjonariuszom publicznym wydano nakaz używania w służbie wyłącznie języka niemieckiego; zalecano im również posługiwanie się niemczyzną w domu i wpływanie w tym kierunku na członków rodziny, a nasłani szpiedzy badali, czy zalecenie jest wykonywane. Królewski urząd hutniczy w Gliwicach zakazał robotnikom polskim rozmawiać między sobą po polsku w czasie pracy. Każdego, kto wykazywał jakąkolwiek aktywność społeczną w duchu polskim, wydalano bezzwłocznie z pracy. Minister Möller oświadczył w sejmie pruskim (1903): „Jeżeli robotnicy biorą udział w oczywistych agitacjach wielkopolskich, to będzie uważał za swój obowiązek starać się o to, aby takich robotników w hutach królewskich nie zatrudniano. Niech sobie szukają pracy gdzie indziej". Wystarczyło

przecież być tylko Polakiem, choćby zupełnie nieaktywnym politycznie czy społecznie: Polak każdy był podejrzany, skazany w zawodzie na pełnienie niższych posług i wykonywanie czarnej pracy, bez możności niemal piastowania jakichś funkcji, nawet samorządowych, bo w tych wypadkach wymagano już dokładnej znajomości języka niemieckiego.

Germanizacja przez szkołę postępowała w tempie przyspieszonym, zwłaszcza, że w tym względzie udzielił faktycznego poparcia hakatystom „krzyżak w purpurze" biskup Kopp, oddziaływując odpowiednio na duchowieństwo śląskie. Nauka religii stawała się w coraz wyższym stopniu narzędziem germanizacji. Usilnie wyuczano dzieci modlitw i pieśni niemieckich, licząc na to, że z czasem młodzież wprowadzi język niemiecki do nabożeństw w kościołach polskich, bo inaczej nie będzie już umiała Boga chwalić, jak po niemiecku. Wr. 1902 władze ukarały nawet grzywną nauczyciela, który uczył dzieci pieśni pogrzebowych polskich: takich wypadków było więcej[1]). Natomiast na zupełną pobłażliwość rządu (a w wielu wypadkach na pochwałę) mogli liczyć nauczyciele, którzy jako gorliwi germanizatorzy nie wahali się uciekać do takich metod pedagogicznych, jak — kija. W r. 1902 zaszedł w jednej wsi w Opolskiem wypadek takiego pobicia dziecka przez nauczyciela w czasie lekcji, że słabowite dziecko w kilka dni później zmarło. Gdy ojciec ośmielił się w rozmowach ze znajomymi wyrazić zdanie, że nauczyciel hakatysta zamordował dziecko, „obrażony" nauczyciel wniósł skargę do sądu! A sąd ławniczy w Opolu skazał jeszcze ojca na karę grzywny za rzekome oszczerstwo! i to mimo, że świadkowie stwierdzili liczne wypadki katowania dzieci przez tegoż nauczyciela! Niesprawiedliwość była tak oczywista, że nawet jeden z posłów centrowych wniósł w tej sprawie interpelację w sejmie pruskim. Władze dążyły do pospiesznego nadania Śląskowi charakteru kraju niemieckiego przez niemczenie nazw miejscowych oraz imion i nazwisk (w księgach stanu cywilnego). W sklepach nakazano umieszczać napisy niemieckie; za utrzymywanie napisów polskich groziły poważne grzywny pieniężne. Koncesję na

[1]) Zawzięcie tępiły władze również próby tajnego kształcenia się w duchu polskim. W r. 1905 sąd pruski w Gliwicach skazał na 6 lat więzienia i karę pieniężną 23 robotników „za kształcenie się prywatne w historii i literaturze polskiej, za śpiewanie pieśni narodowych i należenie do kółek abstynenckich". Prokurator pruski twierdził, że akcja „miała na celu oderwanie się Śląska od Prus".

aptekę dostał Polak tylko wówczas, jeśli zobowiązał się, że nawet na etykietach lekarstw będzie posługiwał się niemczyzną.

Równocześnie władze pruskie głosiły wiele o swej rzekomej pracy kulturalnej na Śląsku. Tymczasem metody germanizacyjne przysłoniły zupełnie cel formalny — wprowadzenie w pełni w życie obowiązku szkolnego. Najlepszy dowód, że w Opolskiem tylko 53% młodzieży uczęszczało do szkół ludowych: prawie połowa była pozbawiona dobrodziejstwa nauki szkolnej i skazana na kompletną ciemnotę. Co prawda rząd (i hakatystyczne związki niemieckie) nie skąpił pieniędzy i wysiłków na pewne cele „oświatowe" — o ile służyły one zarazem germanizacji. Na poparcie władz pod każdym względem mogli liczyć na Śląsku nie tylko Niemcy, ale i Polacy, chcący się zgermanizować: takich hakatyści przygarniali skwapliwie i demoralizowali pieniądzmi, łaskami, posadami. Działało to na ludzi słabszych i nieuświadomionych, w znacznej mierze na młodzież: metody te rodziły dość liczne zastępy renegatów. Sporo Polaków germanizowało się z braku uświadomienia narodowego, zwłaszcza na terenach, silnie już opanowanych przez niemczyznę, jak na Śląsku Dolnym, czy też w zachodnich i północnych powiatach Śląska Górnego: te wypadki germanizacji uważać należy za tragiczne, wywołane splotem warunków nieszczęsnych. Zachodziły przecież wypadki germanizowania się dla kariery: takie jednostki społeczeństwo polskie odrzucało ze wzgardą od siebie, a Niemcom można tylko podobnych nabytków powinszować! Wartościowsza bowiem część Polaków śląskich już osiągnęła stosunkowo wysoki (jak na niezwykle ciężkie warunki i odwieczne zaniedbania) poziom świadomości narodowej i politycznej, czego złożyła dowód najlepszy w aktach wyborczych z r. 1903 i 1907.

Posłowie polscy ze Śląska zasilili Koło Polskie, które dosięgło liczby 20 członków, stanowiąc już siłę poważną w parlamencie. Polacy śląscy kroczyć więc mieli wspólnie z Polakami z Poznańskiego i Pomorza — w marszu ku Polsce. Niestety w łonie reprezentacji polskiej ze Śląska nie było prawdziwej jedności. Między takim Napieralskim a Korfantym panowały dalej zasadnicze różnice w pojmowaniu celów i środków akcji. Napieralski uważał zerwanie z Centrum za krok taktyczny — Korfanty za dziejową konieczność porzucenia wszelkiego kompromisu z niemczyzną. Napieralski nie miał wiary w odrodzenie państwa polskiego, a już uważał za zupełną chimerę przypuszczenie, że w jego skład mógłby wejść Śląsk, choćby tylko Górny. Program swój formułował w ten sposób: „Ce-

lem naszym jest utrwalenie bytu narodu polskiego, a nie państwowości. Podstawą działania: realna rzeczywistość, uwydatniona w fakcie, że mimo narodowości polskiej jesteśmy obywatelami państwa pruskiego. Środkami do celu: wszystkie możliwe sposoby, godziwe pod względem moralnym i prawnym". A więc rzekomy realizm, który odrzucał „politykę serca", a opierał się jedynie na przesłankach wyrozumowanych. W istocie realizm ciasny, wynikły z lękliwości i krótkowzroczności politycznej. Napieralski był przygnieciony urokiem potęgi niemieckiej, tak wówczas, jak i później, w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy wszelkie pomysły odbudowania państwa polskiego opierał jedynie na protekcji niemieckiej i nie wyobrażał sobie innego rostrzygnięcia sprawy polskiej, jak stworzenie jakiegoś państwa półsuwerennego pod protektoratem Niemiec. Oczywiście zupełnie nie liczył na przyłączenie Śląska do takiego choćby „państwa polskiego". Na Śląsku chciał tylko zachować „narodowe jestestwo" ludności polskiej i spodziewał się tego dokonać na drodze „legalnej opozycji": niech rząd pozwoli Polakom zachować wiarę i język ojczysty, niech trzyma na wodzy hakatystów, a wówczas Polacy śląscy będą wypełniać lojalnie swe obowiązki i powinności państwowe, odrzucając radykalizm narodowy „jako rodzaj obłędu, szkodliwą i niebezpieczną zarazę". Głosił więc hasła umiarkowania, „pracy pozytywnej" na polu oświatowym i gospodarczym. Co najgorsze, prawił ludowi śląskiemu o „moralnym" stosunku do państwa pruskiego, każąc ograniczać się do „godziwych i prawnych" metod wobec przeciwnika, który każdą metodę uważał za godziwą dla gnębienia polskości. Przy takim nastawieniu Napieralskiego nie było mowy o uzgodnieniu współpracy z Korfantym. Nie chodzi w tym wypadku o samego Korfantego, lecz o całą grupę ludzi, którzy się koło niego skupił, jako człowieka sztandarowego. Ich zasługą dziejową było, że na Śląsku wysunęli śmiało zasadę jedności ruchu polskiego wszystkich dzielnic, wspólnotę zasadniczą celów i dążności narodowych polskich. Konsekwencją naturalną takiego stanowiska było, może czasem jeszcze podświadome, niemniej imperatywne dążenie do odbudowy państwa polskiego z wszystkich ziem, przez Polaków zamieszkałych, a więc z włączeniem Śląska (przynajmniej Górnego). Wiadomo, że na polityce polskiej zaciążył od lat przerost uczuciowości nad realizmem, nad zimną kalkulacją. Tylko, że trzeba dobrze rozważyć, kto właśnie grzeszył przerostem uczuciowości, a kto wykazał znacznie większą dozę realizmu politycznego. Tak się jakoś „dziwnie" złożyło, że wszystkie kalkulacje rzekomych rea-

listów zostały obalone z kretesem, a zwyciężyły tezy niepoprawnych rzekomo optymistów. Pierwsi ostrzegali przed liczeniem na upadek Niemiec, zahypnotyzowani ich potęgą; drudzy natomiast głębiej wniknęli w ówczesną rzeczywistość polityczną Europy i świata, po czym doszli do wniosku, że musi nadejść chwila obalenia zaborczego imperializmu prusko-niemieckiego.

Tezy ich sprawdziły się w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Życie samo rozstrzygnęło, kto lepiej umiał patrzeć i przewidywać. A jeśli przyszłe państwo polskie miało naprawdę zapewnić sobie warunki istnienia, nie było to do pomyślenia bez takich ziem, jak Pomorze czy Śląsk. Obóz Korfantego grupował właśnie ludzi, którzy (silniej lub słabiej) wierzyli w odrodzenie prawdziwej niepodległości, prawdziwej państwowości polskiej i na tę chwilę lud śląski przygotowywali. — Nie bez racji pismo centrowe *Schlesische Zeitung* wysnuło takie wnioski w artykule, omawiającym różnice w obozie polskim: „Chodzi nie o radykalizm tonu i taktyki, lecz o radykalizm zasad i celu, o stanowisko zasadnicze, nie uznające Rzeszy niemieckiej i królestwa pruskiego za naszą ojczyznę, lecz widzące ojczyznę w Polsce, bez względu na kordony". Polityka radykalna na Śląsku była koniecznością dziejową z punktu widzenia polskiego. Bez niej odrodzenie narodowe na Śląsku byłoby niezupełne. Lud polski na Śląsku nie byłby dojrzał — do trzech powstań po pierwszej wojnie światowej, które przynajmniej część ziem śląskich przyniosły Polsce. Z takimi wyłącznie przewódcami jak Napieralski i towarzysze — lud śląski nie chwyciłby za broń w walce o połączenie z Polską w latach 1919—1921.

Na tle różnic tak zasadniczych rozchodziły się drogi Napieralskiego i Korfantego. A jednak Napieralski pragnął być dalej panem sytuacji na Śląsku i narzucać ruchowi swe cele, swą taktykę. Był doskonałym graczem, miał zimną krew i — pieniądze. Pod tymi względami przeważał nad Korfantym. Konsekwentnie podrywał mu grunt pod nogami. *Górnoślązak* nie wytrzymał na dłużej konkurencji finansowej *Katolika* i innych wydawnictw Napieralskiego. W r. 1906 wykupił Napieralski pismo i włączył do swego koncernu. Korfanty bronił się, zakładając nowe pisma: *Polaka* (1906), *Kuryera Śląskiego* (1910). Mimo pewnej pomocy finansowej z Polski, nie dotrzymał kroku rywalowi. W r. 1910 krytyczna sytuacja finansowa skłoniła go do kapitulacji. Oba wspomniane pisma, jak i *Głos Śląski* Siemianowskiego, przeszły na własność

koncernu *Katolika*. Napieralski pozwolił dalej Korfantemu redagować *Polaka* i *Kuryera*, ale — pod swą kontrolą. Pisma miały uprawiać odtąd ujednostajniony z Napieralskim kurs polityczny „pracy pozytywnej". Fakt ten oświetlili Napieralski i Korfanty szerszej opinii publicznej w osobnym oświadczeniu jako narodziny zgody narodowej na Śląsku. W istocie oznaczało to osłabienie tempa ruchu narodowego polskiego na Śląsku. Krok Korfantego nie był wynikiem jego prawdziwego przekonania o konieczności „zgody", tj podporządkowania się programowego Napieralskiemu, lecz spowodowany został trudnościami finansowymi. Korfanty, mimo swych niewątpliwych zasług, nie był człowiekiem granitowym. Załamał się w walce, gdy trudności zanadto się spiętrzyły i stępił ostrze swego radykalizmu. Ale znaleźli się inni, którzy uważali za konieczne dalsze propagowanie otwartej walki o jedność polityczną Polaków z wszystkich dzielnic. W r. 1911 powstała w Katowicach *Gazeta Ludowa*, pod redakcją Edwarda Rybarza i Mariana Seydy, od r. 1912 ks. Pawła Pośpiecha, wikariusza z Jawora na Dolnym Śląsku. Prowadziła ona dalej kurs polityki radykalnej, o śmiałych akcentach narodowych i otwartej (o ile pozwalały warunki) krytyce polityki antypolskiej rządu pruskiego. Z tych kół poddano ostrej krytyce ustępstwo Korfantego, który „poszedł na służbę do ugodowców".

„Niezgoda rujnuje — zgoda buduje", głosiło oświadczenie Korfantego i Napieralskiego, podające wiadomość o porozumieniu obu czołowych przewódców ludu śląskiego. A jednak — przy wyborach do parlamentu w r. 1912 Polacy zdobyli tylko 4 mandaty i 93.629 głosów. Oznaczało to znaczne cofnięcie się w stosunku do roku 1907. Złożyło się na taki stan rzeczy kilka przyczyn, jak np. szczególne ostre represje władz pruskich wobec ludności polskiej, jak wyrafinowane metody sztucznego wpływania na skład narodowościowy wyborców (przeniesienie warsztatów kolejowych z Gliwic do Opola, co przysporzyło tysiąc głosów niemieckich w Opolu), jak wreszcie blok wyborczy centrowców z hakatystami, co sprawiło, że Niemcy różnego autoramentu szli teraz ławą przeciwko polskości do urny wyborczej. Ale nie bez znaczenia były i nastroje w obozie polskim. W r. 1907 „Katolikowcy" i „Korfantowcy" współdziałali przy wyborach, ale bez zacierania różnic między obu kierunkami. Późniejsze podporządkowanie się Korfantego Napieralskiemu nie wyszło sprawie polskiej na dobre. Postępy polityczne ruchu polskiego na Śląsku doznały zahamowania. Mówiono o wy-

czerpaniu, widocznym w szeregach działaczy polskich, o zmęczeniu coraz trudniejszą walką. Ale nowe iskry żywotne wydobywały się przecież z na pozór przysypanego nieco popiołem ogniska śląskiego. Dowodem właśnie otwarta, pełna energii walka publicystyczna i parlamentarna ks. Pośpiecha z niemczyzną. Wybrany w r. 1912 do parlamentu z okręgu pszczyńsko-rybnickiego, dzielny ksiądz śmiało piętnował germanizatorów z trybuny parlamentarnej, a mowy jego odzywały się szerokim echem na Śląsku, budząc ducha narodowego w ważnym momencie dziejowym — w przededniu pierwszej wojny światowej.

W kilku jeszcze słowach pragniemy zwrócić uwagę na stosunek liczebny ludności polskiej i niemieckiej na Śląsku w początkach XX wieku. Wedle urzędowej statystyki pruskiej na terenie rejencji opolskiej mieszkało 1.169.340 Polaków[1]). Natomiast w rejencji wrocławskiej doliczyła się statystyka niemiecka tylko 51.991, a legnickiej 14.897 Polaków. Dodajmy od razu, że w szczególności liczba faktyczna Polaków na Dolnym Śląsku była niewątpliwie znacznie wyższa: ale praktyki spisowe niemieckie, przerabiające najoczywistszych Polaków na Niemców, kwitły tamże najbujniej, ułatwione niskim stopniem uświadomienia narodowego Polaków dolnośląskich, przygniecionych przewagą liczebną niemiecką[2]).

---

[1]) Do rejencji opolskiej należały następujące powiaty administracyjne: Pszczyna, Rybnik, Bytom, Tarnowskie Góry, Toszek-Gliwice, Strzelce, Lubliniec, Opole, Olesno, Kluczbork, Grodków, Nysa, Niemodlin, Prudnik, Głubczyce, Koźle, Racibórz.

[2]) Jerzy Samuel Bandtkie obliczał Polaków na dolnym Śląsku w r. 1821 na conajmniej 100.000 głów, na Górnym Śląsku na 500.000 głów. Przyjmując równorzędną rozrodczość ludności polskiej na Dolnym Śląsku i Górnym Śląsku, należało by w normalnych warunkach spodziewać się w początkach XX wieku na Dolnym Śląsku około 200.000 do 250.000 Polaków, skoro na Górnym liczba ludności polskiej wynosiła około 1.170.000 (nie licząc tzw. „dwujęzycznych"). Zamiast tego statystyki niemieckie podawały dla rejencji wrocławskiej i legnickiej liczbę Polaków niespełna 70.000. Nie ulega kwestii, że liczbę Polaków praktyki spisowe niemieckie celowo obniżały, w szczególności na terenie dolnośląskim, anektowanym podówczas już zupełnie dla niemczyzny. Niemniej i tak owo zestawienie cyfr ilustruje nam tragiczny spadek polskości na Dolnym Śląsku — jako skutek bezwzględnej akcji germanizacyjnej. Znacznie ponad 100.000 dusz utraciliśmy w ciągu jednego wieku na obszarze Śląska Dolnego!

Na uwagę zasługują zmiany w stosunkach narodowościowych, zarejestrowane przez statystykę niemiecką na obszarze o przewadze ludności polskiej, a to w rejencji opolskiej:

	Polacy	Niemcy	% Polaków
w roku 1890	918,728	566,523	58,2
w roku 1900	1,048,230	684,397	56,1
w roku 1905	1,158,805	757,200	56,9
w roku 1910	1,169,340	884,045	53,0

W ciągu więc lat dwudziestu polskość, aczkolwiek znacznie zwiększyła się w cyfrach bezwzględnych, poniosła poważne straty w stosunku do niemczyzny, prawie 5% w stosunku do poprzedniego stanu. W poprzednich kilku dziesiątkach lat straty polskości są wprawdzie stosunkowo mniejsze, ale też nie bez znaczenia: wszak w r. 1867 ludność polska wynosiła 60,1% ogółu mieszkańców rejencji.

Zanotować tedy należało by poważny, stały spadek ludności polskiej na Górnym Śląsku, i to właśnie w okresie znacznych postępów odrodzenia narodowego Polaków śląskich! Istotne wyjaśnienie sprawy znajdziemy przecież łatwo, jeśli zwrócimy uwagę, że jest to okres wytężonej akcji germanizacyjnej, która przejawiała się m. i. w pomysłowych praktykach spisowych niemieckich, które miały na celu zaciemnienie dokładnego obrazu stosunków narodowościowych na Górnym Śląsku.

Posłuchajmy, co na ten temat mówi profesor uniwersytetu w Berlinie dr Ludwik Bernhard: „Charakter polityczny statystyki narodowościowej doznał jeszcze od szeregu lat wydatnego zaostrzenia. Albowiem prawo państwowe o zgromadzeniach z 19. IV. 1908 r. uzależnia prawa polityczne właśnie od statystyki narodowości. W tych okręgach, w których ludność obcojęzyczna przekracza 60% ogółu ludności, mogą się odbywać zgromadzenia publiczne w obcym języku. Miarodajny dla uzyskania tego przywileju jest wynik ostatniego spisu ludności. — Prawa polityczne zależą tedy wprost od wyniku spisu; ponieważ zaś ludność polska w wielu okręgach zbliża się właśnie do owych krytycznych 60%, tedy powstaje tendencja ze strony władz do wpływania na spis ludnościowy w sensie politycznym“ (ustęp z przedmowy do książki Webera P. *Die Polen in Oberschlesien,* Berlin 1914).

Bardzo drastycznym przykładem takiego „politycznego wpływania“ na obraz stosunków narodowościowych było wprowadzenie

do rubryk spisowych kategorii tzw. „dwujęzycznych". Wiadomo, że na terenach mieszanych pod względem narodowym w praktyce większość Polaków władała przynajmniej po trosze językiem niemieckim, jak też i znaczna część Niemców starała się chociaż coś niecoś połapać z polszczyzny, ze względu na ułatwienie sobie koniecznych kontaktów (najwięcej w dziedzinie życia gospodarczego) z Polakami. Zwłaszcza zaś zmuszona była do zapoznawania się z niemczyzną większość Polaków (w szkole, w wojsku, w służbie u pracodawców, w urzędach, nierzadko w kościele). Niektórzy z nich mówili „po śląsku", tj. mieszając czasem w jednym zdaniu wyrazy polskie z niemieckimi. Oczywiście językiem ich macierzystym był polski i o tym władze pruskie doskonale wiedziały. Ale od czegóż „przekonywujące" metody nacisku spisowego ze strony władz? Trudno było przeważnie Polakowi wmówić, że ma się podać za Niemca. Natomiast można było do ludzi słabszych duchowo lub mniej uświadomionych przemówić takim argumentem, że bezpiecznej nie podawać się za Polaka, a pójść drogą pośrednią (Panu Bogu świeczka i diabłu ogarek!) i podać się za „dwujęzycznego": przecież to nawet nie kłamstwo, skoro się w istocie umie wysłowić po niemiecku! I na tę wędkę łowili komisarze spisowi polskie rybki! Znamienne, że właśnie w tej rubryce statystyki urzędowe notowały osobliwe przeskoki. Tak np. w Kluczborku podniosła się liczba „dwujęzycznych" od r. 1905 do r. 1910 z 1,8% na 5,8%, a w Zabrzu w tychże latach z 2,4% na 8,7%! W Katowicach liczba „dwujęzycznych" osiągnęła w r. 1890 znaczny odsetek, 6,1% ogółu ludności, w r. 1900 aż 8,0%, by naraz spaść w r. 1905 do 5,8%, a w r. 1910 nawet do 0,8%. Czyżby nagle owi „dwujęzyczni" tak kompletnie zapomnieli języka niemieckiego, że musieli wrócić pod rubrykę Polaków? Czyżby po prostu wynieśli się z miasta? Sprawę można wyjaśnić jedynie mniejszą lub większą skutecznością (w danym miejscu i w danych latach) nacisku władz i bałamucenia ludności, a z drugiej strony słabszym lub silniejszym docieraniem do ludności akcji uświadamiającej polskiej (zależnie od jej natężenia i oczywiście swobody działania!). W niektórych okręgach spisowych rubryki „dwujęzycznych" zmieniały się jak w kalejdoskopie. Wystarczy dla przykładu zestawić wyniki spisowe w tej rubryce w dwóch okręgach (cyfry oznaczają odsetki):

	1890	1900	1905	1910
Tarnowskie Góry . . .	1,9	5,7	1,4	6,1
Lublinitec	2,5	5,9	22,2 (!)	5,7

Nawet sami niemieccy pisarze, omawiający wynik spisów ludności, nie umieli znaleźć dla takich skoków cyfrowych innego wyjaśnienia, jak — nacisk polityczny władz, czyli po prostu bałamucenie i terroryzowanie wyborców. Wspomniany prof. Bernhard sam zaznacza, że nie może być mowy o jasnym obrazie stosunków narodowościowych na terenach mieszanych „skoro landrat czy nawet prezes rejencji traktuje spis jako narzędzie polityki rządowej". Nastawienie władz wywiera wpływ decydujący na postępowanie komisarzy spisowych, którymi są przeważnie nauczyciele ludowi. Po wyniku spisu w r. 1910 władze pruskie wyrażały uznanie dla „zasług nauczycielstwa" przy przeprowadzeniu akcji spisowej. Gorliwość nauczycieli-germanizatorów była aż nadto zrozumiała. Wszak powiększenie cyfr w rubryce ludności niemieckiej albo też „dwujęzycznych" na niekorzyść Polaków świadczyło wobec władz zwierzchnich o pomyślnych wynikach pracy germanizacyjnej szkoły niemieckiej i dawało nadzieje na pochwały, lub może i awans!

Sprawą „dwujęzycznych" zajęliśmy się nieco szerzej, by wykazać, jak tendencyjne były cyfry, uzyskiwane przez statystykę niemiecką. W istocie ilość Polaków była znacznie większa, niż stwierdzona formalnie. Najwięcej celowych bałamuctw wprowadziły władze pruskie oczywiście w tych częściach Górnego Śląska, gdzie ludność polska stała na najniższym stopniu uświadomienia narodowego, a więc w powiatach zaodrzańskich: tam bowiem najsłabiej i najpóźniej docierała akcja narodowa polska. Niektóre powiaty, jak nyski, czy grodkowski, były już stosunkowo dawno zgermanizowane. One też dostarczały (wraz z głubczyckim i niemodlińskim) głównej masy uczestników spisu ludnościowego, podających narodowość niemiecką. Ponadto poważniejsze skupienia niemczyzny znajdowały się już w powiatach: prudnickim, raciborskim oraz kluczborskim, w miastach innych powiatów. W ogólności zgermanizowane powiaty zaodrzańskie i miasta z napływową (głównie w XIX wieku) ludnością niemiecką wykazywały tak silny już nalot niemczyzny na Górnym Śląsku, że dawał on w statystykach urzędowych prawie 40% ogółu ludności: cyfrą to oficjalna, urzędowa, a więc znacznie przesadzona.

Wobec wszystkich praktyk spisowych ostawała się na ogół z powodzeniem polskość w powiatach przede wszystkim prawobrzeżnych. Najbardziej polskim był powiat pszczyński (86,0% Polaków), następnie oleski (80,7%), lubliniecki (79,3%), strzelecki (79,2%), rybnicki (77,8%), toszecko-gliwicki (76,4%). Powiat

Tarnowskie Góry wykazywał tylko 66,8% Polaków, powiat Katowice 64,8%, Bytom 62,8%, Zabrze 51%; na mniej korzystne dla Polaków dane cyfrowe wpływała tutaj większość niemiecka w miastach okręgu przemysłowego.

Najboleśniejszy spadek polskości wykazywały statystyki w powiecie kluczborskim: w roku 1890 notowano tam jeszcze 68,6% Polaków, w r. 1910 już tylko 47,2%! Widać, jak na powiat kluczborski naciskała fala germanizacyjna z Dolnego Śląska! Polskość trzymała się silnie też i na terenie nadodrzańskim. W powiatach opolskim i kozielskim, obejmujących terytoria po obu brzegach Odry, naliczyła statystyka pruska 75,8 względnie 75% Polaków. W powiecie raciborskim tylko 47,7%, ale właśnie na tym terenie praca polska leżała zbyt długo odłogiem (zapoczątkowana dopiero właściwie przez dr. Rostka): na domiar pewien odsetek ludności czeskiej i tzw. morawskiej komplikował tutaj pracę narodową polską. Dzielnie trzymała się w ciężkich warunkach polskość w powiecie prudnickim (44,9% Polaków), a nawet i niemodlińskim (10,2%), podmytym bardzo silnie od dawna falą niemiecką, płynącą od strony Nysy, Grodkowa i Dolnego Śląska. Co więcej, statystyka niemiecka notowała na tym terenie nawet wzrost polskości: w r. 1890 Polaków 9,6%, w r. 1910 — 10,2%!

Z rozważań na temat statystyki wysnuć można taki wniosek ogólny: na terenie Górnego Śląska (rejencji opolskiej) żyło w r. 1910 oficjalnie 53% Polaków, naprawdę conajmniej 60%. Górny Śląsk był tedy po sześciu wiekach od czasów oderwania od Polski krajem w większości polskim. Ostał się nawet zwycięsko wobec brutalnego nacisku wrażych sił pruskich.

Rozdział XXXVIII

ODRODZENIE NARODOWE NA ŚLĄSKU CIESZYŃSKIM

W odrębnych warunkach znajdowała się ta niewielka część Śląska, która pozostała po wojnach śląskich przy Austrii. Nie będziemy się tutaj zajmowali sprawą Opawszczyzny, gdyż ziemia ta już była czeska (z silnym nalotem niemczyzny). Nas interesuje natomiast Cieszyńskie, które wśród wszystkich burz dziejowych zachowało swą prastarą polskość. Stosunki narodowościowe na terenie Cieszyńskiego przedstawiały się w ten sposób, że wschodnia i środkowa część kraju pozostała polska, natomiast południowo-zachodnia (Frydeckie) uległa już silnej czechizacji — pod wpływem sąsiednich Moraw. Działały tutaj silnie w okresie kontrreformacji wpływy diecezji ołomunieckiej, nasyłającej do Cieszyńskiego księży, władających językiem czeskim i niemieckim: w stosunku do ludności miejscowej posługiwanie się językiem niemieckim było chybione, tedy księża używali czeszczyzny i tą drogą przerabiali ludność na Czechów. Ponadto do Frydeckiego, sąsiadującego z Morawami, napływało również sporo ludności morawsko-czeskiej. W urzędach i w sądownictwie panował przeważnie język czeski, wypierany pod koniec XVIII wieku (w czasach Józefa II) przez niemczyznę. Niemniej znamy również wypadki stosowania przez władze języka polskiego w ciągu XVII i XVIII wieku. Za czasów Marii Teresy władze wydawały dla Cieszyńskiego rozporządzenia też i w języku polskim, zwłaszcza gdy chodziło o zaznajomienie dokładne z ich treścią szerokich sfer ludności miejscowej. W szkołach katolickich panował we Frydeckiem język czeski, w reszcie kraju język polski. Natomiast w szkołach ewangelickich posługiwano się językiem polskim. Gdy po traktacie w Altranstädt zelżały nieco represje władz cesarskich wobec protestantyzmu, zaczął się język polski w gminach ewangelickich rozwijać tym swobodniej, czego wyrazem są m. i. liczniej pojawiające się książki religijne polskie

(aczkolwiek pisane w dialekcie śląsko-polskim, z pewnymi naleciałościami czeskimi). Niemczyzna w szkole panowała jedynie w kilku miastach, gdzie istniały poważniejsze skupienia napływowej ludności niemieckiej. Silniejszy nacisk niemczyzny dał się odczuć w czasach cesarza Józefa II (1780—1790), w okresie jego reform centralistycznych i tendencji germanizacyjnych. W urzędach zaprowadzono wszędzie język niemiecki. Wówczas też doznała polskość szkół poważnego ciosu; kierując się dążnościami unifikacyjnymi w tej dziedzinie, władze austriackie wprowadziły w całym Cieszyńskiem w szkołach ludowych, tak katolickich jak i ewangelickich, język „morawski", czyli w praktyce czeszczyznę, ale mimo to w rzeczywistości posługiwano się w wielu miejscach (zwłaszcza w szkołach ewangelickich) książką polską (np. biblią polską), gdyż młodzież wyniosła z domu w znacznej większości mowę polską i szeregu wyrazów czeskich po prostu nie rozumiała.

W początkach XIX wieku zaczęły się odzywać z kół duchowieństwa (posiadającego podówczas nadzór nad szkolnictwem) głosy, podnoszące konieczność dostosowania nauczania do potrzeb życiowych i wprowadzenia do szkoły podręczników polskich. W r. 1808 ks. Szersznik, nadzorca szkół katolickich, zażądał od władz wprowadzenia podręczników polskich, i to do szkół tak katolickich, jak i ewangelickich; tenże ks. Szersznik otwarcie głosił, że ludność Cieszyńskiego jest polska, tedy w szkolnictwie należy się liczyć z takim stanem rzeczy, — natomiast „czeskie książki są dla dzieci przeważnie niezrozumiałe" (z wyjątkiem Frydeckiego). Austriackie gubernium (władza naczelna dla Śląska opawsko-cieszyńskiego) odpowiedziało, że wprawdzie istotnie w większości Cieszyńskiego panuje „dialekt śląsko-polski", ale dla tych 6 dystryktów nie opłaca się drukować osobnych podręczników, bo w końcu dziatwa zrozumie i książki czeskie: a więc nie kwestionowało merytorycznej słuszności żądań ks. Szersznika, uchylając się tylko od ich wypełnienia pod pretekstem względów technicznych. Dla wyjaśnienia sprawy trzeba stwierdzić, że władze austriackie popierały oczywiście na pierwszym planie niemczyznę, a na drugim — czeszczyznę: wynikało to stąd, że nie życzyły sobie bynajmniej przeniesienia problemu polskiego (z którym miały dość kłopotów w tzw. Galicji) na teren Cieszyńskiego, uważając za dogodniejsze dla siebie utrzymanie pozorów czeskości kraju, zwłaszcza że problem czeski w całej swej naiwności uważali biurokraci austriaccy już za zlikwidowany! Mimo odmowy władz ce-

sarskich, sprawa nauczania w języku polskim wyłaniała się z coraz większą siłą. Wśród duchowieństwa katolickiego, ulegającego wpływom niemieckim względnie czeskim w czasie studiów średnich i wyższych w Ołomuńcu, przeważali księża bez wyraźnego uświadomienia narodowego, bądź też nawet uważający się za Czechów (zdarzały się i wypadki zniemczenia). Niemniej były jednostki, które w późniejszym zetknięciu z ludnością polską na terenie swej pracy duszpasterskiej odzyskiwały świadomość narodową polską. Spośród tych należy wymienić przede wszystkim ks. Mateusza Opolskiego, proboszcza we Frysztacie, następnie w Bielsku, zarazem generalnego wikariusza. Opolski przyczynił się około r. 1840 do wprowadzenia języka polskiego w szkołach wiejskich powiatu bielskiego i w ogólności patronował rozbudzeniu się szkolnictwa polskiego. Poważną jego zasługą było założenie w seminarium ołomunieckim dla studentów teologii księgozbioru polskiego (1845), co pozwalało tamtejszym wychowankom na „doskonalenie się w języku polskim", równoważąc w znacznej mierze wpływy czeskiego środowiska. Księgozbiór ołomuniecki był pierwszą polską biblioteką dla ludności Cieszyńskiego.

W latach owych hasła ruchu narodowego polskiego z Krakowa zaczęły coraz silniej przenikać do Cieszyńskiego. Znalazły one wdzięcznych odbiorców wśród Polaków, uczniów ewangelickiego gimnazjum w Cieszynie, prowadzonego zresztą w duchu germanizacyjnym pod naciskiem władz. Na zew tych haseł Andrzej Cińciała opuścił (1840) gimnazjum cieszyńskie i udał się do Krakowa, gdzie praktykował w księgarni (Friedleina) i odbywał dalsze studia w środowisku polskim. Tymczasem trzej jego koledzy: Paweł Stalmach, Jan Bujak i Jędrzej Szarc, utworzyli w gimnazjum cieszyńskim kółko, nazwane „złączeniem polskim". O tym fakcie powiadomili bawiącego w Krakowie Cińciałę zbiorowym listem w r. 1843: „W pierwszych dniach września roku przeszłego (1842) zawiał na nas wiatr polski i złączyło się nas kilku, żebyśmy się w języku polskim wydoskonalili, czegośmy się z wielką chęcią jęli". Zakupił kilka książek polskich, poczynając od gramatyki, i wspólnie kształcili się w języku, zapoznając się w miarę możności z dziełami klasyków polskich. Pierwsze to kółko polskie niebawem upadło, zapewne głównie z powodu wyjazdu Stalmacha na studia uniwersyteckie do Bratysławy.

Paweł Stalmach (1824—1891) złożył dowód swego uświadomienia narodowego na uniwersytecie w Bratysławie, gdzie jako

pierwszy ze studentów śląskich odmówił stanowczo przystąpienia do towarzystw niemieckich, a również uchylił się od wstąpienia do organizacji czeskiej: oświadczył dobitnie, że „Ślązacy są Polakami". Znaczny wpływ na jego rozwój duchowy wywołało niewątpliwie zetknięcie z Ludowitem Štúrem, pierwszym budzicielem narodu słowackiego, gorącym orędownikiem zbliżenia narodów słowiańskich, kształcącym zarazem swą ideologię pod wpływem polskiej twórczości romantycznej. W czasie studiów w Bratysławie, a następnie w Wiedniu, nie zarzucił Stalmach kontaktów z ośrodkiem cieszyńskim, gdzie tymczasem Cińciała wznowił kółko młodzieży polskiej. Stalmach i Cińciała budzili polskość młodzieży śląskiej przede wszystkim przez dostarczanie książek polskich. Korzystając z okresu wakacyjnego, udawali się obaj do Krakowa i na plecach przynosili książki, skrzętnie kryjąc po drodze swój cenny skarb przed okiem żandarmów.

Gdy nadszedł rok „Wiosny ludów" (1848), ożywiła się akcja działaczy polskich w Cieszyńskiem: od pracy oświatowej, przeszli do politycznej. Za namową Stalmacha sfinansował Polak dr Ludwik Klucki (późniejszy burmistrz Cieszyna) pierwsze pismo polskie w Cieszyńskiem, które ukazało się w maju 1848 r. pod nazwą *Tygodnik Cieszyński*. Pismo prowadził zrazu Cińciała (podówczas dr praw, notariusz); dodajmy, że na tym terenie nie było jeszcze pisma ani niemieckiego, ani czeskiego. *Tygodnik* podkreślał wyraźnie polskość Cieszyńskiego i wypowiadał się za przyłączeniem tej części Śląska do Polski. Szczególne zaś wrażenie wywołało wystąpienie Stalmacha na Kongresie Słowiańskim w Pradze w tymże roku, gdzie jako delegat Śląska Cieszyńskiego wraz z Andrzejem Kotulą sprzeciwił się przyłączeniu do delegatów czeskich, oświadczając, że „my Ślązacy, jako Polacy, chcemy i możemy tylko do polskiej sekcji należeć". Na Kongresie Stalmach podniósł śmiało prawa polskie nie tylko do Cieszyńskiego, ale i do Śląska pod zaborem pruskim. Od tej chwili problem polskości Cieszyńskiego został jasno postawiony. Równocześnie jednak zarysowały się początki sporu polsko-czeskiego o tę ziemię.

Należy zaznaczyć, że w pierwszej fazie swego odrodzenia narodowego (przed rokiem 1848) Czesi nie kwestionowali polskości Cieszyńskiego. Głośny uczony czeski Paweł J. Šafařik w dziele swym *Slovanský národopis* (1842) na mapie Słowiańszczyzny nakreślił granicę zasięgu narodowości polskiej i czeskiej — na Ostrawicy: oznaczało to przyznanie przewagi polskości w całym Cieszyńskiem.

Nie inaczej wypowiadał się wybitny działacz czeski Franciszek Rieger (*Slovnik naučny*, 1833). Jeszcze w szereg lat później uczeni czescy (np. Šembera, 1864) uważali za czeską jedynie południowo-zachodnią część kraju, tzw. Frydeckie, uznając resztę jako polską[1]). W miarę jednak rozwoju ruchu narodowego czeskiego zaczęli Czesi, planując przebudowę Austrii w duchu federalistycznym i odrestaurowanie w jej ramach osobnego Królestwa Czeskiego (pod berłem Habsburgów, a więc przywrócenie niejako stanu sprzed 1620), coraz mocniej podkreślali swe „prawa historyczne" do całego Śląska pod zaborem austriackim, włączając w swój program również i Cieszyńskie. Pragnęli więc ścisłego związania Cieszyńskiego z Pragą, podczas kiedy miejscowi działacze polscy ciążyli ku tzw. Galicji, chcąc znaleźć oparcie w silnym tamtejszym ośrodku polskim, włączyć się w krąg jego życia politycznego i kulturalnego. Czesi nie mogli tego pojąć, że rozwój uświadomienia narodowego polskiego uniemożliwiał już przerobienie Polaków śląskich na Czechów. Program polski był jasno sformułowany w *Tygodniku Cieszyńskim:* „My Ślązacy nie jesteśmy Czesi, dlatego też z Czechami się nie złączymy . . . zostaniemy tedy, czym jesteśmy i będziemy Polakami". Zamiast tedy myśleć o braterskim porozumieniu słowiańskim, uznaniu praw Polaków w Cieszyńskiem do własnego rozwoju narodowego, zjednoczeniu natomiast sił dla wspólnej walki z niemczyzną, Czesi rozpoczęli walkę, łudząc się, iż jeszcze zdołają całe Cieszyńskie zdobyć dla czeskości. Wywiązał się opłakany konflikt między narodami słowiańskimi o niewielki stosunkowo szmat ziemi, — konflikt, na którym wygrać mogli tylko Niemcy.

Tymczasem ruch narodowy polski czynił dalsze postępy. Po powrocie z Pragi Stalmach objął sam redakcję *Tygodnika,* który z czasem (1851) przemianował na *Gwiazdkę Cieszyńską:* pismo to przez lat wiele służyło sprawie polskości Cieszyńskiego, przyczyniając się zarazem również i do rozbudzenia świadomości narodowej polskiej na Śląsku Górnym. Stalmach szczególną wagę przywiązywał do pracy wśród ludu wiejskiego, ale w miarę czasu zajął się pilnie też i mieszczaństwem pochodzenia polskiego w Cieszynie, starając się z powodzeniem wykrzesać przysypane nalotem

[1]) Oczywiście dostatecznie jasno przeprowadzili granicę językową polsko-czeską uczeni polscy: L. Malinowski, J. Buzek, J. Bystroń, K. Nitsch, i inni.

germanizacji iskry polskości. Należy stwierdzić, że z pełnym zapałem prowadził walkę z niemczyzną: starcie natomiast z czeszczyzną zostało mu narzucone. Z jego inicjatywy powstała w Cieszynie „Czytelnia Polska" i „Kasyno Polskie". Stalmach zorganizował niebawem pierwsze przedstawienia teatralne (amatorskie) polskie w Cieszynie, który Niemcy uważali za swoje miasto! Ważnym oparciem dla szerzenia poczucia polskiego na terenie cieszyńskim było wprowadzenie w r. 1848 do szkół języka polskiego. Dotąd uczono go tylko tu i ówdzie, raczej ukradkiem, lub dzięki tolerancji miejscowych władz kościelnych. Obecnie rząd austriacki pozwolił na taki język w szkole, jakiego sobie życzy ludność. W następstwie bardzo znaczna większość gmin w Cieszyńskiem wprowadziła w szkołach wiejskich język polski. Natomiast w szkołach miejskich jeszcze czas dłuższy zastrzegały władze wyłączność niemczyzny. Na tle owej sprawy języka w szkole doszło do pierwszych starć polsko-czeskich. W niektórych gminach polskich nauczyciele i księża czescy narzucali i nadal naukę w języku czeskim, oraz z czeskich podręczników. Starcia takie musiały wywoływać wzajemne zadrażnienia, tym przykrzejsze, że jeszcze Niemcom nie śniło się wcale o rezygnacji z akcji niemczenia kraju. Po r. 1848 dopuszczali częściowo w urzędach język polski lub czeski — obok niemieckiego. W r. 1851 rząd austriacki wprowadził znowuż wyłączność języka niemieckiego we wszystkich urzędach i sądach, a również miejscowi dygnitarze starali się i ze szkół wypchnąć głównie język polski.

Nie możemy w naszym ogólnym zarysie wchodzić w szczegóły stosunków w Cieszyńskiem w dalszych latach XIX i początkach XX wieku. Pragniemy tylko zwrócić uwagę na kilka momentów zasadniczych. Warunki dla ruchu polskiego zmieniały się na gorsze względnie na lepsze, w zależności od przemian wewnętrznych, jakim ulegała monarchia austriacka w tym okresie. Ścieranie się dwóch prądów: konstytucyjnego i centralistyczno-germanizacyjnego, trwało przez lat szereg, aż wreszcie doprowadziło w r. 1867 do ustalenia się ery konstytucyjnej, równolegle z przebudową monarchii habsburskiej w duchu dualistycznym (Austro-Węgry). W erze konstytucyjnej po r. 1867 poszczególne kraje uzyskały autonomię i jakie takie warunki swobodniejszego rozwoju narodowo-kulturalnego, po części i narodowo-politycznego. Zaznaczyło się to dodatnio, jeśli chodzi o sprawę polską, na terenie tzw. Galicji. Inaczej przedstawiała się jednak sprawa

z Cieszyńskiem. Księstwo tworzyło wraz z Opawskiem osobną jednostkę administracyjno-polityczną, tzw. Śląsk austriacki. Niemcy nie chcieli pozwolić na nadanie krajowi charakteru słowiańskiego, czeskiego czy polskiego, natomiast starali się mu narzucić piętno niemieckie, jakkolwiek tworzyli znaczną mniejszość ludności; szczególnie na terenie Cieszyńskiego posiadali nie więcej jak 15% ludności, wyłącznie napływowej, głównie mieszczaństwa, sporo biurokracji cywilnej i oficerów, trochę inżynierów po fabrykach i urzędników w dobrach magnackich (hr. Larischa i Habsburgów). Niemczyzna miała jednak do dyspozycji liczne środki nacisku, pozwalające na wywieranie wpływu germanizacyjnego, zwłaszcza na jednostki nieuświadomione narodowe.

Zmuszeni stopniowo liczyć się z żądaniami Polaków śląskich, które znalazły poparcie przedstawicieli Polaków z tzw. Galicji, musieli Niemcy godzić się na różne koncesje, ale równocześnie w sposób perfidny starali się utrzymać swe pozycje. Tak np. na terenie szkolnictwa, dopuszczając stopniowo język polski nie tylko w szkołach ludowych, ale i tzw. wydziałowych, a w końcu i średnich, tworzyli szkoły tzw. utrakwistyczne, o dwóch językach wykładowych: niemieckim i polskim, co w praktyce umożliwiało nauczycielom niemieckim w dalszym ciągu pracę nad wynaradawianiem młodzieży polskiej. Różne niemieckie związki, korzystające z wielkich subwencji rządowych, popierały szkoły niemieckie i służyły rzekomej „kulturze" niemieckiej, w istocie czystej propagandzie. Gdy w końcu musieli zgodzić się Niemcy pod naporem żądań Koła Polskiego w parlamencie austriackim w początkach XX wieku na drugie gimnazjum polskie (w Orłowej, pierwsze powstało w Cieszynie w r. 1895), to jako rekompensatę stworzyli sobie — ósmą z kolei szkołę średnią na tym terenie! Nie znajdowało to oczywiście żadnego uzasadnienia w stosunkach narodowościowych w kraju: ale Niemcom wystarczało, że w danej miejscowości znajduje się grupa urzędników niemieckich, by żądać już szkoły dla ich dzieci. Równocześnie, w myśl zasady *divide et impera!*, wyzyskiwali skwapliwie antagonizm czesko-polski i próbowali wygrywać oba narody słowiańskie przeciwko sobie. Dla szerzenia zamieszania i gmatwania istotnego układu stosunków narodowościowych łowili nieuświadomionych lub nastraszonych na wędkę tzw. „ślązakowszczyzny". Wedle tezy niemieckiej „za ślązakowców uważano tych ludzi, którzy pomimo polskiej mowy, polskich zwyczajów i obyczajów, jawnie okazywali swoją przy-

jazną, proniemiecką orientację". To niby tacy „miejscowi", co są przejęci „ideą państwową austriacką", wielbią cesarza, przyjazni są niemczyźnie i pragnęliby korzystać z „dobrodziejstw kultury niemieckiej". Zaniepokojeni rozwojem szczególnie ruchu polskiego, otoczyli Niemcy „ślązakowców" specjalną opieką. Organem ich było pismo *Nowy Czas*, redagowane przez polakożercę pastora Haasego, które miało za zadanie szerzenie zamętu wśród ewangelików śląskich. Drugim podobnym organem był *Ślązak*, organ „śląskiej partii ludowej" pod przewodem Kożdonia, mający na celu uprawianie dywersji głównie wśród ludności wiejskiej. Pod hasłem: „Śląsk dla Ślązaków" odciągano ludzi naiwnych lub słabego ducha od obozu polskiego i formowano z nich kadry przyszłych renegatów. Metody to aż nadto często stosowane przez germanizatorów; utrudniały one niewątpliwie akcję narodową i polityczną polską.

Pod koniec XIX wieku mnożyły się organizacje kulturalno-oświatowe polskie w Cieszyńskiem, z „Macierzą szkolną" (1885) na czele. „Macierz" położyła ogromne zasługi na polu organizacji szkolnictwa polskiego. Akcji polskiej przodował całe lata Stalmach, starając się w akcji narodowej zjednoczyć wszystkich Polaków z Cieszyńskiego, tak katolików, jak i ewangelików (sam był ewangelikiem, dopiero na łożu śmierci przeszedł na katolicyzm). Za staraniem Stalmacha i innych pionierów ruchu narodowego powstały różne instytucje polskie, służące bądź celom kulturalno-oświatowym (jak rozbudowane w szeregu miastach Czytelnie Ludowe), bądź gospodarczo-samopomocowym (Towarzystwo Rolnicze, Bank Rolniczy, Towarzystwo oszczędności i zaliczek itd.). Niestety w miarę czasu zaczęły się ujawniać tarcia między katolikami i ewangelikami, zwłaszcza gdy trzeba było uzgodnić kandydatury polskie do parlamentu wiedeńskiego czy do sejmu śląskiego w Opawie. Zdarzyło się raz nawet, że wskutek owych tarć na tle wyznaniowym przepadli kandydaci polscy, a z urny wyborczej wyszedł — Niemiec. Na szczęście zwyciężał przeważnie zdrowy rozsądek i głos sumienia narodowego, co pozwalało Polakom z Cieszyńskiego tworzyć front narodowy jednolity, przynajmniej w tych wypadkach, gdy chodziło o obronę ogólnych interesów polskich. Zresztą bowiem rozwój życia politycznego polskiego wymagał zróżniczkowania, odpowiadającego układowi stosunków społecznych, wyznaniowych itd. wśród ludności polskiej.

Zgodnie z tym procesem zróżniczkowania wytworzyły się w końcu na terenie Cieszyńskiego trzy poważne stronnictwa polityczne polskie: „Związek Śląskich Katolików", którego organem była *Gwiazdka Cieszyńska*, a czołowym przedstawicielem w początkach XX wieku ks. Józef Londzin; „Polskie Zjednoczenie Narodowe", skupiające tak ewangelików, jak i część katolików — organem tego ugrupowania był *Dziennik Śląski*, a głównymi przedstawicielami dr Jan Michejda i Kazimierz Piątkowski; „Polska Partia Socjalno-Demokratyczna", posiadająca własny organ prasowy — *Robotnik Śląski*, kierowana znakomicie przez Tadeusza Regera, dra Ryszarda Kunickiego i Dorotę Kłuszyńską, zyskująca sobie bardzo znaczne wpływy w rejonie górniczo-przemysłowym Cieszyńskiego, jako partia broniąca polskości oraz interesów socjalnych śląskiego robotnika. Słabo natomiast rozwinęło się na terenie Cieszyńskiego Stronnictwo Ludowe, którego organem był *Głos Ludu Śląskiego*. Taki stan rzeczy istniał w początkach XX wieku. O sile ruchu polskiego świadczy m. i. fakt, że w Cieszyńskiem ukazywało się wówczas kilkanaście pism polskich: w stosunku do tego nikle przedstawiała się prasa niemiecka (trzy pisma), a jakoś niemal zupełnie nie mogła się rozwinąć prasa czeska, której brak wypełniały do pewnego stopnia pisma z pobliskiej Morawskiej Ostrawy.

Front akcji polskiej zwracał się przeciwko niemczyźnie, tymczasem jednak napotkał na poważne przeszkody ze strony Czechów. W drugiej połowie XIX wieku pozazdrościli oni sukcesów akcji polskiej i przystąpili do energicznej kontrakcji, wysuwając stanowcze roszczenia do Cieszyńskiego. Uzasadniali je tak prawami historycznymi, jak i etnicznymi. Pierwsza kwestia nie wymaga szczegółowych rozważań, gdyż w toku całej pracy sprawę tę poruszaliśmy niejednokrotnie. Krótko mówiąc: Cieszyńskie popadło pod rządy czeskie dopiero w XIV wieku, w chwili słabości Polski i na pewno prawa historyczne polskie są dawniejsze i mocniejsze niż czeskie. Co do kwestii drugiej, to teza czeska, głosząca jakoby ludność Cieszyńskiego była rzekomo czeska, a tylko uległa polonizacji w znacznej części w ciągu XIX wieku, pod wpływem akcji polskiej z zewnątrz (z tzw. Galicji), jest nie do utrzymania. Odrodzenie narodowe polskie w Cieszyńskiem stanowiło przede wszystkim akcję samorodną, której pierwszymi pionierami byli Polacy miejscowi, którzy w walce z niemczyzną rozbudzili w sobie świadomość narodową i rozpoczęli pracę budzicielską wśród swych

współbraci. Nie można zaprzeczyć, że działały wpływy ruchu narodowego polskiego z innych dzielnic, ale taki sam proces dokonywał się również i u Czechów, i to w znacznie wyższym stopniu; akcję czeską w Cieszyńskiem organizowały główne ośrodki czeskie w samych Czechach i na Morawach. Wprawdzie Czesi powołują się na to, że w urzędach, szkołach itd. w początkach XIX wieku był w użyciu język czeski, obok niemieckiego, a nie polski; taki stan rzeczy nie był jednak wynikiem istotnych stosunków narodowo-wościowych, lecz stanowił zabytek kilkuwiekowego formalnego zwierzchnictwa czeskiego na ziemi śląskiej. Pozory myliły przecież, czego najlepszym dowodem, że nawet władze musiały się nieraz odwoływać do języka polskiego, gdy chciały, by ich zarządzenia rozumiała ludność; dodajmy, że właśnie prawdziwy stan rzeczy w Cieszyńskiem skłonił w początkach XIX wieku nadzorcze władze szkolne (księży) do wysunięcia postulatu wprowadzenia języka polskiego do szkół. Ludność cierpliwie znosiła przez wieki powierzchowny nalot czeszczyzny, ale polskości swej nie zatraciła. Przyjmując nawet do swego słownictwa szereg wyrazów czeskich, zachowała rdzeń mowy polskiej i sumienni badacze naukowi niejednokrotnie stwierdzili wyraźną granicę zasięgu języka polskiego, nie kwestionując zresztą, że poza nią istnieje jeszcze strefa mieszana, ludności mówiącej dialektem „morawskim", który już wykazuje przewagę czeszczyzny. Polacy w Cieszyńskiem nie chcieli anektować dla polskości owej ludności pogranicza językowego, którą naprawdę można określić jako „morawską": wystarczało im przygarnięcie i otoczenie opieką ludności niewątpliwie polskiej. Za polskie bezsprzecznie uważali też powiaty polityczne: bielski, cieszyński i frysztacki, — nie kwestionując istnienia silnej grupy czeskiej w powiecie frydeckim. Polacy nie rzucali hasła „Ostrawica, polska granica" (jak to niesłusznie podsuwali im Czesi, oskarżając działaczy polskich o tendencje zaborcze), lecz starali się wykreślić, możliwie sprawiedliwą granicę etnograficzną, przyznając Czechom prawa do południowo-zachodnich części Cieszyńskiego.

Mówiąc o prawach historycznych i etnicznych, Czesi raczej przemilczali inny argument, który stanowił poważny bodziec w ich akcji o Cieszyńskie. Chodziło o sprawy gospodarcze. Cieszyńskie było dla nich szczególnie cenne, gdyż posiadało pięknie rozwijające się górnictwo (Karwina), oraz przemysł (Trzyniec), jak też i ważne węzły komunikacyjne (Bogumin). Tak się złożyło, że właśnie

główne ośrodki górnicze, przemysłowe i komunikacyjne znajdowały się na terenie etnicznym polskim (zresztą i Frydeckie przedstawiało już wówczas poważne wartości gospodarcze). Otóż wspomniane ośrodki chcieli anektować Czesi dla siebie i to bodajże głównie skłoniło ich do podjęcia wytężonej walki o Cieszyńskie. A właśnie w związku z rozwojem gospodarczym dokonywały się zmiany w stosunkach demograficznych na terenie Cieszyńskiego; równocześnie zaś zaostrzał się spór polsko-czeski. Do kopalń i fabryk w Cieszyńskiem zjeżdżali masowo inżynierowie, sztygarzy i inni fachowcy z sąsiednich górniczych i uprzemysłowionych okolic Morawskiej Ostrawy ze szkół technicznych czeskich: Czesi bowiem szybko wyprodukowali liczne kadry inteligencji technicznej i nadmiar jej ze szkół morawskich osadzali właśnie w Cieszyńskiem. Co prawda i z tzw. Galicji przybywali na ten teren tłumnie robotnicy Polacy, szukając pracy w górnictwie i przemyśle śląskim: zajmowali jednak przeważnie stanowiska podrzędne, niemal wyłącznie pracowników fizycznych, a w następstwie wystawieni byli na wpływ a nawet nacisk kierownictwa czeskiego (lub, co gorsza, niemieckiego). Robotnik polski był wyzyskiwany przez pracodawców i siły fachowe niemieckie, a niestety i czeskie, przeciwko czemu właśnie wystąpiła ostro partia socjalistyczna polska, broniąc dzielnie położenia socjalnego robotnika i jego polskości.* Mimo to jednak znaczna część przybyszów z terenu galicyjskiego ulegała w ciągu niewielu lat czechizacji, w niektórych wypadkach nawet germanizacji. Mówiąc zaś o owej nader przykrej sprawie zatargu polsko-czeskiego, trzeba stwierdzić, że Czesi podjęli ostrą, niezbyt przebierającą w środkach akcję czechizowania ludności na terenach spornych, szczególnie w ważnym gospodarczo powiecie frysztackim. Polacy bronili się, stojąc wobec faktu coraz bardziej zażartej walki o poszczególne gminy. Czesi uzyskali w tej walce niemałe sukcesy, głównie w północno-zachodnich częściach powiatu frysztackiego (w okręgu Bogumina), zwłaszcza, że np. w r. 1901 postarali się o odłączenie kilku gmin z rejonu bogumińskiego od powiatu frysztackiego, a przyłączenie ich do powiatu frydeckiego, dla tym szybszego przeprowadzenia akcji czechizacyjnej. Warto zapoznać się z cyframi, przedstawiającymi spadek odsetka Polaków w rejonie Bogumina (tzw. powiatu sądowego bogumińskiego), gdzie nasilenie akcji czeskiej było szczególnie duże:

Rok	Polacy (w %)	Czesi (w %)	Niemcy (w %)
1880	77,9	11,2	10,9
1890	81,7	8,4	9,9
1900	69,6	12,2	17,9
1910	47,3	27,0	25,6

Akcja czeska, prowadzona przez fabrykę, kopalnię, szkołę, zarząd gminny, organizacje polityczne i kulturalno-oświatowe, które Czesi pospiesznie w Cieszyńskiem rozbudowywali, wzorując się nieraz na Polakach (np. *Matice Osvěty Lidove*) dawała wyniki pozytywne, bo polskość na niektórych terenach skurczyła się ogromnie: ale równocześnie walka między narodami słowiańskimi ułatwiała bardzo znaczne sukcesy niemczyźnie.

Obraz walki narodowościowej w całym Cieszyńskiem zilustrują najlepiej następujące cyfry (w %) z ostatnich dwóch spisów ludnościowych:

Rok	Polacy	Czesi	Niemcy
1900	60,7	23,7	15,5
1910	54,8	27,1	18,1

Spis z roku 1910 poprzedziła szczególnie zacięta walka narodowościowa, której wynik przyniósł nader poważne straty Polakom. Triumfowali Czesi i Niemcy; ci głosili nawet, że ów spis, to „grób polski nad Ostrawicą“ (*ein Polengrab an der Ostrawica*). Niemcy mieli w istocie powód do uciechy, bo wygrywali na walce między Słowianami. Należy jeszcze dodać, że Czesi często podnosili, jakoby ruch polski swą istotną siłę na Śląsku zawdzięczał napływowi sił roboczych z tzw. Galicji. Otóż wystarczy wskazać na następujące cyfry: Spis z r. 1910 wykazał napływ ponad 84,000 imigrantów, z czego 57.000 z tzw. Galicji, a 25,000 z Czech i Moraw. Tymczasem liczba Polaków w czasie spisu wzrosła z 219,000 na 234.000, a więc ledwie o 15.000. Gdzież przepadło ponad 40.000 Polaków „galicyjskich“? Ulegli oni naciskowi władz, pracodawców, sił nadzorczych i fachowców niemieckich lub czeskich: w wielu wypadkach podawali się np. za Czechów, gdy im zagrożono, że w przeciwnym wypadku stracą pracę! Nacisk z góry i różne „praktyki“ spisowe podniosły przeważnie sztucznie odsetek ludności czeskiej i niemieckiej. Znamienne, że największe straty ponieśli Polacy w okręgu górniczo-przemysłowym (Karwina, Trzy-

niec): o te właśnie tereny głównie walczyli Czesi. Poważną wreszcie dywersją dla akcji polskiej był wspomagany przez władze austriackie i społeczeństwo niemieckie ruch „ślązakowców", który wyrwał sporo zbałamuconych z szeregów polskich.

Mimo wszystko Polacy posiadali większość w całym Cieszyńskiem, nawet w świetle owego oficjalnego, kierowanego przez władze austriackie, spisu ludności. Najsilniej przejawiała się przewaga ludności polskiej w powiecie cieszyńskim, niewiele słabiej w powiecie frysztackim, najsłabiej natomiast w powiecie bielskim, gdzie prawie nie było Czechów, ale za to dużo Niemców (miasto Bielsko stanowiło główne gniazdo niemczyzny i zarazem hakatyzmu); jedynie w powiecie frydeckim dysponowali Czesi bezwzględną większością. Przy wyborach do parlamentu wiedeńskiego w Cieszyńskiem uzyskiwali Polacy 3 mandaty poselskie, Czesi jeden. W r. 1911 wybrani zostali ze strony polskiej trzej przedstawiciele wielkich stronnictw politycznych polskich: ks. Londzin, dr Michejda i Reger. Oczywiście posłowie ci weszli w parlamencie do Koła Polskiego, wespół z posłami z tzw. Galicji.

W r. 1894 napisano w dzienniku praskim *Národní Listy:* „O Cieszyn . . . według naszego zapatrywania, nie będziemy kiedyś walczyli z Niemcami, lecz z braćmi Polakami". Zdanie dziennika czeskiego było w pewnej mierze słuszne, jeśli w nim zawierała się ta myśl, że nadejdzie wreszcie moment, kiedy z niemczyzną śląską nie będzie się wiodło żadnych sporów, tylko po prostu wyrzuci się ją z ziemi słowiańskiej. Dlaczego jednak Czesi sprawę w stosunku do Polaków stawiali zaraz na płaszczyźnie konieczności walki? Wszak chyba wiedzieli o tym, że ze strony polskiej wysuwano projekt inny: sprawiedliwego podziału kraju — wedle zasady narodowościowej. Polacy nie wysuwali roszczeń do Frydeckiego, zastrzegając dla przyszłej Polski tylko te ziemie, które zamieszkiwała w stanowczej większości ludność polska. Tymczasem Czesi już przed wojną światową (Benesz), jak i w czasie wojny (Masaryk, Kuffner, Kramarz) żądali dla przyszłego państwa czeskiego całego Cieszyńskiego. Kiedy ze strony polskiej proponowano jakieś rozsądne załatwienie sprawy, wówczas Czesi godzili się na osobliwe „ustępstwa": mówili o granicy polsko-czeskiej nawet nie na Olzie, lecz na Wiśle (z pozostawieniem m. i. całego Cieszyna i Skoczowa po swej stronie). W takich warunkach porozumienie było doprawdy arcytrudne. Zrodził się konflikt nieszczęsny, który miał na szereg lat poważnić bratnie narody.

Rozdział XXXIX

NA ZAKRĘCIE DZIEJOWYM

Trudno przewidzieć, jak rozwinęłaby się dalej walka narodowościowa na Śląsku pod zaborem pruskim. Jedno trzeba stwierdzić: przybierała ona formy coraz ostrzejsze, nadawane przez Niemców, którzy starali się wszelkimi siłami zgnieść ruch narodowy polski. Do dyspozycji mieli wszystkie środki, a że nadto nie żywili w stosunku do Polaków żadnych skrupułów, tedy walka była nierówna. Wprawdzie żadna już siła germańska nie była w stanie zdławić odrodzonej polskości na Śląsku: niemniej jednak postępy akcji polskiej zostały powstrzymane przez brutalizm metod niemieckich. Dalszy rozwój wypadków skierował na nowe tory — wybuch pierwszej wojny światowej.

Polacy na Śląsku w czasie wojny przeżyli wszystkie niemal skale uczuć, raz gnębieni rozpaczą, to podtrzymywani na duchu nadzieją. Okres zwycięstw niemieckich przekreślał, zdawało się, nie tylko wszelką możliwość wyzwolenia spod jarzma germańskiego, ale zapowiadał dalszą, jeszcze na pewno bardziej bezwzględną germanizację — na wypadek ostatecznego triumfu Rzeszy w wojnie. Również i zakończenie jakieś połowiczne — nie rokowało Polakom żadnych korzyści. W miarę piętrzących się trudności wysunęły co prawda tzw. mocarstwa centralne, Niemcy i Austro-Węgry, pomysł odbudowania „niepodległości" Polski: w skład jej miała jednak wejść tylko drobna część ziem polskich zaboru rosyjskiego, okupowanych w czasie wojny przez wojska niemieckie i austriackie, tzw. Królestwo Kongresowe, i to jeszcze okrojone na rzecz Niemiec. Jeśli projekt niemiecko-austriacki znalazł wśród polityków polskich trochę zwolenników, to tylko w związku z żywionymi przez nich nadziejami połączenia z Królestwem Kongresowym przynajmniej tzw. Galicji i oparcia na razie na tej podstawie terytorialnej i ludnościowej budowy państwowości polskiej. Rychło

przecież okazało się, iż kierownictwo polityczne Niemiec takiego rozwiązania sprawy polskiej sobie nie życzy. W rezultacie „państwo polskie“ wedle planów niemieckich stanowiłoby tylko jakiś protektorat Rzeszy, niewiele różniący się od podobnych tworów politycznych, jakie na oczach naszych kreowali Niemcy w czasie drugiej wojny światowej. Spadły łuski z oczu nawet tym Polakom, którzy pewne mieli złudzenia. Niestety do końca współpracował z Niemcami nad realizacją owej koncepcji polsko-niemieckiej właśnie jeden z przewódców śląskich — Napieralski, dając się użyć propagandzie niemieckiej za narzędzie: on to prowadził do ostatka akcję propagandowo-prasową na terenie „Kongresówki“ za tworzeniem „państwa polskiego“ pod egidą niemiecką. Wkroczywszy na tę drogę, Napieralski stał się rychło kompletnym bankrutem politycznym. Na jego przykładzie widać, na jakie manowce prowadzą próby polityki „ugodowej“ w stosunkach polsko-niemieckich.

W dalszych fazach wojny ogromna większość narodu polskiego stanęła zwarcie w obozie antyniemieckim, przekonawszy się ostatecznie, że z Niemcami nie może być mowy o istotnej współpracy. Nadzieje Polaków zwracały się przeważnie ku Zachodowi; oczekiwano z utęsknieniem zwycięstwa państw koalicji (Rosja, wstrząśnięta przewrotem rewolucyjnym, nie brała udziału w końcowym etapie wojny). W istocie jedynie pogrom Niemiec mógł przynieść Polsce prawdziwą niepodległość. Front antyniemiecki narodu polskiego krzepnął oraz mocniej. Otuchą napawały słowa deklaracji prezydenta U. S. A. Woodrowa Wilsona, który w 13 punkcie swego słynnego orędzia styczniowego 1918 r. jako jeden z celów wojny koalicji postawił odbudowę niepodległego państwa polskiego, obejmującego wszystkie ziemie, zamieszkałe niewątpliwie przez Polaków, z dostępem do morza. W ten sposób na forum międzynarodowe wchodziła również i sprawa Śląska. Wysunięta przez Wilsona zasada samostanowienia narodów uprawniała do nadziei na powrót Śląska do Polski. W parlamencie niemieckim wystąpił też z takim właśnie żądaniem, imieniem Polaków śląskich, Wojciech Korfanty, zyskując sobie śmiałymi mowami duże sympatie wśród szerokich sfer społeczeństwa polskiego, w pierwszym rzędzie wielki mir wśród Polaków śląskich. Podczas gdy grzebał się ostatecznie w opinii polskiej Napieralski, wysuwał się zdecydowanie Korfanty na przewódcę polskiego Śląska.

Wreszcie przyszła upragniona klęska Niemiec na froncie zachodnim. W listopadzie 1918 r. Niemcy zwróciły się z prośbą do państw koalicji o zawieszenie broni; równocześnie wybuchła rewolucja w Berlinie, która obaliła cesarstwo, twór Bismarcka. Na pozór tworzył się w Niemczech nowy porządek, demokratyczny. We wszystkich częściach Rzeszy ujmowały władzę w ręce rady robotniczo-żołnierskie, również i na Śląsku. Przez moment wydawało się Polakom śląskim, że „nowe demokratyczne Niemcy" uznają słuszność szlachetnej zasady Wilsona i nie będą krępować swobody ciemiężonych dotąd Polaków samostanowienia o przyszłym swym losie. Tymczasem jednak w owych radach robotniczo-żołnierskich zasiedli niemal sami Niemcy. Mimo to Polacy śląscy zaczęli manifestować swą wolę na wiecach publicznych, oraz przystąpili do tworzenia Rad Ludowych, podobnie jak i w Poznańskiem. W pierwszych dniach grudnia 1918 r. zebrał się w Poznaniu sejm dzielnicowy polski, złożony z przedstawicieli Polaków z wszystkich ziem, podległych ostatnio Rzeszy. Śląsk reprezentowany był przez 423 delegatów (w tym 33 kobiet). Polacy śląscy manifestowali jedność swych pragnień i życzeń — wraz z przedstawicielami innych ziem polskich. Sejm dzielnicowy w Poznaniu wystosował do Rady Najwyższej państw koalicji w Paryżu żądanie przyłączenia do odradzającej się Polski wszystkich tych ziem, w których od wieków mieszka ludność polska[1]).

Polacy śląscy łudzili się jeszcze, że poprzez rady robotniczo-żołnierskie będą mogli odrazu uzyskać udział w administracji państwowej i samorządowej, a tą drogą stworzyć dla ludności polskiej możliwe warunki przetrwania w okresie przejściowym, aż do ostatecznych decyzji konferencji pokojowej. Niemcy przecież nie zmienili się ani trochę, mimo pozorów „demokratycznych". Na czele centrali rad robotniczo-żołnierskich na terenie Śląska (z siedzibą we Wrocławiu) stanął otwarcie wrogi Polakom socjalista Hörsing, mianowany niebawem przez rząd rewolucyjny berliński komisarzem rządowym dla Śląska. Hörsing zastosował wobec Polaków system terroru. Dla przytłumienia „rewolucyjnego nastroju polskiej ludności górnośląskiej" ogłosił w styczniu 1919 r. stan oblężenia na Śląsku Górnym i wprowadził sądy wojenne. Rozwiązał przede wszystkim tworzone przez Polaków „Związki Wo-

[1]) Kiedy sejm dzielnicowy wybrał Naczelną Radę Ludową, jako organ władzy tymczasowej dla Polaków b. zaboru pruskiego, reprezentantem Górnego Śląska został w niej Wojciech Korfanty.

jackie", które miały stanowić przeciwwagę niemieckich związków żołnierskich (*Kriegervereinów*). Praca polskiego „Obozu czynu" musiała zejść do podziemi. Niestety już wówczas kierownicy ruchu polskiego na Śląsku dopuścili się poważnych zaniedbań, co zaważyło na dalszym biegu wypadków. Już pod koniec grudnia 1918 r. Poznańczycy wywołali powstanie polskie i uwolnili swą ziemię od rządów niemieckich. Na tę samą drogę winni byli wejść i działacze śląscy. Tymczasem zwłaszcza Korfanty liczył zanadto na pomyślny wynik konferencji pokojowej i wstrzymywał zapędy gorętszych, którzy już chcieli na Górnym Śląsku dokonać przewrotu i ująć władzę w ręce polskie. Taki fakt dokonany byłby zapewne przesądził o przynależności całego Śląska Górnego do Polski. Nie zdobyto się przecież na czyn zdecydowany, gdyż w otoczeniu Korfantego obawiano się, że może to wywrzeć wpływ ujemny na stosunek czołowych mężów stanu koalicji do sprawy Śląska; w przeświadczeniu o słuszności praw Polski do ziemi śląskiej wybrano trzymanie się drogi legalnej, wyczekiwanie wyroku areopagu paryskiego. Niebawem przecież okazało się, że taktyka faktów dokonanych daje częstokroć lepsze znacznie wyniki, niż powoływanie się jedynie na prawo, choćby najsłuszniejsze. Polacy śląscy dali się w rezultacie ubiec Hörsingowi, którego krwawe rządy miały właśnie wybić Polakom z głowy myśl o powstaniu. Warunki ogólne dla akcji polskiej na Śląsku pogorszyły się znacznie. Nie zdawano sobie jednak z tego w pełni sprawy, czekając z otuchą na decyzje Konferencji Pokojowej, która otwarta została w Paryżu, dnia 18 stycznia 1919 r.

Zaznaczmy na wstępie, że Konferencja nie spełniła oczekiwań tych narodów, które pragnęły triumfu zasady sprawiedliwości, trwałego pokoju i uwolnienia od zmory ponownej agresji niemieckiej. Główny głos w Paryżu miały trzy mocarstwa: Ameryka, Francja i Anglia, podczas gdy już Włochy i Japonia odgrywały rolę znacznie mniejszą, a innych państw, choć uznanych za alianckie, niewiele się o zdanie pytano. Co gorsza, właśnie owe trzy decydujące mocarstwa popełniły kilka błędów zasadniczych, z których za najważniejsze uważać należy: 1. wstrzymano pochód armii zwycięskich w głąb Niemiec, w wyniku czego nie przekonano Niemców naocznie, że ponieśli klęskę — a dostarczyło to tylko żeru propagandzie szowinistów niemieckich, którzy głosili swemu narodowi, jakoby nie klęska militarna, lecz jedynie załamanie wewnętrzne było powodem przegranej w wojnie, i na tym bu-

dowali tezę o realnych szansach przyszłego rewanżu, 2. uwierzono w szczerość nastrojów demokratycznych w Niemczech i nie pozbawiono ich możliwości przygotowania nowej wojny napastniczej, 3. budowano nowy porządek w Europie na grze interesów wielkich mocarstw, igrając z całą lekkomyślnością z tezą utrzymania „równowagi" europejskiej, przy czym odrazu jako jeden z ważnych czynników owej „równowagi" politycznej zaczęto brać pod uwagę Niemcy, 4. nie zdobyto się na stworzenie podstaw stałej, naprawdę mocnej organizacji pokoju, 5. sprzeniewierzono się w znacznej mierze szczytnym hasłom, głoszonym w okresie wojny (formułując przyszłe warunki pokoju), jak np. głośnej zasadzie samostanowienia narodów, a jeśli ją respektowano, to przy zastosowaniu takich praktyk, które jej sens niejednokrotnie wprost wypaczały, 6. pominięto zupełnie tak ważny czynnik polityczny, jak Rosję, zadowalając się stwierdzeniem faktu, że w danej chwili opanowana jest przez chaos rewolucyjny, co przecież stanowiło tylko okres przejściowy. — Spośród czołowych mężów kongresowych niewątpliwie szlachetne zasady samostanowienia i organizacji międzynarodowej pokoju (Liga Narodów) reprezentował Woodrow Wilson, ale nie potrafił ich w pełni wprowadzić w życie. Jerzy Clemenceau bronił przede wszystkim interesów Francji, chcąc jej zapewnić przodujące stanowisko w Europie powojennej: w związku z tym nastawał na osłabienie Niemiec (wszak Francja najdotkliwiej w czasie wojny ucierpiała od agresji germańskiej!) i popierał postulaty Polski. Natomiast tendencjom hegemonii francuskiej na kontynencie przeciwstawiał się mocno premier W. Brytanii Lloyd George i z tego właśnie względu nie życzył sobie zbytniego osłabienia Niemiec, bo Niemcy mogły się przydać polityce angielskiej dla szachowania Francji i utrzymania „równowagi" w Europie. W polityce angielskiej na Konferencji Pokojowej przeważył tedy stanowczo kurs egoistyczny, na domiar ciasny i krótkowzroczny, bo oparty jedynie na przesłankach chwilowej koniunktury politycznej, bez spojrzenia w przyszłość. Lloyd George jest też w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za ostateczne sformułowanie traktatu pokojowego (Anglia miała na kongresie mocniejszą pozycję od Francji, a Ameryka stopniowo wycofywała się ze spraw europejskich) i on to przyczynił się walnie do pozostawienia w rękach niemieckich szans nowej wojny agresywnej.

W październiku 1918 r. Roman Dmowski przedstawił w memoriale prezydentowi Wilsonowi postulaty polskie co do Śląska: na

podstawie argumentów historycznych, narodowościowych, geograficznych i gospodarczych motywował wniosek o przyłączenie do Polski „Górnego Śląska i trzech powiatów Śląska Średniego“ (powiatów: namysłowskiego, sycowskiego i milickiego). Argumentacja polska trafiła na ogół do przekonania Amerykanom i Francuzom, ale nie Anglikom: w szczególności Lloyd George zachowywał dyplomatyczne milczenie, które niczego dobrego nie wróżyło. Po rozpoczęciu Konferencji Pokojowej Dmowski imieniem polskiej delegacji przedstawił projekty terytorialne Polski Radzie Najwyższej, która, po wysłuchaniu, odesłała je do osobnej komisji dla spraw polskich. Komisja, której przewodniczył przyjazny Polsce Francuz Jules Cambon, rozpatrzyła postulaty polskie. Należy zaznaczyć, że były one niewątpliwie umiarkowane. Delegacja polska rozumiała, że nie może wysuwać słusznych praw Polski do całego Śląska, czy choćby do granicy Odry i Nysy śląskiej, co przecież miałoby jedynie sens strategiczny, a zresztą było uzasadnione stosunkowo niedawnym takim właśnie zasięgiem ludności polskiej (niemal do końca XVIII wieku). W atmosferze Konferencji Pokojowej nie sposób było mówić o zasadniczych rozstrzygnięciach na miarę dziejową, o konieczności odrobienia wiekowych krzywd Słowiańszczyzny — skoro co najwyżej zyskiwały uznanie argumenty ówczesnego stanu posiadania etnicznego tej czy innej narodowości. W tych warunkach delegacja polska ograniczyła się do żądania dla Polski tylko większej części rejencji opolskiej (co odpowiadało m. w. pojęciu Śląska Górnego), rezygnując z góry z powiatów: niemodlińskiego, grodkowskiego, nyskiego i zachodniej części prudnickiego. Tak zakreślone terytorium postulowane obejmowało 12 000 km², zamieszkałych przez 2.100.000 ludności, w tym 67% Polaków (wedle statystyki pruskiej!). Były to więc chyba żądania doprawdy minimalne. Komisja przekazała szczegółowe rozpatrzenie noty polskiej specjalnej podkomisji, na czele której stał również Francuz Le Rond. Podkomisja zmieniła projekt polski o tyle, że powiaty namysłowski i sycowski pozostawiała Niemcom, natomiast Polsce przyznała nieco inaczej wykrojone części powiatu milickiego i połacie północne powiatu górowskiego. Komisja przyjęła wnioski podkomisji i w tej formie przedstawiła propozycje granicy polsko-niemieckiej (w całości). Gdy propozycje komisji znalazły się na stole obrad Rady Najwyższej (19 marca 1919 r.), wystąpił z ostrą krytyką Lloyd George, odmawiając Polsce m. i. praw do Gdańska i części Pomorza (obszarów nadwiślańskich):

natomiast projekt wytyczenia granicy na Śląsku (uchwalony przez komisję) ostał się w końcu w ogniu krytyki i wszedł do warunków pokojowych, przedstawionych delegacji niemieckiej (7 maja).

Osobliwa to była łaskawość zwycięzców wobec Niemców, że im pozwolono rozpatrywać warunki pokojowe i wydawać o nich swą opinię! Oczywiście delegacja niemiecka zaatakowała najostrzej oddanie Polsce choćby części Śląska. Nie warto się zajmować bliżej „uwagami" delegacji niemieckiej na temat rzekomych niewzruszonych praw niemieckich do Śląska. Spotykamy, tam m. i. takie argumenty, że od r. 1163 Śląsk „nie ma żadnego kontaktu z Polską", że „niema tu żadnych tradycji ani wspomnień polskich", że Górnoślązacy „nie mówią językiem polskim" (tylko *wasserpolnisch*!), że ludzie mówiący „narzeczem górnośląskim", mogą przecież mimo to posiadać „niemiecki sentyment narodowy", że dalej „Polska nie potrzebuje Śląska", a przyłączenie ziem górnośląskich do Polski spowodowałoby „przemysłową ruinę" zagłębia śląskiego, że żaden Niemiec nigdy się nie pogodzi z utratą nawet kawałka Śląska, że wreszcie Rzesza „nie będzie w stanie wykonać swych, wynikających z wojny światowej zobowiązań"; dodajmy, że ostatni zwłaszcza argument był uparcie przez Niemców powtarzany, jako narzędzie szantażu politycznego wobec państw koalicji: pozbawiona obszarów przemysłowych Śląska Górnego, nie będzie mogła Rzesza zapłacić odszkodowań wojennych!

Niemieckie brednie i kłamstwa poddała druzgocącej krytyce delegacja polska: niestety jednak wielcy tego świata pragnęli już zakończenia nużącej konferencji i nie mieli czasu na zajęcie się kontrargumentami polskimi! Sprawa przeszła znów pod obrady Rady Najwyższej, gdzie Lloyd George wystąpił otwarcie jako orędownik Niemców, których „krzywdzić" nie pozwalał! Na decydującej sesji Rady premier angielski walczył jak lew w obronie Niemców i protestował przeciw żądaniom polskim co do Śląska Górnego, oraz żądaniom francuskim co do okupacji Nadrenii i odszkodowań. Francuzi bronili własnych spraw, ale też i polskich. W końcu Lloyd George zgodził się przyjąć postulaty francuskie, natomiast stanowczo sprzeciwił się przyznaniu ziem śląskich Polsce, wysuwając żądanie przeprowadzenia tamże plebiscytu. Zaspokojeni Francuzi ustąpili. Spór w gronie wielkich polityków zakończył się więc kompromisem — kosztem Polski.

4 czerwca Rada Najwyższa powzięła ostatecznie decyzję zarządzenia plebiscytu na Śląsku Górnym. Równocześnie wyznaczo-

no komisję, której zadaniem miało być opracowanie warunków odbycia plebiscytu, oraz przeprowadzenie drobniejszych poprawek granicznych. Co do tej sprawy, komisja (na której czele stał wtedy generał Le Rond) uchwaliła przyznanie Niemcom części (proponowanych poprzednio Polsce) powiatów milickiego i górowskiego, natomiast przyznała Polsce m. w. połowę powiatów sycowskiego i namysłowskiego. W kwestii plebiscytu zarysowała się poważna różnica zdań między poszczególnymi członkami komisji, przy czym znowuż stanowisko delegata angielskiego było dla Polski raczej nieżyczliwe. Terminu odbycia plebiscytu komisja nie zdecydowała wyraźnie (1 do 2 lat). Na szczęście odpadł fatalny pomysł delegata angielskiego (Headlama Morleya), aby głosowanie odbyć globalnie (obliczając głosy z całego terenu): uchwalono głosowanie gminami — co w wypadku niekorzystnego nawet dla Polski globalnego wyniku plebiscytu umożliwiało następnie wysunięcie ze strony polskiej żądania podziału Śląska i przyłączenia przynajmniej jego części do Polski. Zapadła natomiast inna, nieszczęsna dla sprawy polskiej uchwała, przyznająca prawo udziału w głosowaniu również i tym, którzy urodzili się na Śląsku, choć na nim w danej chwili nie przebywali. W ten sposób powstała kwestja tzw. emigrantów. Należy zaznaczyć, że delegacja polska na Konferencji Pokojowej uchwałę taką aprobowała, a nawet spodziewała się stąd korzyści dla Polski. Powodem takiego stanowiska było błędne przepuszczenie, że zyska się sporo głosów dla Polski, gdyż przecież wśród owych emigrantów było wielu Polaków śląskich, którzy dla chleba wynieśli się do innych części Rzeszy (np. do Westfalii). W istocie przecież spośród owych emigrantów polskich znaczna część w środowisku niemieckim uległa zniemczeniu i pod naciskiem propagandy niemieckiej głosowała następnie za Niemcami. Na domiar w ostatnich dziesiątkach lat wyemigrowało ze Śląska również sporo Niemców, którzy znajdowali korzystniejsze stanowiska w innych krajach Rzeszy, gdzie nadto czuli się lepiej w otoczeniu rdzennie niemieckim. Otóż tysiące takich emigrantów uzyskało teraz prawo decydowania o losie piastowskiej ziemi śląskiej, na której byli intruzami i którą bez żalu sami opuścili! Fatalna decyzja komisji przysporzyła Niemcom wiele dziesiątek tysięcy głosów! — Le Rond wreszcie wysunął nader słuszny projekt, aby przynajmniej te powiaty, które w chwili zawieszenia broni reprezentowane były w parlamencie Rzeszy przez posłów polskich i w ten sposób w najcięższych warunkach

pod jarzmem manifestowały swą polskość, zostały wyłączone z rejonu plebiscytowego i oddane wprost Polsce. W ten sposób bez plebiscytu dostałaby Polska powiaty: Opole, Lubliniec, Tarnowskie Góry, Toszek, Gliwice, Zabrze, Bytom, Katowice, Rybnik i Pszczynę, a więc więcej, niż następnie otrzymała w wyniku plebiscytu. Niestety wniosek Le Ronda nie przeszedł na komisji.

Niemniej Le Rond przedstawił swój wniosek Radzie Najwyższej, referując ogólnie uchwały komisji. Ale Lloyd George nie chciał słyszeć o żadnych odstępstwach od zasady plebiscytu. W następstwie w dniu 14 czerwca Rada Najwyższa ponownie powzięła decyzję zarządzenia plebiscytu na całym obszarze proponowanym: zresztą przyjęła projekty komisji, wraz z fatalną uchwałą o emigrantach. Nie pomogły już żadne protesty polskie. Do ostatecznej redakcji 88 § Traktatu Wersalskiego weszło postanowienie o plebiscycie na Górnym Śląsku. W odpowiedzi na poprzednie „uwagi" delegacji niemieckiej mocarstwa koalicji podkreślały, że ludność Górnego Śląska jest „niezaprzeczalnie polska", ale urządza się plebiscyt, bo „rząd niemiecki zaprzecza temu twierdzeniu". Motywacja zaiste osobliwa: chciano przekonywać Niemców o polskości Śląska, dając im równocześnie doskonałe warunki wpływania na wynik plebiscytu i sfałszowania istotnego stanu rzeczy! Zwłaszcza, że pozostawiono dość czasu do przygotowania odpowiedniej „akcji" plebiscytowej: zdecydowano, że plebiscyt odbędzie się w okresie do 18 miesięcy.

Rozdział XL

PLEBISCYT W R. 1921

Akcję dyplomatyczną w Paryżu Polska przegrała. Może inaczej wypadłyby decyzje wielkiego areopagu mocarstw koalicji, gdyby słuszne prawa Polski poparte były akcją czynną — na samym Śląsku, gdyby sam lud śląski zamanifestował swą wolę. Podłoże do takiej akcji istniało. Krwawe rządy Hörsinga, bezwzględny terror, szerzony przez policję i organizacje wojskowe niemieckie (*Grenzschutz, Heimatschutz i inne*), wzburzył umysły Polaków śląskich i podniecał do odwetu. Podziemne organizacje wojskowe polskie gotowały powstanie. Wybuch nastąpić miał już w miesiącach wiosennych 1919 r. Moment to był niewątpliwie odpowiedni. Doszły na Śląsk wiadomości, o pierwszej redakcji traktatu pokojowego, wedle której przeważna część Śląska Górnego przypaść miała Polsce. Polacy byli podniesieni na duchu, czując iż zbliża się godzina wolności; Niemcy popadli w dezorientację i zwątpienie. W tej sytuacji powstanie miało bardzo poważne szanse sukcesu. Opanowanie Górnego Śląska przez Polaków stworzyłoby fakt dokonany, który trudno było by zmienić. Cała argumentacja Niemców w Paryżu i Lloyd George'a o rzekomych „sentymentach niemieckich Górnoślązaków" (którzy mówią „po swojemu", ale „czują po niemiecku"), straciłaby wszelkie podstawy. Do powstania jednak wówczas nie doszło — z winy kierownictwa politycznego polskiego na Śląsku. Zbłądził przede wszystkim Korfanty, który wierzył ślepo w powodzenie akcji dyplomatycznej i powtarzał wciąż, że „koalicja da nam więcej Śląska, niż my chcemy". Korfanty wstrzymywał uparcie zapędy młodzieży, która rwała się do czynu. Na wybuch powstania zanosiło się już w kwietniu, następnie w czerwcu. Tymczasem akcję wstrzymał Korfanty, który przebywał wówczas w Poznaniu (gdzie reprezentował Górny Śląsk w Naczelnej Radzie Ludowej) i nie miał bliskiego kontaktu z organizacjami śląskimi, nie wyczuwał też dostatecznie nastrojów ludności, wsłuchując się w pierwszym rzę-

dzie w wieści z Paryża. W następstwie nici akcji wymknęły mu się z rąk. Oświadczył się przeciw powstaniu, ale tymczasem ruch zbrojny polski wybuchł już samorzutnie w powiecie kozielskim i oleskim. Za późno nadeszły tam wiadomości o wstrzymaniu akcji. Rezultatem tego karygodnego braku koordynacji w obozie polskim była masakra Polaków w owych powiatach, do których nie doszła na czas wiadomość o wstrzymaniu powstania. Przelała się na darmo tak cenna krew polska.

Na domiar Niemcy zostali przestrzeżeni, i z tym większą wściekłością prowadzili swą akcję terrorystyczną. Dodały im śmiałości relacje z Paryża o skuteczności protestów niemieckich w sprawie śląskiej i stanowisku Lloyd George'a. Wzmagając terror, chcieli stworzyć dogodne dla siebie fakty dokonane. Skoro ma być plebiscyt, to należy zawczasu zdusić ruch polski, zdławić ducha oporu i w ten sposób przygotować teren do głosowania. Wzmożony terror germański zmusił Polaków do samoobrony. W sierpniu wybuchło powstanie polskie, nie przygotowane należycie, które w tych warunkach było po prostu aktem rozpaczy ludności polskiej. Powstanie rozpoczęło się w Pszczyńskiem, następnie objęło i dalsze powiaty. Walka była nierówna. Nie pomogło bohaterstwo polskie, gdy brakło sprawnej organizacji i środków do walki, przede wszystkim należytego uzbrojenia, — gdy naprzeciwko stanęły doskonale wyposażone oddziały „Grenzschutzu" i „żelaznej dywizji" (złożonej z kadr oficerskich), sprowadzonej specjalnie dla tłumienia powstania z głębi Rzeszy. Nieudolność kierownictwa polskiego przyspieszyła w końcu upadek powstania. Po 10-dniowych krwawych, ale beznadziejnych walkach, powstanie zostało stłumione. Bohaterscy bojownicy polskości Śląska musieli szukać schronienia poza kordonem granicznym, na ziemiach odrodzonej Rzeczypospolitej Polskiej. W rezultacie siepacze germańscy srożyli się tym zawzięciej nad ludnością polską, a głosząc swój sukces zbrojny starali się wpoić wahającym się i mało uświadomionym przeświadczenie o niezniszczalnej potędze niemieckiej, która już otrząsła się z klęski wojny światowej i znowu potrafi być groźną: lepiej tedy trzymać z silnymi Niemcami, które nie wypuszczą z ręki Śląska, niż łudzić się próżno złudną nadzieją powrotu do Polski, która zresztą nie może się równać co do siły i potęgi Niemcom, Polski — którą pogardliwie nazywali „państwem sezonowym", wskazując na jej rozliczne ówczesne trudności wewnętrzne i na terenie międzynarodowym. Ale mimo wszystko to pierwsze powstanie śląskie rzuciło posiew dodatni: po raz pierwszy wówczas lud polski na

Śląsku przelewał krew, walcząc o powrót do Polski. Był to prawdziwy chrzest ogniowy Polaków śląskich.

Stosunki na Śląsku Górnym, rządzonym pięścią germańską, wymagały najrychlejszej interwencji koalicji, jeśli plebiscyt nie miał się stać zwyczajną tragifarsą. Niestety dopiero 27 stycznia 1920 r. przybyły na ziemię śląską pierwsze oddziały wojsk koalicyjnych, a kilka tygodni jeszcze upłynęło, zanim wreszcie zjechała Komisja Międzysojusznicza Plebiscytowa i zasiadła w Opolu (w dniu 11 lutego 1920 r.). Komisja składała się z trzech członków: Francuza Le Ronda, Anglika Percivala i Włocha De Marinisa. Skład ten był dla Polski bardzo nieszczęśliwy: przyjazny jej był tylko Le Rond, natomiast wyraźnie nieżyczliwy Percival pociągał za sobą chwiejnego Włocha. Komisja stworzyła własny aparat administracyjny (siedem departamentów centralnych, nadto urząd kontrolerów powiatowych) oraz sądowniczy. Stanowiska naczelne obsadzili urzędnicy koalicyjni. Administracja koalicyjna objęła zresztą tylko najwyższe szczeble tych dziedzin. Natomiast na szczeblach średnich i niższych pozostali dotychczasowi funkcjonariusze niemieccy. W istocie więc dla ludności niewiele się zmieniło: w bezpośrednim kontakcie z władzami napotykała nadal tych samych Niemców-polakożerców, którzy dotąd byli jej ciemiężcami. Jakże miała wierzyć, że będzie traktowana sprawiedliwie? To jeszcze nie wszystko. Najważniejsze bodaj na terenie plebiscytowym było odpowiednie zorganizowanie bezpieczeństwa. Otóż miały nad tym czuwać szczupłe zresztą oddziały wojsk koalicyjnych, oraz miejscowa policja *(Sicherheitspolizei),* tzw. zielona, złożona wyłącznie z Niemców! W rezultacie lud śląski widział przed sobą nadal urzędnika, sędziego, policjanta, oczywiście nauczyciela niemieckiego, którzy go dotąd prześladowali i stwierdzał z ubolewaniem, że właściwie wszystko jest po staremu. Nadto sprawie niemieckiej służyła gorliwie większość kleru katolickiego, posłuszna dyrektywom kurii biskupiej we Wrocławiu. Biskup-kardynał Bertram wydał zarządzenie, wedle którego publiczne występowanie księży było zależne od pozwolenia miejscowego proboszcza: tak np. wikary Polak nie mógł uczestniczyć w akcji polskiej, bo przecież nie dostał pozwolenia od proboszcza Niemca. Zarazem Bertram zakazał udziału w akcji plebiscytowej księżom spoza diecezji wrocławskiej, a więc księżom z terytorium Polski. Już to zarządzenie rzuca dostateczne światło na stanowisko kurii i posłusznego jej kleru śląskiego. Wprawdzie Watykan wyznaczył osobnego komisarza na czas plebiscytu, który miał przeciwdziałać nadużywaniu powagi sutanny w akcji

politycznej. W istocie po kilku miesiącach zarządzenie Bertrama zostało skasowane. Zniesiono formę, ale dalej działała na ludzi treść. Niemiecki kler mógł wskazywać pobożnym Górnoślązakom, że przecież wiedzą już, jakie jest zdanie biskupa i winni wedle tego postępować. W tych warunkach tylko niewielu prawdziwie dzielnych księży Polaków ośmielało się uczestniczyć czynnie w akcji polskiej. Większość zaś działała na rzecz Niemiec, nierzadko w sposób urągający powinnościom i stanowisku kapłana. Tak np. zdarzało się, że księża odmawiali rozgrzeszenia tym, którzy opowiadali się otwarcie za Polską!

Przy pozostawieniu większości aparatu urzędowego niemieckiego władze koalicyjne musiały z natury rzeczy z nim współpracować. W następstwie, chcąc jakiego takiego funkcjonowania całego aparatu, starały się unikać możliwie sporów i tarć, to znaczy w praktyce szły na rękę Niemcom. W szczególności odnosi się to do władz tak cywilnych, jak i wojskowych, obsadzonych przez Anglików i Włochów; najdotkliwiej odbiło się to na sprawie polskiej w powiatach rolniczych, zachodnich, terenu plebiscytowego. Nie ulega kwestii, że Niemcy mieli ogromnie ułatwioną pracę. Nie brakło im funduszów, które napływały z Rzeszy, a więc posługiwali się ordynarnym przekupstwem, demoralizując ludność miejscową. Poza przekupstwem i terrorem, dalszym wypróbowanym środkiem agitacji niemieckiej była ohydna propaganda antypolska, która nie ominęła żadnej sposobności, by Polskę i polskość oczerniać czy wyszydzać — zależnie od potrzeby. Wedle propagandy niemieckiej Polska była przede wszystkim „państwem sezonowym"; raz zarzucano jej dławienie u siebie wszelkiego postępu, skrajną reakcyjność, to znowu szerzono brednie, jakoby w Polsce panował „chaos bolszewicki"; raz była Polska przerażająco czarna czy biała, innym razem znów skrajnie czerwona! Już choćby ten przykład oświetla nieco metody propagandy niemieckiej.

Ze strony polskiej komisarzem plebiscytowym mianowany został przez rząd polski w Warszawie Wojciech Korfanty. Wybór taki był dyktowany koniecznością. Korfanty przodował w początkach XX wieku w ruchu narodowym i politycznym polskim, pod hasłem emancypacji zupełnej ruchu polskiego, uniezależnienia się od Centrum, przeciwstawiając się zarazem kunktatorom i kompromisowcom w stylu Napieralskiego. Wskazał śmiało ludowi śląskiemu drogę do Polski. Wprawdzie następnie załamał się i uległ Napieralskiemu, za co spotkał się z nader słuszną krytyką szeregu niezłomnych bojowników wspólnoty ruchu śląskiego z ogólnonarodo-

AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA
Im. Gen. Broni K. Świerczewskiego

wą akcją polską. Ale znowuż zatarł w znacznej mierze wspomnienie owego okresu „słabości" — przez głośne wystąpienia w parlamencie niemieckim pod koniec wojny, kiedy otwarcie manifestował wolę ludu śląskiego połączenia z państwem polskim. W przełomowych chwilach, pod koniec 1918 i z wiosną 1919 r., wysunął się na czoło niepodległościowego ruchu polskiego na Śląsku i nie dopisał, grzesząc ślepą wiarą w akcję dyplomatyczną i życzliwość państw koalicji, marnując doskonałe momenty do wywołania akcji zbrojnej, która by zapewniła Polsce zwycięstwo. O tym jednak wiedzieli tylko wtajemniczeni w akcji polskiej na Śląsku i niewielu ludzi w Polsce; ponadto i w gronie świadomych rzeczy ocena jego działalności nie była jednolita, gdyż dla niejednego trudno przychodziło jeszcze zdobyć się na właściwy osąd sytuacji, wypadków i możliwości, z perspektywy dziejowej. Dla mas ludu śląskiego był więc nadal Korfanty tym człowiekiem sztandarowym, za którym przy wyborach Polacy śląscy głosowali, którego grzmiący głos z trybuny parlamentarnej napawał ich wiarą w lepszą przyszłość: Korfanty był ich człowiekiem. W tych warunkach zlecono kierownictwo akcji plebiscytowej Korfantemu, nie znajdując innego kandydata, który by mógł mu się równać wziętością na terenie Śląska. W pracę na stanowisku komisarza wniósł Korfanty niewątpliwie dużo dobrej woli, zapału i cennej umiejętności wzniesienia się ponad opłotki partyjne: chciał wciągnąć do współpracy wszystkich Polaków, bez różnicy przynależności partyjnej. Ujemną natomiast jego cechą była wygórowana ambicja, która mu dyktowała posunięcia wprost dyktatorskie; sam chciał o wszystkim decydować, lekceważąc nieraz słuszne uwagi innych. W szczególności nie umiał uzgodnić swych poczynań ze stanowiskiem organizacji wojskowych: na tym tle panowała wciąż zgubna rywalizacja, czego winę ponosi po części sam Korfanty, a zwłaszcza niektóre czynniki wojskowe, nastawione od razu niechętnie wobec Korfantego i warcholsko (liczni w POW „piłsudczycy"). Zastępcami Korfantego na stanowisku komisarza plebiscytowego byli: przedstawiciel Narodowej Partii Robotniczej Józef Rymer i Polskiej Partii Socjalistycznej Józef Biniszkiewicz. Komisariat miał swoje wydziały i sekcje, oraz podległe komitety powiatowe. W terenie działali liczni emisariusze plebiscytowi, tak spośród ludności miejscowej, jak i przybyli z innych ziem polskich. W tych szeregach przeważała młodzież, pełna zapału i poświęcenia, choć często nie posiadająca odpowiedniego przeszkolenia do podobnej akcji. Mimo wszystko działacze polscy dokonali wiele na polu uświadomienia naro-

dowego ludności, kładąc nacisk w pierwszym rzędzie na akcję kulturalno-oświatową, oraz na organizowanie społeczeństwa w stowarzyszeniach zawodowych, gospodarczych, sportowych itd. Równocześnie przez prasę, odezwy, ulotki i afisze propagandowe starano się uodpornić ludność duchowo na truciznę propagandy niemieckiej.

Jakże jednak prymitywnie, choć kierował nimi święty zapał, przedstawiały się środki i możliwości akcji polskiej — wobec zorganizowanej, sprawnie funkcjonującej, korzystającej z milczącej aprobaty władz plebiscytowych angielskich i włoskich, akcji niemieckiej. Coraz pewniejsi siebie, zaczęli Niemcy pod bokiem organów koalicyjnych zaostrzać metody teroru. W dniu 3 maja bojówki niemieckie dokonały napadów na polskie pochody z okazji święta narodowego: napady te miały miejsce m. i. w Opolu, Lublińcu, Dobrodzieniu. W dniu 28 maja zorganizowali bojówkarze napad na siedzibę polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Bytomiu, w hotelu „Lomnitz". Garstka Polaków odparła atak, zadając Niemcom poważne straty. Wydarzenie to ujawniło całą bezradność władz kontrolnych koalicyjnych: oddział wojsk francuskich przybył na miejsce krwawej rozprawy z opóźnieniem kilkugodzinnym, a w samym napadzie wspomagała skrycie bandytów niemieckich — „zielona policja", oficjalny organ bezpieczeństwa, uznawany przez władze plebiscytowe! Widoczne było, że słuszność przyznaje się w rezultacie temu, kto dysponuje siłą. Wyciągnęli z tego właściwe wnioski Niemcy i wzmacniali nieustannie akcję terrorystyczną, wyzyskując równocześnie w swej propagandzie ogromne trudności Polski, której kierownicy popełniali ciężkie błędy, przede wszystkim wikłając państwo w wojnę z Rosją Sowiecką, co groziło chwilowo zupełną katastrofą: za wojnę tę zapłaciła Polska m. i. straszną cenę, przegrywając w lipcu 1920 r. plebiscyt na Mazurach i w Warmii. Niemcy uznali moment za właściwy do zupełnego zgnębienia ruchu polskiego na Śląsku, licząc na to, że plebiscyt zostanie w ogóle uniemożliwiony i Górny Śląsk zachowają w całości dla siebie. W sierpniu zorganizowali demonstracje antypolskie we wszystkich miastach terenu plebiscytowego, oraz strajki (wywołane przez związki niemieckie) w kopalniach i hutach. Stanowiło to tylko przygrywkę do właściwej akcji terroru: bojówki niemieckie przy czynnym współudziale „zielonej policji" napadły na hotel — siedzibę komitetu plebiscytowego polskiego w Katowicach *(Deutsches Haus)*. Wojska francuskie próbowały powstrzymać napastników, ale wobec przewagi liczebnej wycofały się z miasta, pono-

sząc krwawe straty. Bandy niemieckie zdobyły i podpaliły hotel, niszcząc w szale nienawiści germańskiej również szereg sklepów polskich; w rozruchach katowickich został zamordowany działacz polski dr Mielęcki.

Przebrała się miarka cierpliwości polskiej. Ludność polska powiatu katowickiego zaczęła walkę. Korfanty wezwał (w porozumieniu ze związkami zawodowymi i partiami politycznymi polskimi) ludność polską do samoobrony. Strajk generalny robotników polskich poparł to drugie powstanie śląskie. Niespodziewanie dla Niemców i władz koalicyjnych, które znajdowały się pod sugestią przewagi niemieckiej na Śląsku, powstanie objęło rychło cały teren przemysłowy, rozprzestrzeniając się też i na powiaty rolnicze. Kierownictwo polskie stawiało żądania umiarkowane: zapewnienia Polakom na terenie plebiscytowym osobistego bezpieczeństwa i swobody akcji, a więc w pierwszym rzędzie usunięcia „zielonej policji". Takim żądaniom nie podobna było odmówić słuszności, zwłaszcza że znajdowały one pełne uzasadnienie w ostatnich wypadkach. Tedy Komisja Międzysojusznicza ogłosiła, że do dnia 31 sierpnia t. r. „zielona policja" zostaje rozwiązana, a w jej miejsce powołuje się specjalną policję plebiscytową, złożoną w połowie z Polaków, w połowie z Niemców, wyłącznie z ludności miejscowej. Nadto pod naciskiem Komisji koalicyjnej organizacje i partie niemieckie zmuszone zostały do zawarcia umowy z odpowiednimi związkami polskimi, w której przyrzekały zaniechanie metod terrorystycznych względem Polaków — co oczywiście pozostało tylko na papierze. Natomiast bezsprzecznie pozytywnym osiągnięciem drugiego powstania śląskiego było usunięcie wreszcie z obszaru plebiscytowego poważnego narzędzia terroru germańskiego, jakim była „zielona policja". Powstanie spełniło na razie swoje zadanie: kierownictwo polskie wydało rozkaz wstrzymania walki zbrojnej.

Niemcy zrozumieli, że przeciągnęli strunę: mimo proniemieckiego nastawienia wielu czynników w państwach koalicyjnych, nie było przecież możliwe, aby koalicja skompromitowała się rezygnacją z plebiscytu i pozostawieniem Śląska Górnego Niemcom. Taka aprobata metod gwałtu i terroru wzburzyłaby opinię świata: zresztą i Polacy pokazali swą siłę, co oznaczało, że na terenie śląskim może się snadnie wytworzyć ognisko nowego konfliktu wojennego, który wstrząśnie podstawami pokoju w Europie. A więc przeprowadzenie plebiscytu i to na warunkach możliwie spokojnych, przy zachowaniu pozorów sprawiedliwości, było koniecznością. Podobne stanowisko zajęła Komisja Międzysojusznicza i z tym

musieli się też pogodzić Niemcy. Terroru bynajmniej nie zaniechali, tylko starali się unikać zbytniego hałasu. Równocześnie cały nacisk położyli na agitację plebiscytową. M. i. korzystając z osławionego punktu regulaminu plebiscytowego, pozwalającego emigrantom na udział w głosowaniu, zajęli się gorliwie wyzyskaniem tego atutu. Niestety ze strony polskiej poniewczasie pojęto, jakie w tym tkwi niebezpieczeństwo. Starano się tedy przeciwdziałać różnymi sposobami, jak np. proponując odbycie głosowania owych emigrantów poza terenem plebiscytowym (w Kolonii): w razie niekorzystnego dla Polski wyniku głosowania emigrantów można było wówczas walczyć o inne potraktowanie owych głosów, niż ludności osiadłej na miejscu, istotnie związanej z terenem górnośląskim i mającej niewątpliwie większe prawo decydowania o losach ziemi rodzinnej; inny projekt polski przewidywał głosowanie emigrantów oddzielnie, choć na terenie plebiscytowym, ale w kilka tygodni później, byleby głosów emigrantów nie łączyć z ogólną masą oddanych głosów. Oba projekty odrzuciła Rada Ambasadorów (oficjalna podówczas reprezentacja koalicji): zdecydowała, że głosowanie emigrantów odbędzie się na Górnym Śląsku, równocześnie z głosowaniem całej ludności. Oczywiście decyzja taka zadowoliła w zupełności Niemców. Natomiast z ubolewaniem stwierdzić należy, że sam Korfanty nie pojmował zupełnie niebezpieczeństwa sprawy emigrantów i opowiadał się za ich głosowaniem na terenie plebiscytowym! Dziwny upór czy zaślepienie? — trudno na tym miejscu orzec. Polski komisarz plebiscytowy nie stał na wysokości trudnego zadania.

Skwapliwie zaczęli Niemcy organizować zwózkę emigrantów na teren górnośląski. W czasie drogi władze i społeczeństwo niemieckie urabiały swoiście ich nastroje, zaopatrując emigrantów w pieniądze, środki żywności, nie szczędząc wódki i piwa. Upojeni „serdecznością“ niemiecką, przesyceni propagandą, emigranci jechali na Śląsk dla zapewnienia zwycięstwa Niemcom. Ogromną większość wśród nich stanowili Niemcy, lub ludzie zniemczali, albo wreszcie obałamuceni propagandą niemiecką. Przybycie ich na Górny Śląsk podniosło ogromnie temperaturę nastrojów Niemców miejscowych: oto Rzesza stoi za nimi i przysyła im walny sukurs. Emigranci wpłynęli poważnie na wynik plebiscytu: przez swą liczebność (ponad 190.000 ludzi), oraz jako czynnik propagandy germańskiej.

W wyznaczonym przez Komisję Międzysojuszniczą dniu 20 marca 1921 r. odbył się plebiscyt na Górnym Śląsku, poprzedzony

gorączkową akcją agitacyjną obu stron. Teren plebiscytowy obejmował 19 powiatów w całości, 4 częściowo[1]); gmin w ogólności 1.475 (ogólny obszar — 13.230 km²). Głosów oddano ogółem 1.186.234 (97,2% uprawnionych). W ogólności za Polską oświadczyło się 479.414 głosujących, a więc 40,4%; za Niemcami 706.820 głosów, czyli 59,6%. Emigranci dostarczyli ogółem 192.408 głosów, z czego 182.288 padło za Niemcami. Należy zauważyć, że głosy emigrantów stanowiły 16,2% ogólnej liczby głosów, zaważyły tedy silnie na wyniku głosowania: oczywiście na korzyść Niemiec, bo za nimi opowiedziało się 94,7% emigrantów! Oceniając wynik głosowania według gmin, uzyskamy rezultat dla Polski korzystniejszy. 638 gmin (46,3%) głosowało za Polską, natomiast 792 gminy (53,7%) za Niemcami. Wyjaśnienie tego jest całkiem proste. Do terenu plebiscytowego włączono silnie zniemczone powiaty, jak głubczycki, czy prudnicki i kluczborski, gdzie stosunkowo niewielka liczba gmin dostarczała masy głosów za Niemcami. Warto dodać, że najlepsze rezultaty uzyskali Niemcy w miastach, ośrodkach niemczyzny (Opole, Racibórz, Katowice, Gliwice) oraz w powiatach rolniczych, zachodnich i północnych, gdzie uświadomienie narodowe polskie było najsłabsze (tam obfity plon swej pracy zbierali księża-germanizatorzy), gdzie również odsetek głosów emigrantów był najniższy. Jaką rolę odegrały w plebiscycie zniemczone ośrodki miejskie, widać najlepiej bodaj na przykładzie powiatu Zabrze (miasto głosowało łącznie z całym powiatem, nie stanowiąc jednostki wydzielonej): w powiecie Zabrze głosowało za Polską 75.0% gmin, natomiast w ogólności uzyskali Polacy ledwie 48,9% głosów. Widać stąd, że bardzo poważnej masy głosów dostarczyło Niemcom samo miasto Zabrze. — Stanowczą większość głosów za Polską oddano w powiatach: pszczyńskim, rybnickim, bytomskim-wiejskim, gliwicko-toszeckim (bez miasta Gliwic), katowickim-wiejskim (bez miasta Katowic) i strzeleckim. — Gdyby odliczyć głosy emigrantów, uzyskalibyśmy ogólny wynik: za Polską 47,3% głosów, za Niemcami 52,7% głosów — a więc ilości niemal że równe.

Taki wynik plebiscytu był rezultatem: 1. wiekowej akcji germanizacyjnej, 2. fatalnych decyzji państw koalicji, 3. bardzo niekorzystnych dla Polski warunków na samym terenie plebiscytowym, 4. poważnych błędów po stronie polskiej. Tym więcej trzeba

[1]) Częściowo włączone zostały do obszaru plebiscytowego powiaty: głubczycki, prudnicki, raciborski-wiejski i namysłowski, przydzielony przy głosowaniu do powiatu kluczborskiego.

cenić owych prawie pół miliona Polaków śląskich, którzy, niczym niezrażeni, głosowali przecież za połączeniem z Polską.

Dodajmy jeszcze jedną uwagę. Twórcy Traktatu Wersalskiego podkreślali wielokrotnie zasadę samostanowienia narodów i uważali za swój dorobek historyczny dążenie do wprowadzenia jej w życie. Formą realizacji tej zasady były m. i. plebiscyty. Wiadomo, w jakich przeprowadzono je warunkach; do tej kwestii niema potrzeby wracać. Chcemy jednak dodać, że samą zasadę samostanowienia narodów pojmowali mężowie stanu koalicji w sposób zaiste osobliwy. Opierano się na woli mieszkańców terytorium spornego, która stanowiła w najlepszym razie (o ile można by istotnie w sposób niesfałszowany prawdziwą wolę ludności ujawnić) wyraz stosunków narodowościowych na owym terytorium w danej chwili. Jakże to wyglądało na przykładzie górnośląskim? Ludność prastara ziemi śląskiej, ludność polska, była przez całe wieki wystawiona wskutek fatalnego układu stosunków politycznych na germanizację, której ostoją była napływowa ludność niemiecka, oraz zwierzchnictwo państwowe, znajdujące się od XIV wieku faktycznie, a następnie i formalnie w rękach niemieckich. Akcja germanizacyjna posługiwała się różnymi metodami, m. i. planową kolonizacją elementu niemieckiego, popartą w pełni przez władze państwowe, wreszcie terrorem i gwałtem. Odwieczna posiadaczka terytorium, ludność polska, stanowiła przez całe wieki przedmiot niesłychanego wyzysku i brutalnej przemocy: cud to prawdziwy, że w tych warunkach część jej przynajmniej zachowała polską mowę i obyczaj, że w dobie odrodzenia narodowego na Śląsku odzyskała w znacznej mierze swą świadomość narodową. Dzięki temu po wiekach ucisku germańskiego mogła się domagać sprawiedliwości, mogła przypomnieć o swoich prawach do ziemi macierzystej, żądać wyzwolenia spod wrażego jarzma śmiertelnych wrogów. A wreszcie, kiedy jutrzenka wolności zaświtała po klęsce niemieckiej w rezultacie wojny światowej, wysoki areopag koalicyjny orzekł, że o dalszych losach ziemi śląskiej mają decydować na równi ciemiężeni i ciemiężyciele, i to ci drudzy w nieskończenie lepszych warunkach, bo dysponując przeważnie dotychczasowym aparatem urzędowym, oraz wszystkimi stanowiskami — księdza, nauczyciela, pracodawcy itd. — które zapewniały im ogromną przewagę i umożliwiały dysponowanie wielorakimi środkami presji na ciemiężoną nadal (nawet pod bokiem koalicyjnych władz kontrolnych!) ludność polską. Tak pojęta zasada samostanowienia narodowego była niczym innym, jak sankcją wiekowej krzywdy,

ucisku i grabieży ludności polskiej. Koalicja brała przecież za podstawę istniejący w danym momencie układ stosunków narodowościowych. W istocie oznaczało to uznanie faktów dokonanych. Niemcy przekonali się z zadowoleniem, że opłaciła się wiekowa polityka grabieży i gwałtu na ludności słowiańskiej. Gdzie się im udało ludność słowiańską zupełnie wytępić, lub też kompletnie wynarodowić, taki kraj uważano przecież za ich bezsporną własność! Tam tylko istniały jeszcze jakieś wątpliwości, gdzie dzieła zniszczenia nie potrafili czy nie zdążyli doprowadzić do końca. Wyciągnęli z tego oczywiście właściwe wnioski. Na tych przesłankach opierała się w latach następnych polityka Niemiec wobec mniejszości narodowych na ich terytorium. Koalicja swą krótkowzrocznością i zaślepieniem dała sama Niemcom atuty w rękę, którymi posługiwali się naturalnie z całą skwapliwością. Na tymże podłożu hodowali nadal i rozwijali swe tendencje imperialistyczne, przygotowując nowe agresje. Niestety zbyt późno przekonali się wielcy politycy Europy Zachodniej, że popełnili fatalne błędy, nie umiejąc stworzyć prawdziwych podwalin pokoju i bezpieczeństwa w Europie. A droga ku temu wiodła jedynie poprzez zapewnienie pełnego triumfu sprawiedliwości dziejowej, naprawienie wiekowych krzywd, wyrządzonych przez zaborczość germańską narodom słowiańskim, odebranie Niemcom przynajmniej znaczniejszej części ziem, które w ciągu wieków zagrabili. Tego wówczas nie uczyniono: ciężkie zaniedbanie dziejowe pomściło się srodze, gdyż ściągnęło na ludy Europy nieszczęścia drugiej wojny światowej.

W tym oświetleniu łatwo zrozumiemy, że cały plebiscyt z r. 1921 był jednym wielkim nieporozumieniem. Można o nim mówić, jako o pewnym etapie stosunków polsko-niemieckich, etapie przejściowym, który stał się tylko zarodkiem nowych konfliktów.

Nie będziemy się zajmować już bliżej dalszymi przetargami politycznymi, które wynikły z plebiscytu śląskiego. Niemcy oczywiście okrzyczeli rezultat plebiscytu jako swój sukces, żądając pozostawienia całego obszaru plebiscytowego przy Rzeszy. Strona polska dowodziła, że w ówczesnych, niezmiernie ciężkich dla polskości warunkach, wynik plebiscytu należało właściwie ocenić i przynajmniej te powiaty przyłączyć do Polski, które wyraźnie manifestowały swą polskość, oraz te, które dla Polski są niezbędne gospodarczo (gdzie zresztą poważna część ludności, m. i. masa robotników miejscowych, głosowała za Polską). Wedle tzw. linii Korfantego rewindykowano dla Polski powiaty: pszczyński, rybnicki, części raciborskiego i kozielskiego (po prawym brzegu

Odry), południowo-wschodnią część opolskiego, strzelecki, część południową powiatu oleskiego, lubliniecki, gliwicko-toszecki, tarnogórski, zabrski, bytomski i katowicki. W ogólności stanowiło to 45% obszaru plebiscytowego, terytorium, na którym 74,3% gmin miało większość polską. W ten sposób Polska otrzymałaby cały okręg górniczo-przemysłowy. Projekt polski znalazł w Komisji Międzysojuszniczej uznanie przedstawiciela Francji, ale spotkał się ze stanowczym sprzeciwem Anglika i Włocha, którzy opowiedzieli się za przyznaniem przeważnej części okręgu górniczo-przemysłowego Niemcom. Reprezentant Anglii wysunął inną propozycję podziału obszaru plebiscytowego, przyznając Polsce zaledwie 25% terytorium; osobliwie wyglądała sprawiedliwość angielska, wedle której po stronie polskiej pozostało by tylko 76.000 Niemców, natomiast po stronie niemieckiej — 310.154 Polaków (mamy na myśli oczywiście tylko oddane przy plebiscycie głosy, a więc jedynie uprawnionych do głosowania — oczywiście ogólna liczba dusz polskich, przydzielonych Niemcom, byłaby znacznie większa). Włoch poparł stanowisko Anglika i koncepcja podziału terytorium wedle projektu Percival—De Marinis została przegłosowana w łonie Komisji Międzysojuszniczej — wbrew stanowisku Le Ronda. Wpływy niemieckie działały wszędzie, docierając do czynników decydujących państw koalicyjnych; dyplomacja polska nie umiała się im przeciwstawić skutecznie. Niemcy pogodzili się już z myślą, że obszar plebiscytowy będzie podzielony, i ubierali maskę rzekomej kompromisowości: liczyli bowiem, że linia Percival—De Marinis zyska aprobatę Rady Najwyższej, w wyniku czego 3/4 obszaru plebiscytowego, wraz z najważniejszymi gospodarczo ośrodkami, pozostanie przy Rzeszy. Wiele danych w polityce międzynarodowej przemawiało za tym, że projekt angielsko-włoski zostanie przyjęty przez Radę Najwyższą.

Na to nie mogli się zgodzić Polacy. W nocy z 2/3 maja wybuchło trzecie powstanie śląskie, na czele którego stanął płk. Maciej Mielżyński (pseudonim Nowina-Doliwa), mianowany przez Korfantego, jako „dyktatora". Celem powstania było opanowanie tzw. linii Korfantego i zamanifestowanie w ten sposób czynem zbrojnym woli narodu polskiego. Powstańcy mogli się poszczycić w pierwszych fazach swej akcji znacznymi sukcesami, wyrzucając Niemców na szerokim pasie poza Odrę[1]). Niestety w kierownictwie pol-

[1]) Nie udało się jednak powstańcom opanowanie na zajętym terenie miast, które trzymały mocno załogi koalicyjne. Dla ogólnej charakterystyki stosunków wypada zaznaczyć, iż wojska francuskie zajmowały wo-

skim panowała zasadnicza różnica zdań na temat roli, jaką miało odegrać powstanie. Jedni uważali powstanie wyłącznie za akt demonstracyjny, który miał skłonić koalicję do życzliwszego dla Polski załatwienia sprawy podziału Śląska Górnego, inni zaś byli zdania, że nie należy łudzić się żadnymi obiecankami i trzeba walczyć aż do zwycięstwa, tj. opanować i twardo trzymać w ręku terytorium postulowane przez Polskę. Różnica poglądów odbiła się znów fatalnie na sprawności i ciągłości akcji bojowej. Na domiar bałamuciły kierownictwo polskie przedwczesne wieści o pośrednictwie państw koalicyjnych i obłudne zapewnienia Niemców o gotowości zaprzestania walki i poddania się arbitrażowi[2]). Wyzyskując ogólne zamieszanie, a zwłaszcza osłabienie rozmachu akcji polskiej, przygotowali Niemcy kontrofensywę, przy pomocy wojsk „Reichswehry" z Rzeszy pod komendą gen. Hoefera i po ciężkich walkach opanowali szereg ważnych strategicznych pozycji (na linii góra św. Anny—Ujazd). Oddziały powstańcze polskie powstrzymały przecież napór niemiecki i niebawem przejęły znów w swe ręce inicjatywę działań wojennych. Akcja polska załamała się jednak z chwilą, gdy w dniu 28 maja Korfanty nakazał zaprzestanie działań, opierając się na zapewnieniu Komisji Międzysojuszniczej, że komenda niemiecka złożyła już podobne przyrzeczenie. Okazało się i tym razem, że Korfanty zbytnio wierzył w interwencję koalicji, a nie liczył się dostatecznie z całą obłudą niemiecką. Na jego rozkaz część oddziałów powstańczych istotnie zaniechała walki; tymczasem wojska niemieckie prowadziły nadal ataki, co w następstwie zmusiło i powstańców do wznowienia walki. Wśród ciągłej krzątaniny na wielkiej arenie dyplomatycznej i zabiegów politycz-

---

bec powstańców stanowisko (w miarę możności) bierne, a raczej nawet sympatyzowały z Polakami; natomiast wojska włoskie sprzyjały Niemcom i nawet próbowały zwalczać powstańców, narażając się zresztą w rezultacie na bardzo przykrą odprawę w Rybniku, gdzie w starciu straciły 30 zabitych, a 100 żołnierzy odniosło rany. Oddziały angielskie zostały już wcześniej wycofane z terenu plebiscytowego.

[2]) Korfanty zawarł dnia 9 maja układ ze Le Rondem, ustalający linię demarkacyjną między frontem polskim i niemieckim; pas środkowy miały zająć wojska koalicyjne i w ten sposób rozdzielić przeciwników. Układ przedstawiał dla strony polskiej poważne korzyści, gdyż pozostawiał w ręku Polaków zdobyte obszary, co mogło (w sprzyjających warunkach ogólnych) przesądzić kwestie przyznania ich Polsce. Ale, na skutek wytężonej akcji propagandy niemieckiej, Anglia i Włochy nie uznały układu, w następstwie czego Le Rond musiał wycofać się z poprzedniego stanowiska i uznać umowę za niebyłą.

uych obu stron, toczyły się walki aż do 11 czerwca: w dniu tym wojska koalicyjne obsadziły strefę neutralną między frontem polskim i niemieckim, rozdzielając strony walczące. Powstanie było faktycznie ukończone, choć układ o jego formalnej likwidacji podpisały z Komisją aliancką obie strony walczące dopiero w dniu 25 czerwca.

Zawód spotkał tych bojowników śląskich, którzy w sposób prosty, ale jakże wzruszający, formułowali swój program:

„Czyn powstał wielki! bo swą dłonią twardą
Zerwał odwieczny, krzyżacki kaganiec
I z dumnym czołem w boje poszedł hardo
Śląski powstaniec.

Krew da i życie, a gdy trzeba będzie
Bez wahań pójdzie na ostatni szaniec,
Wbrew dyplomatom zwycięstwo zdobędzie
Śląski Powstaniec".

A na gierki dyplomatów, podszyte grubo interesami międzynarodowego kapitału, odpowiadali z pogardą tymi słowy:

„O cześć Wam szachraje z Londynu,
Za strugi krwi śląskiej przelane.
My dzierżym karabin, nie boim się czynu
Wyzwolim swe Śląsko kochane!

My skomleć nie będziem o pomoc w Paryżu,
Ni błagać Lloyd Georgea w Londynie.
My poślem wymowną odpowiedź ze spiżu:
Śląsk Górny i Polska nie zginie!

My raczej kopalnie i huty lichwiarzy
Wysadzim w powietrze petardą,
Nim Prusak lub Anglik swym batem się waży
Naruszyć powstańca cześć hardą!"[1])

Goryczą przepojone musiały być i nadal serca tych, którzy gotowi byli bronić minimalnych żądań polskich, zawartych w projekcie tzw. linii Korfantego. Rząd polski liczył się jednak z przeróżnymi względami międzynarodowymi i ulegał naciskowi pote-

[1]) O związaniu momentów socjalnych z narodowymi w akcji powstańczej świadczy m. i. taki urywek z odezwy robotników-powstańców: „Uciemiężony i uciskany od wieków przez niemieckich kapitalistów, bankierów i junkrów, robotnik śląski chwycił za broń i nie da jej sobie wydrzeć nikomu, dopóki nie zdepcze międzynarodowych intryg, które ziemię śląską chciały sprzedać kapitalistom niemieckim".

żnych mocarstw. Niemniej trzecie powstanie śląskie odegrało poważną rolę w dziejach ówczesnej walki o Śląsk Górny. Zmusiło czynniki angielskie i włoskie do rewizji swego dotychczasowego stanowiska i uwzględnienia w szerszej mierze słusznych żądań Polski. W łonie Rady Najwyższej zgłoszony został nowy projekt podziałowy hr. Sforzy, znacznie korzystniejszy dla Polski. Rada Najwyższa uchyliła się jednak od decyzji ostatecznej, przekazując sprawę do rozstrzygnięcia Lidze Narodów. Po długich debatach, dopiero dnia 12 października 1921 r. Rada Ligi Narodów ogłosiła swą decyzję podziału obszaru plebiscytowego, opartą na ogół na projekcie włoskim Sforzy. Za podstawę podziału przyjęto dążenie, by możliwie najmniej Niemców pozostawić na terenie przyznanym Polsce, i jak najmniej Polaków na obszarze, który miał pozostać przy Rzeszy. W rezultacie przyznano Polsce około 30,5% całego terytorium plebiscytowego, (3.221 km²) oraz 41% mieszkańców (850.000 wedle spisu z r. 1910). Jeśli brać pod uwagę liczbę głosów, oddanych w plebiscycie, to Polska zyskała 68,7% swych głosów, tracąc na rzecz Niemiec 31,3%. Natomiast Niemcy zatrzymały na swym terytorium 78,8% swoich głosów, a straciły tylko 21,2%. Już te cyfry dostatecznie ilustrują, że w istocie rozstrzygnięcie nadal krzywdziło Polskę; pewnym ekwiwalentem za to miało być przyznanie Polsce poważnej części obszaru górniczo-przemysłowego.

19 października 1921 r. Rada Ambasadorów zatwierdziła rozstrzygnięcie Rady Ligi Narodów; decyzję przyjęła Polska, jak i Niemcy. Wreszcie, po wiekach, drobna część ziemi śląskiej wracała do Polski. Pod knutem germańskim pozostały setki tysięcy ludności polskiej, którą w latach następnych starali się hakatyści pospiesznie wynarodowić, albo wprost zniszczyć. Z takim stanem rzeczy nie mógł się naród polski na dłuższą metę pogodzić. Wersalskie granice i decyzje nie zapewniały Polsce warunków zdrowej egzystencji, jak też nie chroniły jej przed nową agresją niemiecką. Bo należy pamiętać, że Niemcy, mimo pozorów chwilowej układności, nigdy nie wyrzekli się ani piędzi ziemi polskiej, o ile raz ją mieli w swych szponach, a nawet chociażby jej w ogóle nie posiadali. Cała Polska — to dla nich był germański *Lebensraum*, którego opanowanie stanowiło jeden z zasadniczych punktów imperializmu niemieckiego. Niemcy podnosili tedy gwałt o Gdańsk, Katowice, mówili coraz głośniej o Poznaniu i Toruniu, — a myśleli też o Krakowie i Warszawie. Nieuchronna była dalsza walka z niemczyzną, walka na śmierć i życie, aż do ostatecznego roz-

strzygnięcia. Od niej zależały losy Polski, nie tylko państwa, ale i narodu polskiego. Kto tego nie widział i karmił się mrzonkami jakiegoś porozumienia polsko-niemieckiego na podstawie przypadkowego powersalskiego rozgraniczenia, służył źle sprawie polskiej. Na zupełnie błędne tory sprowadził politykę polską w szczególności Józef Piłsudski i rządząca od r. 1926 grupa sanacyjna, co przyprawiło państwo o katastrofę w r. 1939, jak też ściągnęło bezmiar nieszczęść na naród polski.

Rozdział XLI

BOLESNA SPRAWA

Jesienią roku 1918, m. w. równocześnie z klęską Niemiec, rozpadła się monarchia austro-węgierska, sojuszniczka Rzeszy w wojnie światowej. Narody, ujarzmione ongiś przez austriackich Niemców czy przez Węgrów, zrzuciły więzy poddańcze i pomyślały o stworzeniu sobie niepodległego bytu. Z krajów czeskich i słowackich powstała Republika Czechosłowacka; Polacy „galicyjscy" weszli oczywiście w skład odradzającego się Państwa Polskiego. Pozostała kwestia otwarta, co stanie się z cząstką Śląska, należącą dotąd do Austrii: nie chodziło oczywiście o Śląsk Opawski, bo ten bezspornie należał się Czechom, ale o Śląsk Cieszyński, do którego tak Czesi rościli sobie pretensje, opierając się na przesłankach głównie historycznych i gospodarczych, jak i Polska, która na pierwsze miejsce wysuwała swe prawa etniczne, wskazując na fakt istnienia tamże większości Polaków. W istocie spór należało załatwić bratnim porozumieniem dwóch narodów słowiańskich, mających wszystkie powody ku temu, by żyć ze sobą w zgodzie i wspólnie bronić się przed nową agresją germańską. Dobrą wróżbę na przyszłość stanowiła, jak się zdawało, umowa tymczasowa, zawarta w Polskiej Ostrawie w dniu 5 listopada 1918 r. między sprawującymi w danej chwili władzę na terytorium Cieszyńskiego: Radą Narodową polską (prezydium tworzyli: ks. Londzin, dr Michejda i Reger), a *Národnim Výborem pro Slezsko*. Wedle tej umowy powiaty cieszyński i bielski, jak też przeważna część frysztackiego miały pozostawać aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy pod zarządem polskim, a powiat frydecki i niektóre gminy powiatu frysztackiego pod zarządem czeskim. Taki podział terytorium odpowiadał m. w. stosunkom narodowościowym. Rządy polski i czeski umowę tę akceptowały, jako tymczasową. Dodajmy, że tę „tymczasowość" podkreślali

przede wszystkim Czesi, ponieważ po polskiej stronie pozostał Bogumin, Karwina, Trzyniec — ważne ośrodki komunikacyjne i gospodarcze. Dążąc do rewizji linii granicznej, liczyli na poparcie koalicji, przede wszystkim Francji, której mężowie stanu ulegli argumentacji Benesza i gotowi byli cały Śląsk Cieszyński (w granicach historycznych) przyznać Czechosłowacji[1]).

Ośmieleni sukcesami swej akcji na arenie dyplomatycznej, wyzyskując zarazem ówczesną słabość odradzającego się wśród licznych wstrząsów Państwa Polskiego, uciekli się do metod może często skutecznych, ale na pewno niezgodnych z duchem braterstwa słowiańskiego: chcieli stworzyć fakty dokonane w tej właśnie chwili, kiedy rozpoczynała obrady Konferencja Pokojowa w Paryżu. W dniu 23 stycznia 1919 r. wojska czeskie (przy udziale kilku oficerów koalicyjnych) uderzyły na polską część Śląska. Zaskoczone szczupłe oddziały polskie cofały się wśród walk, wstrzymując napór czeski dopiero na linii Wisły. Czesi przeciągnęli strunę, gdyż ich taktyka tworzenia faktów dokonanych wywołała niezadowolenie w opinii koalicyjnej. Główne czynniki polityczne koalicji naciskały na zaprzestanie działań wojennych. Tedy dnia 31 stycznia doszło do zawieszenia broni. W kilka dni później (3 lutego) podpisali przedstawiciele Polski (Dmowski) i Czech (Benesz) umowę w Paryżu, w której ustalono ogólnie podział tymczasowy Cieszyńskiego na część polską i czeską, oraz zgodzono się na pośrednictwo koalicji w sprawie zatargu. Niebawem zjechała do Cieszyna Komisja Międzysojusznicza i przy jej udziale przeprowadzono linię demarkacyjną, rozgraniczającą tymczasowo obszary zarządu wojskowego polskiego i czeskiego. M. i. Cieszyn, Frysztat i Jabłonków przychodziły w ręce polskie, natomiast Karwina, Bogumin i Trzyniec miały być obsadzone nadal przez Czechów. Pod koniec lutego wojska czeskie wycofały się z okupowanych w styczniu terytoriów na zachód od owej linii demarkacyjnej.

Sprawa cieszyńska stała się przedmiotem obrad Konferencji Pokojowej. Delegacje polska i czeska przedstawiły swe projekty rozgraniczenia Cieszyńskiego; Polacy żądali dla siebie w całości powiatu bielskiego, cieszyńskiego i frysztackiego, oraz dwu gmin z powiatu frydeckiego, co odpowiadało m. w. stosunkom etnicznym na tym terenie, — natomiast Czesi domagali się całego Śląska Cieszyńskiego, godząc się w ostateczności na odstąpienie

[1]) Odnośne przyrzeczenia złożyła Francja w umowie z Czeską Radą Narodową w Paryżu, 28. IX. 1918 r. (umowa Pichon—Benesz).

Polsce jedynie wschodniej połaci po Wisłę. O uzgodnieniu stanowiska przy tak wielkiej różnicy zdań było w istocie bardzo trudno. Rada Najwyższa nie umiała znaleźć w tej sytuacji właściwego wyjścia. Obfitość materiału argumentacyjnego, dostarczanego przez obie strony (np. mnóstwo memoriałów, składanych przez przybywające do Paryża delegacje polskie i czeskie, przesyłanych przez poszczególne gminy, stowarzyszenia itd.), powiększała jeszcze dezorientację mężów stanu koalicji. W początkach maja Rada Najwyższa postanowiła raz jeszcze oddać sprawę do uzgodnienia — obu poważnionym stronom. Pod koniec lipca zebrała się specjalna komisja polsko-czeska (przy udziale rzeczoznawców, m. i. uczonych) w Krakowie. Niestety wszelkie próby porozumienia rozbijały się o nieustępliwość Czechów, którzy wciąż upierali się przy swych „prawach historycznych" do całego Śląska Cieszyńskiego. Delegacja polska w Krakowie doszła w końcu do wniosku, że jedynym chyba rozwiązaniem sprawy byłoby przeprowadzenie na spornym terenie plebiscytu. Podobną opinię wyraziła również i Komisja aliancka w Cieszynie, która w międzyczasie zaprojektowała rozgraniczenie Śląska Cieszyńskiego (uwzględniając w znacznej mierze postulaty polskie) — co jednak nie znalazło oczywiście aprobaty u Czechów. W rezultacie Rada Najwyższa powzięła dnia 27 września 1919 r. decyzję zarządzenia plebiscytu na terytorium całego Śląska Cieszyńskiego, ustalając zarazem zakres władzy Komisji Międzysojuszniczej Plebiscytowej (specjalnie wyznaczonej).

Między decyzjami a ich wykonaniem upłynął znowuż spory kawał czasu, a tymczasem atmosfera niepewności wywierała nader ujemny wpływ na stosunki polsko-czeskie w Cieszyńskiem, zaostrzając wzajemne tarcia. Dopiero dnia 30 stycznia 1920 r. zjechała do Cieszyna Komisja Plebiscytowa, na czele której stał Francuz hr. de Manneville, wyraźnie (jak się niebawem okazało) przyjazny Czechom. Przybyły też na Śląsk oddziały wojsk koalicyjnych (francuskie i włoskie) dla utrzymania spokoju. Rozpoczęła się obustronna akcja plebiscytowa, prowadzona wśród rosnącego podniecenia ludności. Komisja aliancka w ogólności nie dopisała: decyzje jej krzywdziły przeważnie stronę polską. Kilkakrotnie dochodziło do pogromów ludności polskiej (na terenie okupacji czeskiej) przez bojówki czeskie, co uchodziło na ogół bezkarnie, gdyż władze alianckie zajmowały stanowisko wyraźnie stronnicze, sprzyjając Czechom. Na znak protestu górnicy polscy w Karwinie ogłosili (w maju 1920 r.) strajk, uchwalając, że nie roz-

poczną pracy, „dopóki nie zostanie usunięta żandarmeria czeska, Karwina nie zostanie przyłączona do administracji polskiej, a węgiel, wykopany w Karwinie, w całości nie pójdzie do Polski." Dopiero po 5 tygodniach strajk zażegnano, na skutek interwencji władz koalicyjnych, mimo że zasadnicze żądania górników nie zostały uwzględnione. Wszelako i nadal panował na obszarze plebiscytowym stan chaotyczny, którego władze Komisji alianckiej nie umiały lub nie chciały należycie opanować. Polacy uważali za winowajcę takiego stanu rzeczy samego przewodniczącego, Manneville'a. Wobec tego ze strony polskiej zaczęto sabotować przygotowania plebiscytowe Komisji: tak np. nie przedkładano list uprawnionych do głosowania. Ostateczny termin plebiscytu, ustalony na dzień 10 lipca 1920 r., stanął tedy pod znakiem zapytania.

Polacy zrazu z pełną wiarą oczekiwali na plebiscyt. W miarę jednak czasu dochodzili do przekonania, że ówczesne warunki na terenie plebiscytowym nie dają gwarancji czystości głosowania — wobec terroru czeskiego i stronniczości władz koalicyjnych. Raczej tedy skłonni byli Polacy poddać się jakiemuś arbitrażowi międzynarodowemu. Czesi znowuż, wyzyskując fatalną podówczas sytuację ogólną Polski (wskutek wojny polsko-rosyjskiej, spowodowanej awanturniczą polityką Piłsudskiego), uważali dany moment za szczególnie dla siebie korzystny i opowiadali się oficjalnie za natychmiastowym urządzeniem plebiscytu: mimo wszystko nie bardzo liczyli na pełny sukces w głosowaniu i główne swe zabiegi skoncentrowali na arenie międzynarodowej, starając się pozyskać dla siebie decydujące czynniki koalicyjne, w słusznym przewidywaniu, że najprawdobodobniej decyzja ostateczna zapadnie w Radzie Najwyższej. Polacy, kwestionując możliwość przeprowadzenia w istniejących warunkach sprawiedliwego plebiscytu, sprowadzali siłą rzeczy sprawę na forum decyzji wysokiego areopagu alianckiego — tylko że mieli teren o wiele gorzej przygotowany. W owej chwili, kiedy sama egzystencja państwa polskiego była pod znakiem zapytania, Czechosłowacja zaś była państwem o stosunkach na ogół unormowanych, — stanowiła Polska czynnik słabszy w polityce międzynarodowej. W rezultacie obie strony skłoniły się ku oddaniu sprawy spornej pod decyzję Rady Najwyższej: tylko, że Polska uczyniła to, znajdując się w sytuacji przymusowej, podczas gdy Czesi grali świadomie na wyzyskanie wszystkich możliwości i atutów na swą korzyść.

Na konferencji alianckiej w Spaa złożyły delegacje polska i czeska wspólną deklarację, w której godziły się na rozstrzygnięcie sporu przez Radę Najwyższą. Zgodziwszy się „wziąć na siebie odpowiedzialność" za załatwienie sprawy, Rada Najwyższa zleciła z kolei wydanie decyzji Radzie Ambasadorów czterech państw koalicyjnych (Francji, Anglii, Włoch i Japonii). Dnia 20 lipca 1920 r. Rada Ambasadorów wydała decyzję (nie wysłuchawszy opinii rzeczoznawców polskich), ustalającą granicę polsko-czechosłowacką, jaka odtąd obowiązywała do r. 1938. Wedle tej decyzji Czesi otrzymali drugie tyle terytoriów, ile przewidywała umowa polsko-czeska z 5 listopada 1918 r. przy nakreślaniu linii demarkacyjnej. W ogólności Polsce przypadło 43,8% całego terytorium Śląska Cieszyńskiego; w tej części mieszkało 61,1% Polaków, 1,4% Czechów, 31,3% Niemców. Czesi natomiast otrzymali 56,2% terytorium, gdzie mieszkało 48,6% Polaków, 39,9% Czechów, 11,3% Niemców. Całe zagłębie górniczo-przemysłowe (m. i. Karwina i Trzyniec) oraz węzeł bogumiński, a również i przemysłowa (zaolziańska) część miasta Cieszyna, przypadły Czechom.

Decyzję podpisali przedstawiciele czterech państw koalicji. Szybko złożył pod nią swój podpis Benesz, a po naradach uczyniła to również (ze względu na ciężką sytuację międzynarodową państwa) delegacja polska. Ignacy Paderewski przesłał jednak prezydentowi Francji deklarację, w której dał w słowach pełnych goryczy wyraz wielkiego zawodu, jakiego doznał rząd i naród polski. Stwierdzał Paderewski, że „decyzja Rady Ambasadorów wykopała pomiędzy dwoma narodami przepaść, której nic wypełnić nie zdoła". Jakkolwiek rząd polski przyjmie decyzję i dalej „szczerze pragnie wykonać całkowicie i lojalnie powzięte przez się zobowiązania, to jednak nigdy nie uda mu się przekonać narodu polskiego, że sprawiedliwości stało się zadość"!

Posypały się protesty, składane przez ludność polską Śląska. Dla formy musieli protestować i Czesi, gdyż nie osiągnęli swych maksymalnych żądań, tj. całości Cieszyńskiego, lub przynajmniej linii Wisły. Wedle głosu czeskiego „rozstrzygnięcie jest kompromisem i jako takie nigdy nie może zaspokoić żadnej strony. Po obu stronach powstała gorycz". W tym względzie mieli na pewno słuszność.

Po stronie czeskiej pozostały nie tylko ważne centra gospodarcze i komunikacyjne, ale — około 150.000 Polaków. Z tym się było istotnie trudno pogodzić opinii polskiej, zwłaszcza że polityka władz czeskich na Zaolziu nie zapewniała tamtejszym Polakom peł-

nej swobody życia narodowego (np. w dziedzinie kulturalno-oświatowej). Na domiar opinia polska nie mogła darować Czechom zbrojnego wystąpienia w r. 1919, a następnie wykorzystania ciężkiej sytuacji Polski w r. 1920. Niestety po obu stronach dochodziły zbyt często do głosu czynniki, które ujmowały sprawę radykalnie i nastrajały w taki sposób opinię, że w rezultacie wzajemne stosunki obu narodów i państw nie poprawiły się, lecz raczej pogorszyły. Spory między bratnimi narodami były tym bardziej bolesne, że właśnie nowe poczynania imperializmu niemieckiego wymagały szczególnej czujności i współpracy obu narodów słowiańskich. Co więcej, polityka niemiecka czyniła wszelkie wysiłki, by Polskę i Czechy jeszcze bardziej poróżnić i wygrywać ten atut dla własnych celów zaborczych. Pozorami przyjaźni powiodło się Niemcom złudzić polskie czynniki kierujące w dobie rządów sanacji. Minister polski Beck poprowadził nawet politykę polską na drogę wspólnej akcji z Niemcami, w chwili gdy Hitler gotował rozbiór Czechosłowacji. Wówczas to, równocześnie z akcją rozbiorową niemiecką, rząd sanacyjny postawił na ostrzu miecza sprawę Zaolzia i wymusił na Czechach odstąpienie posiadanej przez nich części Śląska Cieszyńskiego, po rzekę Ostrawicę. Można to było nazywać odwetem za zbrojny napad czeski w r. 1919. Ale zdrowa część opinii polskiej nie aprobowała podobnych metod — również i po stronie polskiej! Naród polski pragnął połączenia Polaków zaolziańskich z macierzą, ale nie przy użyciu takich metod, w szczególności nie drogą równoczesnej akcji z agresją niemiecką.

Rozdział XLII

TRIUMF SPRAWIEDLIWOŚCI DZIEJOWEJ

Dobiegamy kresu naszych rozważań. Nie zajmujemy się już ostatnim okresem dziejów Śląska, między pierwszą i drugą wojną światową, wychodząc z założenia, że naświetlenie ich szczegółowe — to sprawa na razie raczej polityka niż historyka, któremu nieraz trudno byłoby oprzeć swe wywody na podstawach naukowych, skoro materiał jeszcze w znacznej mierze niekompletny, często wprost niedostępny. Przeżywamy okres szczególnie burzliwy, okres kształtowania się wielkich procesów dziejowych, — które wreszcie przybierają wyraźniejsze kontury. Z ust polityków i historyków słyszy się nieraz zdanie, że właściwie należałoby mówić nie o dwu, ale o jednej wielkiej wojnie światowej, przedzielonej jedynie okresem tzw. międzywojennym. W zdaniu tym tkwi niewątpliwie bardzo wiele słuszności. Tak w r. 1914, jak i w r. 1939, agresja germańska stała się powodem wieloletnich zmagań wojennych, w których wiry wciągnięty został niemal cały świat. Niemcy zostały w r. 1918 pokonane, ale nie złamane. Od tej chwili imperializm niemiecki gotował się do odwetu nieustannie, i to w wydaniu najgorszym — hitlerowskim, budzącym wstręt całego świata cywilizowanego. Szereg poczynań hitleryzmu już przed wybuchem drugiej wojny winien był stanowić ostrzeżenie dla wszystkich państw i narodów Europy. A jednak większość ich przyglądała się makabrycznemu widowisku bezczynnie, pocieszając się w słabości ducha, że może przecież bestia hitlerowska się nasyci tą lub inną zdobyczą i pozostawi innych w spokoju. Ta niepojęta wprost inercja i krótkowzroczność pozwalała tzw. „Trzeciej Rzeszy" czynić bezkarnie zabory i gotować się do nowych skoków. Mścił się błąd pryncypialny twórców Traktatu Wersalskiego, że pozostawili w ręku Niemców większość atutów, które im pozwoliły w niedługim czasie podjąć na nowo politykę agresji. Ci sami zaślepieńcy z okresu wersalskiego i godni ich następcy nie pojmo-

wali nadal, co się w około nich dzieje. Aż wreszcie przyszło straszne otrzeźwienie, gdy w r. 1939 Hitler napadł najpierw na Polskę, a następnie odkrył swe istotne zamiary, dążąc do owładnięcia całą Europą, do objęcia w sferę wpływów niemieckich wielkich obszarów innych kontynentów, do narzucenia Europie i światu „pokoju niemieckiego" *(pax Germanica)*, to znaczy do zamiany większości innych narodów na niewolników i sługi w jarzmie „narodu panów" *(Herrenvolk)*. Dopiero wówczas szereg polityków i mężów stanu narodów demokratycznych przejrzało, i zrozumiało choć w części swe brzemienne w straszne skutki błędy. Przebieg drugiej wojny światowej stanowił dla wielu narodów Europy, które dotąd nie pojmowały całej grozy barbarzyństwa niemieckiego, lekcję poglądową (niestety okropną) — jak należy właściwie oceniać naród niemiecki: bo hitleryzm znalazł oparcie w całym narodzie niemieckim, wyzwolił wszystkie owe najgorsze instynkty, drzemiące na dnie zatrutej jadem duszy germańskiej. I trzeba było dopiero ofiar milionów ludzi, trzeba było ogromnego wysiłku narodów pokój miłujących, aby wreszcie zdusić bestię hitlerowską. Rok 1945 zakończył dopiero drugą wojnę światową, a raczej jedną Wielką Wojnę Światową, którą po jej pierwszym etapie w r. 1918 przerwano, nie dokończywszy dzieła złamania stosu pacierzowego imperializmowi germańskiemu: dokonano tego dopiero w r. 1945. Choć, bądźmy lepiej ostrożni. Niemcy doznały takiego pogromu, jak nigdy w dziejach, bo na własnej rdzennie germańskiej ziemi. Ale o dokonaniu dzieła w pełni będzie można mówić z całą pewnością dopiero wówczas, jeśli i to ostatnie, druzgocące zwycięstwo, zostanie w pełni wyzyskane.

Jednym z najciężej doświadczonych przez agresję germańską narodów był w dobie ostatnich zmagań wojennych naród polski: wśród ziem polskich najbardziej uciemiężoną i umęczoną była chyba ziemia śląska, bo na tym terenie furia germańska srożyła się również przez cały okres „międzywojenny", czego zdołała przez szereg lat uniknąć tylko ta część Polaków śląskich, która przeszła po roku 1921 pod rządy polskie: ale i ci Polacy śląscy musieli w okresie drugiej wojny przejść całą gehennę okupacji niemieckiej. Ogromu ofiar trudno dziś nawet się doliczyć. Ale kto żyw, dożył wspaniałej chwili. Dożył zniszczenia „Trzeciej Rzeszy" w r. 1945, dożył momentu, kiedy stolica ducha pruskiego — Berlin został zdobyty przez zwycięską Armię Czerwoną przy udziale wojsk polskich, kiedy sztandar z Orłem Białym załopotał triumfalnie na gruzach

Berlina; kiedy całe terytorium Niemiec zostało zdobyte przez zwycięskie armie: rosyjską, angielską, amerykańską, francuską i — polską.

Wybiła wówczas dla Śląska i dla Polski wielka godzina dziejowa. Cały naród polski święci dziś powrót Śląska do Polski. Granica polska biegnie dziś tam, gdzie biegła przed wiekami, w czasach piastowskich — nad Odrą i Nysą łużycką: poprzez tę rzekę naród polski podaje rękę bratniemu narodowi łużyckiemu, wzywa go do samodzielnego życia, do wyzwolenia się spod jarzma germańskiego. Co prawda czeka jeszcze na ostateczne wyjaśnienie sprawa Śląska Cieszyńskiego; spodziewamy się przecież i wierzymy mocno, że po wieloletnich sporach o tę ziemię dojdzie niebawem do bratniego porozumienia obu narodów słowiańskich, które dzisiaj, w wyższym stopniu niż kiedykolwiek, winny czuwać wspólnie nad tym, by nie odrodziła się hydra germańska.

Problem dziejów Śląska, to przede wszystkim problem 1000-letnich zmagań polsko-niemieckich. Dziś przeżywamy jego rozwiązanie w jedynie słusznej płaszczyźnie — odrobienia naszych zaniedbań dziejowych, pomszczenia krzywd wiekowych, jakie żywioł germański wyrządził polskości. Zaciągamy dzisiaj straż nad Odrą i Nysą łużycką z mocną wolą utrzymania na zawsze w polskim ręku tej prastarej ziemi piastowskiej, z niezłomnym postanowieniem obrony jej do ostatniej kropli krwi polskiej przed ewentualną nową agresją germańską. Przyszedł czas na wielkie, zasadnicze rozstrzygnięcia dziejowe. Granica polsko-niemiecka musi być dzisiaj również linią graniczną żywiołu polskiego i niemieckiego. Znika już stopniowo i zniknie zupełnie z całej ziemi śląskiej nalot niemiecki; po wszystkich doświadczeniach dziejowych, jakże smutnych, Polska nie ścierpi u siebie mniejszości narodowej niemieckiej, która wcześniej czy później stałaby się tylko ośrodkiem irredenty i zatrutym zielskiem fermentu. Na ziemi śląskiej odrodzi się i zakwitnie znowu wspaniale polskość. A wówczas Śląsk spełniać będzie w Nowej Polsce, która wróciła na swe prastare ziemie piastowskie, podobną rolę, jaką spełniał w zaraniu dziejów Polski: rolę bastionu, o który, jak ongiś za Chrobrego i Krzywoustego, rozbiją się wszelkie zakusy germańskiej agresji.

KONIEC

316.
AKADEMIA SZTABU GENERALNEGO
BIBLIOTEKA

SKOROWIDZ OSÓB

Adam Wacław, ks. cieszyński 196, 202
Agnieszka, ż. Bolka II świdnickiego 93
Agnieszka, ż. Władysława Wygnańca 20
Albert, arcybiskup magdeburski 34
Albrecht bawarski 121
Albrecht Habsburg, cesarz 69
Albrecht Habsburg, król czeski, cesarz 118—120, 127
Albrecht Hohenzollern-Ansbach 154, 175
Aleksander Jagiellończyk 145
Aleksander I, car Rosji 281, 282, 290
d'Alerac, pamiętnikarz 235
Ambrosius Marek, heraldyk 168
Anna, ż. Henryka Pobożnego 45
Anna, ż. Henryka VI 75
Anna, ż. Karola IV 92, 93
Anna z Habsburgów, ż. Zygmunta III 209, 217
Andegawenowie 85, 97, 98
Andrzej z Dubu, kandydat czeski na bp. wrocł. 96
Asenheimer Leonard, wódz najemn. niem. 122
Askańczycy 69
Auerspergowie 240
August II, król polski 238, 241
August III, król polski 238, 248, 251, 256

Baildon, inżynier szkocki 277
Bajdar, wódz tatarski 40
Ballestrem, działacz niemiecki 361
Baltazar, ks. żagański 132
Baltazar, biskup wrocławski, p. Promnic
Bandtkie Jerzy Samuel 157, 295—299, 301, 303, 372
Banner, gen. szwedzki 209

Bartłomiej, ks. ziębicki 152
Batuchan 40, 42
Beck Józef, minister polski 420
Beheim, pisarz niemiecki 267, 268
Benda, radca pruski 302, 303
Benedykt XII, papież 89
Benesz Edward, polityk czeski 389, 416, 419
Bernard, ks. świdnicki 78
Bernard Ludwik, prof. berliński 373, 375
Bertram, bp. wrocławski 401, 402
Bethlen Gabor, ks. siedmiogr. 186, 202, 203
Bibran, urzędnik cesarski 205
Biedermann Marcin, wydawca poznański 358, 359
Biernacka Benedykta, mniszka 226
Biniszkiewicz Józef, komisarz pleb. pol. 403
Bismarck Otto, kanclerz niem. 319, 320, 326, 329—332, 338, 342, 346—348, 392
Bock Jerzy, pastor polski 222
Bogacz, urzędnik górniczy 277
Bogedain Bernard ks., radca szkolny 323—326, 329—331, 333
Bolesław, s. Henryka Grubego, ks. brzesko-legnicki 69—72, 75, 77, 90
Bolesław, ks. niemodliński 71
Bolesław, ks. oleśnicki 72
Bolesław, ks. płocki 61, 62
Bolesław Chrobry, król polski 13—16, 25, 56, 108, 423
Bolesław Kędzierzawy, ks. polski 20, 21
Bolesław Krzywousty, ks. polski 16—19, 22, 30, 423
Bolesław Łysy-Rogatka, ks. wrocławski i legnicki 45—49, 51—56, 60, 65
Bolesław Szczodry, ks. polski 15, 16, 56
Bolesław Wstydliwy, ks. krakowski 37, 51, 52, 54
Bolesław Wysoki, ks. śląski 21—29
Bolko, ks. jaworski 66, 67, 70
Bolko, ks. opolski 61, 67, 68, 70
Bolko II, ks. opolski 71
Bolko V, ks. opolski 111, 126
Bolko II, ks. świdnicki 78, 79, 83, 90—94
Bolko II, ks. ziębicki 82, 83
Bona Sforza, królowa polska 148, 179, 185
Bonczyk Norbert ks., pisarz polski 328, 342, 343, 345
Bonifacy VIII, papież 67
Brandys Paweł ks., działacz pol. 364, 365
Brzetysław I, ks. czeski 14

Brzetysław II, ks. czeski 16
Brzozowski o., reformat krakowski 312
Bujak Jan, działacz polski 379
Bujakowska 161
Buzek J., uczony polski 381
Bülow, kanclerz niemiecki 365
Bystroń J., uczony polski 381
Bzowski Abraham o., dominikanin 59

Cambon Juliusz, polityk francuski 395
Carmer, minister pruski 273
Cecylia Renata, królowa polska 217
Chłapowski Franciszek dr, działacz pol. 351
Chociszewski Józef, literat 335, 336
Chrystian IV, król duński 203
Chrystian, ks. wołowski 230, 231
Cieńciała Andrzej dr, działacz pol. 379, 380, 382
Clemenceau Jerzy, premier franc. 394
Corvinus Wawrzyniec, humanista śl. 167
Cybulski Wojciech, uczony polski 329
Czajkowski Paweł, uczony krakowski 297
Czesław św. 58

Damrot Konstanty ks., pisarz polski 328, 329, 343—345
Danielewski Ignacy, redaktor 335
Daszyński Ignacy, polityk pol. 354, 361
Dąbrowski Jan Henryk, wódz pol. 282
Deloch, działacz centrowy 355
Dieppenbrock Melchior, bp. wrocł. 320
Dietrichstein, kardynał 193
Długosz Jan, historyk pol. 134, 135, 168
Dmowski Roman, polityk polski 363, 394, 395, 416
Dobracki Maciej, pisarz pol. 230
Dohna, urzędnik cesarski 205
Donnersmarck p. Henckel
Donnersmarckowie 202, 204, 277, 278, 287, 311
Dorota Sybilla, ż. Jana Chrystiana brzeskiego 162
Dupont Filip, pamiętnikarz 235

Eckert Jan, redaktor 355, 359
Elżbieta, carowa 258
Elżbieta Luksemb. 118—123, 127

Elżbieta Habsb., ż. Kazimierza Jagiell. 127, 129
Elżbieta, ż. Ludwika III brzeskiego 122, 123
Elżbieta Lukrecja, ks. cieszyńska 202, 204, 222
Engel Robert ks. 352
Enghien, ks. francuski 219
Ernest, ks. weimarski 203, 204

Falk, minister pruski 326
Ferdynand I, król czeski, cesarz 174, 177—186
Ferdynand II, król czeski, cesarz 193—197, 201—203, 206, 207, 209, 224
Ferdynand III, król czeski, cesarz 209, 211, 217
Ficek ks., działacz polski 312, 316, 342
Fiedler Robert, pastor z Międzyborza 326, 327
Foerster Henryk, bp. wrocławski 346
Fontana z Smogorzewa (Żmigrodu), uczony 167
Franciszek Ludwik neuburski, bp. wrocł. 241
Franciszek Stefan lotaryński (następnie Franciszek I jako cesarz) 240, 248
Frank ks., działacz centrowy 355
Friedlein, księgarz krakowski 379
Fryderyk Jagiellończyk, kardynał 145
Fryderyk I (Rudobrody), cesarz 20, 21
Fryderyk II, cesarz 39—41
Fryderyk III, cesarz 121, 127, 128
Fryderyk II, król pruski 216, 245, 247—276, 279, 281, 292
Fryderyk I, elektor brandenburski 122
Fryderyk, elektor Palatynatu, król czeski 197, 203
Fryderyk, ks. cieszyński 149
Fryderyk I, ks. legnicki 136
Fryderyk II, ks. legnicki 143, 153, 154, 173, 177, 181, 189
Fryderyk Wilhelm, ks. cieszyński 196, 202
Fryderyk Wilhelm II, król pruski 275, 281
Fryderyk Wilhelm III, król pruski 281, 282
Fryderyk Wilhelm IV, król pruski 313, 314, 320, 331, 337

Galhard, nuncjusz papieski 84, 87—89
Gall-Anonim, kronikarz 17
Gawroński, bp. krakowski 288
Gdacjusz Adam, pastor polski 222,
Gelsmarówna 163
Gerstmann Marcin, bp. wrocławski 167, 189, 191, 199
Gessler, ziemianin niemiecki 265
Giesche Jerzy, założyciel kopalni 277

Głogowczycy, synowie Henryka głog. 69—72
Głowacki ks., centrowiec 365
Goltz, gen. cesarski 210
Gorzołka, rolnik śląski 315, 319
Götzen, oficer pruski 284
Grabski Stanisław, polityk polski 354
Grodecki Wacław, kartograf 168
Grünhagen, historyk niemiecki 156
Gryfina, ż. Leszka Czarnego 62
Gustaw Adolf, król szwedzki 206, 207

Haase, pastor-polakożerca 384
Habsburgowie 62, 68, 78, 98, 123, 154, 155, 165, 168—170, 179—181, 183—186, 188, 192, 194, 195, 197—200, 202, 203, 208, 209, 211, 214, 217—220, 223—225, 229, 231, 233, 240, 244, 245, 255, 259, 276, 381, 383
Hammerstein, minister pruski 366
Hansemann, twórca „hakaty" 347
Hardeggowie 143, 153
Hardenberg, minister pruski 285
Henckel-Donnersmarck, rodzina magnacka niem. 277, 278, 347
Heneczek Karol, redaktor 335, 336
Henryk II, cesarz 13
Henryk III, cesarz 14
Henryk V, cesarz 16, 17
Henryk I wrocł., Brodaty 29—39, 43, 46, 48, 70, 296
Henryk II wrocł., Pobożny 37, 39—46, 48, 70
Henryk III wrocł., 46, 47, 51
Henryk IV wrocł., Probus 51—66
Henryk V wrocł., Gruby 65, 66—68, 70
Henryk VI wrocł. 70, 72, 73, 75—77, 79, 82, 97
Henryk, ks. głogowski 53, 54, 61, 65—67, 69, 71
Henryk XI głogowski 136
Henryk jaworski 83, 91
Henryk IX legnicki 189
Henryk, ks. ziębicki 143
Henryk, ks. żagańsko-głogowski 77, 78, 94
Henryk z Wierzbna, bp. wrocł. 75, 76
Henryk Valois, król polski 188
Hess Jan, predykant 173
Hieronim Bonaparte 282, 284
Hieronim z Krety, nuncjusz papieski 131

Hieronim z Pragi 102
Hinek (Hynek) z Dubu, starosta głogowski 79
Hitler Adolf 258, 420, 422
Hoefer, gen. niemiecki 411
Hohenlohe ks., rodzina magnacka niem. 277, 278, 311, 347
Hohensztaufowie 31, 52
Hohenzollernowie 105, 122, 140, 153, 162, 163, 174, 181—183, 187, 192, 193 202, 231, 232, 243—245, 247, 249, 256, 259, 284, 317
Hohenzollern-Ansbach 153, 181, 192
Hörsing, komisarz niemiecki 392, 393, 399
Hoym, minister pruski 267, 273, 274
Huene v., działacz centrowy niem. 355
Hunterówna 163
Hus Jan 102, 103, 131, 166, 171, 172
Hynek z Holsztynu, poseł czeski 107
Hynko (Hynek) Kruszyna z Lichnic 122

Izabela, ż. Jana Zápolyi 185

Jabłonowski Stan., hetman w. kor. 234, 235
Jacek św. 58
Jadwiga św., ż. Henryka Brodatego 31, 32, 225
Jadwiga, królowa polska 166
Jadwiga, córka Henryka żagańsko-głog. 94
Jadwiga Elżbieta, ż. Jakuba Sobieskiego 237, 238
Jagiellonowie 120, 127, 132, 137, 148, 155, 188, 198
Jakub v. Salza, bp. wrocławski 172, 173
Jakub Sobieski, p. Sobieski
Jakub ze Skaryszewa, kanonik wrocł. 50
Jan Chrystian, ks. brzeski 192, 196, 197, 202, 206, 207, 214
Jan Chrzciciel św. 12
Jan Jerzy, elektor saski 201, 202
Jan Jerzy Hohenzollern 192, 193, 197, 201, 207
Jan Kapistran 128
Jan Kazimierz, król polski 218, 219
Jan Korwin Hunyady 140, 143, 144
Jan Luksemburski, król czeski 71, 73—79, 81, 82—91, 101
Jan Olbracht, królewicz polski 144, 145, 148, 154
Jan IV Roth, bp. wrocławski 142, 148, 149, 151, 158, 164, 199
Jan III Sobieski, król polski 232—237, 284, 345
Jan V, bp. wrocł., p. Turzo
Jan VI, bp. wrocł., p. Sitsch

Jan, ks. opolski 150, 152—154, 161, 163, 173, 174, 184, 185, 214
Jan, ks. oświęcimski 75
Jan, ks. ścinawski 77, 78
Jan, ks. żagańsko-głogowski 140
Jan z Głogowa, uczony 167
Jan z Pernsztyna 173
Janicki Klemens, poeta 168
Jankowski ks., działacz polski 365
Janusz Antoni ks., działacz polski 383
Janusz, ks. zatorski 145
Jarosław, bp. wrocławski 29
Jaroński Feliks, uczony krakowski 297
Jemiołowska Anna, mniszka 225
Jerin Andrzej, bp. wrocławski 193
Jerzy II, ks. brzeski 192
Jerzy III, ks. brzeski 230
Jerzy Hohenzollern-Ansbach 153, 154, 173, 174, 181, 185
Jerzy z Podiebradu, król czeski 121, 123, 127—137, 172
Jerzy Fryderyk Hohenzollern-Ansbach 192
Jerzy Rudolf, ks. legnicko-wołowski 192, 202, 206, 214, 230
Jerzy Wilhelm, elektor brandenb. 207
Jerzy Wilhelm, ks. brzesko-legnicki 231, 232
Joachim II, elektor brandenb. 181
Joachim Fryderyk, ks. brzesko-legnicki 192
Józef I, cesarz 241, 242, 248
Józef II, cesarz 377, 378

Kaidu, wódz tatarski 41
Kalwin Jan 175
Kamińska 163
Kapica Jan ks., centrowiec 363, 364
Kara Mustafa, wezyr turecki 233
Karnkowski Jan, namiestnik Jana Olbrachta 144, 145
Karol Anjou, król węgierski 74, 85
Karol IV, cesarz, król czeski 82, 89—96, 101, 166
Karol V, cesarz 179, 182, 184
Karol VI, cesarz 226, 243, 247, 248
Karol XII, król szwedzki 241, 242
Karol Habsburg, bp. wrocławski 194—196, 199, 200, 203
Karol, ks. lotaryński 235
Karol II, ks. oleśnicki 193, 196

Karol, ks. ziębicko-oleśnicki 173, 177
Karol Albrecht bawarski (cesarz Karol VII) 248, 252
Karol Ferdynand, bp. wrocławski 200, 203, 218, 223, 224
Karol Fryderyk, ks. oleśnicki 206
Karolina, c. Chrystiana wołowskiego 231
Kasper, bp. wrocł., p. Logau
Kasprowicz Jan, poeta 351
Katarzyna, carowa Rosji 258
Kazimierz Jagiellończyk, król polski 118, 119, 126, 127, 129—139, 144, 145, 148, 154
Kazimierz, ks. bytomski 62, 63, 67, 70, 75
Kazimierz, ks. cieszyński 75
Kazimierz, ks. cieszyński (wiek XV) 144, 146, 149, 151—153, 163, 173
Kazimierz, ks. opolsko-raciborski 35
Kazimierz Odnowiciel, ks. polski 14, 15
Kazimierz Sprawiedliwy, ks. polski 22—24, 30
Kazimierz Wielki, król polski 81—95, 166
Kennemann, twórca „hakaty" 347
Klucki Ludwik, burmistrz cieszyński 380
Kluszyńska Dorota, socjalistka polska 385
Kolda Jan z Żampachu 122
Kolowrat Wojciech, kanclerz czeski 149
Kołłątaj Hugo, pisarz polski 288, 289, 298, 299
Konrad III, cesarz 20
Konrad Biały oleśnicki 105, 113, 122, 123
Konrad Biały oleśnicki (młodszy) 143
Konrad, s. Henryka Brodatego 32
Konrad, ks. głogowski 46, 47, 51—53, 56
Konrad, ks. kącki (na Kątach) 105, 113
Konrad, ks. mazowiecki 36, 37
Konrad, ks. namysłowski i oleśnicki 72, 77, 90
Konrad, (oleśnicki), bp. wrocławski 105, 109, 111, 118, 120—123, 129, 164, 199
Konrad II, ks. oleśnicki i kozielski 97
Konrad, ks. żagański 66
Konrad, margrabia łużycki 34
Konstancja, ż. Przemka głogowskiego 78, 79
Konstancja Habsb., ż. Zygmunta III 209, 217
Kopernik Mikołaj 167
Kopidlańska Zuzanna, mniszka 226
Kopp Jerzy, bp. wrocławski 349, 353, 361, 363, 364, 367
Koraszewski Bronisław, redaktor 353, 355, 356

Korfanty Wojciech 358—365, 368—371, 391—393, 399—406, 409—412
Koser R., historyk niemiecki 270
Kosicki Karol, ziemianin śląski 313, 316, 317, 322
Kosmas, kronikarz czeski 15
Kościuszko Tadeusz 279
Kotula Andrzej, działacz polski 380
Kowalczyk Jan, redaktor 358, 359, 360—362
Kożdoń, renegat 384
Köchritz Faber Franc., poeta śląski 147
Kramarz Karol, polityk czeski 389
Krasa Jan, kupiec praski 106
Krüger Daniel, kanonik wrocławski 302
Krzysztof Czarny (v. Reisewitz) 152
Kuffner, polityk czeski 389
Kuhnert, drukarz w Olesnie 316
Kulawski Walenty, uczony krakowski 297
Kunicki Ryszard, dr, socjalista polski 385
Kunegunda, ż. Bernarda świdnickiego 78
Kurzbachowie 153

Larisch hr., magnat śląski 383
Laubert, historyk niemiecki 303, 304, 322
Laudon, gen. austriacki 258
Leopold I, cesarz 229, 232, 235
Leopold Wilhelm Habsb., bp. wrocł. 227
Le Rond, pełnomocnik Francji 395, 398, 401, 410, 411
Leszek Biały, ks. krakowski 24, 30, 35, 36
Leszek Czarny, ks. krakowski 61, 62
Leszek, ks. raciborski 75, 83
Letocha, działacz centrowy 361
Lichtenstein Karol, gen. cesarski 202, 205
Lichtensteinowie 202, 204, 240
Ligoń Juliusz, działacz polski 344, 345, 351, 353
Lloyd George, premier W. Brytanii 394—400, 412
Lobkowitzowie 240
Logau Kasper, bp. wrocławski 191
Lompa Józef, działacz polski 301—307, 309, 315—317, 319, 322, 324, 325, 342
Londzin Józef ks., działacz polski 385, 389, 415
Lubomirski Jerzy, rokoszanin 219
Luck v. Maria, mniszka 225
Ludwik bawarski, cesarz 71, 82, 90, 91

Ludwik, król polski i węgierski 95, 97
Ludwik Jagiellończyk, król czeski i węg. 148, 153—155, 172, 173, 179
Ludwik I, ks. brzeski 96, 97
Ludwik II, ks. brzeski 105, 122
Ludwik, ks. legnicki 230
Ludwik, landgraf Turyngii 34
Ludwik, opat z Lubiąża 226
Ludwika z Anhaltu, ż. Chrystiana wołowsk. 231, 232
Ludwika Maria, królowa polska 217—219
Luksemburgowie 83—85, 90—95, 97—99, 101, 115, 120, 121, 123, 128, 165
Luter Marcin 170—173, 176

Łepkowski Józef, uczony krakowski 298, 316, 317, 322
Łubiński Czesław, p. Damrot

Maciej, cesarz 194—197
Maciej Korwin Hunyady, król węgierski 129, 135—142, 148, 150, 165, 180
Maćkowski Jan Karol, redaktor 352, 354, 355
Maksymilian, arcyks. austr. 188
Maksymilian I, cesarz 154, 155
Maksymilian II, cesarz 186, 191
Maksymilian, ks. bawarski 201
Malinowski Lucjan, uczony polski 341, 381
Manneville de hr., komisarz plebiscyt. 417, 418
Mansfeld, wódz protest. niem. 203, 204
Maria Karolina Sobieska, księżna de Bouillon 238
Maria Kazimiera Sobieska, królowa pol. 234, 236, 237
Maria Teresa, cesarzowa 248—254, 256—259, 377
Marinis de, pełnomocnik włoski 401, 410
Masaryk Tomasz G., polityk czeski 389
Mecherzyński Karol, uczony krakowski 297
Menz, pisarz niemiecki 321
Miarka Karol, redaktor 305, 325, 333—340, 342, 344, 345, 350, 351
Michał z Wrocławia, uczony śląski 167
Michalski ks., dziekan mysłowicki 353
Michejda Jan dr, działacz polski 385, 389, 415
Mieczysław Płątonogi, ks. racib.-opolski 22—24, 26, 29, 35
Mielęcki, inżynier górniczy 278
Mielęcki dr, działacz polski 405
Mielżyński Maciej, płk. polski 410
Mierosławski Ludwik, działacz polski 310

Mierowski, działacz polski 316, 317
Mieszko I, ks. polski 10, 12
Mieszko II, król polski 14, 15
Mieszko III Stary, ks. polski 22—24, 30
Mieszko, ks. cieszyński 67
Mieszko, ks. opolski 40
Mieszko, ks. raciborski 60
Mikołaj z Bancz, kanonik wrocławski 75, 77, 87—89
Mikołaj, ks. opawski 83, 84, 91
Mikołaj I, ks. opolski 132,
Mikołaj II, ks. opolski 150—152, 163
Mildner, rolnik śląski 315
Mohaupt, kronikarz śląski 239
Mollensdorfowie, mieszczanie wrocł. 75
Morawski, socjalista polski 361
Morley Headlam, delegat angielski 397
Mościc, pan na Orlu, poseł polski 120
Möller, minister pruski 366
Mułkowski Adolf, uczony krakowski 297
Müller ks., poseł do parlamentu 337
Muthmann Jan, pastor 223

Nanker, biskup wrocławski 76, 77, 84, 87—89
Napieralski Adam, redaktor 350—356, 358—365, 368—371, 391, 402
Napoleon Bonaparte 280—285, 289, 290
Nehring Władysław, profesor wrocł. 329
Neipperg, gen. austr. 250
Nerlich ks., działacz centrowy 354
Niemcewicz Julian Ursyn, pisarz pol. 299, 303
Nimrod Sylwiusz, magnat niemiecki 162, 221
Nitsch Karol, uczony polski 381

Odo, ks. wielkopolski 22
Ofka, c. Wacława IV 108
Oleśnicki Zbigniew, biskup brakowski 108—113, 118—121, 123, 124, 126, 127
Opolski Mateusz ks., działacz polski 379
Oppersdorff Fryderyk, gen. cesarski 202
Oppersdorff Jerzy, magnat śląski 205
Oppersdorff J. Euzebiusz, magnat śląski 234
Oppersdorffowie 202, 204, 228
Otto, margrabia brandenb. 53, 54

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

Paderewski Ignacy 419
Paweł II, papież 131, 136
Paweł z Przemankowa, bp. krakowski 61, 67
Percival, pełnomocnik angielski 401, 410
Piątkowski Kazimierz, działacz pol. 385
Pichon, polityk francuski 416
Piesek Mikołaj, namiestnik Zygmunta 146
Piłsudski Józef 414, 418
Piotr II, bp. wrocławski 129
Piotr III, car 258
Piotr z Alverni, nuncjusz papieski 76
Piotr Polak, husyta polski 112
Pistorius Szymon, arianin 178
Pius II, papież 130, 131
Podiebradowicze 137, 140, 143, 149, 152, 153, 173, 192
Pohle, pastor śląski 272, 275, 276, 293, 294
Poniatowski Józef 290
Posadowski Jan, starosta opolsko-racib. 174
Pośpiech Paweł ks., redaktor 371, 372
Promnic Baltazar, bp. wrocławski 181, 182, 191
Promnicowie 153, 193, 204
Przecław z Pogorzeli, bp. wrocł. 89, 90, 94, 96
Przemko, ks. cieszyński 97
Przemko, ks. głogowski 78, 79
Przemko, ks. szprotawski 61
Przemko, wójt poznański 70
Przemysł I, ks. wielkopolski 46
Przemysł II, ks. wielkopolski 53, 54, 61, 63, 67, 69, 72
Przemyśl II Otakar, król czeski 50—55, 62
Przemyślidzi 62, 69, 70, 74, 81, 95, 110, 149, 153
Przybyszewski Stanisław, pisarz 354
Przyniczyński Franc. ks., redaktor 338, 339, 345, 352, 353
Przyniczyński, brat księdza, redaktor 352
Przyszowska 163
Puchała Dobiesław, husyta polski 112
Purkop ks., wydawca 335
Purkynie, prof. uniwers. wrocł. 328

Raabe, p. Corvinus
Radwański, działacz polski 355
Radziejewski Stan. ks., redaktor 338, 339, 350

Rauthenowa 163
Reden, inżynier górniczy 277, 278
Reger Tadeusz, socjalista polski 385, 389, 415
Reisewitz v., p. Krzysztof Czarny
Richelieu, kardynał 208
Richter J. S., pastor pszczyński 293, 294, 303
Rieger Franc., polityk czeski 381
Robota Filip, nauczyciel polski 355
Roeppel Ryszard, historyk niem. 329
Rostek Józef dr, działacz polski 350—356, 359, 376
Rożmberk Henryk, gubernator śląski 129
Rożmberk Jodok, bp. wrocławski 129, 131
Rudolf I, cesarz 52—55, 57
Rudolf II, cesarz 186, 191—196, 225
Rudolf, nuncjusz papieski 135
Rybarz Edward, redaktor 371
Rymer Józef, komisarz pleb. pol. 403
Rytwiański Jan, wódz polski 138

Schaffgotsch Filip Gothard, bp. wrocł. 254
Schaffgotsch Jan Antoni, dyrektor Oberamtu 241, 250
Schemmel Krystian, nauczyciel pszczyński 316
Schlabrendorf, minister pruski 260, 264, 265, 267, 273
Schlichting Jan Jerzy, szlachcic polski 213
Schoneus Andrzej, profesor krakowski 167
Schroeter Adam, poeta 168
Schummel, profesor wrocławski 261, 265, 269, 270, 272, 275, 276, 293—295
Schwenkfeld Kasper, reformator relig. 177
Schwerin, gen. pruski 250
Seyda Marian, redaktor 371
Sforza hr., polityk włoski 413
Siemianowski Józef, redaktor 358, 360, 370
Sieniawski Mikołaj, hetman polny kor. 234, 235
Sinzendorf Filip Ludwik, bp. wrocł. 254
Sitsch Jan, bp. wrocł. 193
Skowroński Aleksander ks., działacz pol. 353, 362, 364, 365
Smołka Emanuel, nauczyciel bytomski 316, 317, 322
Sobek Wojciech, namiestnik Zygmunta Jag. 146
Sobieska Maria K., p. Maria Kazimiera, królowa
Sobieska Teresa Kunegunda, królewna 236
Sobieski Aleksander, królewicz pol. 236

Sobieski Jakub, królewicz pol. 237—239
Sobieski Jan, p. Jan III, król pol.
Sobieski Konstanty, królewicz pol. 236
Spytek z Melsztyna, magnat pol. 119
Stablewski Florian, arcyb. gnieźnieński 364
Stahlhansch, gen. szwedzki 209, 210
Stahremberg Jerzy Ludwik, starosta świdnicko-jaworski 209
Stalmach Paweł, działacz polski 334, 379—381, 384
Stanisław August Poniatowski, król pol. 279
Stanoszek ks., centrowiec 365
Stefan Batory, król polski 168, 185, 186, 188
Stein Bartłomiej, geograf śląski 156, 157, 158, 261
Stein Fryderyk, minister pruski 285
Stein Jerzy, doradca Macieja Korwina 139, 140
Strubicz Maciej, kartograf 168
Strzoda Franciszek, poseł do parlamentu 355, 360, 365
Sułkowski Jan, oficer polski 283
Šafařik Paweł J., uczony czeski 380
Szafranek ks., działacz polski 315, 317—320, 322, 328
Szarc Jędrzej, działacz polski 379
Šembera, uczony czeski 381
Szersznik ks. 378
Szmula Juliusz, poseł do parlamentu 354—356
Szramek Emil ks., działacz polski 356
Štúr L'udowit, działacz słowacki 380

Świętopełk, ks. czeski 16, 17
Świętopełk, ks. pomorski 35, 36
Świnka Jakub, arcyb. gnieźnieński 59—61

Tarnowski Jan, wojewoda krak. 108
Thietmar, kronikarz niem. 13
Tiedemann, twórca „hakaty" 347
Tomasz I, bp. wrocławski 48, 49, 51
Tomasz II, bp. wrocławski 57—61, 63, 65
Tököli Emeryk, wódz powstańców węgierskich 233, 234
Trąmpczyńska Ludwika, ż. Rostka 351
Trembecki, oficer polski 283
Tungen, bp. warmiński 139
Turzo Jan, bp. wrocławski 149, 170, 171
Turzonowie 153

Urban VI, papież 97

Vitelio, p. Witelo

Wachner, radca konsystorza 326
Wacław I, król czeski 40, 41, 43, 45
Wacław II, król czeski 54, 55, 57, 62, 63, 67—69, 85
Wacław III, król czeski 69, 74
Wacław IV, król czeski 93, 96—100, 103, 105, 108
Wacław (legnicki), bp. lubuski i wrocł. 96
Wacław II, ks. cieszyński 154, 173
Wacław III, ks. cieszyński 189, 192
Wacław, ks. oświęcimsko-zatorski 124
Wallenstein Albrecht, wódz cesarski 202—204, 206
Wallis, gen. austriacki 249
Walter, bp. wrocławski 12
Wawrzyniec, bp. wrocławski 48, 58
Wazowie 198, 203, 208, 209, 217—220, 237
Weber P., pisarz niemiecki 373
Wężyk Władysław, lekarz krakowski 312
Wilbrand, arcyb. magdeburski 39, 47
Wilhelm I, król pruski, cesarz niem. 330
Wilson Woodrow, prezydent U. S. A. 391, 392, 394
Witelo, uczony śląski 166
Witold, w. ks. litewski 107—109, 111
Władysław, ks. kozielsko-bytomski 75
Władysław, ks. legnicki 70, 71, 75, 77
Władysław, ks. opolski (wiek XIII) 48, 51, 54—56
Władysław, s. Henryka Pobożnego, arcyb. Salzburga, bp. administrator wrocł. 46, 47, 51
Władysław IV, król polski 207—209, 217, 218
Władysław Herman, ks. polski 15, 16
Władysław Jagiellończyk, król cz. i węg. 133, 134, 136—155
Władysław Jagiełło, król polski 98, 105, 107—111, 118, 166
Władysław Laskonogi, ks. wielkopol. 30, 34—37
Władysław Łokietek, król polski 62, 67—76, 78, 79, 81, 90, 92, 93
Władysław Odonicz, ks. wielkopol. 35—37, 46
Władysław Opolczyk (wiek XIV) 97, 98
Władysław Pogrobowiec, król cz. i węg. 119—121, 123, 127—130
Władysław Warneńczyk (III), król polski 118—120, 122, 123
Władysław Wygnaniec, ks. śląski 19—22, 26, 27
Włostowic Piotr, magnat śląski 26

Wojciech św. 12
Wołczewska 163
Wratysław, ks. czeski 15
Wybicki Józef, działacz legionowy 282
Wycliff, reformator relig. 102, 171

Zamoyski Jan, kanclerz w. kor. 188
Zasadzki (Zasadyus) Samuel Ludwik, pastor 222, 223
Zápolya Jan, magnat węgierski 180, 185
Zápolya Jan Zygmunt, ks. siedmiogr. 185
Zápolya Stefan, gubernator wrocławski 139
Zarębowie 57
Zebrzydowski Mikołaj, wojewoda krak. 198
Ziekursch, historyk niem. 280, 287, 321
Zierowski Krzysztof, rezydent cesarski 236
Zimmermann F. A., pisarz niem. 261
Zivier E., historyk niem. 159
Zofia olszańska, ż. Władysława Jagiełły 109,
Zygmunt I, król polski, ks. głogowski 145—149, 153—155, 179, 185
Zygmunt III, król polski 188, 196, 198—200, 207, 209, 217
Zygmunt August, król polski 168, 186, 188
Zygmunt Batory, ks. siedmiogr. 185, 186
Zygmunt Kazimierz, królewicz polski 218
Zygmunt Korybutowicz, namiestnik Witolda 107—113
Zygmunt Luksemburski, król czeski i węg. 98, 99, 103, 105—112, 114, 117, 118, 172

Żižka Jan z Tročnova, wódz husytów cz. 107
Żyrosław, bp. wrocławski 29

SKOROWIDZ MIEJSCOWOŚCI

Altenburg (w Saksonii) 26, 27
Anny św. góra 228, 287, 342, 411
Auerstädt (w Saksonii) 282
Augsburg 182
Avinion (Avignon) 101, 102

Bamberg 32
Baworów 262
Bazylea 112, 131
Beneszów 154
Berlin 93, 251, 257, 277, 282, 303, 311, 313—315, 318, 319, 324, 337, 358, 359, 373, 392, 422, 423
Będzin 188
Biała 146, 262, 284
Biała Góra 201
Bielsko 162, 234, 379, 386, 389, 415
Bierutowo 156, 261
Bogumin 154, 174, 181, 192, 201, 202, 204, 386—388, 416, 419
Bolesławice (pod Świdnicą) 258
Bolesławiec 66, 167, 205
Bolków 212
Borek 261
Bratysława (Preszburg) 379, 380
Brzeg 66, 70, 71, 96, 97, 122, 138, 153, 156, 157, 162, 168, 173, 181, 183, 192, 193, 205—207, 211, 212, 214, 221—223, 229—232, 238, 240, 242, 249, 250, 252, 255, 261, 282, 327
Budziszyn 13
Byczyna 66, 90, 94, 112, 138, 162, 188, 222, 306, 327
Bytom 23, 56, 70, 140, 154, 161, 162, 174, 181, 188, 192, 193, 201, 202, 204, 214, 234, 240, 263, 264, 267, 273, 277, 288, 306, 314—322, 336—338, 342, 343, 354, 356, 358, 365, 372, 376, 398, 404, 407, 410

Bytom (nad Odrą) 16, 47, 205
Cheb 206
Chełmno 335, 336, 343
Chmielnik 40
Chojnów 66
Chorzów (Królewska Huta) 278, 336, 337, 344, 353
Chrzanów 23
Cieplice (śląskie) 236, 237
Cieszyn 56, 70, 112, 156, 168, 202, 204, 205, 222, 223, 228, 230, 234, 240, 242, 251, 260, 288, 334, 339, 377—389, 415—420, 423
Czarnowąs 227
Czasław 251
Czarków 178
Częstochowa 229, 335
Cukmantl 97

Dobrodzień 404
Drezno 201, 252
Dzierżoniów (Rychbach) 66, 83, 240

Elbląg 175

Frankfurt (nad Menem) 318
Frydek 377, 378, 381, 386, 387, 415
Frysztat 379, 386, 415, 416

Gąsawa 35, 36
Gdańsk 175, 284, 395, 413
Gliwice 83, 112, 113, 227, 234, 237, 264, 273, 283, 287, 305, 306, 313, 333, 360, 365—367, 371, 372, 375, 398, 407, 410
Głogów 16, 46, 47, 56, 70, 78, 79, 81, 97, 105, 112, 131, 140, 143—146, 148, 157, 166, 167, 177, 205, 211, 213, 221, 229, 240, 242, 249, 250, 252, 266, 282, 285, 323
Głogówek 202, 228, 262, 284, 302, 304, 305, 313, 324, 333
Głubczyce 97, 140, 154, 160, 173, 179, 181, 228, 262, 263, 265, 273, 285, 331, 352, 372, 375, 407
Gniezno 12, 14, 39, 48, 67, 92, 191, 199, 335
Gorzów 66
Góra 97, 144, 205, 213, 257, 397
Grodków 168, 181, 195, 240, 262, 337, 372, 375, 376, 395
Grodziec (pod Opawą) 15
Grotniki (w Małopolsce) 119

Grunwald 104, 105, 132, 246

Hamburg 243
Henryków 66
Hochkirch 257
Hubertusburg 259
Hulczyn 352
Husinec 267

Jabłonków 415
Janowo (k. Mysłowic) 315
Jawor 42, 56, 66, 68, 70, 85, 86, 91—93, 97, 123, 129, 167, 202, 205, 209, 211, 212, 221, 240, 371
Jelenia Góra 209, 210, 212, 236, 242
Jena 282
Kalisz 33, 90
Kamieniec (śląski) 66
Kamienna Góra 212, 242
Karniów 42, 97, 154, 173, 181, 192, 202, 204, 240, 249, 251, 252
Karwina 386, 388, 416—419
Katarzyna 261
Katowice 331, 356, 360—362, 364, 365, 371, 374, 376, 398, 404, 407, 410, 413
Kąty 284
Kędzierzyn 364
Kępnica 262
Kielce 40
Kluczbork 66, 90, 94, 112, 138, 160, 162, 222, 261, 267, 274, 315, 326, 327, 372, 374—376, 407
Kłodzko 12, 15, 16, 54, 55, 63, 75, 82, 83, 85, 111, 129, 135, 143, 153, 158, 160, 167, 203, 250, 261, 267, 273, 282, 284
Konstancja 103, 106
Korczyn (w Małopolsce) 118
Kostrzyn 285
Koszęcin 160, 344
Koszyce 144
Kościerzyna 343
Kożuchów 157, 167, 173, 205, 212, 242
Koźle 56, 70, 83, 140, 162, 228, 262, 267, 274, 282, 283, 306, 337, 372, 376, 400, 409
Kraków 13, 19, 20—24, 30, 31, 35—37, 39, 41, 57, 61—63, 67, 68, 70—72, 74, 75, 91, 108, 113, 124, 154, 158, 163—168, 188, 189, 200, 204, 234, 287, 288, 297—301, 308, 310, 312, 316, 345, 351, 379, 417

Krosno (śląskie) 47, 53, 140, 249
Królewiec 247
Królewska Huta, p. Chorzów
Krzyszków (pod Poznaniem) 20
Kundraczyce (Kunersdorf) 257
Kutna Hora 118, 137

Legnica 41—47, 56, 66, 70, 71, 96, 97, 122, 143, 152, 153, 166, 168, 173, 177, 181, 183, 192, 193, 205—207, 211, 214, 221, 229—232, 240, 242, 249, 255
Leszno 213
Ligota 353
Lipany 114
Lipsk 166, 290
Litom 256
Londyn 412
Lubiąż 26, 27, 72, 164, 225, 226
Lublin 108
Lubliniec 302, 317, 365, 372, 374, 375, 398, 404, 410
Lubsko 140
Lubsza 302
Lubusz 19, 23, 31, 33, 34, 39, 47
Lützen 206
Lwów 339
Lwówek 167, 205, 212

Łęczyca 41, 59
Łukaszowice 261

Magdeburg 34
Malewice 250
Mały Tabor 267
Mauthausen 356
Miechowice 342
Międzybórz 326, 327
Mielnik 118
Mikołów 283, 338
Mikułów (na Morawach) 235
Milicz 12, 66, 84, 88, 90, 153, 156, 162, 240, 242, 261, 327, 395, 397
Mohacz 155
Morawska Ostrawa 387
Moskwa 290
Mysłowice 160, 234, 315, 317, 336, 359

Namysłów 32, 66, 90, 91, 94, 97, 122, 162, 261, 267, 283, 327, 395, 397
Nidek 154
Niemcza 12, 13, 42, 113
Niemodlin 70, 262, 337, 372, 375, 376, 395
Nysa 42, 48, 63, 76, 77, 85, 86, 88, 136, 151, 157, 167, 168, 181, 191, 195, 203, 240, 250, 251, 262, 284, 313, 344, 364, 372, 375, 395

Obrza (w Poznańskiem) 323
Oksford 102
Olesno 162, 213, 267, 301, 302, 315, 316, 319, 372, 375, 400, 410
Oleśnica 66, 70, 72, 138, 140, 143, 144, 153, 156, 162, 173, 192, 205—207, 211, 221, 222, 242, 261, 283
Oleśnica Mała 43
Oława 32, 43, 157, 212, 232, 237—240, 250, 261, 266, 273, 284, 315, 327
Ołomuniec 69, 136, 139, 142, 180, 193, 202, 228, 234, 257, 379
Opawa 15, 42, 63, 95, 137, 140, 144, 146, 148, 167, 193, 204, 228, 234, 240, 251, 252, 377, 378, 384, 415
Opole 14, 23, 29, 40, 56, 70, 138, 153, 154, 156, 162, 168, 173, 174, 178, 181, 183—186, 202, 204, 209, 217—221, 228, 230, 237, 250, 252, 265, 267, 302, 303, 306, 313, 323, 325, 337, 343, 344, 347, 360, 365, 367, 371, 372, 376, 398, 401, 404, 407, 410
Orłowa 383
Oświęcim 23, 56, 70, 112, 124, 126, 131
Otmuchów 42, 48, 63, 76, 77, 113, 148, 157, 262

Paczków 135
Paradyż 323
Paryż 313, 392, 393, 399, 400, 412, 416
Pforte (w Saksonii) 27
Piekary 229, 234, 316, 322, 335
Pielgrzymowice 325, 333
Pilchowice 343
Piotrków 136, 191
Piotrowice 234
Płock 94
Płowce 79
Pola Morawskie 54, 55, 62
Polska Ostrawa 415
Poznań 13, 20, 79, 308, 334, 335, 347, 358, 359, 392, 399, 413
Praga 62, 68, 75, 90, 92, 94, 102, 105, 106, 110, 118, 127, 129, 130, 136, 166, 196, 197, 201, 252, 380, 381

Prudnik 97, 160, 262, 263, 284, 337, 355, 360, 372, 375, 376, 395, 407
Pruszków 343
Przewóz 14, 83, 140
Psie Pole (Hundsfeld) 17
Pszczyna 23, 91, 153, 160, 174, 193, 204, 240, 263, 267, 273, 274, 277, 288, 293, 312, 316, 325, 336, 365, 372, 375, 398, 400, 407, 409
Puck 359
Pyskowice 324

Racibórz 18, 23, 56, 60, 70, 83, 84, 91, 95, 140, 153, 154, 156, 162, 168, 173, 174, 181, 183—186, 202, 204, 209, 217—221, 227, 228, 234, 237, 240, 262, 263, 273, 286, 312, 350—353, 355, 372, 375, 376, 407, 409
Ruda 224, 234
Rybnik 91, 273, 317, 331, 365, 372, 375, 398, 407, 409, 411
Rychbach, p. Dzierżoniów
Rzym 37, 48, 58, 67, 87, 92, 101, 102, 131, 192

Sandomierz 30, 41, 51, 82
Santok 39, 46
Siemianowice 336
Siewierz 23, 124, 126, 131
Skała 62
Skoczów 389
Smogorzewo, p. Żmigród
Spaa 419
Strzegom 54, 66
Strzelce 58, 70, 162, 331, 337, 372, 375, 407, 410
Strzelin 66, 83, 157, 261, 267
Strzygłów 42, 284
Sulechów 140
Syców 66, 144, 146, 162, 240, 261, 267, 326, 327, 331, 395, 397
Szarlej 277, 314
Szczecin 243, 285
Szlichtyngowa 213, 295
Szonawa 212
Szprotawa 56, 144, 205, 240
Szydłów 47

Ścinawa 56, 66, 97, 212, 282
Środa 54, 157, 167, 240, 256
Świdnica 42, 66, 68, 70, 85, 86, 92, 93, 97, 111, 123, 129, 152, 167, 202, 205, 209, 211, 212, 221, 229, 240, 256—258, 261, 273

Tarnowskie Góry 160, 161, 184, 193, 228, 234, 277, 278, 293, 313, 322, 365, 372 374, 376, 398, 410
Tarnów (śląski) 78
Toruń 175, 413
Toszek 70, 140, 162, 273, 365, 372, 375, 398, 407, 410
Trenczyn 82, 85
Trydent 190
Trzebnica 32, 66, 156, 181, 225—227, 261, 315, 327
Trzyniec 386, 388, 389, 416, 419
Twarda Góra 222, 261
Tychy 363
Tylża 284

Ujazd 411
Uraz 66

Wałbrzych 276
Warszawa 308, 339, 402, 413
Wersal 330
Wiązów 83, 261
Wierzch 352
Wiedeń 55, 127, 155, 158, 233, 235, 236, 250, 313, 345, 380
Wielki Tabor 267
Wielkie Wilkowice 313
Wieluń 110, 122, 301, 302
Wodzisław 140
Wołczyn 90, 94, 112, 162, 181, 267, 326, 327
Wołów 70, 72, 140, 143, 153, 181, 183, 192, 205, 214, 221, 230—232, 240 242, 249
Woźniki 160, 317
Wójcice 148
Wrocław 9—13, 15—17, 26, 28, 29, 41, 46—51, 54, 58, 60—63, 65—73, 75—79, 81—84, 87, 88, 91, 92, 94—100, 105—107, 111, 119—123, 128—132, 135—139, 142, 143, 147, 149, 152, 153, 157, 166—168, 170, 172, 173, 180, 181, 183, 184, 189, 191, 195, 197, 205—207, 209, 211, 221, 223, 229, 230, 236, 240, 242, 243, 250—252, 255—257, 261, 266, 275, 282, 284, 293, 295, 302, 304, 313, 315, 323, 325—329, 339, 343, 347, 348, 351, 352, 392, 401
Wschowa 90, 295
Wyszehrad 82, 95

Zabrze 267, 316, 362, 365, 374, 376, 398, 407, 410

Zator 124, 126, 131, 145
Ząbkowice 53, 66, 83, 129, 135, 137, 177, 205
Zebrzydowice 333
Zgorzelec 83
Zielona Góra 157, 205, 249
Ziębice 66, 70, 83, 105, 129, 135, 137, 143, 157, 173, 192, 205, 242, 261, 266, 267
Złotoria 152, 173

Żagań 56, 105, 140, 157, 166—168, 174, 181, 229, 242
Żmigród 153, 167, 240, 257, 261, 315, 327
Żory 162, 336
Żółkiew 238
Żórawno 261
Żytawa 168

316.

Biblioteka Akademii Sztabu Generalnego

5074.